

Taniec śmierci

Laurell K. Hamilton



calibre 0.9.27

Taniec smierci

Anita Blake [6]

Laurell K. Hamilton

ZYSK I S-KA (2010)

Etykiety: Ghost, Horror, General, Occult Supernatural, Fiction

Hamilton Laurell K.

The Killing Dance

(Zabójczy Taniec)

Disclaimer: Tłumaczenie niekomercyjne, powstało na potrzeby forum i ma charakter informacyjny. Wszystkie postacie i wydarzenia są własnością Laurell K. Hamilton.

„The Killing Dance” - tłumaczenie Bractwo Nieumarłych www.anitablake.fora.pl

Rozdział 1

Najpiękniejszy trup, jakiego kiedykolwiek widziałam, siedział za moim biurkiem. Biała koszula Jean-Claude'a błyszczała w świetle lampki, ozdobna koronka wyzierała spod czarnej, aksamitnej marynarki. Stałam za nim, ze skrzyżowanymi rękoma i plecami do ściany, z prawą dłonią komfortowo blisko podramiennej kabury z browningiem hipower.

Nie bałam się Jean-Claude'a. To inny wampir mnie niepokoił.

Lampka na biurku była jedynym źródłem światła. Wampir nie życzył

sobie, by blask padał na niego. Miał na imię Sabin i stał daleko przy ścianie, prawie niewidoczny w ciemności. Od stóp do głów ubrany był

w czarną pelerynę z kapturem. Wyglądał jak wyjęty ze starego filmu z Vincentem Pricem. Nigdy nie widziałam prawdziwego wampira ubranego w taki sposób.

Ostatnim członkiem naszej małej, wesołej grupy był Dominic Dumare. Usiadł na jednym z krzeseł dla klientów. Wysoki, szczupły, ale nie słaby. Jego ręce były silne i wystarczająco duże, aby ukryć w nich moją twarz. Ubrany w trzyczęstwy czarny garnitur, wyglądałby jak szofer, gdyby nie miał diamentowej spinki do krawata. Broda i cienkie wąsy podkreślały ostre rysy twarzy.

Kiedy wszedł do mojego biura, wyczułam jego moc jak psychiczny wiatr sphywający w dół mojego kręgosłupa. Do tej pory spotkałam tylko dwoje ludzi, którzy mieli podobny smak mocy. Pierwsza była najpotężniejszą kapłanką voodoo, którą spotkałam. Drugi był jej zastępcą. Kobieta nie żyła. Facet pracował dla Animatorów spółka z.o.o., tak jak ja.

Ale Dominic Dumare nie przyszedł tutaj, by ubiegać się o pracę.

- Panno Blake, proszę spocząć - powiedział Dumare - Sabin nie usiądzie w towarzystwie stojącej kobiety.

Zerknęłam na Sabina.

- Jeśli on to zrobi, ja również - odparłam.

Dumare popatrzył na Jean-Claude'a. Na jego twarzy zagościł protekcyjny uśmiech.

- Nie potrafisz zapanować nad swoją ludzką służebnicą?

Nie musiałam widzieć uśmiechu Jean-Claude'a, by o nim wiedzieć.

- Och, przyszedłeś ze sprawą do *ma petite*. Jest moją ludzką służebnicą, tak zadeklarowaliśmy przed Radą, ale nie mam nad nią kontroli.

- Wyglądasz, jakbyś był z tego dumny - powiedział Sabin z silnym, brytyjskim akcentem.

- To Egzekutorka i zabiła więcej wampirów niż jakikolwiek inny człowiek. Jest nekromantką i ma taką władzę, że przejechałaś pół świata, aby się jej poradzić. Jest też moją ludzką służebnicą, ale bez znaku, który miałby zatrzymać ją przy moim boku. Umawia się za mną bez pomocy wampirzych sztuczek. Dlaczego nie powinienem się tym cieszyć?

Słuchając tego wykładu można by pomyśleć, że to wszystko wyszło z jego własnej inicjatywy. Fakty przedstawiały się tak, że usiłował mnie naznaczyć, ale udało mi się uciec. Umawialiśmy się na randki, ponieważ mnie szantażował. Randka z nim, albo zabije mojego drugiego chłopaka. Jean-Claude postarał się, żeby wszystko działało na jego korzyść. Dlaczego mnie to nie dziwi?

- Póki ona żyje, nie możesz oznaczyć żadnego innego człowieka -

rzucił Sabin. -Odciałeś się od wielkiej władzy.

- Jestem świadomy tego, co uczyniłem - odparował Jean-Claude. Sabin roześmiał się i był to śmiech pełen goryczy.

- Wszyscy robimy dziwne rzeczy w imię miłości.

Dużo bym dała, żeby zobaczyć twarz Jean-Claude'a w tamtym momencie. Wszystko, co mogłam dostrzec, było długimi czarnymi włosami rozrzuconymi na marynarce, czarne na czarnym. Jego ramiona zeszywniały, palcami stukał w blat biurka. Następnie zastygł w bezruchu.

Przerazająca cisza, wyczekiwanie - tylko stare wampiry tak potrafią, wydaje się, że jeśli będą trwać wystarczająco długo, zwyczajnie znikną.

- Czy właśnie to cię tutaj sprowadziło, Sabinie? Miłość? - Głos JeanClaude'a stał się neutralny, pusty, wyprany z emocji.

Śmiech Sabina przeciął powietrze jak ostre kawałeczki szkła. Sam ten odgłos ranił coś głęboko wewnątrz mnie. Kompletnie mi się to nie spodobało.

- Dostyc tych gierk - oznajmiłam. - Przejdźmy do sedna.

- Czy ona zawsze jest taka niecierpliwa? - spytał Dumare.

- Owszem - westchnął Jean-Claude. Dumare uśmiechnął się świetli-
ście.

- Czy Jean-Claude powiedział ci, dlaczego chciałem się z tobą spotkać?

- Wspomniał tylko, że Sabin złapał jakiś rodzaj choroby, próbując przerzucić się na drób.

Wampir po drugiej stronie pokoju roześmiał się, tnąc głosem niczym mieczem powietrze w pokoju.

- Drób, wspaniale, panno Blake, wspaniale.

Śmiech przeszedł przeze mnie jak małe cięcia ostrzy. Nigdy nie do-

świadczyłam czegoś takiego, tylko słysząc dźwięk. Podczas walki mo-gło mnie to porządnie rozproszyć.

Cholera, to teraz mnie rozpraszało! Poczułam, że coś ciepłego ścieka mi po czole. Podniosłam lewą rękę i zobaczyłam swoje palce unurzane we krwi. Wyciągnęłam browninga i stanęłam z dala od ściany. Wycelowałam w czarną postać po drugiej stronie pokoju.

- Jeśli on to jeszcze raz zrobi, wpakuję mu kulkę.

Jean-Claude powoli podniósł się z krzesła. Jego moc płynęła przeze mnie jak chłodny wiatr, podnosząc włoski na rękach. Podniósł bladą dłoń, która lśniła od mocy. Z błyszczącej skóry płynęła krew.

Dumare nadal siedział na krześle, ale on też krwawił od prawie iden-tycznych ran ciętych. Nadal się uśmiechając, spokojnie wytarł krew.

- Pistolet będzie zbędny - rzucił.

- Nadużyłeś mojej gościnności - powiedział Jean-Claude. Jego głos wibrował w
pokoju.

- Nie mam nic na usprawiedliwienie - powiedział Sabin. - Nie chcia-

łem tego zrobić. Korzystam tak bardzo z mojej władzy tylko po to, by sprawdzić, czy jeszcze mam nad czymś kontrolę.

Przesunęłam się powoli, z wciąż uniesioną bronią. Chciałam widzieć twarz Jean-Claude'a. Musiałam sprawdzić jak bardzo jest ranny. Powoli okrążałam biurko, aż zobaczyłam go kątem oka. Jego twarz była nietknięta, nieskazitelna i połyskująco perłowa. Uniósł dłoń, krew spłynęła cienką strużką na podłogę.

- To wcale nie był wypadek.

- Podejdz do swiatla, przyjacielu - powiedzial Dumare. - Musisz sie im pokazac, inaczej nie zrozumieja.

- Nie wydaje mi sie to konieczne. Nie musza mnie widziec.

- Jesteś na dobrej drodze do wyczerpania całej mojej cierpliwości -

oznajmil JeanClaude.

- Mojej również - dodałam.

Miałam nadzieję, że będę mogła zastrzelić Sabina, inaczej musiałabym odłożyć pistolet. Nawet trzymając broń dwiema rękoma, nie jest łatwo trwać tak w nieskończoność. Ręce zaczynają po prostu opadać i drżeć.

Sabin podpłynął w stronę biurka. Czarny płaszcz rozlewał się dooko-

ła jego stóp niczym kałuża ciemności. Wszystkie wampiry były pełne gracji, wdzięku, ale to już zakrawało na śmieszność. Uświadomiłam sobie, że nie dotykał stopami podłogi. Lewitował wewnątrz ciemnego płaszcza.

Jego moc przenikała przez moją skórę niczym lodowata woda. Moje ręce znów stały się stabilne. Nic tak nie wyostrza zmysłów, jak kilku-setletni wampir zbliżający się do ciebie.

Sabin zatrzymał się po drugiej stronie biurka. Używał mocy tylko po to, by się poruszyć, tak jak rekin - jeśli się zatrzyma, zginie.

Jean-Claude prześlizgiwał się obok mnie. Jego moc przenikała przez me ciało, podnosząc włoski na karku, wywołując dreszcze. Zatrzymał

się blisko drugiego wampira.

- Co ci się stało, Sabinie?

Sabin stał na krawędzi blasku. Lampa powinna była oświetlać wnętrze kaptura, ale tak się nie działo. Wewnątrz był gładki, czarny i pusty jak jaskinia. Jego głos dotarł do mnie z tej nicości. Podskoczyłam

- Miłość, Jean-Claude, miłość mi to zrobiła. Ukochana poruszyła me sumienie. Powiedziała, że picie ludzkiej krwi jest złe. Mimo wszystko sami kiedyś byliśmy ludźmi. Z miłości do niej, starałem się pić zimną krew. Próbowałem zwierzęcej. Ale to nie wystarczyło, żeby utrzymać mnie w zdrowiu.

Gapiałam się w ciemność kaptura. Nadal do niego mierzyłam, ale zaczynałam czuć się głupio. Sabin nie wyglądał na przestraszonego, co niezłe mnie wkurzało. Być może miał to wszystko gdzieś. Irytujące.

- Namówiła cię na wegetarianizm. Cudnie - rzuciłam. - Wyglądasz na potężnego. Roześmiał się, z tym dźwiękiem ciemność w jego kapturze powoli opadła, jak

kurtyna. Jednym szybkim machnięciem odrzucił go do tyłu.

Nie krzyknęłam, ale złapałam oddech i zrobiłam krok wstecz. Nic nie mogłam na to poradzić. Gdy uświadomiłam to sobie, zatrzymałam się i zrobiłam krok do przodu, aby spojrzeć mu w oczy. Nie stchórzę, nie stchórzę.

Włosy miał grube, proste i złote, spadające aż do ramion jak lśniąca zasłona. Ale jego skóra... jego skóra na jednej połowie twarzy zgniła.

Wyglądało to na ostatnie stadium trądu, a może gorzej. Ciało wydawało się być zakażone gangreną - powinno strasznie cuchnąć. Druga strona jego twarzy pozostała piękna. To była twarz, którą średniowieczni ma-larze nadawali cherubinom, złota doskonałość. Jedno krystalicznie niebieskie oko pływało w gnijącym oczodole i wyglądało jak gdyby w każdej chwili mogło rozlać się na policzek. Drugie było dobrze przymocowane i obserwowało moją twarz.

- Możesz odłożyć pistolet, *ma petite*. Mimo wszystko, to był wypadek - powiedział Jean-Claude.

Skierowałam lufę browninga w podłogę, ale nie schowałam go do kabury. Sporo wysiłku kosztowało mnie spokojne odezwanie się.

- Czy to efekt zaprzestania picia ludzkiej krwi?

- Tak myślimy - powiedział Dumare.

Oderwałam wzrok od zniszczonej twarzy Sabina i spojrzałam na Dominica.

- Uważasz, że mogę pomóc w jego uleczeniu? - Nie dałam rady zamaskować niedowierzania w moim głosie.

- Mówi się o tobie nawet w Europie. Uniosłam brwi.

- Nie bądź skromna, panno Blake. Między nami, którzy zwracają uwagę na takie rzeczy, zdobyłaś pewien rozgłos.

Rozgłos, nie sławę. Hmm.

- Odłóż pistolet, *ma petite*. Sabin skończył już swoje, jak ty to nazywasz?, popisy dzisiejszego wieczoru. Mam rację, Sabinie?

- Obawiam się teraz, że wszystko poszło nie tak. Włożyłam pistolet do kabury i pokręciłam głową.

- Naprawdę nie mam zielonego pojęcia jak mogłabym ci pomóc.

- A gdybyś wiedziała jak, to pomogłabyś? - zapytał. Obrzuciłam go spojrzeniem i skinęłam głową.

- Tak.

- Chociaż jestem wampirem a ty Egzekutorką?

- Zrobiłeś w tym kraju coś wymagającego likwidacji?

Zaśmiał się. Gnijąca skóra naprężyła się i z mokrym odgłosem pękło mu ścięgno. Musiałam się odwrócić.

- Jeszcze nie, panno Blake, jeszcze nie.

Jego twarz niespodziewanie się uspokoiła, uśmiech znikł.

- Wyćwiczyłeś swoją twarz, aby nie odmalowywały się na niej uczucia, Jean-Claude, ale widziałem w twoich oczach przerażenie.

Skóra Jean-Claude'a wróciła do zwykłej mlecznej perfekcji. Jego twarz nadal była śliczna i doskonała, ale przynajmniej przestał świecić.

Ciemnogrnatowe oczy z powrotem stały się zwykłe. Wciąż piękny, ale prawie według ludzkich standardów.

- Czy to nie jest warte strachu? - zapytał.

Sabin uśmiechnął się, choć wolałabym żeby tego nie robił. Mięśnie po zniszczonej stronie nie funkcjonowały, więc jego usta wisiały krzywo. Odwróciłam wzrok, ale zaraz zmusiłam się, by zerknąć ponownie.

Skoro znosił uwięzienie w pułapce takiej twarzy, mogłam na to patrzeć.

- Pomożesz mi w końcu?

- Pomógłbym ci, jeśli bym zdołał, ale nie mnie powinieneś spytać. To od Anity otrzymasz odpowiedź.

- Dobrze. Panno Blake?

- Nie wiem, jak mogłabym pomóc - powtórzyłam.

- Czy rozumiesz jak tragiczny jest mój los, panno Blake? Jak przerażający? Pojmujesz?

- Prawdopodobnie gnicie cię nie zabije, ale to postępuje dalej, czyż nie?

- O tak, postępuje, zżera.

- Sabin, pomógłbym ci, gdybym potrafiła, ale co ja mogę, jeśli Dumare ci nie pomógł? Jest nekromantą, pewnie tak potężnym jak ja, może silniejszym. Do czego ja jestem ci potrzebna?

- Panno Blake, uświadomiłem sobie, że nie dostrzegasz problemu Sabina - oznajmił Dominic. - O ile wiem, jest jedynym wampirem, który kiedykolwiek ucierpiał z powodu takiego losu, ale myślałem, że jeżeli pojedziemy do innego nekromanty tak potężnego jak ja -uśmiechnął

się skromnie - albo niemal tak potężnego, może razem mogliśmy stworzyć zaklęcie, aby mu pomóc.

- Zaklęcie? - Spojrzałam na Jean-Claude'a.

Wzruszył z gracją ramionami, co mogło oznaczać cokolwiek.

- Niewiele wiem o nekromancji, *ma petite*. Znasz się na zaklęciach o wiele lepiej ode mnie.

- Nie tylko twoje umiejętności nekromanty przywiodły nas do ciebie

- dodał Dumare.- Służyłaś również jako ognisko mocy dla co najmniej dwóch innych animatorów, to chyba odpowiednie amerykańskie słowo dla tego, co zrobiłaś.

Skinęłam głową.

- Dobre słowo, ale skąd dowiedziałaś się o tym, że mogę ogniskować moc?

- Widzisz, panno Blake, umiejętność, by łączyć moc innego animatora ze swoją własną i w ten sposób wzmacniać obie, jest rzadkim darem.

- Czy możesz służyć jako hipocentrum mocy? - spytałam.

Starał się być skromnym, ale tak naprawdę wyglądał na zadowolonego z siebie.

- Muszę przyznać, że tak, potrafię ją ogniskować. Pomyśl, co moglibyśmy osiągnąć razem.

- Moglibyśmy ożywić cholerną ilość zombi, ale to nie uzdrowi Sabina.

- Masz rację.- Dumare pochylił się na krześle. Jego szczupła, przystojna twarz poczerwieniała - gorliwy, prawdziwy neofita szukający uczniów.

Nie byłam zapatrzoną w niego zwolenniczką.

- Proponuję nauczyć cię prawdziwej nekromancji, nie tego śmiesznego voodoo, którym się bawisz.

Jean-Claude wydał z siebie miękki odgłos, coś między śmiechem a kaszlem. Spiorunowałam wzrokiem jego rozbawioną twarz i powiedzia-

łam:

- Świetnie sobie radzę z tym śmiesznym voodoo.

- Nie zamierzałem cię obrazić, panno Blake. Wkrótce będziesz potrzebowała nauczyciela. Jeżeli nie mnie, będziesz zmuszona znaleźć kogoś innego.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- O kontroli, panno Blake. Surowa moc, obojętnie jak imponująca, to nie to samo, co moc stosowana z wielką ostrożnością i opanowaniem.

Potrząsnęłam głową.

- Pomogę ci, jeżeli będę mogła, Dumare. Nawet wezmę udział w zaklęciu, ale najpierw skontaktuję się z miejscową czarownicą.

- Boisz się, że pokuszę się na twoją moc? Uśmiechnęłam się.

- Nie, poza zabiciem mnie, najlepsze, co możesz zrobić, to pożyczyć ją sobie.

- Jesteś mądra ponad swój wiek, panno Blake.

- Nie jesteś wiele starszy ode mnie - odparłam. Cię przemknął przez jego twarz, i zrozumiałam.

- Jesteś jego ludzkim służącym, nieprawdaż? Dominic uśmiechnął

się i rozłożył ręce. - *Oui*. Westchnęłam.

- Myślałam, że powiedziałaś, iż niczego przede mną nie ukrywasz

- Rolą ludzkiego służącego jest być dziennymi oczami i uszami swojego Mistrza. Nie byłoby ze mnie żadnego pożytku, jeśli łowca wampirów mógłby zwrócić uwagę na to, czym jestem.

- Rozpoznałam cię.

- Ale w innej sytuacji, bez Sabina obok mnie, czy zgadłabyś? Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

- Być może. - Potrząsnęłam głową. - Nie wiem.

- Dziękuję za uczciwość, panno Blake - powiedział Sabin. - Jestem pewien, że nasz czas niechybnie dobiega końca. Jean-Claude powiedział, że jesteś umówiona na pilne spotkanie, panno Blake. Dużo ważniejsze niż mój drobny problem.

Na końcu wyczułam nutę ironii.

- *Mapetite* ma umówione spotkanie z jej drugim adoratorem.

Sabin gapił się na Jean-Claude'a. - Faktycznie pozwalasz jej na randki z innymi. Myślałem, że to tylko plotki.

- Niewiele z tego, co słyszysz się o *ma petite* jest pogłoską. Wierz we wszystko, co słyszysz.

Sabin zachichotał, kaszląc, jak gdyby usilnie starał się zapobiec, uśmiech nie uszedł z jego zniszczonych ust.

- Gdybym uwierzył we wszystko, co słyszałem, przyszedłbym z ar-mią.

- Przyszedłeś z jednym służącym, bo pozwoliłem ci tylko na jednego służącego -rzucił Jean-Claude.

Sabin się uśmiechnął.

- To prawda. Chodź Dominic, nie powinniśmy więcej marnować tak cennego czasu panny Blake.

Dominic wstał posłusznie, górując nad nami. Sabin wydawał się podobnego wzrostu, co ja. Oczywiście, nie dałabym sobie ręki uciąć, upie-rając się przy tym, że miał całe nogi. Kiedyś może był wyższy.

- Nie lubię cię, Sabin, ale nigdy nie zostawiłabym żadnej istoty w takim stanie. Moje plany na dzisiejszy wieczór są ważne, ale zmieniła-bym je, gdybyśmy mogli cię w tej chwili wyleczyć.

Patrzył na mnie. Jego błękitno-niebieskie oczy były jak czysta oce-aniczna woda. Żadnego przyciągania. Albo starał się być grzecznym albo, jak większość wampirów, nie mógł mnie już zahipnotyzować wzrokiem.

- Dziękuję, panno Blake. Cenię sobie szczerłość.

Z obszernego płaszcza wyciągnął rękę z nałożoną rękawiczką. Zawahałam się, ale ujęłam ją. Jego dłoń była galaretowata i postarałam się nie wyszarpnąć swojej. Zmusiłam się, aby potrząsnąć jego ręką, uśmiechnąć się, spokojnie ją wypuścić i nie wytrzeć własnej dłoni o spódnice.

Dominic również uściskał mi dłoń. Jego ręka była chłodna i sucha.

- Dziękuję, panno Blake. Jutro skontaktuję się z panią i porozma-wiamy.

- Będę czekała na twój telefon, Dumare.

- Proszę, mów mi Dominic. Skinęłam głową.

-Dominic. Możemy o tym podyskutować, ale wiedz, że nienawidzę brać pieniędzy, kiedy nie jestem pewna, czy mogę pomóc.

- Mogę mówić do ciebie Anita? - Spytał. Zawahałam się i wzruszy-

łam ramionami.

- Dlaczego nie?

- Nie martw się o pieniądze - powiedział Sabin - Na ten cel przeznaczyłem ich krocie.

- Co twoja ukochana myśli o zmianie w twoim wyglądzie? - spytał

Jean-Claude. Sabin zerknął na niego. Nie było to przyjazne spojrzenie.

- Sądzi, tak jak ja, że jestem odrażający. Czuje się winna. Nie odeszła ode mnie, ale też nie jest ze mną.

- Masz blisko siedemset lat - powiedziałam. - Dlaczego robisz takie rzeczy dla kobiety?

Sabin odwrócił się do mnie, w dół jego twarzy sączyła się mokra strużka, jak czarna łza.

- Pytasz mnie, czy było warto, panno Blake? Przełknęłam ślinę i potrząsnęłam głową.

- To nie moja sprawa. Przepraszam, że spytałam. Naciągnął kaptur na głowę. Obrócił się do mnie tak, że zobaczyłam jedynie czarne cienie w miejscu, gdzie powinna być twarz.

- Zamierzała ode mnie odejść, panno Blake. Wszystko bym poświęcił, by ją zatrzymać obok siebie, w swoim łóżku. Myliłem się. - Obrócił

się do Jean-Claude'a. - Zobaczymy się jutro w nocy, Jean-Claude.

- Oczekuję tego z niecierpliwością.

Wampiry nie podały sobie dłoni. Sabin popłynął do drzwi, pusty płaszcz ciągnąc za sobą. Zastanowiłam się, ile pozostało z niższych partii jego ciała i zdecydowałam, że wolę nie wiedzieć.

Dominic uściskał jeszcze raz moją dłoń.

- Dziękuję, Anito. Dałaś nam nadzieję. - Trzymał moją rękę i wpatrywał się w twarz, jak gdyby mógł coś z niej wyczytać. - I pomyśl, o mojej ofercie udzielania ci lekcji. Niewielu z nas to prawdziwi nekromanci.

Zabrałam rękę.

- Zastanowię się nad tym. Teraz naprawdę muszę już iść. Uśmiechnął się, przetrzymał drzwi dla Sabina i wyszedł.

Przez chwilę staliśmy z Jean-Claude'm w ciszy. Przerwałam ją pierwsza.

- Ufasz im?

Jean-Claude usiadł na skraju biurka, przewracając oczami.

- Oczywiście, że nie.

- W takim razie, dlaczego zgodziłeś się na ich przybycie?

- Rada ogłosiła, że żadnemu z wampirzych mistrzów w Stanach Zjednoczonych nie wolno spierać się z tym paskudnym prawem, które rządzi nieumarłymi w Waszyngtonie. Jedna wojna nieumarłych i anty-wampirza grupa nacisku podważyłaby prawo i znów uczyniła wampiry nielegalnymi.

Potrząsnęłam głową.

- Nie sądzę, żeby ustawa Brewstera miała jakiegokolwiek szanse. W

Stanach Zjednoczonych zalegalizowano wampiry. Zgadzam się z tym czy nie, ale przypuszczam, że nie będą tego zmieniać.

- Jak możesz być taka pewna?

- Zbyt wiele się napracowali, żeby raz mówić, iż pewna grupa istot jest żywa i ma prawa, a potem rozmyślać się i oznajmić, że zabijanie ich jest znowu w porządku. ACLU*1 miałoby kłopoty.

Uśmiechnął się.

- Być może. Mimo wszystko, Rada narzuciła nam spokój, do czasu aż prawo będzie wyraźnie ustanowione.

- A zatem możesz wpuścić Sabina na swoje terytorium, bo gdyby stał się niegrzeczny, Rada wytropi go i zabije.

Jean-Claude skinął głową.

- Ale ty wciąż byś nie żył - dodałam. Rozłożył ręce ruchem pełnym gracji.

- Nic nie jest doskonałe. Zaśmiałam się.

- Chyba nie.

- Czy nie musisz już iść, jeśli nie chcesz się spóźnić na randkę z *monsieur* Zeemanem?

- Jesteś bardzo poprawny w tej sprawie - powiedziałam.

- Jutro w nocy będziesz ze mną, *ma petite*. Byłbym kiepski...w tym sporcie, by zazdrościć Richardowi jego wieczoru.

- Zwykle grasz nie fair.

- *Ma petite*, to nie było uczciwe. Richard przecież nie jest martwy.

- Tylko dlatego, że zdajesz sobie sprawę, że jeżeli go zabijesz, ja zabiję ciebie. -Uniosłam dłoń, żeby mi nie przerwał. - Spróbowałabym cię zabić, a ty spróbowałbyś zabić mnie, i tak w kółko.

To była nasza stara sprzeczka.

- Richard żyje, umawiasz się z nami, jestem cierpliwy. O wiele bardziej cierpliwy niż kiedykolwiek w stosunku do kogokolwiek innego.

Studiowałam jego twarz. Był jednym z tych mężczyzn, którzy są bardziej piękni niż przystojni, ale jego twarz była męska. Nie można by go pomylić z kobietą, nawet z jego długimi włosami. W Jean-Claudzie było coś strasznie męskiego, niezależnie jak dużo koronki miał na sobie.

Mógłby być mój: loki, ciało i kły. Tylko nie byłam pewna, czy tego chcę.

- Muszę iść - westchnęłam.

1 * *ACLU - American Civil Liberties*, czyli Związek (Unia) Amerykańskich Swobód Obywatelskich

Odepchnął się od biurka. I nagle stanął wystarczająco blisko, żeby mnie dotknąć.

- W takim razie idź, *ma petite*.

Wyczuwałam jego ciało tylko cal od mojego, jak iskrzącą się energię. Musiałam przełknąć ślinę, zanim powiedziałam:

- To moje biuro. Musisz odejść.

Lekko dotknął moich rąk, muskając je koniuszkami palców.

- Baw się dobrze tej nocy, *ma petite*.

Owinął palce dookoła moich rąk, poniżej ramion. Nie pochylił się do mnie, ani nie przyciągnął mnie bliżej, o ten ostatni cal. Zwyczajnie trzymał moje ręce i wpatrywał się we mnie.

Zerknęłam w mroczną, ciemnoniebieską otchłań. Nie tak dawno te-mu nie mogłabym spotkać jego spojrzenia bez zatopienia się w nim i zagubienia. Teraz patrzyłam mu w oczy, ale pod pewnym względem nadal się gubiłam. Stałam na palcach, zbliżając do niego swoją twarz.

- Już dawno powinnam była cię zabić.

- Dostałaś swoją szansę, *ma petite*. Uratowałaś mnie.

- Mój błąd - odparłam.

Roześmiał się i ten głos spłynął w dół mojego ciała niczym futro po nagiej skórze. Zadrzałam w jego rękach.

- Przestań - powiedziałam.

Pocałował mnie delikatnie, ledwie muskając wargami, więc nie poczułam kłów.

- Tęskniłabyś, gdybym odszedł, *ma petite*. Przyznaj się.

Odsunęłam się do niego. Jego ręce przesuwwały się po moich, aż mu-snęłam koniuszkami palców jego dłonie.

- Idę.

- Jak mówiłaś.

- Po prostu wyjdź, Jean-Claude, bez żadnych sztuczek. Natychmiast stonował twarz, jak gdyby jakaś ręka wytarła ją do czysta.

- Bez żadnych gierek, *ma petite*. Pędź do twojego drugiego kochanka. - To była jego kolej, by podnieść rękę i powiedzieć:

- Wiem, że tak naprawdę nie jesteście kochankami. Wiem, że opie-rasz się nam obu. Odważna *ma petite*.

Cień czegoś, być może gniewu, pokazał się na jego twarzy i odpłynął jak zagubiona zmarszczka na gładkiej tafli ciemnej wody.

- Jutrzejszej nocy jesteś ze mną i to będzie kolej Richarda, by siedzieć w domu i rozmyślać. - Potrząsnął głową. - Nawet dla ciebie nie zrobiłbym tego, co uczynił Sabin. Nawet dla twojej miłości są rzeczy, których bym nie zrobił. - Patrzył na mnie; nagle dziki gniew zapłonął w jego oczach i na twarzy. - Ale to, co robię, wystarczy.

- Nie myśl, że jesteś nieomylny, jeśli chodzi o mnie - powiedziałam.

- Jeżeli byś nam nie przeszkodził, Richard i ja bylibyśmy zaręczeni, a może nawet posunęlibyśmy się dalej.

- I co? Mieszkałabyś w wielkim domu z ogródkiem i dwójką dzieci.

Sądzę, że bardziej okłamujesz siebie niż mnie, Anito.

Użycie mojego prawdziwego imienia zawsze zwiastowało kłopoty

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, *ma petite*, że prawdopodobnie masz takie same szanse odnaleźć się w domowym zaciszu, jak ja.

Z tymi słowami popłynął do drzwi i odszedł. Zamknął je cicho, ale zdecydowanie.

Domowe zacisze? Kto, ja? Całe moje życie było mieszanką nadprzy-rodzonej opery mydlanej i filmu akcji. Coś takiego jak *Casket Turns** 2 z domieszką *Rambo*. Ogródki i rodzina tu nie pasowały. Jean-Claude miał rację.

Wreszcie weekend dla siebie. Po raz pierwszy od miesiący. Na dzisiejszy wieczór czekałam przez

cały tydzień. Ale prawdę mówiąc, to nie niemal doskonała twarz Jean-Claude'a mnie dręczyła. Przed oczami miałam twarz Sabina.

Wieczne istnienie, wieczny ból, wieczna brzydota. Przyjemne życie po śmierci.

Rozdział 2

Na wydawanym przez Catherine przyjęciu, mogłam odróżnić trzy rodzaje ludzi: żywych, umarłych i okazjonalnie porastających sierścią.

2 * *Casket Turns* - znaczenie (w przybliżeniu) to „obracająca się trumna”

Z naszej ósemki, szóstka była ludźmi, ale nie byłam pewna dwójki, wliczając w to siebie.

Miałam na sobie czarne spodnie, czarny aksamitny żakiet z białymi atlasowymi klapami i białą, za dużą kamizelkę na koszuli. Browning 9

mm w sumie pasował do stroju, ale trzymałam go w ukryciu. To było pierwsze przyjęcie Catherine od czasu jej ślubu, więc afiszowanie broni mogło zepsuć przyjazną atmosferę.

Musiałam zdjąć srebrny krzyżyk, który zawsze nosiłam i włożyć go do kieszeni, ponieważ zacząć świecić, gdy pewien wampir wszedł do pokoju. Gdybym wiedziała, że na kolację zostali zaproszeni krwiopijcy, zaopatryłabym się w wysoki kołnierzyk by go ukryć, bo krzyżyk świecił tylko wtedy, gdy wyglądał spod ubrania, mówiąc w wielkim skrócie.

Robert, wspomniany wampir, był wysoki, wysportowany i przystojny w ten perfekcyjny sposób zawodowego modela. Czyli aż za przystojny. Był striptizerem w *Guilty Pleasures*. Teraz zarządzał klubem.

Od pracownika do kierownika: marzenie znacznej ilości amerykańan.

Miał kręcone blond włosy, ścięte całkowicie na krótko. Ubrał się w brązową jedwabną koszulę, która leżała na nim doskonale i pasowała do sukienki, jaką miała na sobie jego partnerka.

Opalenizna prosto z solarium trochę wyblakła na ciele Moniki Vespucci, ale jej makijaż był wciąż doskonały, a krótkie kasztanowe włosy modnie stylizowane. Była w ciąży wystarczająco długo, bym zauważyła i wystarczająco radośnie się zachowywała, by mnie tym wkurzać.

Uśmiechnęła się, błyszcząc idealnymi zębami:

- Anita! Zdecydowanie za długo się nie widziałyśmy.

Tym, co chciałam jej powiedzieć było: nie dostatecznie długo.

Ostatnim razem, kiedy ją spotkałam, zdradziła mnie miejscowej mistrzyni wampirów. Ale Catherine myślała, że jest moją przyjaciółką i trudno było wytłumaczyć jej ten błąd bez opowiadania całej historii.

Cała historia obejmowała nieusankcjonowane zabójstwo, część odwołaną przeze mnie. Catherine była prawnikiem i bardzo przestrzegała ładu i porządku publicznego. Nie chciałam stawiać jej w sytuacji, gdzie musiała sprzeniewierzyć swoją moralność, by ratować mój tyłek. Więc Monica została moją przyjaciółką, Co znaczyło, że musiałam być uprzejma przez całusieńki obiad, od przystawek do deseru. Byłam miła głównie dlatego, że Monica siedziała przy drugim krańcu stołu. Teraz, niestety, przeszliśmy do salonu i nie mogłam jej uniknąć.

- Nie wydaje mi się, że tak długo - powiedziałam.

- Minął prawie rok.- Uśmiechnęła się do Roberta. Trzymali się za ręce. - Wzięliśmy ślub. Dotknęła swoją szklanką szczytu brzucha. - Mała wpadka. - Zachichotała.

Wpatrywałam się w nich oboje.

- Nie możesz zajść w ciążę ze stuletnim trupem. - W porządku, byłam grzeczna wystarczająco długo.

Monica uśmiechnęła się do mnie.

- Możesz, jeśli temperatura ciała jest wystarczająco podwyższona i będziesz uprawiał seks bardzo często. Mój położnik myśli, że wspólna gorąca kąpiel nas tak załatwiła.

To więcej, niż chciałam wiedzieć.

- Miałaś już amnioskopię(*Amnioskopia jest badaniem położniczym, nie zagłębiajmy się w szczegóły)?

Uśmiech zniknął z jej twarzy, pozostawiając udręczony wzrok.

Było mi przykro, że zapytałam.

- Odczekamy jeszcze jeden tydzień.

- Bardzo mi przykro, Monico, Robercie. Mam nadzieję, że test wypadnie pomyślnie. Nie wspomniałam o syndromie Vlady, ale niewypowiedziane słowa zawisły w

powietrzu. To był rzadki, ale nie tak rzadki, jak powinien być. Przez trzy lata zalegalizowanego wampiryzmu syndrom Vlady stał się najbardziej rozprzestrzeniającą się wadą wrodzoną w kraju. Mógł spowodować naprawdę okropne inwalidztwo, nie wspominając o śmierci dziecka. Z aż taką statystyką myślałbyś, że ludzie będą ostrożniejsi.

Robert przytulił ją do siebie, aż cała niezdrowa jasność zniknęła z jej twarzy. Była blada. Czułam się jak piąte koło u wozu.

- Wiadomość z ostatniej chwili była taka, że ponad stuletni wampir jest bezpłodny - powiedziałam. - Zgaduję, że powinni uaktualnić swoje informacje. - Chciałam by zabrzmiało to pocieszająco, że

jednak nie byli nieostrożni.

Monica patrzyła na mnie i w tym spojrzeniu nie było żadnej łagodności, kiedy powiedziała:

- Martwisz się?

Wpatrywałam się w całą tę jej bladość i ciężę, i miałam ochotę i tak jej przywalić. Nie sypiałam z Jean-Claude'm. Ale nie przyszedł tu, aby stać i tłumaczyć się Monice Vespucci -albo komukolwiek jeszcze, żeby być szczerym.

Richard Zeeman wszedł do pokoju. Tak naprawdę nie zobaczyłam, tylko poczułam to. Obróciłam się i patrzyłam, jak szedł do nas. Miał

powyżej sześciu stóp wzrostu, był niemal o stopę wyższy ode mnie.

Jeszcze cał i nie moglibyśmy całować się bez krzesła. Ale to byłoby warte wysiłku. Przemykał między innymi gośćmi, wypowiadając słowa tu i tam. Jego uśmiech błyszczał doskonałą bielą w wiecznie opalonej skórze twarzy, gdy rozmawiał z nowymi przyjaciółmi. Udało mu się oczarować ich przy obiedzie. Nie seksapilem czy mocą, ale czystą do-brą wolą. Był największym zuchem na świecie, z oryginalnym dyplodem szkoły wyższej, którego warto spotkać. Lubił ludzi i był wspaniałym słuchaczem, dwie zalety, ostatnio bardzo niedoceniane.

Jego garnitur był ciemnobrązowej barwy, koszula w głębokim odcieniu starego złota. Krawat miał jasno pomarańczowy, z rzędem figur, ciągnącym się wzdłuż środka. Musiałeś stanąć z jego prawej strony, żeby zdać sobie sprawę, że figurki to postacie z rysunkowych filmów Warner Brothers.

Związał z tyłu swoje włosy do ramion, w wersji francuskiego warkocza, więc miało się złudzenie, że są krótkie. W ten sposób zostawił

swoją twarz nieskalaną i bardzo widoczną. Kości policzkowe Richarda rysowały się doskonale, wyrzeźbione wysoko i pełne wdzięku. Twarz była męska, przystojna, z dołeczkami, które ją zmiękczały. To był ten rodzaj twarzy, która sprawiłaby, że stałabym się nieśmiała w liceum.

Zauważył, że na niego patrzę i uśmiechnął się. Jego brązowe oczy iskrzyły się od śmiechu, napełniając się żarem, który nie miał nic wspólnego z temperaturą panującą w pokoju. Przyglądałam się, jak przeszedł parę ostatnich stóp i poczułam, jak rumieniec wędruje w górę mojej szyi, do twarzy. Chciałam go rozebrać, dotknąć jego nagiej skóry, zobaczyć, co było pod tym garniturem. Pragnęłam tego bardzo podle.

Nie mogłam nic zrobić, ponieważ nie sypiałam też z Richardem. Nie sypiam z wampirami ani lycantropami. Richard był wilkołakiem. To jego jedyna wada. Dobra, może miał jeszcze jedną: nigdy nikogo nie zabił. Ten ostatni minus mógł się kiedyś przyczynić do jego śmierci.

Otoczyłam moją lewą ręką jego pas, pod rozpiętą marynarką. Solidne ciepło zapulsowało niczym tętno na mojej skórze. Gdybyśmy w najbliższej przyszłości nie uprawiali seksu, byłam na prostej drodze, by eksplodować. Jak cenna jest moralność?

Monica wpatrywała się we mnie bardzo uważnie, studiując moją twarz. - Masz śliczny naszyjnik. Kto ci go podarował?

Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową. Nosiłam aksamitną obrózkę z kameą, przesuniętą przez srebrny filigran. No co, pasowała do ubrania. Monica była całkowicie pewna, że Richard mi tego nie dał, co oznaczało dla niej, że to Jean-Claude mi ją sprezentował. Dobra, stara Monica. Nigdy się nie zmieniła.

- Kupiłam go, bo pasował do stroju - odpowiedziałam. Rozszerzyła oczy ze zdumienia. - Serio? - Jakby mi nie uwierzyła.

- Naprawdę. Nie lubię przyjmować prezentów, szczególnie biżuterii.

Richard mnie przytulił. - To prawda. To nie typ kobiety, która lubi być rozpieszczana.

Catherine dołączyła do nas. Miedziane włosy spływały wokół jej twarzy w falującej masie. Była jedyną osobą, którą znałam, z bardziej kręconymi włosami niż moje, ale jej kolor jest bardziej spektakularny.

Gdyby zapytać, większość ludzi przedstawiła by ją, opierając się na założeniu, że jej charakter jest zgodny z kolorem włosów. Delikatny makijaż zakrywał piegi i przyciągał uwagę do jej jasnych, szarozieleńskich oczu. Sukienkę miała w kolorze świeżych liści, w nasyconym odcieniu zieleni. Nigdy nie widziałam, żeby wyglądała lepiej.

- Małżeństwo ci służy - powiedziałam, uśmiechając się.

Odwzajemniła uśmiech. - Powinnaś kiedyś spróbować tego na własnej skórze. Potrząsnęłam głową. - Dzięki.

- Muszę na chwilę skraść wam Anitę. - Przynajmniej nie powiedzia-

ła, że potrzebuje pomocy w kuchni. Richard wiedziałaby, że to było kłamstwem. Jest znacznie lepszym kucharzem niż ja.

Catherine wyprowadziła mnie do gościnnej sypialni, gdzie rzucono na stertę nasze płaszcze. Było tam jedno prawdziwe futro. Mogłam się założyć, że wiem, do kogo należało. Monica lubiła przebywać wśród martwych rzeczy.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Catherine złapała mnie za rękę i zachichotała, przysięgam. - Richard jest wspaniały. Moi nauczyciele przedmiotów ścisłych w liceum nigdy tak nie wyglądali.

Uśmiechnęłam się jednym z tych szerokich, głupkowatych uśmiechów. Niemądrym w rodzaju tych, kiedy nie panujesz nad swoim podnieceniem, jeśli nie miłością, może obydwoma. I dobrze się z nim czujesz, nawet jeśli wygląda nie tak.

Usiadłyśmy na łóżku, spychając płaszcze na drugą stronę. - Jest przystojny - wymruczałam głosem jak najbardziej możliwie obojętnym.

- Anito, nie wciskaj mi kitu. Nigdy nie widziałam, żebyś przy kimkolwiek tak promieniała.

- Nie promienieję.

Uśmiechnęła się do mnie i skinęła głową. - Mówię prawdę.

- Nie promienieję - powtórzyłam, ale trudno było być ponurą, kiedy chciałam się uśmiechnąć. - Dobra, bardzo go lubię. Szczęśliwa?

- Spotykasz się z nim od niemal siedmiu miesięcy. Gdzie twój pierścienek zaręczynowy?

Zmarszczyłam brwi. - Catherine, jeśli ty jesteś nieprzytomnie radosna, będąc w związku małżeńskim, nie znaczy to, że każdy musi taki być. Wzruszyła ramionami i zaśmiała się.

Wpatrywałam się w jej jaśniejącą twarz i potrząsnęłam głową. Coś więcej niż Bob było przyczyną jej szczęścia. Miał około trzydzieści funtów nadwagi, był łysiejący, z niewielkimi okrągłymi okularami na raczej nijakiej twarzy. Nie posiadał też błyskotliwej osobowości. Byłam gotowa zasygnalizować jej czerwone światło, dopóki nie zobaczyłam sposobu, w jaki patrzył na Catherine. Przyglądał się jej, jakby była ca-

łym jego światem i to był miły, bezpieczny, cudowny świat. Wielu jest ludzi pięknych, mających błyskotliwe odpowiedzi na każde zadane pytanie, ale niezawodność to rzadka cecha.

- Nie przyprowadziłam tu Richarda, żeby uzyskać twoją aprobatę, i tak wiedziałam, że go polubisz.

- To dlaczego trzymałaś go tak długo w tajemnicy? Próbowałam spotkać go dziesiątki razy.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że powiedziała prawdę, widziała to światło w jej oczach. Ten maniackalny blask, który zdobywa-ją twoi zaobrączkowani przyjaciele, gdy ty jesteś singlem i możesz spotykać się ze wszystkimi. Albo gorzej, nie spotykasz się z nikim, a oni próbują cię wyswatać. Catherine miała właśnie takie spojrzenie.

- Tylko mi nie mów, że zaplanowałeś to całe przyjęcie, żeby spotkać Richarda? -zapytałam.

- Częściowo. Jak inaczej mogłam go poznać? Ktoś załomotał do drzwi.

- Wejdz - powiedziała Catherine.

Drzwi otworzył Bob. Wciąż wyglądał dla mnie zwyczajnie, ale ze światła na twarzy Catherine, wiedziałam, że widziała coś jeszcze.

Uśmiechnął się do niej. Uśmiech sprawił, że jego twarz pojaśniała tak, że mogłam zobaczyć coś wspianiałego i dobrego. Miłość wszystkich nas czyni pięknymi.

- Przepraszam, że przerywam te babskie pogaduchy, ale mamy telefon do Anity.

- Ten ktoś się przedstawił?

- Ted Forrester; mówi, że dzwoni w sprawie służbowej.

Wytrzeszczyłam oczy. Ted Forrester to pseudonimem człowieka, którego znam jako Edwarda. Był płatnym zabójcą, który specjalizował

się w wampirach, lykantropach i czymkolwiek jeszcze, co nie było całkiem ludzkie. Jestem licencjonowaną egzekutorką wampirów. Od czasu do czasu, nasze drogi się krzyżowały. Może nawet w pewnym stopniu byliśmy przyjaciółmi.

- Kim jest ten Ted Forrester? - spytała Catherine.

- Łowcą nagród - odparłam. Ted, alias Edward, był łowcą nagród z papierami, które mogły to udowodnić, wszystko cudne i legalne. Wsta-

łam i podeszłam do drzwi.

- Coś jest nie tak? - chciała się dowiedzieć Catherine. Nic nie mogło jej ominąć, co było jednym z powodów, dla których jej unikałam, gdy byłam po uszy w gównie i nadal się pogrążałam. Jest wystarczająco bystra by znaleźć się w samym środku ważnych spraw, ale nie nosiła broni. Jeśli nie potrafisz obronić siebie, jesteś mięsem armatnim. Jedyna rzecz, która powstrzymywała Richarda przed zostaniem mięsem armatnim, to wilkołactwo. Ale i tak odmawianie zabijania ludzi robiło go prawie bezbronnym, czy był zmiennokształtnym, czy nie.

- A już miałam nadzieję, że dzisiaj wieczorem nie będę pracować -

westchnęłam.

- Myślałam, że cały weekend masz wolny. - Zmarszczyła brwi .

- Ja tak samo.

Odebrałam telefon w domowym biurze, które sobie przygotowali.

Podzielili pokój na połowę. Pierwsza została udekorowana w pluszowe misie i miniaturowe bujane fotele z kraciastej bawełny, druga połowa była męska z ciemnymi drukami i statkiem w butelce na biurku. Idealny kompromis.

Podniosłam słuchawkę i rzuciłam: - Halo?

- Tu Edward.

- Skąd masz ten numer?

Przez okamgnienie zaległa cisza. - Dziecinnie proste.

- Dlaczego mnie wytropiłeś, Edwardzie? Co się dzieje?

- Interesujący dobór słów - odparł.

- Co ty wygadujesz?

- Oferowano mi właśnie zlecenie na twoje życie, warte nawet mojego czasu.

Teraz to ja byłam cicho. - Przyjąłeś je?

- Dzwoniłbym do ciebie, gdybym to zrobił?

- Może - powiedziałam.

Zaśmiał się. - Prawda, ale nie przyjmę tego.

- Czemu nie?

- Przyjaźń.

- Próbuj raz jeszcze - odpowiedziałam.

- Wymyśliłem, że zabiję więcej ludzi, chroniąc ciebie. Jeśli przyjmę kontrakt, będę musiał zlikwidować jedynie ciebie.

- Pocieszające. Powiedziałaś „ochrona”?

- Jutro będę w mieście.

- Jesteś tak pewny, że ktoś inny wziął zlecenie?

- Nawet nie otworzę swoich drzwi dla niespełna pięciuset kawałków, Anito. Ktoś zada cios, i to będzie ktoś dobry. Nie aż tak, jak ja, ale dobry.

- Może jakieś informacje, zanim przybędziesz do miasta?

- Jeszcze nie udzieliłem im odpowiedzi. To ich spowolni. Jak tylko powiem nie, kontakt z innymi mojego pokroju zabierze im trochę czasu.

Dziś wieczorem powinnaś być bezpieczna. Baw się dobrze z innymi dziećmi.

- Skąd wiedziałaś, że jestem poza domem?

- Craig jest bardzo rozmownym sekretarzem. Pomocnym.

- Będę musiała z nim o tym porozmawiać - westchnęłam.

- Zrób to.

- Jesteś pewny, że dziś wieczorem w mieście nie będzie płatnych za-bójców?
- W życiu nic nie jest pewne, Anito, ale nie podobałoby mi się, gdyby klient wynajął mnie, a potem zatrudnił kogoś jeszcze.
- Tracisz wielu klientów, biorąc sprawy we własne ręce? - Zapytałam.
- Bez komentarza - odparł.
- Czyli to ostatnia noc bezpieczeństwa?
- Prawdopodobnie, ale i tak uważaj.
- Kto chce mnie sprzątnąć?
- Nie wiem - odpowiedział Edward.
- Co masz na myśli, mówiąc „nie wiem”? Musisz wiedzieć, żeby dostać zapłatę.
- Zazwyczaj wszystko odbywa się poprzez mediatorów. Ogranicza szanse, że następny chętny okaże się gliną.
- Jak odszukujesz krnąbrnych klientów, jeśli cię wkurzą?
- Mogę ich znaleźć, ale to zajmuje trochę czasu. Anito, jeśli będziesz miała naprawdę dobrego zabójcę na swoim tropie, czas będzie czymś, czego zaczniesz brakować.
- O, to pocieszające.
- Nie powinno takie być - powiedział. - Znasz kogoś, kto aż tak bardzo cię nienawidzi i ma tyle kasy?
- Zastanawiałam się nad tym przez minutę. - Nie. Większość ludzi, którzy idealnie by pasowali nie żyje.
- Dobry wróg, to martwy wróg - powiedział Edward.
- Tak.
- Słyszałem pogłoski, że spotykasz się z Mistrzem Miasta. Są prawdziwe? Zawahałam się. Zdałam sobie sprawę, że krępiję się przyznać Edwardowi. - Tak, są prawdziwe.
- Musiałem usłyszeć to z twoich ust. - Prawie słyszałam, jak potrząsa głową przez telefon. - Cholera, Anito. Sama wiesz najlepiej.

- Zdaję sobie z tego sprawę - rzuciłam do słuchawki.

- Zerwałaś z Richardem?

- Nie.

- Który potwór jest z tobą tej nocy, krwio pijca czy zjadacz świeżego mięsa?

- Nie twój pieprzony interes - wycedziłam.

- Świetnie. Wybierz potwora na tę noc, Anito, życzę dobrej zabawy.

Jutro zaczniemy próbę utrzymania cię przy życiu. - Odłożył słuchawkę.

Gdyby to był ktokolwiek inny, powiedziałabym, że jest zły z powodu mojego umawiania się z wampirem. Albo może rozczarowany byłoby lepszym określeniem.

Odłożyłam słuchawkę i siedziałam tam przez kilka minut, pozwalając temu wszystkiemu dotrzeć do mojej świadomości. Ktoś chciał mnie zabić. Nic nowego, ale ten ktoś zatroszczył się o specjalistyczną pomoc.

To była nowość. Nigdy wcześniej nie miałam zabójcy za plecami. Poczekalam na to, żeby strach spłynął na mnie, ale tak się nie stało. Oh, w niejasny sposób się obawiałam, ale nie w sposób, jaki powinnam była.

To nie tak, że nie wierzyłam, iż nic się nie wydarzy. Wierzyłam. To już było więcej, niż stało się w zeszłym roku, ale jeszcze się nie nakręci-

łam. Gdyby zabójca wyskoczył i zaczął strzelać, zajęłabym się nim. Byś może później bym się nawet zdenerwowała. Ale już nie jestem taka znerwicowana. Część mnie odrętwiała z zewnątrz, jak jakiś wojenny weteran. Zbyt dużo przyjmowałam do świadomości, więc przestałam to robić. Prawie chciałam się bać. Strach będzie cię utrzymywał przy życiu, obojętność - nie.

Gdzieś tam, od jutra, ktoś miał wpisane moje imię na swoją listę rzeczy do odhaczenia. Odebrać pranie, kupić żarcie, zabić Anitę Blake.

Rozdział 3

Weszłam do salonu, przyciągając wzrok Richarda. Byłam gotowa wracać do domu. Wiedza, że morderca może gdzieś tam się chować, zepsuła mój zapał na wieczór.

- Stało się coś? - spytał Richard.

- Nie - odpowiedziałam. Wiem, wiem powinnam mu powiedzieć, ale jak oznajmić swojemu skarbowi, że ktoś próbuje cię zabić? Na pewno nie zrobię tego w pokoju pełnym ludzi. Może w samochodzie.

- Myślę, że tak. Napięcie między twoimi brwiami znaczy, że próbujesz ich nie marszczyć.

- Wcale tak nie robię.

Wygładził to miejsce palcem. - A jednak. Spojrzałam na niego. -

Nie. Uśmiechnął się.

- Teraz marszczysz brwi. - Spoważniał. - Coś się stało.

Westchnęłam. Podeszłam bliżej, nie żeby było romantycznie, ale by nikt nas nie podsłuchał. Wampiry mają niewiarygodnie dobry słuch, a nie chciałam, żeby Robert wszystko słyszał. Powiedziałyby zaraz JeanClaude'owi. Jeżeli będę chciała, żeby Jean-Claude się dowiedział, sama mu powiem.

- Dzwonił Edward.

- Czego chciał? - Teraz i Richard zmarszczył brwi.

- Ktoś usiłował go wynająć, żeby mnie zabił.

Wyglądał na totalnie zdziwionego, całe szczęście, że stał tyłem do pokoju. Zamknął usta, otworzył je i w końcu się odezwał - Powiedziałbym, że kantujesz, ale wiem, że nie. Dlaczego ktoś chce cię zabić?

- Jest mnóstwo ludzi, którzy ucieszyliby się, widząc mnie martwą, Richardzie. Ale żaden z nich nie ma dość pieniędzy ani znajomości, by to zrobić.

- Jak możesz mówić o tym tak spokojnie?

- Czy atak hysterii w czymś by pomógł? Pokręcił głową.

- Nie o to chodzi. - Wyglądał jakby coś rozważał. - Po prostu nie jesteś rozgniewana, że ktoś na ciebie poluje. Akceptujesz to, jakby było normalne. A to nie jest normalne

- Mordercy nie są normalni nawet dla mnie, Richardzie - powiedziałam.

- Tylko wampiry, zombi i wilkołaki - stwierdził. Uśmiechnęłam się.

- Tak.

Uściskał mnie mocno i szepnął:

- Kochanie ciebie może być czasami bardzo przerażające.

Objęłam go w pasie, opierając głowę na piersi. Zamknęłam oczy i przez chwilę wdychałam zapach jego ciała. To było coś więcej niż wo-da po goleniu - zapach jego skóry, jego ciepła. Po prostu jego.

Na chwilę zatopiłam się w nim, pozwalając sobie na wytchnienie. Pozwoliłam, aby jego ramiona były moim schronieniem. Wiedziałam, że dobry strzał

zniszczyłby to wszystko, ale przez te kilka sekund czułam się bezpieczna. Czasami iluzja pozwala nam trzymać się przy zdrowych zmysłach.

Z westchnieniem się od niego oderwałam.

- Przepróśmy Catherine i idźmy stąd.

Patrząc mi w oczy, delikatnie dotknął mojego policzka. - Jak chcesz, to możemy zostać.

Przytuliłam policzek do jego dłoni i potrząsnęłam głową - Jeśli jutro ma mnie trafić szlag, to raczej nie chcę spędzić dzisiejszego wieczoru na przyjęciu. Wolę wrócić do apartamentu i się poprzytulać.

Uśmiechnął się w taki sposób, że rozgrzał mnie aż do palców stóp. -

Brzmi zachęcająco.

Odwzajemniłam uśmiech, bo nie mogłam się powstrzymać. - Idę powiedzieć Catherine.

- Przyniosę płaszcze - powiedział.

Wypełniliśmy swoje zadania i wyszliśmy wcześniej. Catherine po-słała mi porozumiewawczy uśmiech. Chciałam, żeby miała rację. Wy-chodzenie wcześniej, by rzucić się na Richarda... to było cholernie prawdziwe. Monica patrzyła jak wychodzimy. Wiedziałam, że ona i Robert zgłoszą to Jean-Claude'owi. Świetnie. Przecież wiedział, że mam randkę z Richardem. Nikogo nie okłamywałam. Monica pracowa-

ła jako prawnik w firmie Catheriny, więc była zaproszona. Jean-Claude tego nie zaplanował, ale nie lubiłam być szpiegowana, niezależnie z jakiego powodu.

Droga do samochodu była nerwowa. W każdym cieniu mógł się ktoś ukrywać. Każdy szmer - odgłosem kroków. Nie sięgnęłam po pistolet, ale ręką mnie świerzbiła.

- Cholera - przeklełam cicho. Odrętwienie mijało. Nie byłam pewna czy to lepiej.

- Co jest? - spytał Richard. Nagle skanował ciemność, nie patrząc na mnie, gdy mówił. Nozdrza mu się trochę rozszerzyły i dotarło do mnie, że węszył.

- To tylko nerwy. Nikogo nie widzę, ale nagle wszystko wygląda cholernie niebezpiecznie.

- Nikogo nie ma w pobliżu, ale ktoś może stać z wiatrem. Jedyнным pistoletem, który czuję, jest twój.

- Możesz wyczuć mój pistolet?

Pokiwał głową. - Niedawno go czyściłaś, zapach oleju jest wyraźny.

Uśmiechnęłam się i potrząsnęłam głową. - Jesteś tak przekłęcie normalny, że czasami zapominam, że raz w miesiącu porastasz futrem.

- Wiedząc, jak dobrze wyczuwasz lykantropy, to komplement. -

Uśmiechnął się. - Jak myślisz, jeśli wezmę cię teraz za rękę, mordercy spadną z drzew?

Wyszczrzyłam zęby.

- Myślę, że jak na razie jesteśmy bezpieczni.

Objął palcami moją dłoń i dreszcz przeszedł mi aż do ramienia, jak gdyby dotknął nerwu. Kciukiem kreślił małe okręgi na mojej skórze i wziął głęboki oddech.

- Dobrze wiedzieć, że sprawa z mordercą, też wytrąciła cię z równowagi. Nie chcę, żebyś się bała, ale czasami trudno jest być twoim facetem, gdy wyglądasz na odważniejszą niż ja. To brzmi jak pieprze-nie macho, prawda?

Popatrzyłam na niego. - Jest w tym sporo szowinistycznego kitu, Richard. Ale przynajmniej wiesz, że to kit.

- Czy ten męski szowinistyczny wilk może cię pocałować?

- Zawsze.

Pochylił się, a ja stanęłam na palcach, aby spotkać jego usta, wolną ręką oparłam się o jego pierś. Moglibyśmy pocałować się bez mojego stawania na palcach, ale Richardowi w ten sposób było wygodniej.

Pocałunek był krótszy niż normalnie, ponieważ czułam swędzenie na plecach, między łopatkami. Zdawałam sobie sprawę, że to tylko moja wyobraźnia, ale nie chciałam być zbyt odsłonięta.

Richard to wyczuł i odsunął się. Przeszedł do drzwi kierowcy, otworzył i wychylił się, by odblokować moje. Nie otwierał ich dla mnie.

Dobrze zrobił. Mogłam sama sobie otworzyć te przekłete drzwi.

Samochód Richarda to stary Mustang Mach One, rocznik sześćdziesiąty któryś. Wiedziałam to wszystko, bo mi o tym powiedział. Miał

pomarańczowy kolor, z czarnymi wyścigowymi paskami. Tylne siedzenia były z czarnej skóry, ale przednie na tyle małe, że gdy nie zmieniał

biegów, mogliśmy trzymać się za ręce.

Richard wyjechał na Południową 270. W piątkową noc ruch na drodze rozlał się w jasnych światłach dookoła nas. Każdy usiłował miło spędzić weekend. Zastanawiałam się, ilu z nich miało mordercę na

karku.. Założyłam, że byłam jedną z nielicznych.

- Jesteś taka cicha - powiedział.

- Tak.

- Nie będę pytał, o czym myślisz. Domyślam się.

Popatrzyłam na niego. W samochodzie otulała nas ciemność. Samochód w nocy jest jak twój prywatny świat, cichy, ciemny i intymny.

Światła mijającego nas samochodu przeleciały przez jego twarz, oświetlając go, i znów zostawiając nas w ciemności.

- Skąd wiesz, że nie myślę o tym, jak byś wyglądał bez ubrania?

Uśmiechnął się szeroko.

- Żartujesz. Westchnęłam.

- Przepraszam. Nie powinnam robić żadnych insynuacji seksualnych, gdy nie jestem gotowa na seks.

- To twoja zasada, nie moja - powiedział Richard. - Jestem dużym chłopcem. Zniosę wszystkie twoje aluzje.

- Jeżeli nie zamierzam z tobą spać, to nie fair.

- To już mój kłopot.

- Dlaczego zachęcasz mnie, panie Zeeman, do robienia ci seksualnych propozycji? Poszerzył uśmiech, biel w ciemności. - Och, proszę.

Pochyliłam się w jego stronę na tyle, na ile pozwoliły mi pasy, poło-

żyłam rękę na oparciu siedzenia i zbliżyłam twarz do gładkiej szyi.

Wzięłam głęboki wdech i wypuściłam powoli powietrze tak blisko jego skóry, że własny oddech wrócił do mnie jak ciepła chmura. Pocałowa-

łam łuk jego szyi, przesuwając lekko wargami w górę i w dół.

Richard wydał mały, zadowolony dźwięk.

Podciągnęłam kolana na siedzenie, naciągnęłam pasy i mogłam ca-

łować puls na jego szyi, krawędź szczęki. Obrócił twarz w moją stronę.

Pocałowaliśmy się, ale moje nerwy były nadwreżone. Obróciłam mu głowę.

- Patrz na jezdnię.

Zmienił bieg, ocierając ramieniem moje piersi. Westchnęłam, położyłam rękę na jego, trzymając ją na dźwigni zmiany biegów.

Zastygliśmy tak na moment, potem poruszył się w moją stronę. Zsunęłam się niżej, wracając na swoje miejsce. Puls w gardle hamował mi oddech. Zadrżałam, obejmując się. Dotyk jego ciała spowodował, że cała się spięłam.

- Coś nie tak? - spytał niskim, cichym tonem. Potrząsnęłam głową. -

Nie możemy tego robić.

- Jeśli przerwałaś z mojego powodu, niepotrzebnie, dobrze się bawiłam.

- Ja też. W tym problem - odparłam.

Richard wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze, wzdychając. -

Sama stwarzasz ten problem, Anito.

- Tak, to prawda.

- Wyjdź za mnie i wszystko to może być twoje.

- Nie chcę wyjść za ciebie tylko po to, by móc z tobą spać.

- Jeśliby chodziło tylko o seks, nie prosiłbym, abyś za mnie wyszła -

powiedział Richard. - Ale oprócz tego jest przytulanie się na tapczanie, podczas oglądania *Singing in the Rain*. Jedzenie chińszczyzny, z wiedzą o dodatkowym zamówieniu kraba Rangoon. Muszę go zamawiać z naj-lepszej restauracji w mieście.

- Chcesz powiedzieć, że jestem przewidywalna.

- Nie rób tego. Nie umniejszaj tego - powiedział.

Westchnęłam. - Przepraszam, Richard. Nie chciałam. Ja tylko...

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ponieważ miał rację. Moje dni były bardziej pełne, kiedy dzieliłam je z Richardem. Kupiłam mu kubek, kiedy tylko zobaczyłam go w sklepie. Narysowano na nim wilki i słowa: to w Bożym szale leży nadzieja świata - wspaniała rzeźskość, zniweczone, odkupione pustkowia. Był to cytat Johna Muira. Bez specjalnej okazji, zobaczyłam go, wiedziałam, że spodoba się Richardowi, i kupiłam. Z tuzin razy na dzień, słyszałam coś w radiu albo podczas rozmów, i od

razu myślałam, że muszę to zapamiętać, a potem powtórzyć jemu. To właśnie Richard zabrał mnie na moją pierwszą ornitolo-giczną wycieczkę od czasów college'u.

Miałam dyplom z nadnaturalnej biologii. Kiedyś myślałam, że spędzę moje życie jako biolog pracujący w terenie, w nadnaturalnej wersji Jane Goodall. Lubiłam obserwować ptaki, po części dlatego, że on był

ze mną, po części z powodu cieszenia się tym lata temu. Prawie zapomniałam, że istnieje życie nie obejmujące broni ani grobów. Byłam po szyję we krwi i umarłych tak długo, a potem zjawiał się Richard. Który był tak samo jak ja zanurzony aż po szyję w dziwnych rzeczach, ale nadal zachował w miarę normalne życie.

Nie myślałam o niczym lepszym od budzenia się przy nim; szukania jego ciała, jako pierwszej rzeczy rankami; wiedzy, że zawsze będę wracała do domu, do niego. O słuchaniu jego kolekcji Rodgersa i Hammer-steina, obserwowaniu jego twarzy podczas musicali Gene Kelly.

Prawie otworzyłam usta i powiedziałam: zróbmy to, pobierzmy się, ale coś mnie powstrzymało. Kochałam Richarda; mogłam przyznać przed sobą, ale to nie wystarczało. Gdzieś tam czekał na mnie zabójca.

Jak mogłam wpuścić dobrodusznego nauczyciela dzieciaków z podstawówki do takiego rodzaju życia? Sam był jednym z potworów, ale tego nie akceptował. Walczył o przywództwo nad lokalnym stadem wilkołaków. Dwa razy zmierzył się z obecnym liderem, Marcusem, i dwa razy odmówił zabicia go, mimo wygranej. Jeśli nie zabijesz, nie możesz zostać przywódcą. Richard uchwycił się swojej moralności, uchwycił się wartości, które działały tylko wtedy, kiedy nikt nie próbował cię zabić.

Jeśli go poślubię, jego szansa na jakiegokolwiek normalne życie zniknie.

Żyłam w strefie otwartego ognia. On zasłużył na lepszy byt.

Jean-Claude żył w tym samym świecie, co ja. Nie miał żadnych złudzeń o dobroci nieznanomych i kogokolwiek jeszcze, zagłębiając się w szczegóły. Wampira nie zszokowałaby wiadomość o zabójcy. Po prostu pomógłby mi ułożyć plan, co z tym fantem zrobić. To by nim nie wstrząsnęło, albo nie za bardzo. Były noce, kiedy myślałam, że JeanClaude i ja zasługujemy na siebie.

Richard skręcił w Olive. Wkrótce znajdziemy się przy moim aparta-mentowcu, a cisza wydawała się trochę za gęsta. Milczenie zazwyczaj mnie nie martwi, ale z tym było inaczej.

- Przepraszam, Richard, naprawdę bardzo mi przykro.

- Gdym nie wiedział, że mnie kochasz, byłoby mi łatwiej - powiedział. - Gdyby nie chodziło o tego przeklętego wampira, wyszłabyś za mnie.

- Ten przeklęty wampir nas poznał - odparłam.

- I żałuje tego, nie myśl, że nie - odezwał się Richard. Spojrzałam na niego.

- Skąd możesz o tym wiedzieć? Potrząsnął głową.

- Wszystko, co trzeba zrobić, to spojrzeć na jego twarz, kiedy jeste-

śmy razem. Może nie lubię Jean-Claude'a i nienawidzę myśli o tobie przy nim, ale nie tylko my dwoje tu cierpimy. To raczej trójkąt erotyczny, nie uważasz?

Wierciłam się na swoim miejscu, nagle nieszczęśliwa. Prawie chętnie przywitałabym płatnego zabójcę wyłaniającego się z ciemności.

Rozumiałam zabijanie. Stosunki międzyludzkie mąciły mi w głowie.

Wprawdzie akurat te relacje były bardziej zagmatwane od innych.

Richard wjechał na wolne miejsce przed moim budynkiem mieszkalnym. Zaparkował i wyłączył silnik. Siedzieliśmy w ciemności, jedyne światło dawał blask oddalonej latarni ulicznej.

- Nie wiem, co powiedzieć, Richard.

Gapiłam się przez przednie szyby, skoncentrowana na budynkach, zbyt tchórzliwa, aby patrzeć na niego, kiedy mówiłam.

- Nie obwinę cię za powiedzenie po prostu: do diabła z tym. Nie chciałabym budować wszystkiego z tym rodzajem niezdecydowania z twojej strony, nie podzieliłabym się tobą z inną kobietą.

Wreszcie na niego spojrzałam. Patrzył się prosto przed siebie, nie zerkał na mnie. Moje serce przyspieszyło. Jeśli byłam odważna na tyle, na ile myślałam, pozwoliłabym mu odejść.

Ale kochałam go i nie byłam tak odważna. Najlepsze, co mogłam zrobić, to z nim nie sypiać. Nie brać relacji partnerskich za następny krok naprzód. To wystarczająco trudne. Nawet moja wstrzemięźliwość nie była bezgraniczna. Jeśli planowalibyśmy małżeństwo, mogłabym zaczekać. Moje opanowanie jakoś by wytrzymało, mimo ciągłych pokus.

Łatwiej utrzymać cnotę, nie wystawiając jej zbyt często na próbę.

Odpięłam pasy, odblokowałam i otworzyłam drzwi. Richard złapał

mnie za ramię, zanim wysiadłam.

- Nie zaprosisz mnie na górę?

Wypuściłam oddech, kiedy uświadomiłam sobie, że go wstrzymywa-

łam, i obróciłam się do niego.

- A chciałbyś zostać zaproszony? Skinął głową.

- Sama nie wiem, dlaczego mnie znosisz - westchnęłam. Uśmiechnął

się. Pochylił się do mnie, lekko musnął usta.

- Czasami nie jestem pewien siebie.

Wyszliśmy. Richard wyciągnął do mnie dłoń - złapałam ją.

Za nami, obok mojego jeepa, zaparkował samochód. Mojej sąsiadki, pani Pringle. Do bagażnika miała przywiązane ogromne pudło z telewizorem.

Przeszliśmy na chodnik i czekaliśmy, aż wyjdzie. Była wysoką, okropnie chudą kobietą. Śnieżnobiałe włosy zawsze miała ściągnięte w kok. Kremik, jej pomeranian (uwaga! Oto Kremik!

http://dogs4home.com/breeds/250px-Pomeranian_600.jpg), wyskoczył

z samochodu, wściekle ujadając. Wyglądał jak złocisty puszek do pudru z małymi kocimi łapkami. Skakał do przodu na tych sztywnych nóż-kach. Powąchał stopę Richarda i lekko warcząc, popatrzył na niego.

Pani Pringle szarpnęła smycz.

- Kremik, zachowuj się.

Pies uspokoił się, ale przypuszczam, że bardziej przyczyniło się do tego piorunujące spojrzenia Richarda, niż pouczenia pani Pringle.

Uśmiechnęła się do nas. I miała to samo światło w oczach, co Catherine. Richard bardzo przypadł jej do gustu i nie starała się tego ukrywać.

- Świetnie się składa. Potrzebuję, aby jakieś młode, silne ręce wniosły ten monstrualny telewizor po schodach na górę.

Richard obdarzył ją olśniewającym uśmiechem.

- Będę bardzo szczęśliwy, mogąc pani pomóc. - Obszedł bagażnik i próbował rozwiązać sznury.

- Co zrobiła pani z Kremikiem w czasie zakupów? - spytałam.

- Miałam go ze sobą. Kiedyś wydałam w tym sklepie dużo pieniędzy. Sprzedawcy wyraźnie się ślinią, kiedy stają w drzwiach, więc cierpliwie mnie znoszą.

Musiałam się uśmiechnąć. Usłyszałam ostry dźwięk rozprutego sznura.

- Pomogę Richardowi.

Podeszłam do bagażnika. Gruby na cal sznur, porozrywany, opadł na chodnik. Uniosłam brwi i

szeptnęłam:

- Ho, ho, babciu, jakie masz silne ręce.

- Mógłbym wnieść ten telewizor sam, ale to wzbudziłoby podejrzenia. To był trzydziestocalowy ekran.

- Naprawdę dałbyś radę dźwigać go sam po schodach?

- Z łatwością - odpowiedział. Potrząsnęłam głową.

- Ale nie pójdziesz, bo jesteś nauczycielem przedmiotów ścisłych, a nie wilkołakiem alfa.

- I dlatego będziesz mi pomagać - odparł

- Czy macie problem z odwiązaniem sznura? - spytała pani Pringle.

Podeszła do nas, ciągnąc Kremika na smyczy.

- Nie - powiedziałam, spoglądając na Richarda. - Daliśmy sobie radę.

Gdyby ludzie odkryli, że Richard jest zmiennokształtnym, straciłby pracę. Dyskryminacja była nielegalna, ale zdarzała się cały czas. Richard uczył dzieci. Napiętnowano by go mianem potwora i większość ludzi nie pozwoliłoby przebywać swoim dzieciom blisko niego.

Pani Pringle i Kremik ruszyli przodem. Ja szłam z tyłu, przytrzymując pudło, ale to Richard niósł jego pełny ciężar. Szedł po schodkach, jakby telewizor nic nie ważył, powoli przesuwał nogi, czekając na mnie. Wykrzywił twarz, nucąc pod nosem, udając znudzonego. Zmiennokształtni są silniejsi niż przeciętni ludzie. Wiedziałam o tym, ale zawsze wstrząsało mną, gdy mi o tym przypominano.

Po wejściu na korytarz musiałam wziąć na siebie nieco więcej ciężaru, ale jakoś dawałam radę i poszliśmy do apartamentu pani Pringle, który znajdował się naprzeciwko mojego, po drugiej stronie holu.

- Drzwi otwarte - zawołała.

Byliśmy przy drzwiach, manewrując, gdy Kremik rzucił się pomiędzy nas, pod pudłem, ciągnąc smycz. Pani Pringle utknęła za telewizorem.

- Kremik, wracaj tutaj.

Richard podniósł przedramiona, biorąc cały ciężar.

- Złap go. Wniosę to do środka

Pozwoliłam mu symulować zmaganie i poszłam po psa. Spodziewa-

łam się, że będę musiała gonić za nim na dół, ale znalazłam go, skomla-cego i obwąchującego moje drzwi. Uklęłam i chwyciłam koniec smyczy, ciągnąc ją do siebie.

Pani Pringle stała w drzwiach, uśmiechając się.

- Widzę, że złapałaś tego małego łobuza.

Podaliśmy jej smycz. - Muszę coś przynieść z mojego mieszkania. Jestem pewna, że Richard pomoże pani ustawić konfigurację.

- Wielkie dzięki! - krzyknął ze środka mieszkania.

Pani Pringle roześmiała się serdecznie. - Dam wam mrożonej herbaty, chyba że macie lepsze rzeczy do zrobienia. - Spojrzała na mnie chy-trze tymi niebieskimi oczami, że aż się zarumieniłam. Puściła mi oczko, nie żartuję! Kiedy mieszkanie z nią i Richardem było na powrót bezpiecznie zamknięte, ruszyłam do mojego apartamentu. Trzy numery dalej przeszłam na drugą stronę.

Wyjęłam i odbezpieczyłam browninga, stając obok drzwi.

Być może stałam się paranoiczką, być może Kremik nikogo tu nie wyczuł. Ale nigdy wcześniej nie skomlał przy moich drzwiach. Być może rozmowa z Edwardem spowodowała, że byłam nerwowa. Ale lepiej nerwowa niż martwa. Absurdalne.

Klęknięłam koło drzwi, nabrałam powietrza i powoli je wypuściłam.

Lewą ręką wyjęłam klucze z kieszeni kurtki. Kucnęłam najniżej, jak się dało, nadal mając przyzwoitą pozycję do strzelania. Jeżeli w środku był

zły facet, to prawdopodobnie mierzył na wysokość klatki piersiowej.

Na kolanach byłam dużo niżej od poziomu czyjś torsu. Włożyłam klucz do zamka - nic się nie stało. Prawdopodobnie apartament był pusty, oprócz mojej rybki zastanawiającej się, co, do diabła, robię.

Przekręciłam gałkę, pchnęłam do wewnątrz i w drzwiach eksplodowała dziura, grzmiąc jak wystrzał z armaty. Przez sekundę nic nie słyszałam.

Drzwi zamknęły się z siłą wystrzału i przez powstałą w nich dziurę zobaczyłam człowieka, podnoszącego dubeltówkę. Błyskawicznie strzeliłam przez otwór. Drzwi odbiły się i otworzyły od wystrzału dubeltówki. Upadłam na bok, celując pistoletem do wewnątrz mieszkania.

Broń znów wypaliła, zasypując korytarz kawałkami drewna. Strzeli-

łam jeszcze dwa razy, trafiając mężczyznę w pierś. Ten zatoczył się, zlewając krwią płaszcz, i upadł do tyłu. Strzelba spadła na dywan obok jego stóp.

Na kolanach dotarłam do mojego mieszkania, plecami ocierając o ścianę mojej małej kuchni.

Wszystko, co mogłam słyszeć było rykiem w moich uszach, pewnie, jak mgliście sobie uświadomiłam, pędem mojej własnej krwi przez głowę.

Nagle Richard znalazł się w drzwiach, jak pewny cel.

- Na ziemię! On mógł nie być sam!

Nie byłam pewna, jak głośny był mój wrzask. W uszach ciągle mi dzwoniło.

Richard przykucnął obok mnie. Myślę, że wypowiedział moje imię, ale nie miałam na to czasu. Dźwignęłam się w górę, z plecami płasko przy ścianie, broń trzymając w pewnym uścisku, oburącz. Zaczął wstawać.

- Zostań w dole - nakazałam. Posłuchał. Punkt dla niego.

Mogłam teraz zobaczyć, że na progu mojego mieszkania nie było nikogo więcej. Jeżeli nikt nie ukrywał się w sypialni, płatny zabójca dzia-

łał w pojedynkę. Wolno do niego podeszłam, z lufą pistoletu wycelowaną w jego ciało. Gdyby zadrżał, strzeliłabym ponownie, ale nie ruszał się. Dubeltówka leżała u jego stóp. Jeszcze nigdy nie widziałam człowieka, korzystającego z broni stopami, więc zostawiłam ją tam, gdzie była.

Zabójca leżał na plecach, z jedną ręką nad głową, a drugą przy boku.

Jego twarz miała piętno śmierci, była sflaczała; niewidzące pozostały oczy szeroko otwarte. Nie musiałam sprawdzać pulsu, ale mimo wszystko zrobiłam to. Nic. Miał trzy dziury w klatce piersiowej. Trafi-

łam go pierwszym strzałem, ale nie był to ten śmiertelny. To prawie osądziło o moim życiu.

Richard stanął za mną.

- W mieszkaniu nie ma nikogo innego, Anito.

Nie kłóciłam się z nim. Nie spytałam, czy wiedział to po zapachu, czy może usłyszał. Cholernie mnie to nie interesowało.

Gruntownie sprawdziłam łazienkę i kuchnię, po powrocie znajdując Richarda patrzącego w dół, na trupa.

- Kim on był? - zapytał.

Dotarło do mnie, że znowu mogę słyszeć. Dla mnie super. W uszach wciąż słabo mi dźwięczało, ale to minie.

- Nie wiem.

Richard spojrział na mnie.

- Był... zabójcą?

- Tak myślę.

W drzwiach miałam tak dużą dziurę, że można się było przez nią przecisnąć. Wciąż były otwarte. Mieszkanie pani Pringle pozostało zamknięte, ale roztrzaskana framuga wyglądała tak, jakby coś dużego ugryzło jej kawałek. Gdyby starsza pani tam stała, już byłaby martwa.

Usłyszałam przytłumione wycie syren policyjnych. Nie mogłam wi-nić sąsiadów o zadzwonienie po nich.

- Mam zamiar wykonać parę telefonów, zanim gliny tu dotrą.

- A potem co? - spytał.

Przyjrzałam mu się. Był blady, białka jego oczu ukazywały się trochę za bardzo.

- Pójdziemy z miłymi panami policjantami na posterunek, żeby odpowiedzieć na parę pytań.

- To była samoobrona.

- Tak, ale wciąż mam martwego mężczyznę na moim dywanie.

Weszłam do sypialni, szukając telefonu. Miałam lekkie problemy z przypomnieniem sobie, gdzie go zostawiłam, jakby zawsze walał się po domu, zamiast tkwić na mojej szafce nocnej. Szok zawsze jest zabaw-ny.

Richard oparł się o framugę drzwi.

- Do kogo chcesz zadzwonić?

- Do Dolpha i może Catherine.

- Zaprzyjaźniony policjant, to rozumiem, ale czemu Catherine?

- Jest prawniczką.

- Och - westchnął.

Rzucił okiem na trupa, który zakrwawił cały mój biały dywan.

- Umawianie się z tobą nigdy nie jest nudne, przysięgam.

- Ale jest też ryzykowne - odparłam. - Nie zapominaj o niebezpieczeństwie. Wybrałam numer Dolpha z pamięci.

- Nigdy nie zapominam, że jesteś niebezpieczna, Anito - powiedział

Richard. Wpatrywał się we mnie, a jego oczy były bursztynowe, w kolorze oczu wilka. Jego

bestia przemykała za tymi oczami, wyglądając na zewnątrz. Prawdopodobnie z powodu zapachu świeżej krwi. Spojrzałam w te obce oczy i wiedziałam, że nie byłam jedyną niebezpieczną osobą w tym pokoju.

Oczywiście byłam uzbrojona. Zmarły mógł za to poręczyć. Śmiech po-

łaskotał wewnątrz mojego gardła. Spróbowałam go przełknąć, ale wylał

się na zewnątrz, i gdy Dolph odebrał telefon, śmiałam się w najlepsze.

Śmiech zawsze był lepszy od płaczu. Jednak nie sądzę, by Dolph też tak uważał.

Rozdział 4

Siedziałam na zwykłym, prostym krześle przy małym, obskurnym stoliku w pokoju przesłuchań. O, przepraszam, w pokoju do wywiadów, jak to teraz nazywali. Mówcie o tym, jak sobie chcecie, wciąż śmierdziało stęchłym potem oraz starymi papierosami z nakładką dezynfekującą. Sączyłam już trzecią filiżankę kawy, a jednak moje ręce wciąż były zimne.

Sierżant Rudolph Storr opierał się o przeciwległą ścianę. Założył

ramiona na piersi i próbował nie rzucić się w oczy, jednak, gdy ma się sześć stóp i osiem, i jest się zbudowanym niczym zawodowy zapaśnik, bywa to trudne. Nie powiedział ani słowa podczas „wywiadu”. Po prostu obserwował.

Catherine usiadła obok mnie. Położyła swoją czarną marynarkę na kolanach, przykrywając zieloną sukienkę, przyniosła teczkę i siedziała, przybrawszy zawodową minę prawnika.

Detektyw śledczy Branswell usadowił się naprzeciwko nas. Miał

mniej więcej ponad trzydzieści lat, krucze, kompletnie ciemne, włosy oraz równie czarne oczy. Jego nazwisko brzmiało na angielskie, ale wyglądał, jakby urodził się w śródziemnomorskich klimatach, czyli tak, jak gdyby właśnie wysiadł z łodzi, po kilku tygodniach spędzonych na słońcu. Jego akcent był czysty, niczym nieskażony, ze środkowego Missouri.

- Teraz, panno Blake, niech pani powtórzy to jeszcze raz dla mnie.

Proszę. - Uniósł swoje pióro nad zeszytem, jakby znów chciał spisać to wszystko.

- Pomogliśmy mojej sąsiadce wnosić jej nowy telewizor.

- Pani Edith Pringle... Tak, potwierdza to. Ale dlaczego poszła pani do swojego mieszkania?

- Zamierzałam użyć śrubokręta przy instalacji telewizora.

- Posiada pani wiele narzędzi, panno Blake? - zapisał coś w swoim notatniku. Stawiam, że jakieś bazygroły.

- Nie, detektywie, jednak śrubokręt posiadam.

- Czy pani Pringle prosiła panią, by poszła po ten śrubokręt?

- Nie, ale używała go już, gdy kupiła sobie wieżę domową. - To było prawdą. Starałam się kłamać jak najmniej.

- Dlatego przypuściłaś, że będzie go potrzebować.

- Tak.

- I co wtedy? - Zapytał, jakby w ogóle nie słyszał wcześniej odpowiedzi. Jego czarne oczy były intensywne i puste, nieodgadnione i pod-niecone. Przechodziliśmy do części, której całkowicie nie kupił.

- Otworzyłam drzwi do mojego mieszkania i upuściłam klucze.

Ukucnęłam by je podnieść, a wtedy huknęła pierwsza strzelba, tuż nad moją głową. Również zaczęłam strzelać.

- Jak? Drzwi były zamknięte.

- Strzeliłam przez dziurę w drzwiach, którą zrobiła kula.

- I trafiłaś przez tę dziurę człowieka?

- To była duża dziura, detektywie, nie byłam pewna, czy go postrzełę.

- Dlaczego druga strzelba pani nie trafiła, panno Blake? Za drzwiami nie było wystarczająco dużo miejsca, by się ukryć. Gdzie pani była, panno Blake?

- Mówiłam panu, pierwszy strzał zakołysał drzwiami do wewnątrz.

Padłam na podłogę po mojej stronie. Drugi był skierowany we mnie.

- I postrzeliłaś przeciwnika jeszcze dwa razy w klatkę piersiową? -

spytał detektyw Branswell.

- Owszem.

Patrzył na mnie dłuższą chwilę, studiując moje oblicze. Spojrzałam mu w oczy z kamienną twarzą. To nie było takie trudne. Czułam się odrętwiała, pusta i daleka. Wciąż dzwoniło mi w uszach, przez ten

cholerny huk strzelby. Dzwonienie zniknie. Zazwyczaj znika.

- Znasz człowieka, którego zabiłaś? Catherine dotknęła mojego ramienia.

- Detektyw Branswell, moja klientka była bardziej niż pomocna.

Powiedziała już kilkakrotnie, że nie rozpoznaje zmarłego.

Spojrzał z powrotem na swój notatnik.

- Ma pani rację, pani Mason-Gillett. Panna Blake była bardzo pomocna. Zmarły nazywał się James Dugan, zwany Jimmy Shotgun. No-towany, kiedy pani nie była nawet w połowie tak wysoka, jak teraz, panno Blake. Lokalny morderca. Dzwoniono do niego, gdy chciało się w tani i szybki sposób kogoś sprzątnąć, a nie martwiło się jak niechluj-nie to zrobi. - Mówiąc, przyglądał mi się otwarcie, lustrując moje oczy.

Mrugnęłam.

- Nie zna pani nikogo, kto pragnąłby widzieć panią martwą?

- Nie, nie w tak nieprzemyślany sposób - odparłam. Zamknął swój zeszyt i wstał.

- Stwierdzą w DA, że morderstwo było usprawiedliwione, w obronie własnej. Wątpię, by ujrzęła pani wewnątrz sali sądowej.

- Kiedy odzyskam swój pistolet z powrotem? - spytałam. Branswell wpatrywał się we mnie.

- Gdy balistyka z nim skończy, panno Blake. I byłbym cholernie wdzięczny, gdybyś go odzyskała. - Potrząsnął głową.- Słyszałem histo-rie o tobie od jakiegoś gliniarza, który odpowiedział na ostatnie wezwanie z twojego mieszkania. To z dwoma morderczymi zombi. -

Jeszcze raz pokręcił głową. - Nie bierz mi tego za złe, Blake, ale zastanowiłaś się nad przeniesieniu się do nowego mieszkania?

- Mój właściciel zamierza prawdopodobnie zasugerować mi to samo-odparłam.

- Tak pewnie robi - chrząknął Branswell. - Pani Maison, sierżancie Storr.

- Dziękuję za zgodę na moją obecność tutaj, Branswell - powiedział

Dolph.

- Mówiłeś, że jest jedną z twoich. Ponadto znam Grosa i Brady'ego.

Byli tymi pierwszymi oficerami przy akcji z zombi. Dobrze o niej mó-wią. Rozmawiałem też z sześcioma funkcjonariuszami, którzy twierdzą, że panna Blake uratowała im tyłek albo stanęła z nimi ramię w ramię podczas strzelaniny i nawet nie mrugnęła okiem. Toniesz w piekielnym bagnie, Blake,

ale to bagno nie jest nieograniczone. Patrz na swoje tyły i postaraj się nie zabić jakiś drani bądź niewinnych, przypadkowych osób. - Powiedziawszy to, wyszedł.

Dolph spojrzał na mnie.

- Podrzucę cię.

- Richard na mnie czeka - odpowiedziałam.

- Co się dzieje, Anito?

- Powiedziałam Branswellowi wszystko, co wiedziałam. Catherine wstała.

- Anita odpowiedziała już na wszystkie pytania, które jej dziś zadano

- Dolph jest przyjacielem - odparłam.

- I glina - stwierdziła Catherine. Uśmiechnęła się. - Prawda, sierżancie Storr? Dolph wpatrywał się w nią przez minutę.

- Oczywiście, pani Maison-Gillette. - Odepchnął się od ściany i spojrzał na mnie. - Pogadamy później, Anito.

- Wiem - westchnęłam.

- Chodź - powiedziała Catherine. - Spadajmy stąd, zanim zmienię zdanie.

- Nie wierzysz mi? - spytałam.

- Jestem twoim prawnikiem. Oczywiście, że ci wierzę.

Spojrzałam na nią, a ona na mnie. Wstałam. Wyszliśmy. Zastanawiałam się, czy Richard by mi uwierzył. Prawdopodobnie nie.

Rozdział 5

Richard i ja poszliśmy do jego samochodu zaparkowanego przed komendą policji. Nie odezwał się do mnie ani słowem, wymienił tylko uścisk dłoni z Catherine i wskazał głową na auto. Wsiadł od strony kierowcy, a ja wśliznęłam się na miejsce pasażera. Odpalił silnik i wycofał

pojazd z parkingu.

- Wściekasz się na coś - stwierdziłam.

Wyjechał na drogę. Zawsze prowadził bardzo ostrożnie, kiedy był

zdeenerwowany.

- Niby na co miałbym być zły? - Jego słowa ociekały tak gęstym sarkazmem, że mogłam go zjeść łyżeczką - Myślisz, że wiedziałam o zabójcy w moim mieszkaniu?

Posłał mi mordercze spojrzenie.

- Wiedziałaś i wpuściłaś mnie do środka, żebym skonfigurował ten cholerny telewizor. Nie chciałaś, żeby stała mi się krzywda.

- Nie byłam pewna, Richardzie.

- Założę się, że miałaś pistolet w ręce przed tym, jak ten facet zaczął strzelać. Przytaknęłam.

- Cholera, Anito, on mógł cię zabić!

- Ale tego nie zrobił.

- To twoja zwykła wymówka. Jeśli przeżyjesz, wszystko jest w po-rządku.

- Nie potrafię wymyślić innej - powiedziałam.

- Nie żartuj - wykrztusił z siebie Richard.

- Popatrz na to z innej strony, Richardzie: ja nie szukałam tego faceta. To on przyszedł do mnie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- I co byś zrobił? Wszedłbyś do mieszkania pierwszy? Zostałbyś trafiony parę razy i przeżyłbyś. Jak to wyjaśnić? Wzięto by cię za lykantropa i w najlepszym wypadku straciłbyś pracę.

- Mogliśmy zawiadomić policję.

- I co im powiedzieć? Że Kremik obwąchał drzwi? Weszliby do mieszkania i zastrzelono by ich. Ten facet tak bardzo srał w gacie ze strachu przede mną, że palnął przez drzwi, pamiętasz? Nie wiedział, do kogo strzela.

Richard skręcił w Olive, potrząsając głową.

- Powinnaś mi była powiedzieć.

- I co by to zmieniło? Możliwe, że próbowałbyś zgrywać bohatera i jeśli przeżyłbyś, straciłbyś pracę.

- Cholera, szlag by to! - Uderzał rękami w kierownicę. Kiedy spojrzał na mnie, jego oczy były bursztynowe i trochę nieludzkie. - Nie potrzebuję twojej ochrony.

- Znasz moje zdanie na ten temat - rzuciłam.

Cisza wypełniła samochód, niczym lodowata woda. Nikt oprócz tego faceta nie zginął. Postąpiłam właściwie. Ale trudno było to wyjaśnić.

- Nie chodzi mi o to, że ryzykowałeś swoim życiem - powiedział

wreszcie Richard. -Raczej o to, że pozbyłaś się mnie, kiedy chciałaś to zrobić. Nawet nie dałaś mi szansy. Nigdy nie wtrąciłem się, podczas wykonywania przez ciebie roboty.

- Czy ty kiedykolwiek brałaś pod uwagę tę część mojej pracy...?

- Bliższą mojemu niż twojemu zakresowi obowiązków. Zastanowiłam się nad tym przez chwilę.

- Masz rację. Jednym z powodów, dla których nadal się umawiamy, jest to, że nie zgrywasz przede mną macho. Przepraszam, powinnam była cię ostrzec.

Spojrzał na mnie. Jego oczy pozostawały blade, wilcze.

- Czyżbym wygrał? Uśmiechnęłam się.

- Przyznałam się do błędu. To to samo.

- Dokładnie to samo.

- Więc przyznaj sobie punkt. Uśmiechnął się do mnie.

- Dlaczego nie potrafię się na ciebie złościć?

- Potrafisz wybaczać, Richardzie. Jedno z nas powinno. Zajechał na parking przed moim domem, dzisiaj już trzeci raz.

- Tej nocy nie możesz zostać w swoim mieszkaniu. Drzwi są w drza-zgach.

- Wiem. - Kiedy zostałam wyrzucona ze swojego mieszkania, gdy było malowane, miałam przyjaciół, u których mogłam zostać, albo hotel, ale mordercy zwykle nie zwracają uwagi na to, kogo zranią. Nie mogłam ryzykować niczyjego życia, nawet obcych ludzi w sąsiednim pokoju hotelowym.

- Chodź do mnie - powiedział. Zaparkował na wolnym miejscu, jak najbliżej schodów.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Richardzie.

- Strzał ze strzelby mnie nie zabije. Wyleczę się, jeśli śrutówka nie będzie naładowana srebrną amunicją. Ilu z twoich przyjaciół może to powiedzieć?

- Niewielu - mruknęłam.

- Mój dom znajduje się na dość dużej działce. Nie zaryzykujesz życia niewinnych

osób.

- Wiem, że masz duży ogród. Spędziłam w twoim domu dość nie-dzielnych popołudni.

- Dlatego wiesz, że mówię prawdę. - Nachylił się ku mnie. Jego oczy powróciły do swojej naturalnej barwy. - Mam pokój dla gości, Anito.

Niczego więcej nie potrzeba.

Moja twarz znalazła się zaledwie parę cali od niego. Mogłam czuć jego ciało, niczym siłę będącą poza moim zasięgiem. To nie niezziemskie wilcze moce. Po prostu ludzkie pożądanie. Zgoda na nocowanie w domu Richarda nastreżczała pewne niebezpieczeństwo. Może nie utraty mojego życia, ale innych spraw.

Gdyby dzisiejszej nocy Jimmy Shotgun miał kolegę, byłabym już martwa. Za bardzo skupiłam się na zabiciu jego, więc dobrze ustawiony towarzysz mógłby mnie z łatwością sprzątnąć. Na razie Edward odrzucił to zlecenie, a znalezienie innego zabójcy pokroju Edwarda zajmuje dłuższą chwilę. Więc zamiast czekać, wynajęli lokalnego i taniego. Istniała szansa, że zlikwiduje mnie za małą kasę, a oni zaoszczędzą trochę grosza. Albo też chcieli się mnie pozbyć naprawdę szybko z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu. Z drugiej strony cholernie pragnęli, abym była martwa. Gdy ktoś tak bardzo chce cię zabić, zwykle mu się to udaje. Nie dzisiejszej nocy, ani jutrzejszej, ale jeśli Edward i ja nie znajdziemy skurwiela, który wydał na mnie zlecenie, będą się pojawiali coraz to nowi zabójcy.

Wpatrywałam się w twarz Richarda niemal z tak bliska, że tylko krok dzielił nas od pocałunku. Pomyślałam o tym, że mogłabym go już nigdy więcej nie zobaczyć. Nigdy nie dotknąć. O tym, że nigdy nie zaspokoilibym tego rosnącego głodu, który unosił się w powietrzu zawsze, kiedy z nim byłam. Dotknęłam jego twarzy, delikatnie przesuwając opuszkami palców po policzku.

- Okej, czemu nie.

- Wyglądasz bardzo poważnie. O czym myślisz, Anito? Nachyliłam się i pocałowałam go.

- O krwi, śmierci i seksie. Co jeszcze jest na tym świecie?

Wysiedliśmy z auta. Napełniłam automat do karmienia rybek, żeby wystarczyło im jedzenia na tydzień. Jeśli do tego czasu ktoś nadal będzie próbował mnie zabić, a ja ciągle pozostanę żywa, wrócę. Wystarczy, że źli chłopcy poobserwują akwarium i jeżeli będą wystarczająco cierpliwi - mają mnie. Ale nie sądziłam, aby byli.

Spakowałam kilka rzeczy, w tym mojego pluszowego pingwinka Zygmunta, całą broń, jaką miałam, parę ubrań, strój na jutrzejszą randkę z Jean-Claude'm. Taaa, wątpiłam, żeby udało mi się pójść, ale nie chciałam więcej wracać do mieszkania. Zostawiłam Ronnie wiadomość na automatycznej sekretarce. Zwykle ćwiczyłyśmy razem w soboty, jednak tym razem nie chciałam narażać jej na niebezpieczeństwo. Była prywatnym detektywem, ale to nie czyniło jej dobrym strzelcem. Miała szacunek dla życia, co mogło ją kiedyś zabić.

Richard czekał, aż się przebiorę. Czarne džinsy, niebieska koszulka polo, białe skarpetki z niebieskim paskiem i czarne niki sprawiły, że poczułam się bardziej sobą. Włożyłam do walizki kaburę od browninga.

Był moim ulubionym pistoletem, a ja go straciłam. Straciłam w zwykłych okolicznościach i teraz moja dłoń za nim tęskniła.

Sądzę, że po to są zapasowe pistolety. Firestar 9mm jest dobrą bronią i doskonale pasuje do mojej ręki. Mam dość małe dłonie i większość pistoletów kalibru 9mm jest po prostu za duża. Browning był na granicy.

Włożyłam firestara do kabury przypinanej do pasa, co oznaczało, że pistolet stał się widoczny. Nie byłam pewna, czy mnie to obchodziło.

Wsadziłam noże do pochewek, a te przymocowałam na przedramionach. To były ostatnie dwa noże, które zostały mi z czterech, zrobionych dla mnie na zamówienie, zawierających największą możliwą domieszkę srebra. Musiałam zastąpić dwa z nich; potwory je zabrały.

Włożyłam nowe sztuki do walizki nadal w ich oryginalnym pudełku. Są ładne i dość ostre, by przeciąć skórę, jeśli przejechałbyś palcem po ostrzu.

Kiedy zastąpiłam brakujące noże nowymi, zamówiłam jeszcze inny.

Był długi na około stopę i wyglądał bardziej jak miecz, niż nóż. Miałam specjalną uprząż, która pozwalała mi nosić go na plecach wzdłuż kręgosłupa, z rękojeścią ukrytą pod włosami. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie używałam, ale kiedy zobaczyłam go w katalogu, nie mogłam się oprzeć.

Jestem też szczęśliwą posiadaczką derringera, obrzyna, dwóch du-

żych strzelb i mini-uzi. Derringer i mini-uzi były prezentami od Edwarda. Nie świątecznymi ani urodzinowymi. Po prostu polowaliśmy razem na wampiry i postanowił dać mi nową zabawkę. O strzelbę poprosiłam sama.

Duże strzelby nie mieszczą się do walizki ani torby gimnastycznej.

Włożyłam je do ich własnych pokrowców z paskami na ramię. W torbach gimnastycznych miałam mój zestaw do polowania na wampiry i akcesoria do ożywania zombi. Włożyłam dodatkową amunicję do nich obydwu, na nagłe potrzeby. Cholera, do walizki też wrzuciłam trochę naboju. Tego nigdy za wiele.

Przejrzałam się w lustrze. Pistolet rzucał się w oczy na tle niebieskiej koszulki. Ostatecznie włożyłam jeszcze czarną kurtkę, nazywaną „męską”, ponieważ była trochę za szeroka w ramionach. Podciągnięte rękawy ukazywały jedwabną podszewkę. Lubiłam tę kurtkę, bo kiedy zapnie się jeden guzik, firestara prawie nie widać. Wciąż mógł mignąć przed oczami, kiedy się poruszałam, ale przynajmniej ludzie nie będą uciekali z krzykiem.

Czułam się naga bez browninga, co było trochę zabawne, biorąc pod uwagę to, że miałam uzi w

walizce. Ale chwilkę, przecież z nim nie spałam, a z browningiem tak.

Richard nie komentował moich dwóch strzelb. Możliwe, że zacząłby się skarżyć, ale podniósł walizkę, zarzucił torbę gimnastyczną i pokrowiec ze strzelbą na ramię, i pozwolił mi wziąć resztę.

- Nie mógłbyś nieść obu walizek? - Zapytałam.

- Tak, ale zaskoczyłaś mnie tym pytaniem. Ostatnim razem, kiedy próbowałem nieść coś bez pytania, o mało co nie urwałaś mi głowy.

- Chcę mieć jedną rękę wolną, gdybym musiała wyciągnąć broń.

- Aa - mruknął. - Oczywiście.

Bez słowa wziął obie walizki. To naprawdę mądry facet.

Pani Pringle wyszła przed swoje drzwi, kiedy opuszczaliśmy mieszkanie. Trzymała Kremika w ramionach. Warknął przelotnie na Richarda, ale uspokoiła go.

- Wydawało mi się, że was słyszę. Wszystko w porządku, Anito?

Spojrzałam na dziurę w drzwiach.

- Tak, wszystko dobrze. A co u pani?

Uniosła Kremika na wysokość swej twarzy i przytuliła go.

- Wszystko w porządku.

- Na pewno?

- Tak. - Rzuciła okiem na walizki. Jedną na ubrania, drugą na broń. -

Wybierasz się

gdzieś?

- Przebywanie blisko mnie ostatnio nie jest zbyt bezpieczne. Patrzyła na moją twarz, jakby próbowała czytać mi w myślach.

- Jak bardzo jest źle, Anito?

- Wystarczająco źle - westchnęłam. Delikatnie dotknęła moich włosów.

- Bądź ostrożna tam, dokąd jedziesz. Uśmiechnęłam się.

- Jak zwykle. Niech pani także na siebie uważa.

- Kremik i ja opiekujemy się sobą nawzajem. Podrapałam Kremika za jego lisimi uszami.

- Jestem ci winna pudełko psich smakołyków, futrzasta kuleczko. -

Polizał moją dłoń swoim malutkim, różowym języczkiem.

- Kiedy będziesz mogła, daj mi swój nowy numer telefonu - powiedziała.

- Kiedy będę mogła, wrócę - odparłam. Uśmiechnęła się, ale jej blade oczy pozostały zmartwione.

Wyszliśmy, dlatego że musieliśmy. Moja wyobraźnia zawsze była zbyt łaskawa dla mojego spokoju ducha. Miałam przed oczami bardzo wyraźny obraz pani Pringle roztrzaskanej na ścianie, tak ślicznie, z wyrazem zaskoczenia na jej starzejącej się twarzy. Jeśli otworzyłaby drzwi w niewłaściwym momencie, nie musiałabym sobie tego wyobrażać.

Mało brakowało. Cholernie niewiele.

Rozdział 6

Richard mieszkał w parterowym domu, wyglądającym jak dla dzieci z matką piekącą w kuchni ciasteczka. Nie był nawet zbytnio oddalony od drogi, ale miał spory ogródek po obu stronach, a na tyłach akr lasu.

Rozglądając się dokoła, zwykle nie zobaczyłbyś sąsiada; wyjątek stanowiła zima, kiedy poprzez nagie pnie drzew udawało się dostrzec dalszą część doliny. Przez frontowe okno można było ujrzeć narożnik na-stępnego budynku zasłoniętego przerośniętymi krzewami. Dom ów stał

od dawna niezamieszkały. Już gdy zaczęłam odwiedzać Richarda ział

pustką. Ogólnie miejsce znajdowało się w odosobnieniu. Richardowi się to podobało, niezależnie od tego, co ja o tym myślałam, było mi teraz potrzebne.

Wszystko aż zapraszało, by zastawić na mnie zasadzkę, a sąsiedzi staliby się tylko mięsem armatnim. Większość typów spod ciemnej gwiazdy stara się unikać zabijania niewinnych świadków. Nie chodzi o pogwałcenie moralności, po prostu przysparza im to niepotrzebnego rozgłosu. Policjanci mają tendencję do nadmiernego zainteresowania, jeżeli uszkodzisz zbyt wielu niezaangażowanych ludzi.

Richard otworzył drzwi garażu i wjechał tam mustangiem. Jego wóz o napędzie na cztery koła już był w środku. Czekałam beczynn timer na ulicy, aż wyprowadzi swoje drugie auto, żebym mogła zaparkować jeepa. Zostawienie samochodu przed domem wydawało się być zbyt du-

żym ułatwieniem dla zabójcy. Wycofał, ja wjechałam. Zaparkował za mną na podjeździe i wszedł do garażu. Złapałam za walizki, a on wcisnął guzik przy wewnętrznych drzwiach.

Otwarte drzwi prowadziły do kuchni. Ściany obwieszane były przedstawiającymi psy replikami obrazów Hogartha* oraz współczesnymi scenkami polowań. Na szafkach w kolorze ecru stały opakowania z postaciami z kreskówek Braci Warner, od Królika Bugsa aż po Tweety'iego. Błaty

były białe. Na ręczniku koło zlewu schły naczynia, choć Richard miał zmywarkę. Szklanka, miska, łyżka; umył je po śnia-daniu, zanim wyszedł dziś rano do pracy. Ja polałabym je wodą i zostawiła w zlewie. Tylko że nie jadam śniadań.

Richard przeszedł do salonu, niosąc jedną walizkę. Poszłam za nim, targając bagaż z bronią. Dźwigałam też dwie torby.

W salonie znajdował się ciemnozielony dywan, pomieszczenie pomalowano na blado żółty kolor. Na przeciwległej do drzwi ściance wisiały litografie**. Obok mieścił się drewniany kącik rozrywki, który Richard własnoręcznie zbudował. Był tam telewizor z dużym ekranem, małe stereo, przy którym moje radio zdawało się brzmieć niczym nuce-nie przez grzebień, półki pełne książek i zamknięte drzwiczki, które kryły obszerną kolekcję filmów i część płyt CD. Reszta książek znaj-

* William Hogarth (1697-1764) – angielski malarz, rysownik, twórca miedziorytów.

Jego prace przypominały nieco dzisiejsze komiksy:)

** Litografia – grafika, do której najpierw robi się kamienną matrycę, potem pokrywa się ją farbą i drukuje. Efekt: obrazek wygląda jak połączenie rysunku i fotki (kolory zazwyczaj czarno-białe lub sepia).

dowała się w piwnicy, stały na półkach wzdłuż każdej ściany. Nadal miał nierozpakowane pudła, bo zabrakło mu miejsca.

W pokoju stała duża zielono-brązowa kanapa, którą częściowo zakrywał żółty afgan, zrobiony przez jego babcię, i stolik do kawy. Mała, zabytkowa, dekorowana komódka przylegała do ściany. To było całe umeblowanie.

Postawił bagaż w mniejszej sypialni. Było tam łóżko małżeńskie, szafka nocna i lampka. Ściany, zasłony i narzuta były białe, jakby jeszcze nie zdecydował, co zrobić z pokojem.

Położyłam torby na łóżku, walizkę zostawiłam na podłodze i zaczę-

łam się wszystkiemu przypatrywać. Moje życie leżało w torbach na dywanie. Zdawało się, jakby powinno być tego więcej.

Richard podszedł od tyłu i mnie przytulił, rękami oplótł moje ramiona.

- Myślę, że to jest właśnie ten moment, w którym powinienem zapytać, co cię gryzie, ale znam odpowiedź. Przykro mi, że źli panowie zaatakowali twój dom.

O to chodziło. Źli panowie nie mieli przychodzić po ciebie do domu.

To powinno być wbrew przepisom. Wiedziałam, że tak nie jest, wcze-

śniej zdarzały się podobne przypadki, ale to już inna historia. Zawsze wiedziałam, że mogę wrócić. Teraz, nawet gdy będzie po wszystkim, nie mogę znowu ryzykować bezpieczeństwa Pani Pringle i

innych sąsiadów.

Obróciłam się w jego ramionach; odrobinę rozluźnił uścisk, aby to było możliwe. Objęłam go w tali.

- Skąd wiedziałaś, że dokładnie to mnie martwi?

Uśmiechnął się. – Kocham cię, Anito.

- To nie jest odpowiedź.

Pocałował mnie w czoło. – Owszem, jest. – Delikatnie musnął moje usta i odsunął się. – Idę zdjąć krawat. Jeśli chcesz, możesz przebrać się w piżamę. – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Otworzyłam je i zawołałam:

– Mogę skorzystać z telefonu?

Odkrzyknął z sypialni.

– Czuj się jak u siebie w domu.

Wzięłam to za *tak* i poszłam do kuchni. Telefon wisiał na ścianie.

Wyjęłam wizytówkę z saszetki, którą byłam zmuszona nosić zamiast portfela.

Nie mógłbyś zapiąć marynarki na saszetce, a odpięta ukazywałyby pistolet.

Wizytówka była biała z czarnymi cyframi, sam numer. Wykręciłam i połączyłam się z dwudziestoczworgodzinną, automatyczną sekretarką Edwarda. Zostawiałam prośbę o jak najszybszą odpowiedź i numer Richarda.

Automatyczna sekretarka Richarda leżała na blacie, połączona kablem z telefonem na ścianie. Migoczące światełko oznaczało wiadomość, ale nie był to mój aparat, więc nie sprawdzałam.

Richard wszedł do kuchni. Włosy opadały mu na ramiona w falach, mocno skręcone od francuskiego warkocza. Były brązowe, z jaśniejszymi refleksami. Na sobie miał zieloną flanelową koszulę, z podwiniętymi za łokcie rękawami, ukazującą piękne mięśnie przedramion. Widziałam tę koszulę już wcześniej, powstała z wysokiej jakościowo flaneli, w dotyku miękkiej jak koc. Nie miał dzinsów ani skarpet. Szedł ku mnie boso.

Zadzwonił telefon. Była prawie pierwsza rano. Kto jeszcze mógłby to być, jeśli nie Edward?

- Czekam na telefon – oznajmiłam.

- Proszę bardzo.

Odebrałam i to był Edward: – Co się stało? – spytał.

Powiedziałam mu.

- Ktoś się bardzo śpieszy z uśmierceniem ciebie.
- Tak. Gdy powiedziałaś nie, wynajęli miejscowy tani talent.
- Jakość kosztuje – powiedział Edward.
- Jeśli byłoby ich dwóch, Edwardzie, już byłabym martwa.
- Nie spodoba ci się moja wiadomość.
- Czy może być coś gorszego? – spytałam.
- Chwilę wcześniej dostałem informację, że podbili stawkę na pięćset tysięcy dolarów, jeżeli umrzesz w ciągu doby.
- Słodki Jezu, Edwardzie, nie jestem warta takich pieniędzy.
- Wiedzą, że sprzątnęłaś ich zabójcę, Anito. Wiedzą, że zawiódł.
- Skąd? – spytałam.
- Jeszcze nie wiem. Próbuję się zorientować, kto daje na to pieniądze, ale potrzebuję czasu. Ciężko przejść zabezpieczenia i ochronę klienta.

Kiwałam głową w przód i w tył. – Dlaczego akurat doba, żeby trafił
mnie szlag?

- Coś ma się wydarzyć, coś dużego i chcą usunąć cię z drogi.
- Ale co?
- Wiesz, co to jest, Anito. Może jeszcze nie jesteś tego świadoma, ale wiesz. To coś jest warte takich pieniędzy, bylebyś temu nie zapobiegła.

Nie może być wiele możliwości.

- Nic mi nie przychodzi do głowy, Edward.
- Myśl intensywniej - powiedział. - Będę jutro najwcześniej, jak mogę. Obserwuj tyły. Nie prowadź samochodu.
- Dlaczego nie?
- Podłożona bomba - oznajmił.

- Podłożona bomba - powtórzyłam.

- Za pół miliona dolarów, Anito, wynajmą kogoś naprawdę dobrego.

Wielu profesjonalistów zlikwiduje cię z miłej, bezpiecznej odległości.

Podłożenie bomby, karabin o dużym zasięgu...

- Przestraszyłeś mnie - powiedziałam.

- I dobrze, może będziesz ostrożna.

- Zawsze jestem ostrożna, Edwardzie.

- Przepraszam. Masz rację, ale bądź jeszcze ostrożniejsza. Nie spodziewałem się, że wynajmą miejscowego zabójcę.

- Martwisz się - stwierdziłam.

Milczał przez sekundę. – Możemy dalej likwidować zabójców, ale w końcu będziemy musieli dotrzeć do człowieka od pieniędzy. Tak długo, jak istnieje kontrakt, ktoś zawsze go przyjmie.

- To zbyt wiele cholernej kasy, by przejść obok obojętnie.

- Wielu profesjonalistów nie przyjmie zabójstwa z narzuconym terminem - powiedział.

- Kilku najlepszych można nie brać pod uwagę, właśnie z powodu ostatecznego terminu. Nie biorę zleceń na specjalnych warunkach.

- Czyżby...? - zapytałam.

Zaśmiał się cicho. – Za pół miliona dolarów ludzie łamią reguły.

- Niepokojące - powiedziałam.

- Taki był zamiar - odpowiedział. – Rano będę u Richarda.

- Wiesz, gdzie to jest?

- Dowiem się, ale nie mam zamiaru z tobą pogrywać. Daj mi namia-ry.

– Kazałbym ci nie wychodzić z domu, ale od miesiący spotykasz się z Richardem. Dobry zabójca będzie w stanie cię znaleźć. Nie wiem, czy jesteś bezpieczniejsza wewnątrz, czy w ruchu.

- Zapakuję więcej broni i będę większą panikarą, niż zwykle.

- Dobrze. Do zobaczenia jutro. – Trzymałam słuchawkę, w której rozlegał się już głuchy sygnał.

Richard gapił się na mnie. – Dobrze słyszałem, że masz tylko dobę?

Odwiesiłam słuchawkę. – Niestety, tak. – Z przyzwyczajenia nacisnęłam przycisk na automatycznej sekretarce. Zawarkotała, cofając taśmę.

- Dlaczego, na Boga? – spytał Richard.

- Chciałabym wiedzieć.

- Dwa razy wspomniałaś o pieniądzach. Ile?

Powiedziałam mu.

Wstrząśnięty, osunął się na kuchenne krzesło. Nie mogłam go za to winić.

- Anito, nie obraż się. Dla mnie jesteś warta mnóstwo pieniędzy, ale dlaczego ktoś chce zapłacić pół miliona dolarów, by cię uśmiercić?

Jak na kogoś, kto niewiele wiedział o mordercach, trafił z tym pytaniem całkiem ładnie. Podeszłam do niego i wplotłam mu palce we włosy.

- Edward uważa, że muszą mnie wyeliminować, zanim rozpęta się coś wielkiego, w czym nie powinnam uczestniczyć.

Spojrzał do góry na mnie. – Nie wiesz, co to, prawda?

- Nie dostałam żadnej wskazówki.

Położył mi ręce w pasie, przyciągnął do siebie, i objął mnie wokół talii.

Automatyczna sekretarka ożyła, strasząc nas oboje. Zaśmiali-

śmy się nerwowo, nie tylko ze strachu. Kiedy spoglądał na mnie, w jego oczach było gorąco, co sprawiło, że chciałam się zarumienić albo go pocałować. Nie potrafiłam rozstrzygnąć, co bardziej.

Dwie wiadomości: jego młodszy brat, Daniel, przeproszał Richarda, że odwołał jutrzejszą wspinaczkę.

Nachyliłam się do Richarda. Miał najdelikatniejsze wargi, jakie kiedykolwiek całowałam. Jego smak odurzał. Jak mogłam myśleć o zrezygnowaniu z niego?

Odtwarzała się ostatnia wiadomość: - Richard, tu Stephen. Och, Bo-

że, odbierz. Proszę odbierz. Proszę bądź tam.

Usłyszawszy to, zeszywnieliśmy.

- Próbuja zmusić mnie, bym wziął udział w jednym z tych filmów.

Raina nie pozwoli mi odejść. Richard, gdzie jesteś? Nadchodzą. Muszę iść. O Boże, Richard. – Telefon zamilkł. Mechaniczny głos oznajmił: *Koniec wiadomości*.

Richard podniósł się, wypuściłam go.

– Myślałam, że Raina przestała kręcić filmy pornograficzne - powiedziałam.

- Obiecała nie kręcić filmów z morderstwem w tle. To wszystko. –

Jeszcze raz odtworzył wiadomość: 12:03.

- To było mniej niż godzinę temu.

- Dziś wieczorem nie mogę cię tu zostawić samej. Co, jeśli przyjdzie kolejny zabójca? – Zaczął chodzić w kółko. - Ale z drugiej strony nie mogę tak zostawić Stephena.

- Pójdę z tobą - oświadczyłam.

Potrząsnął głową, kierując się do sypialni. – Stado nie może zrobić mi krzywdy, Anito. Ty jesteś człowiekiem, będą chcieli cię zranić.

- A myślisz, że ciebie nie, Richardzie?

– Poradzę sobie.

- Przynajmniej zadzwoń do kilku osób ze stada, tych, które są po twojej stronie. Poprą cię?

Usiadł na łóżku i nałożył skarpetki. Spojrzał na mnie i potrząsnął

głową. – Jeżeli zbiorę moją armię, to zamieni się w wojnę. Będą ofiary.

- Lecz jeśli pójdziesz sam, zaryzykujesz tylko swoje życie, zgadza się?

Spojrzał na mnie. – Dokładnie.

Potrząsnęłam głową. – I co ze Stephenem, kiedy pójdziesz tam i zginiesz? Kto go uratuje?

Zatrzymał się na chwilę. Zmarszczył brwi i wyjął buty spod łóżka. –

Nie zabiją mnie.

- Dlaczego nie? – zapytałam.

- Gdyby Marcus zabił mnie poza okręgiem wyzwania, nie zachowałby przywództwa stada. Sfora by

się od niego odwróciła.

- A co, gdybyś zginął w walce z kimś innym?

Podejrzenie skupił się na wiązaniu sznurowadeł. – Poradzę sobie.

- To znaczy, że jeśli ktoś zabija cię w legalnej walce, Marcus ma spokój, prawda?

Wstał. – Chyba tak.

- Raina jest partnerką Marcusa, Richardzie. Będzie się bała, że go zabijesz. To pułapka.

Uparcie potrząsał głową. – Jeżeli wezwę wilki, by stanęły po mojej stronie i pójdziemy tam wszyscy, nie unikniemy masakry. Gdy pójdę tam samotnie, spróbuję negocjować.

Oparłam się o futrynę i chciałam na niego nawrzeszczyć, ale się opanowałam.

- Pójdę z tobą.

- Masz dość własnych problemów.

- Stephen ryzykował życiem, by mnie uratować. Mam dług do spła-cenia. Jeśli chcesz być politykiem, świetnie, ale chcę, by Stephen był

bezpieczny.

- Pojawianie się w miejscach, gdzie zabójcy łatwiej cię dorwać... To nie jest dobry pomysł, Anito.

- Spotykamy się od miesięcy, Richardzie. Jeżeli profesjonalny morderca dotrze do miasta, znalezienie mnie tutaj nie zajmie mu dużo czasu.

Spiorunował mnie wzrokiem, zaciskając szczęki tak mocno, że widziałam drganie mięśni. – Zabijesz kogoś, gdy wezmę cię ze sobą.

- Tylko wtedy, jeśli na to zasłużą.

Potrząsnął głową. – Żadnego zabijania.

- Nawet gdybym musiała ratować własne życie? Albo Stephena?

Odwrócił wzrok, ale potem spojrzał z powrotem na mnie, w jego ciemnych, prawie czarnych oczach kipiał gniew. – Oczywiście, że mo-

żesz się bronić.

- W takim razie idę.

- W porządku, uratujmy Stephena.

- Nałożę marynarkę. – Wyjęłam z walizki mini-Uzi. Było fenomenalnie małe. Mogłam strzelać z tego jedną ręką, ale do precyzyjnych trafień potrzebowałam obu. Precyzja i karabin maszynowy nie idą w parze. Trzeba celować trochę niżej, niż chce się trafić i kurczowo trzymać broń. Oczywiście ze srebrną amunicją. Przewiesiłam uprząż przez prawe ramię. Był tam mały klips, mocujący karabin do paska spodni.

Klips powstrzymywał Uzi przed kołysaniem się na boki, ale wystarczająco luźno, abym mogła wyjąć broń i strzelać. Pistolet miałam z tyłu, co nie było wygodne, ale obojętnie, co wmawiałam Richardowi, byłam cholernie przestraszona i chciałam mieć ze sobą przynajmniej dwa pistolety. Miałam policyjnego browninga. Nie miałam kabury na obrzyna, nie wspominając, że był nielegalny. Po głębszym zastanowieniu stwierdziłam, że karabin maszynowy też nie. Choć miałam na niego pozwolenie, oficjalnie nie wydawano ich dla automatycznej broni. W każdym razie nie dla cywilów. Gdyby mnie przyłapano, mogłabym wyłudować przed sądem.

Nałożyłam marynarkę. Była wystarczająco duża, by wszystko ukryć.

Cudownie. Firestar był ledwie widoczny w kaburze na przedzie.

Puls tak mi łomotał, że mogłam zobaczyć, jak porusza skórę. Bałam się. Richard zamierzał bawić się w polityka z bandą wilkołaków.

Zmiennokształtni nie paktowali, woleli od razu wywołać rozróbę.

Miałam dług wobec Stephena i nie byłam pewna, czy Richard zdoła go uratować. Zrobiłabym wszystko, żeby był bezpieczny; Richard nie.

Wahałby się. To go kiedyś zabije. Dziś wieczorem po raz pierwszy zrozumiałam, że przez to mogłabym zginąć i ja.

W żadnym wypadku nie powinniśmy iść na jedno z widowisk Rainy bez obstawy. W żadnym wypadku. Jean-Claude nigdy nie zdzierzyłby gierk Rainy i Marcusa. Oboje dawno by nie żyli i wszyscy byłiby bezpieczni. Dziś wieczorem zaufałam Jean-Claude'owi, chroniącemu moje tyły. Nie cofnąłby się. Oczywiście, przyprowadziłby ze sobą własną armię wampirów i byłaby to prawdziwa bitwa. Dzisiejszy wieczór może spływać krwią, ale o poranku będzie po wszystkim. Plan Richarda: uratować Stephena, przeżyć, spieprzać stamtąd, a Rainę zostawić w spokoju.

Richard, z kluczami w ręku, niecierpliwie czekał w drzwiach. Nie mogłam mieć mu tego za złe.

- Stephen nie powiedział, gdzie się znajduje. Czy wiesz w jakim miejscu kręcą filmy?

- Tak.

Spojrzałam na niego pytająco.

- Raina zabrała mnie, bym obejrzał ich miejsce pracy. Pomyślała, że pokonam nieśmiałość i się przyłączę.

- Ale tego nie zrobiłeś. – To nie było pytanie.

- Oczywiście, że nie. Chodźmy uratować Stephena. – Przytrzymał

dla mnie drzwi i tym razem nic na to nie powiedziałam.

Rozdział 7

Myślałam, że Richard pojedzie do jakiegoś podejrzanego magazynu, znajdującego się w obskurnej, zapuszczonej dzielnicy. Tymczasem on kierował się nadal w stronę Jefferson Country.

Zjechaliśmy w dół Old Highway 21, pomiędzy miękkimi, srebrnymi w świetle księżyca pagórkami. Początek maja. Drzewa uginały się od liści i przytulały do drogi po obu jej stronach. Czasami z mroku wylaniały się jakieś domy, ale przez większość czasu byliśmy sami w ciemno-

ściach, jakby droga ciągnęła się wiecznie i żaden człowiek nigdy nie postawił tu stopy.

- Jaki mamy plan?- spytałam.

Richard zerknął na mnie, potem z powrotem skierował swój wzrok na drogę.

- Plan?

- Tak. Jeśli Raina tam jest, nie może być sama i raczej dobrowolnie nie odda nam Stephena.

- Jest samicą alfa, lupą. I tak nie wolno mi z nią walczyć.

- Dlaczego?

- Samcem alfa zostaje Ulfric, król wilków, po zabiciu poprzedniego lidera. Sam wybiera sobie lupę.

- Czy to znaczy, że Raina nie musiała walczyć o swoją pozycję?

- Nie, żeby zostać lupą, ale aby być dominującą samicą w stadzie, tak.

- Kiedyś mi powiedziałaś, że stado uważa mnie za dominującą. Jaka jest różnica między byciem dominatką a samicą alfa? To znaczy, czy ja mogłabym nią być?

- Alfa jest odpowiednikiem mistrza wampirów - odparł.

- To kto może dominować?

- Każdy nie należący do stada, nie lukoi, zasługuje na nasz szacunek.

Jean-Claude jest dominatem. Nie może być nikim więcej, bez stania się członkiem stada.

- Ty jesteś alfą, ale liderem już nie.

- Mamy około pół tuzina samców i samic alfa. Byłem betą Marcusa, jego Freki'm.

- Freki to imię jednego z wilków Odyna. Dlaczego drugi wilk został

nazwany po innym z mitologii?

- Bo stado jest bardzo stare, Anito. A tak między nami, my jesteśmy lukoi, więc mogą być dwie bety, Freki i Geri.

- Lekcja historii i nowe słownictwo?

- Dla osób postronnych to proste, ale ja chcę żebyś wiedziała kim i czym jesteśmy.

- Lukoi to z greki, tak?

Uśmiechnął się. – Wiesz, skąd wzięła się ta nazwa?

- Nie.

- Król Arkadii, Likaon, był wilkołakiem i nawet nie próbował tego ukrywać. Na jego cześć nazywamy siebie lukoi.

- Jeśli już nie jesteś Freki'm, to kim?

- Fenrirem, rywalem.

- Czyli tym wielkim wilkiem, który zabił Odyna w Ragnarok.

- Jestem pod wrażeniem. Niewielu ludzi to wie.

- Dwa semestry religii porównawczej - odparłam.- Czy kobieta może by Ulfrikiem?

- Tak, ale to rzadkość.

- Dlaczego?

- Musiałyby wygrać w fizycznej walce, a nawet cała moc na świecie nie powstrzyma kogoś przed wgnieceniem twojej twarzy w ziemię.

Chciałam się kłócić, ale tego nie zrobiłam. Miał rację. Nie chodziło o to, że jestem kobietą. Małemu mężczyźnie też by nieźle dokopano. Jeśli obaj przeciwnicy są równie dobrze przygotowani, wzrost ma znaczenie.

- Dlaczego samica alfa nie miałyby walczyć, by wygrać czołową pozycję w stadzie?

- Bo Ulfric i lupa, którą on sobie wybierze, są parą krycia, Anito.

Ulfric nie mógłby być z kimś, kogo nie znosi.

Wytrzeszczyłam oczy. - Czekaj... Jesteś następny w kolejce do rządzenia stadem. Jeśli zastąpisz Marcusa, będziesz musiał sypiać ze swoją lupą?

- Technicznie tak.

- Technicznie? – Zapytałam.

- Nie będę spać z kimś tylko dlatego, żeby sprostać oczekiwaniom stada.

- Miło wiedzieć - rzuciłam.- Ale czy to nie zagrozi twojej pozycji wśród innych wilkołaków?

Wziął głęboki oddech. Doskonale słyszałam jak westchnął.

- Mam duże poparcie w stadzie, ale niektórym przeszkadza moja moralność. Uważają, że powinienem znaleźć sobie partnerkę.

- I ty nie... przeze mnie?

Obrzucił moją twarz krótkim spojrzeniem.- W dużej części tak.

Rzecz w tym, że to nie byłby jednorazowy stosunek. Para alfa łączy się ze sobą na całe życie. To tak jakby małżeństwo. Zresztą oni często pobierają się oficjalnie, nie są tylko para w stadzie.

- Teraz rozumiem, dlaczego lider sam wybiera sobie partnerkę.

- Ja już to zrobiłem - mruknął Richard.

- Ale nie jestem wilczycą.

- Nie, ale stado uważa, że dominujesz.

- Tylko dlatego, że zamordowałam kilku z nich – warknęłam..

- Ale właśnie tym im zaimponowałaś.

Zwolnił. Wzdłuż lewego pobocza ciągnęła się zbyt regularna i gęsta, by mogła być naturalna, linia sosen. Skręcił w żwirową drogę między ni-mi.

W płytkiej dolinie znajdował się dom, gęsto otoczony drzewami. Je-

żeli kiedykolwiek znajdowały się tam pola, las je doszczętnie pochłoniął.

Mały żwirowy podjazd wyłonił się z mroku, stało na nim co najmniej tuzin samochodów. Richard zaparkował i był już na zewnątrz, zanim zdążyłam odpiąć pasy. Musiałam biec, by go dogonić. Znajdowałam się tuż za nim, kiedy energicznie otworzył wrota stodoły. W

wejściu wisiała gruba materiałowa zasłona, bardziej przegroda niż kurtyna. Richard odciągnął ją na bok i zalało nas światło. Wszedł do środka sztywnym krokiem, a ja za nim.

Lampy były wszędzie. Zwisały z krokwi jak wielkie, brzydkie owo-ce. W środku stodoły stało około dwudziestu ludzi. Dwie kamery były wymierzone na plan składający się z dwóch ścian i królewskiego łoża.

Czekało przy nich dwóch operatorów, zasłoniętych przez swój sprzęt.

Niedaleko wejścia ustawiono długi stół, zawalony grubą warstwą toreb z żarciem na wynos i zimną pizzą. Około tuzina ludzi skupiło się wokół

jedzenia. Gdy weszliśmy, wgapili się w nas. Garstka z nich odwróciła się i małymi kroczkami zaczęła przesuwać do tyłu. Obserwowali. Ich oczy były prawie nieruchome, skupione. Teraz wiedziałam, co musi czuć gazela wśród stada lwów.

Co najmniej dwie trzecie ze zgromadzonych w stodole było zmiennokształtnymi. Prawdopodobnie nie wszyscy wilkołakami, ale nie mogłam stwierdzić w co się przemieniają, jedynie się przyglądając. Ich energia spalała się w powietrzu, prawie lśniąc. Gdyby coś poszło nie tak, nawet z Uzi byłabym w tarapatach. Nagle wściekłam się na Richarda. Nie powinniśmy przyjeżdżać tu sami. Postąpiliśmy zbyt lekkomyślne, żeby dało się nasz błąd wyrazić słowami.

Jakaś kobieta opuściła grupę. Miała na sobie coś, co wyglądało jak super wytrzymały tatuaż. Jej ciemne włosy były przycięte blisko głowy, odsłaniając ładną i czystą twarz, bez żadnego makijażu.

Szła ku nam niepewnie, jakby bała się, że ją pogryziemy. Powietrze wokół niej wibrowało i trochę błyszczało, jakby stawiało opór mniejszy niż powinno w rzeczywistości. Lykantrop. Nie byłam pewna jaki, ale to nie miało znaczenia. Są niebezpieczni bez względu na to, w jakie zwierzę się przemieniali.

- Richardzie - powiedziała.

Oddaliła się trochę od tłumu gapiących się ludzi. Jej małe dłonie poruszały się wzdłuż paska od torby z przyborami do makijażu.

- Co ty tu robisz?

- Wiesz, czemu przyjechałem, Heidi - odparł.- Gdzie Stephen?

- Nie mają zamiaru go skrzywdzić. To znaczy, jego brat tutaj jest.

Nie pozwoli go zranić, prawda?

- To brzmi, jakbyś próbowała przekonać siebie, nie nas - odparłam.

Jej oczy śmignęły w moją stronę.

- Ty musisz być Anita Blake. - Rzuciła okiem na gapiów za jej plecami.- Proszę Richardzie, odejdz.

Aura energii wokół niej zaczęła wibrować jeszcze bardziej. Niewiele brakowało, a świeciłaby się w

powietrzu. Czulałam coś, niczym ukłucia mrówek na skórze.

Richard podszedł do niej. Wzdrygnęła się, ale nie ruszyła ze swojego miejsca. Delikatnie dotykając skóry, pogładził ją po czole. Kiedy zabrał

rękę, energia wokół niej się uspokoiła.

- Spokojnie Heidi. Wiem, w jakiej sytuacji postawił cię Marcus.

Chcesz dołączyć do innego stada, ale musisz dostać jego pozwolenie.

Aby uzyskać tę zgodę zrobisz, co karze. Jeśli nie, jesteś w pułapce. Ale cokolwiek się stanie, nie będę miał ci tego za złe.

Czuć było niepokój. Jej nieziemska energia uspokoiła się, aż stała się niewyczuwalna. Teraz mogła nawet uchodzić za człowieka.

- Bardzo imponujące.

Jakiś mężczyzna zrobił kilka kroków w przód. Miał co najmniej sześć stóp wzrostu i był łysy niczym jajo. Jedyne, co było widać, to jego ciemne brwi powyżej jasnych oczu. Czarna koszulka napinała się od mięśni klatki piersiowej i ramion, jakby była powłoką owada, chroniącą przed wypuszczeniem potwora. Energia gotowała się wokół niego, jak powietrze w upalny dzień. Podszedł do nas z pewnością łobuza.

Jego moc pełzła wzdłuż mojej skóry, która mówiła, że to wytrzyma.

- Jest nowy- stwierdziłam.

- To Sebastian - odpowiedział Richard.- Dołączył do nas po śmierci Alfreda.

- To nowy ochroniarz Markusa - wyszeptała Heidi. Cofnęła się i stanęła w połowie drogi między dwoma mężczyznami, tyłem do kotary, a my całkowicie weszliśmy do środka.

- Wyzywam cię, Richardzie. Chcę być Freki'm.

Właśnie teraz pułapka została uruchomiona.

- Obaj jesteście alfami, Sebastianie, i nie musimy nic robić, żeby to udowodnić.

- Chcę być Freki'm, a żeby nim zostać, muszę cię pokonać.

- Możesz nim być, nie walcząc ze mną. Teraz jestem Fenrir'im.

- Marcus powiedział „nie”. Mówił, że muszę cię pokonać.

Richard zrobił krok w przód.

- Nie walcz z nim - powiedziałam.

- Muszę odpowiedzieć na wyzwanie.

Wpatrywałam się w Sebastiana. Richard nie był małym mężczyzną, ale przy Sebastianie właśnie na takiego wyglądał. Nie wycofałby się, żeby uratować samego siebie. Ale kogoś innego...

- A jak zginiesz? Tak po prostu mnie tu zostawisz?

Spojrzał na mnie poważnie, potem odwrócił się z powrotem do Sebastiana.

- Chcę bezpiecznego powrotu dla Anity.

Sebastian uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Jest dominująca. Nie rozdajemy gwarancji bezpieczeństwa. Ma równe szanse, tak jak my.

- Ona nie może przyjąć wyzwania, jest człowiekiem.

- Kiedy umrzesz, zrobimy z niej jedną z nas - rzucił Sebastian.

- Raina zabroniła nam robić z Anity lukoi - powiedziała Heidi.

Spojrzenie, jakim obdarzył ją Sebastian, sprawiło, że skuliła się przed kotarą. Jej oczy stały się okrągłe ze strachu.

- Czy to prawda?- zapytał Richard.

- Tak - odpowiedział Sebastian.- Możemy ją zabić, ale nie wolno nam robić z niej jednej z nas. - Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. – Więc pozostaje tylko śmierć.

Wyjęłam firestara za plecami Richarda, starając się, żeby lykantropy niczego nie zauważyły. Mieliśmy kłopoty. Nawet z Uzi nie mogłam zabić ich wszystkich. Gdyby Richard uśmiercił Sebastiana, mogłoby to uratować sytuację, ale on tego nie robi.

Inni zmiennokształtni przyglądali się nam cierpliwie, z podnieceniem w oczach. Taki był plan od samego początku. Mogliśmy wyjść wcześniej.

Miałam pomysł.

- Czy wszyscy ochroniarze Marcusa są dupkami?

Sebastian odwrócił się w moją stronę. – Czy to była obelga?

- Jeśli musisz pytać, istotnie była.

- Anito – ostrożnie wyszeptał Richard. - Co ty robisz?

- Bronię się - odpowiedziałam.

Jego oczy rozszerzyły się, ale nie przyjąłem tego spojrzenia jak od wielkiego wilkołaka. Richard zrozumiał, że nie było czasu, żeby o tym dyskutować. Sebastian zrobił krok do przodu, zaciskając wielkie dłonie w pięści. Próbował okrążyć Richarda, żeby dostać się do mnie, ale ten stanął przed Sebastianem. Wyciągnął rękę, i tak jak zrobił to z Heidi, stłumił energię wyciekającą z wilkołaka, jak woda z pękniętej filiżanki.

Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Uspokojenie Heidi to jedno.

Zmuszenie lykantropa do przełknięcia takiej mocy było czymś innym.

Sebastian cofnął się chwiejnym krokiem.

- Ty draniu.

- Nie jesteś dostatecznie silny, aby mnie wyzywać, Sebastianie. Nie zapomnij o tym - powiedział Richard.

Jego głos wciąż pozostawał spokojny, bez żadnej oznaki gniewu. To był rozsądny ton negocjatora.

Stałem za Richardem, z firestarem trzymany jak najdyskretniej tylko mogłem. Walka była odwołana, a mój mały popis brawury już nie-potrzebny. Nie doceniłem mocy Richarda. Przepraszę go za to później.

- Teraz, gdzie Stephen? - zapytał Richard.

Szczupły murzyn podszedł do nas, poruszając się niczym tancerz, skąpany we własnej, mieniącej się energii. Jego włosy były splecione w warkoczyki z ozdobnym koralikami. Miał delikatne i zgrabne rysy twarzy, jego skóra była czysto czekoladowa.

- Może jesteś w stanie kontrolować nas pojedynczo, ale nie wszystkich na raz.

- Zostałeś wyrzucony ze swojego ostatniego stada za złe zachowanie, Jamil - odparł Richard.- Nie popełniaj tego samego błędu po raz drugi.

- Nie będę. Marcus wygra tę walkę, bo ty będziesz okazywać pieprzone miłosierdzie. Ciągłe tego nie rozumiesz, Richardzie. My nie jesteśmy dobrymi samarytaninami. - Jamil zatrzymał się około ośmiu stóp przed nami. - Jesteśmy stadem wilkołaków, nie ludzi. Jeżeli tego nie akceptujesz, giniesz.

Sebastian cofnął się i stanął obok Jamila. Reszta lykantropów przesunęła się za dwóch mężczyzn. Ich złączona energia płynęła, wypełniając to pomieszczenie, niczym ciepła woda pełna małych piranii. Dro-binki mocy wzdłuż mojej skóry działały jak delikatne wyładowania elektryczne. Dostały się do mojego gardła, tak, że trudno mi było oddychać i włosy stawały mi dęba.

- Wkurzysz się, jeśli zabiję kilku z nich? - zapytałam Mój głos był surowy. Zbliżyłam się do Richarda, ale zaraz zrobiłam krok do tyłu. Jego moc uderzyła mnie niczym coś żywego. Robiło wra-

żenie, ale po drugiej stronie stało dwadzieścia lykantropów. Przy nich przestawało to być takie imponujące. Ciszę zakłócił krzyk. Aż podskoczyłam.

- Anito - powiedział Richard.

- Tak?

- Idź po Stephena.

- To były jego krzyki? - zapytałam.

- Idź po niego.

Zerknęłam na grupę lykantropów i spytałam: - Zatrzymasz ich?

- Dam sobie radę.

- Nie nas wszystkich - warknął Jamil.

- Owszem, wszystkich - odparł Richard.

Krzyk zabrzmiał ponownie, ale wyżej, bardziej błagalnie. Głos pochodził z głębszych części stodoły, tych podzielonych na pokoje. Znajdował się tam prowizoryczny korytarz. Zaczęłam z tamtej strony, ale później się zawahałam.

- Jeśli zabiję ludzi, bardzo się wkurzysz?

- Rób, co musisz – powiedział tylko.

Jego głos stał się niski, graniczył wręcz z warknięciem.

- Jeśli ona zabije Rainę bronią, nadal nie będzie twoją łupą - powiedział Jamil.

Rzuciłam okien na Richarda. Nie wiedział, że jestem kandydatką do tej roboty.

- Idź Anito. Teraz. - Jego głos zmienił się w ryk.

Nie musiał dodawać: „śpiesz się”. Dobrze o tym wiedziałam. Mógł

próbować grać na zwłokę, ale nie walczyć z nimi wszystkimi.

Heidi podeszła do mnie za placami Richarda. Nie zwracał na nią żadnej uwagi, jakby nie uważał jej za niebezpieczeństwo. Nie była potężna, ale nie trzeba być silnym, żeby dźgnąć kogoś od tyłu nożem lub pazurem.

Wycelowałam do niej z pistoletu. Minęła Richarda o kilka cali. Nic nie zrobił. Moja broń była jedyną rzeczą, która chroniła jego plecy. Nawet teraz ufał Heidi. W tej chwili nie powinien ufać nikomu poza mną.

- Gabriel jest z Rainą - oznajmiła.

Wypowiedziała jego imię, jakby się o niego bała, a on nie był nawet członkiem stada. Gabriel to lampartolak. Jeden z ulubionych aktorów Rainy. Pojawiał się w jej filmach porno, często zawierających auten-tyczne sceny tortur, a nawet śmierci. Prawie zapytałam się Heidi, kogo bardziej się boi, Rainy czy Gabriela. Ale to nie miało znaczenia. Mia-

łam zmierzyć się z nimi obojgiem.

- Dzięki - powiedziałam do Heidi.

Przytaknęła.

Poszłam korytarzem, kierując się dobiegającymi krzykami.

Rozdział 8

Weszłam w korytarz i podążyłam za głosami do drugich drzwi po lewej stronie. Słyszałam co najmniej dwa różne męskie, ciche, pomru-kujące. Nie mogłam zrozumieć słów. Krzyki przeszły we wrzaski.

- Przestań, proszę, przestań. Nie! - to także był męski głos. Jeśli nie torturowali dzisiaj więcej ludzi, to musiał być Stephen.

Wzięłam głęboki wdech, wypuściłam powietrze i sięgnęłam do drzwi lewą ręką, w prawej trzymałam broń. Żałowałam, że nie znałam rozkładu pokoju. Stephen wrzasnął:

- Proszę, nie!

Dość. Otworzyłam drzwi, uderzając nimi o ścianę, aby wiedzieć, że nikt za nimi nie stoi. Chciałam się rozejrzeć, ale to, co zobaczyłam na podłodze, zamroziło mnie w miejscu, jak w jakimś koszmarze.

Stephen leżał na plecach, rozchyłony biały ręcznik odsłaniał jego nagie ciało. Mimo że nie było widać ran, krew spływała po jego klatce piersiowej szkarłatnymi, ciężkimi strużkami. Gabriel własnym ciałem przytrzymywał ręce Stephena za plecami, mogły już być związane.

Długie, jasne włosy Stephena leżały na odzianych w skórę kolanach Gabriela, który był nagi od pasa w górę, nie licząc kolczyka w prawym sutku. Czarne, kręcone włosy spadały mu na oczy. Kiedy na mnie spojrzał, wyglądał jak ślepiec.

Drugi mężczyzna klęczał przy nogach Stephena. Kręcone blond włosy opadały aż do jego pasa. Miał na sobie taki sam biały ręcznik, tyle, że zawiązany. Kiedy spojrzał na drzwi, jego szczupłe, prawie piękne oblicze odzwierciedlało twarz Stephena. To musiał być jego brat.

Trzymał stalowy nóż. Kiedy weszłam, właśnie ciął. Świeża krew trysnęła z ciała Stephena. Wrzasnął. Była tam też naga kobieta, skulona nad Stephenem, siedziała na nim okrakiem, przytrzymując mu nogi. Jej długie, kasztanowe włosy opadały jak kurtyna, skrywając ostatnie z

upokorzeń. Raina uniosła głowę znad pachwiny Stephena. Na jej pełnych ustach pojawił się uśmiech. Pracowała nad jego wzwodem. Nawet pomimo protestów, jego ciało go nie słuchało.

Ogarnięcie tej sceny zajęło mi sekundę, wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Wyczułam ruch z prawej strony, chciałam się odwrócić, ale było za późno. Uderzyło we mnie coś futrzastego, w połowie ludzkiego. Wyrznęłam o ścianę, tak mocno, że zadrżała. Gdy upadłam oszołomiona na podłogę, firestar wypadł mi z ręki. Wilkołak wielkości kucyka pojawił się nade mną. Otworzył pysk - dostatecznie szeroki, aby zmiażdżyć mi twarz - i warknął nisko, gardłowo, dość strasznie, by zatrzymać moje serce.

Znów mogłam się poruszać, ale jego pysk był cał od mojego policzka, czułam jego oddech na mojej twarzy. Strużka śliny słyęła w kącik moich ust. Zniżył pysk o ostatni cal, przesuważając usta tak, jakby chciał

ugryźć kawałek. Uzi było przyszpilone między moimi plecami, a ścianą. Sięgnęłam po jeden z noży, wiedząc, że nie zdążę go wyciągnąć.

Ludzkie ręce objęły wilka, odrywając go ode mnie. Raina stała, trzymając szarpiącego się wilka, jakby nie sprawiało jej to żadnego wysiłku.

Jej piękne, nagie ciało zafalowało, pokazując mięśnie, których nie było widać, gdy ich nie używała.

- Nie może jej spaść włos z głowy. Mówiłam ci o tym. - Rzuciła wilkiem o następną ścianę, która pękła i wygięła się. Wilkołak leżał bez ruchu, jego oczy wywróciły się ku czasce.

Dało mi to czas, którego potrzebowałam. Wyciągnęłam Uzi, łapiąc za pasek upręży. Kiedy Raina odwróciła się do mnie, już w nią celowałam. Stała przede mną naga, perfekcyjna, smukła tam gdzie powinna być i zaokrąglona, gdzie trzeba. Ale skoro wiedziałam, że może rzeźbić swoje ciało wedle woli, nie robiło ono na mnie wielkiego wrażenia.

Gdyby wszyscy potrafili tak manipulować swoim wyglądem, kto by potrzebował operacji plastycznych?

- Mogłam pozwolić, aby cię zabiła, Anito. Nie wydajesz się bardzo wdzięczna. Usiadłam na podłodze, podparta o ścianę, nie ufając sobie, że mogę stanąć. Ale Uzi było wycelowane stanowczo i nieruchomo.

- Wielkie dzięki - odparłam. - A teraz wycofaj się powoli albo rozerwę cię na pół. Raina zaśmiała się nisko, radośnie.

Jesteś taka niebezpieczna. Taka ekscytująca. Prawda, Gabrielu?

Gabriel stanął obok niej. Oboje patrzyli na mnie z góry, to było za dużo jak dla mnie. Użyłam ściany jako podpory i podniosłam się. Mogłam stać. Świetnie. Zaczynałam myśleć, że nawet potrafię chodzić.

Jeszcze lepiej.

- Wycofajcie się - warknęłam.

Gabriel obszedł Rainę, stał teraz na wyciągnięcie ręki ode mnie.

- Jest doskonała dla kogoś, kto lubi ból i ma kaprys śmierci. - Wyciągnął rękę i przejechał palcami po moim policzku. Skierowałam broń w jego brzuch, bo i tak strzeli wyżej. Jeśli cel jest wysoko, możesz chybić.

- Ostatnim razem, Gabrielu, miałam tylko nóż. Przeżyłeś wypatroszenie, ale nawet ty nie wyleczysz ran, jeśli użyję broni maszynowej. Z

tej odległości rozerwie cię na pół.

- Naprawdę zabijesz mnie za to, że próbowałam cię dotknąć? -

Sprawiał wrażenie rozbawionego, a gdy jego dziwne, szare oczy wyjrzały zza splątanych włosów, wydawały się wręcz świecące.

- Po tym, co teraz widziałam, jasne. - Odeszłam od ściany. - A teraz odsuń się, albo zobaczymy, ile jesteś w stanie znieść.

- Wycofali się. Byłam niemal zawiedziona. Uzi ze srebrną amunicją zrobiłoby dokładnie to, co powiedziałam. Mogłam ich rozwalić, zabić, bez zamieszania, bez paniki, tylko z wielkim bałaganem. Pragnęłam ich śmierci. Przyglądałam się im przez sekundę i rozważałam to. Zastanawiałam się, czy nacisnąć spust i oszczędzić sobie wielu kłopotów. Raina wycofała się, ciągnąc za sobą Gabriela. Gdy odchodziła, patrzyła na mnie i zobaczyłam w jej oczach, że się zorientowała, jak blisko było.

Myślę, że do tego momentu nie zdawała sobie sprawy, że mogę ją zabić i potem spać spokojnie. Cholera, pozostawienie jej przy życiu przyprawi mnie o bezsenność.

Z drugiego pomieszczenia dobiegł przeraźliwy wrzask. Wycie rozległo się po całym magazynie. Później nastąpiła chwila ciszy i znów rozległy się ryki i wrzaski. Podłoga zadrżała pod wpływem uderzeń ciał.

Richard walczył beze mnie. Raina uśmiechnęła się.

- Richard cię potrzebuje, Anito. Idź do niego. Zajmiemy się Stephenem.

- Nie, dzięki.

- Richard może umrzeć, a ty tu marnujesz czas.

Strach spłynął na mnie jak zimny prysznic. Miała rację. Zwabili go tutaj, aby go zabić. Potrząsnęłam głową.

- Richard kazał mi wyciągnąć Stephena i to właśnie zamierzam zrobić.

- Nie wiedziałam, że tak dobrze przyjmujesz rozkazy - powiedziała.

- Przyjmuję te, które mi się podobają.

Stephen zwinął się w kłębek na boku, zasłaniając ręcznikiem. Brat usiadł obok niego, gładząc go po włosach i szepcząc:

- Już w porządku, Stephen. Nie jesteś ranny.

- Pociąłeś go, ty sukinsynu.

- Rozchylił ręcznik, ukazując jego klatkę. Stephen starał się zasłonić, ale był zbyt słaby. Brat bez trudu odtrącił jego ręce. Przetarł dłońmi zakrwawioną pierś. Skóra była idealna. Cięcia już się zagoiły, ale i tak ta krew należała do Stephena.

- Odejdź od niego, w tej chwili, albo strzelę.

Osunął się z szeroko otwartymi oczami. Uwierzył mi. Dobrze, bo to była prawda.

- Chodź, Stephen. Musimy iść.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie, łzy spływały mu po policzkach.

- Nie mogę stać. - Próbował się do mnie doczołgać, ale upadł na podłogę.

- Co mu daliście? - zapytałam.

- Coś, żeby się zrelaksował - odpowiedziała Raina.

- Ty suko.

- Dokładnie. - Uśmiechnęła się.

- Stań przy nich - powiedziałam do brata. Odwrócił się do mnie, podobnie jak Stephen był przerażony.

- Nie pozwoliłbym im go skrzywdzić. Spodobałoby mu się to, gdyby odpuścił.

- On jest ranny, sukinsynu! Teraz podejdź tu, ale już, albo cię zabiję.

Rozumiesz? Zabiję cię i będę z tego powodu szczęśliwa.

Wstał i podszedł do Gabriela.

- Dopilnuję, aby nikt go nie skrzywdził - powiedział cicho.

Ściany zadrżały. Rozległ się odgłos łamanego drewna. Ktoś został

rzucony na ścianę w pomieszczeniu obok. Musiałam nas stąd wydostać.

Musiałam znaleźć Richarda. Ale jeśli będę nieostrożna, to mi się nie uda. Nie tylko Richardowi groziło rozszarpanie gardła. Pokój wydawał

się mały, gdy znajdowało się w nim tyle lykantropów, i były zbyt blisko. Mogły na mnie skoczyć w czasie podnoszenia Stephena, ale z pistoletem maszynowym w ręce, załatwiłabym większość z nich, zanim by mnie dosięgły. To pocieszająca myśl. Daleko w kącie namierzyłam firestara. Podniosłam go i bez patrzenia włożyłam do kabury. Praktyka czyni mistrza. Wciąż trzymałam przed sobą Uzi. Czułam się przez to lepiej.

Uklękałam przy Stephenie, nie odrywając wzroku od pozostałych.

Trudno było to zrobić bez zerkania w dół, ale znajdowałam się stanowczo za blisko nich.

Wilk okazał się niewiarygodnie szybki, wątpiłam, że Raina ocaliłaby mnie drugi raz. Miałam szczęście, że nie chciała, aby mnie zraniono.

Objęłam Stephena w pasie, a on zdołał mi zarzucić rękę na szyję. Podniosłam się, Stephen cholernie mi ciążył, ale zdołaliśmy się utrzymać na nogach i z moją pomocą, wstał. Miałam szczęście, że mierzył mniej więcej tyle, co ja. Gdyby był wyższy, byłoby trudniej. Ręcznik się rozwiązał, Stephen zdjął jedną rękę z mojej szyi i próbował zasupłać go z powrotem, ale nie dał rady. Zaczął sięgać drugą ręką.

- Zostaw go, Stephenie, proszę. Musimy już iść.

- Nie chcę, żeby ludzie mnie oglądali.

Patrzył się na mnie, dzieliły nas tylko centymetry, jego twarz była niewyraźna, od lekarstw nie potrafił się skupić, w kąciku oka kręciła się łza.

- Proszę - powiedział.

Cholera. Objęłam go w pasie i powiedziałam:

- Śmiało.

Obserwowałam Rainę, podczas gdy on zawiązywał ręcznik, niezdarzenie i powoli przez te leki, które mu podała. Gdy skończył, cicho załkał.

- W pewnym sensie jesteś sentymentalna, jak Richard - stwierdziła. -

Ale mogłabyś nas zabić, wszystkich, nawet brata Stephena, i nic byś nie poczuła.

Spojrzałam w jej miodowo-brązowe oczy.

- Poczulałabym coś.

- Co? - zapytała.

- Bezpieczeństwo.

Wycofałam się do otwartych drzwi i upewniłam, że nikt tam nie stoi.

Znów spojrzałam na nich. Gabriel zrobił krok do przodu, ale Raina go zatrzymała, chwytając za rękę. Patrzyła na mnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała. Jakbym ją zaskoczyła. Z wzajemnością. Wiedziałam, że była pokrecona, ale w najśmielszych snach nie oskarżyłabym jej o gwałt na jednym z jej ludzi.

Stephen i ja wyszliśmy na korytarz; wzięłam głęboki oddech, jakiś ciężar spadł mi z piersi. Doszły do nas odgłosy walki. Chciałam tam pobiec. Richard wciąż żył, inaczej by nie walczyli. Miałam czas. Musiałam go mieć. Zawołałam do Rainy:

- Nie pokazuj mi się na oczy, dopóki nie znikniemy, albo cię odstrzelę, Raino. Nic nie odpowiedziała. Musiałam się dostać do Richarda.

Stephen potknął się i prawie nas przewrócił. Zawisł na moich ramionach, jego ręce uciskały mnie w kark, nogi się pod nim ugięły.

- Jesteś ze mną, Stephen?

- W porządku. Po prostu mnie stąd zabierz - miał słaby głos, wykończony, jakby tracił przytomność. Nie mogłam go nieść i jednocześnie strzelać, w każdym razie nie chciałam próbować. Przytrzymałam go mocniej i powiedziałam:

- Zostań przytomny, Stephen, a cię stąd wydostanę. Pokiwał głową, długie włosy przysłoniły mu twarz.

- Okej.

Powiedział to tak cicho, że prawie nie usłyszałam przez odgłos walki. Weszłam do głównego pomieszczenia i zastałam chaos. Nigdzie nie widziałam Richarda. Była po prostu sterta ciała, ręce, nogi, machające w powietrzu pazury, wysoki na siedem stóp mężczyzna-wilk. Sięgnął w dół i podniósł Richarda, wbijając w niego szpony. Richard wyciągnął

rękę - zbyt długą, jak na ludzką i niedostatecznie owłosioną, jak na wilczą - i wbił się w jego gardło. Istota zakrzuszyła się krwią.

Wilk, prawie tak wielki jak Richard, skoczył na jego plecy. Richard zachwiał się, ale nie upadł. Kły zatopiły się w jego ramieniu. Otoczone futrem szpony i ludzkie ręce chwyciły go z każdej strony. Pieprzyć to.

Wystrzeliłam w podłogę. Byłoby efektowniej, gdybym posłała serię w światła, ale kule odbiłyby się z taką samą prędkością, a nie chciałam dostać rykoszetem. Trzymać karabin maszynowy w jednej ręce - to był

wyczyn. Wystrzelałam linie ode mnie do łóżka i wymierzyłam w tłum.

Zapadła cisza, wszyscy byli w szoku. Richard wyczołgał się z koszmaru, krwawił. Wstał, kiwając się trochę, ale o własnych siłach. Nie było mowy o niesieniu ich dwóch i broni. Zatrzymał się przed kurtyną i poczekał, aż do niego dojdę. Stephen zawisł na mnie, ręce mu zwiotczały.

Myślę, że zemdłał.

Był to niewiarygodnie długi spacer ku Richardowi. Gdybym się potknęła, dopadliby mnie. Wodzili za mną wzrokiem, człowiek i wilk, ale nikt z kim bym mogła porozmawiać. Patrzyli na mnie, jakby zastanawiali się, jak smakuję i cieszyliby się, gdyby mogli spróbować. Wielgachny człowiek-wilk przemówił, dziwnie wyglądał futrzasty pysk wypowiadający ludzkie słowa:

Nie zdołasz zabić nas wszystkich, człowieku. Miał rację. Podniosłam broń trochę wyżej.

Prawda, ale kto chce być pierwszy?

Gdy szłam, nikt więcej się nie poruszył. Kiedy dotarłam do Richarda, wziął ode mnie Stephena, układając go na rękach jak małe dziecko.

Krew spływała mu po twarzy z rozcięcia na czole. Przykrywała połowę jego twarzy, jak maska.

- Stephen nigdy tu nie wróci, przenigdy - powiedział Richard. Pół

człowiek, pół wilk znów przemówił:

- Nie jesteś mordercą, Richardzie. To jest twoja słabość. Nawet jeśli sprowadzimy tu znów Stephena, nie zabijesz nas za to. Skrzywdzisz, ale nie zabijesz.

Richard nic nie powiedział. Prawdopodobnie to była prawda. Cholera.

- Ja was zabiję - powiedziałam.

- Anito, nie wiesz, co mówisz - odparł Richard. Spojrzałam na niego, potem znów na tłum.

- Zabijanie to jedyna rzecz którą rozumieją, Richardzie. Jeśli nie zamierzasz ich zabić, Stephen nie będzie bezpieczny. Chcę go chronić.

- Dostatecznie mocno, aby zabić? - spytał.

Taa - odpowiedziałam - dostatecznie, aby zabić. Człowiek-wilk gapił

się na mnie.

- Nie jesteś jedną z nas.

- To nie jest ważne. Stephen jest po za zasięgiem. Powiedz Rainie, że jeśli on znów się tu znajdzie,

będzie za to osobiście odpowiedzialna.

- Powiedz mi to sama. - Raina stała w korytarzu, naga i całkowicie nieskrępowana, jakby miała na sobie piękny jedwab. Gabriel tkwił za nią.

- Jeśli ktokolwiek przyprowadzi tu Stephena z powrotem, będzie go zmuszał to brania udziału w tych filmach, zabiję cię.

- Nawet jeśli nie będę z tym miała nic wspólnego. Uśmiechnęłam się tak, jakbym miała w to uwierzyć.

- Nawet jeśli, nie ważne kto to zrobi, lub dlaczego, ty będziesz za to odpowiadać. Pokiwała głową, niemal się kłaniając.

- Niech tak będzie, Anito Blake. Ale pamiętaj o tym, wyzwalaś mnie na oczach mojego stada. Nie mogę tego pozostawić bez odpowiedzi.

Gdybyś była zmiennokształtną, już toczyłybyśmy pojedynek, ale to, że jesteś człowiekiem stwarza problem.

Pamiętaj o tym, suko. Jestem człowiekiem, więc jeśli oczekujesz, że rzucę broń i stanę do walki jeden na jednego, to znaczy, że oszalałaś.

- To nie byłoby fair, prawda?

- Nie sądzę, abyś przejmowała się tym, co jest fair, po tym, co widziałam w tamtym pokoju.

- Och, to - westchnęła. - Stephen nigdy nie wybije się w stadzie. Nie ma tu dla niego więcej wyzwań. Jest podwładnym najsilniejszego w grupie.

- Już nie - odpowiedziałam.

- Oferujesz mu swoją ochronę? - zapytała.

Już raz zadano mi to pytanie i było to czymś więcej, niż by się mogło wydawać, ale nie obchodziło mnie to. Pragnęłam bezpieczeństwa Stephena, robiąc wszystko w tym kierunku, zabijając lub będąc celem.

Psiakrew, najprawdopodobniej i tak zabójca mnie wcześniej wykończy.

- Taa. Jest pod moją ochroną.

- Już jest pod moją ochroną, Anito - powiedział Richard. - Dopóki nie zdecydujesz się zabić, aby to udowodnić, to nic nie znaczy dla tych ludzi.

- Zabijesz, aby poprzeć Richarda w żądaniu o ochronę? - spytała Raina.

- Ona nie wie, o co ci chodzi - wtrącił Richard - To nie fair pytać, gdy nie rozumie.

- Więc jej wyjaśnij, Richardzie, ale nie dzisiaj. Robi się późno i jeśli chcemy coś skończyć, musimy się pośpieszyć. Zabierz swojego małego człowieczka i wyjaśnij zasady. Powiedz jej, jaki dół dzisiaj wykopała pod sobą. Jak zrozumie, zadzwoń. A ja wymyślę sposób, aby przeprowadzić między nami pojedynek, jak najbardziej fair. Może zasłonię sobie czymś oczy, albo przywiążę rękę za plecami.

Chciałam coś powiedzieć, ale Richard mnie ubiegł:

- Chodź, Anito. Musimy już iść.

Miał rację. Mogłam zabić wielu z nich, ale nie wszystkich. Nie wzię-

łam zapasowego magazynku do broni. Nie myślałam, że będę go potrzebować. Głupia ja.

Przeszliśmy przez drzwi tyłem; byłam gotowa strzelić do każdego, kto wyjdzie za nami. Nikt tego nie zrobił. Richard niósł Stephena przez ciemność nocy i nie oglądał się, jakby wiedział, że nie będą nas ścigać.

Otworzyłam drzwi; położył Stephena na tylnym siedzeniu.

- Możesz prowadzić w drodze do domu? - spytał.

- Tak, jak bardzo jesteś ranny?

- Nie bardzo, ale chcę jechać z nim z tyłu, na wypadek gdyby się obudził - nie mogłam się sprzeczać, więc siadłam za kierownicą.

Byliśmy bezpieczni. I wszyscy żyliśmy. Ale gdyby nas zaatakowali, nie ocalelibyśmy. Teraz, kiedy mieliśmy zapewniony względny spokój, mogłam się złościć.

Cóż, żyjemy. Ale nie dzięki twojemu małemu planowi - rzuciłam.

- Dzięki mojemu małemu planowi nikt nie zginął - odpowiedział.

- Tylko dlatego, że byłam uzbrojona lepiej niż dotychczas.

- Miałaś rację - przyznał. - To była pułapka. Zadowolona?

- Taa, jestem zadowolona.

- Miło wiedzieć. - W jego głosie, oprócz sarkazmu, usłyszałam zmęczenie.

- Co masz mi niby wyjaśnić, Richardzie? - Zerknęłam na niego w lusterku, ale nie mogłam po ciemku zobaczyć jego twarzy.

- Raina wspiera Markusa. Jest jego lupą. Wykorzystuje ją do takich rzeczy, których nie pochwała, na

przykład do tortur.

- Więc zadeklarowałam się jako twoja lupa.

- Tak, ja jestem Fenrirem. Normalnie już miałbym swoją lupę. Stado jest podzielone, Anito. Dałem ochronę moim sprzymierzeńcom i jeśli Markus spróbuje ich skrzywdzić, zemszczę się, albo moi zwolennicy mogą się chronić nawzajem, mają na to moje błogosławieństwo. Bez Fenrira lub przywódcy stada, wstawiającego się za tobą, uznają cię za buntownika.

- Jaka jest kara za bunt?

- Śmierć albo okaleczenie.

- Myślałam, że możecie wyleczyć każdą ranę.

- Nie, jeśli potraktujesz ją rozgrzanym żelazem. Ogień oczyści ranę i zatrzyma leczenie, chyba, że otworzysz ją ponownie.

- Tak też to wygląda w przypadku wampirów - stwierdziłam.

- Nie wiedziałem - odpowiedział, ale słyhać było, że miał to gdzieś.

- Jak osiągnąłeś wyższą pozycję w stadzie, skoro nikogo nie zabiłeś?

Musiałeś przecież stanąć do wielu pojedynków, aby wspiąć się na szczyt.

- Jedynie walka o stanowisko Ulfrica toczy się na śmierć i życie.

Musiałem więc ich tylko pokonać.

- To dlatego bierzesz lekcje karate i podnosisz ciężary, żeby móc ich zwyciężyć?

Już wcześniej przeprowadziliśmy taką rozmowę, kiedy spytałam, po co podnosić ciężary, skoro możesz dźwignąć ławkę lub mały samochód. Powiedział, że ma to sens, gdy przeciwnik też da radę podnieść auto. Miał rację.

- Tak.

- Ale jeśli nie zabijasz, to twoje groźby są bez pokrycia.

- Nie jesteśmy zwierzętami, Anito. Fakt, że zawsze tak było, nie oznacza, że nie można tego zmienić. Wciąż jesteśmy ludźmi i potrafimy się kontrolować. Cholera, musi być inny sposób, niż wymordowanie siebie nawzajem.

Pokręciłam głową.

- Nie zwalaj tego na zwierzęcą naturę. Prawdziwe wilki nie walczą o dominację.

- Tylko wilkołaki - miał zmęczony głos.

- Podziwiam twoje starania, Richardzie.

- Ale nie zgadzasz się ze mną.

- Nie, nie zgadzam się.

Jego głos dobiegał z ciemności, z tylnego siedzenia.

- Stephen nie ma żadnych ran. Dlaczego krzyczał?

Zgarbiłam się i musiałam się zmusić do wyprostowania. Skręciłam w starą autostradę 21 i próbowałam wymyślić, jak mu to delikatnie powiedzieć, ale w gwałcie nie było nic subtelnego.

Powiedziałam mu, co zobaczyłam. Cisza na tylnym siedzeniu trwała długo. Już prawie podjechałam pod jego dom, gdy powiedział:

- I myślisz, że gdybym zabił wcześniej kilku ludzi, to by się nie wydarzyło?

- Myślę, że bardziej boją się Rainy i Markusa niż ciebie, więc tak.

- Jeśli podpierasz moje groźby zabijaniem, to podkopuje moje wcześniejsze starania.

- Kocham cię, Richardzie i podziwiam za to, co próbujesz zdziałać, ale jeśli jeszcze kiedyś dotkną Stephena, zrobię to, co powiedziałam.

Zabiję ich.

- Oni są moimi ludźmi, Anito. Nie chcę ich śmierci.

- Nie są twoimi ludźmi, Richardzie. To tylko grupa obcych osób, które łączy ta sama przypadłość. Stephen jest twoim człowiekiem. Każdy zmiennokształtny, który cię wspierał i ryzykował gniew Markusa jest twoim człowiekiem. Zaryzykowali dla ciebie wszystko, Richardzie.

Kiedy Stephen dołączył do stada, ja byłem tym, który powiedział

Rainie, że nie może go mieć. Zawsze się za nim wstawiałem.

- Twoje intencje są dobre, Richardzie, ale nie zapewniły mu dzisiaj bezpieczeństwa.

- Jeśli pozwolę ci zabić w moim imieniu, to tak jakbym zrobił to sam.

- Nie prosiłam cię o pozwolenie, Richardzie.

Nachylił się ku mojemu siedzeniu; zorientowałam się, że nie miał

zapiętych pasów. Już chciałam powiedzieć, aby je zapiał, ale powstrzymałam się. To był jego samochód i na pewno przeżyłby, gdyby wypadł przez przednią szybę.

- Jeśli znów zabiorą Stephena, zabijesz ich tylko dlatego, że tak powiedziałaś, nie dla mnie.

- Groźba jest nic nie warta, jeżeli nie poprą jej czyny - odparłam.

- Zabiłabyś dla Stephena. Dlaczego? Bo uratował ci życie?

Pokręciłam głową. Ciężko było to wyjaśnić. - Nie chodzi tylko o to.

Kiedy zobaczyłam go dziś w nocy, co z nim robili... Płakał, Richardzie.

Był... Cholera, teraz należy do mnie. Jest tylko garstka ludzi, dla których jestem gotowa zabić, aby zapewnić im bezpieczeństwo, aby się zemścić. Dziś w nocy do mojej listy zostało dopisane imię Stephena.

- Czy ja też na niej jestem? - zapytał. Oparł swoją głowę na moim ramieniu. Otarł się policzkiem o moją twarz, mogłam poczuć delikatny zarost, drapiący i prawdziwy.

- Wiesz, że tak.

- Nie rozumiem, jak możesz z taką łatwością mówić o zabijaniu.

- Wiem.

Moja oferta, abym stał się Ulfrikiem, byłaby bardziej atrakcyjna, gdybym był gotów zabijać, ale gra nie jest warta świeczki.

Jeżeli chcesz zostać męczennikiem w imię wysokich ideałów, w porządku. Nie podoba mi się to, ale w porządku. Jednak nie czyn męczennikami ludzi, którzy ci ufają. Są warci więcej, niż jakiegokolwiek ideały.

Dziś w nocy prawie dałeś się zabić.

- Nie wierzysz w coś dlatego, że to łatwe, Anito. Zabijanie jest złe.

- Niech ci będzie - przyznałam. - Ale ja też przez ciebie prawie zostałam zabita. Rozumiesz? Gdyby się na nas rzucili, nie zdążyłabym zareagować. Nie poniosę spektakularnej porażki, bo ty chcesz pobawić się w Ghandiego³.

- Następnym razem możesz zostać w domu.

- Szlag by to, nie to miałam na myśli i ty dobrze o tym wiesz. Próbujesz żyć w świecie Ozziego i Harriet⁴, Richardzie. Może to kiedyś dzia-

łało, ale już nie. Jeżeli nie porzucisz tego pomysłu, zginiesz.

- Gdybym naprawdę uważał, że muszę zostać mordercą, aby prze-

żyć, wolałbym zrezygnować z przetrwania.

Spojrzałam na niego. Miał spokojną twarz, niczym święty. Ale świę-tym możesz zostać tylko, jeśli umrzesz. Spojrzałam w tył na drogę.

Mogę darować sobie Richarda, ale jeżeli go zostawię, skończy martwy.

Poszedłby tam dzisiejszej nocy sam i nie udałoby mu się wyjść z tego żywym.

Poczułam piekące łzy. - Nie wiem, czy ja bym przetrwała, gdybyś umarł, Richardzie. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

Pocałował mój policzek i jakaś ciepła strużka spłynęła po moim karku. - Ja też cię kocham.

To były tylko słowa. Zamierzał dać się zamordować, nie bacząc na mnie. Planował zrobić wszystko, poza samobójstwem. - Krwawisz na mnie - powiedziałam.

Westchnął i odchylił się w mrok. - Mocno krwawię. Nie ma w pobli-

żu Jean-Claude'a, żeby to zlizał, co za niefart. - Wydał niski, zgorzknia-

ły dźwięk.

- Powinieneś pojechać do lekarza?

- Zawieź mnie do domu, Anito. Jeżeli będę potrzebował pomocy medycznej, znam szcziurołaka, który przyjeżdża do pacjentów. - Wyda-3 Mahatma Ghandi (jego imię oznacza „wielka dusza”) - propagował w Indiach pacyfizm, jako sposób politycznej walki. W 1948 roku został zabity przez lidera przeciwnej strony, hinduskie-go fundamentalistę Nathurama Godse.

4 Ozzie i Hariet Nelson - to postaci z najdłuższego emitowanego w USA animowanego tasiem-ca. Nelsonowie byli prawdziwymi ludźmi, a ich przygody odzwierciedlały życie typowej amerykańskiej rodziny.

wał się być zmęczony, wyczerpany, jakby już nie chciał dłużej rozmawiać. O ranach, stadzie czy górnołotnych ideałach. Pozwoliłam, aby zapadła cisza i nie wiedziałam, jak ją przerwać. Miękki odgłos wypełnił

cichą ciemność i zdałam sobie sprawę, że Richard płacze.

Wyszeptał: - Przepraszam, Stephen. Tak mi przykro.

Milczałam, ponieważ nie miałam nic wartościowego do powiedzenia. Ostatnio zauważyłam, że mogę zabijać ludzi bez mrugnięcia okiem.

Żadnych wyrzutów sumienia, żadnych koszmarów, nic. Zupełnie jakby jakaś część mnie się wyłączyła. Nie martwiło mnie to, że mogę z łatwo-

ścią zabijać. Martwiło mnie, że pozostaję obojętna. Ale były też plusy takiego stanu rzeczy. Jak dzisiejsza noc. Sądzę, że absolutnie każdy futrzasty uwierzył, że zrobię to, co obiecałam. Czasami dobrze być przerażającym.

Rozdział 9

Była 4:40 rano, kiedy Richard wniósł na rękach nieprzytomnego Stephena do swojej sypialni. Zasychająca krew przylepiła koszulkę do pleców alfy.

- Idź do łóżka, Anito. Zajmę się Stephenem.

- Muszę obejrzeć twoje rany - odparłam.

- Nic mi nie jest.

- Richardzie...

Spojrzał na mnie. Połowę twarzy pokrywała mu zaschnięta krew, miał niemal dzikie oczy.

- Nie, Anito, nie chcę twojej pomocy. Nie potrzebuję jej.

Wzięłam głęboki oddech i wypuściłam powietrze.

- Dobrze, niech ci będzie.

Spodziewałam się, że przeprosi za to, że wyładował na mnie swój gniew, ale nie zrobił tego. Po prostu wyszedł do drugiego pokoju i zamknął drzwi. Stałam w salonie przez dobrą minutę, niepewna, co robić.

Zraniłam jego uczucia, może nawet uraziłam męską dumę. Pierdolić to.

Jeżeli nie mógł spojrzeć prawdzie w oczy, pierdolić to. Stawką były ludzkie istnienia. Nie potrafiłam prawić mu pocieszających kłamstw, gdy mogło to kosztować kogoś życie.

Weszłam do pokoju gościnnego, zamknęłam drzwi i podeszłam do łóżka. Założyłam za dużą koszulkę z karykaturą Artura Conana Doyle'a*.

Spakowałam coś trochę bardziej seksownego. Tak, przyznaję się. Mogłam oszczędzić sobie kłopotu. Firestar odznaczał się pod poduszką.

Broń maszynowa trafiła pod łóżko, w zasięgu ręki. Obok położyłam zapasowy magazynek. Nie podejrzewałam, że będę potrzebować takiej siły ognia, ale pomiędzy próbami zabójstwa a stadem wilkołaków, zaczynałam czuć się trochę niepewnie.

Kiedy wepchnęłam srebrne noże do połowy pod materac - abym mogła ich dosięgnąć, gdyby zaszła taka potrzeba - zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo niepewnie się czułam. Ale zostawiłam je na wierzchu. Lepiej być niepewną paranoiczką, niż po prostu martwą.

Wyjęłam z walizki mojego pluszowego pingwinka Zygmunta i zwinęłam się pod pościelą. Miałam jakieś mgliste wyobrażenie tego, że spędzenie nocy w domu Richarda może być romantyczne. Widać, jak niewiele wiem. Pokłóciliśmy się trzy razy podczas jednej nocy. To re-kord nawet dla mnie. Zapewne to nie był dobry znak dla trwałości związku. Ta myśl sprawiła, że poczułam ucisk w klatce piersiowej. Ale co miałam zrobić? Pójść do drugiego pokoju i przeprosić? Powiedzieć mu, że miał rację, gdy tak nie było? Powiedzieć mu, że doprowadzenie do własnej śmierci i pociągnięcie za sobą reszty z nas jest w porządku?

To nie jest w porządku. To nie jest nawet blisko bycia w porządku.

Ścisnęłam Zygmunta, dopóki prawie go nie rozprułam. Nie będę płakać. Pytanie: dlaczego bardziej martwiłam się tym, że mogę stracić Richarda, niż zamachowcami? Odpowiedź: zabijanie mnie nie ruszało, utrata Richarda - owszem. Zasnęłam, tuląc mojego pingwinka i zastanawiając się, czy Richard i ja nadal jesteśmy parą. Kto utrzymałby go przy życiu, gdyby mnie nie było w pobliżu?

Coś mnie obudziło. Zamrugałam w ciemności i sięgnęłam pod poduszkę po firestara. Gdy bezpiecznie znalazł się w mojej dłoni, zaczę-

łam nasłuchiwać. Pukanie, ktoś pukał do zamkniętych drzwi sypialni.

Delikatnie, z wahaniem. Czy to Richard przyszedł, żeby przeprosić? To ułatwiłoby sytuację.

Odrzuciłam pościel, zwałając Zygmunta na podłogę. Włożyłam go z powrotem do walizki, opuszczając pokrywę bez zamykania, i pode-

* Sir Arthur Conan Doyle – szkocki pisarz, autor m.in. przygód Sherlocka Holmes'a szłam boso do drzwi. Stałam z boku i spytałam:

- Kto tam?

- Stephen.

Wypuściłam powietrze, które nieświadomie wstrzymywałam. Nadal trzymając w pogotowiu pistolet, podeszłam do drzwi i przekręciłam zamek. Otworzyłam powoli, wypatrując, nasłuchując, starając się upewnić, że to tylko Stephen.

Stał po drugiej stronie ubrany w podwinięte dresowe spodnie. Nieomal sięgały kostek. Pożyczona koszulka zakrywała kolana. Jego długie, złote włosy były rozczochrane, jakby dopiero wstał.

- Coś się stało? – zapytałam.

Opuściłam rękę z pistoletem, pod baczny spojrzeniem jego oczu.

- Richard wyszedł, a ja boję się spać sam.

Nie patrzył mi prosto w oczy. Gdy kończył zdanie, uciekł wzrokiem, jakby bał się tego, co zobaczy na mojej twarzy.

- Jak to wyszedł? Dokąd?

- Do lasu. Powiedział, że będzie wypatrywał zabójców. Czy ma na myśli Rainę? - zapytał i wtedy spojrzał na mnie. Jego niesamowicie niebieskie oczy były rozszerzone, początki paniki zaczynały odbijać się na jego twarzy.

Dotknęłam jego ramienia, nie będąc pewną, czy właściwie postępuję. Niektórzy ludzie nie chcą być dotykani po tym, jak ich molestowa-no. Dotyk zdawał się uspokajać Stephen. Ale zerknął za siebie, spojrzał na pusty salon, trąc skórę na gołych ramionach.

- Richard nakazał mi zostać w domu. Powiedział, że muszę odpocząć. - Znów nie chciał spojrzeć mi w oczy. - Boję się być sam, Anito.

Ja...

Zwiesił głowę, długie, złote włosy rozsypały się zakrywając jego twarz niczym kurtyna. - Nie mogę zasnąć. Ciągłe słyszę jakieś odgłosy.

Delikatnie dotknęłam jego brody i uniosłam twarz.

- Pytasz, czy możesz spać ze mną w pokoju?

Jego szeroko otwarte, wypełnione bólem oczy wpatrywały się we mnie. - Richard powiedział, że mogę.

- Zadaj powtórnie to samo pytanie mi.

- Powiedziałem mu, że nie zniosę samotności. Odparł, jest tu Anita, ona cię ochroni. Pójdź do niej spać.

Patrzył na mnie, jego twarz wyrażała zażenowanie. Musiał coś wyczytać z mojej mimiki. - Teraz jesteś zła. Nie mam do ciebie pretensji.

Przepraszam... Ja...

Zaczął się odwracać, lecz chwyciłam go za ramię.

- W porządku Stephen. Nie jestem na ciebie zła. Richard i ja... posprzeczailiśmy się, to wszystko.

Nie chciałam, aby ze mną spał. Łóżko było za małe dla dwóch osób i jeżeli miałabym je z kimś dzielić, wolałabym, żeby to był Richard, ale to nierealne marzenie. Może nawet nigdy, biorąc pod uwagę, jak nam idzie.

- Możesz tutaj zostać.

Nie dodałam: trzymaj ręce przy sobie. W jego twarzy odczytałam bolesną potrzebę, która nie miała nic wspólnego z seksem. Pragnął, by trzymać go w ramionach, powiedzieć mu, że pod łóżkiem wcale nie ma potwora. W tym ostatnim nie mogłam mu pomóc. Potwory były prawdziwe. Ale jeżeli chodzi o pierwsze, da się coś zrobić. Może ja, zimno-krwisty zabójca, mogłabym podzielić się z nim pluszowym pingwin-kiem.

- Wezmiesz dodatkową poduszkę z pokoju Richarda? - spytałam.

Przytaknął i przyniósł ją. Przyciskał poduszkę do piersi, jakby raczej wolał spać z nią, niż na niej. Może pingwinek nie był wcale takim złym pomysłem.

Zamknęłam za nami drzwi. Mogliśmy się przenieść do pokoju Richarda. Tam było większe łóżko, ale też ogromne okno wykonane z pojedynczej tafli szkła, weranda i karmniki dla ptaków. Pokój gościnny miał tylko jedno małe okno. Łatwiej się bronić, trudniej uciekać. Oba okna były pułapkami - więc zostaliśmy w bezpieczniejszym pomieszczeniu. Poza tym musiałabym przenieść całe uzbrojenie i byłby już świt, zanim bym skończyła.

Odchyliłam kołdrę i powiedziałam - Ty pierwszy.

Jeżeli coś weszłoby przez drzwi wolałam być z brzegu, by to powitać, ale nie powiedziałam tego głośno. Stephen był wystarczająco ner-wowy.

Wszedł do łóżka, a ponieważ nie było miejsca na dwie duże poduchy, przycisnął swoją do ściany. Leżał na plecach wpatrując się we mnie, jego kręcone blond włosy układały się wokół twarzy i nagich ramion, niczym u śpiącej królowy. Nie często widuje się mężczyzn z włosami dłuższymi niż moje. On był jednym z tych raczej ładnych niż przystojnych, śliczny niczym lalka. Wpatrując się we mnie tymi swoimi wielkimi, niebieskimi oczami, wyglądał na dwanaście lat. Wyraz twarzy dopełniał takiego wizerunku. Wyglądał jakby się spodziewał, że go kopnę i pozwoliłby na to, ponieważ nie potrafili by mnie powstrzymać.

W tym momencie pojęłam, co Raina miała na myśli mówiąc, że to ofiara dla każdego. W Stephenie nie było nic z dominującego osobnika, zaczęłam się zastanawiać nad jego przeszłością. Maltretowane dzieci czasami mają takie przepełnione bólem spojrzenie. Znoszą złe traktowanie, bo to dla nich normalne.

- Coś się stało? - zapytał Stephen.

Gapiałam się. - Nic, po prostu rozmyślałam.

Ta noc nie była właściwą, aby zapytać go, czy był bity przez ojca.

Zastanawiałam się nad założeniem jeansów, ale byłoby mi niewygodnie i za gorąco. Mieliśmy późną wiosnę, upały jeszcze się nie zaczęły. Było tylko 20 stopni, ale nie dość chłodno, aby nosić jeansy, szczególnie, jeżeli dzieliło się z kimś łóżko. Poza tym nie byłam pewna, jak Stephen zareaguje na to, że ubieram się, przed położeniem koło niego. Jeżeli którekolwiek z nas byłoby większe, nie

zmięścilibyśmy się. W tej sytuacji Stephen musiał leżeć na boku.

Zwinął się za moimi plecami, przylegając do linii mojego ciała. Jedno ramię przełożył nad moją talią, jakbym była wypchaną zabawką.

Zesztywniałam, ale Stephen zdawał się tego nie zauważyć. Wtulił twarz w moje plecy i westchnął. Leżałam w ciemnościach, nie mogąc zasnąć.

Dwa miesiące temu, po tym, jak nieomalże stałam się wampirem, mia-

łam problemy ze snem. Otarcie się o śmierć mogłam zdzierżyć. Otarcie się o przemianę w wampira – przeraziło mnie. Ale poradziłam sobie z tym. Aż do teraz sypiałam bez problemów, serdecznie dziękuję. Przycisnęłam guzik na zegarku, by go podświetlić. Dochodziła 5:30. Spałam tylko godzinę. Wspaniale.

Stephen zaczął oddychać głębiej, jego ciało rozluźniło się. Zaskomlał cicho przez sen, jego ramię zacisnęło się wokół mnie, potem koszmar minął, a on leżał nieruchomy i ciepły.

Zasnęłam poprawiając rękę Stephena wokół mojego ciała. Był prawie tak dobry, jak pluszowa zabawka, choć miał tendencję do poruszania się w dziwnych momentach.

Światło dnia przeniknęło przez cienkie zasłony. Na początku myśla-

łam, że to właśnie ono mnie ocuciło. Obudziłam się zesztywniała - w tej samej pozycji, w jakiej zasnęłam, jakbym nie poruszyła się przez całą noc. Stephen nadal się we mnie wtulał, z nogą przełożoną nad moimi nogami, jego ramię ciągle mnie obejmowało. Nawet we śnie próbował

zbliżyć się na tyle, na ile było to możliwe.

Leżałam przez chwilę w jego objęciach i zdałam sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie obudziłam się obok mężczyzny. Miałam narzeczo-nego na studiach i uprawiałam z nim seks, ale nigdy nie zostałam na noc. W rzeczywistości nigdy nie spałam w jednym łóżku z facetem. To było dziwne. Leżałam otoczona ciepłem Stephena i marzyłam, aby to był Richard.

Miałam niejasne poczucie, że coś mnie obudziło, ale co? Wysunęłam się spod kołdry i z ciasnych objęć Stephena. Przekręcił się z westchnieniem na drugi bok, wydając ciche, protestujące jęki. Przykryłam go i wyjęłam firestara spod poduszki.

Według mojego zegarka dochodziła 10:30. Spałam prawie pięć godzin. Założyłam jeansy, wzięłam szczoteczkę, świeżą bieliznę i skarpetki z walizki. Zawinęłam wszystko w czystą koszulkę polo i otworzy-

łam drzwi. Trzymałam w dłoni firestara. Na czas porannej toalety zamierzałam położyć go na sedesie. Robiłam tak samo w domu.

Ktoś rozmawiając przeszedł przed drzwiami. Usłyszałam dwa głosy, jeden kobiecy. Zostawiłam ubrania na podłodze, odbezpieczyłam broń i położyłam lewą dłoń na klamce.

- Czy usłyszałem dźwięk odbezpieczanej broni? – zapytał męski głos po drugiej stronie drzwi. Rozpoznałam go.

Z powrotem zabezpieczyłam broń, wetknęłam pistolet z przodu spodni i naciągnęłam na niego koszulkę. Uzbrojona, ale niedostrzegal-nie. Otworzyłam drzwi.

Za nimi stał szczerzący się Jason. Był mniej więcej mojego wzrostu.

Miał gładkie jak u dziecka, proste blond włosy, obcięte tuż nad linią ramion. Oczy w tym niewinnym kolorze wiosennego nieba, ale ich wyraz wcale niewinny nie był. Zajrzał przez moje ramię do pokoju; Stephen nadal leżał zwinięty na łóżku.

- Czy następnym razem będzie moja kolej? - zapytał.

Westchnęłam, podniosłam ubrania, wcisnęłam je pod pachę i zamknęłam za sobą drzwi. - Co tu robisz, Jason?

- Mój widok wydaje się nieszczerólnie cię uszczęśliwiać.

Miał na sobie koszulkę z siateczki. Jego jeansy były wyblakłe i miękkie, na jednym kolanie całkiem przetarte. Zanim dołączył do stada, miał dwadzieścia lat i studiował. Teraz był wilkiem Jean-Claude'a, pełniąc rolę ochroniarza i pierwszego śniadania Mistrza Miasta co zdawało się być jedynym jego zadaniem.

- Nie jest czasem zbyt wcześnie na noszenie siateczki? – zapytałam.

- Poczekaj, aż zobaczysz, co założę na dzisiejsze przyjęcie z okazji otwarcia nowego klubu tanecznego Jean-Claude'a.

- Nie wiem, czy dam radę się zjawić - odparłam.

Uniósł brwi. - Spędzasz noc w domu Richarda i odwołujesz randkę z Jean-Claude'm. - Pokręcił głową. – To chyba nie jest dobry pomysł.

- Posłuchaj, żaden z nich nie ma mnie na wyłączność, okej?

Jason cofnął się z rękami uniesionymi w kpiącym geście poddania się. - Hej, nie wiń posłańca. Wiesz, że to wkurzy Jean-Claude'a i wiesz, że pomyśli, że spałaś z Richardem.

- Nie spałam z nim.

Wpatrywał się w zamknięte drzwi. - Wiem o tym, Anito, i jestem zszokowany twoim doborem łóżkowych partnerów.

- Kiedy opowiesz Jean-Claude'owi o tym, że spałam ze Stephenem, upewnij się, że wie, że tylko dzieliliśmy łóżko i nic poza tym. Jeżeli Jean-Claude będzie sprawiał Stephenowi przykrości z powodu słów-nych gier, wścieknę się. Nie chcesz, abym była wściekła, Jason.

Przyglądał mi się przez jedno lub dwa uderzenia serca. Coś przez chwilę przemknęło w jego oczach, budząca się do życia bestia. Jasona odrobinę pociągało to, co bardzo kręciło Gabriela. Fascynacja niebezpieczeństwem, bólem i po prostu bycie upierdliwym. Dawało się go znieść, ogólnie nie był złym facetem; Gabriel to zboczeniec. Ale nadal była to ta sama wada, tyle że na mniejszą skalę. Po tym, co widziałam ostatniej nocy, zastanawiałam się, co Jason pomyślałby o takich roz-rywkach. Byłam niemal pewna, że by ich nie pochwalał, ale nie w 100

% pewna, a to mówiło wiele o Jasonie.

- Czy naprawdę wycelowwałaś do Rainy i Gabriela z pistoletu maszy-nowego? – zapytał.

- Taa, zrobiłam to.

Kobieta wyszła z sypialni Richarda, niosąc naręcze ręczników. Miała około 1,75 metra wzrostu, krótkie, brązowe włosy - tak kręcone, że musiały być naturalne. Nosiła granatowe spodnie i sweterek z krótkim rękawem. Sandały z odkrytymi palcami dopełniały stroju. Zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu, z dezaprobatą, może rozczarowaniem.

- Musisz być Anitą Blake.

- A kim ty jesteś?

- Sylvia Baker.- Wyciągnęła do mnie dłoń. Uścisnęłam ją. Gdy tylko dotknęłam jej skóry, wiedziałam z kim mam do czynienia.

- Jesteś członkiem stada? - zapytałam.

Zabrała dłoń i zamrugnęła ze zdziwienia. - Po czym poznałaś?

- Jeśli próbujesz uchodzić za człowieka, nie podawaj dłoni komuś, kto wie, na co zwrócić uwagę. Twoja moc szczypie moją skórę.

- Więc nie będę marnować czasu, próbując udawać człowieka. - Jej moc rozlała się wokół mnie, niczym fala gorąca, gdy się otworzy pie-karnik.

- Imponujące - powiedziałam zadowolona, że mój głos brzmi pewnie.

Posłała mi mały uśmiech. - Z twoich ust to całkiem niezły komplement. Teraz muszę zanieść te ręczniki do kuchni.

- Coś się stało? - zapytałam.

Sylvia i Jason wymienili spojrzenia. Ona pokręciła głową. - Wiedziałaś, że Richard był ranny? - zrobiła z tego pytanie.

Mój żołądek zacisnął się. - Powiedział, że wszystko będzie w po-rządku.

- Bo będzie - odparła.

Poczułam, jak blednę. - Gdzie on jest?

- Kuchnia – rzucił Jason.

Nie pobiegłam, ale byłam temu bliska, chciałam to zrobić. Richard siedział bez koszulki na kuchennym stole, tyłem do mnie. Jego plecy były zbiorowiskiem ran – świeżych, zadanych pazurami. Na lewym ramieniu widniały ślady zębów - tam, gdzie brakowało kawałka ciała.

Dr Lillian zmazywała krew z jego pleców kuchennym ręcznikiem.

Była małą kobietą po pięćdziesiątce, z siwymi, krótko obciętymi włosami, bez żadnej bezsensownej fryzury. W przeszłości zajmowała się moimi ranami dwa razy, raz, gdy była pokryta futrem i wyglądała jak gigantyczny człowiek-szczur.

- Gdybyś wezwał pomoc medyczną zeszłej nocy, nie musiałabym te-go teraz robić, Richardzie. Nie odczuwam przyjemności w zadawaniu moim pacjentom bólu.

- Ostatniej nocy Marcus był w stanie gotowości - powiedział Richard. - W tych okolicznościach uznałem, że najlepiej będzie obyć się bez lekarza.

- Mogłeś pozwolić komuś oczyścić i opatrzyć rany.

- Tak, Richardzie. Mogłeś pozwolić, bym ci pomogła - wtrąciłam.

Zerknął na mnie przez ramię. Włosy rozsypały mu się wokół twarzy, na czole tkwił duży opatrunek. - Miałem dość twojej pomocy na jedną noc.

- Dlaczego? Bo jestem kobietą, czy dlatego, że wiesz, że mam rację?

- zapytałam.

Lillian przyłożyła mały, srebrny nóż do dolnej części rany zadanej pazurami. Cięła w dół, ponownie ją otwierając.

- Co robisz? - zapytałam.

- Rany lykantropów zasklepiają się, ale czasem, bez pomocy lekar-skiej, mogą pozostać blizny. Większość z tych się zagoi. Ale kilka jest na tyle głębokich, że naprawdę trzeba je zszyć zanim zaczną się zamykać. Więc ponownie otwieram niektóre z ran, aby dodać kilka szwów.

Sylvia podała jej ręczniki.

- Dziękuję Sylvio.

- O co się pokłóciliście, gołąbeczki? - zapytała Sylvia.

- Niech Richard ci powie, jeżeli zechce.

- Anita zgadza się z tobą - odparł Richard. - Uważa, że powinienem zacząć zabijać ludzi.

Podeszłam, aby mógł mnie widzieć bez odwracania się. Oparłam się tyłem o wysepkę kuchenną i próbowałam, zamiast tnącemu ostrzu Lillian, przyglądać się jego twarzy.

- Nie chcę, żebyś zaczął zabijać bezładnie, Richardzie. Po prostu po-przyj swoje groźby czynem. Zabij jedną osobę, a reszta się wycofa.

Wpatrywał się we mnie z gniewem.

- Masz na myśli zrobienie z jednego z nich przykładu?

Powiedziane w ten sposób, brzmiało to nieco bezwzględnie, ale prawda pozostawała prawdą. - Taa, to właśnie mam na myśli.

- Och, lubię ją – stwierdziła Sylvia.

- Wiedziałem, że będziesz – dodał Jason. Wymienili spojrzenia które nie do końca zrozumiałam, ale zdawali się być cholernie rozbawieni.

- Czy nie zrozumiałam dowcipu?

Oboje pokręcili przecząco głowami.

Dałam temu spokój. Richard i ja nadal byliśmy w stanie wojny, zaczynałam myśleć, że walce nie będzie końca. Skrzywił się, kiedy doktor rozcinała następną ranę. Dodawała szew to tu, to tam, ale to i tak było więcej, niż chciałabym mieć we własnym ciele. Nie lubiłam szwów.

- Bez środków przeciwbólowych? - zapytałam.

- Znieczulenia są w naszym przypadku nieskuteczne. Mamy zbyt szybki metabolizm - wytłumaczyła Lillian. Otarła srebrny nóż w jeden z czystych ręczników i powiedziała: - Jeden ze śladów po pazurach schodzi poniżej linii twoich jeansów. Zdejmij je, abym mogła go obejrzeć.

Rzuciłam okiem na Sylwię. Uśmiechnęła się.

- Mną się nie przejmuj. Wolę dziewczyny.

- To z tego się śmieliście – rzuciłam do Jasona.

Kiwnął głową, radośnie się szczerząc.

Pokręciłam głową.

- Pozostali wkrótce przybędą na spotkanie. Nie chcę mieć tyłka na wierzchu, gdy tu wejdą. - Richard

wstał. - Dokończmy w sypialni.

Miał ślad po ranie klutej tuż pod obojczykiem. Przypomni mi się człowiek-wilk, który ostatniej nocy darł go pazurami.

- Mogli cię zabić - powiedziałam.

Spojrzał na mnie. - Ale nie jestem martwy. Czy nie tak zawsze mówisz?

Nienawidzę, gdy ktoś odpowiada, cytując moje własne słowa.

- Trzeba było po prostu zabić Sebastiana lub Jamila i pozostali nie rzuciliby się na ciebie.

- Już zdecydowałeś, kogo powinienem zabić. - Jego głos kipiał gniewem.

- Tak - odparłam.

- Zasadniczo dokonuje całkiem niezłych wyborów - powiedziała Sylvia.

Richard zwrócił na nią swe ciemne oczy. - Nie wtrącaj się do tego.

- Gdyby to była po prostu sprzeczka kochanków, nie wmieszałabym się - stwierdziła. Podeszła i stanęła przed nim. - Ale Anita nie mówi nic, czego ja już nie powiedziałam. O co większość z nas błagała cię od kilku miesięcy. Byłam skłonna spróbować załatwić sprawy twoim sposobem. Łudziłam się, że masz rację, ale to nie działa, Richardzie. Albo jesteś samcem alfa, albo nie.

- Czy to wyzwanie? – zapytał cicho. Energia przepłynęła przez pomieszczenie niczym ciepły wiatr.

Sylvia zrobiła krok do tyłu. - Wiesz, że nie.

- Na pewno? - spytał. Moc zaczęła narastać, niczym błysk elektryczności. Włoski na moich rękach stanęły dęba.

Sylvia przestała się cofać, dłonie zaciśnięte w pięści trzymała przy bokach. - Gdybym uważała, że mogę pokonać Marcusa, zrobiłabym to.

Gdybym była w stanie ochronić nas wszystkich, postąpiłabym tak. Ale nie potrafię, Richardzie. Jesteś naszą jedyną nadzieją.

Richard górował nad nią. Nie chodziło tylko o fizyczne rozmiary.

Jego moc opływała ją, wypełniała pomieszczenie, aż znalazła się dusząco blisko mnie.

- Nie zabiję tylko dlatego, że uważasz, iż powinienem, Sylvio. Nikt nie zmusi mnie do tego. Nikt.

Przeniósł swój wzrok na mnie. Wiele wysiłku wymagało spojrzenie mu w oczy. Kryła się w nich

siła. Jego spojrzenie przytłaczało i paliło.

To nie zalewająca wampirza moc, lecz to było coś. Moja skóra drżała pod naporem tej energii, ale nie odwróciłam się.

Wpatrywałam się w rany tuż poniżej jego karku i wiedziałam, że prawie go straciłam. Nie chciałam tego zaakceptować.

Podeszłam bliżej, aż znalazł się w zasięgu moich rąk. Jego nieziemski magia wirowała wokół, sprawiając, że ciężko było złapać oddech.

- Musimy porozmawiać, Richardzie.

- Nie mam teraz na to czasu, Anito.

- Znajdź go - odparłam.

Spojrzał na mnie ze złością. - Porozmawiaj ze mną, kiedy Lillian skończy. Za jakieś 15 minut przyjdą do mnie ludzie na spotkanie.

- Jakie spotkanie? - zapytałam.

- Aby omówić sytuację Marcusa - odpowiedziała Sylvia. - Zaplanował zebranie jeszcze przed przygodami ostatniej nocy.

Richard popatrzył na nią i nie było to przyjazne spojrzenie. - Gdybym chciał, aby wiedziała o spotkaniu, powiedziałbym jej.

- Czego jeszcze mi nie powiedziałaś, Richardzie?

Zwrócił na mnie swoje rozgniewane oczy. - Czego ty mi nie powiedziałaś?

Zamrugalam szczerze zdziwiona. - Nie mam pojęcia o czym mówisz.

- Dwa wystrzały ze śrutówki przelatują ci nad głową, a ty nie wiesz o czym mówię.

A, to.

- Postąpiłam słusznie, Richardzie.

- Zawsze masz rację, tak?

Spojrzałam na podłogę i potrząsnęłam głową. Kiedy podniosłam wzrok, nadal był wściekły, ale ze mnie ulatywała już złość. To nowość.

To będzie ta walka. Ta, która zakończy wszystko. Nie myliłam się.

Żadna ilość rozmów nie byłaby w stanie tego zmienić. Ale jeśli ze-rwiemy ze sobą, nie obejdzie się

bez walki.

- Dokończmy to, Richardzie. Chciałeś przejść do sypialni.

Wstał, jego ciało zeszywniało ze złości sięgającej głębiej, niż mogłam pojąć. To był kontrolowany gniew, a ja nie miałam pojęcia skąd on się bierze. Zły znak.

- Jesteś pewna, że zniesiesz widok mnie nagiego? - Jego słowa ociekały goryczą, nie wiedziałam czemu.

- Co jest nie tak, Richardzie? Co ja takiego zrobiłam?

Nazbyt energicznie pokręcił głową. Skrzywił się, gdy poruszenie do-sięgło ramion. - Nic, nic.

Wyszedł z pomieszczenia. Lillian spojrzała na mnie i wymknęła się za nim. Westchnęłam i dołączyłam do nich. Nie cieszyłam się na myśl o następnych kilkunastu minutach, ale nie zamierzałam stchórzyć. Wy-krzyczymy sobie wszystkie podłe rzeczy i uczynimy to tak okropnym, jak tylko możliwe. Problem polegał na tym, że nie miałam nic podłego do powiedzenia. To czyniło walkę o wiele mniej zabawną, dla mnie.

Jason, gdy go mijałam, wyszeptał cicho: - Do boju, Anito, do boju, Anito.

To wywołało mój uśmiech.

Sylvia przyglądała mi się ze spokojem. - Powodzenia. - Nie brzmiało to do końca szczerze.

- Masz jakiś problem? - O wiele chętniej walczyłabym z nią, niż z Richardem.

- Gdyby z tobą nie chodził, mógłby wybrać partnerkę. To by pomogło sprawie.

- Chętna na tę pozycję? – zapytałam.

- Tak – potwierdziła. - Chętna, ale seks jest w pakiecie, a tego nie chcę.

- Więc nie stoję ci na drodze - powiedziałam.

- Nie, na mojej nie - odparła. To sugerowało, że są jacyś inni, ale głównie mnie to obchodziło, nie dziś. Powiedziałam: - Do cholery, jest za wcześnie na politykę stada. Jeżeli ktoś chce czegoś ode mnie, powiedz, żeby stanął w ogonku.

Przechyliła głowę niczym zaciekawiony pies. - Czy to długa kolej-ka?

- Ostatnio, tak.

- Myślałem, że wszyscy twoi wrogowie są martwi - wtrącił Jason.

- Ciągle zdobywam nowych – odbiłam piłeczkę.

Uśmiechnął się. - Zaskakujące.

Pokręciłam głową i poszłam w stronę sypialni. Wolałabym zmierzyć się powtórnie z Rainą, niż z Richardem. Prawie miałam nadzieję, że zabójcy wyskoczą zza drzwi i staną się celem, do którego mogę strzelać. Byłoby to mniej bolesne, niż zerwanie z Richardem.

Rozdział 10

Sypialnię Richarda pomalowano na bladozielono, jaskrawy dywanik leżał przed łóżkiem niczym kawałek witrażowego szkła. Łóżko było ciężkie, z baldachimem. Wielka szkoda, że zasłał je gładką, czerwoną narzutą. Miał je trzy i ciągle zmieniał - zieloną, niebieską, czerwoną.

Każdy kolor pasował do innego odcienia na dywaniku oraz wiszącego nad łóżkiem obrazu. Przedstawiał on wilki w zimowej scenerii. Patrzyły z malowidła, jakby właśnie ktoś schował się za drzewem i je zaskoczył.

Na śniegu leżał zakrwawiony jeleń, z rozerwanym gardłem. Dość dziwny wybór, jak na obraz do sypialni, ale pasował. Co więcej, podobał mi się. To był ten rodzaj malowidła, który zwraca uwagę, gdy wchodzisz do pomieszczenia, jakby życie nagle przeniosło się na kawałek płótna i zastygło w bezruchu. Zielona narzuta podkreślała wiecznie zielone drzewa, niebieska akcentowała czysty błękit nieba i modre cienie, a czerwona - plamę krwi na śniegu.

Richard leżał na brzuchu, w poprzek szkarłatnej tkaniny. Był nagi, dzinsy rzucił w róg łóżka. Jego opalona, gładka skóra była bardzo wyrazista na tle czerwonej narzuty. Czulałam rumieniec, wpływający na twarz, gdy podążałam spojrzeniem za krągłościami jego ciała, aż do gładkich pośladków. Lillian właśnie kończyła zszywać ranę. Odwróci-

łam wzrok.

Widziałam Richarda nago, gdy po raz pierwszy go spotkałam, ale nigdy więcej. A wtedy nawet nie myśleliśmy o tym, że będziemy się umawiać. Musiałam się odwrócić, głównie dlatego, że chciałam patrzeć. Chciałam widzieć go takiego i było to zbyt żenujące, by wyrazić słowami. Przystudiowałam wyposażenie półek wiszących na ścianie, tak jakbym chciała nauczyć się tego na pamięć. Kawałki kwarcu, małe ptasie gniazdo. Bryła skamieniałego koralu, tak duża jak moja ręka, w kolorze ciemnego złota, ze smugami białego kryształu. Znalazłam to na obozie wędrownym i dałam mu, ponieważ zbierał odłamki różnych minerałów. Ja nie. Dotknęłam koralu, by się nie odwracać.

- Powiedziałaś, że chcesz porozmawiać, więc rozmawiajmy - usłyszałam jego głos. Odwróciłam się. Lillian przycięła czarną nić, której używała do zszywania skóry.

- Gotowe - oznajmiła. - Nie powinna zostać nawet blizna.

Richard położył ręce na łóżku, opierając brodę o przedramiona.

Włosy delikatnie opływały jego twarz. Wiedziałam, że były tak miękkie, na jakie wyglądały. Lillian zerkała to na mnie, to na niego.

- Myślę, że zostawię was samych - westchnęła w końcu, wrzucając swoje rzeczy do brązowej, skórzanej torby, wyglądającej jak pudełko na sprzęt wędkarski. Spojrzała jeszcze raz na Richarda i znów przeniosła wzrok na mnie.- Przyjmij radę od starszej pani. Nie schrzań wszystkiego.

Po czym wyszła, zostawiając nas samych.

- Możesz już się ubrać - chrząknęłam.

Rzucił okiem na swoje pogniecione dzinsy i znów spojrzał na mnie.

Tak wściekłego jeszcze go nie widziałam.

- Dlaczego?

Skoncentrowałam się na patrzeniu mu w oczy, a nie na jego ciało.

Trzeba przyznać, że okazało się to trudniejsze, niż myślałam.

- Bo trudno będzie mi kłócić się z tobą, gdy będziesz nagi.

Uniósł się na łokciach, włosy opadły mu na oczy. Teraz wpatrywał

się we mnie zza złotobrązowej zasłony. Przypominało mi to o Gabrielu i było piekielnie denerwujące.

- Wiem, że mnie pożadasz. Potrafię to wyczuć.

O, to mnie uspokoiło. Zarumieniłam się drugi raz w ciągu pięciu minut.

- Tak, jesteś wspaniały. I co z tego? Co to, do cholery, ma do rzeczy?!

Podniósł się tak, że opierał się o łóżko kolanami i ramionami. Od-wróciłam się szybko, przyprawiło mnie to o zawrót głowy.

- Proszę cię, włóż spodnie.

Usłyszałam, jak zsuwa się z łóżka.

- Nie możesz nawet na mnie patrzeć, prawda?

Ton, jakim to powiedział, sprawił, że chciałam zobaczyć jego twarz, ale nie mogłam się odwrócić. Po prostu nie potrafiłam. Gdyby to miała być nasza ostatnia kłótnia, nie chciałabym mieć w umyśle wyrytego wspomnienia jego ciała. To byłoby zbyt okrutne.

Poczułam, że stanął za mną.

- Czego ode mnie chcesz, Richardzie?

- Spójrz na mnie - usłyszałam. Pokręciłam głową. Dotknął mojego ramienia, lecz się wyrwałam.

- Nie możesz nawet znieść mojego dotyku, tak? - Po raz pierwszy usłyszałam ból w jego głosie, surowy i raniący. Wtedy się odwróciłam.

Musiałam zobaczyć jego twarz.

W oczach błyszczały mu łzy, lecz nie mrugnął, więc nie spłynęły.

Odgarnął włosy z czoła, by mu nie przeszkadzały. Mój wzrok przesunął

się w dół jego muskularnej klatki piersiowej. Chciałam przejechać rękami po jego sutkach, w dół smukłego pasa i niżej. Całą siłą woli skupi-

łam na tym, by znów patrzeć mu w twarz. Czułam, że jestem niesamowicie blada, nie było mowy o rumieńcu. Miałam trudności z oddychaniem. Moje serce biło jak szalone, aż ciężko było mi tego słuchać.

- Kocham, kiedy mnie dotykasz - szepnęłam. Spojrzał na mnie, jego oczy napełniły się bólem. Myślę, że gniew jednak był lepszy.

- Kiedyś zwykłem podziwiać cię za mówienie „nie” JeanClaude’owi. Wiedziałem, że go pragniesz i mimo to mu odmawiasz.

Myślałem wtedy, że to niezwykle moralne z twojej strony. - Potrząsnął

głową, jedna łza wysliznęła się z kącika jego oka, podążając w zwolnionym tempie w dół policzka.

Otarłam łzę z jego twarzy koniuszkiem palca. Chwycił moją rękę, trochę za mocno, nie zabołało mnie to, tylko zaskoczyło. To była moja prawa ręka, a wyciąganie broni lewą byłoby cholernie nieprzyjemne.

Nie myślałam, że naprawdę potrzebowałabym pistoletu, ale zachowywał się dziwnie.

Richard nadal mówił, spoglądając na mnie.

- Ale Jean-Claude jest potworem, a ty nie sypiasz z potworami. Zabijasz je. - Łzy popłynęły z jego oczu, pozwoliłam im swobodnie spaść. -

Nie sypiasz ze mną, ponieważ ja także jestem potworem. Ale możesz nas zabić, nieprawdaż Anito? Nie możesz tylko nas pieprzyć.

Wyrwałam się, a on mi na to pozwolił. Mógł rozwalić ciężkie, drewniane łóżko, więc puścił mnie. Nie lubiłam, gdy tak się zachowywał.

- To, co powiedziałaś, było wredne - stwierdziłam.

- Ale to prawda - odparł.

- Pragnę cię Richardzie, wiesz o tym.

- Pragniesz też Jean-Claude'a, więc to mi nie pochlebia. Każesz mi zabić Marcusa, jakby to było takie proste. Myślisz, że nie miałbym wyrzutów sumienia, bo on jest potworem, czy dlatego, że ja nim jestem?

- Richard... - szepnęłam. To był argument nie do przebiccia. Musia-

łam coś powiedzieć, ale nie wiedziałam co. Stał tak, z łzami schnącymi na policzkach. Nagi, pociągający i zagubiony.

- Wiem, że miałbyś wyrzuty sumienia, gdybyś zabił Marcusa. Nigdy nie twierdziłam, że tak by nie było - powiedziałam wreszcie.

- Więc jak możesz mnie do tego nakłaniać?

- Myślę, że to niezbędne.

- Potrafiłabyś to zrobić? Potrafiłabyś po prostu go zabić?

Zastanowiłam się przez chwilę i skinęłam głową. - Tak, potrafiłabym.

- I nie przerażałoby cię to?

Patrzyłam prosto w jego przepelnione bólem oczy, by powiedzieć: -

Nie.

- Jeśli naprawdę tak myślisz, czyni to z ciebie większego potwora ode mnie - stwierdził.

- Tak, myślę, że tak.

Potrząsnął głową.

- Nie martwi cię to, że mogłabyś po prostu odebrać życie człowiekowi? - Roześmiał się gorzko. - A może nie uważasz, że Marcus jest dość ludzki?

- Człowiek, którego wczoraj zabiłam, był ludzki - powiedziałam.

Richard wpatrywał się we mnie, groza błyszczała w jego oczach.

- I dobrze ci się potem spało, prawda?

Skinęłam głową.

- Całkiem dobrze, biorąc pod uwagę to, że wysłałeś Stephena do mojego łóżka.

Spojrzał mi w oczy. Przez ułamek sekundy widziałam, że się zastanawia.

- Słodki Jezu, znasz mnie lepiej niż myślałem. - Wbił wzrok w pod-

łogę. - Wszystko przez to, że pragnę cię tak mocno, a ty wciąż się opie-rasz. To sprawia, że wątpię we wszystko.

- Cholera. Nie zamierzam podbudowywać twojego ego, gdy się kłó-cimy. Wysłałeś do mnie Stephena, bo byłeś wściekły. Powiedziałeś, że mam go chronić. Nie przyszło ci do głowy, że ja nie spałam z facetem w jednym łóżku?

- Co z twoim narzeczonym w college'u?

- Przespałam się z nim, ale nie spędziliśmy razem nocy - powiedzia-

łam.- Pierwszy raz, gdy obudziłabym się rano w ramionach mężczyzny, chciałabym byś to był ty.

- Przepraszam Anito, nie wiedziałem, ja...

- Nie pomyślałeś. Jasne. Teraz się ubierzesz? I co właściwie dalej, Richardzie?

- Widziałaś walkę wczoraj wieczorem. Byłaś świadkiem tego, co zrobiłem, tego, co potrafię zrobić.

- Po części tak.

Potrząsnął głową.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nie zabijam? Czemu hamuję się na krótką chwilę przed tym? - Wyraz jego oczu był zrozpaczony, dziki.

- Powiedz mi - szepnęłam łagodnie.

- Lubię to, Anito. Uwielbiam czuć, gdy moje pazury wbijają się w ciało. - Objął się ramionami.- Smak świeżej, ciepłej krwi w moich ustach jest ekscytujący. – Gwałtowniej potrząsnął głową, jakby pragnął

wyzbyć się tego doznania. - Chciałem zabić Sebastiana wczoraj wieczorem. Mogłem poczuć to, jak ból moich ramion, moich dłoni. Moje ciało pragnęło go zabić tak, jak pragnę ciebie.

Wpatrywał się we mnie nieruchomo, ale jego ciało mówiło za niego.

Myśl o zabiciu Sebastiana ekscytowała go. Naprawdę go ekscytowała.

Przełknęłam ślinę.

- I obawiasz się, że jeśli raz zabijesz, możesz chcieć to powtórzyć?

Wpatrywał się we mnie, z jego oczu było przerażenie, strach, że on był potworem, strach, że miałam

rację, że nie dotknę go, nie pozwolę mu się dotykać. Nie pieprzysz potworów, zabijasz je.

- Lubisz zabijać? - spytał. Musiałam pomyśleć sekundę, czy dwie, lecz ostatecznie potrząsnęłam głową.

- Nie lubię tego.

- Jakie to uczucie?

- Żadne - odpowiedziałam. - Nie czuję niczego.

- Musisz coś czuć.

Wzruszyłam ramionami.

- Ulgę, która mi się nie należy. Satysfakcję, bo byłam silniejsza, szybsza. – Znowu wzruszyłam ramionami. - Nie to mnie martwi w zabijaniu ludzi Richardzie. To jest po prostu okropne.

- Taki był twój pierwszy raz?

- Tak, i właśnie dlatego mam wyrzuty sumienia.

- Kiedy przestaniesz je mieć?

- Nie wiem. To nie pierwsza, ani druga śmierć, więc po prostu przestaję aktualizować dane o nich. I wtedy zapominam. Jeśli chodzi o mój zawód, to jest prosta zasada: albo się nie zajmujesz, albo szukasz innego zajęcia.

- Chciałbym to poczuć Anito. Zabójstwo powinno oznaczać coś poza krwią, ekscytacją i przetrwaniem. Jeśli nie, to jestem w błędzie i są z nas prawdziwe zwierzęta.

Jego ciało również zareagowało na tę myśl. I nie uważał tego za fascynujące. Wyglądał na wystraszonego. Chciałam mu powiedzieć, by się ubrał, ale nie zrobiłam tego. Wybrał nagość bardzo rozmyślnie, jakby chciał udowodnić, że go nie pragnę. Lub wręcz przeciwnie...

Nie lubiłam testów, ale trudno było się kłócić ze strachem w jego oczach. Stał twarzą do łóżka i potarł dłońmi ramiona, jakby marzył.

Ale mieliśmy maj w St.Louis, nie było zimno.

Przynajmniej, jeśli chodzi o ten rodzaj zimna.

- Nie jesteś zwierzęciem Richardzie.

- Skąd możesz wiedzieć, czym jestem? - Wiedziałam, że zadaje to pytanie bardziej sobie niż mi.

Podeszłam do niego. Wyjęłam firestara ze spodni i położyłam na nocnym stoliku, obok lampy z

rźniętego szkła. Przyglądał mi się uważnie, prawie jakby oczekiwał, że sprawię mu ból. Bardzo chciałam tego uniknąć.

Dotknęłam łagodnie jego ramienia tam, gdzie się pocierał. Zadrżał pod moim dotykiem.

- Jesteś jednym z najmoralniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam. Możesz zabić Marcusa i nie stać się żarłoczną bestią. Wiem, bo cię znam.

- Raina i Gabriel zabijają i spójrz, kim są.

- Nie jesteś taki jak oni Richardzie. Zaufaj mi.

- A co jeśli zabiję Marcusa i Sebastiana, i mi się to spodoba?

Jego twarz wyrażała czyste przerażenie na samą myśl o tym.

- Może będziesz się czuł dobrze. - Chwyciłam jego ramię mocniej. -

Ale to nie żaden wstyd. Jesteś tym, czym jesteś. Nie wybrałeś tego. To wybrało ciebie.

- Jak możesz mówić, że zabijanie nie jest wstydem? Polowałem kiedyś na jelenia i wiem, że to kocham. Kocham pościg, zabijanie i jedzenie ciepłego mięsa. - Tak jak przedtem, ta myśl go ekscytowała. Stara-

łam się patrzeć na jego twarz, chociaż coś nieźle mnie rozpraszało.

- Każdy zbiera doświadczenia, które wywołują w nim zmianę, Richardzie. Słyszałam o gorszych przypadkach. Cholera, widziałam gorsze.

Spojrzał na mnie, jakby chciał mi wierzyć, ale nie potrafił.

- Gorsze od tego?

Podniósł prawą rękę i przesunął ją przed moją twarzą. Jego moc drażniła mnie, spływała w dół mego ramienia, aż sapnęłam z zaskoczenia. Siła jego woli trzymała moją dłoń na jego ramieniu. Jego palce rozciągnęły się w niemożliwie długie i wąskie. Paznokcie zamieniły się w twarde pazury. To nie była wilcza łapa, raczej jego własna ręka z wyrośniętymi pazurami. Nic innego się nie zmieniło. Tylko ta jedna dłoń.

Miałam trudności z oddychaniem, z innego powodu niż przedtem.

Wpatrywałam się w podrapaną rękę i po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że ma rację. Przyglądanie się, jak rozciągają się i wyskakują kości w jego dłoni, wzbudziło we mnie odrazę, wystraszyło mnie.

W dalszym ciągu trzymałam dłoń na jego ramieniu, ale cała się trzęsłam. Gdy się odezwałam, mój głos również drżał.

- Widziałam, jak Raina kiedyś to robiła. Myślałam, że to wyjątkowa umiejętność.

- W naszej paczce jedynie Raina, Marcus i ja to potrafimy. Możemy zmieniać dowolne części ciała.

- To tak pchnąłeś Sebastiana nożem wczoraj wieczorem.

Skinął głową, patrząc mi w oczy, jakby szukając w nich pocieszenia.

Jednak to, co zobaczył widocznie go nie uspokoiło, bo odwrócił się ode mnie. Nie musiałam widzieć wyrazu jego twarzy, by wiedzieć, że go zraniłam.

Złapałam jego rękę i zawięłam moje palce wokół tych długich, wąskich kości. Poczułam mięśnie, których nigdy wcześniej nie było w ręku Richarda. Nie potrafiłam spojrzeć mu w oczy. Nie zaufałamby temu, co bym w nich zobaczyła.

Dotknął mojej brody drugą ręką i zmusił, bym spojrzała mu w twarz.

- Mogę poczuć twój strach - mruknął. - I lubię to. Rozumiesz? Podoba mi się to.

Zmusiłam swoje gardło do mówienia.

- Zauważyłam.

Zarumienił się i z gracją pochylił, by mnie pocałować. Nie próbowa-

łam go zatrzymać, ale też w żaden sposób mu nie pomogłam. Zazwyczaj stawałam na czubkach palców, by wyjść mu naprzeciw. Teraz, nieruchoma, zmuszałam go, by pochylił się nade mną.

Swoją wilczą ręką gładził mnie po przedramieniu, czułam pazury przesuwające się po mojej nagiej skórze. Naprężyłam się i jego moc rozlała się po mnie. Trzymałam dłoń na jego ręku, podczas gdy moja skóra drżała od nawału mocy.

Jego wargi delikatnie dotknęły moich, a ja odwzajemniłam pocałunek. Puściłam jego rękę. Moje palce otarły się o nagą klatkę piersiową, igrając ponad jego twardymi sutkami. Objął mnie w pasie, przesuwając palcami wzdłuż mojego kręgosłupa.

- Nie masz nic pod T-shirtem - wyszeptał wprost w moje usta.

- Wiem.

Jego ręce wśliznęły się pod moją bluzkę, pieszcząc skórę. Dotyk je-go nagiego ciała wprowadził mnie w drżenie. Pragnęłam więcej. Zdjęłam T-shirt, a on wydał okrzyk zaskoczenia. Spojrzał w dół na moje nagie piersi i nie był jedynym podnieconym. Przejechał po nich dłońmi, a kiedy go nie zatrzymałam, opadł przede mną na kolana. Popatrzył w górę, jego brązowe oczy jarzyły się mrocznym światłem.

Gdy klęknął przede mną, pocałowałam go. Czułam, jak jego ciało ociera się o moją nagą skórę. To było prawie zbyt wiele. Przerwał poca-

łunek i przesunął wargami po moich piersiach. Z ust wydarł mi się okrzyk zaskoczenia.

Rozległo się pukanie do drzwi. Zamarliśmy. Rozbrzmiał głos kobiety, której nie znałam.

- Nie przyszedłam po to, by sprawdzać, jak sobie radzisz, Richardzie.

Chciałabym ci przypomnieć, że wszyscy tu mamy niewiarygodnie dobry słuch.

- Nie wspominając już o węchu. – To był Jason.

- Cholera - szepnął miękko Richard. Pochyliłam się i ukryłam twarz w jego włosach.

- Myślę, że wyjdę przez okno.

Objął mnie i wstał, przesuwał dłońmi po moich piersiach jeden, ostatni raz.

- Nawet nie wiesz, jak długo czekałem, by to zrobić.

Sięgnął po dzinsy i majtki nadal leżące na łóżku. Dotknęłam jego ramienia, by ponownie zwrócić na mnie uwagę.

Pragnę cię Richardzie. Kocham cię. Chcę, byś w to uwierzył.

Wpatrywał się we mnie, jego twarz stała się dziwnie poważna.

- Jeszcze nie widziałaś, jak zmieniam się w wilka. Chcę, byś to zobaczyła, zanim posuniemy się dalej.

Ta myśl nie ekscytowała mnie, ale cieszyłam się, że jestem jego dziewczyną, więc nie okazałam tego.

- Masz rację, dopiero gdy zagrasz w otwarte karty, będziemy mogli się kochać.

- To nie fair wobec ciebie.

- Więc mówisz, że nawet gdybyśmy byli sami, wstrzymałbyś się?

Skinął głową.

- Ponieważ nie wypadałoby ci sypiać ze mną, dopóki nie zobaczę twojej przemiany?

- Dokładnie.

- Jesteś takim skautem, Richardzie.

- Myślę, że właśnie straciłem jedną ze swoich odznak.

Spojrzałam na jego twarz i poczułam nagły rumieniec. Uśmiechnął

się i wciągnął majtki. Nosił slipy. Włożył dzinsy i ostrożnie je podciągnął. Podniosłam T-shirt z podłogi i założyłam na siebie. Richard stanął

za mną i wsunął mi ręce pod koszulkę. Objął moje piersi, delikatnie je masując. Odchyliłam się, zatrzymując go. Odwrócił mnie i lekko poca-

łował.

- Kiedy przygotowujesz swój umysł na coś, naprawdę się do tego przykładasz, czyż nie? - zapytał.

- Zawsze - odpowiedziałam.

Wziął głęboki wdech przez nos i wypuścił powietrze ustami.

- Może jeszcze gdzieś się spotkamy...

- Edward niedługo tu będzie.

Skinął głową.

- Prawie zapomniałem, że ktoś próbuje cię zabić. - Objął moją twarz i pocałował mnie.- Bądź ostrożna.

Dotknęłam bandaża na jego ramieniu. - Ty także.

Wyciągnął czarną, bawełnianą koszulkę z szuflady i założył ją. Odsunęłam się, gdy szarpał się zamkiem błyskawicznym.

- Dołącz do nas, gdy się ubierzesz.

Skinęłam głową. - Pewnie.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Westchnęłam i usiadłam na brzegu łóżka. Cholera. Nie chciałam stracić Richarda. Naprawdę nie chciałam. Pragnęłam z nim sypiać. Nie byłam pewna jak zareaguję, gdy zobaczę jego zwierzęcą formę. Ręka już dość mnie zmartwiła. Co się stanie, gdy to będzie zbyt wstrętne? Mój Boże, nie. Miałam nadzieję, że jestem lepsza niż myślę. Silniejsza niż myślę.

Richard obawiał się, że, jeśli zacznie zabijać, będzie chciał to kontynuować. To nie był całkowicie nierozsądny strach. Objęłam się ramionami. Wciąż czułam na sobie jego usta. Zadrzałam, wcale nie ze strachu. To była głupia miłość do Richarda. Seks uczyniłby ją gorszą. Ale nie pożyje długo, jeśli nie zabije Marcusa.

Jean-Claude nigdy nie stanowił dla siebie takiego zagrożenia. Nigdy.

Jemu zawsze udawało się przetrwać. To był jeden z jego talentów. By-

Łam jednak prawie pewna, że nie dotyczyło to Richarda. Można zmieniać zdanie, jeśli chodzi o politykę, czy równość religii, ale albo zabijasz ludzi, albo nie. Zabójstwo nie było czymś, wobec czego można zachować neutralność.

Jean-Claude nie miał nic przeciwko zabijaniu ludzi. Kiedyś stwierdziłam, że to czyni go potworem, ale teraz się z nim zgadzałam. Czy prawdziwe potwory mogłyby podnieść rękę?

Rozdział 11

W końcu ubrałam się w czerwoną koszulkę polo, czarne dżinsy, buty Nike. Przypięłam wewnętrzną kaburę z firestarem 9 mm do paska od spodni. Broń wyróżniała się na tle czerwonej koszulki, ale czy chciałam ją ukryć? Drażniła mnie emanująca zza drzwi energia. Zmiennokształtni. Nie wszyscy z nich byli zadowoleni. Silne emocje utrudniają ukrycie mocy. Ale nie Richardowi, on nie ma z tym żadnego problemu. Nie znam nikogo lepszego pod tym względem. Na początku naszej znajomości dałam się oszukać, uwierzyłam, że jest człowiekiem. Poza nim nikt nie był w stanie tego dokonać.

Przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze, zrozumiałam, że to nie pokój pełny zmiennokształtnych tak mnie przerażał, lecz świadomość, że wszyscy obecni wiedzą o namiętym pocałunku z Richardem. Nie radziłam sobie najlepiej z zażenowaniem, z zagrożeniem tak. Byłam do niego przyzwyczajona.

Łazienka wychodziła bezpośrednio na salon. Po otwarciu drzwi zauważyłam, że wszyscy skupili się wokół kanapy. Spojrzeli na mnie, gdy wychodziłam; skinęłam głową:

- Witam.

Rafael odezwał się jako pierwszy:

- Cześć Anito.

Rafael, Król Szczurów, odpowiednik przywódcy stada wilkołaków, jest przystojnym, wysokim mężczyzną o ciemnej karnacji. Jego meksy-kańskie rysy nadają mu ostry, stanowczy wyraz twarzy. Tylko usta wskazują, że częściej uśmiecha się, niż krzywi ze złości. Był ubrany w modną koszulę z krótkimi rękawami, odsłaniającą na jego ramieniu piętno, koronę symbolizującą przywództwo. Wśród wilkołaków nie ma odpowiednika tej ikony. Bycie lykantropem, w zależności od zwierzę-cia, oznacza różną formę i kulturę.

- Nie wiedziałam, że szczurołaki interesują się wewnętrznymi spo-rami stada - odpowiedziałam.

- Marcus stara się zjednoczyć wszystkich zmiennokształtnych pod jednym przywództwem.

- Niech zgadnę, on zostanie liderem – rzuciłam.

Rafael uśmiechnął się. – Tak.

- Więc przyłączycie się do mniej ambitnego Richarda? – zapytałam.

- Wiążemy się z Richardem, ponieważ jest prawym człowiekiem.

Marcus nie ma honoru, jego suka – Raina - dopilnowała tego.

- Wciąż uważam, że jeśli ją zabijemy, Marcus byłby skłonny do rozmowy z nami. – Odezwała się kobieta, którą prawdopodobnie widziałam już wcześniej.

Siedziała na podłodze, popijając kawę z kubka. Miała krótkie blond włosy i nosiła różowy, nylonowy strój do biegania. Rozpięta kurtka odsłaniała różowy podkoszulek. Był to strój przeznaczony nie tyle do ćwiczeń, co do podziwiania. Przypomniałam ją sobie. Widziałam ją w Kafejce u Lunatyków, restauracji Rainy. Nazywała się Christine i była tygrysołakeim. Przemawiała w imieniu niezależnych zwierzołaków, tych, których było zbyt mało, by stworzyć stado bądź mieć przywódcę.

Nie każdy rodzaj lykantropii jest tak samo zaraźliwy. Można zostać rozszarpanym przez tygrysołaka i nie zostać zarażonym. Wystarczy natomiast tylko draśnięcie wilkołaka i z pierwszą pełnią zaczniesz się przemieniać. Prawie żaden z kotołaków nie jest tak zaraźliwy, jak wilkołak bądź szczurołak. Nikt nie wie dlaczego. Tak to po prostu działa.

Richard przedstawił mnie prawie piętnastu osobom, podał im tylko moje imię.

Przywitałam się i oparłam o ścianę przy drzwiach. Kanapa była pełna, tak samo jak i podłoga. Poza tym, na wszelki wypadek, wolałam być poza zasięgiem wszystkich obcych mi zmiennokształtnych.

- Właściwie to poznałam Christine wcześniej – powiedziałam.

Christine przytaknęła. – Tej samej nocy, kiedy zabiłaś Alfreda.

- Tak. – Wzruszyłam ramionami.

- Dlaczego nie pozbyłaś się Rainy poprzedniej nocy, gdy miałaś możliwość? – zapytała.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, odezwał się Richard:

- Jeśli zabijemy Rainę, Marcus wybiję nas wszystkich.

- Nie sądzę, by miał na to ochotę – powiedziała Sylvie.

Richard nerwowo pokręcił głową. – Nie, nie lekceważyłbym go na twoim miejscu.

Nikt się nie odezwał, ale wystarczyło spojrzeć na czyjąś twarz, by wiedzieć, co myśli. Wszyscy zgadzali się ze mną. Richard doprowadzi do swojej śmierci, przy okazji ciągnąc do grobu wszystkich swoich zwolenników.

Louie wyszedł z kuchni z dwoma kubkami kawy. Uśmiechnął się do mnie. Louie jest najlepszym przyjacielem Richarda; towarzyszył nam podczas naszych wspinaczek po górach. Ma 5,6 stopy wzrostu*, oczy ciemniejsze od moich. Czarne, a nie ciemnobrązowe. Przyciął swoje krucze włosy.

Odkąd go znam, zawsze miał je długie i nie dlatego, że wyglądał w nich tak dobrze, jak Richard. Nigdy nie znajdował czasu na ich ścięcie. Teraz były dość krótkie, by odsłaniać jego uszy, przez co wyglądał starzej, odpowiadał wizerunkowi profesora biologii. Louie jest szczurołakiem, jednym z poruczników Rafaela. Podał mi kubek z kawą.

- Te spotkania stały się o wiele przyjemniejsze, odkąd namówiłaś Richarda na zakup ekspresu do kawy. Dzięki.

Odetchnęłam głęboko aromatem kawy i od razu poczułam się lepiej.

Kawa mogła nie być lekarstwem na wszystkie problemy, ale na pewno była mu bliska. – Nie jestem pewna, czy wszyscy się cieszą z mojej obecności.

- Są przerażeni. To sprawia, że stają się nieprzyjaźni.

Stephen wyszedł z pokoju gościnnego w ciuchach zbyt dobrze pasujących do siebie, by mogły należeć do Richarda. Niebieska koszula z długimi rękawami, wsunięta w wytarte niebieskie dżinsy. Jediną osobą w pomieszczeniu o rozmiarach zbliżonych do Richarda był Jason. Ten wilkołak nie miał nic przeciw pożyczaniu ubrań.

- Dlaczego wszyscy wyglądają na przygnębionych? – zapytałam.

Popijając kawę, Louie oparł się o ścianę. – Jean-Claude wycofał

swoje poparcie dla Marcusa, przerzucił je na Richarda. Nie mogę uwierzyć, że żaden z nich ci o tym nie wspomniał.

- Mówili coś o zawieraniu umowy, ale nie wdawali się w szczegóły.

– Pomyślałam, o tym, co przed chwilą powiedział mi Louie. – Marcus będzie wkurzony.

Uśmiech znikł z jego twarzy. – Nie do końca... – Spojrzał na mnie.

– Nadal nie rozumiesz?

- Czego nie rozumiem?

- Bez poparcia Jean-Claude'a, Marcus nie ma szans na wymuszenie posłuszeństwa nad resztą zmiennokształtnych. Jego marzenie o stworzeniu imperium popadło w ruinę.

* stopa to 30,48 cm, więc Louie mierzy 170,7 cm

- Jeśli nie ma szans, to dlaczego wszyscy jesteście zaniepokojeni?

Louie wyglądał na zgnębionego. – Marcus zazwyczaj zabija tych, których nie może kontrolować.

- Uważasz, że rozpocząłby wojnę?

- Tak.

- Nie tylko z Richardem i stadem, ale ze wszystkimi zmiennokształtnymi w mieście?

Louie przytaknął. – Z wyjątkiem lampartolaków. Ich przywódcą jest Gabriel, trzyma z Rainą.

Pomyślałam o tym przez chwilę. – Jezu Chryste, to będzie rzeź.

- Nie ma możliwości zapanowania nad tym, co się stanie, Anito.

Część walk odbędzie się w normalnym świecie. W kraju nadal są trzy stany, które zapłacą setki dolarów znaleźnego za ciało zmiennokształtnego. Taka wojna może być dla części ludzi na rękę.

- Nie macie nic lepszego do roboty? – zapytała Christine. Zaczyna-

łam jej nie lubić. To ona zapukała do drzwi i przerwała namiętą scenę między mną, a Richardem. Szczerze mówić, jestem jej za to wdzięczna.

Myśl o tym, że wszyscy słyszeliby i czuli, jak posuwamy się o krok dalej, była zbyt krepująca, by opisać ją słowami.

Louie cofnął się i usiadł z resztą na podłodze. Ja dalej opierałam się o ścianę i popijałam małymi łykami kawę.

- Dołączysz do nas? – zapytała Christine.

- Nie, pasuje mi tu, gdzie jestem – odparłam

- Zbyt dobra, by siedzieć razem z nami? – zapytał mężczyzna o ciemnych, niebieskich oczach, mający prawie 40 lat. Mierzył około 5,8

stopy**, ciężko było stwierdzić, gdy siedział na podłodze. Miał na sobie garnitur i krawat, jakby był w drodze do pracy. Nazywał się Neal.

- Niezbyt dobra – odpowiedziałam. – Niezbyt dobra w połowie.

- Co to do diabła ma znaczyć? – zapytał. – Nie podoba mi się tutaj obecność normalnych.

- Uspokój się, Neal – zainterweniował Richard.

- Dlaczego? Ona się z nas śmieje.

Richard spojrzał na mnie ze swojego skrawka kanapy. – Dołączysz do nas, Anito?

Sylvie usadowiła się obok Richarda, niezbyt blisko, ale nadal nie by-

ło miejsca dla mnie. Rafael siedział wyprostowany na końcu kanapy, ze

** czyli 176,8 cm wzrostu

ściśniętymi kolanami.

- Kanapa wygląda na pełną – odpowiedziałam.

Richard wyciągnął do mnie rękę. – Zrobimy miejsce.

- Ona nie należy do stada – odparła Sylvie. – Nie ustąpię jej miejsca.

Bez obrazy, Anito, ale nie masz o niczym pojęcia.

Ton jej głosu nie był wrogi, lecz sposób, w jaki spojrzała na Richarda, mówił sam za siebie.

- Nie mam ci nic za złe. – Nie byłam pewna, czy chciałam usiąść na kanapie i być otoczona przez zmiennokształtnych. Nawet przypuszczał-nie przyjacielskich. Każdy w pokoju był szybszy i silniejszy ode mnie.

Jedyną moją przewagą była broń. Jeśli usiądę przy nich, nigdy nie zdążę wyciągnąć jej na czas.

- Sylvie, chcę, żeby moja dziewczyna siedziała przy mnie, to wszystko – odezwał się Richard. – Nie odbieraj tego jako ataku na twoją pozycję wśród lukoi – mówił powoli i cierpliwie, jak do dziecka.

- Co powiedziałaś? – zapytała Sylvie. Wyglądała na zaskoczoną.

- Dzielisz się z nią naszymi sekretami? – wciął się Neal. W jego głosie było słychać oburzenie.

Chciałam powiedzieć, że to tylko słowa, ale nie zrobiłam tego. A mówią, że się nie uczę na błędach.

- Jeszcze niedawno, za zdradzanie naszych tajemnic normalnym ludziom, można było dostać karę śmierci – powiedziała Sylvie.

- Nawet Marcus już się do tego nie stosuje.

- Jak dużo znasz naszych sekretów, człowieku?

Wzruszyłam ramionami. – Kilka słów, to wszystko.

Sylvie gapiała się na mnie. – Chcesz, żeby twoja ludzka dziewczyna przytuliła się do ciebie, Richardzie?

- Tak – odpowiedział, bez śladu gniewu.

Osobiście nie podobało mi się, jak mówiła o mnie „ludzka”.

Patrząc na mnie, Sylvie przyklękła na kanapie. – Chodź człowieku, usiądź między nami.

Nie spuściłam z niej wzroku. – Skąd taka nagła zmiana?

- Nie wszystko odnosi się do władzy w stadzie. Richard zawsze nam to powtarza. Usiądź koło swojego amanta. Zrobię ci miejsce. – Przesunęła się w pobliże Rafaela, przytulając jeszcze bardziej do kanapy.

Król szczurów spojrział na mnie. Podniósł brew, minimalnie drgnął.

Nie ufałam Sylvie, w przeciwieństwie do Rafaela i Richarda, przynajmniej tutaj i teraz. Zdałam sobie sprawę, że zaufałam Rafaelowi ostatniej nocy. Nie miałyby wyrzutów sumienia, tak jak Richard. Biedny Richard, był niczym dziecko płaczące w głuszy. Boże dopomóż mi, zaczynam myśleć jak poganin.

Louie i Stephen tarzali się po podłodze, blisko mnie. Byłam między przyjaciółmi. Nawet Jason, szeroko się do mnie uśmiechający, nie pozwoliłby mnie skrzywdzić. Jason jest na każde zawołanie JeanClaude'a, podobnie jak Stephen. Jeśli pozwoliliby mnie zabić, nie żyłoby o wiele dłużej ode mnie.

- Anito? – przypomniał się Richard.

Westchnęłam i odeszłam od ściany. Byłam między przyjaciółmi, więc dlaczego mięśnie pleców miałam tak spięte, że aż bolały, gdy szłam? Paranoiczka? Kto - ja?

Z kubkiem kawy w lewej ręce przeszłam obok kanapy. Sylvie po-klepywała miejsce, uśmiechała się nienaturalnie.

Usiadłam obok Richarda. Objął mnie ramieniem. Moja prawa ręka przylegała do jego boku, niezbyt mocno. Widział, jak bardzo nie cierpiałam mieć utrudniony dostęp do broni.

Opierając się o jego ciepłe ciało, odprężałam się. Napięte mięśnie pleców powoli się rozluźniały. Upiłam łyk kawy. Wszyscy byliśmy przerażająco cywilizowani.

Richard przybliżył się do mnie i wyszeptał:

- Dziękuję.

Jedno słowo, a tak wiele znaczy. Wiedział, jak dużo kosztowało mnie, by siedzieć między wilkami, szczurami i kotami. Jeśli bym tego nie zrobiła, podważyłabym jego pozycję w stadzie i wśród innych przywódców. Nie znalazłam się tutaj po to, by pogorszyć jego sytuację.

- Kto cię uratował ostatniej nocy, Stephenie? – zapytała Sylvie. Jej głos brzmiał słodko, twarz była uprzejma. Mimo to wcale jej nie ufa-

łam.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Wpatrywał się w podłogę, jakby chciał pozostać niewidzialnym. Szeroko otwartymi oczami spojrział

na Richarda.

- Powiedz prawdę Stephen, nie będę się złościł.

Stephen przełknął ślinę. – Anita mnie ocaliła.

- W tym samym czasie Richard walczył z blisko dwudziestoma zmiennokształtnymi – powiedziałam. – Kazał mi zabrać Stephena, więc to zrobiłam.

Neal zaczął obwąchiwać Stephena, przesuwając nos od jego twarzy, przez szyję, w dół, w kierunku ramion. Nie był to ludzki gest i nie pasował do wystrojonego mężczyzny. – Jego skóra jest przesiąknięta jej zapachem. – Neal patrzył na mnie z wściekłością. – Ona mu się oddała.

Spodziewałam się głosu sprzeciwu, zamiast tego reszta otoczyła Stephena; zaczęli go wachać, dotykać, przybliżać dłonie do własnych twarzy. Tylko Sylvie, Jason, Rafael i Louie pozostali na swoich miejscach.

Reszta po kolei, jeden po drugim, zaczęła się odwracać w stronę moją i Richarda.

- Ma rację – powiedziała Christine. – Jej woń przylega do jego skóry. Niosąc kogoś nie pozostawia się takiej ilości zapachu.

Ręka Richarda zacisnęła się na moim barku. Spojrzałam na jego twarz. Była spokojna, jednak lekko zmarszczone oczy zdradzały napięcie.

- Patrolowałem las, w razie gdyby mieli się pojawić zabójcy – powiedział Richard. – Stephen nie chciał być sam, więc wysłałem go do Anity.

- Wiemy o próbach zabójstwa – powiedziała Sylvie.

Otworzyłam szeroko oczy. – Wiecie?

- Richard chce, byśmy pomogli cię chronić. Jeśli mamy przyjąć na siebie twoją kulkę, musimy wiedzieć dlaczego.

Spojrzałam jej w oczy. Jej piękna twarz przybrała surowy wyraz, wystawały kości policzkowe.

- Nie proszę nikogo, żeby osłaniał mnie przed kulami – odparłam.

Wydostałam się spod ramienia Richarda, co przysunęło mnie bliżej Sylvie i nie polepszyło sytuacji.

Richard nie walczył ze mną. Wycofał rękę. – Powinienem być najpierw z tobą porozmawiać, zanim im powiedziałem.

- Masz rację, powinieneś być.

Sylvie oparła się o kanapę, przybliżając twarz o kilka cali do mojej.

– Masz czelność napominać naszego przyszłego przywódcę, człowieku?

- Nazywasz mnie człowiekiem, jakby to był grzech, Sylvie. Zazdrosna?

Odskoczyła, jakbym ją spoliczkowała. Wyglądała na zranioną i wściekłą. – Większość z nas przeżyła atak, człowieku. Nie wybraliśmy tego. – Jej głos drżał.

Spodziewałam się po niej wielu rzeczy, ale na pewno nie bólu z powodu przeżycia ataku. Było mi przykro z tego powodu. – Przepraszam.

Nie miałam na myśli nic osobistego.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo jest to osobiste.

- Wystarczy, Sylvie – wtrącił się Richard.

Uniosła się na kolana, by napotkać twarz alfy nad moją głową. – Nie masz nawet jaj, by być na nią wściekłym za to, że spała z podrzędnym samcem?

- Czekaj chwilę – zwróciłam na siebie uwagę. – Stephen i ja nie współżyliśmy ze sobą. Spaliśmy razem w jednym łóżku, to wszystko.

Neal gwałtownie pochylił swoją twarz nad kroczem Stephena i zaczął wachać. Ponownie nie wyglądało to na ludzki gest. Stephen pozwolił mu na to, co również nie było charakterystyczne dla człowieka.

Jason pochylił się nade mną, wachając moją nogę.

Oparłam kubek z kawą o kolano naprzeciw jego twarzy. – Nawet o tym nie myśl. – Powiedziałam.

Jason uśmiechnął się w moim kierunku. – Nie możesz winić faceta, za to że próbował.

- Ja mogę – odezwał się łagodnie Richard.

Jason uśmiechnął się do niego i wycofał.

Neal uniósł twarz i pokręcił głową. – Nie uprawiali seksu.

- Richard powiedział, że Anita mnie obroni – odezwał się Stephen.

Nastąpiła grobowa cisza.

- Czy naprawdę to powiedziałaś? – zapytała Sylvie. Spoglądała na Richarda, jakby zrobił coś bardzo, bardzo złego.

Richard wziął dość głęboki wdech, bo jego ramiona poruszyły się. –

Tak, dokładnie to powiedziałem.

- Stephen, czy uwierzyłeś, że obroniłaby cię? Gdyby Raina weszła tymi drzwiami, zaufałybyś Anicie, że cię ocali? – zapytała Sylvie.

Stephen spojrzał na podłogę, a gdy podniósł wzrok, jego oczy wpatrywały się w Richarda, potem we mnie. W końcu odwrócił głowę. –

Kazała mi spać przy ścianie, by mogła być z przodu, w razie gdyby ktoś wszedł przez drzwi.

A myślałam, że byłam subtelna.

- Co byś zrobiła, gdyby przyszła Raina? – spytała Sylvie.

Wszyscy poza Richardem obserwowali mnie. Ich wzrok był bardzo skupiony, wiedziałam, że to pytanie miało większe znaczenie, niż powinno. – Zabiłabym ją.

- A nie zraniła, postrzeliła? – dopytywała Christine.

Potrząsnęłam głową. – Dałam jej wczoraj ostatnie ostrzeżenie. Jeśli przyjdzie jeszcze raz po Stephena, zabiję ją.

- Ty nie żartujesz, naprawę byś to zrobiła? – dociekała Sylvie.

- Tak – potwierdziłam.

Poczułam w pokoju przepływ energii, prawie jakby byli telepatami, dzielili się wiadomościami. Nie wydaje mi się, by byli, aczkolwiek coś się działo. Poziom mocy w pomieszczeniu wzrastał, co mi się nie podobało. Postawiam kubek z kawą na podłodze, chciałam mieć wolne obie ręce.

Sylvie złapała mnie w tali i wyrzuciła nas z kanapy. Zanim zdążyłam zareagować wylądowałyśmy na podłodze, z nią na moich plecach. Sięgnęłam po broń, lecz jej ręka dotarła tam wcześniej. Wyszarpnęła broń z kabury i odrzuciła. Nie była szybsza ode mnie, była błyskawiczna. A ja znalazłam się w większym gównie, niż mogłam to sobie wyobrazić.

Jej ręka owinęła się wokół mojej szyi, jakby chciała mnie przydusić.

Była w stanie pozbawić mnie przytomności bez zabijania. Jej nogi zaciskały się wokół mojej tali, najciaśniej, jak tylko były w stanie.

Pół tuzina wilkołaków pojawiło się między nią, a Richardem. Stał z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Jego moc dosłownie wylewała się na pokój, coraz mocniej i gęściej, czułam się, jakbym została pogrzebana żywcem pod jakimś rodzajem energii.

- Przestań – jęknęłam. Nie miałam na myśli Richarda.

Poczułam, jakby coś otwierało się wewnątrz Sylvie. Drżąca, wirująca moc przepływała z jej skóry na moje ciało. Była gorąca, tak jak powietrze z otwartej kuchenki. Drżałam, przy każdym jej dotknięciu. Bo-lało, niczym małe wylądowania elektryczne.

- Co robisz, Sylvie? – zapytał Richard.

Mówił niskim głosem, prawie warczał. Nie brzmiało to po ludzku.

Spodziewałam się, że jego oczy przybiorą bursztynowy odcień, lecz były małe i brązowe, jak zawsze. Ludzkie oczy, jednak nie ich spojrzenie. Wewnętrzna bestia, to ona wyzierała przez jego oczy. Wiedziałam, że Richard w tym stanie był bardzo niebezpieczny. Tak samo jednak zdawałam sobie sprawę z tego, że jego przerażająca moc nie uratuje mnie, jeśli Sylvie zdecyduje się urwać mi głowę.

Moja krew trzepotała pod jej skórą niczym uwięziony motyl. Stara-

łam się, by mój głos zabrzmiał spokojnie. – Co się dzieje?

- Zrobię cię jego prawdziwą partnerką.

- Nie możesz zarzącać w ludzkiej postaci – odparłam.

- Naprawdę? – spytała. Ręka, którą zacisnęła wokół mojej krtani rozgrzała się, puls nasilił się, bił niczym serce. Poczułam ruch mięśni pod jej skórą.

- Richard! – Mój głos był wysoki i piskliwy. Strach potrafi to uczynić.

Rafał i Louie powstali w okamgnieniu. Wilkołaki, które w tym starciu dołączyły do Sylvie, rozbiegły się, by bronić dostępu również szczurom.

Nie mogłam zobaczyć Stephena. Ostatnio widziałam go gdzieś na podłodze, siedzącego w kucki.

Jason przyklęknął przed Richardem, zwrócony ku reszcie wilkołaków. Przynajmniej dziesięć z nich przyglądało się, nie obierając niczyjej strony. – Ukrywałaś przed nami swoje możliwości, Sylvie – powiedział.

Sylvie napięła ramię wokół mojej szyi. Przez ułamek sekundy widziałam dłoń z długimi pazurami. – Tylko Raina jest wyżej w stadzie ode mnie, Jason.

Richard zwrócił się ku wilkołakom. Podniósł dłonie w górę, wykonując delikatny gest, jakby grał w filmie. Kłująca energia zelżała odrobinę. Napierał na ich moc, cofał ją.

- Wystarczy tylko zadrapanie. Nigdy nie zdążysz na czas, Richardzie

– odezwała się Sylvie.

- Zabraniam ci – powiedział Richard, niskim warczącym głosem. –

Nikt nie zostanie zarażony bez własnej zgody, w szczególności Anita.

- Dlaczego? – zapytała Sylvie. – Gdyby nie była człowiekiem, nie chciałbyś jej? Unikanie kontaktów

seksualnych z członkiniami stada jest tylko kolejnym sposobem na zaprzeczanie temu, kim jesteś, Richardzie.

Coś przemknęło przez jego twarz, poza wściekłością było widoczne zakłopotanie.

W tej chwili, wiedziałam, że Sylvie ma rację.

Jej oddech ogrzewał moją twarz, wyszeptała do mojego ucha. – Widzisz jego twarz?

- Tak.

- Oskarża cię, iż nie jesteś w stanie się z nim przespać, bo uważasz go za potwora, jednak gdybym zamieniła cię w jedną z nas, nie chciałby cię. Ma nas wszystkich za bestie, z wyjątkiem siebie. Jest lepszy od nas.

- Zranię cię Sylvie, zranię do krwi rozumiesz? – zagroził Richard.

- Ale mnie nie zabijesz, nieprawdaż? – odpowiedziała. Jej ramię wygięło się, długie pazury łaskotały moją twarz.

Położyłam ręce na jej „łapie”; chciałam ją odciągnąć od siebie, lecz nie byłam w stanie. – Ja cię zabiję – powiedziałam.

Stała nieruchomo, przytrzymując moje ciało. – Za zamienienie cię w jedną z nas? Czy za utratę Richarda, kiedy zobaczy twoją potworną, owłosioną bestię?

Odpowiedziałam bardzo cicho i ostrożnie. – Nienawidzisz tego, kim jesteś, Sylvie.

Jej ramię drgnęło wystarczająco mocno, by przydusić mnie przez chwilę. – Nie nienawidzę tego, czym jestem. Ja to akceptuję – jej ramię się rozluźniło.

Wzięłam ostrożny wdech i spróbowałam jeszcze raz. – Widziałam wyraz twojej twarzy, kiedy oskarżyłam cię o bycie zazdrosną. Zazdro-

ścisz mi tego, że jestem człowiekiem, Sylvie. Bardzo dobrze o tym wiesz.

Uniosła drugą rękę przed moją twarz, pozwalając przyjrzeć się długim, cienkim pazurom. Ręką obejmującą moje gardło zaczęła rozczesywać mi włosy.

- Wiesz, że Raina zabroniła nam przemieniać cię w lukoi. Obawia się, że jeśli dołączysz do nas, będziesz jeszcze większą suką niż ona.

- Pochlebiające – mruknęłam.

Spojrzałam na Richarda, częściowo zasłoniętego przez wilkołaki.

Jego oczy przybrały barwę bursztynu, wyglądały obco. Wiedziałam, że nie zabiłby Sylvie. Nawet

gdyby zraniłaby mnie, zaraziła, nie byłby w stanie. Dostrzegłam to w bólu odzwierciedlonym na jego twarzy. Za-kłopotanie zastępujące przerażenie.

Możliwe, że Sylvie dostrzegła to samo. Może udowodniła swoją ra-cję. Najważniejsze, że wycofała się. Wstała ostrożnie, po mojej drugiej stronie.

Oddaliłam się na czworakach, tak szybko, jak tylko mogłam. Nie wyglądało to ładnie, nie było sprytne, ale skuteczne.

Czołgałam się, dopóki nie dotarłam do ściany. Zatrzymałam się i oparłam o nią tak daleko od wszystkich w pokoju, jak tylko mogłam.

Reszta wilkołaków wycofała się. Sylvie i Richard wpatrywali się w siebie. Jej tęczęwki przybrały metaliczny odcień - wilcze oczy.

Richard cisnął przed siebie mocą. Pełzła po mojej skórze, wydarła mi dech z piersi.

Sylvie stała w tym przepływie energii, nawet nie drgnęła. – Twoja moc jest imponująca, ale nic nie znaczy, dopóki Marcus żyje.

Spoliczkował ją, zbyt szybko, by móc zauważyć cokolwiek poza rozmazanym obrazem. Sylvie uderzyła o ścianę i osunęła się oszołomiona na podłogę.

- Jestem przywódcą stada – zagrzemiał Richard, uniósł na wpół przemienione dłonie do nieba. Upadł na kolana, a ja nie poszłam mu z pomocą. Pozostałam oparta o ścianę, niczym bezwładna kupa mięsa, my-

śląc tylko o zapasowej broni, którą powinnam mieć ze sobą.

Richard przykucnął na podłodze, delikatnie się kołysząc. Zwinął się w kłębek i poczułam, jak odwołuje swoją moc. Czułam jak odpływa.

Pozostał skulony na podłodze, z głową opuszczoną w dół, zakrytą włosami, obejmując się jeszcze długi czas po tym, jak cała energia zniknęła z pokoju.

Sylvie upadła na kolana i podczołgała do niego. Kucnęła przy Richardzie, gładząc jego twarz, odgarniając z niej włosy. – Pójdziemy za tobą wszędzie, jeśli tylko zgodzisz się dla nas zabić. Ona robi to dla nas. Jeśli twoja partnerka, twoja lupa, zabije dla nas, to powinno wystarczyć.

Richard podniósł głowę, cały drżał.

– Nikt nie zostanie przemieniony wbrew swej woli. To jest moje przyrzeczenie i nakaz.

Podniósł się, opierając na kolanach. Sylvie pozostała na klęczkach, z twarzą przy podłodze, na znak upokorzenia. – Ale nie zabijesz, by eg-zekwować to prawo.

- Zabiję, by chronić Anitę – odezwał się Rafael.

Wszyscy spojrzeli na niego.

- Rafael, nie rób tego – powiedział Richard.

- Wprowadzasz człowieka między nas i jej nie chronisz. Ktoś musi to robić.

Chciałam powiedzieć, że jestem w stanie obronić się sama, ale to nieprawda. Byłam dobra, lecz pozostawałam człowiekiem. To nie wystarczało.

- Nie mogę ci pozwolić na odwalanie za mnie brudnej roboty – powiedział.

- Jestem twoim przyjacielem, Richardzie. Nie mam nic przeciwko temu – odparł Rafael.

Sylvie przytuliła się do podłogi, przy stopach Richarda. – Czy pozwolisz na to, żeby Król Szczurów niszczył twoje stado? A może to on ma być naszym przywódcą?

Spojrzał na nią z góry i coś stało się z jego twarzą, nic nadprzyrodzonego, czy wilczego; przenikały przez nią surowość i smutek. Nie spodobało mi się to. Jeśli miałabym broń, postrzeliłabym ją za to, że spowodowała pojawianie się tego wyrazu na jego twarzy.

– Zabiję każdego, kto złamie mój nakaz. Przemówiłem i ustanowi-
łem prawo.

Sylvie ukloniła się jeszcze niżej, reszta wilków otoczyła go, czołgając się na podłodze, korząc się przed nim. Część z nich lizała jego ręce, dotykała jego ciała. Poruszali się wokół niego, dopóki nie zakryli go całego.

Richard wstał, przeszedł przez nich, ich ręce trzymały się kurczowo jego nóg. Schylił się, podniósł firestara z podłogi i podszedł do mnie.

Wyglądał normalnie, wilcze cechy zniknęły. Podał mi broń.

– Wszystko w porządku?

Tuliłam ją obiema rękami.

– Pewnie.

– Cenię twoje człowieczeństwo Anito. Sylvie ma rację, jak mogę prosić cię o zaakceptowanie mojej bestii, skoro sam nie jestem w stanie tego zrobić? – Ból na jego twarzy rozdzierał moje serce. – Zabiję, by zapewnić ci bezpieczeństwo. Czy to cię uszczęśliwia?

Patrzyłam na niego. – Nie – odpowiedziałam. – Myślałam, że tak, ale nie.

Czułam się jak Rafael. Zabiłabym dla niego. Zabiłabym, by nie musieć patrzeć na jego ból. Schowałam broń do kabury i podałam mu moją prawą dłoń. Jego oczy rozszerzyły się. Zrozumiał

gest. Przyjął moją rękę i podniósł mnie. Przywiódł mnie przed wilki.

Ociągałam się, siłując się z jego ręką.

- Powiedziałem, że zabiję dla ciebie, Anito – Jego głos był łagodny i ostry zarazem. – Nie wierzysz mi?

Jego oczy były pełne smutku. Jakby coś wewnątrz niego, co utrzymywało go przy życiu przez te wszystkie lata, zniknęło. Wierzyłam temu, co widziałem w jego twarzy. Zabiłby, by mnie chronić, ale ta decyzja drogo go kosztowała.

Wilkołaki zaczęły nas otaczać. Powiedziałabym, że czołgały się wo-kół nas, ale nie oddawało to w pełni tego, co robiły. Czołganie się nie było pełne wdzięku, zmysłowe, tak jak to. Poruszały się, jakby posiada-

ły mięśnie w zupełnie innych miejscach niż ludzie. Otoczyły nas i zwróciły ku nam oczy. Kiedy wyszłam im na przeciw, odwróciły się, wszystkie poza Sylvie. Napotkała mój wzrok i nie odstępowała. To było wyzwanie, lecz nie miałam pewności, co powinnam zrobić.

Dotknęła mnie ręka, odtrąciłam ją. Tylko uścisk Richarda powstrzymał mnie przed sięgnięciem po broń. Trzymał moje ręce i przyciągał do siebie, niezbyt blisko, nie dotykaliśmy się. Spojrzałam mu w oczy; nie odwrócił wzroku. Nie bał się. Próbowалаm się rozluźnić, lecz nie byłam w stanie.

- To jest moja Lupa. Poznajcie jej zapach, poznajcie jej dotyk. Przelewała naszą krew i swoją dla nas. Ochronia słabszych od siebie. Zabije dla nas, jeśli ją poprosimy. Jest waszą alfą.

Sylvie i Neal podnieśli się. Obydwoje wyszli poza krąg. Stali, patrzyli na mnie i na Richarda. Reszta znajdowała się na podłodze, przyglądała się.

- Nie dominuje nade mną – powiedziała Sylvie.

- Nie jest nawet jedną z nas – dodał Neal. – Nie uklonię się jej.

Mógłbym ją złamać na pół jedną ręką. – Potrząsnął głową. – Nie jest moją alfą.

- Richard, co się dzieje? – zapytałam.

- Próbowалаm wprowadzić cię do stada, uczynić jedną z nas bez za-rażania cię.

- Dlaczego?

- Jeśli masz zamiar ochraniać Stephena, zasługujesz na ochronę stada. Jeśli będziesz ryzykować dla nas życiem, masz prawo korzystać z naszej protekcji.

- Bez obrazy, ale jak dotąd nie zaimponowała mi wasza ochrona – w chwili, gdy to powiedziałam, od razu pożałowałam. Jego twarz zapadła się.

- Wczoraj wmieszałaś się osobiście w sprawy Rainy, Anito. Nie masz pojęcia, jak jest niebezpieczna. Chciałem, byś miała ochronę każdej obecnej tu osoby, jeśli coś by mi się przytrafiło.

Spojrzałam na niego.

- Zabijesz Markusa jeśli cię zaatakuje, prawda? Nie będziesz miał

skrupułów. – Dotknęłam jego ramienia, obserwowałam jego twarz. –

Odpowiedz mi, Richardzie.

W końcu przytaknął. – Nie pozwolę mu się zabić.

- Zabijesz go, przyrzeknij mi.

Zacisnął szczękę, mięśnie napięły się. – Przyrzekam.

- Nareszcie! – wykrzyknęła Sylvie. Spojrzała na mnie. – Wycofuję swoje wyzwanie. Nie dominujesz nade mną, lecz możesz być jego samicą alfa. Masz na niego pozytywny wpływ. - Weszła z powrotem do okręgu, ale nie uklękła. – Chodź Neal, odpuść już.

Potrząsnął głową. – Nie, ona nie jest jedną z nas. Nie może być. Nie uznaję jej jako alfy.

Sylvie odezwała się do mnie. – Musisz tylko udowodnić mu, że mówisz prawdę. Musisz go trochę poturbować.

- Jak mam go zranić? Przeżyłby bezpośrednie zderzenie z ciężarówką.

Wzruszyła ramionami.

- Nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby wyzwąć cię na pojedynek, przepraszam – powiedział Richard.

- Spodziewasz się, że wszyscy będą mili i grzeczni, Richardzie. To twoja największa zaleta, a zarazem słabość – odparłam.

- Odrzuć wyzwanie, Anito.

- Jeśli to zrobię, co się stanie?

- To będzie koniec. Nie będziesz należeć do stada, ale mogę nakazać im chronić cię przed Rainą. To prawie to samo.

- Powiedziałam ci już. Nie chcę, by ktokolwiek rzucał się przede mną z rozkazu. Zresztą, nie zgłoszę się do walki jeden na jednego z lykantropem. Zatrzymam broń. Dziękuję za propozycję.

Zadzwonił dzwonek do drzwi. Prawdopodobnie Edward. Cholera.

Spojrzałam na grupę zmiennokształtnych. Byli w ludzkiej postaci, mi-mo to pozna, czym są. Był lepszy w wyczuwaniu potworów niż ja, przynajmniej tych żywych. – Jeśli możecie się trochę wyluzować, pójde otworzyć drzwi.

- Edward? – zapytał Richard.

- Prawdopodobnie – odpowiedziałam.

Spojrzał na grupę. – Niech wszyscy wstaną. On jest człowiekiem.

Wstali, bardzo powoli, niechętnie. Wydawali się odurzeni, jakby panująca w pokoju moc wyrządziła im więcej szkód niż mi.

Poszłam do drzwi. Byłam w połowie drogi, gdy Richard zaczął krzyczeć. – Nie!

Upadłam na podłogę, przeturlałam się i poczułam ruch powietrza nade mną; Neal chciał mnie uderzyć. Jeśli byłby dobry w biciu się, powaliłby mnie. Chybione uderzenie wytrąciło go z równowagi, podstaw-

łam mu nogę i przewróciłam na podłogę. Był z powrotem na nogach, zanim ja zdążyłam wstać, jakby miał przymocowane do pleców sprężyny. Imponujące.

- Przestań Neal – powiedziała Sylvie

- Nie odrzuciła wyzwania, mam do tego prawo.

Cofnęłam się, leżąc ciągle na podłodze i nie wiedząc, co zrobić. Na-de mną było okno z zasuniętymi zasłonami. Nie miałam pewności, czy powinnam się podnieść.

- Jakie są zasady, szybko.

- Do pierwszej krwi. Tylko ludzka postać – odpowiedziała Sylvie.

- Jeśli się przemieni, możesz go zastrzelić – wtrącił Richard.

- Zgoda – odparła Sylvie; reszta wyszemrała swoje przyzwolenie.

Pięknie. Neal skoczył na mnie, dosłownie szybując w powietrzu z rozłożonymi rękoma. Podparłam się kolaniem, złapałam jego marynarkę i wykorzystując pęd, przeturlałam na plecach. Przyłożyłam obydwie stopy do jego brzucha i pchnęłam z całych sił. Pofrunął nade mną perfekcyjnym łukiem. Ustawił się na podręcznikowy przerzut w tył.

Przeleciał przez okno, zabierając ze sobą zasłonę. Wstałam i patrzy-

łam na roztrzaskane szkło. Odłamki szyby rozsypały się na dywan i ogród. Neal walczył z zasłoną, krew leciała mu z pociętej przez szkło twarzy.

Edward nagle znalazł się na podłodze w pozycji do walki, z wyciągniętą bronią, wycelowaną w pozbywającego się zasłony Neala.

- Nie strzelaj, wydaje mi się, że to już koniec – powiedziałam.

Neal wstał, odrzucając zasłonę. – Zabiję cię.

Wyciągnęłam firestara i wycelowałam w niego. – Nie wydaje mi się.

Richard stanął przy mnie. – Neal, Anita zraniła cię pierwsza. Pojedynek skończony, chyba że chcesz walczyć też ze mną.

- I ze mną – powiedziała Sylvie. Zatrzymała się przy drugim boku Richarda. Reszta stada stanęła za nami. Stephen przykucnął przy mnie.

- Od teraz należy do stada, jeśli walczysz z jednym z nas, walczysz ze wszystkimi – powiedziała Sylvie.

Edward spojrzał na mnie, poruszył brwiami. – Co się dzieje, Anito?

- Wydaje mi się, że zostałam adoptowana – odpowiedziałam.

Neal posłał mi piorunujące spojrzenie.

- Zrób to Neal – powiedziała Sylvie.

Przyklęknął wśród szkła i zasłon. Rany na jego twarzy zaczęły się już goić. Szkło nie było srebrem bądź pazurami innego zmiennokształtnego, więc leczył się w zastraszającym tempie.

- Jesteś dominująca. Jesteś alfą – cedził słowa z oporem. – Gdyby nie to okno, nie zraniłabyś mnie.

- A jak myślisz, dlaczego przesunęłam się w jego stronę, Neal?

Zmrużył oczy. – Zaplanowałaś to?

Przytaknęłam i podniosłam broń do góry, celując w powietrze. – Nie jestem tylko kolejną ładną dziewczyną.

Richard złapał mnie za lewą rękę i lekko ścisnął. – To prawda, święta prawda.

Schowałam firestara.

Edward potrząsnął głową, uśmiechał się, ale nie ukrył broni. Przestał

za to we wszystkich celować. – Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która prowadzi bardziej interesujące życie od mojego.

Jason poklepał mnie po plecach. – Jutro w nocy zabierzemy cię na polowanie.

- Myślałam, że ganiasz tylko za samochodami – odpowiedziałam.

Uśmiechnął się. – Nie ma w tym nic zabawnego, samochody nie krwawią.

Odwzajemniłam uśmiech, po chwili spoważniałam. Jego oczy były błękitne niczym wiosenne niebo, radosne. Patrząc w nie, nie wiedzia-

łam, czy żartował. Prawie o to zapytałam. Ale nie zrobiłam tego. Nie byłam pewna, czy chciałam wiedzieć.

Rozdział 12

Edward jest wysokim na około sześć stóp blondynem, z włosami przystryżonymi krótko, tuż przy samej skórze głowy. Niebieskooki i wychowany na przykładnego białego Amerykanina. Jest również naj-niebezpieczniejszym człowiekiem, którego kiedykolwiek spotkałam, wśród żywych i umarłych.

Był rozbawiony jak cholera przez całe to zajście z lykantropami.

Grupa rozpadła się wkrótce po jego przyjeździe, chyba dlatego, że cały interes o to zadbał. Spotkanie było przede wszystkim ostatnią próbą przekonania Richarda do złamania jego moralności i zamordowania kogoś. Pomijając to, że miał wybrać lupę, która będzie dla niego zabijać. Upiekliliśmy dwie pieczenie przy jednym ogniu, gra słów w tym miejscu jest jak najbardziej zamierzona. Ale doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że poszczęściło mi się z Nealem. Gdyby miał przygotowanie z zakresu jakiegokolwiek sztuki wojennej, gdyby wiedział coś o walce, byłabym ugotowana.

Richard załatał rozbite okno i zadzwonił do szklarza, który był

skłonny, za wyśrubowaną opłatą, przyjechać i naprawić uszkodzenie natychmiast. Zaoferowałam się zapłacić za szkody, bo byłam za nie odpowiedzialna .

Siedzieliśmy przy kuchennym stole. Edward i ja sączyliśmy kawę, Richard pił herbatę. Jedna z jego niewielu wad to całkowita niechęć do kawy. Trudno zaufać komuś, kto jej nie pija.

- Czego się dowiedziałeś?- zapytałam.

Edward wziął łyk swojej kawy i lekko potrząsnął głową.

- Niewiele. Podnieśli poprzeczkę.

- Nawet z limitem czasowym? – zapytałam.

Skinął głową.

- Kiedy upłyną dwadzieścia cztery godziny?

- Powiedzmy, że o drugiej. Dostałem propozycję o pierwszej wczoro-rajszej nocy, ale dla

bezpieczeństwa dodajmy godzinę.

- Dla bezpieczeństwa – powtórzył Richard. To chyba był sarkazm.

- Co się z tobą dzieje? – spytałam.

- Martwię się jako jedyny w tym pokoju?

- Panika nie pomaga, Richardzie.

Wstał, wylewając zawartość kubka do zlewu, i umył go automatycznie. Obrócił się, opierając pośladkami o szafki, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

- Potrzebujesz czegoś, żeby stworzyć plan?

Potwierdziłam skinieniem głowy: - Tak.

Wpatrywał się w nas. Widziałam, jak myśli o czymś poważnym. W

końcu wyrzucił z siebie:

- Nie rozumiem, jak możecie być tacy spokojni. Jestem w szoku, że ktoś zlecił zabójstwo Anity. Wy dwoje wcale nie wydajecie się być wstrząśnięci.

Spojrzałam na Edwarda, a on na mnie. W tym momencie doskonale się rozumieliśmy, i wiedziałam, że nie potrafiłabym wyjaśnić tego Richardowi. Nie byłam nawet pewna, czy mogę to wyjaśnić sobie samej.

- Pozostaję żywa tak długo tylko dlatego, że nie zareagowałam, jak większość ludzi reagowałaby na moim miejscu.

- Pozostałaś przy życiu, bo robisz rzeczy, których inni nie.

Nie zaprzeczyłam.

- To też.

Jego twarz była bardzo poważna, jakby mały chłopiec pytał o życiowe sprawy.

- Pozwól mi zadać tylko jedno głupie pytanie, potem się zamknę.

Wzruszyłam ramionami.

- Pytaj.

- Anita powie, że nie lubi zabijać. Nie czuje niczego, kiedy to robi -

Edward odezwał się nieproszony.

Zdałam sobie sprawę, że teraz pytanie zostanie skierowane do niego.

Nie wiedziałam, jak cała uwaga w pomieszczeniu skupiła się na nim.

- Lubisz zabijać?

Edward siedział na krześle bardzo pewnie, cicho popijając kawę. Jego niebieskie oczy były całkowicie neutralne, puste, nie dające się czytać jak oczy wampira, i w pewien sposób martwe. Pierwszy raz zastanawiałam się, czy moje oczy kiedykolwiek wyglądały tak samo.

- Czemu chcesz wiedzieć?

- Zgodziłem się uśmiercić Marcusa – powiedział Richard. – Jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem.

Edward podniósł na niego wzrok. Ostrożnie odstawił na stół kubek z kawą i spojrzał w oczy wilkołakowi.

- Tak.

- Tak, to cię cieszy? – dociekał.

Edward skinął głową.

Richard czekał na jakieś wyjaśnienie z jego strony. Można to było wyczytać z jego twarzy.

- Już odpowiedział na twoje pytanie.

- Ale czy on cieszy się uczuciem zabijania kogoś? Czy to wychodzi z umysłu? Ta cała uciecha bierze się znikąd, czy on wie, jaka będzie jego reakcja na śmierć?

Edward podniósł do góry swój kubek.

- Gra w dwadzieścia pytań skończona – odparłam.

Twarz Richarda przecięła błyskawica upartości i frustracji.

- Ale „tak” nie mówi mi niczego.

- Jeśli po tym wszystkim zabijesz Marcusa, to możesz pytać dalej –

powiedział Edward.

- I będziesz odpowiadał?

Edward niechętnie kiwnął głową.

Po raz pierwszy pomyślałam o tym, że Edward lubił mojego chłopaka. Nie jak przyjaciela, ale nie myślał, że Richard jest kompletną stratą czasu.

Alfa przewiercił spojrzeniem twarz Śmierci, by potrząsnąć głową.

- Okej. – Z powrotem usiadł na krześle. – Żadnych pytań więcej. Ja-ki jest plan?

Uśmiechnęłam się do niego.

- Musimy powstrzymać zabójcę przed uśmierceniem mnie.

- To jest cały twój plan?

- I usunąć gościa z pieniędzmi – odpowiedział Edward. – Tak długo, jak stawka jest w grze, Anita nie będzie bezpieczna.

- Żadnych pomysłów, jak to osiągnąć?

Edward dokończył swoją kawę, potem podszedł do blatu i ponownie napełnił kubek, jakby był u siebie. Z powrotem opadł na krzesło. Dobry, stary Edward, czujący się wygodnie gdziekolwiek by był.

Siedziałam, czekając, obserwując go spokojnie. Powie nam, kiedy będzie gotowy, nie wcześniej.

Richard wiercił się na siedzeniu.

- Co? – zapytał w końcu.

Edward uśmiechnął się, myślę, że do wilkołaka, albo do wiecznej muzyki, którą tylko on mógł usłyszeć. Rytmu, który utrzymywał go pewnym siebie i żywym.

- Zabójca może przyjść tu dzisiaj, ale my będziemy na to przygotowani. Stado zmiennokształtnych było doskonałe. Zastrzeliłbym siebie w tym bałaganie, gdyby nie wyparowali.

Rozejrzałam się po cichej kuchni. Skóra pomiędzy moimi łopatkami nieprzyjemnie swędziała.

- Myślisz, że teraz jesteśmy w niebezpieczeństwie?

- Może. – Nie wyglądał na zmartwionego. – Ale myślę, że spróbują uderzyć dzisiejszej nocy, podczas twojej randki z Mistrzem Miasta.

- Skąd wiedziałeś, że mam dziś randkę?

Edward tylko się uśmiechnął.

- Wiem, że Mistrz Miasta zabiera Egzekutorkę na otwarcie swojego nowego klubu, Danse Macabre. Wiem, że przybędziesz tam limuzyną.

- Nawet ja tego nie wiedziałam.

Wzruszył ramionami.

- Nie jest trudno zdobyć takie informacje, Anito.

- Zamierzałam odwołać moją randkę na dziś wieczór i spróbować się schować.

- Jeśli zostaniesz, zabójca prawie na pewno odwiedzi to miejsce.

Zerknęłam na Richarda.

- Och – westchnęłam.

- Potrafię o siebie zadbać – oznajmiłam.

- Potrafiłbyś zabić istotę ludzką?

Zamrugnął.

- Co masz na myśli?

- To, że gdyby ktoś zaatakował cię pistoletem, zabiłbyś go?

- Mówiłem, że zabiję, by ochronić ciebie.

- Nie o to pytałam, Richard, wiesz o tym.

Wstał i zrobił małe kółko po kuchni.

- Standardowa amunicja nie może mnie zabić.

- Do końca nie będziesz wiedział, czy to przypadkiem nie srebrne naboje – odparłam.

Objął się ramionami, przejeżdżając palcami przez swoje długie włosy, i odwrócił się do mnie.

- Jak tylko zdecydujesz, że będziesz zabijał, to nigdy tego nie zatrzymasz, prawda?

- Tak – odpowiedziałam.

- Nie wiem, czy mógłbym zabić człowieka.

- Dzięki za szczerą.

- Ale to znaczy, że wprowadzisz zabójcę do klubu zatłoczonego ludźmi, tak? Żeby mnie ochronić, będziesz stanowiła zagrożenie dla nich wszystkich?

- Mogłabym zagrażać prawie każdemu, byle tylko zachować twoje bezpieczeństwo.

Edward parsknął, prawie się zaśmiał. Jego twarz była rozbawiona i pusta. Sączył kawę.

- Właśnie dlatego nie chcę Richarda w pobliżu linii ognia. Będziesz tak zajęta martwieniem się o

niego, że to uczyni cię nieostrożną.

- Ale ci wszyscy ludzie, nie możesz tak po prostu ich narazić.

Edward spojrział na mnie i nie wypowiedział na głos swoich myśli.

Dziękowałam za to w duchu.

- Myślę, że Edward uwzględnił to w swoim planie.

- Sadzę, że uderzą, kiedy będziesz wracała z klubu do domu. Jeśli nie muszą, to po co mają pracować w tłumie? Wystarczy podłożyć bombę pod limuzynę i czekać, aż będzie cię odwozić.

- Właśnie to byś zrobił? – spytał Richard.

Edward obrzucił go krótkim spojrzeniem, a potem skinął.

- Prawdopodobnie. Nie bombą, ale uderzyłbym w limuzynę.

- Dlaczego nie bombą?

Nie spytałam, bo doskonale znałam odpowiedź. Oczy Edwarda spoczęły na mnie. Wzruszyłam ramionami.

- Bo lubię zabijać z bliska i osobiście. Z bombą nie wiąże się żadne osobiste ryzyko.

Richard wgapiał się w niego. W końcu wydusił:

- Dzięki za odpowiedź na pytanie.

Edward przyjął to skinieniem głowy. Alfa zyskiwał punkty u obojga nas. Ale zdawałam sobie sprawę z tego, że żyje złudzeniami. Jeśli Edward wydawał się go lubić, Richard przypuściłby, że nie zabiłby go.

Wiedziałam lepiej. Gdyby sytuacja tego wymagała, zabójca bez wahania pociągnąłby za spust.

- Powiedzmy, że masz rację – rzekłam. – Pójdę na randkę i pozwolę płatnemu zabójcy na jego ruch. A potem co?

- Usuniemy go.

- Chwilę – przerwał Richard. – Uważasz, że wy dwoje jesteście lepsi od zawodowego mordercy. Że dorwiecie go, zanim on dopadnie Anitę.

Oboje potwierdziliśmy jego słowa.

- A co, jeśli wcale nie jesteście lepsi?

Edward zmierzył go takim spojrzeniem, jakby przed chwilą powiedział, że jutro słońce nie wzejdzie.

- Postawiłam na to swoje życie – odpowiedziałam.

Zbladł lekko.

- Zgadywałem, że tak. Co mogę zrobić, żeby pomóc?

- Słyszałeś Edwarda, zostajesz tutaj.

Richard potrząsnął głową.

- Słyszałem, ale w tłumie ludzi nawet Superman potrzebowałby dodatkowej pary oczu i uszu. Stado może chronić wasze tyły.

- Nie martwisz się narażeniem ich?

- Powiedziałaś, że wystawiłabyś na niebezpieczeństwo każdego, byle tylko mnie ochronić – odparł Richard. – To działa również w drugą stronę.

- Jeśli będą ochotnicy, to co innego, ale nie chcę do niczego nakłaniać. Ludzie nie są dobrymi ochroniarzami, jeśli się ich do tego zmusza.

Roześmiał się.

- Bardzo praktyczne. Przez chwilę myślałem, że martwisz się o moje wilki.

- To praktyczność utrzymuje mnie przy życiu, Richardzie, nie sentymentalizm.

- Jeśli będziemy mieli dodatkowych obserwatorów, to pozwoli mi na odrobinę swobody. - Odezwał się nagle Edward.

Spojrzałam na jego twarz.

- Powierzysz pilnowanie moich pleców potworom?

Uśmiechnął się, a nie był to miły uśmiech.

- Potwory robią za doskonałe mięso armatnie.

- Oni nie są mięsem armatnim – oznajmił Richard.

- Ostatecznie każdy się nim staje – odparł Edward.

- Gdybym naprawdę sądziła, że stanowię zagrożenie dla niewinnych, postronnych osób, nie poszłabym do klubu. Wiesz o tym, Richardzie.

Przez chwilę się we mnie wpatrywał, a potem westchnął.

- Wiem.

Z gardła Edwarda wydostał się cichy, niski dźwięk.

- Niewinni postronni. – Z uśmiechem na ustach potrząsnął głową. –

Przebierzmy się. Kupiłem dla ciebie kilka nowych zabawek na dzisiejszy wieczór.

Zerknęłam na niego.

- Niebezpiecznych zabawek? – zapytałam.

- A istnieje jakiś inny rodzaj?

Wyszczrzyliśmy się do siebie.

- Was dwoje to bawi – stwierdził Richard. To zabrzmiało prawie oskarżycielsko.

- Gdybyśmy tego nie lubili, zarabialibyśmy jakoś inaczej.

- Anita, w przeciwieństwie do ciebie, nie zabija ludzi dla pieniędzy.

Parzyłam na cień humoru w oczach Edwarda, który powoli zniknął, jak słońce kryjące się za chmurami, pozostawiając jego twarz bez-duszną i pustą.

- Myśl, o czym chcesz, chłoptasiu, ale Anita mogłaby wybrać taki rodzaj pracy, który nie stawiałby niebezpieczeństw na jej drodze. Ale nie zrobiła tego. Musi być jakiś powód.

- Ona nie jest taka jak ty.

Edward spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

- Ale blisko jej do tego, bliżej niżby chciała.

Jego głos był miękki, prawie neutralny, ale przyprawił mnie o dreszcz.

Spotkałam jego oczy i, po raz pierwszy od dłuższego czasu, zastanowiłam się, czy byłabym zdolna do pociągnięcia za spust. Czy mam w sobie to coś, co Edward wydawał się mieć, że zabijał z taką łatwością?

Popatrzyłam na Richarda i zastanowiłam się, czy mógłby to robić.

Gdyby obrósł futrem, naprawdę był zdolny zabijać. Większości ludzi tego nie potrafiła. I nie jest to powód do wstydu. Ale jeśli Richard się wycofa, już jest zimnym trupem. Nie dzisiaj ani jutro, ale z pewnością, jeżeli Marcus tego zachce. Dwa razy z nim przegrał, a wątpiłam, czy alfa stada pozwoli sobie na trzecią porażkę. Ostatniej nocy pojмали Stephen, wiedząc, co zrobi Richard. Gdybym z nim nie była, już by nie żył. Cholera.

Wszystko, co musiałam zrobić, było zabiciem zabójcy, zanim on bądź ona nie dorwą się do mnie. Zaufać Richardowi w kwestii nie pozwolenia Marcusowi go zamordować. Powstrzymać Rainę przez uśmierceniem mnie. Zobaczmy... Byłam pewna, że zostało coś jeszcze.

O tak, zdecydować, czy przespać się z Richardem, i jeśli tak, co będzie to znaczyło dla Jean-Claude'a i mnie.

Nastaly dni, kiedy życie było nawet jak dla mnie nadmiernie skomplikowane.

Rozdział 13

Dobranie stroju wieczorowego tak, aby dało się ukryć broń, jest cholernie trudne. Zasadniczo nie planowałam zabierać pistoletu na randkę z Jean-Claude'm. Oczywiście, było tak, zanim pojawili się zamachowcy.

Teraz bez spluwy nie wychodziłam z domu. Gdybym wcześniej wiedziała, że będę jej potrzebować dzisiejszego wieczora, wczoraj założy-

łabym małą czarną, a na dziś zachowała elegancki kostium ze spodniami. Ale kto mógł to przewidzieć, poza jeansami zapakowałam tylko sukienkę. Miała wąskie ramiączka, które przy zachowaniu ostrożności pozwalały założyć stanik. Na wszelki wypadek spakowałam czarny biustonosz. Białe, wystające ramiączka wyglądają tandetnie. Żakiet miał krój bolerka, uszyty został z czarnego aksamitu i kończył się na wysokości talii. Kołnierzyk i brzegi zdobiły czarne paciorki.

Żakiet wisiał na gałce drzwi szafy Richarda. On siedział samotnie na łóżku, patrząc, jak kończę szminkować usta. Pochylałam się do przodu, spoglądając w lustro stojące na komodzie. Dół sukienki był na tyle krótki, że zdecydowałam się założyć ładne, czarne majtki, nie jako bieliznę, ale aby mieć coś na rajstopach, żeby wszystko było dopasowane.

Ronnie nie wierzyła, że dzisiejszego wieczoru ani razu się nie pochyle.

Miała rację. W tej sytuacji nawet, jeżeli się zapomnę, majtki zakrywały więcej, niż większość kostiumów kąpielowych. Sama nigdy nie wybra-

łabym czegoś tak krótkiego. Ronnie miała na mnie zły wpływ. Gdyby wiedziała, że zamierzam założyć tę sukienkę dla Jean-Claude'a, prawdopodobnie wybrałaby coś innego. Nazywała go zębatym. Albo gorzej.

Lubiła Richarda.

- Ładna sukienka - powiedział.

- Dzięki.

Obróciłam się przed lustrem, sprawdzając, jak układa się dół spódnicy. Był na tyle rozkloszowany, żeby zakołysać się przy ruchu. Czarne pochwy noży przymocowane na moich przedramionach pasowały do sukienki. Ostrza stanowiły ładny, srebrny akcent. Pokrowce prawie zakrywały moje

szramy. Tylko wybrzuszenie bliznowatej tkanki w zgięciu łokcia pozostawało widoczne. Swego czasu wampir poszarpał tę rękę. Ten sam wampir wgrzyzł się w mój obojczyk.

Byłam przyzwyczajona do blizn, ale raz na jakiś czas, gdy wychodziłam z domu się zabawić, przyłapywałam ludzi na gapieniu się.

Szybko odwracali wzrok albo spoglądali mi w oczy. Blizny wcale nie były odrażające. Naprawdę nie wyglądały aż tak źle. Ale zdradzały historię czegoś bolesnego i niezwykłego. Mówiły, że byłam tam, gdzie większość ludzi nie dotarła, i przetrwałam. Zgaduję, że jest to warte spojrzenia lub dwóch.

Czarne paski przytrzymujące ostrze na moich plecach były trochę widoczne w okolicy ramion, bardziej odznaczały się na plecach, ale nie zamierzałam zdejmować żakietu. Rękonośce skrywały włosy.

- Czemu nie założyłaś tego ostatniej nocy? - spytał Richard.

- Kostium wydawał się bardziej odpowiedni.

Wpatrywał się we mnie, jego oczy błędziły bardziej po moim ciele, niż twarzy. Pokręcił głową.

- Jak na spotkanie z kimś, z kim nie zamierzasz się przespać, to bardzo seksowny strój.

Nigdy nie planowałam pokazać tej sukienki Richardowi, przynajmniej nie tego wieczoru, kiedy zakładałam ją dla Jean-Claude'a. Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale coś musiałam.

- Ufam sobie bardziej, kiedy jestem z Jean-Claude'm, niż z tobą, więc on dostaje krótką sukienkę, a ty nie. - To była prawda.

- Twierdzisz, że nie można mi się oprzeć?

- Coś w tym stylu.

- Gdybym pogłodził twoje uda, wyczułbym rajstopy czy pończochy?

- Był poważny, dawało się od niego wyczuć ból. Przy tym wszystkim, co działo się wokół, nie powinnam zamartwiać się zranionymi uczuciami mojego chłopaka, ale to cała ja. Życie toczy się dalej, nawet jeżeli grzęzniesz po tyłek w bagnie.

- Rajstopy - odpowiedziałam

- Czy Jean-Claude dowie się, co masz na sobie?

- Mógłby zapytać tak, jak ty - odparłam.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi.

Westchnęłam. - Nie wiem, jak ci to ułatwić, Richardzie. Jeżeli cokolwiek mogłoby sprawić, że poczujesz się lepiej, powiedz.

Zyskał punkty, nie poprosił, abym nie szła. Myślę, że wiedział, iż moja odpowiedź nie przypadnie mu do gustu.

- Chodź tu - powiedział i wyciągnął do mnie rękę.

Podeszłam i ujęłam jego dłoń. Usadził mnie bokiem na kolanach, niczym Święty Mikołaj. Objął mnie jedną ręką, drugą położył na moim udzie.

- Obiecuj mi, że nie prześpisz się z nim dzisiejszej nocy.

- Przy zamachowcach mogących wyskoczyć zza mebli? Raczej nie masz się o co martwić - powiedziałam.

- Nie żartuj sobie, Anito, proszę.

Pogładziłam jego włosy. Był taki poważny, smutny.

- Odmawiałam mu przez bardzo długi czas, Richardzie. Dlaczego ta noc cię martwi?

- Sukienka - odparł.

- Przyznaję, jest krótka, ale...

Przesunął dłoń w górę mojego uda, aż znalazła się pod materiałem.

Zatrzymał ją dopiero tuż poniżej majtek. - Masz na sobie seksowną bieliznę, na litość boską, ty nigdy jej nie nosisz.

Wyjaśniłabym mu, że wszystko musi pasować, ale uznałam, że to nie będzie zbyt pocieszające.

- Dobrze, nie prześpię się z nim dziś w nocy. Od początku nie mia-

łam tego w planach.

- Obiecuj, że wrócisz, aby przespać się ze mną - uśmiechnął się, gdy to mówił.

Odwzajemniłam uśmiech i zsunęłam się z jego kolan. – Najpierw masz zmienić postać na moich oczach. Muszę zobaczyć twoją bestię, tak przynajmniej twierdzisz.

- Mógłbym to zrobić, kiedy wrócisz.

- Jesteś w stanie powrócić do ludzkiej postaci na tyle szybko, aby wykorzystać tę noc?

Uśmiechnął się.

- Anito, jestem dość potężny, aby zostać Ulfrikiem. Przemiana na zawołanie to jedna z rzeczy, których mogę dokonać. Po powrocie do ludzkiej formy nie tracę przytomności jak większość zmiennokształtnych.

- Wygodne - odparłam.

Uśmiechnął się. - Wróc na noc, a zmienię się dla ciebie. Sylvia ma rację. Muszę zaakceptować swoją bestię.

- To część mojej próby, jak sądzę.

Skinął głową. - Zapewne.

Patrząc w jego poważne oczy, wiedziałam, że jeżeli zmieniłby się przede mną tej nocy, a ja nie umiałabym sobie z tym poradzić, coś w jego wnętrzu uległoby zniszczeniu. Miałam nadzieję, że jestem w stanie się z tym uporać.

- Jak wrócę, zobaczę twoją przemianę.

Wyglądał ponuro, jakby oczekiwał, że ucieknę z krzykiem.

- Pocałuj mnie i zbieraj się - powiedział.

Dałam mu buziaka, oblizał się. - Szminka. - Nasze usta ponownie się złączyły. - Ale pod nią nadal czuję twój smak.

- Hmm... - mruknęłam. Wpatrywałam się w niego, prawie nie chcąc odejść. Prawie. Odezwał się dzwonek do drzwi, podskoczyłam. Richard nie, jakby usłyszał go przede mną.

- Bądź ostrożna. Chciałbym ci towarzyszyć.

- Wokół będzie pełno reporterów – powiedziałam. - Nie byłoby dobrze, gdybyś znalazł się na zdjęciu razem z gromadką potworów. To mogłoby cię zdemaskować.

- Ujawniłbym się, gdyby to zapewniło ci bezpieczeństwo.

Kochał nauczanie, a mimo wszystko wierzyłam mu. Gotów był zrobić to dla mnie.

- Dzięki, ale Edward ma rację. Martwiąc się o utrzymanie cię przy życiu, nie będę w stanie zająć się sobą.

- O Jean-Claude'a się nie martwisz.

Wzruszyłam ramionami. - Potrafi o siebie zadbać, poza tym jest przecież martwy.

Richard pokręcił głową. - Tak naprawdę już w to nie wierzysz.

- Co to, to nie, Richardzie. Tego jestem w pełni świadoma. Cokolwiek utrzymuje go przy życiu, jest formą nekromancji - odmiennej od moich mocy, ale to nadal magia.

- Możesz tak mówić, ale w głębi serca w to nie wierzysz.

Powtórnie wzruszyłam ramionami. - Może nie, ale to nadal prawda.

Rozległo się pukanie do drzwi. Richard powiedział:

- Twoja randka przyszła.

- Już idę. Teraz muszę od nowa nałożyć szminkę.

Przejechał palcami po swych ustach, opuszki nabrały szkarłatnego koloru.

- Przynajmniej będę wiedział, czy go całowałaś. Na jego białej koszuli ta szminka będzie wyglądać jak krew.

Nie spierałam się. Jean-Claude zawsze ubierał się w czerń i biel.

Tylko raz widziałam go w koszuli, która nie była biała. Miała czarny kolor. Powtórnie nałożyłam szminkę i schowałam ją do leżącej na komodzie, wyszywanej paciorkami torebki. Torebka była za mała nawet na firestara. Miałam derringera, ale, poza małymi odległościami, był w zasadzie bezużyteczny. Wolałam nie znaleźć się tak blisko zabójcy.

Edward wymyślił rozwiązanie. Pożyczył mi swego seecampa trzy-dziestkę dwójkę. Miał podobne rozmiary do małej dwudziestki piątki, był tylko trochę szerszy niż moja dłoń, a ja miałam naprawdę małe dłonie. Jak na taki kaliber i rozmiar, to był bardzo dobry pistolet, nigdy nie spotkałam się z lepszym. Chciałam taki. Edward poinformował mnie, że czekał na niego prawie rok. W zasadzie został wykonany na specjalne zamówienie. Gdyby nie to, dałby mi go w prezencie. Dobrze, zamówię sobie własny, o ile przetrwam noc. Jeżeli nie, cóż, niczego już nigdy nie zamówię.

Udało mi się o tym zbyt wiele nie myśleć. Skupiłam się na stroju, umieszczeniu broni na miejscach, Richardzie, czymkolwiek innym.

Miałam stać się przynętą dla osoby wystarczająco dobrej, aby zarobić pół miliona dolarów za jeden strzał. Musiałam ufać, że Edward utrzyma mnie przy życiu. Mimo że on zatrzymałby limuzynę i wystrzelił dopiero widząc moją twarz, większość wynajętych morderców robiła inaczej.

Rzesza profesjonalistów woli zdjąć cię z bezpiecznej odległości. Kara-binek snajperski mógłby się znajdować nawet w odległości kilometrów.

Ani ja, ani nawet Edward niewiele mogliśmy na to poradzić. Nie wiedziałam nic o materiałach wybuchowych. Musiałam polegać na Edwardzie i pozwolić mu zająć się ewentualnymi bombami. Tej nocy całkowicie powierzałam się jego opiece, nigdy przedtem nikomu tak nie zaufałam. Trochę to przerażające.

Powtórnie sprawdziłam zawartość torebki: dowód osobisty, szminka, pieniądze, pistolet. W normalnej sytuacji zabrałabym ze sobą małą szczotkę do włosów, ale nie było dość miejsca. Przez jedną noc mogłam chodzić rozczochrana.

Ta myśl sprawiła, że spojrzałam w lustro, by sprawdzić, jak układają się moje włosy. Przeczesałam je ostatni raz. Musiałam przyznać - wyglądały świetnie. Były jednym z moich atutów. Ronnie nie umiała poprawić mojej fryzury. Miałam naturalne loki. Nawet dzisiejszego wieczoru nie zrobiłam nic, ponad wtarcie po umyciu odżywki i zaczekanie, aż same wyschną. Pewnego razu kobieta w Kalifornii była na mnie wściekła, bo nie chciałam jej powiedzieć, gdzie zrobiłam trwałą. Nie mogła uwierzyć, że fryzura jest naturalna.

Przełożyłam wąski pasek torebki tak, że przechodził przez pierś. Nie rzucał się w oczy na tle sukienki, więc wyglądałam prawie tak dobrze, jak bez niego. Torebka znajdowała się na wysokości żeber, była tylko trochę niżej, niż kabura podramienna. Kilka razy na próbę wyjęłam broń, nie było tak źle. Co prawda to nie olstro, ale na bezrybiu i rak ryba. Założyłam żakiet i następnego razu spojrzałam w lustro. Zarówno noże, jak i pistolet były dobrze zamaskowane.

Wspaniale. Jako ostatni założyłam krzyżyk. Upewniłam się, że jest pod sukienką i przykleiłam go kawałkiem taśmy maskującej. W ten sposób miałam go przy sobie, ale wiedziałam, że nie wysunie się i nie zacznie świecić na Jean-Claude'a. Ponownie wzięłam do rąk szczotkę i odłożyłam, nie używając jej.

Grałam na zwłokę. Martwili mnie nie tylko zabójcy. Obawiałam się spotkania Richarda z Jean-Claude'm. Nie byłam pewna, jak się zachowają, a nie miałam ochoty na emocjonalną konfrontację. Rzadko mia-

łam.

Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam do drzwi. Richard poszedł za mną. Był u siebie. Nie mogłam poprosić, żeby schował się w sypialni.

Jean-Claude stał koło telewizora, przyglądając się półkom z kasetami wideo, jakby odczytywał tytuły. Był wysoki i szczupły, ale nie tak rostry, jak Richard. Miał na sobie czarne spodnie i kurtkę kończącą się w talii. Założył wysokie, czarne, skórzane buty, które zakrywały prawie całe jego nogi, miękko wykończone cholewy przytrzymywały czarne paski z małymi, srebrnymi sprzączkami. Jego czarne włosy sięgały poniżej ramion, były o kilka centymetrów dłuższe, niż przy naszym pierwszym spotkaniu.

W końcu obrócił się, jak gdyby nie wiedział, że tam jesteśmy. Na jego widok mimowolnie sapnęłam ze zdziwienia. Miał na sobie wspania-

łą, krwistoczerwoną koszulę, która zdawała się płonąć pod rozpiętą kurtką. Kołnierz był wysoki, spięty trzema antycznymi kamieniami granatu. Koszula rozchyłała się tuż poniżej szyi. Znajdującą się na jego piersi bliznę w kształcie krzyża, niczym na pokaz, okalał czerwony materiał. Obszar odsłoniętej skóry kończył się tuż nad czarnymi spodniami, które przytrzymywały wetkniętą w nie koszulę. Prezentowała się wybornie, kontrastując z bledością jego skóry, czarnymi, falowanymi

włosami i oczami koloru nocnego nieba. Zamknęłam rozdziawione usta i wypaliłam.

- Pięknie, po prostu pięknie.

Uśmiechnął się.

- Ach, *ma petite*, zawsze wiesz co powiedzieć.

Sunął w naszą stronę w tych wymyślnych butach, dotarło do mnie, że chcę, aby zdjął kurtkę, chcę zobaczyć, jak jego włosy układają się na koszuli, czerń na czerwieni. Wiedziałam, że wyglądałoby to cudownie.

Richard zbliżył się do moich pleców. Nie dotknął mnie, ale poczu-

łam, że tam jest. Ciepły i bardzo niezadowolony znalazł się tuż za mną.

Nie mogłam go winić. Jean-Claude wyglądał, jak reklama Wcielonych Nieprzyzwoitych Fantazji. Do nikogo nie mogłabym mieć pretensji o to, że czuje zazdrość.

Jean-Claude zatrzymał się przede mną na wyciągnięcie ręki. Znajdowałam się pomiędzy nimi, symbolizm tego nie umknął żadnemu z nas.

- Gdzie jest Edward? - udało mi się zapytać. Brzmiałam prawie normalnie. Punkt dla mnie.

- Sprawdza samochód. Zdaje się, że szuka materiałów łatwopalnych.

- Jean-Claude odpowiedział z cieniem uśmiechu.

Mój żołądek zacisnął się. Ktoś naprawdę chciał, abym była martwa przed północą. Edward szukał bomb. To było surrealistyczne, nawet dla mnie.

- *Ma petite*, czy wszystko w porządku? - Jean-Claude ujął moją dłoń.

- Twe ręce są chłodne.

- Z twoich ust to dziwna skarga - powiedział Richard.

Jean-Claude spojrzał na niego. - To nie było skargą, zaledwie obser-wacją.

Jego dłoń była ciepła, wiedziałam, że od kogoś skradł tę temperaturę. Och, osoba z pewnością była bardzo chętna. Zawsze znaleźli się ochotnicy, którzy byli gotowi zaoferować się Mistrzowi Miasta. Ale i tak był tylko krwiopijczym trupem, nieważne jak wyglądał. Wpatrując się w niego, uświadomiłam sobie, że częściowo już w to nie wierzę.

Albo zwyczajnie przestało mnie to obchodzić. Cholera.

Powoli uniósł moją dłoń do ust, obserwował przy tym Richarda, a nie mnie. Wyszarpnęłam rękę.

Spojrzał na mnie.

- Jeżeli zamierzasz ucałować moją dłoń, dobrze, ale nie rób tego tylko po to, by wnerwić Richarda.

- Proszę o wybaczenie, *ma petite*. Masz całkowitą słusność. - Przeniósł wzrok na Richarda. - Najbardziej przepraszam, Monsieur Zeeman. Znaleźliśmy się w... drażliwym położeniu. Dziecinadą byłoby pogarszanie go gierkami.

Nie musiałam spoglądać na Richarda, aby wiedzieć, że zmarszczył

brwi.

Edward wszedł, ratując sytuację. Mogliśmy się zamknąć i ruszać w drogę. Przynajmniej na to liczyłam.

- Samochód jest czysty - powiedział.

- Bardzo mnie to cieszy - odparłam

Edward ubrał się odpowiednio. Brązowy, skórzany płaszcz sięgał

kostek i poruszał się, niczym coś żywego. W niektórych miejscach skóra układała się dziwnie, jakby została dociążona. Pokazał mi kilka swoich zabawek umiejscowionych to tu, to tam. Wiedziałam, że w usztywnianym kołnierzu jest linka do duszenia. Użycie takiej broni wymagało, nawet jak dla mnie, zbytniego zbliżenia się do przeciwnika.

Rzucił okiem na moich mężczyzn, ale powiedział tylko:

- Pojadę za limuzyną. Nie rozglądaj się dziś, szukając mnie, Anito.

Będę w pobliżu, ale nie chcemy, żeby zamachowiec zorientował się, że masz ochroniarza.

- Drugiego ochroniarza - powiedział Jean-Claude. - Wasz, jak wy to mówicie, zamachowiec, będzie świadom, że znajduję się u jej boku.

Edward kiwnął głową.

- Tak, jeżeli zaatakują limuzynę, będą wiedzieć, że tam jesteś. Musieliby zaplanować sprzątnięcie was obojga, co oznacza potężną siłę ognia.

- Mam działać odstrasząco, ale jednocześnie też zachęcać do podbicia stawki, czy tak? - spytał Jean-Claude.

Edward spojrzał na niego, jakby wampir nareszcie zrobił coś ciekawego. Jednak nie w oczy. Byłam jedynym znanym mi człowiekiem, którym nie mogło zawładnąć spojrzenie Mistrza. Nekromancja ma swoje zalety.

- Dokładnie - powiedział, jakby nie oczekiwał, że wampir zorientuje się w sytuacji. Jeżeli Jean-Claude był w czymś dobry, to właśnie w sztuce przetrwania.

- Ruszamy, *ma petite*? Przyjęcie czeka.

Wykonał szeroki gest, wskazując drzwi, ale nie wziął mnie za rękę.

Spojrzał na Richarda, potem na mnie. Zachowywał się cholernie przyzwoicie. Jean-Claude był światowej klasy wrzodem na tyłku. Przyzwoite zachowanie nie było w jego stylu.

Spojrzałam na Richarda.

- Idź. Jeżeli pocałuję cię na do widzenia, znowu rozmarzę twoją szminkę.

- Masz jej już na sobie całkiem sporo, Richardzie - powiedział JeanClaude. Pierwszy raz tego wieczoru w jego głosie dało się usłyszeć nutkę zazdrości.

Richard zrobił dwa kroki do przodu, poziom napięcia wzrósł.

- Mógłbym powtórnie pocałować ją na dobranoc, jeżeli to cię uszczęśliwi.

- Przestańcie, obaj - zażądałam.

-Ależ proszę - rzekł Jean-Claude. - Przez resztę wieczoru jest moja.

Mogę pozwolić sobie na hojność.

Dłonie Richarda zacisnęły się w pięści. Pierwsze stróżki mocy sączyły się do pokoju.

- Wychodzę.

Ruszyłam do drzwi, nie oglądając się za siebie. Jean-Claude dogonił

mnie, zanim do nich dotarłam. Sięgnął do klamki, po czym cofnął dłoń, pozwalając, bym sama się obsłużyła.

- Zapominam czasem o twoich specyficznych upodobaniach - powiedział.

- Ja nie - dodał cicho Richard.

Odwróciłam się, aby na niego spojrzeć. Koszulka przylegała do mię-

śni jego klatki piersiowej i ramion. Nadal był bosy, włosy otaczające twarz stanowiły pofalowaną masę. Gdybym u niego została, mogliby-

śmy zwinąć się na kanapie i obejrzeć jeden z naszych ulubionych filmów. Zaczynaliśmy mieć nasze ulubione filmy, piosenki, powiedzonka.

Może poszlibyśmy na spacer w świetle księżycy. W nocy widział prawie tak dobrze, jak ja. Potem mogliśmy dokończyć to, co zaczęliśmy przed spotkaniem.

Jean-Claude splótł swe palce z moimi, przykuwając moją uwagę.

Wpatrywałam się w te granatowe, bardzo granatowe oczy - niczym niebo przed burzą lub zimna morską toń, tam, gdzie głęboko leżą skały.

Mogłam dotknąć tych trzech czarnych kamieni i przekonać się, czy naprawdę są stare. Moje spojrzenie zeszło niżej, na widoczny fragment bladej klatki piersiowej. Wiedziałam, że wypalona blizna w kształcie krzyża jest szorstka w dotyku. Patrząc na niego, czułam ucisk gdzieś w środku. Był taki piękny. Czy moje ciało zawsze będzie czuć do niego pociąg, niczym słonecznik obracający się w stronę słońca? Może. Ale stojąc tam, trzymając jego dłoń, zrozumiałam, że to nie wystarczy.

Jean-Claude i ja mogliśmy mieć wspaniały romans, ale to spędzenie reszty życia z Richardem potrafiłam sobie wyobrazić. Czy miłość wystarczy? Nawet, gdyby był gotów zabić w samoobronie, czy zaakceptowałby to, ilu ja mam na sumieniu? Czy byłabym w stanie zaakceptować jego bestię, a może będę nią przerażona tak, jak on? Jean-Claude uznawał mnie całą. Ale ja jego nie. To, że oboje patrzyliśmy na świat przez ciemne okulary, nie znaczyło, że mi się to podoba.

Westchnęłam, nie zabrzmiało to radośnie. Jeżeli ostatni raz widzę Richarda, powinnam rzucić się na niego i pocałować go tak, jak jeszcze nigdy. Ale nie mogłam tak postąpić. Trzymając dłoń Jean-Claude'a - po prostu nie mogłam. To byłoby zbyt okrutne dla nas wszystkich.

- Pa – powiedziałam.

- Bądź ostrożna - odrzekł. Wydawał się taki samotny.

- Idziesz dziś z Louie'm do kina, tak? - spytałam.

Kiwnął głową. - Wkrótce powinien się zjawić.

- To dobrze - otworzyłam usta, żeby coś dodać, ale nie zrobiłam tego. Nie było nic, co mogłam powiedzieć. Wychodziłam z Jean-Claude'm. Nic nie mogło tego zmienić.

- Będę na ciebie czekał - powiedział.

- Wolalabym, żebyś tego nie robił.

- Wiem.

Wyszłam. Trochę za szybko skierowałam się w stronę białej limuzyny.

- No nie, czyż nie lśni nowością? – powiedziałam.

- Uznałem, że czarna zbyt przypomina karawan.

Zbliżył się Edward. Zamknął za nami drzwi. - Gdybyś mnie potrzebowała, będę w pobliżu, Anito.

Spojrzałam mu w oczy. - Wiem.

Obdarzył mnie prawie niezauważalnym uśmiechem. - Ale na wszelki wypadek, uważaj na siebie jak kawał skurwysyna.

Uśmiechnęłam się. - Czy to nie jest dla mnie normą?

Rzucił okiem na wampira stojącego koło otwartych drzwi. - Nie w takim stopniu, jak myślałem.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Edward zniknął w ciemnościach. To było równie dobre. Miał rację. Potwory wreszcie mnie dorwały. Uwiedzenie było nieomalże tym samym, co śmierć. Upośledzało w podobnym stopniu.

Rozdział 14

Nazwa klubu, *Taniec Śmierci*, jarzyła się z daleka, a to za sprawą czerwonego neonu wysokiego niemal na osiem stóp. Jeżeli chcieli być widoczni, to się im udało w stu procentach. Litery były zakrzywione i płynęły pod skosem, jakby jakaś olbrzymia ręka właśnie skończyła je pisać. Klub mieścił się w starym magazynie piwiarni. Stał na Nadbrze-

żu, zabity dechami i porzucony przez wiele lat. Był jedynym szkaradztwem wśród eleganckich restauracji, klubów tanecznych i barów.

Większość z nich należała do wampirów. Nadbrzeże znane było również jako Dystrykt i *Krwawy Plac*, jednak nie były to określenia uprzejme wobec wampirów. Z jakiegoś powodu, ta trzecia nazwa piekielnie je wkurzała. Jakies pomysły dlaczego?

Tłum przechodził z chodnika na ulicę, co spowodowało przymusowy postój naszej limuzyny. Ach, te masy żywych. To było aż tak niewła-

ściwe z ich strony, że gliniarz starał się spokojnie cofnąć ludzi, by samochody mogły przejechać. Popatrzyłam przez ciemne, zabrudzone szyby na przeciskających się ludzi. Czy morderca gdzieś tam był? Czy jedna z tych dobrze ubranych, uśmiechniętych osób tylko czekała na odpowiedni moment, by mnie zabić? Otworzyłam torebkę i wyjęłam seecampa.

Jean-Claude przyjrzał się mojemu małemu pistoletowi.

- Zdenerwowana, *ma petite*?

- Tak - odparłam.

Spojrzał na mnie, przechylając głowę.

- Fakt, jesteś zdenerwowana. Dlaczego jeden ludzki zabójca wytrąca cię z równowagi tak bardzo - nie, dużo bardziej - niż wszystkie istoty nadnaturalne, z którymi miałaś okazję już się zmierzyć?

- Każdym, kto chciał mnie do tej pory zabić, kierowały osobiste po-budki. Rozumiem, jeżeli to sprawa prywatna. Ktokolwiek chce mnie teraz zabić, ma na celu biznes. Tylko biznes.

- Ale dlaczego tak cię to przeraża? Będiesz po prostu martwa, niezależnie od intencji napastnika.

- Bardzo dziękuję - burknęłam.

Dotknął mojej dłoni, przesunął palcem tak, by dosięgnąć broni.

- Staram się zrozumieć, *mapetite*, to wszystko.

- Nie wiem właściwie, dlaczego to mnie tak martwi. Po prostu tak jest - powiedziałam. - Lubię stanąć twarzą w twarz ze swoim wrogiem.

A jeżeli ktoś cię zabija, nie powinien tego robić jedynie dla pieniędzy.

- Więc morderstwo za pieniądze narusza twoją wrażliwą moralność?

- spytał. Jego głos był nijaki, zbyt bezbarwny, jak gdyby w duchu śmiał się sam do siebie.

- Tak, cholera, tak właśnie jest.

- Przyjaźnisz się z Edwardem.

- Nigdy nie powiedziałam, że jestem konsekwentna, Jean-Claude.

- Jesteś jedną z najbardziej konsekwentnych osób, jakie kiedykolwiek znałem, *ma petite*.

- Jak mogę być konsekwentna, spotykając się z dwoma facetami?

- Uważasz, że nie będąc w stanie wybrać między nami, jesteś pło-cha?

Gdy to powiedział, pochylił się w moją stronę i wygładził dłonią rękaw mojej marynarki.

Problem w tym, że właściwie wybrałam. Prawie powiedziałam mu o tym, ale w końcu zamilkłam. Po pierwsze nie byłam stuprocentowo pewna. Po drugie Jean-Claude zmusił mnie szantażem do spotkania się z nim. Będziemy się umawiać, albo zabije Richarda. Nie ma co, wybór jak cholera. Chciał dostać szansę uwodzenia mnie z dala od Richarda.

Oznaczało to więc prawdziwe randki z nim. Postawił sprawę jasno:

„Pozwalając całować się Richardowi, a mnie nie, postępujesz nie fair.”

Ponoć, gdybym wybrała Richarda, Jean-Claude po prostu odsunąłby się na bok. Myślę, że był wystarczającym egoistą, by pójść na taki układ.

Mistrz Miasta nie potrafił wyobrazić sobie, że jest ktoś, kto potrafi mu się oprzeć. Nie, jeśli ta osoba miałaby dostęp do jego idealnego ciała.

On wciąż je proponował. Ja wciąż mu odmawiałam. Gdybym wybrała Richarda, odrzucając go, czy rzeczywiście wycofałby się z gracją? Czy też uśmiercił nas wszystkich w nieliczej rzezi?

Wpatrywałam się w jego niebieskie oczy i nie byłam w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Znałam go od lat. Umawiałam się z nim od miesięcy. Jednak wciąż pozostawał dla mnie zagadką. Po prostu nie wiedziałam, jakby postąpił. Z tego powodu nie byłam chętna, by naciskać guzik i wrywać się z odpowiedzią. Jeszcze nie.

- O czym tak wytrwale rozmyślasz, *ma petite*? Tylko nie mów, że o tym zabójcy. Nie uwierzyłbym w to.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc pokręciłam głową.

Jego ręka przesunęła się wzdłuż mojej, objął mnie ramieniem. Bliskość jego ciała wywołała niepożądane trzepotanie w brzuchu. Nachylił

się nade mną, jakby chciał mnie pocałować. Powstrzymałam go, opierając dłoń na jego piersi. Jednak teraz, kiedy dotykałam nagiej skóry, nie byłam już taka pewna, że to pomaga.

- Staram się cię pocieszyć, *ma petite*.

- Taa, jasne - odparłam.

Oplótł mnie w tali drugą ręką, sprawiając, że odwróciłam się ponownie w jego stronę. Pistolet nadal znajdował się w mojej dłoni, chociaż stawał się coraz bardziej nieporęczny. Nie zamierzałam go użyć wobec Jean-Claude'a, a zabójca nie wszedłby przez zablokowane drzwi.

Taka przemoc, w tak dużym tłumie, z glinami kierującymi ruchem wydawała się zbyt wielkim zuchwalstwem, nawet w przypadku profesjo-nalisty.

Przesunęłam ręką po plecach Jean-Claude'a, broń ciągle tkwiła w mojej dłoni.

- Jeżeli mnie teraz pocałujesz, będę musiała poprawić makijaż.

Nachylił się wystarczająco blisko, by mnie pocałować. Jego usta znajdowały się tuż przy moich, tak, że mógł owionąć mnie swoim oddechem. Wyszeptał wprost do moich ust:

- Nie potrzebujemy tego.

Pocałował mnie w policzek, wędrując dalej wargami wzdłuż mojej żuchwy. Dotknęłam jego twarzy pistoletem, przesuając ją tak, bym mogła na nią patrzeć. Oczy stały się błękitnymi otchłaniami.

- Bez obcałowywania - powiedziałam. Nie miało teraz znaczenia, że kiedy był umierający, oddałam mu z własnej woli krew. Normalnie nie dzielę płynów ustrojowych z Mistrzem Miasta.

Potał swoim policzkiem o broń.

- Miałem na myśli coś niżej.

Opuścił głowę i oparł ją na moim obojczyku. Polizał mnie. Przez chwilę zastanawiałam się, jak nisko zamierza zejść. Odepchnęłam go.

- Nie sądzę - odparłam, po części ze śmiechem.

- Nie czujesz się teraz lepiej, *ma petite*?

Popatrzyłam na niego przez jedno uderzenie serca i roześmiałam się.

Czułam się lepiej.

- Jesteś przebiegłym sukinsynem. Wiedziałeś o tym?

- Dowiedziałem się już tego wcześniej - powiedział, uśmiechając się.

Policja zepchnęła wreszcie tłum z powrotem na chodnik, dzięki czemu limuzyna pojechała dalej.

-Zrobiłeś to tylko po to, by mnie rozweselić. Mój głos zabrzmiał

niemal oskarżycielsko. Rozszerzył oczy. - Byłbym do tego zdolny?

Spoglądałam na niego i czułam, jak uśmiech gaśnie na mojej twarzy.

Przez moment popatrzyłam na niego poważnie. Nie jak na obiekt największego na świecie pożądania, ale jak na niego, Jean-Claude'a. Mistrz Miasta martwił się o moje uczucia. Pokręciłam głową. Stawał się mił-szy, czy się po prostu łudziłam?

- Skąd ta powaga, *ma petite*?

Pokręciłam ponownie głową. - Jak zwykle, staram się pojąć, na ile jesteś szczerzy. Uśmiechnął się szerzej. - Zawsze jestem szczerzy, *mapetite*, nawet, jeśli kłamię.

- Co czyni cię w tym tak dobrym - stwierdziłam. Pokiwał głową. -

Dokładnie.

Zerknął na moment przed siebie. - Zaraz zacznie się medialny szum z nami w roli głównej, *ma petite*. Czy mogłabyś schować pistolet? My-

ślę, że prasa znalazłaby mnóstwo zastosowań dla niego.

- Prasa? - spytałam. - Masz na myśli lokalne media?

- Tak, lokalne.

- Czego mi nie mówisz?

- Kiedy drzwi się otworzą, weź mnie za rękę i uśmiechnij się, proszę, *ma petite*. Zmarszczyłam brwi.

- Co zaraz się stanie?

- Zostaniesz przedstawiona światu.

- Jean-Claude, co zamierzasz zrobić?

- To nie moja sprawa, *ma petite*. Ja również nie przepadam za bły-skiem fleszy. Rada Wampirów wybrała mnie na swojego przedstawicie-la w mediach.

- Wiem, że musisz wyjść z trumny do lokalnych wampirów, po tym, jak wygrałeś ostatnie wyzwanie, ale czy to nie jest niebezpieczne? Mam na myśli, że udawałeś lizusa numer jeden pewnego tajemniczego mistrza. A to chroniło cię przed zewnętrznymi rywalami.

- Większość mistrzów używa takich pretekstów, *ma petite*. To ogra-nicza wyzwania i ludzkich zabójców.

- Wiem to wszystko, ale dlaczego zamierzasz się ujawnić?

- Rada uważa, że ukrywanie się w cieniu daje naszym krytykom zbyt wiele argumentów. Niektórzy z nas mają to jakoś zmienić, przedstawić nas w dobrym świetle.

Wpatrywałam się w niego. - Jak to w dobrym świetle?

- Odłóż pistolet, *ma petite*. Odźwierny zaraz otworzy drzwi, a na ze-wnątrz są kamery. Spojrzałam na niego ostro, ale schowałam seecampa do torebki.

- Czego po mnie oczekujesz, Jean-Claude?

- Uśmiechaj się, *ma petite*, albo przynajmniej nie marszcz tak brwi.

Drzwi otworzyły się, za nim zdażyłam jakoś się odgryźć. Błysk fleszy oślepił mnie. To przeszkadzało moim oczom bardziej niż długo-trwały pobyt w kopalni. Jean-Claude uśmiechając się, wyciągnął do mnie dłoń. Jeśli przy tym cholernym świetle potrafił wpatrywać się we mnie bez mrugania, to mogłam być uprzejmiejsza. Zawsze możemy powalczyć później.

Wyszłam z limuzyny i cieszyłam się, że trzymam go za rękę. Lampy błyskowe były wszędzie, jarzyły się niczym maleńkie, wnerwiające słoneczka. Tłum wokół gwałtownie zgęstniał. W naszą stronę wystrzeli-

ły liczne, przypominające mi noże, mikrofony. Gdyby Jean-Claude nie trzymał mnie mocno za dłoń, zapewne uciekłabym z powrotem do limuzyny. Przysunęłam się bliżej niego, ale tak, bym mogła swobodnie się poruszać. Gdzie do cholery były władze panujące nad tym piekielnym tłumem?

Mikrofon niemalże dotknął mojej twarzy. Jakaś kobieta krzyknęła z bliska - Czy on jest dobry w

łóżku? A może raczej w trumnie?

- Co? - spytałam.

- Czy jest dobry w łóżku? - Zaległa pełna napięcia cisza, w której wszyscy oczekiwali mojej odpowiedzi. Jednak zanim zdążyłam otworzyć usta i rzucić jakąś ciętą ripostę, JeanClaude wciął się w rozmowę, jak zwykle z gracją.

- Nie pocałujemy się, ujawniając nasz romans, prawda, *ma petite*? -

jego francuski akcent był silniejszy niż kiedykolwiek. A to spryciarz.

- *Ma petite* - czy tak ją pieszczotliwie nazywasz? - spytał męski głos.

- *Oui* - potwierdził.

Uniosłam głowę, by popatrzeć na niego. Schylił się, niby całując mój policzek i szepnął. - Spiorunujesz mnie wzrokiem później, *ma petite*. Tu jest pełno kamer.

Do cholery, chciałam powiedzieć, że nie schrzanię tego. Ale zrobię to. To znaczy, myślę, że zrobię. Czułam się pośród reflektorów, jak królik złapany w sidła. Pięknie. Gdyby w tej chwili wyskoczył zabójca z bronią, po prostu bym stała i pozwoliła się zabić. Ta myśl, dużo bardziej, niż wszystko inne, ocuciła mnie i pozwoliła znów logicznie my-

śleć. Starłam się zobaczyć, co jest poza mikrofonami, kamerami i ma-gnetofonami. Załapałam się na nagrania dwóch głównych programów.

Szlag by to.

Jean-Claude odpowiadał na pytania niczym zawodowiec, uśmiechnięty, uprzejmy, idealny wampir - zupełnie niczym niewinny chłopiec.

Uśmiechnęłam się, a następnie oparłam o niego. Stałam na palcach, przysunęłam usta tak blisko jego ucha, że mogłabym je polizać. Miałam nadzieję, że mikrofony nie wykryją tego, co mówiłam. Byłam pewna, że wyglądało to niepewnie i dziewczęco, ale do cholery, nic nie jest idealne. Szepnęłam:

- Wyprowadź mnie stąd natychmiast, albo wyciągnę broń i sama sobie utoruję drogę. Zaśmiał się. Ten dźwięk spłynął po mojej skórze, łaskocząc ją niczym futro, ciepłe, a nawet lekko obsceniczne. Wśród reporterów zabrzmiały „ochy” i „achy”. Zastanawiałam się, czy śmiech Jean-Claude'a został wyłapany przez jakiś magnetofon albo wideo. To była przerażająca myśl.

- Och, *ma petite*, ty niegrzeczna dziewczynko.

- Nie nazywaj mnie tak więcej - szepnęłam.

- Moje uszanowanie.

Uśmiechnął się i machając reporterom na pożegnanie, zaczął eskortować mnie poprzez tłum dziennikarzy.

Dwóch odźwiernych-wampirów wyszło, by pomóc nam w torowaniu sobie przejścia. Obydwaj byli równie wielcy, jak i umięśnieni. Martwi od niedawna. Wyglądali idealnie, niemalże jak ludzie. Dzisiaj wieczorem już się kimś pożywili. Tak samo, jak Jean-Claude.

Stawało się to coraz trudniejsze. Coraz ciężej mi było rzucić kamieniem w potwora. Nie jest dobrze, Anito. Nie jest dobrze.

Drzwi otworzyły się i wślizgnęliśmy się do środka. Odwróciłam się do niego przodem.

- Jak mogłeś wyjawić mediom, jakie łączą nas relacje?

- To ci nie zagraża, *ma petite*.

- A nie przyszło ci do głowy, że gdybym wybrała Richarda, a nie ciebie, to nie chciałabym, by każdy na świecie wiedział, że spotykam się z wampirem?

Uśmiechnął się niemal niezauważalnie.

- Wystarczająco dobry, by się z nim umawiać, ale zbyt słaby, by to ujawnić publicznie?

- Byliśmy razem wszędzie, począwszy od symfonii, na balecie kończąc. Nie wstydę się ciebie.

- Doprawdy? - Uśmiech zniknął, zastąpiony czymś innym, nie zło-

ścią, ale uczuciem bardzo jej bliskim. - To dlaczego jesteś wściekła, *ma petite*?

Otworzyłam usta, a po chwili zamknęłam. Prawda była taka, że nie chciałam występować w ten sposób przed publiką, bo nie sądziłam, że mogłabym wybrać Jean-Claude'a. Był wampirem, trupem. W tej wła-

śnie chwili uzmysłowiłam sobie, jak wiele miałam jeszcze uprzedzeń.

Był dobry, by się z nim spotykać, wystarczająco ładny, by trzymać się razem za ręce i może troszkę więcej. Ale na tym koniec. Zawsze wiedziałam, że jest punkt, w którym to przerwę, ponieważ jest trupem.

Pięknym trupem, ale wampir zawsze będzie wampirem. Naprawdę nie mogłam się w nim zakochać. Nie mogłabym się z nim kochać. Nie ma mowy. Złamałam jego główną zasadę. Nigdy tak naprawdę nie dałam Jean-Claude'owi takiej szansy, jaką dałam Richardowi. I teraz, gdy mia-

łam za plecami wszystkie stacje telewizyjne, wyszło szydło worka. By-

łam zażenowana tym, że ktoś mógłby sądzić, że się z nim umawiam. Że lubię spacerować, trzymając się za ręce z chodzącym trupem.

Złość zniknęła, gdy uświadomiłam sobie, że jestem hipokrytką. Nie wiem, jak wiele z tych uczuć pojawiło się na mojej twarzy, ale JeanClaude je widział. Przechylił głowę, przyglądając mi się uważnie.

- Myśli przebiegają przez twoje oblicze, *ma petite*, tylko jakie myśli?

Spojrzałam mu prosto w oczy. - Myślę, że jestem ci winna przeprosiny.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia. - To musi być jakaś prawdziwa, historyczna okazja. Za co chcesz mnie przeproszać?

Nie wiedziałam, jak to ubrać w słowa.

- Masz rację, myliłam się.

Ułożył palce na swojej piersi, wpatrując się we mnie z kpiarskim za-skoczeniem.

- Przyznajesz, że traktowałaś mnie, jak jakąś złą tajemnicę, wyrzut sumienia. Że byłem skazany na wygnanie z twoich uczuć, podczas gdy ty przytulałaś się do Richarda, do jego żywego ciała.

Spojrzałam na niego, marszcząc brwi. - Dość. Już wiem, że nigdy nie dam ci nawet namiastki przeprosin za cokolwiek.

- Taniec by wystarczył - powiedział.

- Nie tańczę. Wiesz o tym.

- To jest wielkie otwarcie klubu tanecznego, *ma petite*. Jesteś moją partnerką. Zamierzasz odmówić mi nawet jednego tańca?

A niech szlag go zeżre, jeśli to nie zabrzmiało małosłownie. - Jeden taniec.

Uśmiechnął się nieszczernie, kusząco. To był uśmiech, którym wąż musiał zaszczycić Ewę.

- Myślę, że dobrze będzie się nam razem tańczyło, *ma petite*.

- Wątpię.

- Założę się, że wiele rzeczy byśmy dobrze razem robili.

- Dam ci jeden taniec i nie oczekuj niczego więcej. Bezczelny łajdak.

Uklonił się lekko, z uśmiechem. Oczy mu błyszczały.

Podeszła do nas wampirzyca. Była niewiele wyższa od JeanClaude'a, co dawało jej w efekcie sześć stóp wzrostu. Miała jasne włosy i niebieskie oczy. Gdyby wyglądała jeszcze bardziej jak Norweżka, byłaby idealną dziewczyną z plakatu dla panów. Nosila fiołkowy komplet ze strategicznie wyciętymi

dziurami. Ciało, które przez nie prze-

świtywało, było muskularne, a mimo to kobiece. Skórzane buty - w dokładnie tym samym kolorze, co ubranie - opinały długie, umięśnione nogi, aż po same uda.

- Anito Blake, to jest Liv.

- Niech zgadnę - mruknęłam. - Jean-Claude wybierał twój strój?

Liv spojrzała na mnie z góry, jednak, nawet będąc tak wysoką, nie onieśmiała mnie. Kiedy się nie wzdrygnęłam, uśmiechnęła się.

- On rządzi.

Wpatrywałam się w nią i prawie zapytałam, w jaki sposób to robi.

Mogłam spokojnie wyczuć jej wiek, przytłaczający mnie niczym ogromny ciężar. Miała sześćset lat. Dwa razy więcej od Jean-Claude'a, albo i bardziej. Więc dlaczego to nie ona była szefem? Czułam odpowiedź na mojej skórze, niczym zimny i nieprzyjemny wiatr. Brak wystarczającej potęgi. Nie była Mistrzynią Wampirów i żadna ilość prze-

żytych lat, by tego nie zmieniła.

- Na co się gapisz? - spytała. Spoglądała mi prosto w oczy, przechylając lekko głowę. - Ona naprawdę jest uodporniona na nasze spojrzenie.

- Na twój wzrok - poprawiłam.

Wsparła dłonie na biodrach. - Co to miało znaczyć?

- To znaczy, że nie masz na mnie wystarczającego wpływu - odpar-

łam. Postąpiła krok do przodu.

- Co ty na to, bym cię po prostu podniosła i wycisnęła z ciebie troszeczkę soków? Taka oto chwila bez pistoletu w kaburze, jak teraz, zazwyczaj oznacza dla mnie duże ryzyko śmierci. Mogłam wyciągnąć jeden z noży. Jednak nie pomogłyby mi, gdybym nie zdążyła tego zrobić, nim ona się zbliży. Mogłam również wsunąć dłoń do torebki, niewiele osób spodziewałoby się broni w tak małym dodatku. Oczywiście, gdyby Liv odkryła moje zamiary, dopadłaby mnie zanim zdołałabym cokolwiek zrobić. Z kaburą byłabym gotowa spróbować. Mając torebkę na cienkim pasku? Nie sądzę. Wampiry są wystarczająco szybkie.

- Jak dużo wampirów zabiłaś do tej pory, Anito? - spytał JeanClaude. Pytanie zaskoczyło mnie, jednak własna odpowiedź również.

- Ponad dwadzieścia legalnych zabójstw.

- Jak dużo łącznie, *ma petite*?

- Nie wiem - mruknęłam. W tej chwili musiało być ich ponad trzydzieści, ale naprawdę nie byłam tego pewna. Nie pamiętałam, ile żyć odebrałam. Zły znak, Blake, zły znak.

- Liv jest moja, *ma petite*. Możesz swobodnie przy niej mówić.

Pokręciłam głową. - Nigdy nie przyznawaj się do morderstw przy obcych, JeanClaude. Taka jest zasada.

Wampirzyca spojrzała na mnie. Nie wydawała się ucieszona tym, co powiedziała. -Więc to jest Egzekutorka. - Przechyliła głowę, przyglądając mi się uważniej. - Jest troszeczkę mała, prawda?

Przeszła wokół mnie, jakbym była koniem na sprzedaż. Kiedy znajdowała się za moimi plecami, otworzyłam torebkę. W czasie, gdy przechodziła jeszcze raz wokół mnie, wyciągnęłam broń i zasłoniłam ją.

Dyskretny seecamp, chociaż uwierał, mogłabym z niego spokojnie strzelić zza torebki. Ale dlaczego, skoro nie musiałam?

Liv pokręciła głową. - Jest śliczna, ale niezbyt imponująca.

Stała za Jean-Claude'm, przesuwając swoimi potężnymi dłońmi wzdłuż jego ramion. Dotarła do tali, przyciskając palce do jego ciała.

Byłam nią coraz bardziej zmęczona.

- Mogę zrobić dla ciebie to, czego człowiek nie będzie w stanie, Je-an-Claude.

- Zaczynasz być niegrzeczna w stosunku do Anity. Nie wypomnę ci tego po raz drugi. - W jego głosie był chłód oraz jawnie wyczuwalna groźba.

Liv odstąpiła od niego i stanęła między nami, oczywiście trzymając dłonie na biodrach. - Wspaniały Jean-Claude żyje w celibacie dla człowieka. Wszyscy śmieją się za twoimi plecami.

- Celibacie? - spytałam.

Jean-Claude spojrzał na mnie, zamrugał. - Dopóki nie zrezygnujesz z życia zakonnicy, *ma petite*, pobawię się w zakonnika.

Moje oczy rozszerzyły się z szoku. Nie mogłam tego powstrzymać.

Wiedziałam, że zarówno ja, jak i Richard uważaliśmy siebie za kochanków, a mimo to wybraliśmy celibat. Ale nigdy nie pomyślałam o JeanClaude'dzie i o tym, co może robić, by zaspokoić swoje potrzeby. Abs-tynencja nie była środkiem, który wybrałabym dla niego.

- Wyglądasz na zaskoczoną, *ma petite*.

- Założę się, że ktoś, kto wykorzystuje seks, tak jak ty... Po prostu nigdy o tym nie pomyślałam.

- Właśnie. A gdybyś odkryła, że sypiam z inną kobietą, żywą bądź martwą, umawiając się jednocześnie z tobą, jak byś zareagowała?

- Rzuciła cię w mgnieniu oka.

- Dokładnie.

Liv roześmiała się, wydając głośny, nieatrakcyjny dźwięk. - Nawet człowiek ci nie wierzy.

Jean-Claude zwrócił się do niej, jego oczy rozblęły szafirowym płomieniem.

- Powiedziałaś, że śmieją się za moimi plecami. Potaknęła, wciąż się śmiejąc.

- Jednak tylko ty śmiejesz mi się prosto w twarz. Umilkła nagle, niczym wyłączony budzik.

- Trochę więcej uległości, Liv, chyba, że jest to wyzwanie przeciw mojemu autorytetowi?

Wyglądała na zaskoczoną.

- Nie, miałam na myśli... ja... nigdy nie uważałam...

Po prostu na nią spojrział. - Teraz będziesz jak najlepiej potrafisz błagać o moje wybaczenie, czyż nie?

Uklęła na jedno kolano. Nie wyglądała, jakby się bała, raczej jakby popełniła jakąś ogromną, towarzyską gafę i teraz musiała to naprawić. -

Błagam o przebaczenie, Mistrzu. Zapomniałam o swojej pozycji.

- Tak, zapomniałaś, Liv. Niech ci to nie wejdzie w krew.

Liv podniosła się z klęczek, cała w uśmiechach, pełna skruchy. Tak po prostu. Polityczne manewry były wyczuwalne w powietrzu.

- Gdyby tylko wyglądała tak niebezpiecznie, jak ją namalowałeś.

- Anito - powiedział Jean-Claude - pokaż jej, co masz w dłoni. Odsunęłam torebkę, pokazując tym samym broń.

- Mogłabym rozszarpać ci gardło, zanim wyciągnęłabyś tę zaba-weczkę - odparła Liv.

- Nie - zaprzeczyłam - nie mogłabyś.

- Czy to wyzwanie? - spytała.

- Sześćset lat, plus minus jedna dekada - odparłam. - Nie rzucę wyzwania tylko dla ugruntowania swojej pozycji.

- Skąd wiesz, ile mam lat?

Uśmiechnęłam się. - Nie jestem w nastroju, by blefować dzisiejszego wieczoru, Liv. Nie sprawdzaj mnie.

Wpatrywała się we mnie, zwężając swoje niezwykle oczy. - Jesteś nekromantką a nie po prostu animatorką. Czuję cię w mojej głowie, prawie tak samo jak innego wampira -spojrzała na Jean-Claude'a. - Dlaczego nie odbierałam tego wcześniej?

- Jej moc powiększa się, gdy czuje się zagrożona. - odparł.

To było dla mnie coś nowego. Sądziłam, że nie używałam teraz żadnej mocy. Jednak nie powiedziałam tego głośno. Aktualnie nie była pora na zadawanie głupich pytań, ani nawet tych bystrych.

Liv odsunęła się trochę, prawie jakby się mnie obawiała. - Otwiera-my za godzinę. Mam pracę do zrobienia - odeszła w kierunku drzwi, nie spuszczając ze mnie wzroku. Patrzyłam za nią, zadowolona z jej reakcji, mimo że jej nie rozumiałam.

- Chodź, Anito - powiedział po chwili Jean-Claude. - Pokażę ci mój klub. Pozwoliłam poprowadzić się w kierunku głównej części lokalu.

Wyczyścili całkowicie

ten magazyn. Zanim wzięli się za następne trzy piętra, na każdym poziomie dobudowali balustrady. Główny parkiet był olbrzymi, błyszczący i połyskujący od specjalnie przystosowanego oświetlenia. Lampy i reflektory zostały ukryte, więc trudno było powiedzieć, skąd dokładnie to światło wychodzi.

Dekoracje zwisały z sufitu. Na pierwszy rzut oka można pomyśleć, że to ciała. Jednak były to tylko naturalnych rozmiarów lalki, gumowe manekiny do przeprowadzania kursów pierwszej pomocy. Cholera.

Niektóre były nagie, inne zawinięte w celofan, a jeszcze inne ubrane w czarną skórę czy winyl. Jedna nosiła metalowe bikini.

Wisiały na łańcuchach na różnych poziomach. Ruszały się.

- Coś innego - skomentowałam.

- Specjalnie dla klubu zrobił to obiecujący artysta. Potrząsnęłam głową. - To brzmi jak oświadczenie.

Wsunęłam seecampa z powrotem do torebki, jednak postanowiłam jej nie zamykać. To wręcz zadziwiające, jak szybko dałabym radę go wyciągnąć. Ponadto, nie mogłam całą noc spacerować z bronią. W końcu i tak by mi ręka zdrętwiała, niezależnie od tego, jak mały byłby pistolet.

Jean-Claude sunął przez parkiet. Podążyłam za nim. - Liv się mnie bała. Dlaczego? Odwrócił się z gracją, uśmiechnięty. - Jesteś Egzekutorką. Potrząsnęłam głową.

- Powiedziała, że może wyczuć mnie w swojej głowie, jak innego wampira. Co miała na myśli?

Zamrugła. - Jesteś nekromantą *ma petite*, twoja moc wzrasta, kiedy jej używasz.

- Dlaczego miałoby to przerazić sześćsetletniego wampira?

- Jesteś nieustępliwa, *ma petite*.

- To jedna z moich zalet.

- Jeśli odpowiem na twoje pytanie, pozachwycasz się wraz ze mną klubem i będziesz moją partnerką, dopóki nie pojawi się zabójca?

- Dzięki, że mi przypomniałeś - burknęłam.

- Nie zapomniałaś - zaprzeczył.

- Nie, nie zapomniałam. Więc dobrze, odpowiedz na pytanie i po-bawmy się w prawdziwą randkę.

- Pobawmy się?

- Przestań przeciągać i odpowiedz na pytanie. - Pomyślałam, że jest jeszcze jedno, na które chcę znać odpowiedź. - Dwa pytania.

Uniósł swoje czarne brwi, ale przytaknął. - W folklorze i popular-nych mitach wampirom przypisuje się moce, których tak naprawdę nie posiadamy. Przykładowo: że możemy kontrolować pogodę, zmieniać się w zwierzęta. Z kolei o nekromantach mówi się, że potrafią panować nad wszystkimi typami umarłych.

- Kontrolować? Nie masz na myśli tylko zombie, prawda?

- Nie, *ma petite*.

- Więc.. Liv myśli, że przejmę nad nią kontrolę?

- Coś w tym stylu.

- Ale to szaleństwo! Nie mogę wzywać znajdujących się wokół

wampirów. - Kiedy to powiedziałam, zrozumiałam, że pragnęłam, by to była prawda. Jednak nie była

nią. Ożywiłam raz wampira. Raz. Raz to już wystarczająco dużo.

Coś musiało zmienić się w mojej twarzy, ponieważ Jean-Claude dotknął mojego policzka.

- Co się stało, *ma petite*? Co sprawiło, że twoje oczy są tak... przera-

żone? Otworzyłam usta i skłamałam - Gdybym mogła wzywać wampiry, oznaczałoby to, że

Serephina nie przejrzała mnie dokładnie. Jego rysy złagodniały.

- Ona jest martwa, *ma petite*. Prawdziwie i porządnie martwa. Widziałaś to. Pochylił się i pocałował mnie w czoło. Jego wargi były jedwabście miękkie.

Przesunął ustami po mojej twarzy, przysuwając się bliżej. Pocieszał

mnie.

To sprawiło, że poczułam się cholernie winna. Wciąż miałam kosz-mary z Serephiną w roli głównej. Były aż nazbyt prawdziwe. Wypowiedzenie jej imienia głośno, wywoływało nieprzyjemne skurcze w żo-

łądku. Ze wszystkich wampirów, które spotkałam, była najbliższa zdo-bycia mnie. Nie zabicia - to i tak zdarzyłoby się prędzej czy później.

Nie, ona była bliska przemienienia mnie w jedną z nich. Zaoferowała mi coś stokroć cenniejszego, niż seks czy potęga. Zaoferowała mi spokój. To było kłamstwo, jednak - jak na kłamstwo - wyjątkowo dobre.

Dlaczego nie powiedzieć Jean-Claude'owi prawdy? Cóż, to nie był

jeden z jego pieprzonych interesów. Szczerze, to, co robiłam, przeraża-

ło mnie. Nie chciałam mieć z tym więcej do czynienia. Nie chciałam o tym myśleć. Nie chciałam nawet wiedzieć, jakie filozoficzne konsekwencje miałyby ożywianie wampira za dnia. Byłam bardzo dobra w ignorowaniu rzeczy, o których nie chciałam słyszeć. Punkt dla mnie.

- *Ma petite*, ty drzysz. - Odsunął mnie, by zlustrować uważnie moją twarz.

Pokręciłam głową. - Gdzieś na zewnątrz jest zabójca, a ty się pytasz, czemu się trzęsę?

- Znam cię zbyt długo, *mapetite*. To nie z tego powodu drzysz.

- Nie lubię być wykorzystywana jako bogeyman5 dla wampirów. Nie jestem aż tak straszna.

- Nie, ale podsyciłem tę iluzję.

Odepchnęłam go. - Masz na myśli, że powiedziałaś innym wampirom, że mogę je kontrolować?

- Może jedna mała aluzja, bądź dwie.

Uśmiechnął się. To była ta wersja, w której znasz wszystkie jego grzeszne myśli.

- Dlaczego, na niebiosy?

- Wziąłem lekcje od naszego dyplomatycznego Richarda. Wygrał z innymi wilkami, po prostu obiecując traktować resztę dobrze, nie zmuszać ich siłą do robienia rzeczy, których nie chcą.

- No i?

- Zaprosiłem wampiry, by dołączyły do mojej gromady. Obiecałem, że nie będę ich zastraszać i zaoferowałem im bezpieczeństwo.

- Tak jak Liv? Przytaknął.

- Skąd masz pewność, że nie planują cichego buntu? - spytałam.

- Są pewne sposoby.

- Jak straszenie ich nekromantką? Uśmiechnął się rozbrajająco. - W rzeczy samej.

- Nie wszyscy w to uwierzą.

- Wiem. Ja nie wierzę - odezwał się nagle obcy głos.

Rozdział 15

Odwróciłam się i ujrzałam kolejnego wampira. Wysoki i szczupły, o skórze koloru czystych, białych kartek papieru. Ale kartki papieru nie mają mięśni, kartki papieru nie suną w dół schodów i nie wyglądają wspaniale. Tak rude, że aż czerwone jak krew włosy opadały mu na ramiona. Doskonale kontrastowały z jego bladością. Nosił czarny frak, który wyglądał na osiemnastowieczny, mimo to jego naga klatka piersiowa pozostawała doskonale widoczna. Ciężka tkanina pokryta była niemal w całości grubym haftem w bardzo jasnym odcieniu zieleni.

Pasował do jego oczu, zielonych niczym kocie, niczym szmaragdy. Od pasa w dół nosił zielone rajstopy z lycry, które pozostawiały niewiele złudzeń, co do jego ciała. Przy pasie zawiązał szarfę, która wyglądała jak piracki pas, czarny z zieloną obwódką. Czarne buty do kolan dopełniały stroju.

Myślałam, że znam wszystkich krwiopijców w mieście, ale to był już drugi obcy mi wampir, którego spotkałam w ciągu ostatnich dwóch minut.

- Ile nowych wampirów jest w mieście? - zapytałam.

- Kilka - odpowiedział Jean-Claude. - To jest Damian. Damianie, poznaj Anitę.

- Czuję się głupio w tym stroju - oznajmił.

- Ale wyglądasz wspaniale, nieprawdaż, *ma petite*? Przytaknęłam.

- „Wspaniale” to tylko jedno ze słów na określenie tego... *czegoś*.

Jean-Claude zaczął spacerować wokół młodego wampira, strzepując nieistniejący pyłek z płaszcza.

- Nie zgodzisz się ze mną, Anito? Westchnęłam.

- To jest po prostu...- Wzruszyłam ramionami. - Dlaczego wszystkich wokół siebie ubierasz tak, że wyglądają, jakby pochodzili z jakiejś seksualnej fantazji z dużym naciskiem na kostiumy?

Zaśmiał się, a dźwięk jego śmiechu otulił mnie.

- Przestań.

- Sprawia ci to przyjemność, *ma petite*.

- Możliwe. Tak czy inaczej, przestań.

- Jean-Claude zawsze miał zabójcze poczucie stylu - odezwał się Damian. - I seks zawsze był jego ulubionym hobby, czyż nie?

Coś w sposobie, w jaki to powiedział, sugerowało, że to nie komplement. Jean-Claude stanął naprzeciw niego.

- A jednak, mimo moich wszystkich zniewieściałych zwyczajów, jesteś tutaj, w tym mieście, szukając mojej ochrony.

Źrenice w oczach Damiana pochłonał zielony ogień.

- Dzięki, że mi przypominałeś.

- Zapamiętaj, kto tu jest mistrzem, albo zostaniesz wygnany. Rada osobiście interweniowała w sprawie twojej starej mistrzyni, ratując cię przed nią. Nie chciała cię wydać. Mówiłem w twoim imieniu. Zapłaci-

łem za ciebie okup, bo pamiętam, jak to jest znaleźć się w potrzasku, być zmuszanym do robienia rzeczy, których wcale nie chcesz robić.

Być *używanym*, dręczonym.

Damian wyprostował się lekko, ale nie odwrócił wzroku.

- Możesz przyznać sobie punkt. Jestem wdzięczny za to, co dla mnie uczyniłeś. -Wbił wzrok w podłogę. Przeszył go dreszcz. - Jestem szczę-

śliwy, że mnie od niej uwolniłeś.

Kiedy z powrotem spojrział na nas, jego oczy powróciły do normalnego koloru. Zdobył się na sztuczny uśmiech.

- Noszenie jakichś kostiumów to nie najgorsza z rzeczy, do których mnie zmuszano. Smutek w jego głosie sprawił, że chciałam poprosić Jean-Claude'a, aby kazał mu się

przebrać w parę spodni, ale nie zrobiłam tego. Mistrz Miasta stąpał

po bardzo cienkim lodzie. Damian miał ponad pół wieku. Nie był mistrzem, ale niewiele mu brakowało. Jean-Claude mógł radzić sobie z Liv i Damianem, ale jeśli byliby kimś więcej, mistrz wampirów czy nie, nie poradziłby nic. Co znaczyło, że te małe pokazy dominacji są niezbędne. Inni nie mogli zapomnieć, kto tu rządzi. Jeśli by to zrobili, byłby skończony. Jeśli zapytałby mnie o zdanie, kiedy rozdawał zaproszenia, spróbowałabym mu to wyperswadować.

Drzwi w drugim końcu sali otworzyły się. Miały ten sam odcień czerni, co ściana, i kiedy nagle znikąd pojawiła się kobieta, można by pomyśleć, że to sprawka magii. Była prawie tego samego wzrostu, co ja. Jej sięgające pasa włosy falowały, opadając na rękawy długiego, czarnego płaszcza. Miała na sobie parę legginsów w kolorze głębokiego turkusowego i doskonale pasujący sportowy stanik. Czarne paski biegły od spodni do stanika, podkreślając jej szczupłą talię. Na nogach miała również czarne, winylowe buty za kolano. Spłynęła po schodach i przeszła przez pomieszczenie tanecznym krokiem. Jakby to był jej własny pokój. A może tak było? Gdziekolwiek by nie trafiła, czuła się swobodnie. Zatrzymała się przy nas, z uśmiechem na twarzy. Jej miłe, piwne oczy wydawały się bardziej zielone z powodu turkusowej tasiemki, którą miała na szyi.

- Co sądzisz?

- Wyglądasz ślicznie, Cassandro - powiedział Jean-Claude

- Na pewno lepiej niż ja w moim kostiumie - dodał Damian.

- To kwestia gustu - odparłam.

Kobieta spojrzała na mnie. Zmierzyła Damiana wzrokiem. Nasze spojrzenia spotkały się i obie się roześmiałyśmy. Damian wyglądał na zakłopotanego. Jean-Claude spojrział na mnie.

- Podziel się z nami swoim żartem, *ma petite*.

Popatrzyłam na Cassandrę, powstrzymując kolejny wybuch śmiechu i pokręciłam głową. Kiedy byłam prawie pewna, że jestem w stanie mówić, nie śmiejąc się, odpowiedziałam:

- Babski humor. Nie zrozumiałbyś.

- Bardzo dyplomatycznie - powiedziała Cassandra - Jestem pod wrażeniem.

- Gdybyś wiedziała, jak ciężko *ma petite* być dyplomata, byłabyś pod dużo większym wrażeniem. - powiedział Jean-Claude.

Żartował, gdyby ktoś miał wątpliwości. Damian patrzył na nas, ciągle nie wiedząc, o co chodzi. Jean-Claude spojrział na Cassandrę, a potem na mnie.

- Znacie się?

Równocześnie pokręciłyśmy głowami.

- Cassandra, Anita. Mój najnowszy wilku, poznaj światło mego życia. Cassandra jest jednym z twoich ochroniarzy dzisiejszej nocy.

- Jesteś dobra. Nie wyczułam tego. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Richard powiedział, że kiedy spotkałaś go po raz pierwszy, również nie wyczułaś, że jest wilkołakiem.

Natychmiast pojawiła się isierka zazdrości. Oczywiście, jeśli była wilkołakiem i współpracowała z Jean-Claude'm, to musiała być jednym ze zwolenników Richarda.

- Nie byłaś na spotkaniu.

- Jean-Claude potrzebował mnie tutaj. Nie mógł się obyć bez zarówno Jasona jak i mnie.

Spojrzałam na Jean-Claude'a. Wiedziałam, co Jason dla niego robił.

Dawał mu własną krew, żeby Jean-Claude mógł się napić zaraz po przebudzeniu. To było dla wampira jak seks.

- Uroczo - powiedziałam.

- Nie martw się, *ma petite*. Cassandra nie dzieli się ze mną swoją krwią. Pod tym względem jest bardzo podobna do Richarda. Myślę, że wybrał ją dla mnie, ponieważ jest też podobna do ciebie. Nie fizyczne, ale *je ne sais quoi*.

- *Je ne sais quoi*, ta francuska wstawka była niepotrzebna - powiedziałam.

- - To znaczy „nie dający się określić”, „trudny do ubrania w słowa”, *ma petite*. Znacznie łatwiej użyć kilku słów, zamiast opisywać to kil-koma zdaniami.

- Ładnie mówi, prawda? - zapytała Cassandra

- Momentami - odpowiedziałam. - Nie możesz pić krwi Jasona każdego ranka. Nawet wilkołak potrzebuje trochę czasu na regenerację sił.

- Stephen jest chętny, by być dawcą.

- Dlaczego Stephen nie był z tobą ostatniej nocy?

- Czy to oskarżenie? - spytał Jean-Claude

- Po prostu odpowiedz.

- Miał zaplanowany wieczór. Chciał spotkać się z bratem. Kimże jestem, żeby zabierać mu czas, który chce spędzić z rodziną?

Patrzył na mnie, kiedy odpowiadał na to pytanie, zupełnie jakby ba-wiła go ta cała rozmowa. Trudno. Mnie nie.

Brat Stephena zdradził go, był przynętą, żeby złapać go w pułapkę.

Cholera.

- Gdzie jest Stephen?

- Na zapleczu - powiedziała Cassandra. - Pomagał mi wbić się w to coś. Sama nie dosięgłabym wszystkich pasków.

Zrzuciła płaszcz z ramion i odwróciła się tak, abym mogła zobaczyć jej plecy. Paski tworzyły ciasną sieć. Wiele z nich było w miejscach, których nie jesteś w stanie dosięgnąć i potrzebujesz pomocy drugiej osoby, aby wszystko pozapinać. Założyła płaszcz z powrotem i spojrze-

ła na mnie.

- Bierzesz to całe zamieszanie z żeńską alfą na poważnie, prawda?

Wzruszyłam ramionami.

- Przejmuję się bezpieczeństwem Stephena.

Cassandra przytaknęła. Jej twarz była poważna, zamyślona.

- Podoba mi się taka postawa. Czasami żeńska alfa jest tylko symbo-liczną postacią. Tylko nazwą dla kochanki przywódcy. Wiele z nich nie angażuje się aż tak jak Raina. -Kiedy wypowiadała jej imię, skrzywiła się, jakby połknęła coś gorzkiego.

Jean-Claude przerwał jej.

- Rozmawiajcie dalej, dziewczyny, ja mam parę rzeczy, którymi powinienem się zająć, zanim otworzymy klub. - Pocałował mnie w rękę i odszedł, opuszczając nas na samym środku parkietu.

Zostałyśmy same. Damian ulotnił się niezauważony, zanim ktokolwiek zapytał go o cokolwiek. Przez chwilę byłam nerwowa. Stałyśmy na widoku.

- Chodźmy tam. - Podeszłam do schodów, które prowadziły na wyższe piętro. Kiedy usiadłyśmy na nich, wygładziłam swoją spódnicę, ale nawet to nie pomogło. Musiałam trzymać stopy i kolana razem, żeby oszczędzić innym widoku mojej bielizny. Cholera.

- Niech zgadnę - powiedziałam - Raina chciała, żebyś brała udział w jej filmach.

- Ona chce każdego, kto wydaje się jej choć trochę atrakcyjny. Chociaż czasami pójście z nią do łóżka na próbę, może wyciągnąć cię z tego wszystkiego. Proponowała mnie Gabrielowi. Ten cholerny lampart nawet nie należy do stada.

- Jeśli by należał, zrobiłaby z niego przywódcę - stwierdziłam. Cassandra pokręciła głową.

- Gabriel nie potrafił pokonać Marcusa, więc pozostawił to Richardowi. Jest przywódcą lampartolaków tylko dlatego, że nie ma nikogo silniejszego. Jest alfą, ale ma wady. To czyni go słabym.

- Perwersja seksualna nie zawsze przechyla szalę w walce - powiedziałam.

- To nie tak. On jest entuzjastą niebezpiecznego seksu. Lykantropy mogą znieść duże uszkodzenia. - Przeszył j ą dreszcz. - Rzeczy, które chciał mi zrobić...

Spojrzała na mnie. Jej oczy były przepełnione strachem.

- Gabriel opowiadał, że niemal go wypatroszyłaś, kiedy przyszpilił cię do ziemi. Odwróciłam wzrok.

- Taa.

Cassandra dotknęła mojego ramienia, ale nie poczułam fali mocy.

Jeśli chodzi o ukrywanie swojej wilczej natury, była tak samo dobra, jak Richard. Przy niej Sylvia to amatorka. Dotknięcie sprawiło, że odwróciłam się do niej.

- On ma na ciebie ochotę. Nie powiedziałam Richardowi, bo... Cóż, jestem nowa w stadzie. Przybyłam do miasta niecałe dwa tygodnie temu. Bałam się, że jeśli mu powiem, co Gabriel mówił o tobie, mógłby zrobić coś naprawdę głupiego. Ale spotkanie się z tobą, poinformowanie cię, chyba wystarczy. Zdecydujesz, czy Richard powinien wiedzieć.

Mówiła serio. Przerazało mnie to.

- Co dokładnie powiedział Gabriel? Cassandra wzięła głęboki oddech.

- Miał fantazje, w których główną rolę odgrywałaś ty. Chciał uzbroić cię w noże i pozwolić na próbę zabójstwa, podczas gdy on będzie cię gwałcił. Chciał to wszystko nagrać na filmie.

Wgapiłam się w nią. Miałam ochotę krzyknąć: „żartujesz”, ale wiedziałam, że wszystko mówiła

poważnie. Gabriel był właśnie tak pokręcony.

- A jak kończy się ten film?

- Umierasz - odpowiedziała.

- Kiedy on mnie gwałci? - zapytałam. Przytaknęła.

Skuliłam się, dłońmi naciskając na ramiona i obejmując plecy. Wyczuwałam każdą broń, jaką miałam przy sobie. Byłam uzbrojona. Bezpieczna, ale co z tego?

Cassandra położyła mi rękę na ramieniu.

- Dobrze się czujesz?

- Czyż to nie wzruszające? - usłyszałam za sobą męski głos.

Cassandra wstała tak szybko, że nawet tego nie zauważyłam. Ukradkiem wsunęłam rękę do torebki i wyjęłam seecampa. Zaczepił się o podszewkę, przez co straciłam kilka cennych sekund, ale po chwili już byłam gotowa. Poczułam się lepiej. Odwróciłam się w miejscu i przyklęknęłam na jedno kolano. Nawet nie starałam się wstać. Czasami, kiedy stoisz jesteś lepszym celem.

Sabin stał parę stopni nad nami. Przerażająco blisko, ale niewystarczająco, żeby którakolwiek z nas zdołała wyczuć jego obecność. Ubrał

się tak samo, jak w czasie naszego ostatniego spotkania; w płaszcz z kapturem otulający go od stóp do głów. Teraz mogłam zobaczyć, co było pod nim. A raczej czego nie było. Wampir nie miał stóp. Po prostu unosił się nad ziemią.

- Niech pani żałuje, że nie widzi pani swojego wyrazu twarzy, panno Blake. Zmusiłam moje serce, żeby wróciło na swoje miejsce i powiedziałam:

- Nie wiedziałam, że będziesz tu dziś w nocy, Sabinie.

Cassandra weszła schodek wyżej, z jej gardła wydobywał się cichy warkot.

- Nie znam cię - oznajmiła.

- Uspokój się, wilku. Jestem gościem Jean-Claude'a, czyż nie, panno Blake?

- Tak - odpowiedziałam. - Jest gościem. - Przestałam mierzyć do niego z pistoletu, ale nie opuściłam broni. Mógł uznać mnie albo wilko-

łaka za przekąskę. Tak, to by było do niego podobne.

- Znasz go? - zapytała Cassandra.

Wciąż stała nade mną, jakby chciała zagrozić wampirowi drogę.

Brała całe to zamieszanie z ochroną bardzo serio.

- Spotkałam go kiedyś.

- Jest niebezpieczny?

- Tak. - powiedziałam - ale nie ma złych zamiarów. Nie tym razem.

- A kto ma? - zapytała Cassandra. Nie chciała ustąpić.

Sabin zszedł w dół schodów. Jego płaszcz kłębił się wokół niego.

- Przybyłem, aby obejrzeć widowisko, które ma się tu odbyć tej no-cy, nic więcej Cassandra wycofała się i zatrzymała na schodku przede mną. Ja stałam, ale nadal

trzymałam w dłoni pistolet. Byłam bardziej nerwowa niż zazwyczaj.

Pamiętałam też jak

Sabin zadał mi ból samym śmiechem. Tak, trzymanie broni blisko siebie było dobrym pomysłem.

- Gdzie jest Dominic?

- Gdzieś tam. - Jego kaptur wyglądał jak czarna dziura; pusty i bez-denny. Jednak wiedziałam, że mnie obserwuje. Czułam jego spojrzenie opadające na mnie niczym ciężar. Tkwił na schodku ponad tym, na którym stała Cassandra, dwa ponad tym, na którym stałam ja.

- Kim jest twoja przyjaciółka?

- Sabinie, to jest Cassandra; Cassandro, Sabin.

Dłoń w czarnej rękawiczce wysunęła się spod płaszcza. Sięgnął w kierunku twarzy Cassandry, jakby chciał ją pogłaskać. Odskokczyła jak oparzona.

- Nie dotykaj mnie.

Jego dłoń zamarła w połowie drogi. Zastygł w bezruchu. Widziałam już inne wampiry wypełnione kompletnym spokojem, ale myślałam, że zostawiają wzrokowe podpowiedzi. Od Sabina nie dostałam żadnej wi-dzialnej wskazówki, oprócz idealnej pustki wypływającej poza ze-wnętrzne granice jego ciała. Iluzja była dobra z tego powodu, iż nie musiałam wierzyć, że peleryna jest pusta i unosi się ponad schodami.

Jego głos wydobywał się jakby znikąd. To było. zaskakujące.

- Mój dotyk jest odpychający?

- Cuchniesz zarazą i śmiercią.

Sabin schował dłoń z powrotem pod pelerynę.

- Odwiedzam mistrza. Mam prawo prosić o odrobinę towarzystwa.

Również twojego,

wilku.

Cassandra zawarczała na niego.

- Nikt nie będzie zmuszał nikogo, żeby poszedł z nim do łóżka - powiedziałam.

- Jest pani tego pewna, panno Blake? - zapytał Sabin.

Okrążył Cassandrę. Wzdrygnęła się, kiedy jego płaszcz otarł się o nią. Nie mogłam go wyczuć; nie miałam aż tak dobrego węchu jak wilkołaki. Ale widziałam nieco tego, co skrywał pod płaszczem, a nie był

to szczególnie przyjemny widok.

- Jean-Claude tylko „wypożyczył” Cassandrę. Naprawdę należy do stada, więc tak, jestem pewna.

Cassandra spojrzała na mnie.

- Chronisz mnie?

- To należy do moich obowiązków, czyż nie? Przyjrzała mi się uważnie.

- Przypuszczam, że należy. - Jej głos był delikatny, jakby pochodził

z odległego snu. Wyglądała bardzo zwyczajnie, oczywiście wyłączając strój.

- Widziała pani czym jestem, panno Blake. Czy nie wzdrygnie się pani, kiedy jej dotknę?

Zesłam na dół. Podłoga stanowiła lepsze oparcie dla stóp, niż schodki.

- Podałam ci rękę, kiedy po raz pierwszy się witaliśmy.

Sabin opadł na podłogę. Zdjął kaptur, ukazując złote włosy i czę-

ściowo zgnitą twarz. Cassandra zasyczała. Cofnęła się i oparła plecami o balustradę. Sądzę, że Sabin mógł wyciągnąć pistolet i zabić ją właśnie w tej chwili. Nie zdążyłaby zareagować. Uśmiechnął się do niej. To sprawiło, że niektóre nadgnite tkanki oderwały się.

- Nigdy nie widziałaś czegoś takiego?

Przełknęła ślinę tak głośno, że mogłam to usłyszeć, i ze wszystkich sił starała się nie wymiotować.

- Nigdy nie widziałam niczego tak okropnego.

Sabin odwrócił się do mnie. Jego jedno oko nadal było czyste, w kolorze głębokiego błękitu, ale drugie zapadło się w oczodole, zanurzone w ropie i jakimś innym płynie, którego nie umiałam rozpoznać.

- Wczoraj twoje oko wyglądało normalnie.

- Powiedziałem pani, że to bardzo złośliwa dolegliwość, panno Blake. Myślała pani, że histeryzuję? Wyolbrzymiam fakty?

Pokręciłam głową.

- Nie.

Dłoń w rękawiczce ponownie wysunęła się z ukrycia. Pamiętałam, że kiedy ją wczoraj uścisnęłam, wydała dźwięk podobny do plaśnięcia.

Nie chciałam, żeby mnie dotykał, ale było coś w jego spojrzeniu, pewien rodzaj bólu, który sprawił, że nie cofnęłam się. Współczułam mu.

Głupie, wiem, ale tak było.

Czarna rękawiczka zawisała w powietrzu tuż obok mojej twarzy, ale nie dotknęła mnie. Seecamp tkwił zapomniany w mojej dłoni. Opuszki palców Sabina otarły się o mój policzek. Rękawiczka była wypełniona płynem i sprawiała wrażenie odrażającego balonu.

Wymieniliśmy spojrzenia. Ujął moją twarz w dłonie. Jednak myli-

łam się. W rękawiczce znajdowały się jakieś kawałki stałego ciała i kości, ale w żadnym wypadku nie dało się tego nazwać ręką. Ta cała zupa utrzymywała kształt tylko dzięki rękawiczce.

Z moich ust wydobył się cichy dźwięk. Nie mogłam tego powstrzymać.

- Może powinienem był poprosić cię o pozwolenie? - zapytał

Wyśliznęłam się delikatnie z jego uścisku. Bałam się poruszać za szybko. Żadnych gwałtownych ruchów. Obawiałam się, że mogłoby to zsunąć rękawiczkę z tego, co pozostało z jego dłoni. Nie chciałam, żeby rozlała się na podłogę, tworząc wodospad cuchnących szczątków. Sabin wystarczająco przerażał i bez tego.

Nie próbował mnie zatrzymać. Być może obawiał się tego samego, co ja.

- Ponownie nadużywasz mojej gościnności? - zapytał Jean-Claude.

Stał na parkiecie i badawczo patrzył na Sabina swoimi granatowymi oczami. Jego skóra była blada i gładka, zupełnie jakby został wyrzeźbiony z marmuru.

- Jeszcze nie okazałeś mi prawdziwej gościnności. Jednym z twoich obowiązków jest zapewnić mi towarzystwo.

- Nie spodziewałem się, że zostało cię wystarczająco dużo, żebyś miał jakieś potrzeby. - powiedział Jean-Claude.

Sabin skrzywił się.

- To okrutna choroba. Nie całe moje ciało zgniło. Potrzeba pozostała, jednakże naczynie jest tak groteskowe, że nikt mnie nie dotknie, nie z własnego wyboru. - Potrząsnął głową. Kiedy to robił, skóra rozdarła się z jednej strony. Coś czarnego, gęstszego od krwi spłynęło po jego policzku.

Cassandra wydała z siebie dźwięk, jakby zbierała jej się na mdłości.

Może za bardzo jej to śmierdziało?

- Kiedy jeden z moich ludzi wystarczająco mnie zdenerwuje, a ty będziesz na terenie miasta, mógłbym ci go przekazać. Ale nie mogę podarować ci nikogo tylko dlatego, że sobie tego życzysz. Ich psychika mogłaby tego nie wytrzymać.

- Bywają dni, kiedy sam zaczynam wątpić, czy aby mój rozum jest nadal zdrowy. -Przeniósł wzrok z Cassandry na mnie. - To powinno złamać twój wilk, ale sądzę, że na twojej ludzkiej służebnicy nie zrobi większego wrażenia.

- Ona nie należy do ciebie. Nie zbliżaj się do niej więcej, Sabinie.

Jeśli nadużyjesz mojej gościnności, z pozwoleniem Rady czy bez niego, zniszczę cię.

Sabin odwrócił się w jego stronę. Dwa wampiry mierzyły się nawzajem spojrzeniem.

- Były czasy, Jean-Claude, kiedy nikt nie mówił do mnie w ten sposób.

- Już dawno minęły - odparł Jean-Claude Sabin westchnął.

- Tak, dawno.

- Proszę idź, baw się dobrze, oglądaj widowisko, ale nie kuś mnie ponownie. Moje poczucie humoru kończy się, kiedy *ma petite* zaczyna się niepokoić.

- Dzielisz się nią z wilkołakiem, a nie ze mną.

- To nasza prywatna sprawa - powiedział Jean-Claude. - I nie rozmawiajmy o tym więcej. Jeśli będziemy, rzucisz mi wyzwanie, na które nie jesteś gotowy.

- Jesteś Mistrzem Miasta. Twoje słowo jest prawem. - Słowa były zwyczajne, ale wypowiedziane tym tonem, brzmiały jak kpina.

Liv podeszła i stanęła za Jean-Claude'm.

- Czas otworzyć drzwi, mistrzu. - Ostatnie słowo wypowiedziała z nutą złośliwości. Jean-Claude nieszczególnie lubił, kiedy zwracano się do niego „mistrzu”.

- Zatem wszyscy na miejsca - powiedział. Jego głos zabrzmiał dziwnie cicho.

- Poszukam sobie stolika - powiedział Sabin.

- Dobry pomysł - zgodził się z nim Jean-Claude.

Sabin nasunął kaptur z powrotem na głowę. Poszybował schodami w górę, w stronę stolików na piętrze. Albo po prostu chciał sobie polatać pod dachem.

- Wybacz, *ma petite*. Chciałbym wierzyć, że to choroba odebrała mu rozum. Uważaj na siebie, kiedy jest w pobliżu. Cassandra jest nam potrzebna gdzie indziej. Liv z tobą posiedzi.

Spojrzałam na niego.

- Liv nie byłaby w stanie stanąć w mojej obronie, dać się zranić byle tylko mnie chronić.

- Jeśli mnie zawiedzie, oddam ją Sabinowi.

Liv pobladła, co dla wampira jest dość trudną rzeczą.

- Mistrzu, proszę.

- Dobra, zmieniłam zdanie. Przekonała mnie - powiedziałam.

Jeśli miałam do wyboru spędzenie nocy z Sabinem i danie się postrzelić, to jasne, że wybrałabym to drugie. Z wyrazu twarzy Liv wnioskowałam, że ona również.

Jean-Claude oddalił się, żeby powitać gości. Oczy Cassandry napotkały moje. Nie była blada. Ona po prostu zzieleniała. Odwróciła wzrok, jakby bała się tego, co mogłabym ujrzeć w jej oczach.

- Przepraszam, Anito. - Zamarła z ręką na klamce drzwi, przez które weszła. Wyglądała tak, jakby czuła się winna, że musi iść. Nie miałam jej tego za złe.

Cassandra nie zdała testu. Była potężnym lykantropem, ale Sabin całkowicie wyprowadził ją z równowagi. Prawdopodobnie nic by się nie stało, gdyby wampir próbował użyć przemocy, ale on po prostu stał

i gnił na jej oczach. Nie sądziłam, że potwór może wyglądać tak żało-

śnie.

Drzwi otworzyły się i tłum szczelnie wypełnił salę, zalewając ją niczym fala. Bardzo hałaśliwa fala. Wsunęłam pistolet z powrotem do torebki, ale nie zapięłam jej.

Liv stanęła obok mnie.

- Oto twój stolik.

Poprosiłam, aby poszła ze mną. Nie chciałam sama przepychać się w tłumie. Poza tym nagle zaczęło jej zależeć na moim bezpieczeństwie.

Rozumiałam ją doskonale. Gnijące ciało Sabina było wystarczającą motywacją.

Czułabym się lepiej, gdybym nie wierzyła, że Jean-Claude na prawdę jest w stanie oddać Liv Sabinowi. Ale wiedziałam lepiej. Zrobiłby to bez wahania. Z jej spojrzenia dało się odczytać, że ona również zdawała sobie z tego sprawę.

Rozdział 16

W rzędzie małych, czarnych skórzanych stolików ten był największy. Prawie całkowicie zlewał się z czarnym tłem ścian. Moja sukienka pasowała do wystroju. Naprawdę będę musiała znaleźć ciuchy w innych kolorach. Stolik był odsunięty od ściany, stał w pobliżu balustrady, tak, aby gromadzący się tłum nie blokował mi widoku na parkiet. Oznacza-

ło to również, że musiałam odsłonić plecy. Przysunęłam krzesło do ściany, żeby mieć ją za sobą, ale byłam świadoma, że balustrada zawraca po mojej prawej stronie, więc każdy mógł podejść i mnie zastrzelić, pozostając względnie ukrytym.

Oczywiście była ze mną Liv. Stała za moimi plecami, ręce skrzyżowała na piersi. Brakowało jej tylko świecącego szyldu nad głową z na-pisem „ochroniarz”.

Muszę przyznać, zostawiłam otwartą torebkę. Mogłam sięgnąć po pistolet, kusiło mnie, by położyć go na kolanach. Denerwowałam się, ale taki był cel. Mieliśmy plan. A plan nie uwzględniał odstraszenia zabójców.

Dotknęłam ramienia Liv. Pochyliła się.

- Miałaś nie rzucać się w oczy.

Wyglądała na zmieszaną. - Mam ci zapewnić bezpieczeństwo.

- Więc usiądź i udawaj, że jesteś moją przyjaciółką. Pułapka nie zadziała, jeżeli będzie widać, że ktoś mnie pilnuje.

Przyklękła obok mnie; cóż, chyba byłam za nisko, aby się schylić. -

Nie zaryzykuję dostania się w ręce Sabina. Nie obchodzi mnie, czy zamachowcy wiedzą, że tu jestem, czy nie.

Trudno było mieć do niej pretensje, ale zamierzałam poczynić ten wysiłek. Nachyliłam się w jej stronę

- Posłuchaj, zacznij współpracować, albo idź w cholerę.

- Jestem posłuszna Jean-Claude'owi, nie jego dziwce.

Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek czymkolwiek zasłużyła na to miano.

- Jean-Claude powiedział, że jeśli go zawiedziesz, odda cię gnijącym zwłokom, prawda?

Liv skinęła głową. Jej oczy przeszukiwały tłum za moimi plecami.

Naprawdę starała się wykonać powierzone jej zadanie, wysiłek był zauważalny.

- Nie wspomniał nic o karze, jeżeli stanie mi się krzywda, czy tak?

Liv rzuciła na mnie okiem. - O co ci chodzi?

- Jeżeli odstraszysz wynajętego mordercę i tym samym zrujnujesz nasz plan, będzie to równe porażce.

Pokręciła przecząco głową. - Nie, nie to miał na myśli.

- Powiedział, że masz go już nigdy nie zawieść.

Widziałam w jej oczach, że stara się uchwycić sens moich słów.

Mogłabym się założyć, że myślenie nie było jedną z jej mocnych stron.

- Sprytnie, Anito, ale jeżeli zostaniesz zabita, spotka mnie kara.

Wiesz, że tak będzie. Nie miałam racji. Była o wiele mądrzejsza, niż na to wyglądała.

- Ale jeżeli zrujnujesz nasz plan i tak poniesiesz konsekwencje. Na jej twarzy pojawił się strach. - Jestem w kropce.

Zrobiło mi się jej żal. Litość dla dwóch, nie, trzech potworów jednej nocy. Zmięklam. - Jeżeli nie zginę, upewnij się, że nie spotka cię kara.

- Przysięgasz? - zapytała, jakby to miało większe znaczenie. Składanie przysięgi nie było dla niej czymś błahym. Wiele wampirów pochodziło z czasów, kiedy słowo zobowiązywało.

- Masz moje słowo.

Jeszcze przez chwilę pozostała na klęczkach, potem wstała. - Postaraj nie dać się zabić. - Zniknęła w

tłumie zostawiając mnie samą, o to prosiłam.

Pozostałe stoliki szybko się zapełniły. Tłum rozlał się dookoła podwyższenia otaczającego parkiet. Przy barierkach zgromadziło się tak wiele osób, że gdyby stolik stał pod ścianą, przesłoniłoby scenę. W tych okolicznościach doceniłam okazaną mi troskę. Drugi ochroniarz mógł

przybyć w każdej chwili. Byłam przygotowana na pojawienie się towarzystwa.

Tłum zapełnił dwa wyższe poziomy, na których były tylko miejsca stojące. Wypatrywałam czarnego płaszcza Sabina, ale nie mogłam go dostrzec. Parkiet był pusty. Wejście zagradzało pół tuzina wampirów.

Cicho, ale zdecydowanie zawracali wszystkich z powrotem na miejsca.

Zarówno mężczyźni jak i kobiety ubrani byli nieomal identycznie, w czarne spodnie z lycry, buty i czarne koszulki-siateczki. Panie miały czarne staniki pod spodem, ale to jedyna różnica. Pochwalałam taki stan rzeczy. Krótkie spódniczki lub spodenki na kobietach wkurzyłyby mnie. Przyszło mi na myśl, że może Jean-Claude dobierał stroje mając mnie na uwadze. Pewne moje zwyczaje znał aż zbyt dobrze, a o innych nie miał bladego pojęcia.

Przeglądałam tłum, poszukując Edwarda lub czegokolwiek podejrzanego, ale trudno było skupić się na jednej osobie w przepychającym się, roześmianym zbiorowisku. Nie mogłam dostrzec Edwarda. Musia-

łam zaufać, że gdzieś tam jest. Choć wierzyłam, że się tam znajduje, ucisk w klatce piersiowej nie zelżał.

Edward ostrzegał mnie, abym zachowywała się normalnie, nie budziła podejrzeń. Staralam się trzymać pozory, ale prawie miałam zawroty głowy od przeglądania tłumy, boleśnie odczuwałam pustą przestrzeń za mną po prawej stronie, gdzie biegły barierki. Położyłam ręce na kolanach i zmusiłam się, aby spuścić wzrok. Jeżeli teraz nadszedłby za-bójca, nie zauważyłabym go; musiałam wziąć się w garść. W przeciwnym razie przez cały wieczór goniłabym cienie i nie byłabym w stanie poradzić sobie z prawdziwym zagrożeniem, gdy się pojawi. Zaczyna-

łam żałować odprawienia Liv.

Oddychałam głęboko, powoli, koncentrując się na swym ciele. Kiedy mogłam usłyszeć przepływ krwi w głowie, powoli uniosłam głowę.

Spokojnie wpatrywałam się w tłum i parkiet. Czułam pustkę, dystans, spokój. O wiele lepiej.

Wampir podszedł do barierki przed moim stolikiem. Willie McCoy miał na sobie okropny zielony garnitur, który można było określić tylko jako limetkowy, zieloną koszulę i szeroki krawat z Godzillą demolującą Tokio. Nikt nigdy nie zarzuciłby mu umiejętności dopasowywania kolorów i wzorów.

Uśmiechnęłam się. Nie mogłam się powstrzymać. Willie był jednym z pierwszych wampirów, które przekroczyły granicę oddzielającą potwory od przyjaciół. Przysunął z tyłu jedno krzesło tak, że

znalazł się plecami do otwartej przestrzeni. Usiadł, jakby zrobił to nieumyślnie.

Nie musiałam udawać radości.

Musiał się trochę nachylić w moją stronę, bym mogła usłyszeć go mimo narastającego gwaru. Poczułam słodki zapach żelu, którego używał do przyglądania krótkich włosów. Będąc tak blisko, nie sprawiał, że czułam się spięta. Ufałam mu bardziej niż Jean-Claude'owi.

- Jak leci, Anito? - Uśmiechnął się na tyle szeroko, że było widać kły. Nie minęły nawet trzy lata, od kiedy umarł. Był jednym z wampirów, które znałam przed przemianą.

- Bywało lepiej - odparłam.

- Jean-Claude powiedział, że mamy cię pilnować, ale nie wzbudzać podejrzeń. Będziemy pojawiać się co jakiś czas, ale wyglądałaś na wystraszoną.

Pokręciłam z uśmiechem głową. - To było aż tak oczywiste?

- Dla znajomka, tak.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Patrząc z odległości kilkunastu centymetrów na jego twarz, zrozumiałam, że jest na mojej liście. Tej samej, co Stephen. Jeżeli ktoś zabiłby Williego, nie darowałabym mu. Byłam zaskoczona, że jakikolwiek wampir zdobył na niej miejsce. Ale Willie tego dokonał. Jeżeliby się nad tym zastanowić, zdaje się, że jest jeszcze jeden wampir w podobnej sytuacji.

Jean-Claude pojawił się po przeciwległej stronie klubu. O wilku mowa. Skądś padło na niego światło reflektorów. Jego źródło musiało znajdować się na belce sufitowej, ale było skryte w ciemnościach. Idealne miejsce dla snajpera.

Przestań, Anito. Przestań się torturować.

Tak naprawdę nie zdawałam sobie sprawy, jakie tłumy zjawią się na otwarciu. Edward, samotnie szukający jednego zabójcy w tej masie ludzi, miałby marne szanse. Może wampiry i wilkołaki były amatorami, ale dodatkowe pary oczu nie mogły zaszkodzić.

Reflektory przygasały, aż zostały jedynie te skierowane na JeanClaude'a. Zdawała się bić od niego poświata. Nie byłam pewna czy to sztuczka, czy naprawdę jego skóra promieniała od wewnątrz. Ciężko powiedzieć. Jakkolwiek by nie było, prawdopodobnie znajdowałam się w ciemnościach z zabójcą; nie byłam szczęśliwym obozowiczem.

Niech to wszyscy diabli. Położyłam seecampa na kolanach. Tak już lepiej. Nie idealnie, ale lepiej. Samo dotknięcie broni poprawiało mi samopoczucie, to prawdopodobnie zły znak. Tęsknota za własnymi pistoletami, to jeszcze gorszy znak.

Willie dotknął mojego ramienia; podskoczyłam na tyle, że ludzie w pobliżu zaczęli rzucać na nas zaciekawione spojrzenia. Cholera. Wyszeptał:

- Pilnuję twoich pleców. Spokojnie.

Willie to wspaniałe mięso armatnie - zupełnie nie nadawał się na ochroniarza. Zanim umarł, grał rolę drugoplanową. Śmierć tego nie zmieniła. Zdałam sobie sprawę, że gdyby strzelanina się rozpoczęła i ci źli mieliby srebrne kule, martwiłabym się o Williego. Zamartwianie się o ochroniarza nie jest wskazane.

Głos Jean-Claude'a zabrzmiał w ciemności, nappełnił ją dźwiękiem pieszczącym skórę. Kobieta stojąca niedaleko mojego stolika zadrzała, jak gdyby została dotknięta. Jej partner objął ją ramieniem; przytulili się do siebie w mroku, otoczeni głosem Jean-Claude'a.

- Witam w Danse Macabre. Czeka was noc pełna niespodzianek.

Niektóre będą niezwykle. - Dwa mniejsze reflektory zaświeciły w tłum.

Cassandra balansowała na barierkach drugiego piętra. Odrzuciła płaszcz do tyłu, ukazując ciało. Sunęła wzdłuż barierki o szerokości kilku centymetrów, jakby to była podłoga, zdawała się tańczyć. Rozległy się dzikie oklaski. Drugi reflektor ukazał Damiana na pierwszym piętrze. Wysunął się z tłumu, szeleszcząc wyszywanym płaszczem niczym małą peleryną. Jeżeli czuł się głupio w tym stroju, nie dał po sobie poznać.

Szedł wśród tłumu w świetle reflektora. Tu dotknął ramienia, tam przecesał dłonią sięgające pasa włosy, objął jakąś kobietę w talii. Nikt, kobieta czy mężczyzna, nie miał nic przeciwko. Opierali się o niego lub szeptali mu do ucha.

Podszedł do kobiety z długimi, brązowymi włosami i przedziałką pośrodku. W porównaniu do otaczającego tłumu jej ubiór był raczej skromny. Granatowa, elegancka spódnica i żakiet. Jej biała bluzka mia-

ła jedną z tych dużych kokard, które mają wyglądać jak krawat, ale nigdy im to nie wychodzi. Z otaczających Damiana kobiet wyglądała najbardziej zwyczajnie. Okręzał ją na tyle blisko, że otarł się o nią. Odsunęła się od jego dotyku, nawet z przeciwległego końca pomieszczenia mogłam dostrzec oczy rozszerzone strachem.

Chciałam powiedzieć „Zostaw ją w spokoju”, ale nie zamierzałam krzyknąć. JeanClaude nie zezwoliłby na nic nielegalnego, przynajmniej nie przy tylu świadkach. Zauroczenie grupy ludzi jest legalne. Masowa hipnoza nie jest trwała. Ale indywidualna, owszem. Oznaczało to, że Damian mógłby stanąć pod jej oknem i przywołać ją jakiejś ciemnej nocy, bez ograniczeń czasowych.

Willie wychylił się do przodu, jego ciemne oczy śledziły Damiana i kobietę. Na ten moment zdawał się zaprzestać poszukiwań zabójcy.

Widziałam, jak jej twarz staje się bez wyrazu, pozbawiona jakichkolwiek emocji, aż wyglądała jak we śnie. Jej puste oczy zwrócone były na Damiana. Wziął ją za rękę, oparł się o barierkę. Przerzucił przez nią obie nogi i nadal trzymając jej dłoń, wylądował. Zrobiła dwa niepewne kroki w stronę krawędzi. Chwycił ją w talii, pod żakietem i uniósł wysoko w powietrze, bez wysiłku. Postawił ją na

parkiecie, w tych jej rozsądnych, czarnych balerinkach.

Światła padające na Jean-Claude'a i Cassandrę przygasały, aż pozostał tylko reflektor skierowany na Damiana i kobietę. Zaprowadził ją na środek parkietu. Idąc, patrzyła tylko na niego, jakby świat poza nim nie istniał.

Cholera. To co Damian robił, było niezgodne z prawem. Większość osób w tłumie nie zauważyłaby tego. Wampiry miały pozwolenie na używanie swych mocy w celach rozrywkowych, więc nawet media, jeżeli były wewnątrz, nie miałyby nic przeciwko. Ale ja znałam różnicę, znałam prawo. Jean-Claude musiał wiedzieć, że zrozumie, co naprawdę się dzieje. Czy to była aktorka? Zaplanowane widowisko?

Pochyliłam się w stronę Williego, na tyle blisko, że otarłam się o je-go rękaw.

- Czy to aktorka?

Spojrzał na mnie, w jego oczach było przerażenie, źrenice prawie zniknęły w brązie tęczówek. Na końcu ciemnego tunelu tlił się ogień.

Przełknęłam z trudem i odsunęłam się od niego, ciesząc się, że mam pistolet na kolanach.

- To się dzieje naprawdę, mam rację? Willie nerwowo oblizał wargi.

- Jeżeli powiem, że tak, w jakiś sposób zepsujesz pokaz. Jean-Claude będzie na mnie zły. Nie chcę, aby był na mnie zły, Anito.

Pokręciłam głową, ale nie spierałam się. Widziałam, co Jean-Claude robi z wampirami, które wzbudzą jego gniew. Tortury to zaledwie eu-femizm. Musiałam odkryć, co się dzieje, nie zaburzając biegu wypadków i nie skupiając na sobie większej uwagi, niż było to pożądane tej nocy.

Damian ustawił kobietę centralnie w blasku świateł. Była skupiona na czymś dla nas niedostrzegalnym. Stała tam, pusta, oczekująca poleceń. Znalazł się obok niej, jego ręce oplatały jej talię, twarz wtulił we włosy dziewczyny. Rozwiązał kokardę na jej szyi, rozpiął górne guziki bluzki. Musnął wargami jej odsłoniętą szyję... Nie mogłam tego dłużej znieść. Jeżeli była aktorką, w porządku, ale jeśli stała się mimowolną ofiarą, musiałam to przerwać.

- Willie?

Powoli, z wahaniem, obrócił się w moją stronę. Jego głód sprawiał, że chciał zobaczyć więcej. Strach przed moim pytaniem uczynił go wolniejszym.

- O co biega?

- Idź, powiedz Jean-Claude'owi, że to koniec widowiska. Willie po-kręcił głową.

- Jeżeli odejdę, a ciebie sprzątną, Jean-Claude mnie zabije. Powoli i boleśnie. Nie opuszczę twego boku, dopóki nie otrzymam takiego pole-cenia.

Westchnęłam. Dobrze. Przechyliłam się przez barierkę i przywoła-

łam gestem jednego z wampirzych kelnerów. Spojrzał w ciemność, jakby mógł dostrzec Jean-Claude'a, choć ja nie byłam w stanie, potem podszedł do mnie.

- O co chodzi? - wyszeptał. Pochylił się na tyle, że mogłam poczuć zapach miętówek w jego oddechu. Prawie każdy wampir, którego zna-

łam, używał miętówek.

Nadal miałam seecampa w dłoni. Uznałam, że mogę bez obaw zbli-

żyć się do nowo nieumarłego, więc pochyliłam się i wyszeptałam. - Czy to aktorka?

Rzucił okiem na ten żywy obraz. - Zwyczajny ochotnik z widowni.

- Nie była ochotnikiem. - powiedziałam. Tam stało z pół tuzina ludzi, którzy chętnie by się zgłosili, ale wampir wybrał osobę odczuwającą strach. Dodatkowa odrobina sadyzmu, po prostu nie mógł się temu oprzeć.

- Przekaż Jean-Claude'owi, że jeżeli tego nie przerwie, ja to zrobię.

Mrugnął zdziwiony.

- Po prostu zrób to - nakazałam.

Minął parkiet, znikając w ciemności. W pewien sposób mogłam go śledzić, to było bardziej wrażenie ruchu niż cokolwiek innego. JeanClaude'a nie dostrzegałam wcale.

Damian powiódł ręką w powietrzu przed jej twarzą; kiedy zabrał

dłoń, mrugnęła, na powrót przytomna. Jej ręce gorączkowo uniosły się do rozpiętej bluzki, wzrok był oszalały.

- Co się dzieje? - Rozbrzmiał jej cienki ze strachu głos.

Damian spróbował wziąć ją w ramiona, ale odsunęła się. Złapał jej nadgarstek. Zaczęła się siłować - z łatwością ją przytrzymał.

- Puść mnie, puść mnie, proszę! - Wyciągnęła ręce do kogoś z widowni. - Pomóż mi!

Tłum całkowicie ucichł, mogłam usłyszeć głos jej niby przyjaciółki.

- Baw się dobrze. To tylko część programu.

Damian obrócił ją szarpnięciem, aby znalazła się przodem do niego, na tyle mocno, że pozostaną siniaki. Jak tylko spojrział jej w oczy, jej twarz stała się pusta. Upadła na kolana, nadal trzymana za

jeden nadgarstek.

Uniósł ją do pozycji stojącej, teraz był delikatny. Przycisnął ją do siebie, odgarnął włosy na jedną stronę, odsłaniając długą linię karku.

Obrócił się powoli, jak gdyby tańczyli, pokazując wszystkim jej nagą szyję.

Willie pochylił się do przodu, oblizywał dolną wargę, jakby mógł

poczuć smak jej skóry. Był moim przyjacielem, ale dobrze pamiętać, że jest również potworem.

Kelner wracał. Widziałam, jak idzie w moją stronę.

Damian odchylił wargi ukazując kły. Odrzucił głowę do tyłu, aby wszyscy mieli świetny widok. Zobaczyłam, jak mięśnie jego karku napinają się, nie było więcej czasu.

Willie odwrócił się, jak gdyby zdając sobie sprawę, że pieprznie z innej strony, ale nie było czasu.

Krzyknęłam.

- Damian, nie rób tego!

Wycelowałam w jego plecy, gdzieś koło serca. Kiedy wampir ma już jakieś pięćset lat, jeden strzał w klatkę piersiową, srebrną amunicją czy nie, może nie okazać się zabójczy. Z Bożą pomocą przekonamy się, jak będzie, jeżeli ją ugryzie.

Willie sięgnął ręką w moją stronę.

- Nie rób tego, Willie. - Mówiłam serio. To, że nikomu innemu nie wolno go zabić, nie znaczy, że ja nie mogę.

Willie usiadł z powrotem na krześle.

Damian rozluźnił się na tyle, aby obrócić się i spojrzeć na mnie.

Dziewczyna znalazła się przed nim niczym tarcza. Włosy nadal z boku, szyja odsłonięta... Wpatrywał się we mnie, przebiegając jednym palcem po jej nagim ciele. To było wyzwanie.

Padło na mnie nikłe światło, które stopniowo stawało się mocniejsze, gdy szłam ostrożnie w stronę dwóch schodków wiodących na parkiet.

Przeskoczenie barierki mogło wyglądać bardziej widowiskowo, ale celowanie w locie jest cholernie trudne. Prawdopodobnie mogłam trafić go zza balustrady, jednak użycie cudzego pistoletu było zbyt ryzykowne. Nie chciałam przypadkiem zastrzelić kobiety. Po zabiciu zakładnika wszyscy mają marsowe miny.

Wampirzy kelnerzy i kelnerki nie wiedzieli, co zrobić. Gdybym była przybłądą z ulicy, mogliby się

na mnie rzucić, ale ja byłam ukochaną Mistrza; sytuacja stała się delikatna. Utrzymałam ich w polu widzenia.

- Wy, cofnijcie się, potrzebuję przestrzeni, natychmiast. Zaczęli na siebie spoglądać.

- Chłopcy i dziewczęta, nie chcecie, abym czuła się przytłoczona, ruchy! - Zrobili, o co prosiłam.

Kiedy znalazłam się na tyle blisko, że byłam pewna strzału, stanęłam.

- Uwolnij ją, Damian.

- Nie stanie się jej krzywda, Anito. To tylko zabawa.

- Nie jest chętna. To niezgodne z prawem, nawet w celach rozrywkowych, więc uwolnij ją, albo odstrzelę twój cholerny łeb.

- Czy naprawdę zastrzełabyś mnie przy tylu świadkach?

- Bez problemu - powiedziałam. - Poza tym masz ponad pięćset lat.

Nie sądzę, aby jedno trafienie w głowę mogło cię zabić, przynajmniej nie na stałe. Ale będzie boleć jak cholera, może nawet zostaną blizny.

Nie chciałbyś popsuć swej ślicznej buźki, co nie? - Trzymanie jednego wyciągniętego ramienia zaczynało być męczące. Nie chodzi o to, że pistolet był ciężki, ale trudno utrzymać taką pozycję strzelecką przez dłuższy czas tak, aby ręka nie zaczęła drżeć. Chciałam tego uniknąć.

Przypatrywał mi się kilka chwil. Bardzo ostrożnie, powoli, polizał

bok jej szyi; niezwykle, zielone oczy cały czas mi się przyglądały. To było wyzwanie. Jeżeli sądził, że blefuję, wybrał nie tę dziewczynę.

Wypuściłam oddech, uspokajając ciało, mogłam usłyszeć pulsowanie krwi w uszach. Spojrzałam wzdłuż mojej ręki, pistoletu i... Zniknął.

Jego ruch był tak nagły, że mnie przestraszył. Zdjęłam palec ze spustu i wycelowałam w sufit, czekając, aż przestanie walić mi serce.

Zatrzymał się na krawędzi światła, pozostawił pustą, oczekującą kobietę. Wpatrywał się we mnie.

- Czy zamierzasz przeszkadzać w pokazach każdego wieczoru? - zapytał.

- Nie podoba mi się to - powiedziałam - ale wybierz ochotnika, a nie będę mieć z tym problemu.

- Ochotnika. - odparł, obracając się wokół własnej osi, aby przyjrzeć się widowni. Wszyscy się w

niego wpatrywali. Oblizwał wargi, ludzie zaczęli unosić ręce.

Pokręciłam głową i schowałam broń. Wzięłam kobietę za rękę.

- Uwolnij ją, Damian. - powiedziałam.

Spojrzał w tył i zrobił, o co prosiłam. Otworzyła szeroko oczy, potoczyła w koło oszalałym wzrokiem, jak ktoś wybudzony z koszmaru, który okazuje się być rzeczywistością. Poklepałam jej ramię.

- Wszystko w porządku. Teraz jesteś bezpieczna.

- Co się dzieje? Co się dzieje? - Dostrzegła Damiana i zaczęła histerycznie szlochać. Jean-Claude pojawił się na krawędzi światła.

- Nie masz czego się obawiać z naszej strony, szlachetna damo. - Z

gracją zbliżył się

do nas.

Zacząła krzyczeć.

- On ci nie zrobi krzywdy - zapewniłam. - Obiecuję. Jak masz na imię?

Nie przestawała krzyczeć. Była wyższa niż ja, ale ujęłam jej twarz w dłonie, zmuszając, by na mnie spojrzała.

- Jak masz na imię?

- Karen - wyszeptała - nazywam się Karen.

- Zejdziemy z parkietu, Karen, nikt nie zrobi ci krzywdy. Masz moje słowo. Zacząła kiwać głową, raz za razem. Oddychała tak szybko, że obawiałam się, czy nie

straci przytomności.

Cassandra weszła w blask reflektora, ale zachowała dystans. - Mogę pomóc?

Jean-Claude nie drgnął, od kiedy Karen zaczęła krzyczeć. Po prostu patrzył na mnie, nie mogłam nic wyczytać z jego twarzy.

- Taa - mruknęłam - pomoc mile widziana. Karen odsunęła się od niej.

- Ona nie jest wampirem - powiedziałam.

Pozwoliła Cassandrze wziąć się pod drugą rękę i wyprowadziłyśmy ją z parkietu, oddaliśmy się od światła. Jean-Claude stanął na środku sceny, jego głos podążył za nami w mrok.

- Czy podobał wam się nasz mały melodramat? - Zapadła pełna zmieszania cisza. Jego głos niczym futro owijał ludzi stojących w ciemnościach, odsuwając lęk, na nowo budząc pożądanie.

- W Danse Macabre nie poprzestajemy na drażnieniu widza. Kto chciałby doświadczyć pocałunku Damiana?

Ktoś mu się zgłosi. Zawsze tak jest. Jeżeli ktokolwiek mógł ocalić pokaz po histerii kobiety, to właśnie Jean-Claude.

Liv zbliżyła się, aby pomóc, tak sędzę. Karen rzuciła okiem na umię-

śnione ciało wampirzycy i straciła przytomność. Zaskoczyła tym za-równo Cassandrę jak i mnie, a nie była małą kobietą. Osunęła się na podłogę. Liv chciała podejść, ale machnęłam, żeby odeszła.

Jakaś kobieta z tłumu przysunęła się do nas niepewnie.

- Mogę pomóc? - zapytała. Była prawie takich rozmiarów jak Cassandra i ja - mała. Miała długie, proste, rudawe, sięgające talii włosy.

Ubrana była w brązowe eleganckie, lniane spodnie. Górną część stroju stanowiła tylko kamizelka pod którą miała jedwabną bluzkę na ramionach.

Spojrzałam na Cassandrę. Wzruszyła ramionami.

- Dzięki, możesz wziąć za nogi.

Cassandra dałaby radę zarzucić kobietę na ramiona i nieść ją w chwycie strażackim, ale większość lykantropów nie lubi pokazywać siły. Ja też mogłam ją ponieść, nawet jeżeli była tak cholernie wysoka.

Mogłabym przenieść ją na niewielką odległość, ale nie szybko i niezbyt daleko.

Kobieta włożyła swoją kopertówkę pod ramię i podniosła nogi nieprzytomnej dziewczyny. Szliśmy trochę niezgrabnie, ale jakoś udało nam się zgrać. Cassandra zaprowadziła nas do damskiej toalety, ale to słowo nie oddawało w pełni charakteru pomieszczenia. W przedniej części znajdowała się kanapa i oświetlona toaletka. Wszystko było w czerni i bieli, na ścianie widniał fresk wykonany na podstawie znanego mi drzeworytu zatytułowanego „Diabelski kochanek”. Diabeł w tej wersji był podejrzanie podobny do Jean-Claude'a, wątpiłam w przypadkowość tego faktu.

Położyliśmy Karen na czarnej kanapie. Kobieta, która nam pomogła bez prośzenia, zmoczyła kilka papierowych ręczników. Położyłam je na czole i karku nieprzytomnej dziewczyny.

- Dzięki - powiedziałam.

- Czy nic jej nie będzie? - spytała kobieta.

Nie odpowiedziałam, bo to zależało od Damiana.

- Jak się nazywasz? Uśmiechnęła się nieśmiało. -Anabelle Smith.

Odwzajemniłam uśmiech.

-Anita Blake. To jest Cassandra. - Zdałam sobie sprawę, że nie znam jej nazwiska. Jean-Claude zawsze nazywał swoje wilki po imieniu, niczym zwierzęta domowe. -Przepraszam, nie wiem jak masz na nazwisko.

- Wystarczy Cassandra. - Podała Anabelle dłoń. Uśmiechnęły się do siebie.

- Czy powinniśmy zawiadomić policję o tym zajściu? - spytała Anabelle. - Znaczy się, ten wampir działał wbrew jej woli. To nielegalne, prawda?

Karen z jękiem poruszyła się na kanapie.

- Taa, to wbrew prawu - odparłam.

Anabelle zwróciła uwagę na interesującą kwestię. Mogłam donieść o tym glinom. Jeśli wniesiono trzy skargi na wampira, można było postarać się o wydanie wyroku śmierci, jeśli znało się odpowiedniego sędzię. Porozmawiam najpierw z Jean-Claude'm i Damianem, ale jeżeli nie otrzymam właściwej odpowiedzi, może zwrócę się do policji. Po-kręciłam głową.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Szkoda gadać - odpowiedziałam.

Drzwi łazienki otworzyły się. Weszła Raina, ubrana w kremową sukienkę - tak krótką, jak moja. Czarne rajstopy i szpilki sprawiały, że jej nogi zdawały się niemożliwie długie. Miała na sobie futrzaną kurtkę w kolorze przykurzonej czerwieni, prawdopodobnie lisie futro. To jedyny zwierzołak, jakiego spotkałam, noszący prawdziwe futro. Takie, które nie było jej własnym.

Kasztanowe włosy miała upięte na czubku głowy w delikatny kok.

Luźne pasma zakręcono artystycznie w loki wokół twarzy i karku.

Karen wybrała ten moment, aby odzyskać przytomność. Nie byłam pewna, czy spodoba jej się pobudka. Mi się nie podobała.

Podniosłam się. Cassandra stanęła przede mną, trochę z boku, nie blokowała mnie, ale znajdowała się bliżej zagrożenia niż ja. Nie przy-zwyczajam się do posiadania ochroniarza. To było dziwne. Umiałam o sobie zadbać. I to właśnie się liczy, mam rację?

- Co się dzieje? - spytała Anabelle.

Karen rozglądała się dookoła, jej oczy znowu wypełnił strach.

- Gdzie jestem?

- Anabelle, czy mogę cię prosić, żebyś posiedziała z Karen? -

Uśmiechnęłam się, pytając, ale nie spuściłam oczu z Rainy. Drzwi za nią zamknęły się, nie pozostało wiele miejsca na manewry, naprawdę.

Jeśli Cassandra mogła powstrzymać ją choćby na kilka sekund, zdąży-

łabym wyjąć broń, ale jakoś nie wydawało mi się, że Raina przyszła walczyć. Myślę, że założyłaby inne buty.

Anabelle dosłownie siedziała na kanapie, trzymając Karen za rękę.

Ale nadal się nam przyglądała. Cholera, to mogło być lepsze widowisko, niż to za drzwiami.

- Czego chcesz, Raina? - spytałam.

Jej wyszminkowane usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, obnażając małe, równe, białe zęby.

- To damska toaleta, czyż nie? Przyszłam przypudrować nos. I zobaczyć, jak ma się nasz przerażony gość.

Zrobiła dwa kroki w naszą stronę, Cassandra stanęła jej na drodze.

Raina spojrzała na nią miażdżącym wzrokiem.

- Zapominasz się, wilku. - W jej głosie dało się wyczuć niskie warczenie.

- W żadnym wypadku - powiedziała Cassandra.

- Zatem zejdz mi z drogi - warknęła.

- Co miałaś na myśli mówiąc „nasz gość”? - spytałam. Uśmiechnęła się do mnie.

- Jestem współniczką Jean-Claude'a w tym małym przedsięwzięciu.

Nie wspominał ci o tym? - Z jej twarzy dało się wyczytać, że zna odpowiedź i sprawia jej to radość.

- Zdaje się, że to mu umknęło - odparłam. - Skoro tak, dlaczego nie jesteś częścią widowiska?

- Jestem dyskretnym współnikiem - powiedziała. Przepchnęła się obok Cassandry, ocierając się o mniejszą kobietę. Uklękła koło kanapy.

- Jak się masz moja droga?

- Po prostu chcę iść do domu - wyjąkała Karen.

- Oczywiście, że chcesz. - Spojrzała na nią z uśmiechem. - Jeśli któraś z was mogłaby mi pomóc postawić ją na nogi, na zewnątrz czeka taksówka, która zabierze ją dokądkolwiek sobie zażyczy.

Naturalnie na koszt klubu. A może wolałabyś wrócić z przyjaciółmi?

Karen pokręciła przecząco głową.

- Nie są moimi przyjaciółmi.

- Mądrze z twojej strony, że zdałaś sobie z tego sprawę - powiedziała Raina. - Tak wiele osób pokłada zaufanie w nieodpowiednich ludziach.

- Wpatrywała się we mnie, kiedy dodała na koniec: - I staje im się krzywda, albo coś gorszego.

Anabelle odsunęła się od Rainy. Wpatrywała się w nas, ściskając swoją torebkę. Nie wydaje mi się, aby zrozumiała wszystko, co zostało powiedziane, ale niewątpliwie nie bawiła się dobrze. Jeden dobry uczynek i już spotykała ją kara.

- Możesz wstać? Czemu mi nie pomożesz? - Raina zwróciła się do Anabelle.

- Nie, niech zrobi to Cassandra - powiedziałam.

- Obawiasz się, że mogłabym zjeść twoją nową przyjaciółkę?

Uśmiechnęłam się.

- Zjesz cokolwiek, co nie jest w stanie uciec. Wszyscy o tym wiemy.

- Jej twarz stężała, bursztynowe oczy zapłonęły gniewem.

- Ostatecznie przekonamy się kto, co zje, Anito. - Pomogła kobiecie wstać.

- Jean-Claude powiedział mi, że mam cię ochraniać - wyszeptała Cassandra.

- Upewnij się, że naprawdę wsiądziesz do taksówki, która zabierze ją do domu. Potem możesz za mną chodzić przez resztę wieczoru, dobrze?

Cassandra skinęła głową.

- Jean-Claude'owi to się nie spodoba.

- W obecnej chwili ja też nie jestem z niego zadowolona.

- Trochę pomocy - powiedziała Raina.

Cassandra westchnęła, ale wzięła Karen pod drugie ramię i razem pomogły jej wyjść.

- Co tu się stało? - zapytała Anabelle.

Odwrociłam się do oświetlonego lustra, oparłam ręce o blat toaletki.

Pokręciłam

głową.

- To długa historia, a im mniej wiesz, tym będziesz bezpieczniejsza.

- Muszę wyznać, że mam ukryty motyw. - Obserwowałam jej odbicie w lustrze; wyglądała na zażenowaną. - Nie pomogłam z czystej dobroci serca. Jestem dziennikarką, pracuję jako wolny strzelec. Zacytowanie Egzekutorki naprawdę pomogłoby mi się wybić. Znaczy się, mogłabym wyznaczyć stawkę, szczególnie jeśli wyjaśniłabyś mi, co właśnie zaszło.

Zwiesiłam głowę.

- Reporter. Tego mi było trzeba. - Anabelle stanęła za mną.

- To na parkiecie wydarzyło się na poważnie, prawda? Ten wampir, Damian, czy tak? On naprawdę zamierzał to z nią zrobić, właśnie tam, jako część występu.

Obserwowałam jej twarz w lustrze. Rozsadzało ją podniecenie.

Chciała mnie dotknąć. Jej ręce drżały z podekscytowania. To była świetna historia, jeżeli tylko ją potwierdzę. Nie wyszłoby to JeanClaude'owi na dobre.

Coś przemknęło przez oczy Anabelle. Zniknęła z nich część blasku.

Kilka rzeczy zdarzyło się prawie jednocześnie. Anabelle wyszarpnę-

ła moją torebkę, pasek urwał się, cofnęła się o krok i wyjęła pistolet z kabury wewnątrz spodni, zamaskowanej kamizelką. Drzwi się otworzy-

ły i trzy roześmiane kobiety weszły do pomieszczenia. Jedna z nich krzyknęła.

Anabelle na ułamek sekundy spojrzała w tamtym kierunku. Wyjęłam nóż i odwróciłam się w jej stronę. Nie spróbowałam przejść tych dwóch kroków, które nas dzieliły. Uklęknęłam na jedno kolano i rzuciłam się prosto na nią, dźgając nożem. Wbiłam go w jej brzuch. Pistolet poruszył się w moim kierunku. Zablokowałam ruch lewą ręką. Niekontrolowany strzał rozbił lustro. Cięłam w górę, tuż pod mostkiem, wbiłam broń jak najgłębiej, aż rękojeść dotknęła ciała i kości, poruszyłam ostrzem do góry i na boki.

Jej ręka zadrżała konwulsyjnie na spuście, padł kolejny strzał; trafił

w dywan. Tłumik sprawił, że każdy wystrzał zdawał się przyciszony, niemal rozczarowujący.

Opadła na kolana - oczy szeroko otwarte, usta poruszające się niemo.

Zabrałam jej pistolet. Mrugnęła, w jej oczach było niedowierzenie, potem nagle upadła, jakby podtrzymujące ją sznureczki zostały przecięte.

Drgnęła dwa razy i umarła.

Edward stał w drzwiach z wycelowanym pistoletem w ręku. Patrzył

na zmianę to na mnie, to na zwłoki. Zauważył nóż nadal sterczący z jej klatki piersiowej, pistolet z tłumikiem w moich dłoniach. Rozluźnił się, opuścił broń.

- Dobry ze mnie ochroniarz, nie ma co. Pozwoliłem, aby sprzątnęli cię w damskiej toalecie.

Wpatrywałam się w niego. Czułam się odrętwiała, nieobecna z szoku.

- Prawie jej się udało - powiedziałam.

- Prawie. Prawie robi wielką różnicę.

Usłyszałam męskie głosy krzyczące: Policja! Niech nikt się nie rusza. Wchodzimy.

- Cholera - powiedziałam miękko i z uczuciem. Położyłam pistolet Anabelle obok jej ciała i usiadłam na dywanie. Nie byłam pewna, czy dam radę wstać.

Edward schował broń i odsunął się od drzwi, aby wmieszać się w tłum pchający się do przodu, aby zobaczyć, co się stało. Po prostu kolejna część anonimowego zbiorowiska. Taa, jasne.

Siedziałam obok zwłok i próbowałam wymyślić, co powiedzieć policji. Nie byłam pewna, czy w obecnej sytuacji mówienie prawdy wchodzi w grę. Zaczęłam się zastanawiać, czy zobaczę dziś wnętrze więzienia. Patrząc na krew wsiąkającą w kamizelkę Anabelle, uznałam to za całkiem prawdopodobne.

Rozdział 17

Siedziałam w biurze Jean-Claude'a, w klubie *Danse Macabre*. Dłonie miałam skute kajdankami. Nie pozwolili mi nawet splukać krwi z prawej ręki; wysychała, ale nadal była klejąca. Przyzwyczyłam się do zaschniętej posoki na ciele, ale mimo wszystko, wciąż było to niewygodne.

Mundurowi zabrali mi noże i seecampa z torebki, ale przeoczyli du-

ży nóż w pochwie na kręgosłupie. Przeszukiwanie było do kitu, skoro nie znaleźli noża dłuższego niż moje przedramię, ale facet, który to ro-bił, od razu założył, że jestem jedną z ofiar. Wstrząsnęło nim, gdy dowiedział się, że ta ładna, mała kobieta jest mordercą. Och, przepraszam, domniemanym mordercą.

Biuro miało białe ściany, czarny dywan, biurko, które wyglądało na wyrzeźbione z hebanu. Znajdował się tam czerwony, lakierowany pa-rawan z czarnym konturem zamku na szczycie góry o tym samym kolorze. W ramie na najdalszej ścianie wisiało kimono, szkarłatne w czarne i błękitne

wzory. W dwóch mniejszych ramkach były wachlarze: jeden, biało-czarny z czymś, co wyglądało jak namalowana ceremonia parzenia herbaty, drugi, niebiesko-biały ze stadem żurawi. Bardziej podobał mi się ten z ptakami, miałam dużo czasu, żeby się zdecydować.

Przez cały czas siedział ze mną przynajmniej jeden policjant. Obecnie pili kawę, mi niczego nie oferując. Młodszy mundurowy chciał

mnie rozkuć, ale jego partner zagroził, że jeśli to zrobi, spuści mu łomot. Ten drugi był siwy, miał puste i zimne oczy, takie jak Edwarda.

Nazywał się Rizzo. Patrząc na niego, byłam zadowolona, że położyłam broń palną na podłodze, zanim wszedł do pokoju.

Można by zapytać, dlaczego nie przesłuchiowano mnie na posterunku? Odpowiedź: media się na nas uwzięły. Czterech mundurowych wystarczało, by kontrolować ruch uliczny i powstrzymywać dziennikarzy od oblegania kogokolwiek - dopóki nie wyczuli zapachu rozchodzącej się historii. Nagle, jak grzyby po deszczu, wszędzie wyrosły kamery i mikrofony. Funkcjonariusze wezwali wsparcie i zabarykadowali miejsce zbrodni oraz biuro. Wszystko inne przedostało się do mediów.

Zbliżał się do mnie oficer z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Detektyw Greeley miał prawie sześć stóp wzrostu i szerokie bary. Najczarniejsi ludzie nie są naprawdę czarni, ale Greeley był tego bliski. Jego krótko ścięte, siwiejące włosy wyglądały jak wełna. Ciemne oczy były neutralne, tajemnicze, jak u gliny. Spojrzenie mówiło, że widział już wszystko, co tam pozostało, ale nie był pod wrażeniem żadnej z tych rzeczy. Na pewno nie był pod moim wrażeniem. Wyglądał na znudzonego, ale ja wiedziałam, co to znaczy. Dolph zachowywał się tak samo, zanim naskoczył na kogoś i nie zostawił na nim i jego alibi suchej nitki.

Ponieważ go nie miałam, nie martwiłam się o to. Chciałam opowiedzieć im moją historię, zanim odczytali mi moje prawa. Po tym jak dowiedziałam się, co mogę, mówiłam tylko, że potrzebuję mojego prawnika.

Nawet dla siebie zaczynałam brzmieć jak zepsute nagranie.

Detektyw przesunął fotel tak, żeby być ze mną twarzą w twarz. Nawet przykucnął, próbując w ten sposób wyglądać mniej przerażająco.

- Kiedy przyprawimy tu prawnika, nie będziemy już mogli ci pomóc, Anito - powiedział Greeley.

Nie znał mnie na tyle dobrze, żeby mówić do mnie na *ty*, ale dałam sobie z tym spokój. Udawał mojego przyjaciela, wiedziałam o tym.

Gliniarze nigdy nimi nie są, jeśli podejrzewają cię o morderstwo. Konflikt interesów.

- To jednoznacznie wygląda na samoobronę. Powiedz mi, co się sta-

ło, a założę się, że dobijemy targu.

- Chcę mojego prawnika - odpowiedziałam.

- Po zaangażowaniu go umowa jest nieważna.

- Nie masz uprawnień do jej składania - odcięłam się. - Chcę mojego prawnika.

Skóra wokół jego oczu się naprężyła. Poza tym wyglądał tak samo, był niewzruszony. Ale i tak wiem, że go wkurzyłam.

Drzwi do biura się otworzyły. Greeley spojrział w górę, gotowy wściec się na tego, kto mu przerwał. Dolph wszedł do środka, machając odznaką. Szybko spojrział na mnie, potem spokojnie skierował wzrok w stronę Greeley'a. Detektyw wstał.

- Przepraszam, Anito. Zaraz wracam.

Zdobył się nawet na przyjazny uśmiech.. Wkładał dużo wysiłku w swoje działania i dlatego było mi prawie wstyd, że tego nie kupowałam.

Poza tym, gdyby był przyjaźnie nastawiony, zdjąłby mi kajdanki.

Greeley próbował zmusić Dolpha do zrobienia kroku w tył, by porozmawiać na zewnątrz, ale ten potrząsnął głową.

- Biuro jest bezpieczne. Reszta klubu nie.

- Co to ma znaczyć? - Zapytał Greeley.

- Oznacza to, że miejsce zbrodni, łącznie z ofiarą, jest teraz najbardziej pożądaną rzeczą w telewizji. Zabroniłeś rozmawiać z prasą, więc już są spekulacje. Wampiry w amoku, oto jedno z nich.

- Chcesz, żebym oświadczył mediom, że kobieta związana z oddzia-

łem policji jest oskarżona o morderstwo?

- Masz trzech świadków i wszyscy mówią, że pani Smith jako pierwsza wyciągnęła broń. To była samoobrona.

- O tym zadecyduje asystent prokuratora okręgowego - powiedział

Greeley.

Zabawne, kiedy rozmawiał ze mną, mógł zawierać umowy. Ponieważ rozmawiał z innym gliną, tylko pieprzony asystent miał takie prawa.

- Zadzwoń do nich - powiedział Dolph.

- Właśnie tak chcesz ją uwolnić? - Zapytał Greeley.

- Złóż oświadczenie po tym, jak sprowadzimy ją i jej prawnika na posterunek. Greeley parsknął.

- Taa... Ona naprawdę zawzięła się w sprawie tego adwokata.

- Porozmawiaj z prasą, Greeley.

- I co im powiem?

- To, że wampiry nie są w to zaangażowane. Morderstwo nie zostało popełnione w umówionym czasie, dlatego też jego miejscem było *Danse Macabre*.

Greeley spojrział na mnie.

- Chcę ją tu widzieć, kiedy wrócę, Storr. Żadnych zniknięć.

- Oboje tu będziemy.

Greeley spiorunował mnie wzrokiem. W ciągu sekundy jego oczy wypełniły frustracja i gniew. Przyjazna maska zniknęła.

- Zobaczymy. Może i chęć, żebyś brał w tym udział, ale to jest sprawa o zabójstwo, czyli moja sprawa. - Wskazał Dolpha palcem. - Nie spieprz tego.

Greeley przecisnął się obok niego i zatrzasnął za sobą drzwi. Cisza w pokoju była wystarczająco gęsta, by móc po niej chodzić.

Dolph przeniósł krzesło stojące przed biurkiem obok mnie, naprzeciwko miejsca, w którym siedziałam. Splótł swoje wielkie dłonie i wpatrywał się we mnie. Ja starannie omijałam go wzrokiem.

- Trzy kobiety mówią, że to pani Smith pierwsza wyciągnęła broń.

Zabrała twoją torebkę, więc musiała wiedzieć, gdzie ona jest - powiedział.

- Machałam nią za wiele razy tej nocy. Moja wina.

- Słyszałem o tobie dołączającej do tego przedstawienia. Co się sta-

ło?

- Pozwoliłam sobie dać małe przedstawienie. Kobieta nie chciała uczestniczyć w pokazie na scenie. To było nielegalne wykorzystywanie nadnaturalnych mocy do zmuszania każdego, by robił coś, czego nie chce robić.

- Nie jesteś policjantką, Anito.

To był pierwszy raz, kiedy mi o tym przypomniał. Zazwyczaj Dolph traktował mnie jak jednego ze

swoich ludzi. Nawet zachęcał mnie, abym po prostu mówiła, że jestem z jego oddziałem, więc brali mnie za detektywa.

- Wykopujesz mnie z wydziału, Dolph?

Żołądek mi się zacisnął, kiedy o to pytałam. Ceniłam współpracę z policją. Dolpha, Zerbrowskiego i resztę chłopaków. Bolałoby bardziej, gdybym musiała przyznać, że dopuściłam do straty tego wszystkiego.

- Dwa ciała w dwa dni, Anito, oboje to normalni ludzie. Byłoby za dużo tłumaczenia w dowództwie.

- A gdyby byli wampirami albo innymi odrażającymi stworami?

Każdy może patrzeć na to z innej strony, czy tak?

- Szukanie pretekstu do awantury ze mną nie jest teraz najlepszym pomysłem, Anito.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez sekundę, może dwie. Pierwsza odwróciłam wzrok i kiwnęłam głową.

- Dlaczego tu jesteś, Dolph?

- Muszę uporać się z mediami.

- Ale pozwalasz Greeley'owi rozmawiać z prasą.

- Bo musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Jego głos był spokojny, ale z napięciem wokół oczu i sposobu, w jaki trzymał ramiona, wiedziałam, że jest zły. Nie mogłam go za to winić.

- Co chciałbyś usłyszeć? - Zapytałam.

- Najlepiej całą prawdę - odpowiedział.

- Myślę, że najpierw potrzebuję prawnika.

Nie będę wylewna tylko dlatego, że Dolph jest moim przyjacielem.

To wciąż policjant, a ja kogoś zabiłam.

Oczy Dolpha się zwęziły. Zwrócił się do mundurowego, stojącego nieruchomo przy ścianie.

- Rizzo, przynieś kawy, dla mnie czarną. Czego potrzebujesz do swojej? Kawa nadchodziła. Ale dodatków trzeba było poszukać.

- Dwie kostki cukru i jedną śmietankę.

- Weź też coś dla siebie, Rizzo. I nie spiesz się. Oficer Rizzo odepchnął się od ściany.

- Jesteś tego pewien, sierżancie Storr?

Dolph spojrzał na niego, tylko spojrzał. Rizzo wyciągnął ręce w geście obronnym.

- Po prostu nie chcę, żeby Greeley zjechał mi dupę za to, że zostawiłem was dwoje samych.

- Przynies kawę, oficerze Rizzo. Nie chcę żeby wystygła.

Rizzo wyszedł kręcąc głową, prawdopodobnie przez głupotę policjantów w cywilu. Kiedy zostaliśmy sami, Dolph powiedział:

- Odwróć się.

Wstałam i podałam mu rękę. Rozkuł mnie, ale ponownie nie przeszukał. Prawdopodobnie założył, że zrobił to Rizzo. Nie powiedziałam mu o nożu, którego nie zauważyli, bo nie mogłam pozwolić, żeby gliny odebrały mi całą broń. Poza tym, dzisiejszej nocy nie chciałam być zupełnie bezbronna.

Usiadłam z powrotem, opierając się chęci potarcia z ulgą nadgarstków. Byłam przecież zabójcą wampirów. Nic nie mogło mnie zranić.

- Porozmawiaj ze mną, Anito.

- Prywatnie?

Spojrzał na mnie oczyma, z których nie dało się nic wyczytać, oczyma dobrego gliny.

- Powinienem powiedzieć „nie”.

- Ale... - ciągnęłam go za język.

- Prywatnie, powiedz mi.

I tak zrobiłam. W opowieści zmieniałam jedną rzecz: że to anonim powiadomił mnie o zleceniu na mnie. Wszystko inne było absolutną prawdą. Myślałam, że Dolph będzie się cieszył, ale tak nie było.

- I nie wiesz, dlaczego ktoś chciałby dawać zlecenie na ciebie?

- Dla takich pieniędzy, z limitem czasu na wykonanie roboty, nie.

Wpatrywał się na mnie, jakby chciał ocenić, ile prawdy jest w tym, co mówię.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam wcześniej o anonimowych telefo-nach? Włożył duży nacisk w słowo „anonimowy”.

Wzruszyłam ramionami. - Myślę, że z przyzwyczajenia.

- Nie, zrobiłaś to na pokaz. Zamiast się ukryć, przysłaś tu i zgrywa-

łaś przynętę. Mogłaś doprowadzić do tego, że wielu ludzi byłoby ran-nych, gdyby zabójca użył bomby.

- Nie użyła bomby, ale siebie.

Wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. Gdybym nie zna-

ła go tak dobrze, powiedziałabym, że liczył do dziesięciu.

- Miałaś szczęście - westchnął.

- Wiem.

Dolph wpatrywał się we mnie. - Niemal cię miała.

- Gdyby te kobiety wtedy nie weszły, nie rozmawiałabym tu teraz z tobą.

- Nie wyglądasz na zmartwioną.

- Ona nie żyje. Ja tak. Czym mam się martwić?

- Anita, dla takiej sumy pieniędzy jutro będzie ktoś inny.

- Jest po północy, a ja nadal żyję. Może umowa zostanie anulowana.

- Dlaczego ustanowili limit czasowy?

Potrząsnęłam głową. - Gdybym wiedziała, mogłabym się domyślić, kto dał na mnie zlecenie.

- A jeśli dowiesz się, kto wyłożył pieniądze, co zrobisz? - Zapytał.

Spojrzałam na niego. Prywatnie czy nie, Dolph wciąż był policjantem. I traktował swoją pracę bardzo poważnie.- Przekażę ci kto to.

- Chcę w to wierzyć, Anito, naprawdę.

Otworzyłam szeroko oczy, wyglądałam naprawdę niewinnie. - Co masz na myśli?

- Odpowiedziałaś mechanicznie. Znam cię zbyt dobrze i potrafię wyczuć kłamstwo.

- Okej, ale oboje wiemy, że dopóki w grę wchodzi pieniądze, zabójcy zawsze się znajdują. Jestem

dobra, Dolph, ale nie aż tak. Ostatecznie mogą mnie zostawić w spokoju, jeśli nie będzie pieniędzy. Nie ma złecenia, nie ma zabójców.

Gapiliśmy się na siebie.

- Możemy wysłać cię tam, gdzie będziesz chroniona - powiedział

Dolph.

- Na jak długo? Na zawsze? - Potrząsnęłam głową.- Poza tym następny zabójca może użyć bomby. Chcesz ryzykować życie swoich ludzi? Ja nie.

- Więc chcesz polować na zleceniodawcę i zabić go.

- Tego nie powiedziałam, Dolph.

- Ale to planujesz.

- Więcej o to nie pytaj. Odpowiedź się nie zmienia. Wstał, ręce położył na oparciu krzesła.

- Nie przekraczaj granicy, Anito. Jestem twoim przyjacielem, lecz policjantem przede wszystkim.

- Cenię sobie naszą przyjaźń, ale o wiele bardziej moje i wasze życie.

- Myślisz, że sam sobie nie poradzę?

- Myślę, że jesteś gliną i postępujesz według pewnych zasad. Postępowanie z profesjonalnymi zabójcami może doprowadzić do tego, że cię zabiją.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Otwarte - powiedział Dolph.

Rizzo wszedł z okrągłą tacą i trzema smukłymi, czarnymi kubkami z porcelany. W każdym z nich było jedno małe, czerwone mieszadełko do kawy. Rizzo spojrzał na Dolpha, później na mnie. Wpatrywał się w moje rozkute ręce, ale nic nie powiedział. Położył tacę na biurku tak daleko, żebym nie mogła jej dosięgnąć. Oficer Rizzo wyglądał jak dwudziestoletni, nieufny mężczyzna i wciąż traktował mnie jak bardzo niebezpieczną osobę. Wątpiłam, że odwróciłby się w stronę Anabelle plecami.

Gdyby Anabelle nie złapała mnie za torebkę, mogłaby zastrzelić mnie od tyłu. No tak, zobaczyłabym to w lustrze, ale w żadnym wypadku nie udałoby mi się wyjąć broni na czas. Nigdy nie pozwoliłabym człowiekowi, nie wiadomo jak przyjaznemu i pomocnemu, podejść tak blisko mnie, jak zrobiła to Anabelle. Popełniłam błąd, ten sam, który ludzie popełniają ze mną. Zobaczyłam małą, ładną kobietę i nie doceni-

łam jej. Zachowałam się jak żeńska, szowinistyczna świnia. I o mały włos, a doprowadziłoby mnie to do zguby.

Dolph podał mi kubek, w którym była najjaśniejsza kawa. Nadzieja, że ta śmietanka była prawdziwa, musiała okazać się płonną. Ale i tak wyglądało doskonale. Nigdy nie spotkałam kawy, która nie byłaby cudowna. Wszystko zależało tylko od tego, jak bardzo cudowna. Wzięłam niepewny łyk parującego płynu i zrobiłam pełne uznania „mmm”. To była prawdziwa kawa i prawdziwa śmietanka.

- Cieszę się, że ci smakuje - powiedział Rizzo. Spojrzałam na niego.

- Dziękuję, oficerze. Prychnął i znów oparł się o ścianę, jak wcześniej.

- Rozmawiałem z Tedem Forresterem, twoim ulubionym łowcą na-gród. Broń z twojej torebki jest zarejestrowana na niego. - Dolph usiadł

z powrotem, dmuchając na swoją kawę.

Ted Forrester to jeden z pseudonimów Edwarda. Powstał na potrzebę kontroli policyjnej, kiedy wylądowaliśmy z ciałami na ziemi. Był, o ile policja wiedziała, łowcą nagród specjalizującym się w istotach nadnaturalnych.

Większość łowców nagród przebywała w zachodnich stanach, gdzie za zmiennokształtnych dostawało się premię. Nie wszyscy z nich uwa-

żali, że ci, których zabijali byli zagrożeniem dla kogokolwiek. Jedynym kryterium w niektórych stanach było pośmiertne stwierdzenie, czy był

on lykantropem. Badanie krwi w większości przypadków wystarczało, ale Wyoming myślało o zmianie prawa z powodu trzech bezprawnych śmierci, które trafiły do ich stanowego sądu najwyższego.

- Potrzebowałam pistoletu wystarczająco małego, by zmieścił się w torebce, ale z mocą czegoś większego - powiedziałam.

- Nie lubię łowców nagród, Anito. Nadużywają prawa.

Popijałam kawę i siedziałam cicho. Jeśli wiedział, jak bardzo Edward nadużywał prawa, to mógł go zamknąć na długi, długi czas.

- Jeśli jest wystarczająco dobrym przyjacielem, to wpłaci za ciebie kaucję i wyciągnie stąd twój tyłek. Dlaczego nie wspomniałaś o nim wcześniej? Nie wiedziałem, że w ogóle istnieje, dopóki nie wpakowałaś się ostatnio w te kłopoty z kłusownikami zmiennokształtnych.

- Kłusownikami - powtórzyłam i potrząsnęłam głową.

- Co się stało? - Zapytał Dolph.

- Zabijają zmiennokształtnych i jest kłusownictwo, a gdy giną normalni ludzie nazywają to morderstwem.

- Teraz sympatyzujesz z potworami, Anito? - Zapytał.

Jego głos był jeszcze cichszy, więc mogłeś pomylić to ze spokojem, ale to nie to. Był zły.

- Jesteś wściekły w związku z czymś innym niż liczba ciał - stwierdziłam.

- Związałaś się z Mistrzem Miasta. Czy to dlatego dostajesz te wszystkie wewnętrzne informacje związane z potworami?

Zrobiłam głęboki wdech i wypuściłam powietrze. - Czasami.

- Powinnaś była mi powiedzieć.

- Od kiedy to moje życie osobiste jest interesem policji? Wpatrywał się we mnie.

Spuściłam wzrok na ręce, trzymające kubek z kawą. W końcu spojrzałam w górę. Popatrzyłam mu w oczy, ale był twardszy niż chciałam, żeby był.

- Co chcesz usłyszeć, Dolph? Że uważam za żenujący fakt, że mój chłopak jest potworem? Jest.

- Więc go rzuć.

- Gdyby to było takie proste, uwierz mi, zrobiłabym to.

- Jak mogę zaufać tobie i twojej pracy, Anito? Sypiasz z wrogiem.

- Dlaczego wszyscy zakładają, że z nim sypiam? Czy nikt z wyjątkiem mnie nie chodzi na randki i nie uprawia na nich seksu?

- Przepraszam za przypuszczenia, ale sama musisz przyznać, że wielu ludzi myśli tak samo.

- Wiem.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Greeley. Jego oczy zwróciły uwagę na fakt, że kajdanki zostały usunięte, a w moich dłoniach pojawiła się kawa.

- Mieliście miłą pogawędkę?

- Jak twoje oświadczenie dla prasy? - Zapytał Dolph. Wzruszył ramionami.

- Powiedziałem im, że panna Blake została wstępnie przesłuchana w sprawie tych śmierci. Mówiłem również, że wampiry nie brały w nich udziału. Chyba mi nie uwierzyli. Chcieli też rozmawiać z Egzekutorką.

Chociaż większość z nich nazywała ją dziewczyną Mistrza.

Wzdrygnęłam się. Nawet w związku z moją karierą i tak kończyłam w prasie jako kobieta Jean-Claude'a. On był bardziej fotogeniczny i ciekawszy ode mnie. Dolph wstał. - Chcę zabrać stąd Anitę.

Greeley popatrzył na niego. - Nie sądzę, by był to dobry pomysł.

Dolph postawił swoją kawę na biurku i podszedł do drugiego detektywa. Zniżył swój głos, słysząc było wiele nieprzyjaznych szeptów.

Greeley potrząsnął głową. - Nie. Więcej szeptów. Greeley rzucił mi gniewne spojrzenie.

- Dobrze, ale albo sprowadzisz ją na posterunek przed nocą, albo do-biorę ci się do tyłka, sierzancie.

- Będzie tam - powiedział Dolph.

Rizzo patrzył na nas wszystkich. - Zabierasz ją stąd, ale nie na posterunek? Nawet dla mnie zabrzmiało to oskarżycielsko.

- To moja decyzja, Rizzo. Zrozumiano? - warknął.

Dolph poparł jakimś ważnym argumentem swoje stanowisko, a Greeley'owi się to nie podobało. Jeśli Rizzo chciał stać się łatwym celem na wyładowanie na nim gniewu, zgoda. Rizzo znów cofnął się pod ścianę, ale nie był z tego powodu zadowolony.

- Zrozumiałem.

- Zabierz ją stąd - powiedział Greeley. - Spróbujcie tylnym wyj-

ściem. Ale nie wiem jak wam się uda obejść kamery.

- Pójdziemy przez nie. Chodźmy, Anito. Postawiłam kubek na biurku. - Co jest, Dolph?

- Mam dla ciebie ciało do obejrzenia.

- Podejrzana o zabójstwo ma pomagać w innej sprawie? Zwierzchnictwo nie będzie wściekłe?

- Rozliczę się z tego - odparł Dolph. Popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jak? - Zapytałam.

- Nie chcesz wiedzieć - odpowiedział.

Wgapiłam się w niego, a on wpatrywał się we mnie. W końcu jako pierwsza odwróciłam wzrok. Zazwyczaj, kiedy ludzie mówili „nie chcesz wiedzieć”, było przeciwnie. Oznaczało, że wręcz musisz. Ale była garstka ludzi, którym wierzyłam na słowo. Dolph był jednym z nich.

- Okej - powiedziałam. - Chodźmy.

Pozwolił mi zmyć zaschniętą krew z dłoni i poszliśmy.

Rozdział 18

Nie byłam wielkim mówcą, jednak obok Dolpha wychodziłam na gadatliwą.

Jechaliśmy wzdłuż 270-tej, w ciszy towarzyszył nam tylko świst kół

na drodze i warczenie silnika. Dolph albo wyłączył radio, albo milczało, bo nikt dzisiaj nie popełnił żadnej zbrodni w St. Louis. Stawiałam na to, że było wyłączone. Jednym z plusów bycia dowódcą grupy specjalnej jest to, że nie musisz słuchać go przez cały czas, bo i tak większość spraw to nie twój interes. Gdyby Storr gdzieś potrzebny, zadzwoniliby na jego pager.

Próbowałam się powstrzymać. Chciałam, aby on pierwszy zaczął

rozmowę, ale po piętnastu minutach nie wytrzymałam.

- Gdzie jedziemy?

- Do Creve Coeur. Uniosłam brwi w zdumieniu.

- Mało ambitne miejsce dla potwora.

- Taa... - mruknął. Czekałam, aż powie coś jeszcze, ale nie doczekałam się.

- Cóż, dzięki za wyjaśnienia, Dolph.

Zerknął na mnie, a potem znów wlepił wzrok w drogę.

- Będziemy tam za parę minut, Anito.

- Cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną.

Jego usta zadrżały, po czym uśmiechnął się i zaśmiał krótko, obce-sowo.

- Chyba nie.

- Cieszę się, że poprawiłam nastrój - powiedziałam.

- Zawsze można się z tobą pośmiać, gdy nie zabijasz ludzi, Anito.

Nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. W swoich słowach znalazł

się bardzo blisko prawdy. W samochodzie znów zapadła cisza, ale tym razem jej nie przerwałam. Była teraz przyjemna, przyjacielska, radosna.

Dolph już się na mnie nie złościł, więc mogłam znieść trochę milczenia.

Creve Coeur było starym osiedlem, ale nie wyglądało na takie. Jego wiek zdradzały tylko domy na pochyłych działkach. Niektóre posiadały podobne podjazdy albo większe posesje. Parę domostw unowocześniło się, przez co było przy nich mniej miejsca, ale miały za to baseny, ogrody. Choć bez szczególnej przesady.

Olive jest jedną z moich ulubionych ulic. Lubię zmieszanie stacji benzynowych, cukierni, jubilerów, salonu Mercedesa i wypożyczalni filmów. Creve Coeur nie jest jakąś szykowną dzielnicą, ale można w niej znaleźć wszystko, kupić antyki, jak i też podjechać z dziećmi do Mickey-D's .

Dolph skręcił w uliczkę pomiędzy dwoma stacjami benzynowymi.

Była tak stroma, że miałam ochotę wcisnąć hamulec. On jednak nie podzielał tego pragnienia i samochód zjechał z rozpędem na dół. Cóż, policjant nie dostałby za to mandatu. Pędziliśmy wzdłuż domów, które ciągnęły się jak prawdziwe przedmieścia. Dolph wyłączył sygnał jeszcze zanim dojechaliśmy do celu. Gustowny znak głosił: „Countryside Hills”.

Radiowozy torowały wąską uliczkę, światła migotały w ciemności.

Tum gapiów wstrzymywanych przez policję wylał się na jezdnię; ludzie stali w płaszczach narzuconych na pizamy oraz w szlafrokach. Na szczęście nie było ich tak wielu. Gdy wysiedliśmy z samochodu, zauważyłam ruch firanki w domu naprzeciwko - po co wychodzić, jeśli wszystko można zobaczyć, nie ruszając się z miejsca?

Dolph przeprowadził mnie przez mundurowych i żółtą taśmę policyjną. Dom, który był w centrum zainteresowania, skrywał się za ce-glanym murem, tak wysokim, jak jego ściany, odgradzającym go od świata. Zobaczyłam nawet kutą, żelazną bramę, zakrzywioną przy wej-

ściu, w bardzo europejskim stylu. Prócz niecodziennego ogrodzenia dom sprawiał wrażenie przeciętnego. Za murem znajdowała się kamie-nista ścieżka i kwadratowa grządka z krzewami róż. Reflektor oświetlał

ogród, przez co każdy liść rzucał cienie. Ktoś przedobrzył ze światłem.

- Nawet nie potrzebuję latarki - stwierdziłam z przekąsem. Dolph zerknął na mnie.

- Więc nigdy wcześniej tu nie byłaś?

Spojrzałam mu w oczy, ale nie mogłam odczytać ich wyrazu. Patrzył

na mnie policyjnym wzrokiem.

- Nie, nigdy wcześniej tu nie byłam. A powinnam?

Bez słowa otworzył drzwi. Wpuścił mnie i podążył za mną. Zawsze był dumny z tego, że nie wpływa na swoich ludzi, pozwala im samym dojść do wniosków. Ale nawet jak na niego zachowywał się

tajemniczo.

Nie podobało mi się to.

Salon był długi, z telewizorem i sprzętem wideo na końcu. Policjanci tak wypełnili pokój, że nie miałam gdzie stanąć. Każda scena zbrodni przyciąga więcej uwagi, niż na nią zasługuje. Szczerze, zastanawiałam się, czy nie psują i nie zacierają przez to ogromnej ilości dowodów.

Sprawa z morderstwem w roli głównej zawsze tworzyła kariery, szczególnie kiedy miało się zamienić mundur na cywilne ubrania.

Znajdź poszlakę lub dowód w krytycznym momencie, zabłyśnij i ludzie cię zauważą. Morderstwo jest największą zniewagą, ostatnią najgorszą rzeczą, którą można zrobić człowiekowi. Policja to wie, może nawet lepiej od zwykłych ludzi.

Gliniarze rozstąpili się przed Dolphem, spoglądając na mnie. Prawie sami mężczyźni, dlatego po chwili zostałam zmierzona spojrzeniami od góry do dołu. No wiecie jak. Gdy facet zobaczy twarz i biust, to musi sprawdzić, czy nogi są równie zgrabne. Działa to też w drugą stronę.

Ale każdy mężczyzna, który zaczyna patrzeć na mnie od nóg, traci u mnie punkty.

Dwa krótkie korytarze odchodziły bezpośrednio od salonu, dalej znajdowała się jadalnia, następnie schody pokryte dywanem, prawdopodobnie prowadzące do piwnicy. Gliny chodziły w górę i w dół jak mrówki, z dowodami w rękach.

Dolph poprowadził mnie jednym z korytarzy i znaleźliśmy się w drugim salonie z kominkiem. Był mniejszy i bardziej zapchany, jedna ściana całkiem z cegieł, co sprawiało, że pomieszczenie wyglądało cieplej, przyjaźniej. Kuchnię widziałam przez otwarte drzwi po lewej. Pół

ściany miało prześwit, jak okno, tak, że mogłaś pracować w kuchni i jednocześnie rozmawiać z gośćmi w salonie. W domu mojego ojca też zastosowano coś takiego.

Następny pokój aż pachniał nowością. Ściany wciąż były surowe, a konstrukcja wyglądała na współczesną. Szklane, przesuwane drzwi tworzyły jedną ze ścian. Jacuzzi zajmowało prawie całą podłogę, krople wody widniały na powierzchni wanny. Wykończyli je przed pokojem.

Nie ma to jak priorytety.

Korytarz nadal wymagał uwagi, na podłodze ścieliły się folie, które budowlańcy zakładają dla ochrony. Można było przejść z niego do jeszcze większej łazienki, a na jego końcu zobaczyłam zamknięte, rzeźbione z świeżym drewnie o kolorze jasnego dębu drzwi. To pierwsze zamknięte wejście, jakie tu widziałam. Zły znak.

Prócz policjantów nie dostrzegłam tu nikogo innego. Dom sprawiał

ogólnie przyjemne wrażenie - mieszkanie średniej klasy, bardzo rodzinne. Gdybym od razu weszła w rzeź, byłoby w porządku, ale to oczekiwanie mnie zabijało. Co stało się z nową wanną i

kominkiem? Co takiego się zdarzyło, że potrzebowali mnie? Wolałam nie wiedzieć.

Chciałam odejść, zanim znów zobaczę coś przerażającego. W tym roku mój limit oglądanych ciał osiągnął szczyt.

Dolph położył dłoń na klamce. Dotknęłam jego ramienia.

- To nie dzieci, prawda? - zapytałam.

Zerknął na mnie przez ramię. Normalnie by nie odpowiedział. Rzuciłby coś w stylu: „Zobaczysz za chwilę”. Jednak tego wieczoru mruknął:

- Nie, to nie dzieci.

Wzięłam głęboki oddech przez nos i wypuściłam powoli powietrze ustami.

- Boże. - Czułam mokry tynek, świeży cement, ale pod tym, krew.

Zapach świeżo rozlanej krwi, słaby, za drzwiami. Jak pachnie krew?

Metalicznie, prawie że sztucznie. To w sumie nie zapach sam w sobie.

Zapach nie sprawi, że będzie ci niedobrze, to raczej to, co stoi za tym.

Sami wiemy po wypadkach, że krew to tylko rzecz. Bez tego byśmy umarli. Jeśli utoczmy jej z wrogów, zabieramy im życie. Jest powód, dlaczego krew łączy wszystkie religie świata. To prymitywna rzecz i zawsze ją rozpoznamy.

Dolph zawahał się, rękę wciąż trzymał na klamce. Nie patrzył na mnie, kiedy mówił.

- Powiesz mi, co o tym sądzisz, a potem będę musiał zabrać cię na posterunek. Rozumiesz?

- Rozumiem - odpowiedziałam.

- Jeśli kłamałaś w związku z czymkolwiek, Anito, powiedz mi to teraz. Dwa ciała w dwa dni, to dużo wyjaśniania.

- Nie okłamałam cię, Dolph.

Przynajmniej nie za bardzo, dodałam w myślach. Pokiwał głową, nie odwracając się, i otworzył drzwi. Wszedł pierwszy i odwrócił się, żeby widzieć, jak wchodzę do pokoju.

- Co się dzieje, Dolph? - spytałam.

- Sama zobaczysz - odparł.

Wszystko, co od razu rzuciło mi się w oczy, to szary dywan i biurko z dużym lustrem za nim. Stado mundurowych zasłaniało mi resztę. Ro-zeszli się na bok i kiwnęli na Dolpha.

Nie odwracał wzroku od mojej twarzy. Nigdy wcześniej nie był tak uczulony na moje reakcje. Zaczęłam się denerwować.

Na podłodze leżało ciało. Mężczyzna był rozkraczony, nadgarstki i kostki przybito do ziemi nożami. Miały czarne uchwyty. Leżał pośrodku wielkiego, czerwonego okręgu. Musiał mieć dużą średnicę, żeby krew nie wypłynęła poza niego. Czerwona ciecz wsiąkła w jasny dywan jak wino. Wszystko, co widziałam, to krótkie blond włosy mężczyzny.

Jego tors był nagi, uwalany we krwi, wyglądało to, jakby miał na sobie czerwony podkoszulek. Noże trzymały go w miejscu, jednak to nie one go zabiły. Nie, bezpośrednim sprawcą śmierci była dziura w jego klatce piersiowej, tuż poniżej żeber. Skojarzyło mi się to z krwawą jaskinią, w której zmieściłyby się obie ręce.

- Wyrwano mu serce - powiedziałam. Dolph spojrzał na mnie.

- Wiesz o tym z korytarza?

- Mam rację, tak?

- Jeśli chciałabyś pozabawić go serca, czemu właśnie w ten sposób?

Czemu nie jakoś prościej?

- Gdybyś chciał, żeby przeżył, jak podczas operacji, przecina się żebra i sięga się po serce trudniejszą metodą. Ale oni nie chcieli, żeby przeżył. Jeśli chcesz tylko serca, przejście pod żebrami jest prostsze.

Podeszłam do ciała. Dolph ruszył się ze mną, obserwując moją twarz.

- Co? - spytałam. Potrząsnął głową.

- Powiedz mi tylko coś o ciele, Anito. Gapiłam się na niego.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje?

- Nic.

To było kłamstwo. Coś się szykowało, ale nie wiedziałam co. Na pewno nic dobrego. Kiedy Dolph nie chce się czymś podzielić, po prostu tego nie robi.

Stało tam wielkie łóżko z fioletową, jedwabną pościelą i większą ilo-

ścią poduszek, niż potrzeba. Pościel była wymięta, jakby używano jej do czegoś innego niż spania. Na prześcieradle widniały ciemne plamy, prawie czarne.

- Czy to krew?

- Tak myślimy - odpowiedział Dolph. Zerknęłam na ciało.

- Jego?

- Jak skończysz oględziny, to je zapakujemy i wyślemy do laborato-rium. Subtelna podpowiedź, aby zabrać się za robotę.

Podeszłam bliżej ciała i starałam się zignorować Dolpha. Było to prostsze, niż myślałam, bo całą moją uwagę pochłonęły zwłoki. Im bli-

żej podchodziłam, tym więcej detali widziałam. A nie chciałam widzieć. Pod tą całą krwią znajdowała się ładnie rzeźbiona klatka piersiowa. Włosy krótko ścięte, jasne, kręcone. Ta głowa była niepokojąco znajoma. Sztylety połączone srebrnym drutem, ostrza przeszły przez ciało, połamały kości. Czerwony okrąg z pewnością wyrysowano krwią. Kabalistyczne symbole szły po jego wewnętrznej stronie, również nią zakreślone. Rozpoznałam niektóre z nich. Wystarczyło to, bym wiedziała, że mam do czynienia z jakąś formą nekromancji. Znałam znaki, które symbolizowały śmierć i te o przeciwnym znaczeniu.

Z jakiegoś powodu nie chciałam przekroczyć okręgu. Ominęłam go ostrożnie, żeby zobaczyć twarz. Moje plecy przylegały do ściany, gdy wpatrywałam się w szeroko otwarte oczy Roberta - wampira. Męża Moniki. Niedoszłego ojca.

- Cholera - zaklęłam cicho.

- Znasz go? - zapytał Dolph. Pokiwałam głową.

- Robert. Miał na imię Robert. - Symbole śmierci mają sens, kiedy składa się w ofierze wampira. Ale czemu? Dlaczego tak?

Zrobiłam krok do przodu i przerwałam krąg. Zmroziło mnie. To było jak milion robaków pełzających po i przez moje ciało. Nie mogłam oddychać. Wycofałam się z linii krwi. Uczucie zanikło. Ciągle czułam to w głowie, ale już było lepiej. Wzięłam głęboki oddech, wypuściłam powoli powietrze i znów weszłam w okrąg. Nie czułam się, jakbym uderzyła w ścianę, bardziej jak w koc, duszący, obfity w larwy koc.

Próbowałam iść dalej, przejść przez krąg, ale nie mogłam. Zatoczyłam się i gdyby nie było tam ściany, upadłabym.

Obsunęłam się po niej, aż usiadłam z podciągniętymi do siebie kolanami. Moje palce u stóp były centymetry od okręgu. Nie chciałam go znów dotknąć.

Dolph przeszedł przez okrąg, jakby go tam nie było i klęknął obok mnie; część jego ciała wciąż znajdowała się wewnątrz okręgu.

- Anito, co się dzieje? Potrząsnęłam głową.

- Nie jestem pewna. - Spojrzałam na niego. - To okrąg mocy, nie mogę przez niego przejść.

Zerknął na swoje ciało.

- Ja mogę.

- Nie jesteś animatorem. Nie jestem czarownicą i nie wiem nic o te-go rodzaju magii, ale niektóre z symboli są symbolami śmierci, a niektóre ochroną przed nią.

Gapiałam się na niego. Skóra wciąż świerzbiała mnie od przekroczenia kręgu. Nowy strach przemknął mi przez myśl.

- To jest zaklęcie zarówno, aby opanować i powstrzymać zmarłego, nie mogę go przekroczyć.

Patrzył na mnie z góry.

- Co to dokładnie oznacza, Anito?

- To znaczy - odezwał się kobiecy głos - że to nie ona stworzyła krąg.

Rozdział 19

Kobieta stała w drzwiach. Była wysoka, szczupła, ubrana w fioletowy komplet -spódnicę i żakiet, pod który włożyła męską koszulę. We-szła do pokoju tak ochoczo, że odjęłam jej z dziesięć lat. Wglądała na trzydzieści, ale nie miała tyle. Zapewne trochę ponad dwadzieścia, sprawiała wrażenie dumnej z siebie. Prawdopodobnie była mniej więcej w moim wieku, ale miała w sobie świeżość, którą ja utraciłam lata te-mu.

Dolph zaoferował mi pomocną dłoń. Pokręciłam głową. - Nie mogę jeszcze wstać, chyba, że zamierzasz mnie nosić.

- Anito, to detektyw Reynolds - powiedział. Nie wydawał się być zachwycony. Reynolds obeszła krąg tak, jak ja, ale po to, by mi się lepiej przyjrzeć. Znalazła się po

przeciwniej stronie niż Dolph. Patrzyła na mnie z góry, uśmiechnięta, ochocza. Spoglądałam na nią zadzierając głowę, moja skóra nadal drża-

ła po próbie sforsowania kręgu. Pochyliła się i wyszeptała. - Kochanie, widać, co masz pod spódnicą.

- Dlatego bielizna pasuje do stroju - odparowałam. Wyglądała na zaskoczoną.

Nie mogłam wyprostować nóg bez ponownego dotknięcia kręgu, więc jeśli chciałam przestać świecić krocem, musiałam na nich stanąć.

Wyciągnęłam rękę do Dolpha.

- Pomóż mi się podnieść, ale w żadnym razie nie pozwól, abym upadła na to coś. Detektyw Reynolds nieproszona chwyciła moje drugie ramię, ale szczerze mówiąc,

potrzebowałam asysty. Nogi miałam jak z galarety. Gdy tylko mnie dotknęła, włoski na moim ciele stanęły dęba. Wyszarpnęłam się jej i upadłabym, gdyby Dolph mnie nie podtrzymał.

- Co się stało Anito? - zapytał.

Wsparta na nim, próbowałam oddychać spokojnie i miarowo. - Nie jestem w stanie znieść teraz jakiegokolwiek magii.

- Przynies dla niej krzesło z jadalni - rzucił Dolph. Nie zwrócił się do jakiejś konkretnej osoby, ale mundurowy wyszedł, prawdopodobnie udał się po rzeczony przedmiot.

Dolph podniósł mnie. Głupio protestować, kiedy nie byłam w stanie ustać, ale czułam się jak idiotka.

- Anito, co masz na plecach? - zapytał.

Zapomniałam o ostrzu znajdującym się w pochwie umieszczonej wzdłuż kręgosłupa. Od konieczności udzielenia odpowiedzi ocalił mnie mundurowy - przyniósł krzesło.

Dolph usadził mnie na nim. - Czy detektyw Reynolds próbowała rzucić na ciebie czar? Potrząsnęłam przecząco głową.

- Niech mi ktoś wyjaśni, co właśnie zaszło.

Niezdrowy rumieniec wykwitł na białych policzkach Reynolds.

- Próbowałam zbadać jej aurę, tak jakby.

- Czemu? - spytał Dolph.

- Ze zwykłej ciekawości. Czytałam o nekromantach, ale nigdy żadnego nie spotkałam. Spojrzałam na nią. - Jeżeli chcesz dokonać jeszcze jakichś prób, detektywie, najpierw

zapytaj.

Skinęła głową, wyglądała młodziej, utraciła trochę pewności siebie. -

Przepraszam. Reynolds - powiedział Dolph. Zerknęła na niego - Tak, sir.

- Idź stanąć dalej.

Zmierzyła nas wzrokiem i skinęła głową. - Tak, sir. - Odeszła, by stanąć między innymi glinami. Próbowała zachowywać się nonszalanc-ko, ale ciągle na nas patrzyła.

- Od kiedy masz wiedźmę wśród swoich glin?

- Reynolds jest pierwszym detektywem z nadprzyrodzonymi zdolno-

ściami. Mogła sobie wybrać zadanie. Zdecydowała się dołączyć do naszego oddziału.

Byłam szczęśliwa, słysząc, że użył słowa „nasz”.

- Powiedziała, że ja nie stworzyłam kręgu. Czy naprawdę myślałeś, że zrobiłabym coś takiego? - Wskazałam ciało.

Wpatrywał się we mnie. - Nie przepadałaś za Robertem.

- Gdybym zabijała każdego, kogo nie lubię, Saint Louis byłoby usła-ne zwłokami -odparłam.- Z jakiego innego powodu ściągnęłaś mnie tutaj? To więdźma. Prawdopodobnie wie o zaklęciach więcej niż ja.

Dolph spoglądał na mnie z góry. - Wyjaśnij.

- Ożywiam zmarłych, ale nie jestem wyszkoloną wiedźmą. Większość tego, co robię, to po prostu - wzruszyłam ramionami - tak jakby naturalne umiejętności. Uczyłam się na studiach podstaw teorii magii, ale to było zaledwie kilka zajęć, więc jeżeli chcesz zasięgnąć rady eks-perta w kwestii tego szczególnego zaklęcia, ja ci nie pomogę.

- Gdyby Reynolds tu nie było, co byś zasugerowała?

- Znalezienie wiedźmy, która odczyni dla was czar.

Skinął głową. - Jakies pomysly kto i dlaczego to zrobil? - Wskazal

za siebie kciukiem, na zwłoki.

- Jean-Claude zmienil Roberta w wampira. To mocna wiez. Mysle, ze czar mial uniemozliwic mu zorientowanie sie w sytuacji.

- Czy Robert mogl zawiadomic swego mistrza z tak duzej odleglo-

sci? Zastanowilam sie nad tym. Nie mialam pewnosci. - Nie wiem. Mo-

ze. Niektorzy wampirzy mistrzowie sa sprawniejsi w telepatii od innych. Nie mam pojecia, jak dobry jest Jean-Claude.

- Takie przygotowanie miejsca troche trwało - powiedzial Dolph. -

Czemu zabijac w ten sposob?

- Dobre pytanie - odparlam. Wpadlam na okropny pomysl. - Niety-powo wykonane, ale to mogloby byc wyzwanie skierowane do JeanClaude'a, zakwestionowanie jego wladzy.

- W jaki sposob? - Dolph wyjal swój mały notatnik, trzymajac dlu-gopis w gotowosci. Prawie jak za starych, dobrych czasow.

- Robert nalezal do niego, teraz ktos go zabil. To moglaby byc wiadomosc. Rzucil okiem na zwłoki.

- Ale komu przeznaczona? Może Robert wkurzył kogoś i to osobiste porachunki. Gdyby to był komunikat dla twojego chłopaka, dlaczego nie zabić go w jednym z klubów Jean-Claude'a? Tam przecież pracował, czy tak?

Skinęłam głową. - Ktokolwiek to zrobił, nie byłby w stanie dokonać czegoś tak złożonego w klubie, gdy wokół znajdowały się inne wampiry. Nie ma mowy. Potrzebowali prywatności. Przypuszczalnie nie mogli się obejść bez czarującej, aby Jean-Claude, lub inny wampir, nie przybył

na ratunek.

Zastanowiłam się nad tym. Co tak naprawdę wiedziałam o Robertcie?

Niewiele. Dla mnie był przydupasem Jean-Claude'a. Chłopakiem Moniki, teraz mężem. Wkrótce miał zostać ojcem. Wszystko widziane i z perspektywy innych ludzi. Został zamordowany we własnej sypialni, a ja odbierałam to tylko jako wiadomość dla Jean-Claude'a. Postrzegałam go jako pacholka, ponieważ Jean-Claude tak go traktował. Nie był

wampirzym mistrzem, więc nikt nie zechciałby go zabić dla niego samego. Jeny, tak naprawdę to myślałam o nim, jak o towarze wymien-nym. Zawsze można było znaleźć coś w zastępstwie.

- Coś ci przyszło do głowy - powiedział Dolph.

- Niespecjalnie. Może za dużo czasu spędzam z wampirami. Zaczynam myśleć jak one.

- Wyjaśnij.

- Założyłam, że śmierć Roberta musiała mieć jakiś związek z jego mistrzem. Moją pierwszą myślą było to, że nikt nie zabiłby go dla niego samego, ponieważ nie był wystarczająco ważny. Znaczący, zabicie Roberta nie da ci pozycji Mistrza Miasta, więc po co to robić?

Dolph spojrział na mnie. - Zaczynasz mnie martwić Anito.

- Martwić, dobre sobie - powiedziałam. - Zaczynam bać się sama siebie. Spróbowałam spojrzeć na miejsce zbrodni z nowego punktu widzenia, nie jak wampir.

Kto zadałby sobie tyle trudu, aby zlikwidować Roberta? Nie miałam bladego pojęcia.

- Poza wyzwaniem skierowanym do Jean-Claude'a mającym kwestionować jego autorytet, nie widzę innego powodu. W zasadzie niewiele o nim wiem. Mogło tego dokonać jedno z rasistowskich ugrupowań, Najpierw Ludzie lub Ludzie Przeciwko Wampirom. Ale potrzebowali-by gruntownej wiedzy magicznej, a każde z nich ukamienowałoby wiedźmę tak szybko, jak zakołkowałoby wampira. Zarówno jedno jak i drugie uznają za diabelskie nasienie.

- Dlaczego wyróżniać tego właśnie wampira?

- Jego żona jest w ciąży - odparłam.

- Inny wampir? - zapytał Dolph. Pokręciłam głową. - Człowiek.

Jego oczy odrobinę się rozszerzyły. To był największy przejaw zaskoczenia, jaki kiedykolwiek widziałam na jego twarzy. Dolph, jak większość glin, nie daje się łatwo zbić z tropu.

- W ciąży? A ojcem jest wampir?

- Tak - potwierdziłam.

Potrząsnął głową. - Taa, to mogłoby pozyskać mu pierwszą pozycję na ich liście przebojów. Anito, opowiedz mi o reprodukcji wampirów.

- Najpierw muszę zadzwonić do Jean-Claude'a.

- Po co?

- Aby go ostrzec - odparłam. - Zgadza się z tym, że prawdopodobnie chodzi o osobiste porachunki. Masz rację. W szczególności Najpierw Ludzie zabiliby go bez mrugnięcia okiem, chcę ostrzec JeanClaude'a ot tak, na wszelki wypadek. - Kolejny pomysł przyszedł mi do głowy. - Może dlatego ktoś chce mojej śmierci.

- Co masz na myśli?

- Jeżeli próbują zranić Jean-Claude'a, zabicie mnie to dobry sposób.

- Myślę, że pół miliona dolarów jest wygórowaną ceną za pozbycie się czyjejś dziewczyny. - Pokręcił głową. - Przy takich pieniądzach to musi być coś osobistego, Anito. Ktoś się boi ciebie, a nie twojego zęba-tego chłopaka.

- Dwie próby zamachu w przeciągu dwóch dni, Dolph, a ja nadal nie wiem dlaczego. -Spojrzałam na niego. - Jeżeli nie znajdzie odpowiedzi, będę martwa.

Dotknął mojego ramienia. - Pomożemy ci. Gliny są dobre w pewnych sytuacjach, nawet jeżeli potwory nie chcą z nami rozmawiać.

- Dzięki Dolph. - Poklepałam jego dłoń. - Czy naprawdę uwierzyłeś Reynolds, kiedy powiedziała, że ja mogłam to zrobić?

Wyprostował się, potem spojrzał mi w oczy.

- Przez moment, tak. Potem szło raczej o wysłuchanie opinii mojego detektywa. Zatrudnił ją, żeby pomogła w sprawach mających związek z tym, co nadprzyrodzone. Byłoby głupio podczas jej pierwszej sprawy zignorować to, co myśli.

Nie wspominając o zniszczeniu jej pewności siebie, pomyślałam. -

W porządku, ale czy sądziłeś, że byłabym do tego zdolna? - wskazałam na zwłoki.

- Widziałem jak kołkujesz wampiry Anito, jak odcinasz im głowy.

Dlaczego nie?

- Ponieważ Robert żył, kiedy rozcinali mu klatkę piersiową, dopóki nie usunęli serca. Cholera, nie jestem pewna, jak długo funkcjonował, po tym, jak zostało wyjęte. Wampiry są dziwne, jeżeli chodzi o śmiertelne rany. Czasem ociągają się ze zgonem.

- Czy to dlatego nie zabrali głowy? Żeby bardziej cierpiał?

- Może - powiedziałam. - Jean-Claude musi o tym wiedzieć, na wszelki wypadek, gdyby to była groźba - powtórzyłam.

- Każę komuś zadzwonić.

- Nie ufasz mi?

- Daj temu spokój Anito.

Choć raz zrobiłam, o co mnie prosił. Rok temu nie zaufałam osobie umawiającej się z wampirem. Założyłam, że jest zdemoralizowana. Czasem nadal tak uważam.

- Dobrze, po prostu zrób to teraz. Byłoby fatalnie, gdyby JeanClaude został sprzątnięty, gdy my prowadziliśmy dysputę na temat te-go, kto ma przekazać ostrzeżenie.

Dolph przywołał gestem jednego z mundurowych. Naskrobał coś w notatniku, wydarł stronę, złożył ją i wręczył policjantowi. - Daj to detektywowi Perry'emu. Tamten odszedł z karteczką w dłoni. Dolph zajrzał do notatek.

- A teraz opowiedz mi o reprodukcji wampirów. - Wpatrywał się w swoje zapiski. - To nawet brzmi niewłaściwie.

- Nowi nieumarli mężczyźni mają zwykle pozostałości spermy sprzed śmierci. To najczęstszy przypadek. Lekarze zalecają odczekać sześć tygodni z odbyciem stosunku po tym, jak się zostało wampirem, trochę jak po wycięciu nasieniowodów. Ich dzieci zwykle są zdrowe.

Płodność u starszych wampirów jest o wiele rzadsza. Szczerze mówiąc, dopóki nie spotkałam na przyjęciu Roberta i jego żony, nie wiedziałam, że wampiry tak stare, jak on, mogą się rozmnażać.

- Ile lat miał Robert?

- Trochę ponad wiek.

- Czy wampiry płci żeńskiej mogą zajść w ciążę? - spytał.

- Czasami, w przypadku dopiero co umarłych to się zdarza, ale organizm spontanicznie dokonuje aborcji albo wchłania płód. Martwe ciało nie może dać życia. -Zawahałam się.

- Co? - Spytał Dolph.

- Były dwa udokumentowane przypadki starej wampirzycy rodzącej dziecko. - Pokręciłam głową. - To nie było przyjemne i z całą pewnością nie mogło zostać uznane za człowieka.

- Czy potomstwo przetrwało?

- Przez pewien czas - odparłam. - Najlepiej udokumentowany przypadek miał miejsce na początku XX wieku. Wtedy, w piwnicy Starego Szpitala Miasta Saint Louis, doktor Henry Mulligan próbował wynaleźć lekarstwo na wampiryzm. Jedną z jego pacjentek urodziła. Mulligan myślał, że to oznaka życia powracającego do jej ciała. Dziecko przyszło na świat z kompletem ostrych zębów i było bardziej krwiożercze niż jakikolwiek wampir. Doktor Mulligan, po ranie zadanej podczas porodu miał na nadgarstku bliznę. Pozostała mu aż do śmierci, która nastąpiła jakieś trzy lata później, gdy jeden z pacjentów zmiażdżył mu twarz.

Dolph wpatrywał się w swój notatnik.

- Zapisałem wszystko. Ale szczerze mówiąc, to informacje, których mam nadzieję nigdy nie wykorzystać. Zabili dziecko, prawda?

- Tak - potwierdziłam. - Zanim spytasz, ojciec nie został wspomniany. Domyślano się, że był człowiekiem, może nawet to doktor Mulligan. Z tego, co wiemy, wampir nie może począć dziecka bez udziału istoty żywej.

- Dobrze wiedzieć, że człowiek nadaje się do czegoś więcej, niż od-dawanie krwi -powiedział.

Wzruszyłam ramionami.

- Tak myślę.

Szczerze mówiąc, perspektywa urodzenia dziecka z poważnym ze-społem Włada była cholernie przerażająca. Nie planuję stosunku z JeanClaude'm, ale jeżeli kiedykolwiek do tego dojdzie, zastosujemy zabezpieczenia. Żadnego spontanicznego seksu, chyba że z udziałem prezer-watywy.

Musiał coś wyczytać z mojej twarzy, ponieważ rzucił:

- Grosik za twoje myśli.

- Po prostu cieszy mnie, że mam wysokie standardy moralne, tak są-dzę. Jak już mówiłam, dopóki nie zobaczyłam Roberta z żoną, uważa-

łam, że wampir, który ma ponad setkę, jest sterylny. Do tego, biorąc pod uwagę, jak długo trzeba by było podtrzymywać jego temperaturę ciała... - Pokręciłam głową. - Nie mogę zrozumieć, jak mogli zaliczyć wpadkę. Ale oboje zarzekali się, że tak jest. Ona nawet nie zdążyła odebrać wyników amnioskopii.

- Amnioskopia po co? - Zapytał.

- Zespół Włada - wyjaśniłam.

- Czy jest na tyle zdrowa, by poradzić sobie z takimi nowinami?

Wzruszyłam ramionami. - Wyglądała dobrze, ale nie jestem eksper-tem. Według mnie nie należy jej informować przez telefon, no i zostawiać samej. Po prostu nie wiem.

- Czy przyjaźnisz się z żoną?

Potrząsnęłam głową. - Nie, nawet nie pytaj. Nie zamierzam trzymać dłoni Moniki, gdy rozpacza po śmierci męża.

- Dobrze, dobrze, nie masz tego w umowie o pracę. Może pozwolę Reynolds się tym zająć.

Rzuciłam okiem na młodą kobietę. Ona i Monika prawdopodobnie na siebie zasługują, ale...

- Jean-Claude może wiedzieć, z kim Monika się przyjaźni. Jeżeli nie, ja znam jedną osobę. Catherine Maison-Gillete i Monika pracują razem.

- Monika jest prawnikiem? - spytał Dolph. Kiwnęłam głową.

- Wspaniale - stwierdził.

- Jak dużo zamierzasz ujawnić Jean-Claude'owi? - Dociekałam.

- A co? - Zapytał Dolph.

- Muszę wiedzieć, ile mogę mu powtórzyć.

- Nie omawiasz bieżących śledztw z potworami - stwierdził.

- Ofiara była przez ponad wiek jego towarzyszem. Będzie chciał o tym porozmawiać. Muszę się orientować, co chcesz mu przekazać, żeby nic mi się przypadkiem nie wymknęło.

- Nie przeszkadza ci zatajanie informacji przed własnym chłopakiem?

- Nie w kwestii morderstwa. Ktokolwiek to zrobił, jest przynajmniej wiedźmą, może czymś bardziej przerażającym. Tak czy inaczej prawdopodobnie to jeden z potworów. Zatem nie możemy zdradzać szczegó-

łów potworom.

Dolph przez dłuższą chwilę usilnie mi się przyglądał, potem skinął

głową.

- Zachowaj dla siebie serce i symbole użyte w zaklęciu.

- Musi dowiedzieć się o sercu, Dolph, albo sam zgadnie. Głowa albo serce, nie ma wielu innych sposobów na uśmiercenie stuletniego wampira.

- Anito, powiedziałaś, że zataisz informację.

- Mówię ci co wyjdzie w praniu, a co nie. Przemilczenie serca jest niemożliwe, domyślą się. Symbole, okej, ale nawet w tej kwestii JeanClaude będzie się zastanawiał, dlaczego nie poczuł, że Robert umiera.

- A więc, o czym możemy nie informować twojego chłopaka?

- O konkretnych znakach użytych podczas rzucania czar, nożach. -

Zastanowiłam się przez chwilę. - Jak wyjęli jego serce. Większość ludzi nadal będzie próbowała przebić się przez żebra. Oglądają te wszystkie programy medyczne w telewizji i nawet nie pomyślą, że można tego dokonać inaczej.

- Więc gdy mamy podejrzanego, pytamy go, jak usunąłby serce?

Skinęłam głową. - Fanatycy zaczną opowiadać o kołkach. Albo po-służą się ogólnikami.

- Okej - zgodził się. Dolph spojrzał na mnie. - Myślałem, że jeżeli ktokolwiek pała nienawiścią do potworów, to właśnie ty. Jak możesz chodzić z jednym z nich?

Spojrzałam mu w oczy, bez wzdrygnięcia. - Nie wiem.

Zamknął notatnik. - Greeley zapewne zastanawia się, dokąd cię zabrałem.

- Co mu szepnąłeś? Założyłabym się, że nie spuści mnie z oczu.

- Powiedziałem mu, że jesteś podejrzana w sprawie innego zabójstwa, że chciałem sprawdzić twoją reakcję.

- A on to kupił?

Dolph zmierzył mnie wzrokiem. - To było bliskie prawdy Anito.

Tu mnie miał. - Greeley nie pałał do mnie zbyt dużą sympatią - powiedziałam.

- Właśnie zabiłaś kobietę. To zwykle robi złe pierwsze wrażenie.

Punkt dla niego. - Czy Catherine powinna spotkać się z nami na komisariacie? -Spytałam.

- Nie zostałaś aresztowana - odparł Dolph.

- I tak wolałabym, żeby była na posterunku.

- Zadzwoń do niej. Wstałam.

Dolph dotknął mojej ręki. - Poczekaj. - Odwrócił się do reszty policjantów. - Niech wszyscy na chwilę wyjdą. - Niektórzy rzucali zdziwione spojrzenia, ale nikt nie próbował dyskutować, po prostu opuścili pomieszczenie. Każdy z nich już pracował z Dolphem, a nikt z obecnych nie miał wyższej rangi.

Gdy zostaliśmy sami w pomieszczeniu, powiedział:

- Oddaj to.

- Co?

- Masz na plecach jakieś pieprzone ostrze. Przyjrzyjmy mu się.

Westchnęłam i sięgnęłam do rękojeści, znajdującej się pod moimi włosami. Wyjęłam nóż. Trochę to trwało. Był długi.

Dolph wyciągnął rękę. Oddałam broń.

Ważył ją przez chwilę na otwartej dłoni i zagwizdał. - Słodki Jezu, do czego zamierzałaś tego użyć?

Tylko na niego spojrzałam.

- Kto cię rewidował w klubie?

- Partner Rizzo - odparłam.

- Muszę z nim porozmawiać. - Dolph przyjrzał mi się. - Źle byłoby przegapić taką broń u osoby, która naprawdę mogłaby jej użyć. Czy tylko to pominął?

- Tak.

Wpatrywał się we mnie. - Oprzyj się o biurko, Anito. Uniosłam brwi. - Zamierzasz mnie przeszukać?

- Owszem.

Przez chwilę rozważałam, czy się nie kłócić, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Nie miałam przy sobie żadnych innych niebezpiecznych przedmiotów, które mógłby znaleźć. Zrobiłam, o co prosił. Dolph poło-

żył nóż na krześle i obszukał mnie. Był dokładny we wszystkim co robił, metodyczny. To jedna z cech czyniących go świetnym gliną.

Spojrzałam na niego w lustrze, bez odwracania się.

- Zadowolony?

- Tak. - Podał mi nóż rękojeścią w moją stronę.

Musiałam wyglądać na tak zaskoczoną, jak się czułam. - Zamierzasz mi go zwrócić?

- Gdybyś skłamała i miała przy sobie coś jeszcze, zachowałbym go i wszystko, co bym znalazł. - Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił

powietrze. - Ale nie zabiorę ci ostatniego środka obrony, nie gdy wyznaczono cenę za twoją głowę.

Odebrałam nóż i włożyłam do pochwy. O wiele ciężiej było go ukryć, niż wyjąć. Ostatecznie musiałam posłużyć się lustrem, by sobie pomóc.

- Zgaduję, że to nowa zabawka? - Spytał Dolph.

- Ano. - Zarzuciłam włosy na rękojeść i tadam, nie dało się niczego zauważyć. Będę musiała poćwiczyć. To zbyt dobra kryjówka, by jej częściej nie używać.

- Jakies komentarze dotyczące miejsca zbrodni, zanim odwiozę cię na posterunek?

- Czy wdarto się do domu siłą?

- Nie.

- Więc znał napastników - stwierdziłam.

- Może.

Spojrzałam na nieruchome ciało Roberta. - Czy moglibyśmy kontynuować tę rozmowę w innym pomieszczeniu?

- To ci nie odpowiada?

- Znałam go, Dolph. Nie darzyłam szczególną sympatią, ale znałam go. Skinął głową. - Możesz dokończyć mi o tym opowiadać w pokoju dziecięcym. Spojrzałam na niego. Czułam, że błędnie. Nie miałam ochoty przekonać się, co Monika

zrobiła z tym pomieszczeniem.

- Na twoim charakterze zaczyna pojawiać się rysa, Dolph.

- Chyba nie mogę przeboleć twojego chodzenia z Mistrzem Miasta.

Nie potrafię się z tego otrząsnąć.

- Chcesz mnie ukarać, bo umawiam się z wampirem?

Rzucił mi przeciągłe, dociekliwe spojrzenie. Nie odwróciłam wzroku. - Chcę abyś przestała się z nim spotykać.

- Nie jesteś moim ojcem.
- Czy twoja rodzina wie? Wtedy spuściłam wzrok. - Nie.
- To katolicy, prawda?
- Nie zamierzam z tobą dyskutować na ten temat, Dolph.
- Z kimś musisz - odparł.
- Może, ale nie z tobą.
- Spójrz na niego, Anito. Spójrz na niego i powiedz, że mogłabyś się z nim przespać.
- Daj spokój - rzekłam.
- Nie mogę.

Wpatrywaliśmy się w siebie. Nie zamierzałam Dolphowi wyjaśniać moich relacji z Jean-Claude'm. To nie jego sprawa. - No to mamy problem.

Rozległo się pukanie do drzwi. - Nie teraz - powiedział Dolph.

- Proszę - wypaliłam.

Drzwi się otworzyły. Wyśmienicie. Wszedł przez nie Zerbrowski.

Jeszcze lepiej. Wiedziałam, że szczerzę się, jak idiotka, ale nie mogłam przestać. Ostatnim razem widziałam go, gdy wychodził ze szpitala. Został niemal wypatroszony przez zmiennokształtnego, lampartolaka wielkości kuczka. Napastnik nie był lykantropem tylko metamorfującą wiedźmą. Dlatego Zerbrowski nie porastał sierścią raz w miesiącu. Cza-rownica okropnie go rozcięła. Zabiłam ją. Uciskałam jego brzuch, starając się utrzymać wnętrzności na miejscu. Nadal miałam blizny po ranach zadanych przez tego samego potwora.

Włosy Zerbrowskiego zwykle były pokręcone i rozczochrane, czarne przechodzące powoli w szarość. Obciął je na tyle krótko, że układały się przyzwoicie. Przez to wyglądał poważniej, bardziej dorośle, mniej jak Zerbrowski. Jego brązowy garnitur sprawiał wrażenie, jakby w nim sypiał. Krawat był niebieski i nie pasował absolutnie do niczego, co miał na sobie.

- Blake, kopę lat.

Nie mogłam się powstrzymać; podeszłam i przytuliłam go. Są pewne zalety bycia dziewczyną. Co prawda, przed poznaniem Richarda zapewne oparłabym się pokusie. Wydobywał moją kobiecą stronę.

Zerbrowski, śmiejąc się, niezręcznie odwzajemnił uścisk.

- Zawsze wiedziałem, że chcesz mego ciała, Blake. Odsunęłam się od niego. - Marzysz.

Zmierzył mnie wzrokiem, jego oczy błyszczały rozbawieniem.

- Jeżeli zaczniesz się tak ubierać na co dzień, mogę dla ciebie porzucić Katie. Gdyby ta spódniczka była choć odrobinę krótsza, stałbym się czerwony, jak burak.

Choć się ze mną droczył i tak cieszyłam się, że go widzę.

- Kiedy wróciłeś do pracy?

- Niedawno. Widziałem cię z twoim chłopakiem w wiadomościach.

- Wiadomościach? - Zdziwiłam się. Zapomniałam o bombardowaniu mediów, które przeszliśmy z Jean-Claude'm.

- Jest ładny jak na umarlaka.

- Cholera.

- Co? - Spytał Dolph.

- Tam były media krajowe, nie tylko lokalne.

- No i?

- Mój ojciec nie wie.

Zerbrowski roześmiał się. - Teraz już tak.

- Cholera.

- Sądzę, że mimo wszystko będziesz musiała porozmawiać z tatą -

powiedział Dolph. Coś musiało dać się wyczuć w głosie Dolpha albo wyczytać z mojej mimiki, bo z twarzy Zerbrowskiego zniknęło rozbawienie.

- Wy dwoje, co się stało? Wyglądacie, jakby ktoś kopnął waszego szczeniaczka. Dolph spojrział na mnie. Ja na niego. - Różnice w poglądach - wydusiłam w końcu.

Dolph milczał. Nie oczekiwałam, że coś doda.

- W porządku - powiedział Zerbrowski. Znał Dolpha na tyle dobrze, że nie próbował bardziej wnikać w sprawę. Mnie dręczyłby bez pardo-nu, ale nie Dolpha.

- Jeden z najbliższych sąsiadów to zagorzały prawicowiec nienawidzący wampirów -oznajmił. To przykuło naszą uwagę.

- Wyjaśnij - zażądał Dolph.

- Delbert Spalding i jego żona Dora siedzieli na kanapie trzymając się za ręce. Ona zaproponowała mi herbatę z lodem. On nie zgodził się, bym mówił, że Robert został zamordowany. Powiedział, że nie można zabić martwego. - Zerbrowski wygrzebał z kieszeni garnituru pognieciony notatnik. Przekreślił kilka stron, spróbował wygładzić kartkę, poddał się i zacytował. - Teraz, kiedy ktoś zniszczył to coś, kobieta powinna dokonać aborcji potwora, którego nosi w sobie. Normalnie jestem przeciwny usuwaniu ciąży, ale to jest wstrętne, po prostu obrzydliwe.

- Ludzie Przeciwno Wampirom, przynajmniej - oceniłam. - Może nawet Najpierw Ludzie.

- A może po prostu nie podoba mu się życie w sąsiedztwie wampira

- powiedział Dolph.

Zerbrowski i ja spojrzeliśmy na niego.

- Czy zapytałeś pana Spaldinga o przynależność do któregoś z tych ugrupowań? - Spytał Dolph.

- Na stoliku do kawy leżały ulotki LPW, dał mi jedną.

- Wspaniale - podsumowałam. - Nienawistni, ewangelizujący podżegacze.

- LPW nie popiera agresywnej działalności tego typu - powiedział

Dolph.

Sposób, w jaki to wymówił, sprawił, że zaczęłam się zastanawiać, co prenumeruje. Potrząsnęłam głową. To, że nie podobają mi się moje relacje z Mistrzem Miasta, nie znaczy, że muszę myśleć o nim jak naj-gorzej. Kilka miesięcy temu miałabym takie same odczucia.

- Najpierw Ludzie owszem - stwierdziłam.

- Dowiemy się, czy pan Spalding należy do Najpierw Ludzi - oznajmił Dolph.

- Musicie też sprawdzić, czy członkowie tej rodziny mają nadprzyrodzone umiejętności - dodałam.

- Jak? - Spytał Dolph.

- Mogłabym ich spotkać, przebywać w tym samym pomieszczeniu.

Aby zyskać pewność, musiałabym zapewne posłużyć się dotykiem, uścisnąć dłoń.

- Ja podałem rękę panu Spaldingowi - powiedział Zerbrowski. - Nie zauważyłem nic szczególnego.

- Świetny z ciebie glina, Zerbrowski, ale jesteś niemal zerem. Mógłbyś uścisnąć dłoń najważniejszej

grubej ryby i nie poczuć nic poza ukłuciem. Dolph to zero całkowite.

- Jak to zero? - Spytał Dolph.

- Magiczne zero. Osoba nie mająca paranormalnych lub psychicznych umiejętności. Właśnie to pozwoliło ci przekroczyć krwawy krąg, a mnie powstrzymało.

- Więc twierdzisz, że ja mam jakieś zdolności? - Zapytał Zerbrowski.

Pokręciłam głową. - Jesteś odrobinę wrażliwszy. Prawdopodobnie masz przeczucia, które okazują się słuszne.

- Ja mam przeczucia - wtrącił Dolph.

- Założę się, że twoje opierają się na doświadczeniu, latach pracy w policji. Zerbrowski dokonuje w rozumowaniu nielogicznego przeskoku, który ostatecznie okazuje się słuszny. Mam rację?

Spojrzelili na siebie, potem na mnie i oboje skinęli głowami.

- Zerbrowski ma swoje momenty - przyznał Dolph.

- Chcesz iść do Spaldingów? - Spytał Zerbrowski.

- Detektyw Reynolds może to zrobić. Czy to nie jeden z powodów, dla których została zatrudniona?

Znowu na siebie spojrzeli. Zerbrowski uśmiechnął się szeroko.

- Pójdę po Reynolds i wrócimy tutaj. - Zatrzymał się w drzwiach. -

Katie dręczyła mnie, abym zaprosił ciebie i twojego chłopaka na obiad, abyś spotkała dzieci, prawdziwie domowa impreza. - Wpatrywał się we mnie zza ciemnych oprawek okularów swymi brązowymi, niewinnymi oczami. - Zamierzałem poprosić, żebyś zabrała Richarda, ale skoro teraz spotykasz się z Hrabią Draculą to byłoby trochę niezręcznie. - Wpatrywał się we mnie pytająco, ale nie powiedział nic wprost.

- Nadal chodzę z Richardem, ty nachalny sukinkocie. Uśmiechnął

się.

- To dobrze. Przyjedź z nim w sobotę za tydzień. Katie przyrządzi swego słynnego kurczaka w grzybach.

- Gdybym chodziła tylko z Jean-Claude'm, czy zaproszenie nadal obejmowałoby mojego chłopaka?

- Nie - odparł. - Katie jest trochę nerwowa. Nie sądzę, by mogła zdzierżyć spotkanie z Hrabią Draculą.

- Nazywa się Jean-Claude.

- Wiem. - Zamknął za sobą drzwi, a Dolph i ja raz jeszcze znaleźli-

śmy się sam na sam. Noc wcale nie wyglądała lepiej.

- Na co polujemy Anito? - Prawdę mówiąc ulżyło mi, gdy zaczął

mówić o interesach. Jak na jedną noc miałam dość osobistych pogaduszek.

- Więcej niż jednego zabójcę.

- Dlaczego? Spojrzałam na niego.

- Nie wiem, czy na świecie jest wystarczająca ilość ludzi, aby w ten sposób przygwoździć wampira do podłogi. Nawet gdyby napastnikiem był inny wampir albo zmiennokształtny, jeden nie dałby rady. Według mnie - przynajmniej dwie istoty obdarzone nadludzką siłą, aby przytrzymać ofiarę i trzecia wbijająca noże. Może więcej do unieruchomienia, może jeszcze więcej, aby rzucić czar. Nie wiem, ale przynajmniej trzy.

- Nawet gdyby były wampirami? - spytał Dolph.

Kiwnęłam głową. - Chyba, że jeden z nich byłby dość potężny, aby przejąć kontrolę nad umysłem Roberta. - Spojrzałam na ciało, uważa-

łam, aby nie dotknąć kręgu. Użyłam siły woli, by przyjrzeć się, co mu zrobili. - Nie, po tym jak zaczęli wbijać noże, nie sądzę aby jakakolwiek władza nad umysłem była możliwa. W przypadku człowieka, owszem, daliby radę to zrobić i sprawić, że będzie się uśmiechać przez cały czas, ale z wampirem to niemożliwe. Czy sąsiedzi zauważyli lub usłyszeli coś niepokojącego? Cóż, Spaldingowie mogą być w to wplątani, więc by skłamali, ale ktoś musiał coś dostrzec. Tego nie dało się załatwić po cichu.

- Twierdzą, że nie - powiedział Dolph takim tonem, jakby wiedział, że niektórzy, albo i wszyscy, kręcą. Jedną z pierwszych rzeczy, których uczą się gliny, jest to, że wszyscy kłamią. Niektórzy, aby coś zataić, inni ot tak, bo chcą, ale każdy to robi. Wyjdź z założenia, że wszyscy coś ukrywają, zaoszczędzisz sporo czasu.

Przyglądałam się twarzy Roberta, jego usta były na wpół otwarte, rozluźnione. W kącikach dostrzegłam ślady otarcia, nieznaczne zaczerwienienie. - Czy zauważyłeś znaki koło ust?

- Tak - potwierdził Dolph.

- Kiedy zamierzałeś o tym wspomnieć?

- Byłaś podejrzaną. Pokręciłam głową.

- Tak naprawdę w to nie wierzyłeś. Jak zwykle nie zdradzasz żadnych szczegółów. Męczy mnie

składanie kawałków, gdy ktoś już odwa-lił robotę.

- Więc, co o tym myślisz? - Spytał neutralnym tonem.

- Już ty dobrze wiesz. Zapewne był zakneblowany, gdy go mordowali. Sąsiedzi naprawdę mogli niczego nie słyszeć. Ale to i tak nie wyja-

śnia, jak zabójcom udało się dostać do środka. Jeżeli zamieszane są w to wampiry, nie mogły bez zaproszenia przekroczyć progu. Robert nie pozwoliłby wejść obcym do domu, więc któryś z nich musiał być jego znajomym albo człowiekiem, przynajmniej nie wampirem.

- Czy człowiek mógł wejść do środka i zaprosić wampiry?

- Tak - odparłam.

Dolph, nie patrząc na mnie, robił notatki.

- Więc poszukujemy mieszanej grupy, przynajmniej jeden wampir, jeden nie wampir i jedna wiedźma lub nekromanta.

- To ostatnie powiedziała ci Reynolds.

- Nie zgadzasz się z tym?

- Nie o to chodzi, ale ponieważ jestem jedyną nekromantką w mie-

ście, to musiałyby być ktoś z zewnątrz. - Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie, że zagraniczny talent właśnie przyjechał

do miasta. Dominic Dumare.

- John Burke nie mógłby tego dokonać? Zastanowiłam się nad tym przez moment.

- John jest kapłanem vaudun⁶, ale to nie voodoo. Nie jestem pewna, czy arkana jego wiedzy sięgają tak daleko. Nie wiem też, czy jest na tyle potężny, aby zrobić coś takiego, nawet znając teorię.

- Czy ty jesteś?

Westchnęłam. - Nie wiem, Dolph. Jestem, tak jakby, nowa w nekromancji. Chodzi mi o to, że ożywiałam zmarłych od lat, ale nie z wykorzystaniem ceremoniału. - Wskazałam na zwłoki. - Nigdy nie widzia-

łam takiego zaklęcia.

Kiwnął głową.

- Coś jeszcze?

Nie podobało mi się wciąganie w to Dominica, ale to był zbyt duży zbieg okoliczności, potężny nekromanta przybywa do miasta i nagle wampir zostaje zabity z użyciem właśnie takiej mocy, jaką on dysponuje. Jeżeli jest niewinny, przeproszę. Jeżeli nie, to czeka go wyrok śmierci.

- Dominic Dumare to nekromanta. Dopiero co przybył do miasta.

- Mógłby tego dokonać? - Spytał.

- Spotkałam go tylko raz, Dolph.

- Powiedz mi, co myślisz, Anito.

Przypomniałam sobie, jak poczułam Dominika w mojej głowie. Jak zaoferował mi, że będzie mnie uczył. Szkopuł tkwił w tym, że zabicie vaudun (a raczej voodoo) - określenie czasem stosowane zamiennie z voodoo. Tu prawdopodobnie subtelną różnicę: voodoo pochodzi z Haiti, a vaudun jest jego, nieco zmienioną przez Afroamerykanów, wersją.

Roberta i pozostawienie ciała, abyśmy je odnaleźli, było głupie. Dominic Dumare nie wydał mi się idiotą.

- Mógłby. Jest ludzkim sługą, więc masz już dwóch z mieszanej grupy.

- Czy wampir znał Roberta?

Pokręciłam głową. - Nie żebym była tego świadoma.

- Czy wiesz, jak skontaktować się z panem Dumare?

- Mogę zadzwonić do naszej sekretarki pracującej na nocnej zmianie i zdobyć dla ciebie właściwy numer telefonu.

- Wspaniale. - Dolph zerknął w notatki. - Czy Dumare jest naszym głównym podejrzanym?

Zastanowiłam się nad tym. - Wygląda na to, że tak.

- Masz jakieś dowody?

- To nekromanta, a zbrodni dokonał ktoś posiadający takie umiejętności. - Wzruszyłam ramionami.

- Z dokładnie tego samego powodu ty byłaś podejrzaną - powiedział

Dolph, prawie się uśmiechając.

- Coś w tym jest. - Odparłam. - Mała, uprzedzona ja. Dolph zamknął

notes. - Odwiozę cię, musisz złożyć zeznania.

- Dobrze. Czy teraz mogę zadzwonić do Catherine?

- Telefon jest w kuchni.

Zerbrowski otworzył drzwi. - Żona tu jest, zachowuje się jak historyczka.

- Kto jej towarzyszy? - Spytał Dolph.

- Reynolds.

Przez otwarte drzwi usłyszałam kobietę, prawie krzyczała.

- Robert, mój mąż, nie żyje? To niemożliwe. Niemożliwe. Muszę go zobaczyć. Nie rozumiecie, czym on jest? Nie jest martwy. - Głos zbliżał

się.

- Nie musisz tego oglądać, Anito.

Kiwnęłam głową. Wyszłam, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Na razie nie widziałam Moniki, ale słyszałam ją. W jej głosie narastała panika.

- Nie rozumiecie. Tak naprawdę on nie jest martwy.

Mogłabym się założyć, Monika nie uwierzy mi na słowo, że Robert rzeczywiście jest martwy, permanentnie. Gdyby to Jean-Claude leżał w pokoju, ja chyba też bym nie wierzyła. Musiałabym zobaczyć na własne oczy. Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam na spotkanie z rozpaczającą wdową. Cholera. Noc stawała się coraz lepsza.

Rozdział 20

Pokój szpitalny był fioletoworóżowy, z kwiecistym wzorkiem na ścianie; łóżko przykrywała narzuta w różową kratkę. Monicę przypięto do aparatury medycznej, dwa ekrany i pas, którym opleciony miała brzuch, monitorowały skurcze. Dzięki Bogu, były już coraz słabsze.

Inny monitor rejestrował bicie serca dziecka. Ten dźwięk na początku mnie przeraził; za szybki, brzmiał jak serce kolibra. Gdy pielęgniarki zapewniły mnie, że wszystko jest w normie, rozluźniłam się. Po niemal dwóch godzinach rozpaczliwe bicie stało się dźwiękiem niemal przyjemnym.

Kasztanowe włosy Moniki przykleiły się do mokrego czoła. Jej staranny makijaż rozmazał się po całej twarzy. Lekarze byli zmuszeni podać jej środek uspokajający, mimo że nie było to najlepsze dla dziecka.

Zapadła w niespokojny, prawie gorączkowy sen. Odwróciła głowę, jej oczy poruszały się pod powiekami, usta drżały. Prawdopodobnie po nocy pełnej wrażeń, śnił się jej jakiś koszmar.

Dochodziła druga, a ja wciąż musiałam jechać na komisariat, żeby złożyć raport detektywowi Greeley'owi. Jedynie Catherine mogłaby zastąpić mnie przy łóżku Moniki. Cieszyłabym się, gdybym mogła ją zobaczyć.

Na mojej dłoni widniały małe półksiężyce. Monica uchwyciła ją tak, jakby to była jedyna rzecz, trzymająca nas razem.

Podczas najgorszych skurczy, gdy wyglądało na to, że Monica straci też dziecko, chociaż wcześniej straciła męża, jej długie, pomalowane paznokcie wbijały się w moją rękę tak, że jedynie krew, spływająca cienkimi strużkami po skórze sprawiła, że pielęgniarka się odezwała.

Gdy Monica się uspokoiła, zaczęła narzekać, że rana brudzi pościel i uparła się, by dłoń opatrzyć. Jako że mieli tylko dziecięce bandaże, mo-ja ręka została pokryta wizerunkami Myszki Miki i Goofy'ego.

Na półce stał telewizor, ale nie włączyłam go. Jedynymi dźwiękami w pomieszczeniu był zatem furkot powietrza, krążącego w przewodach wentylacyjnych, i bicie serca dziecka.

Umundurowany policjant stał przed drzwiami. Jeżeli Robert został

zabity przez grupę nienawiści, Monica i jej dziecko były najbardziej prawdopodobnymi celami. Jeśli zamordowali go z przyczyn osobistych, kobieta mogła coś o tym wiedzieć. Tak czy owak, była w niebezpieczeństwie, więc postawili przy niej straż. Jak dla mnie świetnie, bo mia-

łam przy sobie tylko nóż. Naprawdę tęskniłam za pistoletami.

Telefon na nocnym stoliku zadzwonił, a ja rzuciłam się w jego kierunku najszybciej jak umiałam, by nie zbudził Moniki. Przysunęłam aparat do ust, czując swoje szaleńcze tętno.

- Tak?

- Anita? - To był Edward.

- Skąd wiesz, gdzie jestem?

- Liczy się tylko to, że skoro ja mogę się dowiedzieć, ktoś inny tak-

że.

- Czy kontrakt nadal jest aktualny?

- Tak.

- Cholera. A co z ostatecznym terminem?

- Przesunęli do czterdziestu ośmiu godzin.

- Po prostu świetnie. Nie są zdeterminowani... - Cholera!

- Myślę, że na chwilę powinnaś zejść do podziemia, Anito.

- Masz na myśli kryjówkę?

- Tak.

- Sądziłam, że mam być przynęta.

- Jeśli wciąż masz nią być, to potrzebujemy większej liczby ochroniarzy. Wilkołaki i wampiry są potworami, ale to wciąż amatorzy. My jesteśmy profesjonalistami, co daje nam przewagę. Jestem dobry, to fakt, ale nie mogę być wszędzie.

- Na przykład nie pójdziesz za mną do damskiego kibla - powiedzia-
łam. W odpowiedzi usłyszałam jego westchnienie.

- Zawodzę cię.

- Ja również byłam nieostrożna, Edwardzie.

- Więc się zgadzasz?

- Na kryjówkę? Zgoda. Upatrzyłeś już jakieś miejsce?

- W gruncie rzeczy tak.

- Nie podoba mi się ten ton głosu, Edward.

- To najbezpieczniejsze miejsce w mieście i do tego ma rozbudowa-ny system ochroniarski.

- Gdzie? - To jedno słowo zabrzmiało nad wyraz podejrzliwie, nawet jak dla mnie. -Chyba masz nierówno pod sufitem!

- To dzienna kryjówka Mistrza, Anito. Szczelnie zamknięta twierdza Jean-Claude'a; tunel, którym zaskoczyliśmy Nikolaos, już nie istnieje.

Całkowite bezpieczeństwo.

- Chcesz, żebym spędzała dni wśród śpiących wampirów? Nie ma mowy.

- Wracasz do domu Richarda? - zapytał Edward. - Jak bezpieczna zamierzasz tam być? Jak bezpieczna będziesz w jakimkolwiek miejscu na ziemi?

- Niech cię cholera.

- Mam rację i dobrze o tym wiesz.

Chciałam się kłócić, ale rzeczywiście miał rację. Cyrk był najbez-pieczniejszym miejscem na ziemi. Cholera, miejscem, które miało lochy! Pomysł dobrowolnego tam spania przyprawiał mnie o dreszcze.

- Jak niby mam się zrelaksować w otoczeniu wampirów, nawet tych przyjaznych?
- Jean-Claude proponuje ci swoje łóżko. Zanim się wściekniesz, daj mi powiedzieć, że on będzie spał w swojej trumnie.
- To on tak twierdzi - mruknęłam.
- Nie martwię się o twoją cnotę, Anito. Martwię się o utrzymanie cię przy życiu. Jestem dobry, to prawda, ale przyznaję, że nie potrafię cię ochronić. Jestem najlepszym, jakiego można kupić, ale jestem tylko jeden. Jedna osoba, jakkolwiek dobra by nie była, to za mało.

To straszne. Edward przyznawał, że coś go przerasta. Nie myślałam, że dożyję tego dnia.

- Niech będzie, ale na jak długo?
 - Ty się ukryjesz, a ja sprawdzę kilka rzeczy. Zakres moich możliwości powiększy się, jeżeli nie będę musiał cię chronić.
 - Jak długo?
 - Dzień, może dwa.
 - A jeżeli ktokolwiek się dowie, że jestem w Cyrku?
 - Mogą próbować cię dorwać. - Jego głos był chłodny, rzeczowy.
 - A jeżeli spróbują?
 - Jeśli ty, pół tuzina wampirów i grupa wilkołaków nie poradzicie sobie z nimi, to nie sądzę, by miało to znaczenie.
 - Ale mnie pocieszyłeś...
 - Znam cię, Anito. Gdybym cię pocieszał, mogłabyś odmówić ukrycia się.
 - Dwadzieścia cztery godziny, Edwardzie, potem chcę innego planu.
- Nie zamierzam siedzieć w jakiejś dziurze i czekać, aż mnie zabiją.
- Zgoda. Znajdę cię, po twoim raporcie złożonym glinom.
 - Skąd wytrzasnąłeś aż tak dokładne informacje? Zaśmiał się, ale był to wymuszony dźwięk.
 - Jeżeli ja wiem, gdzie będziesz, każdy inny też potrafi się tego dowiedzieć. Mogę zapytać twoich

przyjaciół, jeżeli mają dodatkowe kamizelki.

- Masz na myśli kamizelki kuloodporne?

- Nie zaszkodzi.

- Starasz się mnie przestraszyć?

- Tak.

- No to ci się udało.

- Dzięki. Nie wychodź z komisariatu, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Staraj się unikać otwartych przestrzeni.

- Ty naprawdę myślisz, że ktoś będzie próbował mnie dziś zastrzelić?

- Na dzień dzisiejszy jesteśmy od planowania najgorszych scenariuszy, Anita. Nie będzie więcej szans. Zobaczmy się później. - Rozłączył się, zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć. W tej całej panice z Monicą i jej dzieckiem zapomniałam o tym, że ktoś próbuje mnie zabić.

Nie powinnam była tego przeoczyć.

Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer Richarda. Odebrał po drugim sygnale, co znaczyło, że czekał. Cholera.

- Richard, to ja.

- Anita, gdzie jesteś? - Jego głos najpierw wyrażał ulgę, później po-dejrzliwość. - Wracasz tu dzisiaj?

Odpowiedź brzmiała nie, ale nie z powodów, których się obawiał.

Opowiedziałam mu, co się stało, najkrótszą możliwą wersję.

- Kto wpadł na pomysł, byś została z Jean-Claudem? - W jego głosie nie było cienia złości.

- Nie zostaję z Jean-Claudem. Zostaję w Cyrku.

- Na czym polega różnica?

- Richardzie, jestem zbyt zmęczona, by z tobą dyskutować. Edward to zasugerował, a on lubi Jean-Claude'a jeszcze mniej niż ty.

- Wątpię - powiedział.

- Richard, nie dzwonię, by się z tobą kłócić. Dzwonię, by powiedzieć, co się dzieje.

- Doceniam to. - Nigdy nie słyszałam, by był aż tak sarkastyczny. -

Chcesz swoje ubrania?

- Cholera, nie pomyślałam o tym.

- Przyniosę ci je do Cyrku.

- Nie musisz tego robić, Richardzie.

- Nie chcesz tego?

- Nie, kocham moje rzeczy i nie tylko ubrania, jeśli wiesz co mam na myśli.

- Zatem przyniosę wszystko.

- Dzięki.

- Spakuję też swoją torbę.

- Myślisz, że to dobry pomysł?

- Mieszkałem w Cyrku już wcześniej. Pamiętaj, że byłem jednym z wilków Jean-Claude'a.

- Nie zapomniałam o tym. Ale czy nie powinieneś zapytać go o zgodę, zanim przyjdiesz?

- Najpierw zadzwonię. Chyba, że nie chcesz mnie tam dzisiaj. - Jego głos był bardzo spokojny.

- Jeżeli Jean-Claude nie będzie miał nic przeciwko, ja tym bardziej.

Mogę potrzebować moralnego wsparcia.

Wypuścił powietrze, jakby wstrzymywał oddech.

- Cudownie. Świetnie, że cię tam zobaczę.

- Najpierw muszę zdać glinom raport, dotyczący wypadku w Danse Macabre. Może to potrwać kilka godzin, więc nie ma pośpiechu.

- Boisz się, że Jean-Claude mnie zrani? - Milczał przez chwilę. -

Czy o to, że ja zranię jego?

Zastanowiłam się nad tym.

- Boję się o ciebie.

- Miło mi to słyszeć - powiedział, a ja wiedziałam, że się uśmiechnął.

Byłam zaniepokojona, bo Richard, w przeciwieństwie do JeanClaude'a, nie był mordercą. Może i rozpocząłby walkę, ale to JeanClaude by ją zakończył. Jednak nie powiedziałam tego głośno. Richard nie powinien teraz o tym myśleć.

- Z niecierpliwością czekam na to spotkanie - powiedział.

- Nawet w Cyrku?

- Gdziekolwiek. Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Rozłączyliśmy się. Żadne z nas się nie pożegnało. Miałam pewność, że Richard i JeanClaude znajdą coś, o co mogliby się pokłócić, jednak byłam zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Ale gdybym kazała Richardowi trzymać się z dala, mógłby pomyśleć, że chcę być sam na sam z Jean-Claude'm, co nie było prawdą. Niech mają swoją małą walkę.

Szczerze mówiąc, ja również miałam własną walkę, która obejmowała mnie, Jean-Claude'a i Damiana. W Danse Macabre złamali prawo, złamali je tak, że z dobrym sędzim miałam szansę dostać nakaz egzekucji Damiana. Możemy mieć jedną, chwalebna, zaciętą walkę.

Zastanawiałam się, gdzie i z kim każdy by spał.

Rozdział 21

Cyrk Potępieńców jest połączeniem wesołego miasteczka, cyrku oraz przyjemniaczków z dolnych kręgów piekieł. Na zewnątrz, klauni z przerośniętymi kłami tańczą pod neonami wyświetlającymi nazwę klubu. Plakaty rozciągające się na długości całego budynku obwieszają:

'Zobacz wskrzeszenie zombie za grobu. Lamię - w połowie kobietę, w połowie węża'. W Cyrku nie ma żadnych oszustw, wszystkie reklamy mówią prawdę. Ponadto jest to jedna z niewielu wampirzych atrakcji turystycznych zapraszających do środka dzieci. Jeśli miałabym potomka, za nic nie zbliżyłabym się z nim do tego miejsca. Nawet ja nie czu-

łam się tu bezpiecznie.

Edward, tak jak obiecał, odebrał mnie sprzed posterunku. Moje ze-znanie trwało aż trzy godziny. Jedynym powodem, dzięki któremu skończyłam tak wcześnie był Bob, mąż Cathrine i prawnik. Kazał im wypuścić mnie bądź wreszcie oskarżyć. Szczerze mówiąc obawiałam się, że mogli mi postawić zarzuty. Miałam jednak trzech świadków, nieznanymi mi wcześniej i potwierdzających, że zastrzeliłam kobietę w samoobronie. To znacznie pomogło. DA zazwyczaj nie wnosi oskarżeń przy obronie koniecznej.

Edward wprowadził mnie do Cyrku bocznym wejściem. Nie było one oznaczone, a stalowe drzwi nie miały nawet klamki. Zapukał.

Drzwi otworzyły się i weszliśmy.

Jason zamknął je za nami. Zdałam sobie sprawę, że brakowało mi go w Dance Macabre. Rozpoznałam go po ubraniu. Miał na sobie koszulkę bez rękawów z tworzywa sztucznego ściśle przylegającą do ciała. Po-marszczone, niebieskie spodnie wyglądały jakby się zwijały, posiadały plastikowe, przezroczyste, owalne wstawki, które odsłaniały uda, łydki i, gdy się odwrócił, jeden pośladek.

Uśmiechnięta pokiwałam głową. - Proszę, tylko mi nie mów, że Je-an-Claude każe ci nosić takie rzeczy przy ludziach.

Jason uśmiechnął się i odwrócił pokazując mi swój tyłek. - Nie podoba ci się?

- Nie jestem pewna.

- Porozmawiacie o modzie później w bezpieczniejszym miejscu -

wtrącił się Edward. Spojrzał na drzwi po naszej prawej stronie prowadzące do głównej części Cyrku. Nigdy nie były zamknięte, aczkolwiek wisiała nad nimi tabliczka: 'Tylko dla upoważnionych'. Staliśmy obecnie w kamiennym pokoju z żarówką zwisająca z sufitu. Cóż, magazyn.

Trzecie drzwi znajdowały się dużo dalej. Za nimi były schody, które prowadziły do dolnych części, gdzie z kolei wampiry przebywały za dnia.

- Niedługo zapadnę się pod ziemię, Edward, dosłownie.

Spoglądał na mnie przez dłuższą chwilę. - Obiecałaś, że nie będziesz się wychylać przez dwadzieścia cztery godziny. Nie wychodź na ze-wnątrz pod żadnym pozorem. Nie wchodź nawet do głównej części Cyrku, szczególnie, kiedy jest otwarta dla publiczności. Zostań na dole.

- Tak jest, kapitanie.

- Ja nie żartuję Anito.

Szarpnęłam za kamizelkę kuloodporną, którą założyłam na sukienkę.

Była za duża na mnie, za gorąca i niewygodna. - Jeśli myślałabym, że to jest zabawne, nie miałabym tego na sobie.

- Gdy wrócę, przyniosę ci opancerzenie, które będzie pasować.

Nasz wzrok spotkał się i zobaczyłam w jego bladoniebieskich oczach coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam. Martwił się.

- Myślisz, że mnie zabiją?

Nie odwrócił się, nie mrugnął. Wolałabym, by poddał się temu pro-stemu gestowi, tym bardziej, gdy zobaczyłam jego twarz. - Gdy wrócę, będę miał ze sobą pomoc.

- Jakiego rodzaju pomoc?

- Mojego.

- Co to znaczy?

Potrząsnął głową. - Dwadzieścia cztery godziny oznaczają, że masz się schować do jutrzejszego świtu, Anito. Jeśli dopisze mi szczęście będę miał imię i zabijemy go. Nie bądź lekkomyślna podczas mojej nieobecności.

Chciałam powiedzieć coś normalnego, może śmiesznego jak - nie wiedziałam, że ci zależy - ale nie mogłam. Nie byłam w stanie żartować patrząc w jego poważne oczy.

- Będę ostrożna.

Przytaknął. - Zamknijcie za mną.

Wyszedł, a Jason zajął się drzwiami.

Oparł się o nie i zapytał. - Dlaczego on mnie przeraża?

- Bo nie jesteś głupi - odpowiedziałam. Uśmiechnął się. - Dzięki.

- Chodźmy na dół - zaproponowałam.

- Zdenerwowana?

- To była długa noc, Jason, nie baw się ze mną. Odepchnął się od drzwi. - Prowadź, zatem.

Otworzyłam drzwi odsłaniające kamienne schody prowadzące w dół.

Było wystarczająco szeroko, byśmy mogli iść obok siebie. Znalazłoby się nawet miejsce dla trzeciej osoby - schody wydawały się być prze-znaczone dla istot szerszych niż zwykły człowiek.

Jason trzasnął drzwiami. Podskoczyłam. Chciał coś powiedzieć, lecz wyraz mojej twarzy powstrzymał go. Edward wytrącił mnie z równowagi, wspominając o pomocy z zewnątrz. Jeśli nie znałabym się lepiej, powiedziałabym, że się boję.

Jason schodził przede mną wyolbrzymiając swoje kroki, byle tylko pochwalić się swoim tyłkiem.

- Możesz przestać się popisywać - powiedziałam.

- Nie podoba ci się widok? - Oparł się o ścianę chowając ręce za siebie popisując się swoją klatką piersiową.

Roześmiałam się i przeszłam obok niego, uderzając paznokciami o jego koszulę. Była twarda i mocna niczym skorupa. - To musi być strasznie niewygodne.

Podążył za mną. - To nie jest niewygodne. Paniom w Dance Macabre bardzo się podoba.

Spojrzałam na niego. - Domyślam się.

- Lubię flirtować.

- Żartujesz?

Zaśmiał się. - Jak na kogoś, kto nie uwodzi mężczyzn, masz wokół

siebie dość spory

tłum.

- Może, dlatego że nie flirtuję - odpowiedziałam Jason już się nie odzywał, zanim nie doszliśmy do zakrętu schodów.

- Uważasz, że stanowisz wyzwanie i dlatego wciąż pojawiają się nowi? - spytał nagle.

- Coś w tym rodzaju.

Nie byłam w stanie nic zobaczyć przy zbiegu schodów. Nienawidzi-

łam mieć ograniczoną widoczność, szczególnie przy zakrętach pomieszczeń. Tym razem jednak byłam zaproszona. Nie przyszłam nikogo zabić. Wampiry zazwyczaj stawały się przyjaźniejsze, jeśli nie próbowało się ich zakołkować. Kto by pomyślał.

- Czy Richard już jest?

- Jeszcze nie. - Spojrzał na mnie. - Myślisz, że to dobry pomysł, żeby byli obydwaj tutaj, razem pod jednym dachem?

- Nie - zaprzeczyłam. - Zdecydowanie nie.

- Przynajmniej zgadzamy się, co do tego, że to zły pomysł - odparł.

Drzwi na dole były wykonane z ciemnego, mocnego drewna obitego żelazem. Wyglądały niczym portal do innej epoki. Epoki, gdy lochy były w modzie, rycerze ratowali księżniczki lub mordowali chłopów i nikt nie miał im tego za złe. No może z wyjątkiem wieśniaków.

Jason wyciągnął klucz z kieszeni spodni. Przekręcił zamek i pchnął

drzwi. Otworzyły się na dobrze naoliwionych zawiasach. Nie wydały najmniejszego dźwięku. Pięknie.

- Od kiedy masz klucz? - zapytałam.

- Mieszkam tutaj.

- A co z college'm?

Drgnął. - Nie wydaje mi się, bym jeszcze tego potrzebował.

- Masz zamiar być domowym zwierzątkiem Jean-Claude'a do końca swoich dni?

- Odpowiada mi to - odpowiedział.

Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem. - Walczyłam jak diabli, po to by się od niego uwolnić, a ty się tak łatwo poddajesz. Nie rozumiem tego.

- Masz stopień naukowy, prawda? - spytał.

- Tak.

- Ja nie mam, a mimo to wylądowaliśmy w tym samym miejscu. Za-giął mnie. Punkt dla niego.

Jason przeprowadził mnie delikatnie przez drzwi - imitacja zachowania Jean-Claude'a. Jednak on nadawał temu dworski zwyczaj, a Jason tylko się wygłupiał.

Drzwi prowadziły do salonu Jean-Claude'a. Sufit rozciągał się w nieskończoność, był niewidoczny, czarny. Jedwabne zasłony wisiały w ciemności, tworząc białe ściany po trzech stronach pomieszczenia.

Czwarta była z kamienia, pomalowana na biało. Kominek z białego kamienia wyglądał na autentyczny, ale wiedziałam, że tak nie jest.

Obudowa wykonana została z białego marmuru poprzecinanego czarnymi żyłkami. Uzupełnieniem jego była srebrna, ozdobna osłona pale-niska. W pomieszczeniu znajdowały się cztery srebrno-czarne krzesła ustawione wokół drewnianego stolika ze szklanym blatem do kawy. Na nim z kolei stał czarny wazon wypełniony białymi tulipanami. Szpilki moich butów utonęły w gęstym, czarnym dywanie.

W pokoju znajdowała się jeszcze jedna rzecz, która przykuła moją uwagę. A mianowicie obraz wiszący nad kominkiem. Troje ludzi w siedemnastowiecznych ubraniach. Kobieta była przyodziana w srebro i biel, prostokątny dekolot odsłaniał całkiem sporo biustu. Jej brązowe włosy opadały w delikatnych loczkach. Za nią stał mężczyzna, wysoki, smukły z ciemnozłotymi włosami pozwijanymi w loki, które sięgały ramion. Miał zarost w stylu Vandyke o odcieniu ciemnego złota, zupełnie niczym brązu. Nosił miękki kapelusz z piórami, a do tego ubranie w odcieniach białych i złotych. Jednak to drugi mężczyzna spowodował, że podeszłam do obrazu.

Siedział za kobietą. Był ubrany na czarno z elementami ze srebrnym haftem, z szerokim koronkowym kołnierzem i mankietami. Miał kapelusz z jednym białym piórem i srebrną sprzączkę. Czarne włosy poskręcane w loczki opadały na jego ramiona. Był ogolony. Malarz jakimś cudem potrafił uchwycić głębokie, niebieskie oczy mężczyzny. Wpatrywałam się w twarz Jean-Claude'a namalowaną wieki temu. Pozostała dwójka uśmiechała się. Tylko on był poważny i perfekcyjny, przygaszał

ich blask. Zupełnie niczym śmierć na balu.

Wiedziałałam, że Jean-Claude liczył sobie kilka wieków, lecz nigdy nie miałam na to dowodu. Portret zaniepokoił mnie. Sprawiał, że zaczę-

łam zastanawiać się, czy nie okłamał mnie przypadkiem odnośnie swojego wieku. Oby nie.

Nagły głuchy dźwięk spowodował, że się obróciłam. Jason opadł na jedno z krzeseł. Jean-Claude stał za mną. Ściągnął marynarkę i jego czarne kręcone włosy rozlały się na ramionach szkarłatnej koszuli.

Mankiety były długie i ciasne, spięte trzema antycznymi spinkami w kształcie kuli o odcieniu głębokiej czarni, identycznie jak kołnierz. Ma-rynarka odciągała od niego uwagę, jednak bez niej jego blade ciało wo-kół koszuli błyszczało. Ubranie zasłaniało sutki, lecz ukazywało brzuch wraz z pępkiem. Przyciągało wzrok na jego czarną bieliznę. A może przyciągało tylko mnie. Nie mam pojęcia. To był jednak zły pomysł, by przyjść tutaj. To było równie niebezpieczne jak ten cholerny zabójca, może nawet bardziej. Groźniejsze w rzeczach, których nie jestem w stanie nawet opisać za pomocą samych słów.

Przesunął się w moim kierunku, idąc w swoich czarnych butach. Patrzyłam, jak zbliżał się do mnie, niczym sparaliżowana strachem łania, oślepiąca światłami samochodu na leśnej drodze. Wspaniałe porównanie, nie ma co. Byłam pewna, że zacznie flirtować, bądź zapyta się, czy podoba mi się obraz. Zamiast tego powiedział:

- Opowiedz mi o Robertcie. Policja oznajmiła, że umarł. Ale oni na niczym się nie znają. Widziałaś ciało, czy on naprawdę nie żyje?

Wypowiadał się z troską, zmartwieniem. Nie byłam na to przygotowana. - Tak, zajęli się jego sercem.

- Jeśli to tylko kołek, mógłby przeżyć gdyby go wyciągnąć.

Potrząsnęłam z przerażenia głową. - Jego serce zostało wyrwane.

Nie znaleźliśmy go na terenie posesji.

Jean-Claude zatrzymał się. Opadł gwałtownie na krzesło patrząc się w pustkę, bądź rzeczy nie do dostrzeżenia przeze mnie. - Więc naprawdę zginął. - Jego głos był pełen żalu, czułam go zupełnie jak czasem jego śmiech, zimny na skórze, przyprowadzający o gęsią skórę.

- Traktowałaś Roberta jak śmiecia. Skąd ta nagła zmiana, płacz i la-ment? Spojrzał na mnie. - Ja nie płaczę.

- Jednak traktowałaś go źle.

- Byłem jego panem. Jeśli traktowałbym go łagodnie, dojrzałby oznaki mojej słabości. Wyzwałby mnie i musiałbym go zabić. Nie kry-tykuj rzeczy, których nie rozumiesz. - W ostatnim zdaniu

wyczułam gniew, wystarczający bym poczuła go na skórze, niczym powiew ciepłego powietrza.

Zazwyczaj wkurzało mnie to, ale nie dziś. - Przepraszam. Masz rację, nie rozumiem. Nie wiedziałam, że obchodzi cię Robert, poza powiększeniem swojej siły, władzy.

- Więc w ogóle mnie nie rozumiesz, ma petite. Był moim towarzyszem przez ponad wiek. Po stu latach oplakiwałam nawet odejście wroga. Robert nie był moim przyjacielem, ale należał do mnie. To ja go karałam, nagradzałam, chroniłm go. I to ja go zawiodłam.

Patrzył się na mnie, jego oczy zmieniły kolor na niebieski, były mi obce. - Jestem ci wdzięczny za opiekę nad Moniką. Jedne, co mogę zrobić dla Roberta, to zaopiekować się jego żoną i dzieckiem. Niczego nie będzie im brakować.

Wstał energicznie, płynnym ruchem. - Chodź, ma petite. Pokaże ci nasz pokój. - Nie podobał mi się 'nasz', ale nie klóciłam się. Ten nowy, udoskonalony, emocjonalny JeanClaude wprowadził mnie w zakłopotanie.

- Kim jest pozostała dwójka na obrazie?

Spojrzał na niego. - Juliana i Asher. Była jego ludzkim sługą. Nasza trójka podróżowała razem przez prawie dwadzieścia lat.

Wspaniale. Nie mógł mi teraz wmawiać bzdur na temat charakterystyki do obrazu. - Jesteś zbyt młody by być muszkietierem.

Spojrzał na mnie zdziwionym, pustym wzrokiem, który nic nie zdradzał. - Co masz na myśli, ma petite?

- Nawet nie próbuj. Ubranie jest z XVII wieku, mniej więcej z czasów Trzech Muszkietierów Dumasa. Kiedy spotkaliśmy się za pierwszym razem powiedziałeś mi, że masz dwieście dziesięć lat. W końcu zorientowałam się, że mnie oszukałaś. Byłam, a teraz i jestem pewna, że masz około trzystu.

- Jeśli Nikolaos znałaby mój prawdziwy wiek, mogłaby mnie zabić, ma petite.

- Taa, stara Mistrzini Miasta była prawdziwą jędzą. Po co te kłamstwa, skoro już nie żyje.

- Masz na myśli, czemu cię okłamuję? - zapytał. Przytaknęłam. -

Tak, dokładnie to miałam na myśli.

Uśmiechnął się. - Jesteś nekromantką, ma petite. Byłem pewien, że jesteś w stanie określić mój wiek, bez mojej pomocy.

Staralam się wyczytać cokolwiek z jego twarzy, ale nie byłam w stanie. - Zawsze miałam z tobą problem, wiesz o tym doskonale.

- Cieszę się, że stanowią dla ciebie wyzwanie w niektórych aspektach.

Odpuściłam. Wiedział dokładnie, jakim wyzwaniem był dla mnie, jednak po raz pierwszy od dłuższego czasu czułam zaniepokojenie.

Określenie wieku wampira jest jedną z moich umiejętności, byłam w tym dobra. Musiałam być dobra. Nigdy nie pomyliłam się. Nie aż o tyle. - Jeden wiek starszy, też mi coś.

- Jesteś pewna, że tylko jeden wiek?

Spojrzałam na niego. Pozwoliłam by jego moc, przeszła przez moją skórę, zawirowała w mojej głowie. - Pewna na sto procent.

Uśmiechnął się. - Nie złość się aż tak, ma petite. Ukrywanie wieku jest jedną z moich zdolności. Udawałem starszego o sto lat, kiedy Asher był jeszcze moim kompanem. Pozwoliło nam to na swobodną wędrowkę przez tereny innych władców.

- Co spowodowało, że przestałeś podszywać się pod starszego?

- Asher potrzebował pomocy a ja nie byłem wystarczająco silny by mu pomóc. - Spojrzał na portret. - Ja... poniżyłem się próbując mu pomóc.

- Dlaczego?

- Kościół miał teorie, wierzył, że wampiryzm można wyleczyć świętymi obiektami. Związali go srebrnymi łańcuchami i relikwiami. Użyli na nim święconej wody, kropla po kropli starali się ocalić jego duszę.

Patrzyłam na tą piękną uśmiechniętą twarz. Jakiś czas temu zostałam ugryziona przez Mistrza Wampirów i oczyszczałam ranę wodą święconą. Czułam się jakby piętnowano mnie rozpalonym do białości żelazem, jakby wlewano we mnie wrzącą rtęć. Wymiotowałam i krzycza-

łam na przemian. Miałam się za bardzo silną - nie zemdlałam po tym wszystkim. Było to tylko jedno ugryzienie, jednego dnia. Nie chciałabym odejść z tego świata poprzez skapywanie na mnie żrącego kwasu.

- Co się stało z dziewczyną, Julianą?

- Uznano ją za wiedźmę i spalono.

- Gdzie wtedy byłeś?

- Na statku, płynąłem zobaczyć się z moja matką. Umierała. Byłem w drodze powrotnej, gdy usłyszałem wezwanie Ashera. Nie byłem w stanie dostać się do niego na czas. Przysięgam na wszystko, co święte, że starałem się ze wszystkich sił. Uratowałem Ashera lecz nigdy mi nie wybaczył.

- To on żyje? - spytałam zszokowana.

- Tak.

- Jak bardzo był ranny?

- Dopóki nie spotkałem Sabina byłem pewien, że blizny Ashera stanowią najgorsze świadectwo śmiertelnych ran zadanych wampirom.

- Dlaczego powiesiłeś obraz, skoro cię aż tak niepokoi?

Westchnął i spojrzał na mnie. - Asher wysłał go jako prezent dla mnie za objęcie stanowiska Mistrza Miasta. Nasz trójka była kompa-nami, prawie rodziną. Asher i ja byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi, obydwójce mistrzami, obydwójce o równej mocy, obydwójce zakochani w Julianie. Była mu oddana, ale mnie również darzyła uczuciem.

- Masz na myśli trójką? Przytaknął.

- Asher nie chowa urazy?

- Owszem, chowa. Jeśli rada zgodziłaby się, przybyłby wraz z obrazem i swoją zemstą.

- Żeby cię zabić?

Jean-Claude uśmiechnął się. - Asher ma duże poczucie humoru. Wy-stąpił z prośbą do rady o twoje życie, nie moje.

Wytrzeszczyłam oczy. - Co ja mu takiego zrobiłam?

- Zabiłem jego ludzkiego sługę, on zabija mojego. Sprawiedliwość.

Spojrzałam jeszcze raz na piękną twarz. - Rada nie zgodziła się?

- W rzeczy samej.

- Czy masz jeszcze jakiś wrogów, o których powinnam wiedzieć?

Jean-Claude delikatnie się uśmiechnął. - Wielu, ma petite, lecz żadnego aktualnie w mieście.

Spojrzałam na te uśmiechnięte twarze. Nie wiedziałam jak to wyrazić, ale wreszcie odezwałam się. - Wszyscy wyglądacie tak młodo.

- Nie zmieniłem się fizycznie, ma petite.

Potrząsnęłam głową. - Może młodzi nie jest odpowiednim słowem.

Naiwni. Uśmiechnął się. - W czasie, gdy namalowano ten obraz, ma petite, naiwny nie było słowem, jakim można by mnie określić.

- Dobra, niech będzie po twojemu. Spojrzałam na niego, przyglądając się jego twarzy. Był przystojny, jednak w jego oczach było coś, czego nie widziałam na obrazie. Żal, smutek oraz przerażenie. Także coś, czego nie byłam w stanie nazwać, pozostało takie samo. Wampirom nie przybywają zmarszczki wraz z wiekiem, mimo to życie przez kilka wieków pozostawia znamię. Cień pod oczami, czy też lekka zmiana wyrazu twarzy.

Odwróciłam się do Jasona, ciągle siedzącego na krześle. - Czy często wspomina stare dzieje?

- Tylko przy tobie - odpowiedział Jason.

- Nigdy nie zadajesz pytań? - zapytałam.

- Jestem tylko jego zwierzęciem. Nie odpowiada się na pytania zwierząt.

- Nie martwi cię to?

Jason uśmiechnął się. - Dlaczego miałbym interesować się obrazem?

Kobieta nie żyje, więc nie mogę się z nią przespać. Co mi po niej?

Poczułam ruch Jean-Clauda przy mnie, lecz nie mogłam za nim na-dążyć moim wzrokiem. Jego ręka była rozmazana. Krzesło huknęło o podłogę, a razem z nim Jason. Krew pojawiła się na jego twarzy.

- Nigdy więcej nie mów o niej w ten sposób.

Jason dotknął zewnętrzną częścią dłoni ust i cofnął ją we krwi.

- Co tylko rozkażesz. - Zaczął zlizywać krew z dłoni długimi i po-wolnymi ruchami języka.

Przerzucałam wzrok z jednego na drugiego. - Jesteście szaleni.

- Nie „szaleni”, ma petite. Po prostu nieludscy.

- Bycie wampirem nie daje ci prawa potraktowania ludzi w ten sposób. Richard nie bije innych.

- Z tego powodu nigdy nie utrzyma władzy w stadzie.

- Co to ma znaczyć?

- Nawet, jeśli przewycięży swoje skrupuły i zabije Marcusa, nie będzie wystarczająco okrutny, by przerazić resztę. Będzie ciągle wyzywa-ny. Jeśli nie zacznie zarzynać ludzi, umrze.

- Regularne bicie nie utrzyma go przy życiu - odmruknęłam.

- Owszem, tak. Tortury działają skutecznie, ale wątpię, żeby Richard był w stanie tego dokonać.

- Ja nie byłabym w stanie.

- Ale ty wyścielasz grunt pod własnymi nogami trupami, ma petite.

Zabijanie jest najlepszym środkiem odstraszającym.

Byłam zbyt zmęczona by kontynuować tę rozmowę. - Jest 4:30 rano.

Chcę do łóżka. Jean-Claude uśmiechnął się. - Zazwyczaj nie jesteś taka chętna, ma petite.

- Wiesz, co miałam na myśli - burknęłam.

Jean-Claude przybliżył się do mnie. Nie dotknął mnie, ale stał bardzo blisko i patrzył na mnie. -
Wiem, co dokładnie miałaś na myśli, ma petite.

Mój puls przyspieszył, czułam ciepło rozlewające się po ciele. Słowa były niewinne, ale nadał im nieprzyzwoite intymne brzmienie.

Jason poprawił krzesło i wstał, zlizując krew z kącika ust. Nie odzywał się, jedynie patrzył na nas jak dobrze wytrenowany pies. Widzi, ale nie słyszy.

Jean-Claude cofnął się. Poczulałam jak się poruszył, nie byłam w stanie nadażyć za nim wzrokiem. Zaledwie parę miesięcy temu wygląda-

łoby to jak magia, jakby pojawiał się kilka stóp ode mnie.

Wyciągnął do mnie rękę. - Chodź, ma petite. Odpocznijmy przez resztę dnia.

Trzymałam go już za rękę kiedyś, więc dlaczego teraz stałam i wpatrywałam się w nią jakby ofiarowywał mi zakazany owoc, który po spróbowaniu wszystko, by zmienił. Miał blisko czterysta lat. Twarz Jean-Claude'a sprzed tych wszystkich wieków spoglądała na mnie z góry, zaś obecnie ten sam wampir stał obok mnie z prawie takim samym uśmiechem. Jeśli kiedykolwiek potrzebowałam dowodu, właśnie go dostałam. Powalił Jasona jak psa, którym się nie przejmował. A mimo to nadal był piękny, jego widok zapierał mi dech w piersiach. Cholera.

Chciałam wziąć go za rękę. Chciałam położyć moje ręce na jego czerwonej koszuli, zbadać odkrytą część jego ciała. Objęłam się rękami za talię i potrząsnęłam głową. Jego uśmiech rozszerzał się, dopóki nie ukazał się kiel.

- Trzymaliśmy się już za ręce, ma petite. Czym różni się dzisiejsza noc? - Jego głos nie ukrywał kpiny.

- Po prostu pokaż mi pokój.

Opuścił dłoń do swego boku, ale nie wyglądał na urażonego. Bardziej na zadowolonego. Irytowało mnie to.

- Przyrowadź Richarda jak się zjawi, Jason, ale najpierw go za-anonsuj. Nie chce by mi przerywano.

- Jak sobie życzysz. - Odpowiedział Jason. Uśmiechnął się na siłę do nas, znam ten wyraz twarzy. Czy każdy już myślał, że spiam z Jean-Claudem? Może to, dlatego, że cały czas temu zaprzeczam? Możliwe?

- Po prostu przyrowadź Richarda do pokoju, kiedy się zjawi - powiedziałam. - W niczym nie będziesz przeszkadzał.

Spojrzałam na Jean-Claude'a w chwili, gdy to mówiłam. Zaśmiał się, ciepły dotyk jego dźwięku przeszedł po mojej skórze niczym jedwab.

- Nawet twoja odporność na pokusy maleje, ma petite.

Wzruszyłam ramionami. Chciałabym się pokłócić, ale wyczułby kłamstwo. Nawet wilk oddalony na milę byłby wstanie wyczuć. Jason nie był tak daleko, więc wszyscy w pokoju wiedzieli, że byłam napalo-na na Jean-Claude'a. I co z tego? Taa...

- Nie, to moje ulubione słowo, Jean-Claude. Powinieneś już o tym wiedzieć. Śmiech ustał i nił z jego twarzy, pozostawiając jego niebieskie oczy, oczy, które nie

wyrażały zadowolenia. Coś gorszego, bardziej pewnego siebie, spoglądało na mnie z jego oczu. - Tylko nadzieja pozwala mi przetrwać, ma petite.

Jean-Claude rozdzielił białe i czarne zasłony odsłaniając gołe szare kamienie, z których zostało wykonane pomieszczenie. Długi korytarz rozciągał się w głąb niczym labirynt. Pochodnie świeciły mocniej niż światło elektryczne w salonie. Stał oświetlony przez ogień oraz nowoczesne światło. Gra światła i cieni zatopiła połowę jego twarzy w cieniu i nadało mu ostrego spojrzenia. Może to nie była gra światła i cieni.

Może to był po prostu on.

- Gotowa, ma petite?

Weszłam w ciemność. Nie próbował mnie dotknąć, gdy poruszałam się przy nim. Zasługiwałby na dodatkowe punkty za walkę z żądzą, gdyby nie to, że znam go zbyt dobrze. Kupował sobie czas. Dotknięcie mnie teraz mogło mnie wkurzyć. Później już nie. Nawet ja nie byłam w stanie określić, kiedy nastrój był odpowiedni.

Jean-Claude szedł przede mną. Spojrzał przez ramię. - Znasz drogę do mojej sypialni, ma petite.

- Byłam tam raz - odpowiedziałam

- Niesiona, nieprzytomna i umierająca. Praktycznie się nie liczy. -

Przesuwał się dalej wzdłuż hollu. Dodał do swojego chodu lekki ruch bioder, coś w stylu Jasona na schodach. Wilkołak wyglądał przeko-micznie, natomiast Jean-Claude całkowicie uwodzicielsko.

- Chciałeś iść z przodu, żebym musiała patrzeć na twój tyłek. Odpowiedział, nie odwracając się. - Nikt cię nie zmusza do patrzenia, ma petite.

To była prawda. Okropna prawda. Jeśli w jakiejś pokręconej części serca nie byłabym nim zauroczona od początku, zabiłabym go już dawno temu. Bądź przynajmniej spróbowała. Miałam więcej legalnych egzekucji wampirów niż jakikolwiek inny łowca w kraju. Nie nazywali mnie Egzekutorem bez powodu. Więc jak to się stało, że jestem bezpieczniejsza w podziemiach Cyrku Potępieńców z potworami, niż na powierzchni pośród ludzi? Ponieważ, gdzieś tam w przeszłości nie zabi-

łam potworów, które powinnam.

Ten konkretny potwór przemieszczał się korytarzem przede mną. I miał najśliczniejszy tyłek, jaki kiedykolwiek widziałam u trupa.

Rozdział 22

Jean-Claude oparł się jednym ramieniem o ścianę. Już otworzył

drzwi. Zaprosił mnie do środka jednym, pełnym gracji ruchem ręki.

Moje szpilki zatonęły w grubym, białym dywanie. Ściany pomieszczenia zdobiła biała tapeta z małymi srebrnymi elementami. Zauwa-

żyłam białe drzwi po prawej stronie łóżka, które zasłano białą pościelą.

Z tuzin białych i czarnych poduszek piętrzyło się u jego wezgowia.

Wachlarz czarno-białej zasłony spadał z sufitu, tworząc nad łóżkiem coś w rodzaju baldachimu. Czarna lakierowana toaletka i komoda stały w przeciwległych rogach pokoju. Tapeta i drzwi były nowością. Zgadnijcie, co zaniepokoiło mnie bardziej.

- Co jest za drzwiami?

- Łazienka.

Zamknął zewnętrzne wejście i przeszedł obok mnie, by usiąść na brzegu łóżka. Nie było tu krzesel.

- Łazienka. Ostatnim razem jej tu nie było.

- Była, ale niezauważalna dla ciebie...

Oparł się na łokciach. Tkanina poruszyła się, ukazując tyle jasnej skóry, na ile mogła pozwolić koszula. Linia ciemnych włosów zaczyna-

ła się nisko na brzuchu, tuż ponad spodniami.

Nagle w pokoju zrobiło się cieplej. Rozpięłam zatrzaski mojej kamizelki kuloodpornej i zdjęłam ją.

- Gdzie mogę to położyć?

- Gdziekolwiek zechcesz - powiedział. Jego głos był miękki i bardziej intymny, niż wskazywałyby na to słowa.

Przeszłam do przedniej części łóżka, daleko od niego, i położyłam kamizelkę w poprzek aksamitnych poduszek.

Ułożył się na pościeli, czarne włosy otulały jego idealną twarz. Zrobiło się zdecydowanie cieplej.

- Mogę się odświeżyć?

- Oczywiście. Wiesz od dawna, że wszystko, co należy do mnie, jednocześnie jest twoją własnością, ma petite.

Przywarłam do drzwi i otworzyłam je z uczuciem ulgi. Weszłam do łazienki bez rozglądania się po niej. Jednak gdy po chwili to robiłam, z moich ust wyrwało się ciche wow. Pokój był długi i wąski. Miał po-dwójną umywalkę i lustro z obramowaniem z białych żaróweczek.

Umywalki były z czarnego marmuru, z przebiegającymi przez nie bia-

łymi żyłkami. Każdy kurek, każda krawędź połyskiwała srebrzyście.

Podłogę zdobił czarny dywan. Połowa ścian była posrebrzana, drugą zdobiły lustra. Była i wanna. Zmieściłoby się w niej spokojnie czworo ludzi. Prowadziły do niej trzy marmurowe schodki. Kurek w kształcie łabędzia z rozpostartymi skrzydłami migotał srebrnym blaskiem. Był

trochę za duży, ale z drugiej strony uroczy. O prysznicu (wolę prysznic niż kąpiele) nawet nie było mowy. Usiadłam na zimnym marmurowym brzegu.

Dochodziła piąta rano, a od braku snu piekły mnie oczy. Moja dzienna dawka adrenaliny osiągnęła już górną granicę, przekroczenie jej mogłoby mnie zabić. To, czego pragnęłam, to wygoda, bezpieczeństwo, tak, seks również, ale to nie najważniejsza rzecz tej nocy. Myślę, że zarówno Richard jak i Jean-Claude powiedzieliby, że to nigdy nie było moim priorytetem, ale to już ich problem. Okay, to nasz problem.

Jeśli to Richard rozciągałby się na łóżku w sąsiednim pokoju, dziś na pewno bym go wykorzystała. Ale to nie on. Nawet gdyby tu był, zapewne kochalibyśmy się łóżku Mistrza Miasta. Dość szmirowato brzmi uprawianie seksu z jednym facetem na łóżku drugiego. Tonęłam zalewana falami pożądania, a to raczej nie raniło w żaden sposób ani jednego, ani drugiego.

Czy to Richard był tym właściwym? Czy fakt, że Jean-Claude nie jest człowiekiem może trzymać mnie z dala od jego łóżka? Nie... Przynajmniej nie myślałam, że może. A czy z dala od łóżka Richarda? Odpowiedź, niestety, brzmiałaby tak... może.

Odświeżona zaczęłam przeglądać się w lustrze. Makijaż trochę spłynął, ale eyeliner wciąż podkreślał dramatyczny kontrast dużych ciemnych oczu z jasną cerą. Róż na policzkach całkiem się starł, a szminka już dawno się rozmasała. Miałam jakąś w torebce.

Nareszcie poczułam się swobodnie. Malowanie ust było jakby pokazaniem, że zależy mi na tym, co Jean-Claude o mnie pomyśli. Zależało.

To przerażające. Już nigdy więcej nie pomaluję ust. Wróciłam do sypialni, z zamiarem pozwolenia mu na wszystko, cokolwiek chciałby zrobić.

Nadal leżał wsparty na łokciach, obserwując, jak wchodziłam przez drzwi.

- Ma petite, jesteś taka piękna. Potrząsnęłam głową.

- Ładna, ale nie piękna.

Przekrzywiając głowę, delikatnie odrzucił włosy na jedno ramię.

- Kto ci powiedział, że nie jesteś piękna?

- Kiedy byłam małą dziewczynką, tata stawał za mamą, łapał ją w talii, zanurzał twarz w jej włosach i pytał: „Kto jest dziś najpiękniejszą kobietą na świecie?” Mówił tak przynajmniej raz dziennie. Ona wtedy śmiała się i mówiła, żeby nie żartował, ale ja się z nim zgadzałam. Dla mnie mama na zawsze pozostanie najpiękniejszą kobietą świata.

- Była twoją matką, a małe dziewczynki tak myślą o swoich matkach.

- Może i tak, ale gdy dwa lata później umarła, tata znów się ożenił.

Poślubił Judith, wysoką, blondwłosą z niebieskimi oczami i wcale nie przypominającą mojej mamy. Skoro uważał mamę za najpiękniejszą kobietę na świecie, dlaczego poślubił tę lodową Nordycką księżniczkę?

Dlaczego nie poślubił kobiety niskiej i ciemnej jak moja mama?

- Nie wiem, ma petite - odpowiedział cicho.

- Judith miała córkę tylko parę lat młodszą niż ja. Potem na świat przyszedł Josh, ich syn, niebieskooki blondyn, zupełnie jak reszta. Wyglądałam niczym mały, czarny błąd na rodzinnych zdjęciach.

- Twoja skóra jest prawie tak blada, jak moja, ma petite.

- Ale mam oczy i włosy matki. Moje włosy nie są ciemne, są czarne.

Kobiety przy mojej obecności spytały kiedyś Judith, czy jestem adoptowana. Odpowiedziała że nie, że jestem dzieckiem z pierwszego małżeństwa taty.

Jean-Claude ześlizgnął się z łóżka. Ruszył w moją stronę, a ja wlepi-

łam wzrok w podłogę. Desperacko pragnęłam być przytulona, odprężyć się. Gdyby to był Richard, podeszłabym do niego. Ale to nie był on.

Jean-Claude dotknął mojego policzka i uniósł moją twarz tak, bym na niego spojrzała.

- Żyję już prawie trzy stulecia. Na przestrzeni tych lat ideał piękna zmieniał się wiele razy. Czy kobiety miały duże piersi, czy małe, czy były szczupłe, wysokie, czy niskie, wszystkie swego czasu odzwierciedlały piękno. Jednak przez całe moje życie, mapetite, nie pożądałem nikogo tak bardzo, jak pożądam ciebie.

Nachylił się ku mnie, a ja zastygłam w bezruchu. Jego usta musnęły moje w delikatnym pocałunku. Zrobił ten ostatni krok, by przycisnąć do siebie moje ciało, ale ja go zatrzymałam, kładąc mu dłoń na piersi. Jedyne, co poczułam, to naga skóra. Koniuszki moich palców napotkały szorstką bliznę w kształcie krzyża. Przejechałam po niej dłonią i odnalazłam bijące serce. To zwykły dodatek.

Odsunął się, wziął oddech i wyszeptał prosto w moje usta:

- Powiedz nie, ma petite, a przestanę.

Musiałam dwa razy przełknąć, zanim powiedziałam:

- Nie.

Jean-Claude odszedł ode mnie. Położył się z powrotem na łóżku, w tej samej pozycji, co wcześniej. Wpatrywał się we mnie, ośmielając mnie do przyłączenia się do niego.

Nie byłam taka głupia, lecz jakaś mała, mroczna cząstka mnie o ma-

ły włos mu uległa. Żądza ma w sobie mniej logiki niż miłość, ale jest o wiele łatwiejsza do opanowania.

- Przez te kilka miesięcy grałem dla ciebie śmiertelnika. Myślałem, że w marcu, kiedy dotykałaś mojego nagiego ciała, kiedy dzieliłaś się ze mną swoją krwią, był to punkt zwrotny w naszym związku, że uległaś pożądaniu i wreszcie dostrzegłaś swoje prawdziwe uczucia do mnie.

Moja twarz oblała się szkarłatem. Nie miałam dobrego wytłumaczenia dla gry, która wymknęła się spod kontroli. Byłam chora, to pewne.

- Podzieliłam się z tobą krwią, bo umierałeś. W innym wypadku na pewno bym tego nie zrobiła, wiesz o tym.

Patrzył na mnie. To nie wampirze sztuczki kazały mi odwrócić wzrok. Tak nagiej prawdy jeszcze nigdy nie dostrzegałam na jego twarzy.

- Teraz to wiem, ma petite. Kiedy wróciliśmy z Branson, rzuciłaś się w ramiona Richarda, jakby był twoim kołem ratunkowym. Kontynu-owaliśmy nasze spotkania, ale odsuwałaś się ode mnie. Czułem to, chociaż nie wiedziałem, jak temu zapobiec.

Usiadł na łóżku, położył dłonie na udach. Na jego twarzy malował się wyraz frustracji i zmieszania.

- Nie miałem jeszcze kobiety, która by mi odmówiła, ma petite. Zaśmiałam się

- O, twoje poczucie własnej wartości jest zbyt wysokie.

- To nie ego, ma petite, to prawda.

Z utęsknieniem spojrzałam na drzwi łazienki.

- Nikt w ciągu tych trzystu lat ci nie odmówił?

- Czy aż tak trudno w to uwierzyć?

- Jeśli ja mogę powiedzieć nie, inne też mogły. Potrząsnął głową.

- Masz ogromnie silną wolę, ma petite. To imponujące. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Jeśli wpadłabym w twe ramiona pierwszego razu, gdy się spotkali-

śmy lub nawet kilkunastego, przespałbys się ze mną, wyssał ze mnie krew i porzucił.

Patrzyłam, jak prawdziwość moich słów wypełnia jego twarz. Do tego momentu nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele wysiłku wkładał w to, by kontrolować jej wyraz. Brak reakcji czynił go jeszcze bardziej nieludzkim, niż był w rzeczywistości.

- Masz rację - powiedział. - Jeśli wtedy chichotałabyś i przymilała się do mnie, nie dał bym ci nawet najmniejszej szansy. Twoja częściowa odporność na moje moce, zaintrygowała mnie jako pierwsza. To, że potrafiłaś mi się oprzeć, pociągało najbardziej.

- Stanowiłam wyzwanie.

- Tak.

Wpatrywałam się w jego nagle szczerą twarz. Po raz pierwszy mia-

łam wrażenie, że widzę prawdę w jego oczach.

- Jak dobrze, że okazałam się odporna. Nie lubię być wykorzystana i odstawiona na bok.

- Kiedyś byłaś tylko wyzwaniem, obiektem do podbicia. Intrygowa-

łaś mnie swoimi rosnącymi mocami. Widziałem możliwość umocnienia mojej pozycji dzięki tobie, jeśli tylko przyłączyłabyś się do mnie.

Coś na kształt bolesnego grymasu przeszło jego twarz, chciałam wiedzieć, czy był prawdziwy. Czy jego mimika była prawdziwa, czy była to tylko kolejna maska. Wierzyłam, że Jean-Claude może zrobić wszystko, by przetrwać. Nie odważyłabym się jednak powiedzieć mu prawdy, gdybym nawet musiała przysięgać na Biblię.

- Ratowałam twój tyłek wystarczającą ilość razy. Jestem twoją ludzką służebnicą, czego jeszcze chcesz?

- Ciebie, ma petite.

Podniósł się, ale nie podszedł bliżej.

- To już nie wyzwanie czy obietnica większej mocy sprawiają, że patrzę na ciebie w ten, a nie inny sposób

Puls w moim gardle nagle zaczął łomotać, to nie było byle co.

- Kocham cię, Anito.

Wpatrywałam się w niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam. Nie uwierzyłam mu. Kłamstwo przychodziło mu z taką łatwością. Był mistrzem manipulacji, jak mogłam mu teraz wierzyć?

- Co mam ci powiedzieć?

Potrząsnął głową, na jego twarzy znów zagościła pustka. Ta dotychczasowa, piękna perfekcja przeminęła dla zwyczajności. Ale wiedzia-

łam już, że nawet jeśli była to maska, skrywała w sobie głębsze emocje.

- Jak to zrobiłeś?

- Po kilku stuleciach trenowania swej twarzy do pokazywania jedynie namiastki prawdziwych emocji lub nie okazywania ich wcale, tra-cisz zdolność do czegoś więcej. Moje przetrwanie było niejednokrotnie zależne od wyrazu twarzy. Chciałbym, abyś zrozumiała, jak wiele kosztuje mnie to

przedstawienie.

- Co chcesz, żebym ci powiedziała, Jean-Claude?
- Jestem przekonany, że kochasz mnie choć troszkę. Wzruszyłam ramionami.
- Być może, ale troszkę nie znaczy wystarczająco
- Bardziej kochasz Richarda, nieprawdaż?

Napotkałam jego oczy i już chciałam skłamać, by nie zranić jego uczuć, ale tego rodzaju kłamstwa często bolą bardziej, niż szczerą prawdą.

- Taaa...
- Aż do dziś nie dokonałaś wyboru. Nie powiedziałaś, że mam zostawić waszą dwójkę, wijącą sobie przytulne gniazdko z miłości. Dlaczego?
- Podczas naszej ostatniej rozmowy powiedziałaś, że zabijesz Richarda.
- Jeśli tylko ta obawa cię powstrzymuje, ma petite, nie lękaj się. Nie mam prawa zabić Richarda wyłącznie dlatego, że poszłabyś do łóżka z nim, a nie ze mną.
- Od kiedy nie masz prawa? - spytałam.
- Odkąd poparłem Richarda, Marcus stał się moim wrogiem. To się już nie zmieni. Oparł ramię o ciemny, drewniany zagłówek tuż obok mnie.
- Dałem swoje poparcie stadu. Zawsze znajdzie się jakiś ambitny samiec alfa, który chciałby rządzić, lecz przez sentymentalizm czy brak siły jest skazany grać drugoplanową rolę. Mogłem zabić Richarda i na-mówić kogoś innego, by zabił Marcusa.

Wsluchiwałam się w jego trzeźwy plan.

- Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?
- Ty.
- Znowu?
- Kochasz go, ma petite. Naprawdę go kochasz. Jego śmierć zniszczyłaby część ciebie. Kiedy Julianna umarła, myślałem, że już nigdy nikogo nie pokocham. Nie pokochałem, dopóki nie poznałem ciebie.
- Nie zabijesz Richarda, bo to mogłoby mnie zranić?
- Oui.

- Więc gdy tu dotrze, powiem mu, że to jego wybrałam, a ty zostawisz nas w spokoju, tak?

- Czy poza mną jest jeszcze jakaś przeszkoda byś go poślubiła?- zapytał. Zamilkłam.

- Nie widziałaś, jak przybiera wilczą postać. - Jean-Claude uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Jeśli Richard byłby człowiekiem, czekała-byś w drzwiach z uśmiechem na twarzy i słowem tak na ustach. Ale obawiasz się tego, kim jest. A nie jest wystarczająco człowiekiem dla ciebie, ma petite.

- Jest wystarczająco człowiekiem dla siebie - odparłam. Jean-Claude zmarszczył brwi.

- Tak, Richard ucieka przed swoją bestią, podczas gdy ty uciekasz przede mną. Ale on dzieli ciało ze zwierzęciem. Nie może się tego wyzbyć.

- Wiem o tym.

- Richard wciąż ucieka, ma petite, a ty podążasz za nim. Gdybyś by-

ła pewna Richarda, już dawno byś przyjęła go całego, takiego jakim jest.

- Wciąż szuka sposobów, by się dla mnie nie przemieniać

- Obawia się twojej reakcji - odparł Jean-Claude.

- Jest coś jeszcze - dodałam. - Gdybym potrafiła zaakceptować jego bestię, nie jestem pewna, czy on byłby w stanie ze mną pozostać.

Jean-Claude przechylił głowę na bok.

- Nie rozumiem.

- Nienawidzi tego, że taki jest. Myślę, że gdybym pogodziła się z je-go podwójną naturą, już nigdy by mnie nie pokochał.

- Bycie zdolną do ujarznienia jego bestii czyni cię tak... nieatrakcyjną?

- Chyba tak - przytaknęłam.

- Znajdujesz się na rozdrożu, ma petite. Nie pozwoli ci się pokochać lub poślubić, dopóki nie ujrzysz i nie zaakceptujesz jego bestii. Gdy już to zrobisz, będziesz się bała, że się od ciebie odwróci.

- Taaa.

Potrząsnął głową.

- Tylko ty możesz wybrać dwóch facetów w czasie jednego ludzkiego życia, co jest zadziwiające.

- To nie było zamierzone.

Odechnął się od łóżka. Zatrzymał się o dwa małe kroki ode mnie, patrząc w dół.

- Staralem się być śmiertelnikiem dla ciebie, ma petite. Ale Richard jest o wiele lepszy w byciu człowiekiem niż ja. Tak długo nim nie by-

łem. Jeżeli nie mogę być dobrym człowiekiem, pozwól mi być lepszym potworem.

Zmrużyłam oczy.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, ma petite, że Jason powiedział mi, co się wydarzyło te-go popołudnia. Wiem, jak blisko byliście, ty i Richard.

Jak wiele mógł usłyszeć lykantrop? Więcej, niż mogłam się spodziewać, jak sądzę.

- Po prostu uwielbiam być szpiegowana.

- Nie bądź cyniczna, ma petite, proszę. Pomogło.

- Słucham.

- Powiedziałem kiedyś, że jeśli Richard będzie mógł cię dotykać, a ja nie, to nie będzie fair. To nadal jest prawdą.

Odsunęłam się od drzwi. Jean-Claude cofnął się na krok ode mnie.

- Prosisz mnie, bym pozwoliła dotykać się tam, gdzie robi to Richard? Uśmiechnął się.

- Cóż za oburzenie, ma petite. Ale nie bój się. Wymuszenie na tobie czegokolwiek to w pewnym rodzaju gwałt. Takie rzeczy nigdy mnie nie interesowały.

Cofnęłam się o krok, pozostawiając małą przestrzeń pomiędzy nami.

Dopóki byłam naprawdę wściekła, stanowiła bezpieczną odległość.

- Mów dalej.

- Zawsze zakazywałaś mi stosowania na tobie wampirzych sztuczek, jak je nazywałaś. - Uniósł dłoń zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć.

- Nie mam na myśli śledzenia cię moimi oczyma. Nawet nie jestem pewien, czy to wciąż jest możliwe. Nie mogę być człowiekiem, ma petite. Jestem wampirem. Pozwól mi pokazać ci, że istnieją przyjemności również poza byciem człowiekiem. Potrzęsnęłam głową.

- Nie ma mowy.

- Pocałunek, ma petite, to, o co proszę to pocałunek. Zwyczajny po-całunek.

- Jest w tym jakiś haczyk? - zapytałam.

Jego oczy lśniły czystym błękitem, skóra iskrzyła się jak alabaster w blasku świec.

- Nie sędzę. Gdybyś była naprawdę pewna Richarda, zostawiłbym cię dla niego. Ale czy fakt, że cię kocham nie sprawia, że zasługuję na pocałunek?

Cholera.

Przysunął się ku mnie. Cofnęłam się, ale drzwi były daleko ode mnie, nie miałam dokąd uciec.

Wyglądał jak żywy posąg, z kości słoniowej i szafirów, zbyt piękny, by opisać go słowami. Zbyt piękny, by go dotknąć. Jego dłonie przesunęły się wzdłuż moich barków, pogładziły mnie po ramionach. Odetchnęłam głośno. Moc prześlizgnęła się po mojej skórze w delikatnym muśnięciu, zupełnie jakby powietrze zatańczyło dookoła mego ciała.

Musiałam być spięta, bo Jean-Claude powiedział:

- Nie skrzywdzę cię, obiecuję.

- Tylko pocałunek - wyszeptałam.

- Tylko pocałunek - odpowiedział zmysłowym tonem. Nachylił ku mnie swoją twarz. Jego usta musnęły mnie delikatnie, niespiesznie.

Moc przeniknęła przez moje wargi do ust. Chyba na chwilę przestałam oddychać. Wydawało mi się, że moja skóra zaczyna się roztopiać i pragnęłam zatonać w jego ciele, w tej lśniącej mocy.

- Wygląda na to, że przybyłem w samą porę. Głos Richarda zabrzmiał w przejściu.

Wyciągnęłam dłoń w kierunku Jean-Claude'a i odepchnęłam go wystarczająco mocno, by się potknął. Z trudem łapałam powietrze, zupełnie jakbym tonęła. Moja skóra dygotała i tętniła mocą, która wciąż po mnie pełzała, wypełniała mnie.

- Richardzie - szepnęłam.

Chciałam wytłumaczyć, że to nie było to, na co wygląda, ale nie mogłam złapać oddechu.

Jean-Claude odwrócił się i uśmiechnął. Dokładnie wiedział, co powiedzieć.

- Richard, jak miło z twojej strony, że się do nas przyłączyłeś. Jak udało ci się wyprzedzić mojego wilka?

- To nie było trudne.

Zapatrzyłam się w nich. Wciąż miałam problemy z oddychaniem.

Czułam, jakby każdy nerw w moim ciele został znieczulony.

Granica pomiędzy przyjemnością a bólem była cholernie mała i nie byłam pewna, w którą stronę się obróci.

Jasność przesiąkała z Jean-Claude'a, czyniąc go bladym, cudownym, czyniąc go niemalże człowiekiem. Richard stał w drzwiach. Jego oczy nie lśniły swym wewnętrznym blaskiem, lecz złością, rzucały gniewne błyskawice, naprężyły mięśnie na barkach i wzdłuż ramion tak, że w całym pokoju czuć było jego wysiłek. Nigdy jeszcze nie byłam tak świadoma tego, jak ogromnie musiał powstrzymać swoją bestię.

Wydawał się wypełniać więcej przestrzeni, niż potrzebował.

Pierwszy powiew jego mocy zawirował dookoła mnie. Wzięłam głęboki, urywany oddech i zaczęłam iść w jego kierunku. Im bliżej byłam, tym silniej odczuwałam tę magię. Mniej więcej sześć stóp od niego, pojawiło się uczucie wstępowania w niemal stałą masę pulsującej, wi-brującej energii. Stałam tam, próbując zmusić swoje łomocące w gardle serce do powrotu na swoje miejsce.

Richard był ubrany w jeansy i zieloną, flanelową, roboczą koszulę z rękawami zawiniętymi dookoła przedramion. Pofalowana burza jego włosów luźno spływała na ramiona. Widziałam go takiego ze sto razy, ale teraz był całkowicie inny. Nigdy tak do końca nie obawiałam się Richarda. Teraz, pierwszy raz zobaczyłam, że jest się czego obawiać.

Coś czało się w jego oczach, jego bestia, jak to nazywał. Potwór tylko czekał, by się uwolnić.

- Richard - wykrztusiłam z siebie. - Co z tobą?

- Jutro pełnia, Anito. Silne emocje nie są teraz dla mnie wskazane.

Wściekłość formowała jego twarz tak, że te cudowne kości policzkowe stały się jeszcze bardziej wystające i mocniej niż dotąd zarysowane.

- Gdybym wam nie przerwał, złamałabyś daną mi obietnicę?

- On wciąż nie wie, jaki rodzaj rajstop noszę - odpowiedziałam. Richard uśmiechnął się, jego napięcie złagodniało.

- Materiał jest zbyt delikatny na pończochy z podwiązkami - powiedział Jean-Claude. - Rajstopy, najzwyklejsze, myślę, że bez ściągacza, choć nie jestem pewien.

Richard warknął.

Z powrotem zerknęłam na Jean-Claude'a.

- Nie pomagasz mi.

Uśmiechnął się i skinął głową. Oparł się plecami o zagłówek, jego palce zabawiały się nagą skórą na

piersi. To sugestia, chciał, aby tak to wyglądało. Do cholery z nim. Niski, basowy pomruk zwrócił moją uwagę z powrotem na Richarda. Sztywno podszedł do łóżka, jakby każdy ruch sprawiał mu ból. Napięcie przeniknęło przez rodzącą się moc. Czy zobaczę, jak się przemienia? Tu i teraz? Jeśli by się zmienił, walka byłaby nieunikniona, i po raz pierwszy naprawdę bałam się o bezpieczeństwo Jean-Claude'a tak samo, jak bałam się o Richarda.

- Richard, nie rób tego, proszę.

Utkwił swój wzrok w stojącym za mną Jean-Claudzie. Nie odważy-

łam się spojrzeć za siebie, by zobaczyć, jakich prowokacji używał

wampir. Wiedziałam, że będę miała pełne ręce roboty z wilkołakiem stojącym przede mną. Coś prześlizgnęło się przez jego twarz. Byłam pewna, że Jean-Claude robi coś za moimi plecami. Richard wydał z siebie dźwięk brzmiały bardziej jak zwierzę, niż jak człowiek i popędził w stronę łóżka. Nie ustąpiłam mu z drogi. Stałam jak wryta, a gdy mnie mijał, rzuciłam się na niego całym ciałem, wiążąc go moim uści-skiem. Jego pęd zwolnił. Zelżyłam uścisk, myśląc, że można będzie uniknąć katastrofy, ale popełniłam klasyczny błąd. Nie pomyślałam, że Richard mógłby mnie naprawdę zranić.

Uwolnił się i cisnął mną przez pokój. Leżał na plecach, w tej pozycji nie mógł użyć naprawdę dużej siły, to mnie uratowało. Na kilka chwil znalazłam się w powietrzu, potoczyłam po dywanie i uderzyłam w coś.

Świat wciąż kręcił się w kółko, gdy sięgałam po nóż. Nie słyszałam zupełnie nic, pulsowało mi w skroniach, ale wiedziałam, czułam, że nadchodzi. Dotknął mojego ramienia, przekręcił mnie, a ja przytknęłam srebrne ostrze do jego szyi. Zamarł, pochylony nade mną, próbując, jak myślę, pomóc mi wstać. Richard i ja wpatrywaliśmy się w siebie z odległości kilku cali. Wściekłość zniknęła z jego twarzy, oczy znów stały się normalne, piękne jak zawsze, mimo tego wciąż trzymałam nóż na delikatnej skórze jego szyi, na znak, że to nie żarty. Przełknął powoli ślinę.

- Nie miałem zamiaru cię skrzywdzić, Anito. Tak mi przykro.

- Odsuń się - warknęłam.

- Jesteś ranna?

- Odsuń się natychmiast, Richardzie!

- Pozwól sobie pomóc.

Nachylił się bardziej, a ja nacisnęłam ostrze wystarczająco mocno, by wypłynęła spod niego strużka krwi.

- Zostaw mnie.

Puścił mnie i powoli się oddalił. Wyglądał na zakłopotanego i zranionego. Dotknął krwi na szyi,

jakby nie wiedział, co to. Gdy już byłam poza jego zasięgiem, z powrotem opadłam na dywan. Nic sobie nie złamałam, to było pewne, i nie krwawiłam. Gdybym uderzyła w ścianę z większą siłą, to byłaby już inna historia. Spotykałam się z nim przez siedem miesięcy, więcej niż raz prawie się z nim przespałam, i przez cały ten czas nie byłam świadoma, w co wdepnęłam.

- Ma petite, wszystko w porządku?

Jean-Claude stał krok od łóżka. Cały czas obserwując Richarda, podszedł do mnie.

- Wszystko okay. Nic mi nie jest - odpowiedziałam, patrząc na niego gniewnie. - Coś ty robił za moimi plecami, żeby się ode mnie odpieprzył?

Jean-Claude wyglądał na zażenowanego.

- Drażniłem monsieur Zeemana. Tak naprawdę wcale nie chciałem walczyć. Zazdrość jest niemądrym uczuciem. Skąd mogłem wiedzieć, że nie zejdziesz z drogi szarżującemu wilkołakowi?

- Ja nie ustępuję nikomu. - Prawie się roześmiałam. - Być może na-stępnym razem zrobię wyjątek.

- Nie miałem zamiaru cię skrzywdzić - powiedział Richard. - Ale widząc was razem, w taki sposób... Świadomość, że z nim jesteś, nie była przyjemnym uczuciem.

Jego gniew rozpląnął się z chwilą, gdy sprawił mi ból. Przerazenie, w które mnie wprawił, uderzyło w me poczucie bezpieczeństwa, obracając je w nieufność.

- Tylko się całowaliśmy, Richardzie, nic więcej, choćby nie wiem, jak to wyglądało.

- Nagle zrobiłem się strasznie zazdrosny, przepraszam.

- Wiem, że to był wypadek, cieszę się tylko, że ściana nie była tak blisko.

- Mogłem cię poważnie zranić.

Zrobił krok w moją stronę, wyciągnął dłonie, ale zaraz się powstrzymał.

- Chciałaś, abym pozwolił bestii uwolnić się na tyle, by mogła zabić.

Czy nie rozumiesz, jak ciężko jest mi to opanować?

- Zrozumiałam to kilka minut temu - odrzekłam.

- Twoje bagaże są w holu. Przyniosę je, a potem odejdę.

Właśnie tego się obawiałam. Myny skruszonego szczeniaka. Jego wściekłość byłaby łatwiejsza do zniesienia, choć bardziej niebezpieczna.

- Nie odchodź.

Obaj na mnie spojrzeli.

- Jean-Claude to ukartował.

Uniosłam dłoń, nim zdążył zaprotestować.

- Ooo, wiem, że świetnie się bawiłeś i że chciałeś, by Richard zobaczył nas razem. Szukałeś pretekstu do walki. Chciałeś pokazać mi, że jest w większym stopniu potworem niż ty i to ci się świetnie udało. A teraz spadaj.

- Wyrzucasz mnie z mej własnej sypialni? - Był szczerze rozbawiony.

- Taaa.

Wstałam i zachwiałam się na swych wysokich obcasach. JeanClaude westchnął.

- Czy już zawsze mam być wysyłany do trumny, by spać, bez twojego uroczego towarzystwa?

- Ty nie chodzisz spać, Jean-Claude. Jesteś martwy. Może i pragnę-

łam twego ciepłego, oddychającego ciała, ale nie skończyłam się jeszcze pakować.

Uśmiechnął się.

- Dobrze, ma petite. Zostawię ciebie i monsieur Zeemana byście mogli przedyskutować te kilka ostatnich minut. Jestem tylko ciekaw jednej rzeczy.

- Jakiej? - zapytałam.

- Czy kochałabyś się w moim łóżku, gdybym nie mógł się do ciebie przyłączyć? Westchnęłam.

- To byłoby obrzydliwe kochać się z Richardem w twoim łóżku.

Możesz być tego pewien.

Jean-Claude spojrział na Richarda. Jego oczy zdawały się badać każdy cal jego ciała, zatrzymując się na skaleczeniu na szyi, ale to mogło mi się tylko przywidzieć.

- Jeśli ktokolwiek mógłby oprzeć się pokusie, byłabyś to ty, ma petite. - Jean-Claude patrzył na mnie bez jakichkolwiek emocji na twarzy. -

Przykro mi, że prawie zostałam ranna. Nie chciałem tego.

- Ty zawsze masz dobre intencje - powiedziałam. Westchnął, a potem się uśmiechnął. Zerknął na Richarda.

- Być może po tym wszystkim jednak nie jestem lepszym potworem

- rzekł.

- Wynocha - odpowiedziałam.

Wyszedł, wciąż się uśmiechając. Podeszedł do drzwi, a ja poczułam jego moc tańczącą po mej skórze, dotyk jego ust i dłoni na ciele. To był

zwykły pocałunek. Gra wstępna. Ale ani gwałtowny zastrzyk adrenaliny, ani bycie prawie rzuconą o ścianę nie zagłuszyło końcowych efektów naszego zbliżenia. Richard wciąż wpatrywał się we mnie, jakby jakoś wyczuwał tę moc.

- Pójdę po torby - oznajmił.

Mógł tak wiele powiedzieć, ale to było bezpieczniejsze. Poszedł po bagaże, a ja usiadłam na łóżku. Richard mógł mnie zabić. Jean-Claude nigdy nie straciłby panowania nad sobą. Pragnęłam, by Richard pogodził się ze swą bestią, mimo że nie chciałam zrozumieć, co to będzie oznaczało.

Rozdział 23

Usiadłam na krawędzi łóżka, czekając, aż Richard wróci do pokoju.

Moja skóra drżała pod wpływem pożegnalnego podarunku JeanClaude'a. To był zaledwie pocałunek, a Richard prawie się na nas rzucił. Ciekawe, co by zrobił, gdyby przyłapał nas na czymś naprawdę nieprzyzwoitym? Wolałam nie wiedzieć.

Richard zostawił w drzwiach moją walizkę i obie torby. Wyszedł, po czym wrócił niosąc małą torbę z rzeczami na jedną noc. Stał w progu, wpatrując się we mnie. A ja w niego. Krew nadal ściekała mu ze zro-bionego przeze mnie nacięcia na szyi. Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Cisza narastała, można było nieomalże poczuć jej wagę.

- Przepraszam, że zadałem ci ból - powiedział. - Nigdy wcześniej nie utraciłem nad sobą panowania. Nie w ten sposób. - Zrobił krok w moją stronę. - Ale widząc cię z nim... -Wyciągnął ręce przed siebie, potem pozwolił im bezsilnie opaść.

- To był tylko pocałunek, Richardzie. Nic innego.

- Kiedy chodzi o Jean-Claude'a, to nigdy nie jest tylko pocałunek.

Nie mogłam temu zaprzeczyć.

- Chciałem go zabić - wyznał Richard.

- Zauważyłam.

- Na pewno wszystko w porządku?

- Jak twoja szyja? - Zadałam własne pytanie. Dotknął rany, brudząc się świeżą krwią.

- Dzięki srebrnemu ostrzu ta mała ranka nie zagoi się natychmiast. -

Stał przede mną, tak blisko, że nogawki jego jeansów nieomalże ocierały się o moje kolana. Znalazł się prawie za blisko. Pozostałość dotyku mocy Jean-Claude'a sprawiała mi ból. Bliskość Richarda jeszcze go potęgowała.

Był tak blisko, że gdybym wstała, nasze ciała zetknęłyby się. Zosta-

łam w pozycji siedzącej, usiłując wchłonąć resztki pocałunku Jean-Claude'a. Nie byłam pewna, co się stanie, jeżeli dotknę teraz wilkołaka.

Wyglądało na to, że cokolwiek Jean-Claude zrobił, reagowało na ciało Richarda. A może to byłam ja. Może byłam aż tak niewyżyta. Może moje ciało miało dość mówienia nie.

- Czy naprawdę byś mnie zabiła? - spytał. - Byłabyś zdolna poderżnąć mi gardło?

Wpatrywałam się w niego, pragnąc skłamać w obliczu szczerości bijącej z jego oczu, ale nie mogłam. Cokolwiek działo się między nami, czymkolwiek byliśmy dla siebie, nie mogło opierać się na kłamstwach.

- Owszem.

- Tak po prostu - powiedział. Skinęłam głową. - Tak po prostu.

- Zobaczyłem to w twoich oczach. Chłód, beznamiętność, jakby inna osoba zawładnęła twoją duszą. Gdybym był pewien, że potrafię zabić z zimną krwią, nie byłoby to dla mnie tak przerażające.

- Chciałabym móc ci obiecać, że nie będziesz czerpał z tego przyjemności, ale nie mogę.

- Wiem. - Wpatrywał się we mnie. - Nie mógłbym cię zabić, niezależnie od przyczyny.

- Coś we mnie by umarło, gdybym cię straciła, Richardzie, ale moją pierwszą reakcją jest samoobrona za wszelką cenę. Więc, jeżeli kiedykolwiek dojdzie między nami do takiego nieporozumienia jak dziś, nie staraj się mi pomóc, nie podchodź do mnie, dopóki nie będę pewna, że mnie nie zjesz. Dobrze?

Kiwnął głową. - Dobrze.

Fala energii, którą przekazał mi Jean-Claude, powoli zanikała, uspokajała się. Wstałam, dotykając Richarda. Poczułam natychmiastowy podmuch ciepłej mocy, która nie miała nic wspólnego z wampirzą. Jego aura otoczyła mnie niczym podmuch ciepłego powietrza. Przytulił

mnie. Rękami objęłam go w pasie, policzek wtuliłam w jego pierś. Słuchałam głębokiego bicia serca, rękami przebiegłam po miękkiej flaneli bluzki. W tych ramionach odnajdywałam poczucie komfortu, którego nie odczuwałam, gdy to Jean-Claude mnie obejmował.

Przeczesał dłońmi moje włosy, obejmując moją twarz. Odsunął mnie na tyle, aby móc na nią spojrzeć. Pochylił się, usta miał rozchylone.

Wyciągnęłam się na palcach, aby wyjść mu na spotkanie.

- Panie - przerwał nam czyjś głos.

Richard obrócił się, nie wypuszczając mnie z objęć, byśmy mogli zobaczyć drzwi. Jason, krwawiąc, przeczołgał się po dywanie.

- Boże, co ci się stało? - zapytałam.

- To ja - powiedział Richard. Podszedł do pełzającego mężczyzny.

- Jak to, ty?

Jason uniżał się u stóp Richarda, twarzą dotykając dywanu. - Przepraszam.

Richard uklęknął i podniósł go do pozycji siedzącej. Krew ściekała mu po twarzy z rany tuż nad oczami. Była na tyle głęboka, że wymaga-

ła szwów.

- Rzuciłeś nim o ścianę? - spytałam.

Richard spojrzał na mnie. - Chciałaś, abym był przywódcą stada.

Chciałaś, abym był samcem alfa. Cóż, tego to właśnie wymaga. - Po-kręcił głową. - Powinnaś zobaczyć swoją minę. Wyglądasz na cholernie oburzoną. Jak możesz chcieć, abym zabił innego człowieka i zdenerwować się odrobiną przemocy?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. - Jean-Claude mówił, że zabicie Marcusa nie wystarczy. Że musiałbyś być gotów sterroryzować stado, aby nim rządzić.

- Ma rację. - Richard otarł krew z twarzy Jasona. Rana już zaczęła się zasklepiać. Włożył okrwawione palce do ust i wylizał je do czysta.

Zamarłam w bezruchu, mimowolnie przypatrując się tej scenie, niczym świadek wypadku samochodowego.

Richard pochylił się tuż nad twarzą Jasona. Myślałam, że wiem, co zamierza zrobić, ale musiałam zobaczyć, aby uwierzyć. Polizał rozcięcie. Przebiegł językiem po otwartej ranie niczym pies.

Odwróciłam wzrok. To nie mógł być mój Richard, moja opoka, moje pocieszenie.

- Nie możesz na to patrzeć, prawda? - zapytał. - Czy myślałaś, że zabijanie to jedyna rzecz, której odmówiłem?

Jego głos sprawił, że ponownie na niego spojrzałam.

Na jego brodzie była krew. - Patrz, Anito. Chcę abyś zobaczyła, co oznacza bycie alfą. Potem powiesz mi, czy gra jest warta świeczki. Je-

żeli nie możesz tego strawić, nigdy więcej mnie o to nie proś. - W jego spojrzeniu wyczytałam wyzwanie.

Rozumiałam wyzwania. Usiadłam na krawędzi łóżka. - Kontynuuj, jestem twoja.

Richard odrzucił włosy, odsłaniając ranę na szyi. - Jestem samcem alfa i żywię stado. Przełałem twoją krew, teraz odpłacam się. - Ciepłe tchnienie jego mocy rozlało się po pomieszczeniu.

Jason wpatrywał się w niego, błyskając białkami oczu. - Marcus tego nie robi.

- Bo nie potrafi - powiedział Richard. - Ja owszem. Nakarm się moją krwią, moimi przeprosinami, moją mocą i nigdy więcej mi się nie sprzeciwiaj. - Powietrze było tak gęste od mocy, że oddychanie stało się trudne.

Jason uniósł się na kolanach i zbliżył usta do rany, na początku nie-

śmiało, jakby się bał, że zostanie odsunięty lub zraniony. Kiedy Richard nic nie powiedział, Jason przyłożył usta do otwartej rany i pił. Pracowa-

ły mięśnie jego szczęk, jego gardło przełykało. Jedną rękę przesunął na plecy Richarda, drugą położył mu na ramieniu.

Obeszłam ich, aż mogłam zobaczyć twarz Richarda. Miał zamknięte oczy, wydawał się być spokojny. Musiał poczuć, że go obserwuję, ponieważ podniósł powieki. W jego oczach był gniew, gniew skierowany na mnie, częściowo. Nie chodziło tylko o zabicie Marcusa, chodziło o zrezygnowanie z części swojego człowieczeństwa. Nie rozumiałam tego aż do teraz.

Dotknął ramion Jasona. - Dość. - Jason przycisnął się silniej do rany, jak karmione szczenię. Richard siłą odciągnął go od swojego karku.

Malinka już była widoczna wokół rany.

Jason położył się, częściowo znalazł się w objęciach Richarda. Oblizywał wargi z resztek krwi. Zachichotał i odcoczył się na bok, aby uklęknąć na podłodze. Ocierał twarz o nogę Richarda. - Nigdy nie do-

świadczyłem czegoś takiego. Marcus nie może w ten sposób dzielić się mocą. Czy ktokolwiek inny w stadzie wie, że możesz dzielić się krwią?

- Powiedz im - rzekł Richard - powiedz im wszystkim.

- Naprawdę zamierzasz zabić Marcusa, prawda? - zapytał Jason.

- Jeżeli nie pozostawi mi innego wyboru, tak. Teraz idź, Jason, twój drugi pan czeka.

Jason wstał i prawie upadł. Wyprostował się, pocierał rękami swoje nogi i ręce jakby kąpał się w czymś, czego nie mogłam zobaczyć. Może była to ciepła moc, którą starał się zatrzymać. Ponownie się roześmiał.

- Jeżeli będziesz mnie poił, możesz mną rzucać o ścianę, kiedy tylko zechcesz.

- Wyjdź - odparł Richard. Jason opuścił pokój.

Richard nadal klęczał na podłodze. Spojrzał na mnie.

- Czy teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałem tego zrobić?

- Tak - powiedziałam.

- Może, jeżeli Marcus wie, że mogę dzielić się krwią, mocą, podda się.

- Nadal masz nadzieję, że nie będziesz musiał go zabić - stwierdzi-
łam.

- Nie chodzi tylko o zabijanie, Anito. Chodzi o wszystko, co się z tym wiąże. O to, co właśnie zrobiłem z Jasonem. O setkę rzeczy, żadna z nich nie jest zbyt ludzka. - Spojrzał na mnie; pierwszy raz widziałam taki żal w jego brązowych oczach.

Nagle zrozumiałam. - Nie chodzi konkretnie o zabijanie, prawda?

Kiedy przejmiesz kontrolę nad stadem przez krew i brutalną siłę, będziesz musiał utrzymać władzę z użyciem krwi i brutalnej siły.

- Dokładnie. Jeżeli mógłbym w jakiś sposób zmusić Marcusa, gdybym mógł sprawić, że się podda, wtedy zyskałbym możliwość działania w inny sposób. - Stał przede mną, ochoczy. - Udało mi się przeciągnąć połowę stada na moją stronę lub przynajmniej uczynić neutralny-mi. Już nie popierają Marcusa. Nikomu wcześniej nie udało się tak podzielić stada bez zabijania.

- Czemu nie możecie podzielić się na dwa stada?

Pokręcił przecząco głową. - Marcus nigdy się na to nie zgodzi.

Przywódca stada otrzymuje dziesięcinę od każdego członka. To nie tylko zmniejszyłoby jego potęgę, ale i dochody.

- Czy ty teraz otrzymujesz pieniądze? - spytałam.

- Wszyscy nadal wypłacają dziesięcinę Marcusowi. Nie chcę pieniędzy, to kolejny powód do walki. Uważam, że powinna zostać zniesiona.

Obserwowałam jego twarz rozjaśnioną planami, marzeniami. Mając do czynienia ze stworzeniami, które mogły rozszarpać ci gardło, a potem cię zjeść, fundamentem swej potęgi czynił sprawiedliwość i harcer-skie cnoty. Wierzył, że może tego dokonać. Patrząc na jego przystojną, ochoczą twarz, ja też prawie w to uwierzyłam.

- Myślałam, że zabijesz Marcusa i będzie po wszystkim. Ale to tak nie działa, prawda?

- Raina postara się o to, żeby rzucono mi wyzwanie. Chyba, że będą przede mną drżeli ze strachu.

- Dopóki Raina żyje, będzie sprawiać kłopoty.

- Nie wiem, co mam z nią zrobić.

- Mogłabym ją zabić - zaproponowałam.

Jego mina mówiła wszystko.

- Żartuję - powiedziałam. Tak jakby. Richard nie zgodziłby się na najbardziej praktyczne rozwiązanie, ale jeżeli ma być bezpieczny, Raina musi umrzeć. Bezwzględne, ale prawdziwe.

- O czym myślisz, Anito?

- Że może masz rację, a my wszyscy się mylimy.

- Odnośnie czego?

- Może nie powinieneś zabijać Marcusa.

Jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. - Myślałem, że jesteś na mnie zła, bo go nie zabiłem.

- Nie chodzi o zabicie Marcusa. Chodzi o narażanie wszystkich poprzez niezabicie Marcusa.

Pokręcił głową. - Nie widzę różnicy.

- Różnica polega na tym, że zabicie to środek prowadzący do celu, a nie cel sam w sobie. Chcę, żebyś żył, a Marcus zniknął. Członkowie stada, którzy za tobą podążają, byli bezpieczni. Nie chcę, abyś musiał

torturować stado, by utrzymać swoją pozycję. Jeżeli możemy to wszystko osiągnąć bez zabijania kogokolwiek, nie mam nic przeciwko.

Myślę, że nie ma sposobu na uniknięcie zabijania. Ale jeżeli potrafisz taki wymyślić, będę cię wspierać.

Przyglądał mi się badawczo. - Czy teraz mówisz mi, że według ciebie nie powinienem zabijać?

- Taa.

Roześmiał się, ale był to śmiech bardziej ironiczny niż radosny. -

Nie wiem, czy na ciebie nakrzyczeć, czy cię przytulić.

- Wielu ludzi tak na mnie reaguje - powiedziałam.- Posłuchaj, kiedy udaliśmy się ratować Stephena, powinieneś był wezwać parę osób.

Przystępując do działania z silnej pozycji, mając u boku trzech lub czterech pomocników. Istnieje kompromis pomiędzy byciem Sir Lancelo-tem a Vladem III Palownikiem.

Usiadł na krawędzi łóżka.

- Umiejętność przekazywania mocy poprzez krew jest rzadka. To imponujące, ale nie wystarczy. Musiałbym mieć coś naprawdę przera-

żającego, żeby skłonić Marcusa i Rainę do wycofania się. Jestem po-tężny, Anito, naprawdę potężny - powiedział to, jakby stwierdzał zwykły fakt, bez buty. - Ale to nie jest taka siła.

Usiadłam koło niego. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Richardzie. Po prostu obiecaj mi, że zachowasz ostrożność.

Uśmiechnął się, ale uśmiech nie sięgnął jego oczu. - Będę ostrożny, jeżeli mnie pocałujesz.

Pocałowaliśmy się. Jego smak był ciepły i pewny, ale pod nim dało się wyczuć słodką słoność krwi i płyn do golenia Jasona. Odsunęłam się od niego.

- Co się stało?

Pokręciłam głową. Powiedzenie, że mogę wyczuć cudzą krew w je-go ustach nie byłoby pomocne. Zamierzaliśmy podjąć wysiłki, aby nie musiał robić takich rzeczy. To nie jego bestia pozbawi go jego człowieczeństwa, tylko tysiąc pomniejszych rzeczy.

- Zmień postać - powiedziałam.

- Co?

- Zmień dla mnie postać. Tu i teraz.

Wpatrywał się we mnie, jakby usiłował coś wyczytać z mojej twarzy.

- Dlaczego teraz?

- Pozwól mi poznać cię całego, Richardzie, wszystkie aspekty.

- Jeśli nie chcesz dzielić łoża z Jean-Claude'm, nie chcesz też z wilkiem.

- Nie byłbyś uwięziony w tej postaci aż do rana, sam tak wcześniej powiedziałeś.

- Nie, nie byłbym - odparł cicho.

- Jeżeli przemienisz się dziś w nocy i zaakceptuję cię, możemy się kochać. Możemy zacząć planować ślub.

Roześmiał się. - Czy mogę zabić Marcusa, zanim będę musiał pozbyć się Jean-Claude'a?

- Jean-Claude obiecał nie zrobić ci krzywdy - powiedziałam. Richard zamarł w bezruchu. - Już z nim na ten temat rozmawiałaś? Skinęłam głową.

- Dlaczego nie był na mnie zły?

- Powiedział, że usunie się na bok, jeżeli nie będzie w stanie mnie odbić, więc tak właśnie zrobi - Pomięłam, że Jean-Claude mnie kocha.

Zachowam to na później.

- Przywołaj swoją bestię, Richardzie.

Pokręcił głową. - To nie tylko moja bestia, Anito. To lukoi, stado.

Ich też musisz zobaczyć.

- Widziałam ich.

Zaprzeczył. - Nie widziałaś nas w lupanarze. Naszym miejscu mocy.

Tam jesteśmy prawdziwi, bez gry pozorów.

- Właśnie powiedziałam, że chcę cię poślubić. Dotarło do ciebie? -
spytałam.

Richard wstał. - Ja też tego chcę, Anito, bardziej niż czegokolwiek na świecie. Pragnę cię tak bardzo, że moje ciało przepelnia tęsknota.

Nie ufam sobie na tyle, żeby zostać na noc.

- Jak do tej pory udało nam się zachować czystość - powiedziałam.

- Ledwo. - Podniósł swoją torbę. - Lukoi nazywa seks zabójczym tańcem (the killing dance).

- Więc?

- Tak samo nazywamy walki o przejęcie pozycji.

- Nadal nie rozumiem, w czym tkwi problem.

Spojrzał się na mnie. - Zrozumiesz. Niech Bóg nam dopomoże. Zrozumiesz.

Nagle było w nim coś tak smutnego, tak tęsknego, że nie chciałam pozwolić mu odejść. Jutro zmierzy się z Marcusem, a to, że zgodził się zabić, wcale nie oznaczało, że jest w stanie. Wierzę, że się nie zawaha, kiedy nadejdzie właściwy moment. Nie chciałam go stracić.

- Zostań ze mną, Richardzie. Proszę.

- To nie było by wobec ciebie w porządku.

- Nie bądź takim piekielnym harcerzem.

Uśmiechnął się i zaprezentował kiepską imitację Papaja. - Jestem, czym jestem. - Zamknął za sobą drzwi. Nawet nie pocałowałam go na do widzenia.

Rozdział 24

Otworzyłam oczy. Ktoś pochylał się nade mną w tych cholernych ciemnościach. Nic nie widziałam, lecz czułam w powietrzu nad sobą jakiś ciężar. Moja ręka wsunęła się szybko pod poduszkę, dobywając firestara. Wycelowałam w to broń, czymkolwiek „to” było. Gwałtownie się rozplynęło, niczym sen. Ześlizgnęłam się z łóżka, a następnie przecisnęłam się na klęczkach do ściany, czyniąc z siebie jak najmniejszy cel.

Głos dobiegał z mroku. Skupiłam się na nim, wyęzając słuch, by usłyszeć innych intruzów.

- To ja, Cassandra. Włącznik światła jest nad tobą. Zostanę tu, gdy je zapalisz. - Jej głos był niski, miarowy - taki, jakiego używasz, mówiąc do szaleńca lub gdy ktoś mierzy w ciebie z broni.

Moje tętno zwolniło, kiedy podniosłam się, dotykając ściany. Przesunęłam po niej lewą ręką, napotykając na włącznik. Z powrotem osunęłam się w dół, palcami wciąż dotykając kontaktu. Gdy byłam już tak nisko, że wciąż mogłam dosięgnąć kontaktu i włączyć światło, uderzy-

łam w niego. Rozbłysła jasność, całkowicie mnie oślepiając. Przykucnęłam i po omacku wycelowałam. Gdy już odzyskałam wzrok, ujrzałam Cassandrę stojącą obok łóżka, z rozłożonymi w geście pokoju dłońmi, i wpatrującą się we mnie. Oczy miała nienaturalnie rozszerzone. Koronki jej wiktoriańskiej koszuli nocnej trzepotały pod wpływem oddechu.

Tak, nie żartuję, wiktoriańska koszula nocna. Wyglądała po prostu delikatnie, jak lalka. Ostatniej nocy zapytałam ją, czy to Jean-Claude wybiera jej koszule. Nie, to ona je wybierała. Każdy szuka czegoś odpowiedniego dla siebie.

Stojąc na dywanie, zamarła w bezruchu i wlepiła we mnie swoje spojrzenie.

- Wszystko w porządku, Anito? - Jej ton wskazywał na to, że wcale tak nie myślała.

Wzięłam głęboki oddech i wycelowałam broń w sufit.

- Taaa, wszystko gra.

- Mogę już się ruszyć?

Stałam, trzymając firestara przy boku.

- Nigdy nie dotykaj mnie, gdy śpię. Najpierw się odezwij.

- Zapamiętam to - odpowiedziała. - Mogę się już ruszyć?

- Jasne. Co tam? - spytałam.

- Richard i Jean-Claude są na zewnątrz.

Spojrzałam na zegarek. Była pierwsza po południu. Spałam prawie sześć godzin. Poprawka, spałabym, gdybym nie gadała przez godzinę z Cassandrą. Przez lata nie spałam poza domem, i szczerze, dziewczyna czy też nie, ona wciąż była lykantropem, których zwykle spotykam jedynie nocą. Czułam się nieswojo, ufając jej, jakby była moim ochroniarzem. Nigdy nie byłam tak naiwna, by spać razem z nieznanym. I nie chodzi o płęć. Jestem po prostu podejrzliwa. Bycie w głębokim śnie czyni cię bezsilnym.

- Czego chcą?

- Richard mówi, że ma plan.

Nie musiałam pytać jaki. W czasie pełni na myśli mógł mieć tylko jedno: Marcus.

- Powiedz im, że najpierw się ubiorę.

Poszłam po torebkę. Cassandra w tym czasie podeszła do drzwi.

Uchyliła je tylko, mówiąc coś po cichu. Zamknęła je stanowczo za sobą i wróciła do mnie. Była zakłopotana. W tej koszuli i z zażenowaną twarzą wyglądała na dwunastolatkę. Uklękałam przed walizką z ubraniami w dłoni, gapiąc się na nią.

- O co chodzi?

- Jean-Claude powiedział, że nie musisz się ubierać. Wpatrywałam się w nią z dudniącym sercem.

- Taaa, jasne. Ubieram się. Mogą poczekać na mnie cholernie długo.

Skinęła głową i z powrotem podeszła do drzwi.

Udałam się do łazienki. Wpatrywałam się w swe odbicie w lustrze.

Wyglądałam tak samo beznadziejnie, jak się czułam. Dokładnie wyszczotkowałam zęby, marząc o

prysznicu. To może pomogłoby mi się ocknąć. Mogłam wziąć szybką kąpiel, ale niestety nie byłam pewna, czy chłopcy wytrzymają tak długie czekanie. Poza tym, kąpiel była czymś, co robiłam przed pójściem spać, a nie po to, by się obudzić. Potrzebowałam czegoś, co mnie pobudzi, a nie rozleniwi. Szlag by to.

Richard miał plan, ale był z nim Jean-Claude. To znaczyło, że wampir będzie pomagał doprowadzić to do końca. Przeróżające.

Dziś w nocy Richard walczyłby z Marcusem. Jutro mógłby być martwy. Na tę myśl ścisnęło mnie w dołku. Czułam pieczenie oczu, które było bardziej powiązane ze łzami, niż czymkolwiek innym. Mogłabym żyć gdzieś daleko z Richardem. Cierpiałabym, jeśli nie byłby ze mną, ale jakoś bym to przetrwała. Jednak nie wiem, czy przeżyłabym jego śmierć. Kochałam go. Naprawdę. Nie chciałam go porzucić. Za nic bym tego nie zrobiła. Jean-Claude był dżentelmenem w każdym calu, ale nie ufałam mu. Bo jak bym mogła? Wszystko, co robił, miało jakiś intere-sowny cel. A to nie zawsze było dla mnie dobre.

Jaki był plan? Im szybciej się ubiorę, tym szybciej się dowiem. Dlatego szybko złapałam kilka rzeczy z walizki. Mogłam idealnie skomple-tować wszystkie ubrania, jakie posiadam. Ciemnoniebieskie jeansy, granatowy T-shirt, białe skarpetki do joggingu. Nie ubieram się, by komukolwiek zaimponować. Teraz, gdy już prawie całkiem się obudzi-

łam, chciałam wybrać coś mniej praktycznego. To miłość sprawia, że zaczynasz martwić się o takie rzeczy. Wręcz szokujące.

Otworzyłam drzwi. Richard stał obok łóżka. Jego widok sprawił, że stanęłam jak wryta. Włosy były zmierzwione, wyglądały zupełnie jak pienisty puch dookoła ramion. Nie miał na sobie nic oprócz królewsko purpurowych jedwabnych bokserek. Gdy odwrócił się do mnie, rozcięte nogawki pozwoliły mi rzucić okiem na jego uda. Kiedy już zamknęłam usta i mogłam mówić, spytałam:

- Dlaczego się tak ubrałeś?

Jean-Claude opierał się ramieniem o ścianę. Miał na sobie czarną, sięgającą kostek szatę, obszytą futrem w tym samym kolorze. Włosy zmieszały się z futrzanym kołnierzem tak, że ciężko było rozróżnić, gdzie kończyły się one, a gdzie zaczynało futro. Jego blada szyja i trójkąt klatki piersiowej wydawały się niemal śnieżnobiałe na tle czarnego stroju.

- Wyglądacie, jakbyście właśnie wyszli z dwóch innych filmów porno. Cassandra wspomniała coś na temat planu. Więc? Jak on wygląda?

Richard zerknął na Jean-Claude'a. Wymienili między sobą spojrzenia, jakby rozumieli się bez słów i jakby knuli coś za moimi plecami.

Richard usiadł na brzegu łóżka. Bokserki podwinęły się trochę za wysoko, tak, że aż musiałam odwrócić wzrok, więc spojrzałam na JeanClaude'a. Nie było to pocieszające, ale przynajmniej większa część jego ciała była zakryta. Pięknie, po prostu pięknie.

- Pamiętasz jak kilka miesięcy temu, przed świętami, w twoim mieszkaniu przypadkowo wyzwoliliśmy pewien rodzaj magicznej energii? - zapytał Jean-Claude.

- Pamiętam - odparłam.

- Monsieur Zeeman i ja uwierzyliśmy, że nasza trójka może podzielić moc i stać się triumwiratem.

Spoglądałam z jednego na drugiego.

- Wyjaśnij mi to.

- Pomiędzy mną a wilkami istnieje coś w rodzaju więzi, połączenia.

Pomiędzy tobą a zmarłymi też jest więź, moja mała nekromantko. Po-

żądanie i miłość zawsze wyzwalały magiczną energię. Mogę pokazać ci poszczególne, indywidualne zaklęcia, które mogą stworzyć więź pomiędzy wampirem, a jego zwierzęciem, pomiędzy nekromantą, a wampirem. Nie powinno cię dziwić, że pomiędzy nami istnieje moc.

- Kładziesz na to duży nacisk - zauważyłam. Jean-Claude uśmiechnął się.

- Myślę, że moglibyśmy przywołać tyle magii, żeby zdetronizować pewnego Ulfrica. Znam Marcusa. Nie będzie walczył, dopóki nie uwierzy, że ma szansę na wygraną.

- Jean-Claude ma rację - odparł Richard. - Gdybym pokazał wystarczającą ilość mocy, Marcus by ustąpił.

- Skąd wiesz, czy znów możemy wywołać to coś? - zapytałam.

- Zrobiłem kilka badań - odparł Jean-Claude. - Istnieją dwa przypadki wampirzych mistrzów, którzy mogli przywoływać zwierzęta, które to na jakiś czas stawały się ich pewnego rodzaju ludzkimi sługami.

- Więc?

- To oznacza, że jest szansa, abym was ze sobą połączył. Potrząsnęłam głową.

- Nie ma mowy, żadnych wampirzych znaków.

- W grudniu nie było u ciebie żadnych znaków - stwierdził Jean-Claude. - Myślę, że i tym razem obejdziemy się bez nich.

- Dlaczego się tak odstroiliście? - zapytałam, zmieniając temat.

Richard wyglądał na zażenowanego. - To wszystko, co wziąłem ze sobą. Myślałem, że ostatniej nocy

będziemy dzielić ze sobą łóżko.

Wskazałam ręką na bokserki. - One nie pomogą nam pozostać cnotkami, Richardzie. Fala gorąca zalała jego twarz. - Wiem, wybacz.

- Nie mów, że nie ma żadnej ciekawej bielizny w twojej walizce, ma petite.

- Nigdy nie powiedziałam, że jej tam nie ma.

Ronnie namówiła mnie na pewien skąpy strój na wypadek, gdybym poszła do łóżka z Richardem. Przekonywała mnie do przespania się z nim przed ślubem, jeśli tylko to pomogłoby mi wybić sobie z głowy Jean-Claude'a.

- Dla kogo to kupiłaś?- zapytał cicho Richard.

- Dla ciebie, ale nie rozpraszaaj mnie teraz. Po co te milusie piżamki?

- Richard i ja próbowaliśmy sami połączyć nasze moce. To jednak nie zadziała w przypadku dwojga z nas. Jego niechęć w stosunku do mnie czyni go bezużytecznym.

- Czy to prawda, Richardzie?

- Jean-Claude powiedział, że potrzebna jest cała nasza trójka. Potrzebujemy cię -przytaknął.

- A co z ubraniami?

- Żądza i gniew są pierwszymi rzeczami, które wpływają na moc, ma petite. Mamy nasz gniew. Brakuje nam jedynie naszego pożądania.

- Zaraz, zaraz. - Spoglądałam to na jednego, to na drugiego. - Chcesz powiedzieć, że musimy stworzyć trójcę?!
- Nie - odpowiedział Richard. Wstał i podszedł do mnie przez pokój w tych swoich króciutkich bokserkach. - Żadnego seksu, to mogę ci obiecać. Nie pozwoliłbym sobie na podzielenie się tobą z nim, nawet dla powodzenia naszego planu.

Delikatnie przejechałam czubkami palców po jego spodenkach, jakbym się tego obawiała. - W takim razie po co wam takie ciuchy?

- Czas ucieka, Anito. Jeśli to mogłoby nam pomóc, poszłoby dużo szybciej. - Ścisnął mnie za ramiona, ogrzewając je dłońmi.- Powiedzia-

łaś, że pomożesz mi z planem. A to jest właśnie jego część.

Odciągnęłam go od siebie i odwróciłam się powoli w stronę JeanClaude'a.

- A co ty będziesz z tego miał?

- Twoje szczęście. Żaden wilk nie rzuci wyzwania Richardowi, jeśli staniemy się prawdziwym triumwiratem.

- Moje szczęście, jasne.

Wzrokiem badałam tę spokojną, cudowną twarz, aż przyszła mi do głowy pewna myśl. - Próbowaleś Jasona, prawda? Smakowałeś moc, którą on zassał od Richarda, czyż nie? Czyż nie tak było, sukinsynie? -

Podchodziłam coraz bliżej, walcząc z pragnieniem walnięcia go.

- I co z tego, ma petite?

Stałam naprzeciw niego, wyrzucając z siebie słowa prosto w jego twarz.

- Co na tym zyskasz? I nie pieprz mi tu o moim szczęściu! Zbyt długo cię znam. Jego oblicze przybrało najłagodniejszy wyraz, było niemalże rozbijające.

- Zyskam tyle mocy, że żaden wampirzy mistrz bez wsparcia rady nie ośmieli się mnie wyzwać.

- Wiedziałam, po prostu wiedziałam. Nie zrobisz żadnego kroku bez tuzina ukrytych motywów.

- Czerpię z tego korzyści tak samo, jak czerpie je monsieur Zeeman.

Wolelibyśmy wspólnie chronić podłoża naszych mocy.

- Dobra, a co ja z tego mam?

- Bezpieczeństwo monsieur Zeemana.

- Anito - powiedział Richard delikatnie. Dotknął mojego ramienia.

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć. Moja złość rozplynęła się, gdy ujrzałam jego twarz. Tak poważną, tak wyniosłą.

Przytulił mnie, następnie położył jedną dłoń na mojej twarzy.

- Nie musisz tego dla mnie robić, jeśli nie chcesz.

- Czy ty nie zrozumiałeś, co on zasugerował, Richardzie? Nigdy się od nas nie odczepi. - Dotknęłam jego dłoni. - Nie wiąż nas z nim w ten sposób. Daj mu palec, a weźmie całą rękę.

- Jeśli naprawdę wierzysz, że jest taki zły, to już dawno byś go zabiła i uwolniła się od niego.

Czy gdybym się na to nie zgodziła, a Richard zginąłby dzisiejszej nocy, czy potrafiłabym żyć z tą świadomością? Nachyliłam się ku niemu, przyciskając twarz do jego piersi, wdychając jego zapach.

Nie.

Gdyby umarł, a ja mogłam go ocalić, już nigdy nie uwolniłabym się od poczucia winy. Cholera.

Jean-Claude stanął obok nas.

- To może być jeden z tych nieznośnych przypadków, w których nie da się zorganizować rzeczywistości, ma petite. Magia często taka jest Odwróciłam głowę i spojrzałam na niego, wciąż przyciskając policzek do nagiej piersi Richarda, który oplótł właśnie ramionami moją szyję.

- Żadnych sztuczek w stosunku do nas, tak?

- Obiecuję. Jedyne, o co mogę prosić, to by żadne z was się nagle nie wycofało. Potrzebujemy prawdziwej wiedzy, ile mocy możemy przywołać. Jeśli nie będzie jej wiele, poddamy to dyskusji, ale jeśli będzie tak, jak myślę, znajdziemy rozwiązanie wielu problemów.

- Ty manipulacyjny draniu - burknęłam.

- Czy to miało oznaczać zgodę? - zapytał.

- Tak - odrzekłam.

Richard przytulił mnie. Pozwoliłam mu trzymać się w ramionach, ukoić mnie, ale wtedy napotkałam oczy Jean-Claude'a. Wyraz jego twarzy był trudny do opisanego. Właśnie tak musiał wyglądać diabeł, po podpisaniu się nad wykropkowaną linią i zaprzędaniu mu swej duszy.

Zadowolony, podniecony i troszeczkę głodny.

Rozdział 25

- Ty i monsieur Zeeman odbądźcie miłe spotkanie. Ja z kolei udam się do toalety, aby następnie do was dołączyć.

Samo usłyszenie, jak wypowiada te słowa, sprawiło, że miałam ochotę odmówić. Ale tego nie zrobiłam

- Jesteś pewien, że to nie jest wyszukany sposób zaaranżowania trójkątka?

- Czy mógłbym być tak przebiegły?

- O tak.

Roześmiał się; ten dźwięk wywołał dreszcze, jakby kostka lodu dotknęłam mego kręgosłupa.

- Zostawię was samych. - Wyminął nas, idąc w stronę łazienki.

Podążyłam za nim, złapałam drzwi, nim zdążyły się zamknąć. Spojrzał na mnie przez szczelinę.

- Tak, *ma petite*?

- Oby pod tym szlafroczkim znajdowało się coś więcej niż goła skóra.

Uśmiechnął się na tyle szeroko, aby ukazać sugestię kła.

- Mógłbym być aż tak wulgarny, *ma petite*?

- Nie wiem.

Skinął głową i zamknął drzwi.

Wzięłam głęboki oddech i obróciłam się, by stawić czoło drugiemu mężczyźnie mojego życia. Ubrania Richarda leżały złożone na walizce.

Ruszył w moją stronę. Rozcięcie w bokserkach sięgało na tyle wysoko, że praktycznie odsłaniało skórę od stóp do talii.

Gdybyśmy naprawdę byli sami, zbliżyłabym się do niego. To, co winno być romantyczne, nagle stało się dusząco niezręczne. Byłam świadoma dźwięku leżącej się w łazience wody. Jean-Claude zamierzał

do nas dołączyć. Słodki Jezu.

Richard nadal wyglądał ekstra, z włosami przesłaniającymi jedno oko. Przestał się zbliżać. W końcu pokręcił głową.

- Dlaczego nagle zrobiło się tak niezręcznie?

- Myślę, że główny powód szykuje się w łazience, by do nas dołączyć. Roześmiał się i powtórnie potrząsnął głową.

- Zwykle o wiele szybciej wpadamy sobie w objęcia.

- Owszem - powiedziałam. Jeśli dalej tak pójdzie, gdy wejdzie Jean-Claude, będziemy się sobie przypatrywać jak licealiści podczas potańcówki. - Zejdźmy się w połowie dystansu - poprosiłam.

Richard uśmiechnął się.

- Z miłą chęcią. - Ruszył mi na spotkanie. Gdy szedł, mięśnie jego brzucha poruszały się przy każdym kroku.

Nagle zrobiło mi się przykro, że mam na sobie jeansy i koszulkę po-lo. Chciałam, żeby zobaczył mnie w zakupionej bieliźnie. Chciałam, żeby przebiegł dłońmi po jedwabiu i skrytym pod nim ciałem.

Dzieliły nas centymetry, ale nie dotykaliśmy się. Poczułam nutkę płynu po goleniu. Stałam na tyle blisko, że czułam ciepło jego ciała.

Chciałam przebiec dłońmi po jego nagiej klatce piersiowej, po froncie jedwabnych bokserów. Wyobrażenie było na tyle żywe, że skrzyżowa-

łam ramiona na piersi, aby zająć czymś ręce.

Richard nachylił się nade mną. Jego usta podążyły wzdłuż moich brwi, tak niezwykle delikatnie pocałował powieki. Kiedy zwrócił się w stronę moich ust, stanęłam na palcach, by wyjść mu na spotkanie. Objął

mnie.

Naparłam na niego, moje ręce błędziły po jego ciele, nasze usta zwały się w pocałunku. Pochylił się i zsunął ręce pod moje pośladki, unosząc mnie do góry, aż nasze twarze znalazły się na jednakowym poziomie. Przerwałam pocałunek i zaczęłam mówić: - postaw mnie na ziemi - ale wpatrując się w jego twarz z odległości parunastu centymetrów, nie byłam w stanie tego powiedzieć. Objęłam go nogami w talii.

Zaparł się, żeby utrzymać równowagę. Pocałowałam go i pierwszy drażniący skórę dotyk mocy zalał mnie łaskoczącym w brzuchu ciepłem.

Richard wydał cichy, gardłowy odgłos, który zabrzmiał bardziej jak warknięcie niż jęk. Uklęknął, nadal go dosiadałam i kiedy obniżył mnie na podłogę, nie powstrzymałam go. Uniósł swój tułów, napinając ramiona, dolne partie ciała były dociśnięte do mojego frontu. Kiedy patrzył na mnie z góry, jego oczy stały się wilcze. Musiał coś wyczytać z mojej twarzy, bo odwrócił głowę, tak, bym nie mogła się przyjrzeć.

Uniosłam się pod nim, chwyciłam garść jego grubych włosów i niezbyt delikatnie obróciłam go ku sobie. Czy powodowany bólem, czy czymś innym, odwrócił się z warknięciem. Nie wzdrygnęłam się. Nie odwróciłam wzroku.

Richard zbliżył swą twarz do mojej; z powrotem ułożyłam się na podłodze. Jego usta ociągały się tuż nad moimi. Gdy złączyliśmy się w pocałunku, pojawiła się fala mocy, jak gdybym smakowała jego energii, istoty.

Otworzyły się drzwi łazienki. Dźwięk zmroził mnie, mój wzrok po-dążył za jego źródłem. Richard wahał się przez chwilę, jego usta niepewne nad moimi, potem pocałował brzeg brody, podążając wargami w dół mojej szyi.

Jean-Claude stał w drzwiach ubrany w czarną jedwabną piżamę. Gó-ra z długim rękawem była rozpięta na tyle, że falowała wokół jego nagiego ciała przy każdym ruchu. Wyraz jego twarzy, spojrzenie, przeraziło mnie.

Poklepałam Richarda po ramieniu. Dotarł do dołu szyi i tulił twarz do kołnierza koszulki, jakby chciał przebić się pod materiał. Uniósł

zadziwiające, bursztynowe oczy i spojrzał na mnie, twarz wyrażała jedynie pożądanie, nieomalże głód. Jego moc pieściła moją skórę niczym ciepły wiatr.

Tętno łomotało pod skórą mojego gardła, jakby miało ją rozsadzić.

- Co się z tobą dzieje, Richardzie?

- Dzisiaj pełnia, *ma petite*. Jego bestia go wzywa. - Jean-Claude kroczył po dywanie w naszą stronę.

- Pozwól mi się podnieść, Richardzie.

Richard uniósł się na czworakach, pozwalając mi się z pod niego wyczołgać. Wstałam, a on klęczał przede mną obejmując mnie w talii.

- Nie bój się.

- Nie ciebie się boję, Richardzie. - Wpatrywałam się w Jean- Claude'a.

Richard przejechał dłońmi po moich żebrach, zagłębiając palce w ciało, jakby masował mi plecy. To powtórnie zwróciło na niego moją uwagę.

- Nigdy celowo bym cię nie skrzywdził. Przecież wiesz. Zdawałam sobie z tego sprawę. Skinęłam głową

- Teraz zaufaj mi - jego głos był miękki i głęboki, pobrzmiwał niezwykle basem. Zaczął wyciągać moją koszulkę ze spodni.

- Chcę cię dotknąć, poczuć, posmakować.

Jean-Claude obszedł nas dokoła, nie zbliżając się. Okrążał nas niczym rekin. Jego granatowe oczy barwy nocnego nieba nadal były ludzkie, bardziej ludzkie niż Richarda.

Richard wyjął bluzkę ze spodni, podciągając ją do góry, aż odsłonił

brzuch. Pogładził rękami nagą skórę. Zadrżałam, ale nie było to spowodowane seksem albo przynajmniej nie tylko. Ciepła, elektryzująca moc spływała z jego dłoni na mnie. Odczucie przypominało porażenie prądem o niskim natężeniu. Nie było bolesne, ale mogło się takie stać, je-

żeli nie przestanie. Albo mogłoby być bardzo przyjemne, lepsze niż cokolwiek innego. Nie byłam pewna, która perspektywa bardziej mnie przeraża.

Jean-Claude stał poza zasięgiem rąk, jedynie się przyglądając. Również to budziło mój strach.

Richard ułożył ręce po obu stronach mojej odkrytej talii, przytrzymując udrapowaną na jego nadgarstkach bluzkę w górze.

Jean-Claude zrobił ostatni krok, wyciągając bladą dłoń. Spięłam się, strach dominował nad pozostałościami pożądania. Opuścił rękę nie dotykając nas.

Richard polizal mój brzuch, szybkim, mokrym gestem. Wpatrywa-

łam się w niego, brązowe oczy odwzajemniły spojrzenie. Ludzkie oczy.

- Nie pozwolę, aby cokolwiek ci się stało, Anito.

Nie wiedziałam, ile kosztowało go opanowanie bestii, wchłonięcie energii z powrotem, ale wiedziałam, że nie było łatwe. Wiele niższych rangą lykantropów nie było w stanie cofnąć rozpoczętej przemiany.

Dodałby mi więcej otuchy, gdyby w jego oczach nie czaił się mrok. Ale to nie była jego bestia, to było coś bardziej pierwotnego, ludzkiego: seks. Nawet słowo „żądza” nie jest w stanie wyrazić, co kryje to męskie spojrzenie.

Jean-Claude stał za mną. Czułam go. Nie dotykał mnie, jego moc przypominająca chłodny, niecierpliwy wiatr, znajdowała się za moimi plecami. Otarł się twarzą o moje włosy. Serce biło mi tak głośno, że nie słyszałam nic poza łomotem krwi w głowie.

Jean-Claude odgarnął moje włosy na bok. Jego usta musnęły policzek i moc zaczęła narastać; ciche tchnienie, zimny powiew grobu.

Przepląnęła przeze mnie, szukając ciepła Richarda. Dwie siły zderzyły się, zmieszały wewnątrz mnie. Nie mogłam oddychać. Poczułam, jak to coś we mnie, dzięki czemu przyzywałam zmarłych - magia, z braku lepszego słowa - wiruje i rozpala się.

Próbowałam odsunąć się od Richarda, ale wbił palce w moje żebra.

Ręce Jean- Claude'a zacieśniły się wokół moich ramion.

- Pomóż mocy narastać, nie walcz z nią ma petite.

Starłam się zapanować nad ogarniającą mnie paniką dyszałam. Je-

żeli się z tym nie uporam, doprowadzi to do hiperwentylacji i utraty przytomności. Starłam się zapanować nad mocą i własnym strachem, jednak przegrywałam.

Richard delikatnie ugryzł mój brzuch. Jego usta ssały moją skórę.

Wargi Jean- Claude'a lekko podszczypując dotknęły mego karku. Przytulił mnie do piersi. Richard stał się źródłem narastającego ciepła w okolicach talii, Jean-Claude zdawał się być zimnym płomieniem na moich plecach. Byłam niczym kawałek drewna wrzucony w ogień, tra-wiona z obu stron. Zbyt wiele mocy. Musiałam coś z nią zrobić, albo spłonęłabym żywcem.

Ugięły się pode mną nogi, jedynie Richard i Jean-Claude powstrzymali mój upadek. Obniżyli mnie na ziemię, nie wypuszczając z objęć.

Dotknęłam podłogi ramieniem, potem ręką i już wiedziałam, co zrobić z mocą. Czułam, jak

gwałtownie przepływa przez ziemię, szukając, szukając umarłych. Przekreśliłam się na brzuch. Ręce Jean-Claude'a spoczywały na moich ramionach, ocierał się twarzą o moją twarz. Richard dotykał pod koszulką moich pleców, sięgając co raz wyżej, ale to wszystko zeszło na drugi plan. Musiałam coś zrobić z tą energią.

Znalazłam zmarłych, których tak potrzebowałam, ale to nie zadziała-

ło. Moc nadal narastała, krzychałabym, gdybym miała dość powietrza w płucach. Jakiś krok, składnik, czegoś brakowało.

Przetoczyłam się na plecy i wlepiłam w nich obu wzrok. Patrzyli na mnie. Oczy Jean-Claude'a stały się prawdziwie granatowe. Obaj nachylił się jednocześnie. Richard zwrócił się w stronę moich ust, Jean-Claude karku. Pocałunek Richarda nieomalże palił. Czułam dotyk kłów Jean-Claude'a, który usiłował mnie nie ugryźć. Pokusa była wszędzie. Czyjeś dłonie znajdowały się pod moją bluzką już nawet nie byłam pewna do kogo należą. Wtedy zrozumiałam, że do nich obu.

Czego koniecznie potrzebowałam do przywoływania zmarłych?

Krwi. Musiałam wypowiedzieć na głos: krew.

Jean-Claude spojrzał na mnie z odległości kilkunastu centymetrów.

Jego dłoń znajdowała się tuż poniżej mojej piersi. Chwyciłam jego nadgarstek bez zastanowienia.

- Co, ma petite?

- Krew, aby dokończyć. Potrzebujemy krwi.

Richard uniósł twarz niczym tonący. - Co?

- Mogę dać ci krew, ma petite. - Jean-Claude zaczął nachylać się na-de mną. Umieściłam rękę na jego klatce piersiowej w zatrzymującym geście. W tym samym momencie Richard położył mu dłoń na ramieniu.

Moc zalała nas piekącą falą widziałam białe plamki.

- Nie użyjesz mnie, jako usprawiedliwienia, aby wbić w nią pierwszy raz kły – warknął Richard. Jego gniew wzmocnił magię, krzyknęłam.

- Dajcie mi krew, albo zejdźcie ze mnie. - Uniosłam między nimi własny nadgarstek. - Nie mam noża, niech ktoś to zrobi.

Richard pochylił się nade mną odrzucając włosy na bok. - Oto twoja krew.

Jean-Claude nie wdawał się w spór. Zbliżył się, rozchylił wargi. Widziałam niczym w zwolnionym tempie, jak ugryził Richarda w kark.

Wilkołak spał się i syknął, gdy kły zagłębiły się w jego ciele. JeanClaude przyssał się do niego, przełykał.

Moc huczała we mnie, unosząc każdy włoszek na moim ciele, pełzła po skórze, aż myślałam, że rozpadnę się na części. Wysłałam ją całą na zewnątrz, do zmarłych, których znalazłam. Nappełniłam ich i nadal pozostało zbyt wiele energii. Sięgnęłam dalej, dalej i znalazłam czego szukałam. Moc opuściła nas w chłodnym, zarazem płomiennym pędzie.

Leżałam, dysząc na podłodze. Jean-Claude podparty na ramieniu, znajdował się po lewej. Krew poplamiła jego usta, spływała po brodzie.

Richard leżał na brzuchu po mojej prawej, przygważdżając mą rękę policzkiem. Jego pierś unosiła się i opadała, ciężko sapał, pot błyszczał

na linii kręgosłupa.

Świat miał złote obramowanie, zdawał się nieomal płynąć. Dźwięki powoli powracały, jakbym słyszała przez długą tubę.

Jean-Claude zlizął krew ze swych warg, drżącą dłonią otarł brodę, wylizał palce do czysta. Leżał obok, jedną rękę położył na moim brzuchu, głowę wtulił w moje ramię. Jego naga pierś i brzuch dotykały mojej ręki. Był gorący. Nigdy wcześniej nie sprawiał takiego wrażenia.

Przez skórę, dało się wyczuć, że jego serce bije, niczym schwytyany ptak.

Jego włosy opadły mi na twarz. Pachniały egzotycznym szamponem i nim samym.

Roześmiał się drżąc i powiedział: - W moim odczuciu to było wspaniałe, czy ty też odebrałaś to jako przyjemne, *ma petite*?

Przełknęłam, byłam zbyt zmęczona, aby się zaśmiać

- Zawsze wiesz, co powiedzieć.

Richard uniósł się na łokciach. Z dwóch schludnych śladów kłów ściekała po jego karku krew. Dotknęłam ugryzienia, moje palce poplamił szkarłat.

- Boli? - spytałam.

- Nie szczególnie. - Delikatnie chwycił mój nadgarstek, zlizął krew z palców, do czysta.

Dziwnie ciepła dłoń Jean-Claude'a popieściła mój brzuch pod koszulką. Rozpiął guzik spodni.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziałam.

- Za późno, *ma petite*. - Pochylił się i pocałował mnie. Mogłam wyczuć metaliczną słodycz krwi Richarda na jego języku. Uniosłam się, aby wyjść mu na spotkanie, przyciskając jego wargi. Prawdę

powie-dziawszy, jeszcze nie skończyliśmy na dzisiaj z upuszczaniem krwi.

Cokolwiek przywołałam z grobu, musi zostać do niego ponownie złożone.

To będzie wymagać krwi, świeżej krwi. Jedyne pytanie było -

kto zostanie dawcą i jak ją zgromadzić? Och, jeszcze jedno, ile krwi będziemy potrzebować?

Rozdział 26

Opuszki palców Jean-Claude'a przesuwają się wzdłuż linii moich majtek. Richard chwycił go za nadgarstek. Obu ogarnął gniew, wspólna moc znowu zaiskrzyła.

- Nie użyjesz tego, jako wymówki, aby się do niej dobierać, - powiedział Richard. Jego głos brzmiał groźnie i niebezpiecznie, nie tylko z powodu złości. Wzmocnił chwyt.

Jean -Claude zacisnął pięść i przyciągnął rękę do siebie. Skupienie i gniew widniały na obu twarzach. Mogłam wyczuć jak drżą z wysiłku.

Ich złość elektryzowała moją skórę. Minęło za mało czasu, aby zaliczyć cholerną powtórkę z rozrywki.

- Chłopcy, potem możecie siłować się na ręce, musimy zobaczyć, co udało mi się przywołać z martwych.

Nastąpił krótki moment wahania, potem spojrzeli na mnie. Ręce nadal napięte. Na twarzy Richarda było widać wysiłek. Jean-Claude przybrał maskę obojętnej ciekawości, jakby siłowanie z wilkołakiem nie stanowiło żadnego wyzwania.

- Co powiedziałaś, *ma petite*?

- Mówiła, że wskrzesiła zmarłych, - powiedział Richard.

- Aha, więc zejście ze mnie. Możecie powalczyć potem, ale teraz musimy zobaczyć, czego dokonałam.

- Dokonałam, - odparł Jean-Claude. Odsunął się od Richarda, który po chwili zwolnił chwyt.

- Czego dokonałam, - powiedziałam.

Richard wstał, wyraźnie było widać ruch mięśni pod skórą jego nagich nóg, tak ciężko było ich nie dotknąć, nie wyczuć jak się napinają.

Wyciągnął do mnie rękę, aby pomóc mi wstać.

- Daj mi minutkę, - powiedziałam.

Jean-Claude podniósł się, jakby podciągnęły go sznurki. On też zaoferował mi pomoc.

Stali przypatrując się sobie wrogo. Złość wisiała w powietrzu jak niewidzialne iskry. Pokręciłam głową. Tak naprawdę z chęcią skorzystałabym z oferty, co było dla mnie niezwykle.

Westchnęłam i samodzielnie stanęłam na dwóch nogach.

- Zachowujcie się, - powiedziałam. - Nie czujecie, co wisi w powietrzu? Gniew to tak samo dobry katalizator (jak seks) przy przywoływa-niu tego czegoś, czymkolwiek to jest, więc przestańcie. Być może będziemy musieli to powtórzyć, aby odesłać do grobu to, co zostało przy-zwane.

Jean-Claude natychmiast przybrał rozluźnioną pozę. Lekko skinął

głową. - Jak sobie życzysz, *ma petite*.

Richard poruszał głową starając się zmniejszyć napięcie. Dłonie nadal miał zaciśnięte w pięści, ale kiwnął głową. - Nie rozumiem jak nasze działania mogły przywołać zombie.

Jako animator mogę pełnić rolę soczewki. To sposób na łączenie mocy, aby wskrzesić starsze zombie, albo ich większą ilość. Nie umiem nic poza wskrzeszaniem zmarłych, więc gdy wmusiliście we mnie tyle mocy... - wzruszyłam ramionami. - Zrobiłam, co umiem.

- Czy przywołałaś cały stary cmentarz Nikolaos? - spytał JeanClaude.

- Jeśli mamy szczęście, - odparłam

Zmieszany przechylił głowę na bok.

Richard spojrzał na siebie w dół. - Mogę założyć spodnie?

Uśmiechnęłam się. - Szkoda, - powiedziałam, - ale niech ci będzie.

- Skoczę po szlafrok do łazienki, - rzekł Jean-Claude.

- Nie krępuj się, - odparłam.

- Żadnych uwag, dotyczących jak ci przykro, że się ubieram?

Pokręciłam głową.

- Okrutne, *ma petite*, straszliwie okrutne.

Uśmiechnęłam się robiąc lekki ukłon.

Odwzajemnił uśmiech, ale gdy szedł w stronę toalety, w oczach miał

wyzwanie.

Richard zakładał jeansy. Przyglądałam się jak zapina rozporek i guziki. Proste obserwowanie, jak się ubiera sprawiało mi przyjemność.

Miłość czyni najdrobniejsze gesty absolutnie fascynującymi.

Minęłam go kierując się w stronę drzwi, pozwalając, aby założył koszulkę, jeśli ma ochotę. Jediną możliwością zignorowania go było odwrócenie wzroku. Ten sam sposób był skuteczny w przypadku JeanClaude'a, przynajmniej przez większość czasu.

Szłam w stronę drzwi. Sięgałam już klamki, kiedy Richard chwycił mnie od tyłu, uniósł i odsunął od wyjścia.

Moje stopy dosłownie dyndały w powietrzu. - Co ty do cholery wyprawiasz? Postaw mnie na ziemi.

- Zbliżają się moje wilki, - powiedział, jakby to wyjaśniało całą sytuację.

- Postaw mnie na ziemi.

Opuścił mnie na tyle, że miałam grunt pod nogami, ale nadal znajdowałam się w jego objęciach, jakby się bał, że pójdę do drzwi. Miał

nieobecny wyraz twarzy, nasłuchiwał. Mnie nie dobiegały żadne dźwięki.

Wycie rozbrzmiało echem na korytarzu, wszystkie włoski na moim ciele stanęły dęba.

- Co się dzieje, Richardzie?

- Niebezpieczeństwo, - nieomalże wyszeptał te słowa.

- To Raina i Marcus?

Nadal nasłuchiwał rzeczy, których ja nie mogłam usłyszeć. Przesunął mnie za siebie i poszedł do drzwi, bez koszulki, mając na sobie tylko jeansy.

Pobiegłam do łóżka po broń. Wyjęłam Firestara spod poduszki.

- Szlag, nie wychodź tylko z gołymi rękami. - Wyciągnęłam uzi spod łóżka.

Chór wyjących głosów zabrzmiał głośniejsz. Richard jednym szybkim ruchem otworzył drzwi i popędził korytarzem. Wołałam, ale już go nie było.

Jean-Claude wyszedł z łazienki w swym czarnym szlafrocisku obrę-bionym futerkiem.

- Co się stało, *ma petite*?

- Mamy towarzystwo. - Przewiesiłam uzi na krzyż przez klatkę piersiową.

Odgłosy wilczego warczenia pobrzmiwały odległe. Jean-Claude minął mnie w biegu, aż szlafrok za nim powiewał. Był niczym ciemny wiatr. Kiedy wyszłam na korytarz, już go nie było w zasięgu wzroku.

Niech to szlag. Będę ostatnia.

Rozdział 27

Rzucanie się w wir walki nie jest najlepszym sposobem na przeżycie. Ostrożność przedstawia o wiele większą wartość. Wiedziałam, że nie ma to znaczenia. Nie liczyło się nic poza tym, by dotrzeć tam na czas i ich uratować. *Ich*. Nie rozmyślałam nad tym; biegłam z Firestarem, którego trzymałam mocno w prawej, a Uzi w lewej dłoni. Biegłam jak idiotka, ale przynajmniej byłam uzbrojona.

Ryk zagrzmiął przez ścianę przede mną. Nie pytajcie skąd, ale wiedziałam, że to Richard.

Nie sądziłam, że mogę biec jeszcze szybciej. Myliłam się. Oddycha-

łam, z trudem łapiąc powietrze, nie rozglądając się w lewo ani w prawo.

Jeśli ktoś miałby broń, mógłby mnie teraz sprzątnąć.

Richard stał na środku pomieszczenia, trzymał w ramionach zombie, tuż przed swoją głową. Wilk, rozmiarów kucyka, przygniatał do podłogi innego ze stworów, atakując z furią. Stephen znajdował się za Richardem; po chwili przykucnął i był już gotowy do walki. Cassandra stała do nich tyłem. Kiedy wpadłam do pokoju, odwróciła się w moją stronę. Nie mogłam wyczytać nic z jej twarzy, zresztą nie miałam czasu na zagadki.

Jean-Claude znajdował się po lewej stronie, z dala od wilkołaków.

Też mi się przyglądał. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. Nie był w niebezpieczeństwie. Nie zaatakował zombie. Dobrze wiedział co powinien robić. Widać Richard nie.

Pokój był wąskim prostokątem, ale najdalszą ścianę wysadził ten cholerny wybuch, rozrzucając gruzy po podłodze. Wyglądało to tak, jakby wlażyły przez nią zombie. Znajdował się tam cmentarz, o którym wcześniej nie wiedziałam.

Zmarli stali przed ruinami. Ich oczy przesunęły się w moją stronę.

Czułam ciężar tych spojrzeń - były jak cios w serce.

Strach o bezpieczeństwo zniknął, zmyty przez gniew.

- Richardzie, proszę połów go, nie chcę cię skrzywdzić. Niech Jason zostawi też tego drugiego.

To musiał być Jason, chyba, że to jakiś inny wilkołak. A jeśli był tu ktoś inny, to gdzie on jest?

Richard odwrócił twarz, żeby na mnie spojrzeć, wciąż trzymając nad głową, bez wysiłku zombie, który był kiedyś ludzkim mężczyzną.

- Zaatakowali Jasona.

- Nie zrobiliby niczego bez rozkazu. Musiał ich zaczepić.

- Nie zaatakowali nas - powiedziała Cassandra. - Zaczęli wchodzić przez ścianę, a Jason zmienił się i na nich rzucił.

Ogromny wilk rozerwał brzuch zombie i właśnie rozszarpał jelita.

Miałam dosyć.

- Zabierzcie tego wilka - powiedziałam.

Zombie pod nim zablokował ramionami jego przednie łapy. Wilk zatopił zęby w szyi trupa, oderwał kawałek ciała co spowodowało, że wytrysnął ciemny płyn.

Reszta zombie, gdzieś między sześćdziesiątką a osiemdziesiątką, ruszała w jego kierunku.

- Daj sobie z tym spokój, Jason albo pokażę ci, jak to jest być zaatakowanym przez zombie.

Richard zgiął łokcie i odrzucił zombie. Ciało poleciało w powietrzu i wylądowało na masie czekających żywych trupów, które upadały jak kręgle, mające stopy. Jeden z nich, chroniąc się, stracił ramię. Richard przykucnął przy swoim wilku.

- Ty nas atakujesz? - zapytał oburzony.

- Zabierz swojego wilka z mojego zombie, a to się skończy.

- Myślisz, że możesz nas wziąć? - zapytała Cassandra.

- Z tak wieloma zmarłymi, wiem, że mogę - powiedziałam.

Stephen zmarszczył twarz, tak jakby miał zacząć płakać. - Mogłaś nas zranić.

Jasna cholera, zapomniałam! Teraz byłam ich lupą. Zagroziłam, że zabiję Rainę jeśli jeszcze raz skrzywdzi Stephena, a teraz miałam nakarmić nim swoich zombie. Była tu gdzieś luka w logice.

- Jeśli mam was chronić to macie mnie słuchać, tak? Więc niech Jason odpieprzy się od mojego zombie albo pokarzę mu co to piekło. Czy nie takie jest prawo stada?

Richard odwrócił się do mnie. Jeszcze nigdy nie widziałam u niego takiego spojrzenia: gniewu i arogancji, albo czegoś do tego zbliżonego.

- Nie sądzę, aby Jason oczekiwał, że będziesz od niego wymagać posłuszeństwa. Nikt z nas tego nie

robił.

- *Mes amies*, jeśli pozabijamy się nawzajem, Marcus nie będzie zadowolony. Wszyscy zwróciliśmy się w stronę Jean-Claude'a.

- Stop - powiedziałam.

Wszystkie zombie zatrzymały się od razu, jak przy stopklatce. Jeden z nich upadł na podłogę, szurając nogami, przyjmując, że to jego ostatni krok. Zombie są bardzo dosłowne. Wielki wilk oderwał kawałek trupa, a umarły nieświadomie zapłakał.

- Jason, zwlecz się z tego teraz, albo zaczniemy nasz taniec. I pieprzyć Marcusa. Będę martwiła się o niego później.

- Zostaw go Jason, teraz - powiedział Richard.

Wilki odwrócony tyłem, rozrywał ramię zombie. Zatrzeszczały kości.

Wilkołak rozszarpał ramię jak terier kość. Krew i gęstsze płyny roz-trysnęły się.

Richard złapał go za kark, szarpiąc za łapy. Chwycił za przód jego futrzanego gardła i przyciągnął do swojej twarzy. Mięśnie jego ramion napinały się z wysiłku.

Pazury wilka rozdzierały powietrze, kiedy się dusił. Masywne pazury orały skórę Richarda. Krew płynęła cienkimi, szkarłatnymi strużkami. Rzucił wilkiem przez pokój, wprost w czekających zombie.

- Nigdy mnie nie lekceważ Jasonie, nigdy!

Jego głos zniknął w warczeniu, które przemieniło się w skowyt. Odrzucił głowę do tyłu i zawył. Dźwięk ten wydobył się z jego ludzkiego gardła. Cassandra i Stephen zawtórowali mu. Ich wycie nappełniło pomieszczenie dziwną, dźwięczną piosenką.

Uświadomiłam sobie wówczas, że Richard może uniknąć zabicia Marcusa, ale nigdy nie mogłby kontrolować lukoi bez użycia przemocy.

Już się tym zbytnio nie przejmował. Było to dla niego normalne, prawie jak dla Jean-Claude'a. To dobry czy zły znak? Nie byłam pewna.

Jason zgramolił się ze zmarłych. Odwrócił swoje bladozielone oczy w moją stronę, jakby na coś czekał.

- Nie patrz na mnie - powiedziałam. - Też jestem na ciebie wkurzo-na.

Jason zaczął podkradać się do mnie na łapach szerszych od moich obu dłoni. Futro wokół jego szyi zjeżyło się. Wygiął wargi odsłaniając zęby w cichym warknięciu. Wycelowałam w niego Firestarem.

- Nie rób tego.

Wciąż podchodził. Każdy jego krok był tak sztywny, że wyglądał jak robot. Skulił się, zginając łapy do skoku. Nie zamierzałam mu na to pozwolić. Gdyby był w ludzkiej postaci, celowałabym w jego rany, ale skoro był wilkiem, nie miałam takiej szansy. Jedno zadrapanie i naprawdę byłabym samica alfa.

Wycelowałam lufę i poczułam jak ogarnia mnie spokój. Nie czułam nic, kiedy wymierzyłam do niego z broni. Nic poza zimną, białą pustką.

- Przestańcie! Oboje! - warknął Richard.

Podszedł do nas. Mój wzrok był wciąż skoncentrowany na wilku, ale czułam jak się porusza.

Stał pomiędzy mną a Jasonem. Musiałam wycelować Firestarem w niebo, żeby nie kierować go w jego klatkę piersiową.

Wpatrywał się we mnie w zamyśleniu.

- Nie potrzebujesz broni.

Uderzył pięścią wielkiego wilka, który teraz leżał ogłuszony. Tylko ruchy jego klatki piersiowej pokazywało, że wciąż żyje.

Kiedy Richard odwrócił się do mnie jego oczy były bursztynowe i nieludzkie.

- Jesteś moją lupą, Anito, ale ja wciąż jestem Ulfrikiem. I nie pozwolę, byś zrobiła mi to, co Raina zrobiła Marcusowi. Ja prowadzę to stado.

Ta twardość w jego głosie była nowa. Nareszcie odkryłam jego męskie ego. Jean-Claude zaśmiał się zachwycony, dźwiękiem, który sprawił, że zadrżałam. Richard chyba też to poczuł, bo objął swoje nagie ramiona.

- Richardzie, nie zdajesz sobie sprawy, że *ma petite* może być tobie równa lub zostać twoim mistrzem? Ona inaczej nie potrafi - podszedł i stanął obok nas.

Popatrzył na nas rozbawiony jak diabli.

- Chcę, żeby była mi równa - powiedział Richard.

- Ale nie w stadzie - stwierdził Jean-Claude. Richard potrząsnął głową.

-Nie, to znaczy... Nie, Anita jest mi równa.

- Więc dlaczego zrzędzisz? - zapytałam. Wpatrywał się we mnie swoimi obcymi oczami.

- Ja jestem Ulfrikiem, nie ty.

- Prowadź, a ja pójdę za tobą Richardzie - zrobiłam krok w jego stronę, prawie go dotykając. - Ale

rób to naprawdę, albo zejdź mi z drogi.

Rozdział 28

- To jest śmieszne - powiedział Jean-Claude - i wiercie mi, *mapetite* i Richardzie, to jest śmieszne. Nie mamy czasu na ten spór nie, jeśli Richard ma nadzieję, że nie będzie musiał dziś wieczorem zabijać.

Wpatrzyliśmy się niego oboje, a on wdzięcznie wzruszył ramionami.

- Musimy znów obudzić magię, ale tym razem Richard musi spróbować przechwycić coś dla siebie. On potrzebuje czegoś, co by zrobiło wrażenie na sforze. To - skinał na zombie - chociaż imponujące, wygląda na robotę Anity.

- Zrozumiałam sugestię.

- Być może - powiedział. Oczy miał poważne, humor zniknął z jego twarzy teraz ślicznej i nieczytelnej. - Ale wcześniej mam do ciebie, *ma petite*, pytanie lub dwa. Mam wrażenie, że dziś nie tylko Richarda pozbawiłaś wigoru.

- Co masz na myśli? - Spytałam.

Przechylił głowę na bok. - Naprawdę nie wiesz? - wyglądał na zaskoczonego. - Na prawo jest mały korytarz. Zerknij wewnątrz.

Widziałam bramę na końcu holu, ale zombie zasłonili całą resztę. -

Przesuńcie się -powiedziałam. Zombie poruszyli się jak jeden organizm, obserwując moją twarz martwymi oczyma, jak gdybym była najważniejsza. Dla nich byłam.

Zombie przesunęli się jak powłócząca nogami kurtyna. Teraz widziałam mały korytarz i czekające wewnątrz sylwetki. - Zatrzymać się -

powiedziałam. Zombie stanęli jakbym przycisnęła wyłącznik. Liv, blond ochroniarz z Danse Macabre stała wewnątrz małego korytarza.

Nadal była ubrana w fiołkowy komplet. Jej niezwykle fioletowe oczy pusto wpatrywały się we mnie, czekając. Puls mocno bił mi w gardle.

Za nią stali inni. Richard szepnął - To niemożliwe.

Nie sprzeczałam się z nim. Byłoby trudno.

- Przywołaj ich *ma petite*, zobaczmy kogo podniosłaś z trumny. - Je-go głos ożywił się wraz napływającym gniewem.

- Coś cię gryzie?

Roześmiał się gorzko. - Groziłem tym moim ludziom, a ty nic nie mówiłaś. Nie powiedziałaś mi, że naprawdę mogłabyś ożywiać wampiry jak zombie.

- Zrobiłam to kiedyś tylko raz.

- Istotnie - powiedział.

- Nie wściekaj się na mnie.

- Będę się wściekał kiedy będę chciał - powiedział. - To są moi ludzie, moi towarzysze, a ty prowadzisz ich jak marionetki. To mnie niepokoi.

- Mnie też - powiedziałam. Spojrzałam z powrotem na wampiry. Liv, taka żywa ubiegłej nocy, stała tam jak dobrze zakonserwowany zombie.

Nie. Nigdy nie pomyliłabym jej z zombie. Czułam różnicę. Ale ona tam stała, cała muskulatura czekająca na mój następny rozkaz. Za nią stali inni. Nie widziałam jak wielu. Zbyt wielu.

- Czy możesz odesłać moje wampiry, *ma petite*?

Skupiłam się na Liv, unikając wzroku Jean-Claude'a. - Nie wiem. Dotknął mojego podbródka, obracając mnie ku sobie. Studiował moją twarz,

przeszukując wzrokiem, jak gdyby mógł wyczytać z niej prawdę.

Pozwoliłam, aby gniew napełnił moją twarz, gniew był zawsze dobry, aby coś ukryć.

- Co zrobiłaś wampirowi, którego ożywiłaś ostatnio, *ma petite*.

Wyrwałam się mu. Nieprawdopodobnie szybko chwycił moja rękę.

Zbyt szybko by zauważyć. To co zdarzyło się potem, było automatyczne. On trzymał mnie za prawe ramię, ale nadal mogłam zgiąć rękę w łokciu i wycelować w niego z Firestara. Lewą ręką celowałam w niego z Uzi. Mógłby zgnieść mi rękę nim strzeliłam, ale nie obie. Po raz pierwszy mierząc do niego z pistoletu, miałam z tym problem. Pasek jego szlafroka poluzował się i ujrzałam błądzący trójkąt ciała. Widziałam gdzie jest jego serce. Mogłabym rozerwać mu serce i przerwać kręgosłup. Ale nie chciałam tego zrobić. Nie chciałam rozbryzgać tego pięknego ciała po ścianach. Cholera.

Richard podszedł bliżej. Nie dotknął żadnego z nas. Tylko patrzył od jednego do drugiego.

- Czy on rani ciebie, Anito?

- Nie - odparłam.

- W takim razie, czy powinnaś celować w niego z pistoletu?

- On nie powinien mnie dotykać - powiedziałam.

Głos Richarda był bardzo łagodny. - Nie tak dawno robił o wiele więcej, Anita.

- Dlaczego mu pomagasz?

- Bo on pomógł mi. Poza tym, jeśli zabijesz go przez coś tak błahego i głupiego, nigdy sobie tego nie wybaczysz.

Wzięłam głęboki oddech i wypuściłam powietrze. Część napięcia uszła ze mnie wraz z oddechem. Obniżyłam Uzi. Jean-Claude wypuścił

moją rękę.

Skierowałam lufę Firestara w podłogę i spojrzałam na Richarda. By-

ło coś w jego oczach, zanikających bursztynowych wilczych oczach do chwili, aż pozostały tylko ludzkie. Ból. On wiedział jak dużo Jean-Claude dla mnie znaczył. To było w jego oczach. Tym jednym komentarzem dał znać, że rozumie moją relację z Jean-Claudem lepiej niż ja.

Miałam ochotę go przeprosić, ale nie wiedziałam czy zrozumie za co. Nawet nie byłam pewna czy umiałabym to wyjaśnić. Jeżeli kogoś kochasz, naprawdę kochasz, nie powinieneś sprawiać mu bólu. Nigdy nie napełniaj ich oczu smutkiem.

- Przepraszam, że byłam wcześniej zła. Chcesz zrobić to co najlepsze dla sfory, wiem o tym.

- Nadal myślisz, że jestem głupi chcąc przeprowadzić bezkrwawy zamach -powiedział.

Uniosłam się na palce i delikatnie go pocałowałam. - Nie głupi, tylko naiwny, strasznie naiwny.

- Bardzo wzruszające, *ma petite*. Richardzie doceniam ingerencję w mojej sprawie, ale to są moi ludzie. Obiecałem im pewien rodzaj wolności, gdy do mnie dołączyli. Pytam znów. Czy możesz odesłać ich z powrotem?

Obróciłam się do Jean-Claude'a z jedną ręką nadal na piersi Richarda. - Nie wiem.

- Lepiej się dowiedz, *ma petite*.

Jak dla mnie zabrzmiało to za bardzo jak groźba, ale ... był ktoś za Liv, od kogo nie mogłam oderwać oczu. Podeszłam do czekających wampirów. Otworzyłam usta, ale żaden dźwięk ich nie opuścił. Żołądek zacisnął mi się w kamień, ścisnęło mnie w piersi. W końcu powiedzia-

łam:

- Willie McCoy, chodź do mnie.

Willie obszedł wysoką blond wampirzycę. Miał na sobie ten sam zielony garnitur, który nosił w Danse Macabre. Wydawało się, że jego brązowe oczy patrzą na mnie, ale były puste, bez tej iskry, która była Willim. Nie było go tam. To było jak oglądanie poruszających się ma-rionetek, a ja byłam

marionetkowym mistrzem. Poczulałam gorzki smak w gardle. Oczy mnie piekły. Nie byłam pewna czy będę najpierw wymiotować czy płakać. Zatrzymałam go w odległości dwóch stóp. Prze-

łknęłam i gorące, parzące łzy potoczyły się w dół mojej twarzy.

- Nie chciałam tego, - szepnęłam

Jean-Claude stanął obok mnie. - Willie, - powiedział, a jego głos wibrował przez pokój. Ciało Williego zadrżało, jak gdyby głos uderzył w kamerton. - Willie, popatrz na mnie.

Pusta, znajoma twarz obróciła się powoli w stronę swojego mistrza.

Przez chwile coś zamigotało w jego oczach; coś się poruszyło, ale nie wiedziałam co.

- Taki potencjał - Jean-Claude powiedział.

- Willie, - powiedziałam, - spójrz na mnie. Mój głos nie był tak imponujący jak wampira, ale Willie odwrócił się do mnie.

- Nie - powiedział Jean-Claude - patrz na mnie Willie. Willie zawahał się.

- Willie, - powiedziałam - choć do mnie. - Wyciągnęłam rękę, a on zrobił krok w moją stronę.

Jean-Claude powiedział - Zatrzymaj się, Willie, nie idź do niej. Willie zawahał się i zaczął obracać się do Jean-Claude'a.

Skoncentrowałam się na mocy wewnątrz mnie, na tej rzeczy, która pozwalała mi ożywiać martwych i pozwoliłam jej wypłynąć ze mnie.

Wezwałam ciało Williego do siebie i Jean-Claude nie mógł już niczego zrobić.

Richard powiedział - Oboje przestańcie. On nie jest lalką.

- On też nie jest żywy - stwierdziłam.

- Zasługuje na lepsze traktowanie - powiedział Richard. Zgodziłam się z nim. Odwróciłam się do Jean-Claude'a.

- On jest mój Jean-Claude. Oni wszyscy są moi. Gdy zapadnie noc, znów będą twoi, ale ich puste powłoki są moje. Stałam blisko niego i czułam jego silny wir mocy.

Syknął i cofnął się. Trzymał rękę jak gdybym go uderzyła.

- Nie zapominaj nigdy kim jestem i co mogę zrobić. Żadnych więcej gróźb między nami, nigdy, albo to będzie ostatnia groźba.

Wpatrywał się we mnie i przez sekundę widziałam błysk czegoś, czego nigdy wcześniej nie

widziałam, lęk. Lęk przede mną, po raz pierwszy. Świetnie.

Willie patrzył na mnie pustym, wyczekującym wzrokiem. Był martwy, naprawdę martwy.

Mocne, bolesne łzy płynęły w dół mojej twarzy. Biedny Willie, biedna ja. On nie był człowiekiem. Przez wszystkie te miesiące bycia przyjacielem on był martwy. Tylko martwy. Cholera.

- Co stało się pierwszemu ożywionemu wampirowi, *ma petite*? Dlaczego nie odesłałaś go do trumny? - Za jego oczyma przesuwały się myśli. Widziałam jak jedna uformowała się i spłynęła na jego usta.

- Dlaczego dolna część ciała *Monsieur Bouviera* była stopiona?

Magnus Bouvier był służącym Seraphiny Jego zadaniem było utrzymanie mnie blisko trumny Seraphiny do czasu, aż się obudzi i mnie wykończy. Przetarłam twarz, próbując usunąć ślady łez. Płacz zawsze rujnuje efekt.

- Znasz odpowiedź - powiedziałam w napiętym, cienkim głosem.

- Powiedz to głośno, *ma petite*, chcę usłyszeć to z twoich ust.

- Nie rozumiem - Powiedział Richard - o czym wy mówicie?

- Powiedz mi, *ma petite*.

- Wampir trzymał Magnusa w pasie. Chciałam opóźnić go, nic więcej. Dotarłam do drzwi i wybiegłam na zewnątrz. Słoneczne światło uderzyło wampira i ten stanął w płomieniach. Spodziewałam się, że Magnus cofnie się do środka, ale nie zrobił tego. Szedł dalej, ciągnąc ją do światła. - Mówienie o tym szybko nie sprawiło, że brzmiało to lepiej. Stałam tam pośród ożywionych martwych, obejmując się rękami.

Nadal miałam sny o Seraphinie. Nadal widziałam Magnusa zbliżające-go się do mnie, błagającego o ratunek.

Mogłabym go rozstrzelać i nie przeżywać tego we śnie, ale spalenie żywcem było torturą. Ja nie torturowałam. Nie wspominając, że Ellie Quinlan była już wampirem i prawnie była żywa. Zabiłam ich oboje i to nie było ładne.

Richard patrzył na mnie, a na twarzy miał coś bliskiego przerażeniu.

- Spaliłaś ich żywcem, człowieka i wampira?

Patrzyłam jak brąz w jego oczach wypływa na powierzchnię. Gdy patrzyłam kształt jego oczu się zmienił. To musiało go zabołeć. Jeśli zabolęło, nie pokazał tego.

- Nie planowałam tego Richardzie. Nie chciałam, żeby to się stało, ale zrobiłabym wszystko żeby uciec przed Seraphiną. Wszystko.

- Nie rozumiem.

- Wiem - odpowiedziałam.

- Nie ma żadnej hańby w przeżywaniu, *ma petite*.

Odwróciłam się do Jean-Calude'a. Nie było żadnych emocji na jego twarzy. Był śliczny i pusty jak lalka.

- W takim razie dlaczego w tej chwili nie mogę niczego wyczytać z twojej twarzy? Życie napłynęło do jego twarzy, napełniło jego oczy, poruszyło się pod skórą, aż był

tu, patrząc na mnie. Jego wzrok nie był tym czego oczekiwałam.

Tam nadal był lęk i niespodziewanie pod spodem - niepokój.

- Lepiej? - Spytał.

- Tak. - Zmarszczyłam brwi - Co cię niepokoi?

On westchnął. - Każda uczciwość jest w końcu ukarana, ale zwykle nie tak szybko.

- Odpowiedz mi Jean-Claude.

Przesunął wzrok ze mnie na czekające za Richardem wilkołaki. - Nie musimy omawiać wszystkiego teraz, nie przy wszystkich.

- Dlaczego nie? - Spytał Richard.

- To mogłoby zażenować *ma petite*.

- To prawda - stwierdziłam - ale nie o to chodzi. Nie przeszkadza ci moje zakłopotanie. Psiakrew, ta historia to wielka groźba dla twoich wampirów. To by ich cholernie wystraszyło.

- To, *ma petite*, punkt dla ciebie.

Westchnęłam. - Przestań udawać tępego i powiedz nam.

- Nie chcę tego - skinął ręką na wampiry - To przyciągnie zainteresowanie rady wampirów.

- Dlaczego nie? - spytaliśmy oboje z Richardem.

- Bo zwyczajnie, *ma petite*, cię zabiją.

- Jestem twoją oficjalnie zgłoszoną służką - powiedziałam - mówiłeś, że zrobiłeś to bym była bezpieczna.

- Dla tej sprawy, oni przyjadą osobiście. Jesteś moją służką tylko z nazwy. Dla nich to nie wystarczy.

Bez związku między nami, oni nie będą ci ufać.

- I tylko dlatego będą chcieli ją zabić? - spytał Richard. Przysunął się do mnie jakby chciał mnie dotknąć, ale jego ręce zatrzymały się nad moimi ramionami.

Patrząc na niego, powiedziałam - Jedna historia o spaleniu żywcem ludzi i nie chcesz mnie dotknąć. Sam skrzywdziłeś małego wilkołaka.

Próbowałam utrzymać jasny ton głosu, ale byłam już na krawędzi.

Jego ręce mocno chwyciły moje ramiona. - To naprawdę cię dręczy, to co zrobiłaś, prawda?

Odwrociłam się, aby zobaczyć jego twarz, z jego rękami nadal na moich ramionach.

- Oczywiście, że mnie to dręczy. Nie tylko zabiłam Magnusa, ja go torturowałam na śmierć. Ellie Quinlan nie zasłużyła na spalenie żywcem. - Potrząsnęłam głową i spróbowałam się od niego odsunąć. On przesunął swoje ręce na moje plecy i delikatnie mnie przytulił.

- Przykro mi, że musiałaś to zrobić. - Jedną ręką dotknął moich włosów, druga nadal spoczywała na moich plecach. - W twoich oczach widać udrękę, przez to co zrobiłaś. Nie miej mi tego za złe, ale czuje się lepiej widząc ból w twoich oczach.

Odsunęłam się od niego.

- Myślałeś, że mogłabym zabić kogoś torturując i nic bym nie czuła?

Spojrzał mi w oczy, ale wyglądało to, jakby sprawiło mu to wysiłek.

- Nie miałem pewności. Potrząsnęłam głową.

Jean-Claude ujął mnie za lewą rękę; w drugiej miałam Firestara. Obrócił mnie do siebie. Podnosił moją dłoń do ust jednocześnie pochylając do mnie głowę. Ukłonił się mówiąc, - Nie istnieje nic, co byś kiedykolwiek mogła zrobić, abym przestał cię pragnąć. - Pocałował mnie w rękę. Jego wargi zwlekały dłużej niż to było kulturalne. Liznął językiem moją skórę i wyrwałam się.

- Jesteś przestraszony, że mogę ożywić wampiry w ten sposób.

- Być może, *ma petite*, ale przerażałam cię latami, mimo to nadal tu jesteś. Punkt dla niego. Spojrzałam na Williiego.

- Zobaczmy, czy możemy odłożyć wszystkich tam gdzie ich miejsce.

- Miałam nadzieję, że mogłabym to zrobić. Chciałam Williiego z powrotem, nawet jeśli to było oszustwo. On chodził, mówił, to nadal był Willie. A może tylko chciałam, aby to był Willie. Być może potrzebowa-

łam, by to był Willie.

Rozdział 29

- Zaprowadź mnie do pokoju trumien - powiedziałam
- Po co? - Spytał Jean-Claude. Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że spojrzałam na niego.
- Bo poprosiłam.
- Co poczułoby moje stadko dowiedziawszy się, że zezwoliłem Eg-zekutorce, na wstęp do ich prywatnej komnaty, kiedy bezbronnie spało.
- Nikogo dziś nie zabiję. Z premedytacją.
- Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedziałaś, *ma petite*.
- Moc, nad którą nikt nie panuje jest nieprzewidywalna, Jean-Claude.

Może się wydarzyć mnóstwo nieprzyjemnych rzeczy. Muszę widzieć gdzie spoczną wampiry. Spróbuję złożyć je z powrotem w kontrolowany sposób.

- Jakie nieprzyjemne rzeczy? - Zapytał Richard.

To było dobre pytanie. Biorąc pod uwagę, że działałam na ślepo, nie miałam dobrej odpowiedzi.

- Potrzeba mniej energii aby odesłać, niż ożywić. Jeżeli przyzwiemy moc nie mając żadnej kontroli, a potem spróbuję dokonać odesłania...-

Pokręciłam głową.

- Mogłabyś zagasić w nich życie - rzekła Cassandra.

Spojrzałam na nią - Co powiedziałaś?

- Zamierzasz odesłać ich z powrotem do trumien, tak jak postąpiłabyś z zombie, ale w przypadku zombie chcesz, aby stał się ponownie martwy, czy tak?

Nie myślałam o tym w ten sposób, ale miała rację.

- Jeśli nakazujesz wampirom powrót do trumien, w efekcie chcesz, aby tak jak w przypadku zombie, znów stały się martwe, prawda?

- Owszem.

- Ale nie permanentnie martwe.

Zaczynała mnie boleć głowa. - Nie, nie chcę, aby stały się permanentnie martwe.

- Skąd wiesz tyle o nekromancji, Cassandro? - Spytał Jean-Claude.

- Mam magistrat z teorii magii.
 - To dopiero przydaje się przy pisaniu CV, - powiedziałam.
 - Ani trochę, - odparła, - ale teraz może być użyteczne.
 - Czy wiedziałeś, że najnowszy członek twojego stada jest tak świetnie wykształcony, Richardzie? - Spytał Jean-Claude.
 - Tak, - odparł, - między innymi dlatego pozwoliłem jej się tu przeprowadzić.
 - Pozwoliłeś? - Powiedziałam. - Dlaczego miałyby potrzebować twojej zgody?
 - Wilkołak potrzebuje pozwolenia miejscowego przywódcy stada, zanim wkroczy na nowe terytorium. Jeżeli nie poprosi o nie, uznaje się to za wyzwanie.
 - Musiała zwrócić się do ciebie czy Marcusa?
 - Obu, - powiedziała Cassandra. - Większość wilkołaków nie zbliży się do Saint Louis póki trwa walka o władzę.
 - Dlaczego więc to uczyniłaś, mój wilku? - Spytał Jean-Claude.
 - Spodobało mi się, co słyszałam o Richardzie. Że stara się stworzyć stado na miarę dwudziestego wieku.
 - Czy przybyłaś z zamiarem zostania jego Lupą? - Spytałam.
- Owszem, małe ukłucie zazdrości wysunęło swą obrzydliwą główkę.
- Cassandra uśmiechnęła się. - Może, ale etat jest już zajęty. Przeniosłam się, aby uniknąć walki, a nie ją rozpocząć.
- Obawiam się, że wybrałaś niewłaściwe miejsce, - powiedział JeanClaude.
- Wzruszyła ramionami. - Gdybym czekała bezpiecznie na zakończenie walk, miałabym niewielką wartość, prawda?
- Przybyłaś, aby walczyć u boku Monsieur Zeemana?
 - Przybyłam ponieważ popieram jego cele.
 - Jesteś przeciwna zabijaniu? - Spytałam.
 - Raczej tak.
 - No proszę, Richardzie, znalazłeś pokrewną duszę, - powiedział Je-an-Claude z uśmiechem, zdecydowanie był za bardzo zadowolony.

- Cassandra, tak jak wielu ludzi, wierzy, że życie jest święte, - powiedział Richard nie spoglądając na mnie.

- Jeżeli jest dla ciebie lepszą partią, nie stanę ci na drodze.

Odwrócił się w moją stronę, na jego twarzy było szczere zdumienie.

- Anito... - Pokręcił głową. - Jestem w tobie zakochany.

- Przejdzie ci - powiedziałam. Oferta wywołała u mnie ucisk w klatki piersiowej, ale mówiłam na poważnie. Ja i Richard różniliśmy się na poziomie podstawowych pojęć. Tego nie dało się zignorować. Jedno z nas musiało pójść na kompromis, tą osobą nie byłam ja. Nie umiałam spojrzeć mu w oczy, ale nie cofnęłam swoich słów.

Stał przede mną, widziałam tylko jego nagą klatkę piersiową. Tuż pod lewym sutkiem było zadrapanie, ciemne stróżki krwi zasychały na jego skórze. Dotknął mojej brody, uniósł twarz, aż mógł spojrzeć mi w oczy. Przyglądał się, jakby jej nigdy wcześniej nie widział.

- Nigdy nie mógłbym przeboleć utraty ciebie, Anito. Nigdy.

- Nigdy to długo, aby być przywiązany do mordercy.

- Nie musisz być mordercą, - powiedział,

Odsunęłam się od niego. - Jeżeli kręcisz się w pobliżu, czekając aż zmięknię i stanę się dobrą, małą dziewczynką, równie dobrze możesz już odejść.

Chwył mnie za ramiona i przytulił do siebie. - Pragnę cię, Anito, całej. - Pocałował mnie ciasno oplatając rękami i przyciskając do siebie.

Odwzajemniłam gest, w jednej dłoni nadal miałam Firestara. Byli-

śmy na tyle blisko siebie, że czułam, iż cieszy się na mój widok.

Przerwaliśmy, aby zaczerpnąć powietrza, odsunęłam się, ale nadal ze śmiechem mnie obejmował. Zauważyłam Jean-Claude'a stojącego z boku. Wyraz jego twarzy stał się mój uśmiech. Zobaczyłam zazdrość, głód, pożądanie. Oglądanie nas razem ekscytowało go.

Odsunęłam się od Richarda, ręce miałam umazane krwią. Ciężko by-

ło to dostrzec na ciemno granatowej koszulce, ale były na niej mokre plamy, w miejscach, które dotknęły krwawych zadrapań. Niektóre rany, były na tyle głębokie, że nadal sączyła się z nich krew.

Teraz również Richard spojrzał na Jean-Claude'a. Zrobiłam krok do przodu unosząc krwawą dłoń. Podeszłam do wampira, obserwował

świeżą krew, nie mnie. Zatrzymałam się w odległości dwóch metrów, rękę trzymałam wyciągniętą na

wysokości jego twarzy.

- Co byś teraz wybrał, seks czy krew?

Jego oczy przeniosły się na moją twarz, z powrotem na dłoń, na twarz. Widziałam jak wielkim wysiłkiem było dla niego utrzymanie kontaktu wzrokowego.

- Zapytaj Richarda, co wybrałby tuż po przemianie w wilkołaka, seks czy świeże mięso?

Spojrzałam na Richarda. - Jaki byłby twój wybór?

- Tuż po przemianie, mięso. - Powiedział to, jakbym powinna znać odpowiedź. Odwróciłam się z powrotem do wampira. Wsunęłam Firestara z przodu spodni i przybliżyłam

okrwawioną dłoń do jego ust.

Jean-Claude chwycił mój nadgarstek. - Nie drażnij mnie, *ma petite*.

Moje opanowanie ma

granice.

Dreszcz przebiegł wzdłuż jego ręki. Odwrócił wzrok, zamknął oczy.

Dotknęłam jego twarzy prawą dłonią, obracając go ku sobie. - Kto mówi, że cię tylko drażnię? - Powiedziałam cicho. - Zabierz nas do pokoju trumien.

Jean-Claude przyjrzał się mi badawczo. - Co oferujesz, *ma petite*?

- Krew. - Powiedziałam

- I seks? - Zapytał.

- Co byś wybrał teraz, w tym momencie? - Wpatrywałam się w niego, próbując wyczytać prawdę.

Zaśmiał się niepewnie. - Krew.

Uśmiechnęłam się i wyswobodziłam nadgarstek. - Pamiętaj, to była twoja decyzja.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie przemieszane z ironią. -

Sprytnie, *ma petite*, ale zaczynam mieć nadzieję, że to nie będzie ostatni raz, kiedy dany jest mi ten wybór. - W jego głosie, oczach była namiętność, przebywanie obok niego sprawiło, że zadrzałam.

Rzuciłam okiem na Richarda. Obserwował nas. Spodziewałam się zazdrości albo gniewu, ale dostrzegłam tylko pożądanie. Byłam przekonana, że w tamtej chwili wybrałby seks, ale myśl o

dodaniu do tego odrobiny krwi, nie zdawała się go martwić. Tak naprawdę, to wyglądał

jakby go ekscytowała. Zaczynałam się zastanawiać czy wilkołak i wampir mają podobne gusta jeżeli chodzi o grę wstępną. Ta myśl powinna mnie przestraszyć, ale tak się nie stało. To był bardzo, bardzo zły znak.

Rozdział 30

Ostatnim razem, gdy byłam w pomieszczeniu z trumnami pod Cyr-kiem Potępieńców, przyszłam, żeby zgładzić poprzedniego Mistrza Miasta. Przyszłam, żeby zabić każdego wampira w tym miejscu. Rany, jak wiele się zmieniło.

Droga rozświetlona była sześciennymi białymi elementami instalacji przymocowanymi do ścian, rzucającymi miękkie aureole światła na każdą z siedmiu trumien. Trzy z trumien było puste, ich wieka otwarte.

Wszystkie były nowoczesne, obszerne. Dębowe, bogato polakierowane, zabarwione prawie na czarno.

Srebrne rączki ozdabiały drewno. Satynowe podszewki otwartych trumien były różnokolorowe: biała, niebieska, czerwona. W trumnie z czerwonym wnętrzem był miecz w specjalnie zrobionym futerale: piekielny oburęczny miecz tak duży jak ja. Para najbrzydszych niewyraźnych kości jakie kiedykolwiek widziałam została zawieszona przy bia-

łej satynowej trumnie. To musiało być Williego. Niebieski atłas miał

małą dodatkową poduszkę. Stojąc ponad trumną, czuło się spleśniały, lekko słodki zapach ziół.

Dotknęłam małej poduszki i zorientowałam się, że była wypełniona wysuszonymi ziołami.

- Zioła na słodkie sny. - nie zwróciłam się do nikogo szczególnego.

- Czy masz jakiś cel ruszając ich rzeczy osobiste, *ma petite*? Popa-trzałam na niego. - Jakie pamiątki masz w swojej trumnie? Uśmiechnął

się tylko.

- Dlaczego wszystkie trumny są takie same?

- Jeżeli weszłabyś tutaj, by nas zabić, gdzie byś zaczęła? Spojrzałam dookoła na identyczne trumny.

- Nie wiem. Jeżeli ktoś wejdzie, to nie będzie wiedział kto jest najstarszy albo gdzie jest Mistrz Miasta. To chroni twój tyłek, ale zagraża reszcie.

- Jeżeli ktoś przyjdzie nas zgładzić, *ma peilte*, z korzyścią dla każdego jest, by najstarszy nie został zabity jako pierwszy. Jest zawsze szansa, że jeden ze starszych mógłby się obudzić w samą porę, by uratować resztę.

Przytaknęłam. - Po co takie ekstra-szerokie, ekstra-wysokie wnętrze?

- Czy chciałabyś spędzić wieczność na plecach, *ma peilte*? -

Uśmiechnął się i podszedł, by stanąć obok mnie, opierając się o otwartą trumnę, ręce skrzyżował na klatce piersiowej. - Jest wiele innych, wy-godniejszych pozycji.

Poczułam, że się czerwienię. Richard dołączył się do nas.

- Będziecie wymieniać ciętą ripostę, czy zabieramy się do pracy? -

Oparł się na przedramionach na zamkniętym końcu trumny. Prawe ramię miał zadrapane do krwi. Wyglądał jakby był w domu. Jason, nadal futrzany i wystarczająco duży, by na nim jeździć, spacerował po kamiennym podłodze, stukając pazurami. Głowa wilka będącego na czworakach była wystarczająco wysoko, by polizać krwawiącą rękę Richarda. Były momenty kiedy czułam, że Richard był zbyt normalny, by pasować do mojego życia. To nie był jeden z ich.

- Tak, zrobimy to. - powiedziałam.

Richard wstał, przecesał ręką gęste włosy, odsłaniając twarz i pokazując klatkę piersiową. Pierwszy raz zastanawiałam się, czy zrobił to celowo.

Przeszukałam jego twarz, by znaleźć odrobinę drażnienia jaką JeanClaude miał, wiedzy, że nawet ten prosty ruch na mnie działał. Nie było niczego. Twarz Richarda była szczerą, przystojną, pustą, bez głębszych motywów.

Wymieniłam spojrzenia z Jean-Claudem. Wzruszył ramionami.

- Jeżeli go nie rozumiesz, nie patrz na mnie. Nie jestem w nim zakochany.

Richard wyglądał na zaintrygowanego. - Czy coś przegapiłem? -

Głaskał wilka po szyi, przyciskając głowę do klatki piersiowej. Wilk wydał z siebie wysoki skamlący dźwięk przyjemności. Zadowolony, że wrócił do łask lidera sfory, domyślałam się.

Potrząsnęłam głowę. - Nie do końca.

- Dlaczego tutaj jesteśmy? - spytał Stephen. Stał tak blisko drzwi jak tylko mógł nie wychodząc na zewnątrz. Jego ramiona były zgarbione.

Był przerażony, ale czym?

Cassandra stała obok Stephena, ale wewnątrz pokoju, bliżej nas. Jej twarz była uprzejma, nieczytelna, z wyjątkiem pewnej ostrożności dookoła oczu. Oboje nosili dzinsy z za dużymi koszulkami. Stephena była męską bladoniebieską koszulą. Cassandra miała za duży, matowo zielony podkoszulek z wielką głową wilka z ogromnymi, żółtymi oczyma.

- Co jest nie tak, Stephen? - spytał Richard. Stephen mrugnął i potrząsnął głową.

- Wszyscy usłyszeliśmy, jak Anita mówiła do Jean-Claude'a, że będzie potrzebowała więcej krwi, świeżej krwi. - powiedziała Cassandra.

Patrzała na mnie kiedy skończyła. - Myślę, że Stephen się martwi, skąd ma pochodzić świeża krew.

- Nie składałam ofiar z ludzi. - powiedziałam.

- Niektórzy nie uważają lykantropów za ludzi. - rzekła Cassandra.

- Ja tak. - odparłam.

Patrzyła na mnie, osądzając moje słowa. Niektóre lykantropy mogłyby powiedzieć, kiedy kłamiesz. Zakładałam się, że ona była jednym z ich.

- Więc skąd będziesz miała krew?

To było dobre pytanie. Nie byłam pewna, czy znałam dobrą odpowiedź.

- Nie wiem, ale nikogo nie zabiję.

- Czy jesteś pewna? - spytała. Wzruszyłam ramionami.

- Jeżeli będę musiała zabić, by złożyć ich z powrotem, już są martwi.

Nie zamierzam zabijać, aby oni mogli żyć. - Patrzyłam na trzy czekające wampiry, gdy to mówiłam. Liv, Willie i, zaskakująco Damian.

Przywołanie wampirów było wystarczająco imponujące, ale przywoła-nie jednego tak potężnego jak Damian było zupełnie przerażające. Nie był mistrzem wampirów, nigdy nie będzie, ale mógłby mnie przerazić w równej walce. Teraz stał ubrany tylko w zielone rajstopy z lycry i piracką szarfę. Górna część ciała błyszczała jak umięśniony marmur pod ogniem świateł. Jego zielone oczy gapiły się na mnie, czekając z cierpliwością, jak tylko naprawdę martwy potrafi.

- Drżysz, *ma petite*.

- Wezwiemy znowu moc i wtedy będziemy potrzebować krwi. - Patrzyłam na Jean-Claude'a i Richarda. - Jeżeli Richard musi walczyć dzisiaj wieczorem z Marcusem, nie jestem pewna czy powinien być tym, który znowu odda trochę krwi.

Jean-Claude przekrzywił głowę na jedną stronę. Oczekiwałam, że powie coś irytującego, ale nie zrobił tego. Być może nawet bardzo stary pies mógłby nauczyć się nowych sztuczek.

- On nie zatopi w tobie kłów. - powiedział Richard. Gniew sprawił, że jego brązowe oczy były ciemne i błyszczące, był śliczny kiedy był

zły. Aura energii zapłonęła dookoła niego, wystarczająco blisko, by pełzać w dół mojej nagiej skóry.

- Nie możesz być dawcą dwa razy pod rząd, z Marcusem czekającym na ciebie - powiedziałam.

Richard chwycił mnie za ramiona. - Nie rozumiesz, Anito. Karmie-nie jest dla niego jak seks.

Znów, na pół oczekiwałam, że Jean-Claude coś powie, ale nic nie zrobił. Musiałam to powiedzieć. Cholera. - To nie będzie pierwszy raz, Richardzie.

Palce Richarda zacisnęły się mocniej na moich ramionach. - Wiem.

Widziałem ślady kłów na twoim nadgarstku. Ale pamiętaj, nie byłeś wtedy pod wpływem jego umysłu.

- Pamiętam. - powiedziałam. - To piekielnie bolało.

Richard przyciągnął mnie do siebie z rękami nadal trzymającymi moje ramiona, podniósł mnie na palce, jakby chciał mnie unieść do twarzy.

- Bez kontroli umysłu, to jest jak gwałt, nie na poważnie. Teraz to będzie prawdziwe.

- Ranisz mnie, Richardzie. - Mój głos był spokojny, mocny, ale spojrzenie na jego twarzy mnie przeraziło. Intensywność w jego rękach, jego twarzy, jego ciele, wytrącała z równowagi.

Uspokoił się, ale nie zabrał rąk. - Weź krew od Jasona albo Cassandry. Potrząsnęłam moją głowę.

- To mogłoby się udać albo i nie. Jeżeli krew pochodziłaby od jednego z nas, wiem, że by się udało. Poza tym, czy powinieneś oferować krew innych ludzi bez pytania ich o zdanie?

Wątpliwości prześlizgnęły się za jego oczami i puścił mnie. Jego długie włosy spadły naprzód, chowając jego twarz.

- Mówisz, że mnie wybrałaś. Że mnie kochasz. Że nie chcesz uprawiać z nim seksu. Teraz, mówisz, że chcesz pozwolić mu, by się tobą pożywił. To jest tak złe jak seks. - Obszedł pokój, krocząc dookoła czekających wampirów, wracając z powrotem krokiem, który wypełnił

pokój ciepłą, pełzającą mocą.

- Nie powiedziałam, że chciałam go nakarmić. - powiedziałam.

Zatrzymał się na środku pokoju, gapiąc się na mnie. - Ale zrobisz to, nieprawdaż?

- Nie. - powiedziałam i to była prawda. - Nigdy mnie to nie interesowało.

- Ona mówi prawdę. - powiedział w końcu Jean-Claude.

- Nie wtrącaj się - odparł Richard, wskazując na niego palcem.

Jean-Claude uklonił się lekko i pozostał cicho. Zachowywał się daleko zbyt dobrze. Zrobiłam się nerwowa. Oczywiście, Richard był w wystarczająco dobrej kondycji.

- Więc pozwól mi znów go nakarmić.

- To dla ciebie nie jest seksualne? - Spytałam.

Richard potrząsnął głowę. - Patrzyłem na ciebie, Anito, nie na niego.

Nie mam nic przeciwko lekkiemu bólowi.

Teraz była moja kolej, by potrząsnąć głową.

- Czy naprawdę uważasz, że pozwolenie mu, by zatopił kły w moje ciało przeszkadzałoby ci tak samo jak zanurzenie... - Pozwoliłam nie-wypowiedzianej myśli umrzeć. - Uważam dzielenie się krwią za mniejsze zło, Richardzie. A ty?

- Tak - syknął. Jego moc napełniała pokój jak ciepła, naelektryzowana woda. Mogłabym prawie sięgnąć i chwycić ją.

- Więc po co tak narzekasz? - Zapytałam. - Nie zrobilibyśmy tego pierwszy raz, ale to ty chciałeś, żebym to zrobiła. Chciałeś, byśmy to zrobili. - Podeszłam do niego, w końcu rozgniewana.

- Nie chcesz zabić Marcusa, fajnie, ale to jest cena za to. Chcesz, by wystarczająca moc zastraszyła resztę sfory bez tracenia twojego człowieczeństwa, świetnie, ale ten rodzaj władzy nie przychodzi za darmo. -

Stałam naprzeciwko niego tak blisko, że jego moc tańczyła po mojej skórze jak delikatne igły, jak seks na krawędzi między przyjemnością i bólem.

- Jest zbyt późno, by się teraz wycofać. Nie zostawimy bez pomocy Williego i innych, ponieważ się boisz. - Zrobiłam ostatni krok, ustawiając nasze ciała tak blisko siebie, że dotknęlibyśmy się przy głębokim oddechu. Przyciszyłam głos do szeptu, chociaż wiedziałam, że wszystko w pokoju nadal mogło mnie słyszeć. - To nie krew ci przeszkadza.

Ciebie niepokoi to, że ci się to podobało. - Obniżyłam głos dopóki nie stał się tylko ruchem warg z oddechem. - Jean-Claude nie uwodzi tylko mnie, on uwodzi nas oboje.

Richard wpatrywał się w mnie i spojrzenie w jego prawdziwych brązowych oczach było zagubione, beznadziejne. Mały chłopiec, który odkrył, że potwór pod łóżkiem jest prawdziwy i pieprzy Mamusię.

Moc Jean-Claude'a popłynęła przez pokój, mieszając się z naładowanym ciepłem Richarda jak chłodny wiatr z grobu. Oboje odwrócili-

śmy się i patrzeliśmy na wampira. On uśmiechał się odrobinę. Rozwiązał szlafrok i upuścił na podłogę. Płynął do nas, ubrany tylko w jedwabną piżamę i chytry uśmiech. Jego własna moc

sprawiła, że jego długie włosy płynęły dookoła jego twarzy jak mały wiatr. Richard dotknął moich ramion i nawet to cnotliwe dotknięcie wysłało linię z ciepłą, drżącą energią wzdłuż mojej skóry. Moc była do przywołania, do-słownie pod powierzchnią. Nie potrzebowaliśmy wszystkich seksualnych szarad.

Jean-Claude wyciągnął do mnie bladą rękę. Dotknęłam go i to wystarczyło. Chłodna, płonąca moc płynęła nade mną, przeze mnie, do Richarda. Usłyszałam, jak Richard łapie oddech. Jean-Claude zaczął

przesuwać się, jakby chciał dotknąć swoim ciałem moje. Trzymałam go daleko od mnie ręką, splecioną z jego dłonią.

- Jest tutaj, Jean-Claude, nie czujesz tego? Kiwnął głową. - Twoja moc mnie wzywa, *ma petite*.

Ręce Ryszarda ślizgały się po moich ramionach, jego twarz muskała moje włosy. – Co teraz?

- Tym razem opanujemy moc, a nie ona nas.

- Jak? - Richard szepnął.

Jean-Claude patrzył na mnie oczami, które były głębokie jak ocean i pełne sekretów. -Wierzę, że *ma petite* ma plan.

- Tak - powiedziałałam - Mam plan. - Spojrzałam od jednego do drugiego. - Mam zamiar zadzwonić do Dominica Dumare i zobaczyć, czy on wie jak złożyć wampiry z powrotem do trumien. - Dominic został

oczyszczony z zarzutu morderstwa Roberta. Miał dobre alibi. Był z kobietą. Nawet jeśli by nie był, mogłabym poprosić o jego pomoc.

Chciałam uratować Williego, bardziej niż chciałam mścić się za Roberta.

Dziwne wrażenie przemknęło przez twarz Jean-Claude'a. - Ty, prosząca o pomoc, *ma petite*? To jest niezwykle.

Oddaliłam się od nich. Mogliśmy odtworzyć moc, byłam tego dość pewna.

Patrzałam na pustą twarz Williego i niewyraźne kości wiszące przy jego trumnie. -Jeżeli popełnię błąd, stracimy Williego. Chcę go z powrotem.

Były czasy kiedy myślałam, że to nie Jean-Claude przekonał mnie, że wampiry nie zawsze były potworami. To byli Willie i Truposz Dave, były policjant i właściciel baru. To był orszak słabszych wampirów, które czasami okazywały się miłymi gośćmi. Jean-Claude był wieloma rzeczami; miła nie była jedną z ich.

Rozdział 31

Dominie Dumare zjawił się w czarnych spodniach oraz czarnej skurczanej kamizelce, odsłaniającej szarą jedwabną koszulkę z krótkim rękawem. Bez Sabina wyglądał na bardziej rozluźnionego - jak pracownik na urlopie. Nawet jego broda i wąsy, krótko przystrzyżone, nie rzucały się w oczy.

Dominic obszedł dookoła trzy wampiry, które wskrzesiłam. Cofnęli-

śmy się w stronę poboju, by mógł zobaczyć zarówno zombie jak i wampiry. Przechodząc obok wampirów dotykał je w różne miejsca.

Uśmiechnął się do mnie, białe zęby świeciły się na tle brązowej brody. -

To jest cudowne, wspaniałe.

Musiałam walczyć ze sobą patrząc na niego. - Wybacz mi, jeśli nie podzielam twojego entuzjazmu. Możesz mi pomóc złożyć ich z powrotem do grobu?

- Teoretycznie.

- Jak ludzie zaczynają używać tego słowa, oznacza to, że nie wiedzą jak coś zrobić. A więc, czy możesz mi pomóc?

- Zaraz, zaraz. - Powiedział Dominic. Przykląkł przy Willim patrząc na niego, badając jak preparat pod mikroskopem. - Nie powiedziałem, że nie jestem w stanie pomóc. Prawdą jednak jest, że nigdy nie widzia-

łem, by ktoś tego dokonał. A ty twierdzisz, że to nie pierwszy raz. -

Wstał, otrzepując nogawki spodni.

- Tylko raz.

- Bez udziału triumwiratu? - Zapytał się.

Musiałam mu powiedzieć. Wiem dość o magii, by zrozumieć konsekwencje nie poinformowania go o tym, jak zebraliśmy tak dużo energii.

Na cokolwiek Dominic by wpadł nie podziałałoby. To by było jak zgłosić na policję włamanie, gdy w rzeczywistości popełniono morderstwo.

- Tak, za pierwszym razem byłam sama.

- Jednak za każdym razem w ciągu dnia? - Zapytał się. Przytaknę-

łam.

- To ma sens. Możemy wskrzeszać zombie po tym jak dusza opuści ciało. Wynika z tego, że wampiry można wskrzesić tylko podczas dnia.

Gdy zapada zmrok ich dusze powracają.

Nie miałam zamiaru kłócić się o to, czy wampiry posiadają dusze.

Nie byłam już pewna odpowiedzi.

- Nie mogę wskrzeszać zombie w ciągu dnia. Tym bardziej wampirów. - Odpowiedziałam. Dominic wskazał na nieumarłych czekających na mój rozkaz. - Ale zrobiłaś to. Potrzasnęłam głową. - Nie o to chodzi.

Nie powinnam być w stanie tego zrobić.

- Próbowалаś kiedykolwiek wskrzesić zombie podczas dnia?

- Cóż, nie. Człowiek, który mnie szkolił powiedział, że to niemożliwe.

- Więc nigdy nie próbowałaś. - Odpowiedział Dominic. Zawahałam się przez chwilę.

- Próbowалаś. - Powiedział.

- Nie mogę tego zrobić. Nie jestem nawet w stanie zebrać mocy podczas dnia.

- Tylko dlatego, że wierzysz, iż nie jesteś w stanie. - Powiedział

Dominic.

- Wyjaśnij to.

- Wiara jest jednym z najważniejszych aspektów magii.

- Twierdzisz, że jeśli uwierzę, iż nie mogę wskrzesić zombie w ciągu dnia, to tak się stanie.

- Dokładnie.

- To nie ma sensu. - Odezwał się Richard. Oparł się o nienaruszoną ścianę. Podczas mojej rozmowy z Dominikiem był bardzo cicho. Jason, nadal w formie wilka, leżał u jego stóp. Stephen uprzątnął gruz i usiadł przy wilku.

- W zasadzie. - Odezwałałam się. - To ma sens. Widziałam ludzi z du-

żym talentem, którzy nie mogli nic wskrzesić. Jedna z tych osób była przekonana, że jest to śmiertelny grzech i całkowicie zablokowała swoje umiejętności. Jednak emanowała mocą bez względu na to czy to akceptowała, czy nie.

- Zmiennokształtny może wyrzec się swoich mocy jeśli chce. Jednak nie powstrzyma go to przed przemianą. - Odpowiedział Richard.

- Uważam, że z tego powodu lykanotrofia jest uważana za klątwę. -

Powiedział Dominic. Richard spojrział na mnie z niedowierzaniem. -

Klątwa?

- Musisz wybaczyć Dominicowi. - Powiedział Jean-Claude. - Sto lat temu nikomu nie przyszłoby do głowy, że lykanotrofia może być chorobą.

- Zainteresowany uczuciami Richarda? - Zapytałam się.

- Jego szczęście jest twoim szczęściem, *ma petite*.

Nowe, miłe usposobienie Jean-Claude'a nie podobało mi się. Nie ufałam jego nagłej przemianie.

- Jeśli Anita nie wierzy, że jest w stanie wskrzesić zombie w ciągu dnia, to dlaczego to zrobiła? - Odezwała się Cassandra. Dołączyła do naszej rozmowy, jakby to były zajęcia w szkole metafizycznej. Spotka-

łam ludzi takich jak ona w koledżu. Teoretycy nie mający za grosz magii, czy talentu. Siedzący godzinami i dyskutujący, czy dane zaklęcie zadziała. Traktowali magię jak fizykę, naukę nie mając możliwości jej sprawdzenia. Boże broń, by któremuś z 'magów' przyszło do głowy wypróbować ich teoretyczne zaklęcia w rzeczywistości. Dominic pasowałby do 'teoretyków', gdyby nie to, że ma własną magię.

- Obydwie sytuacje były ekstremalnymi przypadkami. - Powiedział

Dominic. - Można to porównać do babci podnoszącej samochód, by wydostać spod niego wnuka. W tych skrajnych przypadkach jesteśmy w stanie przekroczyć własne możliwości.

- Ale babcia nie może podnieść samochodu, tylko dlatego, że zrobiła to już wcześniej. - odpowiedziałam.

- Hmm. - Zamyślił się Dominic. - Może porównanie nie jest najlepsze, ale wiesz co mam na myśli. Jeśli nie, jesteś po prostu uparta.

Prawie uśmiechnęłam się. - Twierdzisz więc, że jestem w stanie wskrzesić zombie w ciągu dnia jeśli w to uwierzę?

- Tak mi się wydaje.

Potrzęsnałam głową. - Nigdy nie słyszałam by jakikolwiek animator był w stanie to zrobić.

- Ale ty nie jesteś tylko animatorem. - Powiedział Dominic. - Jesteś nekromantką.

- Nigdy nie słyszałem o nekromancie, który mógłby wskrzesić umar-

łych w ciągu dnia. - Powiedział Jean-Claude.

Dominic taktownie wzruszył ramionami. Przypomniało mi to JeanClaude'a. Potrzeba kilkuset lat praktyki by zrobić to idealnie. - Niektóre wampiry mogą chodzić w ciągu dnia tak długo, jak są szczelnie osłonię-te. Wydaje mi się, że to samo dotyczy nekromantów.

- Więc nie wierzysz by Anita była w stanie wskrzesić umarłych w środku dnia będąc na otwartym terenie? - Zapytała się Casandra.

Dominic ponownie wzruszył ramionami. Poczym roześmiał się. -

Złapałaś mnie, moja intelektualna piękności. Dla Anity może to być możliwe, aczkolwiek nawet ja nie słyszałem by ktokolwiek tego dokonał.

Potrząsnęłam głową. - Posłuchaj, możemy o tym porozmawiać. Czy teraz możesz pomóc mi znaleźć sposób złożyć powrotem wampiry do trumien nie uszkadzając ich.

- Co masz na myśli? - Zapytał się Dominic.

- Nie żartuj sobie Dominic. - Powiedział Jean-Claude. - Doskonale wiesz, co miała na myśli.

- Chcę usłyszeć, to z jej ust.

Jean-Claude spojrzał na mnie i delikatnie wzruszył ramionami, prawie niezauważalnie.

- Kiedy zapadnie zmrok, chcę by powstałi jako wampiry. Obawiam się, że jeśli zrobię coś złe, pozostaną martwi.

- Zaskakujesz mnie Anita. Możliwe, że twoja reputacja zmory wśród miejscowej populacji wampirów jest przesadzona.

Spojrzałam na niego. Zanim zdążyłam powiedzieć coś, co zabrzmia-

łoby jak przechwałki odezwał się Jean-Claude. - Pomyślałby kto, że to czego dokonała dziś nie jest wystarczającym dowodem na to, że zasługuje na swoją reputację.

Dominic i wampir patrzyli się na siebie. Wydawało się, że coś się wydarzyło między nimi.-Byłaby wspaniałym sługą, gdyby tylko jakiś wampir był w stanie ją okiełznać. - Powiedział Dominic.

Jean-Claude roześmiał się. Śmiech wypełnił pomieszczenie tworząc echo, które czułam jak drgało, tańczyło na mojej skórze. Śmiech przeszedł przez moje ciało i przez krótką chwilę czułam jak coś dotknęło mnie głęboko, wewnątrz. Jean-Claude mógł sprawić by uczucie to było podniecające, lecz teraz irytowało.

- Nigdy więcej tego nie rób! - Powiedział Richard. Tarł się po nagich ramionach, jakby było mu zimno bądź starał się wymazać wspomnienie tego śmiechu.

Jason podbiegł do Jean-Claude'a, by oprzeć głowę na jego ręce. Lu-bił to. Dominic lekko uklonił się. - Proszę o wybaczenie Jean-Claude, dowiodłeś swego. Gdybyś chciał, mógłbyś wyrządzić takie

same szkody jak mój pan przez przypadek w twoim biurze.

- W moim biurze. - Powiedziałam. Osobiście nie byłam pewna czy Jean-Claude mógłby kogoś zranić samym głosem. Uczestniczyłam w zdarzeniach, gdzie użyłby tego, gdyby tylko mógł. Jednak nie miałam powodu, by zdradzać to Dominicowi.

Dominic ukłonił się jeszcze niżej w moim kierunku. - W twoim biurze, oczywiście.

- Możemy przestać popisywać się. - Powiedziałam. - Pomożesz nam?

- Jestem nawet więcej, niż chętny do pomocy.

Podeszłam do niego, wybierając drogę przez resztki ściany leżącej na podłodze. Gdy stałam wystarczająco blisko niego, cał może więcej, powiedziałam. - Te trzy wampiry nie są eksperymentem. To nie są zajęcia na studiach z metafizyki. Zaoferowałeś, że będziesz uczył mnie nekromancji. Wydaje mi się, że temu nie podołasz. Jak możesz mnie uczyć, kiedy mogę robić rzeczy, których ty nie jesteś w stanie. Chyba, że możesz wezwać wampiry prosto z trumien.

Patrzyłam cały czas w jego ciemne oczy podczas przemowy, patrząc na jego gniew, zwięzające się oczy, zaciskające usta. Jego ego było tak duże, jak liczyłam. Widziałam, że mnie nie zawiedzie. Dominic robi wszystko co tylko może dla nas. Na szali była jego duma.

Uśmiechnęłam się do niego i zrobiłam to tak, aby wyglądał na pro-tekcjonalny - Cokolwiek wymyślisz, ja to zrobię.

Uśmiechnął się. - Arogancja nie pasuje do kobiet.

- Uważam, że jest to bardzo odpowiednia cecha charakteru. - Powiedział Jean-Claude. - Jeśli ty wskrzesiłbyś trzy wampiry podczas ich snu w ciągu dnia, nie byłbyś arogancki? Dominic uśmiechnął się szeroko. -

Owszem, byłbym.

Prawdą było, że nie tak się czułam. Byłam przerażona. Przestraszona, że spieprzyłam Williego i nigdy się nie obudzi. Czułam się okropnie równie wobec Liv i Damiana. Tu nie chodzi o to, czy ich lubię, czy nie; nie chciałam tego zrobić. Nie powinno wypędzać się czyjejs duszy przez przypadek. Jeśli czułam się w połowie tak pewna jak podczas rozmowy z Dominikiem, to dlaczego bolał mnie żołądek.

Rozdział 32

Dominic, Cassandra i ja podsunęliśmy pomysł sporządzenia zaklęcia. Część planu, która wyszła ode mnie, była bardzo prosta. Od lat od-syłam zombie do grobu i jestem w tym naprawdę dobra. Tak długo, jak byłam w stanie, zamierzałam potraktować tę robotę niczym każdą inną: wsadzić zmarłego z powrotem w ziemię, ogółem nic specjalnego. Najpierw zombie - zamartwianie się o wampiry odłożyłam na później.

Kazałam Cassandrze przynieść jedno z moich ostrzy oraz pochewkę na nadgarstek z sypialni. Jeśli robiłabym za ognisko dla innego animatora, nie pozwoliłabym mu zatopić we mnie zębów, więc dlaczego krew mogła pochodzić od pijącego ją Jean-Claude'a? Nie powinna, przynajmniej myślałam, że nie. Dominic zgadzał się ze mną, ale nie był

pewny na sto procent. Więc najpierw zombie. Potraktujemy to jako rozgrzewkę... Jeśli nóż się nie spisz, wtedy sięgniemy po kły, lecz jeśli coś normalnego znalazłoby się w zasięgu ręki, zamierzałam to wykorzystać.

Posłałam Stephena po naczynie, w którym będzie krew. Wrócił z małą, złotą misą. Zastanawiałam się, czy celowo wybrał taką wielkość, żeby zmusić mnie, bym nie przelała zbyt wiele krwi. Jak na wilkołaka, Stephen nie wydawał się za bardzo ją lubić. Misę wypolerowano do takiego połysku, że prawie błyszczała. Wnętrze ukazywało rysy po cio-sach dłuta. Bile złoto - wiedziałam, jeszcze zanim je dotknęłam, że to antyk. Dlaczego każdy myśli, że krew powinna być przetrzymywana w czymś specjalnym? Nawet plastikowy pojemnik typu tupperware by się nadał.

Staliśmy w pełnym gruzów pokoju, gdzie cierpliwie czekali zombie, tak jak tylko zmarli czekać potrafią. Niektóre oczy patrzące na mnie były ślepe jak u martwej ryby, niektóre oczodoły puste, lecz nawet bez gałek wydawały się mnie obserwować.

Stałam naprzeciw nich, nóż miałam przymocowany do lewego nadgarstka. Richard znajdował się po mojej lewej, Jean-Claude po prawej stronie. Poprosiłam, by mnie nie dotykali.

Dominic tak szczegółowo wypytywał o nasz pierwszy triumwirat, że poczułam zażenowanie. Zgodził się ze mną, że moc uwolniłaby się bez naszych miłosnych podchodów. Przez to zyskał u mnie punkt. Przecież planem na dziś wieczór było wzbudzenie magii przed całym stadem.

Naprawdę nie chciałam uprawiać seksu przed tyloma nieznanymi.

No dobrze, to niezupełnie seks, ale coś tak mu bliskie, że nie pragnęłam publiczności.

Dzięki wpatrywaniu się w częściowo rozkładające się zombie trudno było odzyskać odpowiedni nastrój.

- Moje zombie zazwyczaj trzymają się w kupie lepiej od tych -

oznajmiłam.

- Gdybyś wyciągnęła taką ilość mocy od dwóch innych nekromantów, wyglądaliby o niebo lepiej - odezwał się Dominic.

- Może to przez brak kontroli - przypuścił Jean-Claude.

Obróciłam się, by na niego spojrzeć.

- Dominik miał chyba na myśli to, że część mocy, która ich ożywiła, została zaczerpnięta od martwego faceta.

- Wierzysz, że jestem martwy, *ma petite*? Popatrzyłam w tę śliczną twarz i przytaknęłam.

- Wampiry, które dźwignęłam do życia są po prostu trupami. Czymkolwiek jesteś, moja magia to forma nekromancji. A nekromancja dzia-

ła tylko na zmarłych.

Przekrzywił głowę.

- Słyszę twoje słowa, *ma petite*, ale nie uważam, że w nie wierysz, z pewnością nie całkowicie.

- Sama już nie wiem, w co wierzę.

- Tak naprawdę nie sędzę, czy ważne jest to, że Jean-Claude to wampir - powiedział Dominic. - Chodzi raczej o to, że Richard i on nie mają zielonego pojęcia o ożywianiu zmarłych. To tylko twój talent. Po ćwiczeniach mogłabyś skierować moc na udoskonalenie zombie, ale w pewnym sensie Jean-Claude ma rację. Dzikość i brak kontroli, uczyniła ich mniej perfekcyjnymi.

Na mojej twarzy musiało się coś pokazać, bo dodał:

- Musiałaś kontrolować zbyt wiele rzeczy, by zwracać uwagę na szczegóły. Myślę, że ożywiłaś zombie instynktownie, bo właśnie tego byłaś najbardziej pewna. Posiadasz wspaniały instynkt.

- Dzięki, chyba. Uśmiechnął się.

- Czas ucieka. Jak możemy wiedzieć z obecności Jean-Claude'a, nie wszystkie wampiry śpią do nastania całkowitych ciemności. Obawiam się, że jeśli któryś wampir przegapi czas wstawania, on albo ona będą dla nas straceni. Chcę prosić Anitę, by zrobiła jedną rzecz dla mnie, która nie ma nic wspólnego z jej problemem.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Sabin - odpowiedział Jean-Claude. Dominik skinął głową.

- Czas Sabina się kończy.

- Sabin, ten wampir z klubu? - spytała Cassandra.

- Taaa - mruknęłam. - Czego ci trzeba, Dominic? Załatwmy to szybko, a będę twoja. Uśmiechnął się.

- Dziękuję ci, Anito. Skoncentruj się na jednym ze swoich zombie.

Spróbuj przybliżyć go do doskonałości.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Uzdrów jednego ze swoich zombie, *ma petite*.

- Zmarłych nie da się uzdrowić - odparłam. - Da się ich tylko zrobić bardziej podobnymi do żywych.

Dominic potaknął.

- Było by miło.

- Zwykle robię to podczas początkowego wezwania mocy. Nigdy nie próbowałam z już ożywionymi zwłokami.

- Proszę, spróbuj.

- Możemy połączyć moc między naszą trójką, dopiero potem spróbować - zaproponowałam. Dominic potrząsnął głową.

- Nie jestem pewien, jak to wpłynie na zakłęcie. Stworzyłoby to wielkie ryzyko dla twoich towarzyszy.

Wpatrywałam się w niego przez chwilę.

- Zaryzykowałbyś pozostawienie rozkładu Sabina, by uratować moich przyjaciół?

- Poprosiłaś mnie o pomoc, Anito. Myślę, że nie jesteś kobietą, która robi to często. Byłby to słaby rewanż za taki komplement, jeśli pozwoliłbym ci na ryzykowanie czyjegoś życia dla mnie. Jeśli możesz uzdrowić zmarłych, w porządku. Jeśli nie, będziemy kontynuować ratowanie tych trzech wampirów.

- Bardzo honorowe zagranie - stwierdził Jean-Claude.

- Są chwile, kiedy honor jest wszystkim, co ci zostaje - odparł Dominic.

Przez moment człowieka i wampira łączyło bliskie perfekcji zrozumienie. Bogactwo historii, jeśli nie wspólnej, to podobnej, stało między nimi. Ja się wyróżniałam.

Spojrzałam na Richarda i między nami również nawiązała się nić porozumienia. Doceniliśmy naszą śmiertelną długość życia. Fatalizm w głosie Dominika przerażał. Ile już lat spędził na tej ziemi? Czasami rozmawiałam z wampirami, ale nigdy z ludzkim sługą. Nie pytałam.

Waga lat w brązowych oczach Dominika nie pozwoliła mi spytać.

Spojrzałam na piękną twarz Jean-Claude'a i zastanowiłam się, czy byłabym tak uczciwa i nie zaryzykowałabym czyjegoś życia, by go wyleczyć? Patrzenie na śmierć Jean-Claude'a było inną sprawą, ale obserwowanie jego rozkładu, jak dzieje się z Sabinem? W wielu względach to byłoby gorsze od śmierci. Oczywiście Sabin też umierał. Nieważne jak był potężny, przez wieki nie mógł zatrzymać tego procesu. Albo mógł. Może Dominic mógł wsadzić go do kukły, wypchać nim materiał, jak z rękawiczkami na jego dłoniach. Może Sabin nadal mógł istnieć niezależnie od stopnia redukcji swojego ciała? Ta myśl była kompletnie obrzydliwa.

Patrzyłam na powstających zmarłych. Oddali spojrzenie. Jeden z zombich był prawie nietknięty. Szara skóra czepiała się kości, bardziej jak glina niż ciało. Jedno niebieskie oko patrzyło na mnie. Drugie wyszło jak rodzynek. Przypominało mi to, co się stało z okiem Sabina.

Powiedzenie, że dotknęłam oka i uzdrowiłam je, miało się nijak do rzeczywistego zajścia. Albo że wyrzeźbiłam ciało jak glinę. Nie tak.

Wpatrywałam się w zombie. Zlokalizowałam w sobie moc, która pozwalała mi ożywiać zmarłych i wepchnęłam w niego jej cząstkę, formując ją na podobieństwo płomienia. Wyszepiałam przy tym: żyj, żyj...

Widziałam to już wiele razy, jednak nigdy nie przestało mnie zdumiewać. Ciało przechodziło niesamowitą metamorfozę - wypełniło się, wygładziło, ciepło popędziło przez szarą skórę. Suche, kruche włosy urosły i zakręciły się; stały się brązowe i miękkie. Martwe oko napom-powało się jak balonik, wypełniając oczodół. Para odnowionych oczu wpatrywała się we mnie. Nawet obszarpana odzież wyglądała teraz jak nowa. Nosił kamizelkę ze złotym zegarkiem na łańcuszku. Jego ubrania już sto lub dwieście lat temu wyszły z mody.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Dominic. - Jeśli zmieniłby strój, mógłby uchodzić za człowieka.

Skinęłam głową.

- Mogę stworzyć doskonałego zombie, ale to nie pomoże twojemu mistrzowi.

- Wezwij wampira z pokoju z trumnami.

- Dlaczego? - zapytałam.

Dominic wyciągnął mały srebrny nóż z pochewki na plecach. Nie zdawałam sobie sprawy, że ma przy sobie broń. Robię się nieostrożna.

- Co masz zamiar z nim robić? - zapytał Jean-Claude.

- Za twoim pozwoleniem, zranię wampira i poproszę Anitę, żeby go wyleczyła. Jean-Claude zastanowił się, po czym skinął głową.

- Małe cięcie.

Dominic skłonił się. - Oczywiście.

Wampiry same mogły wyleczyć drobne ewentualne rany. Jeśli mi się nie uda, żadna strata. Nie byłam pewna, czy wampir by się ze mną zgodził.

- Anito - ponaglił Dominic.

- Damian, chodź do nas - zawołałam.

Jean-Claude skwitował mój wybór uniesieniem brwi. Jeśli oczekiwał, że wezwę Williego, bardzo się mylił. Willie był moim przyjacielem. Nie chciałam patrzeć jak ktoś go rani, nawet jeśli już był martwy.

Dzisiejszej nocy w klubie Damian próbował psychicznie wykorzystać kobietę. Niech jego szatkują.

Damian wszedł do środka, błędząc oczyma, póki mnie nie znalazł.

Jego twarz była ciągle pozbawiona wyrazu, pusta. Bardziej pusta niż w czasie snu - raczej tak, jak tylko umarli potrafią.

- Damian, stop.

Zatrzymał się. Jego oczy są najbardziej zielonymi, jakie kiedykolwiek widziałam. Intensywniej zielone od oczu Catherine, raczej kocie niż ludzkie.

Dominic stanął naprzeciw Damiana i wpatrzył się w niego. Przyłożył srebrne ostrze do bladego policzka i pociągnął nim w dół, natychmiast.

Krew popłynęła przez tę doskonałą bladość wąskim strumyczkiem.

Wampir nie zareagował, nawet nie mrugnął.

- Anito. . .

Popatrzyłam na Damiana; nie, raczej na skorupę Damiana. Skierowałam w niego moją moc. Chciałam, żeby żył. Właśnie to słowo do niego wyszeptalam.

Krew zwolniła swój upływ, w końcu przestała płynąć. Krawędzie ranki gładko się ze sobą połączyły. To było... łatwe.

Dominic starł krew chusteczką wyciągniętą z kieszeni marynarki.

Blady policzek Damiana znowu był nieskazitelny.

To Cassandra pierwsza wypowiedziała słowa:

- Ona może uzdrowić Sabina. Dominic przytaknął.

- Tylko może. - Odwrócił się do mnie z triumfem, radością wymalowaną na twarzy. Będiesz potrzebowała mocy swojego triumwiratu, żeby przebudzić Sabina podczas jego dziennego snu, ale kiedy już to zrobisz, myślę, że dasz radę go wyleczyć.

- Płytkie cięcie to jedno - powiedziałam. - Ale Sabin to... nieład.

- Spróbujesz?

- Jeśli odwołamy te trzy wampiry, całe i zdrowe, to taak, spróbuję.

- Jutro?

- Czemu nie? - Zgodziłam się.

- Nie mogę doczekać się, by przekazać Sabinowi to, co tu widziałem.

Tak długo nie miał już żadnych nadziei na lepsze... Ale najpierw musimy odwołać twoich przyjaciół. Pomogę na tyle, na ile mnie stać.

Uśmiechnęłam się.

- Znam magię wystarczająco, by wiedzieć, Dominiku, że będziesz stał z boku i udzielał mądrych rad.

- Ale to będą naprawdę dobre rady - odparł z uśmiechem. Uwierzy-

łam mu. Przez wzgląd na Sabina pragnął naszego sukcesu.

- Okej, więc do roboty. - Wyciągnęłam ręce do Richarda i JeanClaude'a. Złapali je tak posłusznie, że aż zrobiło mi się miło. Obaj byli ciepli i śliczni, chociaż nie kryła się za tym żadna magia. Bez iskier. W

pewien pokrętny sposób uświadomiłam sobie, że seksualna zależność zawsze miała miejsce w rytuałach. Nie są one niezbędne do wielu rodzajów magii, ale służą za środek, dzięki któremu skupiamy się na rzu-caniu uroku. Nie miałam żadnego krwawego kręgu do wytyczenia. Nie miałam potrzeby składania ofiary. Nie miałam do wykorzystania żadnych dziwnych rzeczy. Wszystko, co miałam to dwóch facetów stojących przy mnie, własne ciało i nóż na nadgarstku. Odwróciłam się od nich.

- Nic się nie dzieje - powiedziałam.

- A czego oczekujesz? - zapytał Dominic.

- Czegoś. Nie wiem.

- Za bardzo się starasz, Anito. Odpręż się, pozwól mocy cię ogarnąć.

Wzruszyłam ramionami, by załagodzić napięcie. To nic nie dało.

- Naprawdę chcę, żebyś nie przypominał mi, że niektóre wampiry budzą się przed zmrokiem. Jest późne popołudnie i znajdujemy się pod ziemią. Niedługo będzie za późno.

- Myślenie w taki sposób na pewno ci nie pomoże.

Jean-Claude podszedł do mnie i jeszcze zanim mnie dotknął, moc rozlała się na mojej skórze przyjemnym ciepłem.

- Nie dotykaj mnie.

Poczułam, że zawahał się za moimi plecami.

- Coś nie tak, *ma petite*?

- Nic. - Odwróciłam się, by zmierzyć go spojrzeniem. Trzymałam dłoń centymetry od jego nagiej klatki piersiowej, a linia ciepła wędrowała z jego skóry na moją. Tak jakby jego ciało oddychało dla mnie. -

Czujesz to?

Przekrzywił głowę na jedną stronę. - Magia.

- Aura - odparłam. Musiałam walczyć z pragnieniem zerknięcia na Dominika - to było jak patrzenie na trenera, żeby sprawdzić, czy wła-

ściwie grasz. Bałam się odwrócić wzrok, przerwać to wiązanie. Wyciągnęłam rękę do Richarda. - Podejdź, ale nie dotykaj mnie.

Wyglądał na zaskoczonego, ale zrobił, co kazałam. Kiedy moja dłoń znalazła się przed jego skórą, dosięgła mnie podobna linia ciepła, jak delikatny, kontrolowany wiatr. Czułam ich energię odbijającą się o moją skórę, jedną na każdą dłoń. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na tym odczuciu. Jest. Mogłam wyczuć różnicę, niewielką, prawie niedostrzegalną, ale była tam. Drażniące, prawie elektryczne drżenie wychodziło od Richarda, podczas gdy moc Jean-Claude'a pozostawała chłodna i trwała. Super, mogliśmy dotykać naszych aur, więc co dalej?

Do czego to miało prowadzić?

Gwałtownie przesunęłam rękę do przodu, przez energię, na ich ciała.

Wepchnęłam w nich moc, słysząc ich westchnienia. Wstrząs przebiegł

przez moje ramiona; musiałam pochylić głowę, oddychając pośpiesznie przelewającą się przeze mnie mocą. Podniosłam wzrok, by napotkać ich oczy. Nie miałam pojęcia, co pokazywała moja twarz, ale cokolwiek to było, nie przypadło Richardowi do gustu. Zaczął robić krok wstecz.

Wbiłam paznokcie w jego skórę, delikatnie, by wzbudzić jego uwagę.

- Nie przerywaj połączenia.

Posłuchał. Jego oczy były szeroko otwarte i gdzieś w ich głębi czaiło się coś bliskiego strachowi, który jednak nie brał nad nim góry. Odwróciłam się ku Jean-Claude'owi. Nie wyglądał na wystraszonego. Wydawał się spokojny i pełen kontroli, tak samo jak ja.

- Bardzo dobrze, Anito. - Głos Dominika nadszedł miękko, powoli. -

Połącz ich moc, jakby byli dwoma innymi animatorami. Spełniasz rolę ogniska. Robiłaś to już wcześniej. Kładłaś zmarłych do ziemi tysiące razy. To tylko następny raz.

- Okej, trenerze - mruknęłam.

- Co? - zapytał Richard. Potrząsnęłam głową. - Nic.

Powoli zrobiłam krok do tyłu, odsuwając od nich ręce. Moc podąży-

ła śladem moich rąk niczym dwie liny. Nie było nic widocznego, ale dzięki zerknięciu na twarz Richarda wiedziałam, że wszyscy to poczuli-

śmy. Wyjęłam nóż z pochewki i podniosłam złotą miskę bez patrzenia w dół, ze wzrokiem utkwionym w mężczyznach. Istniała różnica między tym, a łączeniem mocy z innymi animatorami. Żądza. Miłość. Coś.

Cokolwiek to było, działało jak paliwo albo klej. Nie miałam słów określających to, ale było tam, kiedy na nich patrzyłam.

Trzymałam miskę w swojej lewej ręce, nóż w prawej. Wróciłam do nich.

- Przytrzymajcie dla mnie miskę, każdy jedną ręką.

- Dlaczego? - zapytał Richard.

- Bo tak każe.

Wyglądał tak, jakby chciał się ze mną kłócić. Przyłożyłam płaską powierzchnię noża do jego warg.

- Jeśli będziesz kwestionował wszystko, co powiem, popsujesz moją koncentrację. - Zabrałam nóż z jego ust.

- Nie rób tak więcej - powiedział miękkim, prawie surowym tonem.

Kiwnęłam głową.

- Dobra. - Przytrzymałam mój nadgarstek nad pustą miską i jednym płynnym ruchem przeciągnęłam ostrzem po skórze. Z nacięcia natychmiast popłynęła krew, spadając w dużych kroplach, pluskając po bokach i dnie miski. Tak, to bolało.

- Teraz ty, Richardzie. - Trzymałam nadgarstek nad pojemnikiem: krwi nie można marnować.

- Co mam zrobić?

- Przytrzymaj nadgarstek nad miską.

Zawahał się, a potem zrobił, o co prosiłam. Uniósł dłoń nad miską, po czym zacisnął ją w pięść.

Przytrzymałam jego rękę swoją krwawiącą dłonią. Misa zatrzęsała się, kiedy jego wolna dłoń trzymała ją razem z Jean-Claude'm.

Spojrzałam na jego twarz.

- Dlaczego boisz się tego bardziej, niż Jean-Claude'a pozywającego się na tobie? Głośno przełknął ślinę: - Wiele rzeczy mnie nie martwi, kiedy myślę o seksie.

- Mówisz jak ktoś, kto posiada wyłącznie jeden chromosom x -

stwierdziłam, po czym przeciągnęłam nożem wzdłuż jego skóry w jednym, mocnym cięciu, podczas gdy on wciąż patrzył na moją twarz. Jediną rzeczą, która nie pozwoliła mu zwiać, był mój uścisk.

Nie szarpał się więcej po tej wstępnej niespodziance. Patrzył, jak je-go krew spływa do miski, mieszając się z moją. Dno naczynia było niewidoczne, wypełnione ciepłym płynem. Puściłam jego dłoń, a on przytrzymał swój krwawiący nadgarstek ponad miską.

- Jean-Claude?

Bez wahania wyciągnął ku mnie swój smukły nadgarstek. Przytrzymałam go tak, jak Richarda. Napotkałam granatowe oczy, lecz nie zauważyłam w nich strachu, niczego, prócz umiarkowanej ciekawości.

Nacięłam skórę i strużka szkarłatu spłynęła do naczynia.

Zawartość miski była w jednym kolorze. Poprzez samo patrzenie nie rozróżniłbyś krwi człowieka, lykantropa czy wampira. Wszyscy krwa-wiliśmy na czerwono.

Jednak krwi wciąż było za mało do nakreślenia kręgu mocy wokół

sześćdziesięciu lub więcej zombie. Oprócz złożenia prawdziwej ofiary nie istniał inny sposób, by zgromadzić jej więcej. Dominic uważał, że mocny magiczny koktajl, który trzymałam w dłoniach, wystarczy. Mia-

łam taką nadzieję.

Jakiś dźwięk odwrócił moją uwagę od krwi i narastającej mocy.

Stephen i Jason przykucnęli blisko nas, jeden w ludzkiej, drugi w wilczej formie, obaj z podobnym wyrazem twarzy: głodem.

Przesunęłam wzrok na Cassandrę. Stała tam gdzie wcześniej, ale dłonie zacisnęła w pięści, a nad jej górną wargą perlili się kropelki po-tu. Na jej twarzy malowało się coś bliskie panice.

Dominic uśmiechał się niewzruszenie. Prócz mnie był jedynym człowiekiem w pokoju.

Jason warknął na nas, ale nie odebrałam tego jako prawdziwego warknięcia. Chyba próbował coś

powiedzieć.

Stephen oblizwał usta.

- Jason chciałby wiedzieć, czy będziemy mogli wylizać miskę. Spojrzałam na Jean-Claude'a i Richarda. Ich miny mówiły same za siebie.

- Czy jestem jedyną osobą w tym pokoju, która nie pożąda krwi?

- Obawiam się, że z wyjątkiem Dominika, tak, *ma petite*.

- Rób, co musisz, Anito, byle szybko. Mamy pełnię, a świeża krew jest jednak świeżą krwią - powiedział Richard.

Dwójka przywołanych przeze mnie wampirów kierowała się ku mnie, powłócząc nogami. Ich oczy były pozbawione osobowości, puste jak oczy lalek.

- Wzywałaś ich? - zapytał Richard.

- Nie.

- Krew do nich przemawia - stwierdził Dominic.

Wampiry wkroczyły do pokoju. Tym razem nie patrzyły na mnie.

Wlepiały wzrok w zawartość miski, a w momencie, w którym ją ujrza-

ły, coś w nich wybuchło. Czulałam to. Głód. Żaden z nich nie był sobą, ale potrzeba wciąż istniała.

Zielone oczy Damiana wgapiały się w miskę z takim samym głodem. Jego przystojna twarz wychudła do czegoś bestialskiego i prymi-tywnego.

Obliziałam wargi i powiedziałam:

- Stop.

Zrobili to, ale nadal wpatrywali się w świeżo wylaną krew, mnie nie zaszczycając choćby spojrzeniem. Gdybym ich nie powstrzymała, mogliby się pożywić. Pożywić jak upiory, zezwierzęcone wampiry, które nie znają niczego, oprócz głodu i nigdy nie odzyskają swojego człowieczeństwa ani umysłu.

Serce podeszło mi do gardła na myśl o wpuszczeniu tu nic nie podejrzewającej osoby. Głód nie widzi różnicy między ludźmi a lykantropami. Czy byłyby to czysta walka?

Wzięłam miskę z krwią, tuląc ją do brzucha, nóż nadal trzymałam w prawej ręce.

- Nie bój się - powiedział Dominic. - Odwołaj zombie, jak robiłaś to tysiące razy przez wszystkie te

lata. Wystarczy to zrobić, to wszystko.

- Wszystkich po kolei, tak? - spytałam.

- Zgadza się. Skinęłam głową. - Okej.

Wszyscy, z wyjątkiem trzech wampirów, patrzyli na mnie, jakby wierzyli, że wiem, co robię. Chciałam, aby tak było. Nawet Dominic wyglądał na pewnego siebie, ale to nie on miał odesłać do ziemi sześćdziesięciu zombie bez kręgu mocy. Ja musiałam to zrobić.

Ostrożnie stawiałam stopy, przechodząc przez zagruzowany otwór.

Gdybym teraz upadła, stracilibyśmy całą tę krew, całą moc. Bo właśnie to trzymałam w rękach. Mogłam poczuć Jean-Claude'a i Richarda, niczym dwa kawałki sznura oplatające mnie dookoła, kiedy szłam. Dominic powiedział, że potrafię wyczuć ich obu. Kiedy zapytałam, jak mi się to udaje, spławił mnie ogólnikami. Magia dla każdego jest inna, nie ma ustalonych zasad. Jeśli opisałby coś, a byłoby inaczej, mogłabym zważyć. Miał rację.

Unurzałam ostrze we krwi i chlapnęłam nią na czekające zombie.

Spadło na nich tylko kilka kropli, ale z każdą następną wyczuwałam wstrząs, szarpnięcie mocy. Skończyłam, stając we wcześniej zamurowanym pokoju, otoczona przez zombie. Kiedy krew dosięgła ostatniego z nich, wstrząs przebiegł przeze mnie, wyciskając z mojego gardła mi-mowlany jęk. Poczulałam, jak krew zamknęła krąg wokół zmarłych.

Przypominało to zamknięcie kręgu mocy, jednak bardziej jak zamykanie wewnątrz mnie, niżli na zewnątrz.

- Wracajcie - rozkazałam. - Wracajcie do swoich grobów, wszyscy.

Wracajcie do ziemi. Zmarli przetasowali się wokół mnie, jak uczestnicy zabawy w muzyczne krzesła*7. Kiedy każdy odnalazł swoje miejsce, położyli się, a ziemia zamknęła się nad nimi jak woda. Wyglądało to 7 Zabawa polegająca na jak najszybszym zajęciu krzesła, kiedy przestanie grać muzyka.

Jedna osoba zawsze odpada, bo krzeseł jest mniej, niż graczy. Wygrywa ten, kto ostanie się najdłużej.

tak, jakby grunt najpierw połknął ich, a potem gigantyczna ręka do-kładnie wszystko wyrównała.

Byłam sama w pokoju, z trzęsącą się pod moimi stopami ziemią, jak koń odganiający się od much. Kiedy ostatnia zmarszczka wygładziła się, wyrzesałam z zniszczonej ściany na tych w drugim pokoju.

Jean-Claude i Richard stali przy dziurze w ścianie. Trzy wilkołaki zgromadziły się wokół nich. Nawet Cassandra przyklękała przy wilku, którym był Jason. Dominic stał za nimi, patrząc. Uśmiechał się jak dumny tatuś.

Szłam ku nim na nogach jak z gumy i potknęłam się, wychlapując za krawędź miski trochę krwi. Szkarłatne krople spadły na uklepaną ziemię.

Natychmiast znalazł się tam wilk, wylizując podłoże do czysta.

Szłam dalej, ignorując to. Następne były wampiry. Wszystkie poruszyły się, by mnie przepuścić, jakby obawiały się mojego dotyku. Z wyjątkiem Dominika. Znajdował się prawie za blisko.

Czułam, jak jego moc zadrgała między nami, na mojej skórze, podążając wzdłuż lin, które wiązały mnie z Jean-Claude'm i Richardem.

Przełknęłam ślinę i powiedziałam:

- Odsuń się.

- Najmocniej przepraszam. - Cofał się, dopóki nie mogłam go już wyczuć. - Już? Skinęłam głową.

Trzy wampiry czekały z głodem w oczach. Spryskałam ich stygnącą krwią. Zadrżały, gdy dotknęły ich krople, ale nie wyczułam żadnego wybuchu mocy. Nic. Cholera! Dominic zmarszczył brwi.

- Krew nadal jest ciepła. Powinno zadziałać.

Jean-Claude podszedł bliżej. Wiedziałam o tym bez odwracania się.

Wyczuwałam go, kiedy szedł, skracając sznur mocy pomiędzy nami.

- Ale nie działa - powiedział.

- Nie - potwierdziłam.

- W takim razie straciliśmy ich.

Potrząsnęłam głową. Willie wpatrywał się w misę z krwią. Jego spojrzenie było dzikie, pełne nienasyconego głodu. Myślałam, że najgorszą rzeczą, która mogła przytrafić się Wiliemu to położenie się w trumnie i bycie prawdziwie martwym. Myliłam się. Posiadanie Williego wykradającego się z trumny i nie pragnącego nic, poza krwią, to o wiele gorsza perspektywa. Nie mogłam go utracić, nie teraz.

- Jakież bystre pomysły? - zapytałam.

- Nakarm ich krwią z miski, ale pospiesz się, by nie ostygła - zaproponował Dominic.

Nie sprzeczałam się; nie było na to czasu. Wytarłam nóż o dzinsy i włożyłam go do pochewki. Oczywiście mogłam zrobić to później, ale potrzebowałam obu wolnych rąk. Zanurzyłam koniuszki palców we krwi. Była ledwie ciepła. Oczy wampira nadal były brązowe, gdy podą-

żyły za moją ręką, ale to nie były oczy Williego. To po prostu nie był

on.

Uniosłam misę do jego ust i rozkazałam: - Willie, pij. - Połykał

gwałtownie i znowu wyczułam ten impuls. Znów był mój. - Wystarczy, Willie.

Zamarł, a ja zabrałam misę z dala od niego. Nie próbował jej łapać, nie poruszał się. Jego puste i tępe oczy wyglądały przerażająco w połączeniu z zakrwawionymi ustami.

- Wracaj do trumny, Willie, wracaj, by odpocząć przed nadejściem nocy. Idź do swojej trumny.

Obrócił się i ruszył w dół korytarzem. Musiałam zaufać, że schodził

do grobu. Zawsze mogłabym sprawdzić to później. Jeden wampir odpadł, zostało dwóch. Liv podeszła jak grzeczna, mała kukielka. Krew stawała się coraz zimniejsza, kiedy przytykałam misę do ust Damiana.

Przyssał się do niej, przelatykając szybko. Kiedy krew spłynęła w dół

jego gardła, coś mnie dotknęło. Coś, co nie było moją magią, coś innego. Klatka piersiowa Damiana uniosła się, gdy zaczerpnął ogromny haust powietrza, jak człowiek uratowany od utonięcia. I to coś wy-pchnęło mnie z niego, wykorzystało moją własną moc przeciw mnie.

Jakby zatrzaśnięto mi drzwi przed nosem, ale to było więcej niż zwykle wyproszenie. Moc zaatakowała mnie, uderzyła i cały świat zawirował.

Pole widzenia zostało przesłonięte przez szarość i białe kropki, niesamowicie głośno słyszałam moje bijące serce. Łoskot schwycił mnie i pociągnął w ciemność. Potem przestałam odczuwać nawet to.

Rozdział 33

Pierwszym, co zobaczyłam po przebudzeniu, były białe kotary nad łóżem Jean-Claude'a. Na moim czole znajdował się wilgotny okład, słyszałam odgłosy kłótni. Przez chwilę leżałam, mrugając. Nie mogłam sobie przypomnieć, jak się tu znalazłam. Pamiętałam uczucie bycia wy-pchniętą z Damiana. Zostałam usunięta jak intruz, coś, przed czym na-leży się bronić. Siła, która mnie dotknęła, nie była zła. Wcześniej mia-

łam kontakty z prawdziwym złem i to nie było to. Ale z pewnością nie była to również dobroczynna energia. Bardziej neutralna, może.

Głosy należały do Jean-Claude'a i Richarda. Przedmiotem sporu była moja skromna osoba. Też mi niespodzianka.

- Jak możesz pozwolić jej umrzeć, kiedy mógłbyś ją ocalić? - spytał

Richard.

- Nie sądzę, by groziła jej śmierć, ale nawet gdyby rzeczywiście tak było, bez wyraźnej zgody nigdy więcej nie wniknę do jej umysłu.

- Nawet gdyby konała?

- Tak - odparł Jean-Claude.

- Nie rozumiem tego.

- Nie musisz, Richardzie. Anita zgodziła by się ze mną.

Zsunęłam okład z czoła. Chciałam usiąść, ale zdawało się to zbyt wielkim wysiłkiem. Richard przysiadł na łóżku, biorąc mnie za rękę.

Nie miałam pewności, czy tego chcę, ale nadal byłam za słaba, aby zaprotestować.

Jean-Claude stanął za nim, obserwował mnie. Jego twarz była pusta i idealna, maska.

- Jak się czujesz? - zapytał Richard.

Musiałam przełknąć, zanim zdołałam wydobyć głos. - Nie jestem pewna.

Dominic pojawił się w zasięgu wzroku. Mądrze nie wdawał się w spór. Poza tym, już był ludzkim sługą. Co miał powiedzieć? Że znak to czyste zło, albo, że to pikuś. Kłamstwo, tak czy inaczej.

- Cieszę się, widząc cię przytomną.

- To mnie wyrzuciło - powiedziałam Skinął głową. - W rzeczy samej.

- Co ją wyrzuciło? - spytał Richard. Dominic spojrzał na mnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Kiedy moc, która ożywia wampiry powróciła i zastała Anitę nadal wewnątrz ciała, usunęła ją.

Richard zmarszczył brwi. - Dlaczego?

- Nie powinno mnie tam być.

- Czy dusza powróciła, kiedy nawiązywałaś kontakt?

- Czułam już kiedyś dotyk duszy, to nie było to. Jean-Claude popatrzył na mnie. Odwzajemniłam spojrzenie.

On pierwszy odwrócił wzrok.

Richard dotknął moich mokrych od ręcznika włosów. - Nie obchodzi mnie, czy to była dusza, czy potwór z szafy. Myślałem, że cię straciłem.

- Zdaje się, że zawsze udaje mi się przetrwać, Richardzie, niezależnie od tego, kto inny zginie.

Skrzywił się, słysząc moje słowa. Pozwoliłam mu na to.

- Czy z Damianem wszystko w porządku? - spytałam.

- Wydaje się, że tak - odpowiedział Jean-Claude.

- O co się posprzeczałyście?

- Dominic, mógłbyś nas zostawić samych? - poprosił Jean-Claude.

Dominic uśmiechnął się: - Z przyjemnością. Muszę porozmawiać z Sabinem. Jutro ty i Richard możecie go przywołać, a ty, Anito - dotknął

delikatnie mojej twarzy - możesz go uleczyć.

Nie podobał mi się kontakt fizyczny, ale na jego twarzy malowała się nieomal cześć. Przez to trudniej było na niego nakrzyczeć.

- Zrobię co w mojej mocy - odparłam.

- Pod każdym względem, tak myślę. - Z tymi słowami pożegnał nas i opuścił pomieszczenie.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, powtórzyłam pytanie. - O co się sprzeczałyście? Richard spojrział przez ramię na Jean-Claude'a, potem na mnie.

- Przestałaś oddychać na kilka chwil. Ustała również akcja serca.

Myślałem, że umierasz.

Zwróciłam się do Jean-Claude'a. - Powiedz mi.

- Richard chciał, żebym znowu nałożył pierwszy znak. Odmówiłem.

- Mądry wampir - mruknęłam. Wzruszył ramionami.

- Wyraziłaś się całkowicie jasno, *ma petite*. Nie będę znowu oskarżany o narzucanie ci się. Niezależnie od rozumienia tego słowa.

- Czy ktoś wykonał resuscytację?

- Sama zaczęłaś oddychać - odezwał się Richard. Ścisnął moją dłoń.

- Wystraszyłaś mnie.

Zabrałam rękę.

- A więc zaoferowałaś mnie jako ludzkiego sługę.

- Myślałam, że zgodziliśmy się być triumwiratem mocy. Może nie rozumiem, co to oznacza.

Chciałam usiąść, ale nadal nie byłam pewna, czy jestem w stanie, więc zadowoliliam się groźną miną.

- Dzielę się z wami mocą, ale nie pozwolę, aby Jean-Claude mnie naznaczył. Jeżeli kiedykolwiek powtórnie mnie przymusi, zabiję go.

Jean-Claude skinął głową. - Spróbujesz, *ma petite*. To taniec, którego nie chcę rozpoczynać.

- Pozwolę się dziś naznaczyć, zanim powrócę do stada - oznajmił

Richard.

Patrzyłam się na niego zadziwiona.

- O czym ty mówisz?

- Jean-Claude nie może przyjść. Nie jest częścią stada. Jeżeli będziemy połączeni, nadal mógłbym przyzwać moc.

Usiłowałam usiąść i gdyby Richard mnie nie podtrzymał, upadłabym. Leżałam w jego ramionach, wbijając palce w obejmujące mnie ręce, usiłując zrozumieć sytuację.

- Nie chcesz spędzić wieczności jako sługa, Richardzie.

- Więź między mistrzem i zwierzęciem nie jest taka sama, jak między mistrzem i sługą, *ma petite*. Jest mniej intymna.

Nie mogłam zobaczyć wampira ponad szerokimi barkami Richarda.

Próbowałam się podnieść i on musiał mi pomóc.

- Wyjaśnij - poprosiłam.

- Nie będę w stanie posmakować jedzenia, jak mógłbym dzięki tobie.

To pomniejszy efekt uboczny, ale po prawdzie ten, którego mi żal.

Możliwość powtórnego smakowania prawdziwego pokarmu sprawiała mi radość.

- Co jeszcze?

- Richard to samiec alfa. Jego siła jest w pewien sposób ekwiwalentem mojej. Będzie miał większą kontrolę nad moimi wizytami w snach, myślach. Mógłby mnie zablokować.

- A ja nie - powiedziałam.

Spojrzał na mnie. - Nawet zanim zaczęłaś zgłębiać swoje moce nekromancji, kontrolowanie cię było trudniejsze niż powinno. Teraz, -

wzruszył ramionami - teraz nie jestem pewien, kto byłby mistrzem, a kto sługą.

Usiadłam o własnych siłach. Czułam się nieco lepiej.

- Dlatego nie nałożyłaś znaku, kiedy miałaś szansę obarczyć za to winą Richarda. Po tym, czego dziś dokonałam, boisz się, że role mogłyby się odwrócić. Chodzi o to, prawda?

Uśmiechnął się lekko. - Być może. - Usiadł na łóżku z drugiej strony wilkołaka. - Nie po to pracowałem przez ponad dwieście lat, aby stać się władcą swojej własnej domeny, żeby oddać wolność komukolwiek, nawet tobie, *ma petite*. Nie byłabyś okrutnym panem, ale z pewnością wymagającym.

- To nie jest po prostu relacja mistrz - sługa. Wiem z przykładu Alejandro. Nie mógł mnie kontrolować, ale ja też nie miałam nad nim władzy.

- Próbowalaś? - spytał Jean-Claude.

To mnie zatrzymało. Musiałam się zastanowić. - Nie.

- Po prostu go zabiłaś - stwierdził Jean-Claude.

Punkt dla niego. - Czy naprawdę byłabym w stanie ci rozkazywać?

- Nigdy nie słyszałem o innym wampirze wybierającym tak potężnego nekromantę na ludzkiego sługę.

- A co z Dominikiem i Sabinem? - spytałam.

- Dominic nie może się z tobą równać, *ma petite*.

- Gdybym wyraziła zgodę, nałożyłbyś pierwszy znak czy nie? - dopytywałam. Richard spróbował przytulić mnie do piersi, ale odsunęłam się. Musiałam podpierać

się obiema rękami, ale siedziałam o własnych siłach.

Jean-Claude westchnął, spoglądając na podłogę.

- Gdybyśmy naprawdę się połączyli, nikt nie byłby zdolny stanąć nam na drodze. Tak wielka potęga

kusi. - Nagle uniósł głowę, pozwalając mi spojrzeć mu w oczy. Emocje przemknęły przez jego twarz. Podniecenie, strach, pożądanie i wreszcie znużenie. -Moglibyśmy związać się na wieczność. Związać się w walce o władzę na trzy fronty. To nie jest przyjemna myśl.

- Jean-Claude powiedział mi, że nie byłby moim mistrzem - rzekł

Richard. -Bylibyśmy partnerami.

- A ty mu uwierzyłeś? - odparłam.

Richard skinął głową, zdawał się być okropnie poważny.

Westchnęłam. - Jezu, Richardzie, nie mogę cię zostawić samego na pięć minut.

- To nie jest kłamstwo, *ma petite*.

- Taa, jasne.

- Jeśli to kłamstwo, zabiję go.

Wpatrywałam się w niego. - Nie mówisz poważnie.

- Owszem, tak. - Coś przemknęło przez te brązowe oczy, coś głębokiego, mrocznego i nieludzkiego.

- Gdy raz zdecydujesz pozbawić kogoś życia, łatwiej przychodzi zabijanie innych, prawda? - spytałam.

Richard nie wzdrygnął się, nie odwrócił wzroku. - Tak, to prawda, ale to nie to. Nie stanę się czymkolwiek sługą. Ani Jean-Claude'a, ani twoim, ani Marcusa, ani Rainy.

- Czy rozumiesz, że gdy raz się z nim zwiążesz, zranienie go może zranić ciebie? Jego śmierć może okazać się również twoją?

- Wolałbym być martwym, niż znaleźć się w potrzasku.

Widziałam niewzruszoną pewnością w jego oczach. Mówił poważnie.

- Zabijesz dziś w nocy Marcusa - stwierdziłam.

Richard spojrział na mnie, jego twarz przybrała wyraz, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam, zawziętość wypełniła jego oczy, powietrze drżało od mocy. - Jeżeli nie ustąpi, zabiję go.

Po raz pierwszy uwierzyłam w jego słowa.

Rozdział 34

Zadzwonił dzwonek do drzwi. Richard i Jean-Claude w tym samym czasie powiedzieli „Otwarte” i spojrzeli na siebie, gdy drzwi się otworzyły.

Edward wszedł do pomieszczenia. Jego chłodne, niebieskie oczy otaksowały każde z nas.

— Co wam się stało?

— Długa historia - mruknełam. - To nie był zabójca, jeśli to miałeś na myśli.

— Nie miałem. Twoje wilki pilnują tyłów, nie pozwoliły mi wpuścić gościa bez czyjejś zgody - Spojrzał na Jean-Claude'a i Richarda. - Nie byli w zupełności pewni, do którego pozwolenia powinienem się dosto-sować.

Nie uśmiechał się, gdy to powiedział, jednak znałam go na tyle długo, by widzieć cień humoru, przemykający po jego twarzy.

- To jest mój dom - odparł Jean-Claude. - Czyli to właśnie mojej zgody potrzeba. Przesunęłam się na krawędź łóżka i wyprostowałam.

Ten ruch usadowił mnie

między dwoma mężczyznami. Cudownie. Richard nachylił się gotowy do pomocy, w razie, gdybym miała polecieć na twarz, zaś JeanClaude po prostu siedział tam, gdzie wcześniej, nie dotykając mnie i nie oferując żadnej pomocy. W pewnych rzeczach rozumiał mnie o niebo lepiej niż Richard, ale w końcu znał mnie dłużej, prawda? Jean-Claude wstał.

- Idę wprowadzić twojego gościa.

- Lepiej pójdę z tobą - powiedział Edward. - Harley nie zna cię, ale na pewno pozna, czym jesteś.

- Co to ma znaczyć? - spytałam.

- Czy gdyby obcy wampir podszedł do ciebie, w takim miejscu, i powiedział „Idź za mną.", poszłabyś?

Pomyślałam nad tym.

— Raczej nie. Edward uśmiechnął się.

— Harley również nie.

Po czym obydwaj, z Jean-Claude'm, wyszli, by przyprowadzić przy-bysza. Gdy wyszli, próbowałam stać, tylko po to, by zobaczyć, czy mo-gę to zrobić. Od zawsze lubiłam poznawać nowych ludzi, zwłaszcza chodzących, wynajętych mięśniaków, stojąc.

Straciłam równowagę, gdy Richard chciał mi pomóc. Musiałam oprzeć się o ścianę, by uniknąć upadku.

— Próbowałam pomóc - powiedział.

— Nie próbuj tak mocno.

— Co jest z tobą, Anito?

— Nie cierpię być bezradna, Richardzie.

— Ale nie jesteś przecież superwoman. Spiorunowałam go wzrokiem.

— Zemdlałam, jak mi Bóg miły. Ja nigdy nie mdleje.

- Nie zemdlałaś - zaprzeczył. - Cokolwiek to było, wyrzuciło cię z Damiana. Wiem to, byłem z tobą związany, gdy to się stało. Poczulem, jak to coś ociera się o mnie.

Potrząsnął głową, przyciskając ramiona do piersi.

— Nie zemdlałaś, wierz mi. Znów oparłam się plecami o ścianę.

— Mnie też to przeraża.

— Doprawdy? - Staął naprzeciw mnie. - Nie wydajesz się przestraszona.

— Boisz się o połączenia z Jean-Claude'm? - spytałam, zmieniając temat.

- Niepokoi cię to bardziej niż perspektywa zabicia po raz pierwszy dzisiejszej nocy, nieprawdaż?

- Taa.

Drzwi otworzyły się, więc przerwaliśmy naszą rozmowę. W sumie to nawet dobrze. Właśnie znaleźliśmy kolejną rzecz, o której mieliśmy odmienne poglądy. Pozwolenie komuś związać się z moim umysłem, moją duszą, przerażało mnie dużo bardziej niż zabicie kogokolwiek.

Mężczyzna podążający za Edwardem nie wyglądał zbyt imponująco.

Był szczupły i tylko o kilka cali wyższy od Śmierci. Miał kręcone, przebłyskujące brązem, rude włosy, rzędzące na samym środku głowy.

Garbił się nawet wtedy, kiedy chodził i nie potrafiłam określić, czy to był jego zwyczaj czy po prostu skutek głębokiego, wewnętrznego kryzy-su. Brązowy T-shirt, sztruksowe spodnie i tenisówki. Wszystko, co na sobie miał, wyglądało jakby pochodziło z Armii Zbawienia. Ponadto nosił połataną, skórzaną kurtkę, która mogła być nowym, oryginalnym zakupem, ale za czasów II wojny światowej. Pod marynarką, zauważy-

łam broń palną.

Nosił podwójną kaburę, więc miał po jednej 9-milimetrówce pod każdą ręką. Widziałam już takie, jednak nie miałam jeszcze okazji poznać nikogo, kto by jej używał. Czas przeszły słusznie użyty. Dotąd myślałam, że są one jedynie na pokaz. Bardzo niewielu ludzi ma równie sprawne obydwie

ręce. Zauważyłam też sieć pasków pod spodem jego T-shirtu, której nie rozumiałam, jednak domyślałam się, że wróży obecność czegoś śmiertelnie niebezpiecznego. W jednej ręce trzymał worek marynarski, wystarczająco pakowny i duży, by pomieścić ciało. Niosąc go, nie napręzał w ogóle mięśni. Zapamiętać - Harley jest silniejszy niż wygląda.

Na końcu spojrzałam mu w oczy. Były blade i szarzielone, otaczały je rzęsy tak rudoczerwone, że wydawały się niemalże niewidzialne.

Ponadto miały najbardziej pusty wyraz, jaki kiedykolwiek widziałam u człowieka. To było tak, jakby patrzył, ale mnie nie widział. Nie chodzi o to, że był ślepy. Nie, on coś widział, jednak nie byłam pewna *co*. Nie mnie. Nie kobietę. Coś jeszcze. Jedno spojrzenie było wystarczające.

Zrozumiałam, że ten facet żył w swoim własnym świecie. Jego wersja rzeczywistości prawdopodobnie sprawiłaby, że na pierwszy rzut oka zaczęlibyśmy wrzeszczeć. A on w niej funkcjonował. I nie krzyczał.

- To jest Harley - powiedział Edward. Przedstawił nas wszystkim, jakby to było zwykłe, najnormalniejsze spotkanie.

Zagapiłam się w oczy mężczyzny i zrozumiałam, że przerażał mnie.

Minęło już tyle czasu odkąd inny człowiek przeraził mnie tak bardzo, tylko i wyłącznie wchodząc do pokoju.

Richard podniósł dłoń, jednak Harley po prostu na nią spojrzał.

Chciałam wyjaśnić mu, dlaczego nie powinien czynić takich gestów, jednak nie byłam pewna, czy potrafiłabym to zrobić.

Nie podałam mu ręki.

- Zdemaskowałem człowieka stojącego za pieniężnymi kontraktami za twoje życie - powiedział Edward. Tak po prostu, bez żadnych wstępów.

Troje z nas wpatrzyło się w niego. Harley kontynuował dyskretne obserwowanie mnie.

- Co powiedziałaś? - spytałam

- Wiem, kto chce cię zabić.

- Kto?

- Marcus Fletcher. Głowa naszego lokalnego stada wilków. -

Uśmiechnął się, zadowolony ze sposobu, w jaki Richard zareagował na tę wiadomość.

— Jesteś pewien? - spytał. - Absolutnie pewien? Edward skinął głową, studiując jego wyraz twarzy.

— Czy nienawidzi cię on wystarczająco, by chcieć zabić Anitę?

— Nie sędzę. - Richard odwrócił się w moja stronę. Miał przerażony i zbolący wyraz twarzy. - Mój Boże, nie sądziłem, że mógłby zrobić coś takiego... Dlaczego?

— Jak dobrze mógłbyś dzisiaj walczyć ze świadomością, że *ma petite* nie żyje? - spytał Jean-Claude.

Richard spojrział na niego tak bezradnie zdrętwiały i zszokowany działaniem Marcusa, że miałam ochotę podejść do niego, poklepać go po głowie i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ostatnio zostałam niemalże dwa razy zabita, a to właśnie ja chciałam pocieszać. Miłość jest czasami beznadziejnie głupia.

— To wszystko jest takie wygodne - powiedział Edward radosnym tonem.

— Co masz na myśli? - spytał Richard.

— Mówi, że skoro masz zamiar zabić Marcusa dziś wieczorem, to my nie musimy tego robić. - wyjaśniłam.

— Po prostu nie mogę uwierzyć, że on mógłby zrobić coś tak.

— Demonicznego. - podsunęłam. Przytaknął.

— To wygląda raczej na pomysł Rainy, a nie Marcusa - stwierdził

Jean-Claude.

— Taa, to jest wystarczająco popieprzone jak na nią - mruknęłam.

— Marcus mógł powiedzieć „nie” - powiedział Richard. Przeczesał

dłonią swoje długie włosy, odgarniając je z twarzy i odsłaniając jej bardzo ładne, twarde rysy. - Trzeba to powstrzymać. On spełni każdą jej prośbę, a ona jest szalona.

Mój wzrok ponownie zatrzymał się na Harley'u. Nie mogłam się powstrzymać. Zauważył to spojrzenie i uśmiechnął się do mnie. Nie wiedziałam, o czym właściwie myślał, ale na pewno nie było to ani miłe, ani zbytnio piękne. Cholera. Posiadanie Harley'a jako wsparcia, sprawiało, że zaczynałam się zastanawiać, czy aby na pewno jestem po dobrej stronie.

- Edward, mogę cię prosić na chwilę? - Nie chciałam być aż tak bezpośrednia, jednak Harley naprawdę mocno mnie niepokoił.

Odeszłam od nich, a on podążył za mną. To było przyjemne, iść tak sobie przez pokój, zniżyć głos i znać osobę, która nie była w stanie do-słyszeć mojego szeptu. Jean-Claude i Richard na pewno

słuchali.

Edward spojrział na mnie z nutką rozbawienia w oczach, jakby wiedział, co chcę powiedzieć i uważał to wszystko za świetną zabawę.

Niech szlag go trafi, do cholery.

— Dlaczego on się ciągle na mnie gapi? - spytałam.

— Harley?

— Wiesz doskonale kogo, do cholery, mam na myśli - warknęłam.

— On tylko patrzy, Anito - powiedział. - Żadna krzywda, żaden problem.

— Ale dlaczego na mnie?

— Może, dlatego, że jesteś dziewczyną?

— Przestań, do ciężkiej cholery. O czymkolwiek myśli, nie jest to seks, a jeśli nawet, to nie chcę znać szczegółów.

Edward przyglądał mi się przez chwilę.

— Spytaj go.

— Co?

— Spytaj go, dlaczego się na ciebie gapi.

— Tak po prostu? Pokiwał głową.

— Zrobisz mu tym pewnie niezłą frajdę.

— Chcę wiedzieć? - spytałam.

— Nie wiem. Chcesz?

Wzięłam głęboki wdech i powoli wypuściłam powietrze.

- Właśnie przeciągasz strunę, Edwardzie. Co to za umowa?

- Jeśli coś mi się stanie w czasie walki, Harley będzie potrzebował

jeszcze jednej osoby, której będzie mógł słuchać.

- Słuchać?

- On jest całkowicie niezawodny, Anito. Stoi za moimi plecami, ani razu się nie wzdryga, zabija każdego, kogo mu każe, jednak bez okre-

ślonych rozkazów jest słaby. I nie przyjmuje poleceń od byle kogo.

- Więc wyznaczyłeś mnie? Potrząsnął głową.

— Kazałem mu wybrać kogoś z tego pokoju.

— Dlaczego mnie?

— Spytaj go.

— Świetnie. - Wróciłam do pozostałych. Edward podążył za mną.

Harley obserwował nas, jakby widział coś zupełnie innego. Byłam cholernie wytrącona z równowagi. Pięknie, po prostu pięknie.

— Dlaczego się na mnie gapisz? - spytałam prosto z mostu. Jego głos był tak cichy, jakby nigdy nie wrzeszczał.

— Jesteś najbardziej przerażającym skurwysynem w pokoju.

— Teraz wiem, że nie widzisz - powiedziałam.

— Widzę, co jest wewnątrz. - odparł.

— Co jest z tobą, kurwa, nie tak?

— Nic.

Próbowałam wymyślić jakieś bardziej inteligentne pytanie i w końcu spytałam.

— Co widzisz, kiedy patrzysz na osoby w tym pokoju? - To samo, co ty - potwory.

— Skąd wiesz, że potwory, które ja widzę, są takie same, jak te, co ty widzisz? Uśmiechnął się, odsłaniając górną wargę.

— Mogą wyglądać inaczej, ale pozostają potworami. Oni wszyscy to potwory.

Był najprawdziwszym psycholem żyjącym w swoim własnym świecie. Do tej pory większość ludzi doszła do punktu, gdzie nie widzieli już rzeczywistości, jednak byli zbyt daleko od niej, by móc zawrócić.

Czasami różne terapie czy prochy pomagały, jednak bez nich świat był

przytłaczającym i przerażającym miejscem. Harley nie wydawał się być przytłoczony czy przerażony. Był spokojny.

- Kiedy patrzysz na Edwarda, on zawsze wygląda dla ciebie w ten sam sposób. To znaczy, że rozpoznajesz go?

Skinął głową, na potwierdzenie.

— Rozpoznawałbyś mnie - stwierdziłam.

— Jeśli nauczyłbym się ciebie na pamięć - tak - odpowiedział.

— Dlatego się gapisz.

— Tak - potwierdził.

— Co się stanie jeśli i Edward, i ja zginiemy?

— Uśmiechnął się, jednak jego wzrok powędrował na koniec pokoju, jakby małe coś zniżyło się do podłogi i przebiegło przez cały pokój.

Ten ruch był tak naturalny, że odwróciłam się, by spojrzeć. Nic.

- Harley - ponagliłam.

Spojrzał z powrotem na mnie, jednak jego wzrok powędrował trochę wyżej niż znajdowała się moja twarz.

— Tak? - powiedział tym swoim cichym głosem.

— Co się stanie, jeśli zarówno ja i Edward zginiemy?

Harley zapatrzył się na mnie. Jego oczy przesunęły się idealnie na moją twarz na prawie sekundę, jakby mgła na chwilę się rozplynęła.

- Wtedy będzie kiepsko.

Rozdział 35

Marcus się nie podda. Nie dzisiejszej nocy. Tak czy owak, musi zginąć. Richard już nawet przestał się sprzeciwiać. Było prawie pewne, że Raina będzie próbowała się buntować, jako druga w lukoi. Wojna wisiała na włosku, nawet, jeżeli nie byłoby już Marcusa. Jean-Claude wymyślił rozwiązanie. Zrobimy lepsze show. Lepsze niż Marcus i Raina. Chyba żartował. Richard pozwolił Jean-Claude'owi wybrać dla siebie kostium. Ale tylko na tę noc. Jako jego lupa, czy tego chciałam czy nie, też musiałam się przebrać.

Jean-Claude zabrał Richarda, żeby go przygotować, a do mnie przysłał Cassandrę, która niosła wielkie kartonowe pudło pełne ubrań. Powiedziała, że przysłała pomóc mi się przebrać.

Otworzyłam pudło i zobaczyłam tylko kupę czarnych skórzanych rzemyków. Bez jaj. Kiedy wyjęłam

to z pudełka nie wyglądało lepiej.

- Nie wiem jak to na siebie założyć, nawet gdybym chciała.

- Pójdę po Stephena. - powiedziała Cassandra

- Nie będę się przed nim rozbierać.

- Jest striptizerem - powiedziała - To on pomógł mi się ubrać ostatniej nocy w Danse Macabre, pamiętasz? Jest prawdziwym gentlema-nem.

Usiadłam na łóżku i spojrzałam na drzwi, jakby miała stamtąd nadejść jakaś pomoc. - Żartujecie sobie? Nie włożę tego czegoś.

Godzinę później przeglądałam się w lustrze. Cassandra i Stephen ob-racali mną tak, abym mogła zobaczyć się ze wszystkich stron. Nie czu-

łam się niezręcznie, kiedy facet pomagał mi wcisnąć się w to coś, a chyba powinnam. Coś mi podpowiadało, że tak. Słowo 'gentleman' w stosunku do Stephena było niedopowiedzeniem. Po prostu nie ruszało go, że stoję przed nim prawie naga. Czułam się tak, jakby pomagały mi dwie przyjaciółki. Tylko jedna, jakimś dziwnym trafem, nie była dziewczyną.

Góra przypominała bardziej stanik niż bluzkę. Był uszyty ze skóry z jedwabną podszewką. Przynajmniej był wygodny. Jeden z tych, które ukazywały twój dekolt w jak najlepszym świetle. Ciasno przylegał i trzymał wszystko na swoim miejscu. Mój krzyżyk był widoczny, ale zakleiłam go taśmą. Zerwę ją, kiedy będziemy opuszczać Cyrk. Dziś w menu mamy wilkołaki, nie wampiry.

Dolna część mojego stroju to było coś, co wyglądałoby jak zwyczajne skórzane szorty, gdyby nie fakt, że tam gdzie kończyły się nogawki, zaczynały się rzemyki. Z własnej woli nigdy bym się tak nie ubrała, nawet po to, żeby zrobić wrażenie na Richardzie.

Dwie skórzane pochewki na noże przykrywały moje ramiona.

Oczywiście nie były puste. Noże były najwyższej jakości z wysoką zawartością srebra. Rękojeści były trochę zbyt wymyślne, jeśli o mnie chodzi, ale dobrze wyważone i to się liczyło. Na przedramionach mia-

łam kolejne dwa noże, mniejsze, którymi czasami rzucałam. Miały rękojeści, więc nie były do tego stworzone, ale lepsze to niż nic. Pod wy-brzuszoną koszulką Harley'a ukryty był prawdziwy nóż do rzucania, autentyczny McCoy, drobny i niewinnie wyglądający do czasu, aż pokazał na co go stać.

Naramienna kabura z Browningiem genialnie pasowała do skórzane-go paska przy moich spodniach. Edward kupił mi nowy pistolet. Broń nie była całkiem moja, ale fajnie było mieć ją przy sobie. Harley wydobyl ze swojego plecaka przypinaną kaburę dla Firestara Niewielka kabura typu cross draw8 spoczęła po jednej stronie tali.

Paski opinające moje uda miały malutkie, dyskretne srebrne pochewki na dwa kolejne noże. Na

łydkach nie miałam noży, bo buty dostałam razem z całym strojem. Jean-Claude'owi w końcu udało się wy-ciągnąć mnie z moich Nike'ów. Buty były zamszowe, na obcasach ciut za wysokich jak dla mnie, ale nie zamierzałam protestować. Przy każdym bucie była malutka zakorkowana fiolka. Spojrzałam na jedną z nich pod światło i wiedziałam co zawierała. Woda święcona. Dobry prezent od wampirzego przyjaciela, nie?

Przejrzałam się w lustrze.

- Ile czasu zajęło Jean-Claude'owi wymyślenie tego stroju?

- Chwilkę. - powiedział Stephen. Klęczał przy mnie poprawiając paski i odpowiednio je zapinając. - Robiliśmy zakłady, że nie zdoła cię namówić, żebyś to włożyła.

- 'My', czyli kto?

8 cross draw - noszenie broni po stronie przeciwnej do ręki władającej i dobywanie jej na krzyż.

- Wszyscy jego podwładni. - Stephen wstał i odsunął się, aby rzucić okiem na swoje dzieło. - Wyglądasz świetnie.

- Wyglądam jak krzyżówka piekielnej motocyklowej dziwki i dziewczyny z żołnierskiego plakatu.

- To też. - przyznał Stephen Odwróciłam się do Cassandra.

- Powiedz mi szczerze. Jak wyglądam.

- Cóż... Wyglądasz groźnie, Anita. Jak czyjaś broń. Przejrzałam się w lustrze.

- Chciałaś chyba powiedzieć, jak czyjaś erotyczna zabawka.

- Bardziej jak Domina niż jak zabawka. - powiedziała Cassandra Dlaczego mnie to nie pocieszyło?

Cassandra bardzo chciała pomóc mi z makijażem. Miała w tym większą wprawę niż ja. Lata praktyki, jak to ujęła. Moje włosy były stylowo ułożone. Czarne loki opadały na moje ramiona. Stanowczo wymagały przycięcia. Ale na dzisiejszą noc były idealne. Moja twarz wyglądała nieźle, można nawet powiedzieć, że wyglądałam słodko.

Makijaż jest naprawdę wspaniałym wynalazkiem. Ale strój nie pozostawiał wątpliwości. Wyglądałam dokładnie tak, jak się czułam: jak coś, co najpierw cię zabije, a dopiero później pocałuje.

Wyszliśmy z łazienki i znaleźliśmy Edwarda i Harley'a czekających na nas. Przynieśli dwa krzesła z oparciem i usiedli na nich naprzeciw łazienkowych drzwi. Wzrok Edwarda zmroził mnie. Nie odezwał się nawet słowem. Po prostu siedział z twarzą zastygłą w półśmiechu.

- Powiedz coś, do cholery.

- Powiedziałbym, że to nie ty, ale cóż. nie da się zaprzeczyć.

- Taa.

Harley wpatrywał się we mnie pustym wzrokiem. Uśmiechał się, ale nie na widok mojego stroju. Uśmiechał się do swoich własnych myśli, jakiejś wewnętrznej muzyki albo wizji, którą tylko on mógł dostrzec.

Na łóżku leżał długi czarny płaszcz.

- Jeden z wampirów go zostawił - powiedział Edward. - Myślał, że może chciałabyś go założyć przed wielkim przedstawieniem.

- Bawi cię to, prawda?

- Czuję się lepiej, gdybym mógł cię osłaniać.

- Będiesz czekał ze strzelbą na najbliższym wzgórzu.

- Możliwość widzenia w ciemności i dobry celownik ok, ale nie zabiję ich wszystkich. Nie z tej odległości.

- Gdybyś był obok mnie, też nie. Niewiele by ci to dało.

- Owszem, ale czułbym się lepiej.

- Martwisz się o mnie? Wzruszył ramionami.

- Jestem kimś w rodzaju twojego ochroniarza. Jeśli zginiesz będąc pod moją ochroną, wszyscy będą się ze mnie śmiać.

Musiało minąć parę sekund zanim uświadomiłam sobie, że żartował.

Harley spojrział na niego zdziwiony. Edward nigdy nie był skory do żartów.

Przespacerowałam się po pokoju. Skóra wydawała cichy, skrzypiący odgłos. Zatrzymałam się naprzeciw Edwarda i spojrzałam na niego z góry. Nieczęsto mi się to zdarzało.

Zmrużył oczy.

- Tak?

- Nie potrafię sobie wyobrazić nikogo, kto wyśmiewałby się z ciebie.

Dotknął jednego ze skórzanych pasków.

- Jeśli pokazałbym się tak ubrany, na pewno ktoś by się znalazł. Mimowolnie się uśmiechnęłam.

- Pewnie musiałbyś się tak ubrać gdybyś szedł z nami sprzątać dziś w nocy. Spojrzał na mnie tymi swoimi pustymi, niebieskimi oczami.

- Nosilem gorsze rzeczy niż to, Anita. Potrafię być dobrym aktorem, kiedy muszę. - Humor momentalnie go opuścił. Jego twarz była teraz dzika, zawzięta. Edward był w stanie zrobić rzeczy, o których ja nawet nie myślałam, miał o wiele mniej zasad niż ja, ale czasami widziałam w nim siebie, jak w lustrze. Był dla mnie ostrzeżeniem przed tym, czym się stawałam. Albo może czymś w rodzaju zapowiedzi. Richard powiedziałaby, że to tylko ostrzeżenie. Ja nie byłam tego taka pewna.

Ktoś zapukał do drzwi. Richard wszedł zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć. Zmarszczył brwi, ale zręczliwy wyraz twarzy zniknął, kiedy lepiej mi się przyjrzał.

-A przychodząc tu chciałem ponarzekać na mój strój - Pokręcił głową. - Jeśli będę narzekać, zastrzelisz mnie? - uśmiechnął się.

- Postaraj się nie śmiać, a będzie dobrze. - Powiedziałam.

Uśmiechnął się szerzej. Jego głos brzmiał tak, jakby z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Wspaniale. Wyglądasz wspaniale.

Kiedy wyglądasz jak zniewolona Barbie, masz dwa wyjścia. Możesz być zażenowana, albo wyzywająca. Zgadnijcie, co wybrałam.

Kołysząc się na obcasach, ruszyłam w jego stronę. Buty ułatwiały, a wręcz zmuszały do takiego sposobu chodzenia. Moje oczy i wyraz twarzy wyrażały teraz dokładnie to, co sugerował strój: seks, przemoc i pożądanie.

Twarz Rycha spoważniała. Pojawiło się na niej wahanie, jakby nie był całkowicie pewny czy powinniśmy robić to publicznie.

Miał na sobie czarne, skórzane spodnie i miękkie zamszowe buty, prawie takie same jak moje własne. Włosy zebrał z tyłu i związał w kucyk czarną wstążką. Jego jedwabna koszula była jaskrawoniebieska, coś pomiędzy turkusem a indygo. To wszystko wyglądało wspaniale na tle jego opalonej skóry.

Zatrzymałam się przed nim i wpatrzyłam się w niego, dając mu do zrozumienia, że to nie było śmieszne. Położyłam palec na jego wargach, przesuwałam go niżej, po jego policzku, szyi, głaszcząc obojczyk i skórę, która nie była schowana pod koszulą.

Podeszłam do łóżka, wzięłam płaszcz i zarzuciłam go sobie na ramię. Prawdę mówiąc nie ukrywał za dobrze mojego stroju.

Otworzyłam drzwi i zatrzymałam się za moment w progu.

- Idziemy?

Ruszyłam przed siebie nie czekając na odpowiedź. Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Richard wyglądał jakbym zdiełała go czymś ciężkim. Doskonale. Teraz tylko musiałam przetestować strój na Jean-Claudzie i byliśmy gotowi do drogi.

Rozdział 36

Pomimo tego, że zbliżał się zmrok, w lesie było ciepło. W końcu mamy maj. Richard i ja staliśmy przed stodołą, w której Raina kręciła sprośne filmiki. Spotkanie stada miało się odbyć pomiędzy drzewami, nieopodal farmy. Było tu tak wiele samochodów, że trudno byłoby wcisnąć szpilkę. Stały na każdym skrawku wolnej przestrzeni.

Gdzieś tam, w górze, musiała być pełnia, ale chmury były tak grube, że w lesie panowały kompletne ciemności, zupełnie jak w jaskini. Tyle, że ta jaskinia się poruszała. Lekki wiaterek przemykał między liśćmi, wydając cichy gwizd, jakby jakiś olbrzym przesuwiał palcami po koronach drzew, wyginając je, szeleszcząc liśćmi, sprawiając, że noc żyła własnym życiem. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego.

Dłoń Richarda była ciepła i lekko wilgotna. Stłumił nieco tę dziwną, pełzającą energię, więc dotyk nie był nieprzyjemny. Doceniałam ten wysiłek. Kiedy podszedł bliżej, jego skórzana peleryna zaskrzypiała.

Była zapięta tak, że przykrywała tylko jedno ramię. Peleryna w połączeniu z długimi rękawami niebieskiej koszuli, czyniła cały strój bardziej antycznym.

Richard pociągnął mnie za rękę, przytulając mnie, obejmując ramionami, okrywając peleryną. Chmury rozwiały się i nagle znaleźliśmy się w srebrzystej poświacie. Richard wpatrywał się w przestrzeń, jego spojrzenie było jakby nieobecne. Zdawał się słuchać czegoś, czego ja nie słyszałam. Jego dłonie zacisnęły się na moich. Spojrzał na mnie, jakby właśnie sobie przypomniał, że tam stałam i uśmiechnął się.

- Czujesz to?

- Co?

- Noc.

Chciałam powiedzieć „nie”, ale zawahałam się. Rozejrzałam się, patrząc na las. Miałam wrażenie, że się porusza, że żyje.

- Dziś w nocy puszcza wydaje się bardziej żywa, niż zwykle.

Uśmiechnął się szerzej.

- Tak.

Spróbowałam się od niego odsunąć, ale jego uścisk był żelazny.

- To ty - powiedziałam. - Ty to robisz.

Serce podeszło mi do gardła. Mogłam bać się wielu rzeczy, ale Richard był na ostatnim miejscu mojej listy.

- Oczekują od nas, że będziemy dzielić energię. To właśnie robię.

Ale to musi być moja moc. Stado nie będzie pod wrażeniem zombie.

Przełknęłam serce z powrotem i zmusiłam się, żeby stać nieruchomo. Uścisnął moją dłoń, a ja odwzajemniłam uścisk. Nie zastanawiałam się, co to mogło oznaczać. Nie chciałam być za to odpowiedzialna. To jego moc, nie moja. Ja miałam być tylko paliwem dla jego ognia, niczym więcej.

- To znaki Jean-Claude'a - powiedziałam. - Dzięki nim masz taką moc.

- Mieliśmy nadzieję, że to będzie działać w ten sposób. - powiedział

Richard. I wiedziałam, że to „my”, które miał na myśli, nie dotyczyło mnie.

- Jak to działa?

- Mniej więcej tak. - Pulsująca energia przetoczyła się między nami, jak fala gorąca. Przeszła z jego ręki do mojej. Otaczała mnie, była wszędzie. Wszystkie włosy stanęły mi dęba. Zadrżałam.

- W porządku?

- Taa... - powiedziałam, ale byłam w stanie wydobyć z siebie tylko szept.

Uwierzył mi na słowo. Jakaś bariera zniknęła i energia Richarda uderzyła we mnie jak pięść. Pamiętam tylko, że spadałam w dół, a jego ramiona objęły mnie w talii, kiedy mnie łąpał. Czułam się tak, jakbym była gdzieś indziej, jakbym była wszędzie. Byłam ponad drzewami, patrzyłam na nas, ale nie widziałam siebie. To było podobne uczucie, jak wtedy, kiedy ożywiłam cały cmentarz. Z jednym wyjątkiem. To nie była niekontrolowana moc, która uciekała na wszystkie strony. To by-

łam ja. Spoglądałam dziesiątkami oczu, dotykałam ciała, zarówno poro-

śniętych futrem jak i tych wciąż w ludzkiej postaci. Poszłam dalej przed siebie i znalazłam Rainę. Wiedziałam, że to ona. Jej moc była jak tarcza, odpychała mnie od niej. Wyczuwałam jej strach. Bała się.

Richard przywołał mnie z powrotem. Znowu byłam w swoim ciele.

Mogłam zobaczyć to, co było poza moimi oczami, jednak nie było tam nic do oglądania. Otworzyłam oczy, jednak nie byłam pewna czy nie są nadal zamknięte. Złocista poświata nadal tu była, wirując wokół mnie.

Zarzuciłam Richardowi ręce na szyję i poczułam jak jego energia odpowiada mojej.

Nie musiałam pytać o to, co się stało. Wiedziałam. To było to, co miałam na myśli, jeśli chodziło o umiejętności kogoś, kto miał zamiar zostać alfą. Richard potrafił opuścić swoje ciało i duchowo przebywać ze stadem. Właśnie tak powstrzymał wilkołaka przed zmianą postaci dwa dni temu. Właśnie tak potrafił dzielić krew. Marcus tego nie potrafił, ale Raina tak.

Moc Jean-Claude'a, nawet moja własna, nigdy nie wydawała się tak żywa. To było tak, jakbym pobierała energię z drzew, wiatru, jakbym była podłączona do jakiejś ogromnej baterii, która mogła działać bez końca. Nigdy wcześniej nie czułam niczego podobnego.

- Możesz biec? - zapytał Richard

Wiedziałam, że to pytanie było czymś więcej, niż tylko słowami.

- Och, tak, oczywiście.

Uśmiechnął się. Był w doskonałym humorze. Chwycił moją dłoń i wciągnął nas między drzewa. Nawet jeśli byłby człowiekiem, nie potrafiłabym dotrzymać mu kroku. Dzisiaj nie tyle biegł, co płynął między drzewami. Jakby coś podpowiadało mu, gdzie jest każde drzewo, korzeń, każdy leżący na drodze pień. Jakby drzewa same usuwały mu się z drogi. Pociągnął mnie za sobą. Nie za rękę, ale przy pomocy swojej energii. Nasze moce stanowiły jedność. To powinno być uciążliwe i przerażające, ale tak nie było.

Wpadliśmy na dużą polanę. Energia Richarda rozeszła się po niej błyskawicznie, przepłynęła nad wilkołakami jak iskra przeskakująca z jednej pochodni na drugą. Wszyscy odwrócili się w jego stronę. Jedyne Marcus, Raina, Jamil, Sebastian i Cassandra pozostali w bezruchu. Jedyne oni mieli wystarczająco silną wolę by powstrzymać jego energię, która przepłynęła między nami wszystkimi jak podmuch wiatru. Wiedziałam, że po części była moja. Jean-Claude był daleki jak sen, albo raczej częściowo zapamiętany koszmar, jego wirująca energia została zupełnie zdominowana przez promieniejącą moc Richarda. Czułam każdy, nawet najmniejszy ruch, podmuch wiatru, szelest liści. Jakby świat nagle stał się krystaliczny, przypominało to zastrzyk adrenaliny, albo szok, kiedy to wszystko wydaje się inne, jakby zbyt wyostrome i przerażająco wyraźne. Jakbym była zanurzona w rzeczywistości, a wszystko inne było tylko snem. To prawie bolało.

Marcus usiadł na kamiennym krześle, wyrzeźbionym wiele lat temu, którego krawędzie poważnie nadgryzł ząb czasu. Były zaokrąglone od pogody, tysiący rąk, które kiedyś go dotykały i ciał, które na nim siedziały. Ta polana była miejscem spotkań stada przez długi czas.

Marcus miał na sobie smoking z satynową podszewką. Koszula była uszyta ze złotego materiału, nie złotego jedwabiu, ale wyglądała jakby ktoś przetopił złotą biżuterię i zrobił z tego koszulę. Raina usiadła na poręczy kamiennego krzesła. Jej długie, kasztanowe włosy były upięte w zawity kok na czubku głowy. Część loków opadała wokół jej twarzy.

Na czole miała złoty łańcuszek z diamentem wielkości mojego kciuka.

Na szyi miała ich więcej. Wszystkie mieniły się w słońcu tak, że zdawało się, jakby płonęły białym płomieniem. Była całkowicie naga, jeśli pominąć złoty brokat do ciała, który nieco zasłaniał jej piersi. Na kostce również miała bransoletkę z diamentem. Trzy złote łańcuchy zwieszały jej się na biodra i to było właściwie wszystko, co miała na sobie. A ja narzekałam na mój strój...

- Witajcie, Richardzie, Anito - powiedział Marcus. - Witajcie w naszej szczęśliwej rodzinie. Jego głos był niski i głęboki. Wyłączyła z niego pewnego rodzaju energia, ale była za słaba.

Nigdy nie będzie wystarczająco silna. Richard mógł ubrać stare dżinsy i koszulkę i nadal byłby w stanie pokonać ich wszystkich. To nie ubranie czyni z ciebie króla.

- Marcus, Raina. - Richard puścił moją rękę i odsunął się. Połączenie pozostało. To była tylko część tego, co łączyło Richarda, Jean-Claude'a i mnie. Odszedł parę kroków do tyłu i stanął naprzeciw mnie. Czułam jego moc jak wielkie, lśniące, migoczące *coś*. Jego energia była niezwykła. Jeśli miałabym ją z czymś porównać, to tylko z energią Daoine Sidhe z wyższego dworu faerie.

- Niegrzeczny z ciebie chłopiec - powiedziała Raina. - Uczyniłeś ją jedną z nas.

- Nie - powiedział Richard. - Jest tym kim zawsze była - sobą.

- Więc jak to możliwe, że panujesz nad jej energią? Jak ona jest w stanie zapanować nad twoją? - Raina wstała z krzesła i zaczęła chodzić tam i z powrotem, jak zwierze w klatce.

- Co ty zrobiłeś, Richardzie? - zapytał Marcus.

- Ona jest moją towarzyszką życia.

- Raina, sprawdź to - powiedział Marcus.

Raina uśmiechnęła się złośliwie i przeszła na polanę kołysząc się na obcasach. Czułam jej energię w powietrzu. Jej seksapil fruwał jak smuga światła, błyszczał na jej skórze, wypływał z ust. Każdy z obecnych facetów gapił się na nią, nawet Richard. Nie byłam o to na niego zła. Ja też ją obserwowałam. Była doskonała jeśli chodzi o uwodzenie mężczyzn. Jakby seks był dla niej tym samym co moc. Dosłownie.

Zsunęłam z ramion długi, czarny płaszcz i pozwoliłam mu opaść na ziemię. Tłum westchnął jak jeden mąż. Przesunęłam dłońmi ponad moim odsłoniętym brzuchem, potem nad odzianymi w skórę udami. Za-

śmiałam się. Mój śmiech był głośny, hałaśliwy ale i przepełniony rado-

ścią. To była Raina. Panowałam nad jej mocą, tańcząc na krawędzi jej energii. Podeszłam w jej kierunku, nie czekając. Spotkałyśmy się na środku polany. Krążyłyśmy wokół siebie. Pozwoliłam, żeby jej aura seksu i przemocy mnie otoczyła, wyciągnęłam rękę i kradłam ją, kawa-

łek po kawałku. Oczy Rainy rozszerzyły się z przerażenia, zaczęła oddychać szybciej. Umiała się obronić przed innym wilkołakiem, ale moja moc była na tyle inna, że nie wiedziała, co z tym począć.

Nigdy przedtem nie robiłam niczego podobnego i właściwie nie do końca rozumia-

łam, co robię, dopóki Raina się nie wycofała. Nie pobiegła do Marcusa, ale jej blask zniknął. Wycofała się z podkulonym ogonem. Mogłam wyczuć ją w moim umyśle, czułam jej smak.

Odwrociłam się z powrotem do Richarda i podeszłam do niego, ko-

łyszając się na obcasach. Czułam na sobie spojrzenie każdego faceta w tym lesie. Zgromadziłam energię wokół mnie i pozwoliłam jej przepłynąć na Richarda. Stał nieruchomo, jak lodowa rzeźba, w jego ciemnych oczach zabłyśły ogniki. To był częściowo seks, częściowo energia i coś jeszcze. Po raz pierwszy zrozumiałam czym było to „coś”. Słyszałam tę muzykę, czułam jak wypełnia moje ciało.

Złapałam skórzany płaszcz Richarda i pociągnęłam go w dół, ku sobie. Całowaliśmy się płonąć, jakby nie tylko nasze ciała były razem.

Nagle odsunęłam się od niego i spuściłam wzrok. Wiedziałam, że był

gotowy. Czułam stado, odległe, ale obecne. Ogromna wilcza głowa Jasona otarła się o moją nogę. Zanurzyłam dłoń w jego grubym, delikatnym futrze. Zdawałam sobie sprawę z tego, że gdybym kochała się z Richardem, stado wiedziałoby o tym. To nie byłby tylko seks. To byłaby magia. I nie wydawało mi się to hańbiące, pogańskie, ani jakkolwiek złe.

- Nie możesz im na to pozwolić! - powiedziała Raina. Marcus wstał.

Wyglądał na zmęczonego.

- Nie wiem czy potrafię. - Spojrzał na nią, nagą, piękną, przerażającą. - Ale to nie twoja krew zostanie rozlana dziś w nocy, prawda kochanie?

Ironia była tak gęsta, że można było powiesić siekierę. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że Marcus wiedział jaka była Raina. Możliwe, że wiedział od zawsze.

Raina uklękła przed nim obejmując go rękami i wtuliła policzek w jego udo. To było to, co znała najlepiej. Seks i przemoc.

Marcus delikatnie dotknął jej włosów. Spojrzał na nią z czułością.

Odwrociłam wzrok. To było bardzo intymne spojrzenie, bardziej niż seks, bardziej potężne. Głupiec, kochał ją. Gdyby nie starał się mnie zabić, może byłoby mi go szkoda.

Marcus odsunął się od Rainy. Zaczął chodzić tam i z powrotem po polanie. Jego moc rozlała się elektryczną falą pomiędzy wilkołakami, mną. Zdjął krawat i odpiął pierwsze kilka guzików przy koszuli.

- Bez zbędnych wstępów, Richard. Skończmy to.

- Wiem, że próbowałeś zabić Anitę. - powiedział Richard.

Marcus zatrzymał się w pół kroku. Zamarł w bezruchu jakby zamienił się w kamień. Przez jego twarz przemknął cień zdziwienia, lecz uśmiechnął się.

- Zaskoczyłeś mnie dzisiaj już dwa razy. Ciekawe czy uda ci się to po raz trzeci.

- Zginiesz dzisiaj w nocy, Marcusie. Wiesz o tym. Marcus wzruszył ramionami.

- Nikt ci nie broni próbować. Richard pokiwał głową.

- Planowałem dać ci szansę, pozwolić ci odejść.

- Próbowałem zabić twoją partnerkę. Nie możesz darować mi życia. -

Odpiął guziki przy mankietach koszuli.

- Nie, nie mogę. - Richard odpiął pelerynę, pozwalając jej opaść na ziemię. Wyciągnął koszulę ze spodni i zdjął ją jednym szybkim ruchem.

Blask księżyca rzucał cienie na jego mięśnie na ramionach i klatce piersiowej. Nagle ten pomysł nie wydał mi się zbyt dobry. Nie chciałam, żeby tam poszedł. Mogłam zastrzelić Marcusa i byłoby po wszystkim.

Richard nigdy by mi nie wybaczył, ale przynajmniej byłby żywy. Zasady były takie, że nie mogli używać swoich mocy, jedynie kłów i pazurów. A nawet cała moc Richarda nie mogła powstrzymać Marcusa przed rozerwaniem mu gardła.

Rozdział 37

Richard odwrócił się w moją stronę, mając na sobie jedynie skórzane spodnie i buty. Marcus poprosił, by nie rozbierali się od pasa w dół, mówił coś o zachowaniu godności przez starszego mężczyznę. Gówna prawda. W powietrzu było coś, co mi się nie podobało, a Marcus wiedział co się święci i był gotowy.

- Jako honorowany Urflic, Marcus może wybrać formę walki - powiedział Richard.

- A jaką wybrał?

Podniósł rękę przed moją twarz.

- Dotknij mojej dłoni.

Powiedział to w taki sposób, że jego mała prośba brzmiała naprawdę poważnie. Delikatnie dotknęłam wierzchu jego dłoni.

- Chwyć ją, Anito.

Zacisnęłam palce wokół dolnej części jego dłoni. Zanim zdążyłam spojrzeć mu w oczy lub zadać pytanie, poczułam to. Energia płynęła wzdłuż jego ręki jak olej w górę knota lampy. Jego skóra płynęła pod moją ręką. Czułam wydłużenie kości. Jakby jego ciało więziło go w skórze, a kości i mięśnie rozpląły się. To było prawie tak, jakby chciał rozproszyć siebie na zewnątrz, jak ja zrobiłam to wcześniej, ale to nie jego esencja się rozpląwała. To było jego ciało.

Uniósł swoją drugą rękę, a ja ją przyjąłem. Splotłam swoje palce z palcami Richarda i poczułam jak jego kości rosną wzdłuż mojej skóry, przyglądałam się formie jego pazurów i ciału płynącemu jak glina.

Wiem, że powinnam się bać lub czuć obrzydzenie. Moc spływała mu wzdłuż poruszających się rąk do moich dłoni, płynąc między nami, jak zimny ogień.

Zatrzymał się, kiedy jego dłonie zmieniły się w ludzkie szpony z pazurami, które mogły mnie rozszarpać. Moc nie zatrzymała się nagle, jak po naciśnięciu pstryczka. To było jak zakręcanie kranu, spowalnianie przepływu, ostatnia kropla, potem nic.

Byłam na kolanach i nie pamiętam, kiedy to się stało. Richard klęczał przede mną, z dłońmi splecionymi z moimi. Musiałam dwa razy spróbować by zacząć rozmowę.

- W jaki sposób hamujesz to?

Wyjął ostrożnie swoje nowo uformowane ręce z moich. Zadrżałam, kiedy jego pazury ciągnęły się po mojej skórze.

- Kontrolowanie zmian jest tym co oddziela owce od wilków - powiedział.

Zajął mi sekundę, aby zdać sobie sprawę, że zażartował. Pochylił

się do mnie i szepnął:

- Jeśli stracę kontrolę w walce lub przegram, zmienię się całkowicie.

Chcę, żebyś mnie dotknęła, jeśli cię poproszę.

- Dlaczego?

Czułam jego ciepły oddech na moim policzku. Owinął swoje ramiona dookoła, trzymając mnie w kręgu jego ciała, pazury jeździły wzdłuż skórzanych pasków od stroju.

- Chcę, abyś poczuła przepływ energii. Chcę, żebyś wiedziała jak to między nami może wyglądać - ścisnął ramiona. - Jeśli przegram, mo-

zesz użyć mocy, aby wyprowadzić stamtąd moje wilki. Pozostali zabiją każdego, kogo będą uważać za nielojalnego.

Odsunęłam się na tyle, aby spojrzeć mu w twarz.

- Jak mam jej użyć, aby to zrobić?

- Będziesz wiedziała - pocałował mnie w czoło najdelikatniej jak mógł. -Obiecuj, że ich ocalisz, Anito. Obiecuj mi.

- Obiecuj.

Wyprostował się. Przeciągnęłam dłońmi wzdłuż jego ciała, kiedy wstawał. Złapałam jedną z jego rąk. Moja dłoń przesunęła się wzdłuż długich, zakrzywionych pazurów. Były tak twarde, solidne i nierealne, na jakie wyglądały. Chciałam poczuć ruch jego ciała, ale mimo wszystko patrząc na piękną twarz Richarda i te potworne ręce to był wstrząs.

Wciąż go trzymałam. Nie chciałam go puścić.

- Ostrożnie z pazurami, Anito. Nie jestem już w ludzkiej formie.

Miał na myśli to, że skaleczenie może lub nie, zrobić ze mnie futrza-ka. Trudno powiedzieć. Ale to wystarczyło, żebym go puściła. Nie ważne jak dobrze czuł się Richard, nie byłam gotowa by porzucić swoje człowieczeństwo.

Spojrzał na mnie, a w jego oczach był świat rzeczy niewypowiedzianych i nie zrobionych. Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam.

- Czy masz tyle samo kontroli nad każdą częścią ciała? Uśmiechnął się.

- Tak.

Bałam się tak, że nie mogłam mówić. Chciałam powiedzieć mój ostatni żart. Jediną rzeczą, którą pozostała była prawda.

Podniosłam się, kładąc ręce na jego nogach dla podparcia i pocałowałam wewnętrzną część jego dłoni. Skóra wciąż była miękka, pachnia-

ła i smakowała jak Richard, kości były czymś innym.

- Nie daj się zabić.

Uśmiechnął się. W jego oczach było widać smutek bez dna. Nawet jeśli wygra tę walkę, będzie go to drogo kosztowało. Zabójstwo, tak on to widzi. Bez względu na uzasadnienie. Morale są świetne, ale mogą cię zabić.

Raina pocałowała Marcusa na pożegnanie, przyciskając do niego ciało tak mocno, jakby próbowała przejść przez niego, podzielić go niczym kurtyna, wślizgnąć się do środka.

Odepchnęła go intensywnie, gardłowo się śmiejąc. To był rodzaj śmiechu, który sprawiał, że w

barach wszyscy się odwracają. Radosny, nieco zły dźwięk. Raina wpatrywała się we mnie przez polanę, śmiech ciągle iskrzył się w jej oczach, na jej twarzy. Jedno spojrzenie wystarczyło. Jeśli będzie mogła, zabije mnie.

Ponieważ myślałam o niej tak samo, w pozdrowieniu skinęłam tylko głową. Zobaczymy, kto rano będzie martwy. To mogę być ja, ale gdzieś na listach zmarłych może znaleźć się Raina. To mogłam prawie obiecać.

Marcus podniósł swoje szponiaste ręce nad głową. Obrócił się powoli dookoła.

- Dwie alfy będą walczyć dziś wieczorem. Jeden z nas opuści ten krąg życia. Jeden z nas nakarmi nas dziś wieczorem. Napoi naszą krwią, nakarmi naszym mięsem. Jesteśmy stadem. Jesteśmy lukoi. Jesteśmy jednością.

Jason odchylił głowę do tyłu i zawył, był tak blisko mnie, że aż podskoczyłam. Gardła pokryte futrem zawtórowały mu, ludzkie również dołączyły do chóru. Stałam samotnie wśród stada, nie dołączyłam do nich.

Kiedy ostatnie echo ucichło, wśród zalesionych wzgórz, Marcus powiedział:

- Teraz pomiędzy nami jest śmierć, Richardzie.

- Oferowałem ci życie. Wybrałeś śmierć... Marcus uśmiechnął się. -

Wydaje mi się, że tak.

Skoczył wprost na Richarda, bez manewrów, ćwiczeń, wyłącznie z mglistą prędkością. Richard przeturlał się po ziemi, wracając na stopy.

Na brzuchu krwawiły mu trzy cienkie rany. Marcus nie pozwolił mu wyzdrowieć. Był jak zły sen, kiedy pokonywał odległość między nimi.

Nie mogłam nawet dobrze się im przyglądać. Widziałam wcześniej jak poruszają się lykantropy, ale to co robił Marcus zapierało dech w piersiach.

Atakował Richarda, kierując go na skraj polany, gdzie stała Raina.

Richard nie był ranny, ale fala ciosów zmusiła go by ruszył do tyłu, jednocześnie powstrzymując ataki.

Musiałam zadać pytanie. Spojrzałam na Jasona. Odwrócił swoje blade, wilcze oczy na mnie.

- Jeśli ktokolwiek pomoże Marcusowi to będzie oszustwo, tak?

Czułam się głupio rozmawiając z czymś co wyglądało jak zwierzę, ale w tym spojrzeniu go nie widziałam. Nie byłam pewna czy to człowiek, ale na pewno nie zwierzę. Wilk skinął niezgrabnie głową.

Plecy Richarda były nadal w zasięgu możliwego ataku Rainy. Jamil, czarny wilk, dołączył do niej dwa dni temu. Sebastian również znajdował się u jej boku. Cholera.

- Jeśli oszukają, mogę ich zastrzelić?

- Tak. - Cassandra dołączyła do nas, idąc wśród stada, niczym ciepły, ale kłujący wiatr. Znałam prawdziwą próbkę jej mocy i wiedziałam, że gdyby chciała mogłaby być lupą. Wyciągnęłam Browninga, ale dziwnie czułam się trzymając go w rękach, jakby nie był mi potrzebny. Kiedy nie potrzebowałam broni, obejmowałam stado większym zasięgiem. Niebezpieczeństwo rosło. Owinęłam palce wokół

kolby Browninga, który wbił się w moją rękę, przypominając mi swój dotyk. Pamięć czucia przywiodła go z powrotem do mnie, odpychając blask mocy.

Nie wiedziałam broni, ale Richard nadal stał tyłem do Rainy i Sebastiana. Podniosłam Browninga nie celując, jeszcze nie. Krzyknęłam.

- Za tobą.

Zobaczyłam skurcz mięśni pleców Richarda. Upadł na kolana.

Wszystko zwolniło, jak rzeźbione w kryształach. Ręka Sebastiana ruszyła się z blaskiem srebrnego ostrza. Wycelowalam w niego. Marcus za-machnął się w stronę niechronionego gardła Richarda. Pociągnęłam za spust pistoletu skierowanego w stronę Marcusa, ale zbyt wolno, za późno.

Czubek głowy Sebastiana eksplodował. Miałam ułamek sekundy, aby zastanowić się jaką amunicją Edward załadował do broni. Ciało zaczęło osuwać się w dół. Szpony Marcusa opadły, a Richard przejechał swoimi pazurami spod ramienia, do górnej części żołądka przeciwnika. Zatrzymał się, zamarł na chwilę, kiedy szpony rozkopywały jego brzuch aż po żebra. Ręka Richarda weszła w ciało Marcusa po nadgarstek.

Celowalam Browningiem w Rainę, na wypadek gdyby znalazła sposób, by wyciągnąć nóż. Marcus przejechał swoimi pazurami w stronę pleców konkurenta. Richard przylgnął do ciała przeciwnika głową, chroniąc ją oraz kark przed szponami drugiego mężczyzny. Marcus zadrżał. Richard odłączył się od niego, wyjmując zakrwawione ręce z klatki piersiowej Marcusa. Wyrwał wciąż bijące serce z jego klatki piersiowej i rzucił je wilkom. Wilkołaki rzuciły się na nie ze skowytami i warczeniem. Richard upadł na kolana koło ciała Marcusa. Krew spływała po jego plecach z miejsca, gdzie został zraniony nożem. Podeszłam do niego nadal celując w Rainę. Uklękłam, wciąż szykując dla niej kulkę.

- Dobrze się czujesz Richardzie?

Było głupio o to pytać, ale co innego mogłam powiedzieć?

- Odłóż broń Anito. To koniec.

- Ona próbowała cię zabić- powiedziałam.

- To koniec - odwrócił twarz w moją stronę, jego oczy zrobiły się puste. Jego głos zmienił się w ryk.
- Odłóż to.

Spojrzałam na Rainę - wiedziałam, że jeśli nie zabiję jej teraz, będę musiała zrobić to później.

- Ona widzi nas martwych, Richardzie.

Nagle dłonie Richarda zrobiły się tak szybkie, że nie mogłam ich zobaczyć. Ścisnął moje ręce tak, że wypadła mi broń. Ręce mi zdrętwiały.

Próbowałam się wycofać, ale złapał mnie, owijając swoje poranione ręce wokół moich ramion.

- Koniec z zabijaniem... dziś wieczór.

Odrzucił do tyłu swoją głowę i zawył. W jego ustach pojawiło się mnóstwo kłów. Krzyknęłam.

- Przyjmij moc. Przyjmij albo uciekaj.

Szarpnął rękami wokół moich ramion. Robiłam szybkie, małe kroczki do tyłu, zakopując przy tym piety w ziemi, próbując się uwolnić. Upadł na mnie, zbyt poraniony by się szamotać, zbyt daleki by walczyć ze zmianą. Jego moc uderzyła mnie, we mnie. Nie widziałam niczego z wyjątkiem blasku mocy w moich oczach. Gdybym mogła oddychać, znów bym krzyknęła, ale nie było tam nic z wyjątkiem siły jego mocy, która rozprzestrzeniła się wokół niego, jak woda pośród skał. Fala dotknęła stada, a kiedy to zrobiła ich futra zafalowały. Richard zmieniał się i dotknął nią każdego z nich. Każdego. Czułam jak Raina próbowała z tym walczyć. Czułam jak z tym walczy. Usłyszałam jej krzyk, w końcu upadła na ziemię i zmieniła się.

Byłam trzymana w ramionach przez Richarda i czułam falujące jak woda futro. Mięśnie formowały się i przesuwały, kości łamały. Dolna część mojego ciała była uwięziona pod nim. Jasna ciecz wytrysnęła z jego ciała, lejąc się na mnie w bardzo gorącej fali. Krzyczałam i stara-

łam się wydostać spod niego. Moc zjechała w dół, wypełniła mnie tak, aż pomyślałam, że moja skóra tego nie wytrzyma, nie utrzyma.

Wreszcie podniósł się ze mnie, ale nie jako człowiek tylko w postaci człowieka-wilka z futrem w kolorze cynamonu i złota. Jego duże i pełne genitalia wisiały pod nim. Wpatrywał się we mnie bursztynowymi oczami i zaoferował mi szponiastą rękę jako podpórkę, ponieważ sam stał już na lekko ugiętych, dwóch nogach. Zignorowałam ją i skoczyłam do tyłu. Stałam na nogach, trochę niepewnie, rozejrzałam się. W wilczej formie był wyższy, miał około dwóch metrów. Był umięśniony i straszny. Nie zostało w nim nic z *tego* Richarda. Ale wiedziałam jak dobrze się czuje kiedy uwalnia bestię. Czułam, że jest to jak drugi umysł, dusza, rosnąca, wypełniająca go, wypływająca.

Wciąż czułam mrowienie, po dotyku jego bestii. Pamiętałam miękkość jego grubego futra, to mnie prześladowało.

Marcus, wyglądał bardzo ludzko, leżąc u stóp Richarda. Zapach świeżej krwi przeszedł przez niego,

przez nich wszystkich.

Moje ciało przeszedł dreszcz. Spojrzałam na martwego, chciałam upaść na kolana i się pożywić. Miałam wizję rozrywanego ciała, ciepłych wnętrzności. To była pamięć. Odrzuciło mnie do tyłu.

Popatrzyłam na człowieka-wilka. Popatrzyłam na Richarda i potrząsnęłam głową.

- Nie mogę się tym żywić. Nie będę. Mówił, ale było to zniekształcone i gardłowe.

- Nie jesteś zaproszona. Będziemy świętować, potem zapolujemy.

Możesz to oglądać. Możesz dołączyć do polowania lub odejść.

Cofnęłam się powoli.

- Idę.

Stado podchodziło bliżej, najczęściej te gigantyczne wilki, ale tu i ówdzie podchodzili ludzie-wilki patrząc na mnie obcymi oczami. Nie widziałam Browninga, którego Richard wytrącił mi z rąk. Wyjęłam Firestara i zaczęłam się cofać.

- Nikt cię nie skrzywdzi, Anito. Jesteś lupą. Towarzyszką. Spojrza-

łam w zimne oczy najbliższego wilka.

- W tej chwili jestem tylko jedzeniem, Richardzie.

- Odmówiłaś przyjęcia mocy- powiedział.

Miał rację. Pod koniec tego wszystkiego wpadłam w panikę i nie otrzymałam pełnej dawki.

- Nieważne.

Przesunęłam się obok wilka, ale on nie drgnął. Wyszłam, ocierając się o futro jak gdybym była w fabryce pełnej futrzanych szczonek. Każda z nich oddychała. Te żyjące zwierzęta przestraszyły mnie. Panika wdzierła się do mojego gardła, nawet gdy wiedziałam, że mój strach ich ekscytuje. Im bardziej się bałam tym bardziej pachniałam jak jedzenie.

Trzymałam gotowy pistolet, ale wiedziałam, że jeśli do mnie podejda to jestem martwa. Nie, było ich zbyt wielu. Patrzyli jak idę. Uparcie nie chcieli się ruszyć, zmuszając mnie bym ocierała się o ich futrzane ciała. Zdawałam sobie sprawę, że uważają mnie za pewnego rodzaju przystawkę, mój strach to przyprawa do ich jedzenia, mięsnienie mojego ludzkiego ciała doda smaku ich pościgowi.

Kiedy minęłam ostatnie owłosione ciało, usłyszałam dźwięk rozrywanego ciała. Nie mogłam zatrzymać się na czas. Richard podniósł

swój pysk ku niebu, poplamiony krwią, rzucił kawałek mięsa, którego próbowałam nie rozpoznawać.

Biegłam. Las, który mogłabym ominąć z pomocą Richarda, stał się torem przeszkód. Biegłam, potknęłam się i upadłam, potem biegłam dalej. W końcu dotarłam z powrotem do parkingu. Prowadziłam, bo nikt poza mną nie wracał dziś do domu. Zostali tutaj i mieli wielką zabawę o północy.

Edward i Harley oglądali wszystko z pobliskiego wzgórza, pośród nocy. Ciekawe co myśleli o tym przedstawieniu.

Rozdział 38

Edward obiecał, że wróci do Cyrku na jeszcze jedną noc. Marcus nie żył, więc nie było już pieniędzy, ale jeśli ktoś wziął zlecenie, mógł o tym jeszcze nie wiedzieć. To byłaby hańba, aby zostać zabitym po tych wszystkich próbach uratowania mnie. Przeszłam całą drogę w dół po tych cholernych schodach do żelaznych drzwi zanim uświadomiłam sobie, że nie mam klucza i nikt na mnie nie czeka.

Jasny płyn, który trysnął z Richarda, wysychał na klejącą, lepłą substancję, coś pomiędzy krwią a klejem. Musiałam się wykapać. Musia-

łam wyczyścić ubranie. Musiałam przestać widzieć usta Richarda, gdy zjadał szczątki Marcusa. Im bardziej próbowałam nie wywoływać tego obrazu, tym stawał się on wyraźniejszy.

Waliłam w drzwi, aż rozboleły mnie ręce, wtedy kopnęłam je. Nikt nie przyszedł.

- Gówno! - Wrzasnęłam do nikogo konkretnie. - Gówno!

Czuć jego ciało na swoim. Jego kości i mięśnie przemieszczające się na mnie, jak torba z węzami. Ciepły podmuch mocy i ten moment, gdy chciałam upaść na kolana i nakarmić. Co by było gdybym wchłonęła całą moc? Co by było, gdybym się nie wycofała? Zjadłabym Marcusa?

Czy to sprawiłoby mi radość?

Wrzasnęłam bez słów, uderzając rękoma w drzwi, kopiąc, waląc w nie. Opadłam na kolana, przyciskając kłujące dłonie do drewna. Opar-

łam głowę o drzwi i płakałam.

- *Ma petite*, co się stało? - Jean-Claude stał za mną na schodach. -

Richard nie jest martwy. Czułbym to.

Obróciłam się i przycisnęłam plecy do drzwi. Wytarłam łzy z twarzy.

- On nie jest martwy, nic z tych rzeczy.

- W takim razie, co jest nie tak? - Zszedł na dół tanecznym krokiem, zbyt pełnym gracji, aby móc to opisać, nawet po wieczorze spędzonym ze zmiennokształtnymi. Miał na sobie ciemnoniebieską

koszulę, trochę jaśniejszą od granatu, z długimi rękawami i szerokimi mankietami, z wysokim, ale miękkim kołnierzem jakby szalikiem. Nigdy nie widzia-

łam go w jakimś z odcieni niebieskiego. To sprawiło, że jego niebieskie oczy wyglądały na bardziej niebieskie i ciemniejsze. Czarne dżinsy były tak obcisłe jak druga skóra, długie do kolan buty z czarnej skóry napinały się kiedy się poruszał

Uklęknął obok mnie, nie dotykając mnie, jak gdyby się bał.

- *Ma petite*, twój krzyż.

Popatrzyłam na niego. Nie świecił, jeszcze nie. Oplotłam dłonią krzyż i szarpnęłam, przerywając łańcuszek. Rzuciłam go daleko. Upadł

przy ścianie, srebro błyskało w słabym świetle.

- Zadowolony?

- W takim razie, po co te łzy, *ma petite*? Chyba nigdy nie widziałem jak płaczesz.

- Nie płaczę.

Dotknął koniuszkiem palca mojego policzka i pokazał samotną, drżącą łzę na końcu palca. Podniósł ją do swoich warg i końcówką języka zlizął ze skóry.

- Smakujesz jakby twoje serce było złamane, *ma petite*.

Gardło mi się zacisnęło. Nie mogłam złapać oddechu przez łzy. Im mocniej próbowałam nie płakać, tym szybciej płynęły łzy. Objęłam się rękami i dotknęłam okrywającej mnie klejącej mazi. Oderwałam ręce od ciała jakbym dotknęła czegoś brudnego. Patrzyłam na Jean-Claude'a trzymając ręce z przodu, z dala od swojego ciała.

- Mon Dieu, co tam się stało? - Usiłował mnie przytulić, ale odepchnęłam go daleko.

- Ubrudzisz się.

Popatrzył na gęstą, jasną maź na swojej ręce.

- Dlaczego byłaś blisko zmieniającego się wilkołaka? - Pewna myśl przepełnęła po jego twarzy. - To jest Richarda. Widziałaś przemianę.

Przytaknęłam. - Przemienił się na mnie. To było.... Och, Boże, och, Boże, och, Boże. Jean-Claude przyciągnął mnie w swoje ramiona. Odepchnęłam go.

- Zniszczysz ubranie.

- *Ma petite, ma petite*, wszystko w porządku. Wszystko jest w po-rządku.

-Nie, nie jest. - Pochyliłam się do niego. Pozwoliłam mu otoczyć się ramionami. Chwyciłam go, wsunęłam ręce w jego jedwabną koszulę.

Ukryłam twarz na jego piersi i szepnęłam.

- On zjadł Markusa. On zjadł go.

- On jest wilkołakiem, *ma petite*. Oni tak postępują.

To było takie dziwne stwierdzenie i tak okropnie prawdziwe, że ro-ześmiałam się -niespodziewany, prawie zły dźwięk. Śmiech zmienił się w krztuszenie, a krztuszenie w szloch.

Trzymałam się kurczowo Jean-Claude'a jakby był ostatnią zdrową psychicznie istotą na świecie. Wtuliłam się w niego i płakałam. Było coś głęboko wewnątrz mnie, co pękło i wypłakiwałam kawałki siebie na jego ciało.

Jego głos dotarł do mnie niewyraźnie, jak gdyby mówił już od jakiegoś czasu, a ja nie słyszałam. Mówił po francusku, szepcząc w moje włosy, głaszcząc mnie po plecach i delikatnie kołyszając.

Jean-Claude odsunął mi włosy z czoła. Musnął wargami moją skórę, podobnie jak Richard wcześniej wieczorem. Nawet ta myśl nie mogłaby wycisnąć więcej łez. To było zbyt szybko.

- Czy możesz wstać, *ma petite*?

- Chyba tak. - Mój głos był dziwny, niewyraźny. Stałam, byłam nadal w jego objęciach, wspierając się na nim. Delikatnie się odepchnę-

łam. Stałam bez pomocy, trochę niepewnie, ale lepsze to niż nic.

Ciemna koszula przykleiła się do jego piersi, cała w mazi wilkołaka i łzach.

- Teraz oboje potrzebujemy wanny. - powiedziałam.

- To da się załatwić.

- Proszę Jean-Claude, żadnych seksualnych insynuacji, aż będę czysta.

- Oczywiście, *ma petite*. Dziś wieczorem to byłoby prymitywne.

Wybacz.

Gapiłam się na niego. On był zbyt wyrozumiały. Jean-Claude miał

wiele zalet, ale wyrozumiałość nie była jedną z nich.

- Jeśli coś planujesz, to nie chcę o tym wiedzieć. Nie mam siły dziś wieczór na dziwne, niezrozumiałe intrygi, okay?

Uśmiechnął się i zrobił niski, szeroki ukłon, nie przestając na mnie patrzeć. W sposób, w jaki kłaniasz się na macie w judo, gdy boisz się, że osoba przed tobą może uderzyć, gdy spojrzysz w bok.

Potrząsnęłam głową. On coś planował. Dobrze wiedzieć, że nie wszyscy nagle stają się kimś innym. Jedyńm, na kogo zawsze mogłam liczyć był Jean-Claude. Był wrzodem na dupie, ale to zawsze był on.

Niezawodny, na jego własny wypaczony sposób. Jean-Claude niezawodny? Muszę być bardziej zmęczona niż myślałam.

Rozdział 39

Jean-Claude otworzył drzwi sypialni i wszedł do środka, zapraszając mnie pełnym wdzięku gestem. Zatrzymałam się na widok łóżka. Zmieniono pościel. Czerwone prześcieradło leżało na wierzchu. Karmazy-nowe draperie tworzyły połowiczny baldachim nad niemal czarnym drewnem. Na łóżku nadal znajdował się tuzin poduszek. Wszystkie by-

ły krzykliwej jaskrawo czerwonej barwy. Nawet po wydarzeniach tej nocy ten widok przyciągał wzrok.

- Podoba mi się nowy wystrój.

- Nakrycia wymagały wymiany. Zawsze narzekasz, że powinienem używać więcej koloru. Wpatrywałam się w łóżko.

- Przestanę narzekać.

- Przygotuję kąpiel. - Wszedł do łazienki nie rzuciwszy ani jednego żartu czy niecenzuralnego komentarza. To prawie wytrąciło mnie z równowagi.

Ktokolwiek zmienił pościel pozbył się także krzesel, na których siedzieli Edward i Harley. Nie chciałam usiąść na czystym nakryciu nadal będąc pokrytą tym, czymkolwiek do cholery byłam ubrudzona. Usiadłam na białym dywanie i usiłowałam nie myśleć o niczym. To trudniejsze niż się wydaje. W mojej głowie odbywała się gonitwa myśli, zupełnie jakby wilkołak gonił swój ogon. Ta wizja wydarła z mojego gardła śmiech, który na końcu zabrzmiał jak łkanie lub jęk. Zatkałam usta wierzchem dłoni. Nie podobały mi się odgłosy, które wydawałam.

Brzmiały beznadziejnie, przegrane.

Do licha, nie zostałam pokonana, ale zraniona. Gdyby moje uczucia były prawdziwą raną, wykrwawiałabym się na śmierć.

Drzwi do łazienki nareszcie się otworzyły. Kłęb ciepłego, wilgotne-go powietrza szybował wokół Jean-Claude'a, który zdjął koszulę. Blizna w kształcie krzyża burzyła idealność jego klatki piersiowej. W jednej ręce trzymał buty, w drugiej ręcznik tak szkarłatny, jak prześcieradła.

- Obmyłem się nad umywalką, kiedy wanna się napełniała. Przeszedł

boso po białym dywanie.

- Obawiam się, że użyłem ostatniego, czystego ręcznika. Skoczę po więcej. Odjęłam rękę od twarzy i skinęłam głową. W końcu udało mi się powiedzieć.

- Dobrze.

Wstałam zanim zdążył zaoferować mi pomoc. Nie potrzebowałam asysty.

Jean-Claude odsunął się na bok. Czarne włosy wiły się na jego ramionach w dość ciasnych lokach, skręcone przez wilgoć nagromadzoną w łazience. Zignorowałam go w miarę ludzkich możliwości i weszłam do środka.

Pomieszczenie było ciepłe i zaparowane. Czarny marmur wanny wypełniały bąbelki. Zaoferował mi czarną, lakierowaną tackę stojącą na blacie koło umywalki. Znajdowały się na niej szampony, mydło, sól do kąpieli i coś wyglądającego jak olejki.

- Wyjdź, żebym mogła się rozebrać.

- Potrzebne były dwie osoby, aby ubrać cię dziś wieczorem, *ma petite*. Czyż nie przyda się pomoc przy zdejmowaniu stroju? - Jego głos był

łagodny. Twarz nieruchoma, a oczy tak niewinne, aż się uśmiechnęłam.

Westchnęłam.

- Myślę, że jeśli pomożesz z dwoma paskami z tyłu, to dalej już sobie poradzę. Ale żadnych machlojek. Przytrzymałam z przodu stanik, ponieważ jeden pasek by go poluzował. Drugi, o ile się orientowa-

łam, był osiłą dla reszty stroju.

Jego palce zbliżyły się do górnego paska. Obserwowałam go w zaparowanym lustrze. Pasek został odpięty i skóra rozluźniła się z lekkim poszeptem. Zajął się drugim zapięciem bez żadnej dodatkowej piesz-czoty. Odpiął je i zrobił krok do tyłu.

- Żadnych machlojek, *ma petite*.

Wycofał się z pokoju. W zaparowanym lustrze przyglądałam się jak odchodzi niczym widmo. Kiedy drzwi zostały zamknięte zająłam się resztą zapięć. Zdejmowanie nasiąkniętej mazią skóry przypominało obieranie siebie.

Postawiłam tackę z akcesoriami kąpielowymi na brzegu wanny i we-szłam do wody. Była gorąca, niemal zbyt gorąca. Zanurzyłam się aż po brodę, ale nie potrafiłam się rozluźnić. Maż przylgnęła do skóry płata-mi. Musiałam się jej pozbyć. Usiadłam i zaczęłam się szorować. Mydło miało zapach gardenii. Szampony woń ziół. Oczywiście, że JeanClaude nie kupi popularnej, ogólnodostępnej marki.

Dwukrotnie umyłam włosy, zanurzając się pod wodę i wynurzając, aby zaczerpnąć powietrza. Byłam wyszorowana i czysta, albo przynajmniej czysta. Lustra na powrót stały się przejrzyste, a ja nie miałam na co patrzeć poza własnym odbiciem. Zmyłam misterny makijaż. Odgarnęłam grube, czarne włosy z twarzy. Oczy były ogromne, prawie czarne. Skóra tak blada, że nieomal biała. Wyglądałam na osobę w szoku, eteryczną, nie z tego świata.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- *Ma petite*, mogę wejść?

Rzuciłam na siebie okiem. Piana nadal pokrywała moje ciało. Zebrałam jej trochę w pobliżu klatki piersiowej i powiedziałam.

- Wejdz.

Nie zgarbienie się w wodzie wymagało dużego wysiłku. Siedziałam prosto zawierzając pianie. Poza tym nie będę się kulić. Byłam naga w kąpieli bąbelkowej. No i co z tego. Nikt nie może cię zawstydzić, chyba, że mu na to pozwolisz.

Jean-Claude wszedł, niosąc dwa grube, czerwone ręczniki. Zamknął za sobą drzwi z subtelnym uśmiechem.

- Nie chcielibyśmy wypuścić gorącego powietrza.

Mocno zmrużyłam oczy, ale powiedziałam - Wydaje mi się, że nie.

- Gdzie położyć ręczniki? Tu? - Zaczął kłaść je na blacie przy umywalce.

- Tam ich nie sięgnę - powiedziałam.

- Tu? - Położył je na stołku. Stał tam, wpatrując się we mnie. Nadal miał na sobie tylko czarne jeansy. Jego stopy wyglądały szokująco blado na tle czarnego dywanu.

- Nadal za daleko.

Usiadł na brzegu wanny kładąc ręczniki na podłodze. Patrzył na mnie, jakby mógł przesunąć pianę siłą woli. - Wystarczająco blisko?

- Może nawet za bardzo.

Delikatnie przeciągnął opuszkami palców po bąbelkach przy brzegu wanny.

- Czy czujesz się już lepiej, *ma petite*?

- Pamiętasz - powiedziałam - żadnych seksualnych insynuacji.

- Z tego co pamiętam, powiedziałaś żadnych seksualnych insynuacji, dopóki nie będę czysta. -
Uśmiechnął się do mnie. - Jesteś czysta.

Westchnęłam. - Zawsze można liczyć na twoją dosłowność.

Bawił się palcami w wodzie. Obrócił ramiona na tyle, że mogłam zobaczyć blizny po chłóście na jego plecach. Były gładkie i białe. Nagle miałam wielką chęć ich dotknąć.

Obrócił się z powrotem w moją stronę. Wytarł mokre palce o klatkę piersiową. Pozostawiły one lśniące ślady wilgoci, przecinające płaską gładkość wypalanej blizny i zmierzające w stronę brzucha. Tam jego palce zatrzymały się, aby przez chwilę igrać wzdłuż linii czarnych włosów znikającej w spodniach.

Zamknęłam oczy i powoli wypuściłam powietrze.

- O co chodzi, *ma petite*? - Poczułam jak nachyliła się nade mną. -

Czy jest ci słabo? Otworzyłam oczy. Pochylał cały tors ponad wanną.

Prawa ręka opierała się o przeciwległą krawędź, lewa w pobliżu mojego ramienia. Jego biodra były tak znacznie wysunięte nad powierzchnię wody, że gdybym dotknęła jego klatki piersiowej, wpadłby do środka.

- Ja nie mdleję - powiedziałam. Przybliżył swą twarz do mojej.

- Cieszy mnie to niezmiernie.

Delikatnie mnie pocałował. Lekkie muśnięcie warg, ale nawet ten niewielki dotyk wywołał u mnie skurcz żołądka.

Sapnęłam i odepchnęłam go. Wpadł do wanny całkowicie zanurzając się pod wodę. Tylko stopy wystawały nad powierzchnię. Wylądował na moim nagim ciele i krzyknęłam.

Wynurzył się, aby zaczerpnąć powietrza. Jego długie czarne włosy przylegały do twarzy i ociekały na ramiona. W tym momencie wyglądał

na bardziej zaskoczonoego, niż kiedykolwiek. Zwlókł się ze mnie głównie dlatego, że cały czas go odpychałam. Udało mu się ustać. Ociekał

wodą. Przypatrywał mi się z góry. Kuliał się przy brzegu wanny, patrząc na niego z irytacją.

Pokręcił głową i roześmiał się. Dźwięk wypełnił pomieszczenie.

Igrał z moją skórą niczym dłoń. - Byłem kobieciarzem przez prawie trzysta lat, Anito. Dlaczego tylko przy tobie zachowuję się tak niezręcznie?

- Może to znak - odparłam.

- Możliwe.

Patrzyłam na niego. Stał tam, po kolana w kąpielni z bąbelkami. Był przemoczony i powinien wydawać się śmieszny, ale tak nie było. Wyglądał pięknie.

- Jak możesz być tak cholernie piękny, kiedy wiem, czym jesteś?

Przyklęknął w wodzie. Piana zakryła jego talię tak, że zdawał się być nagi. Woda spływała dużymi kroplami po jego klatce piersiowej.

Chciałam go dotykać. Chciałam zlizać wodę z jego skóry. Podciągnęłam nogi do piersi i objęłam je ramionami, nie ufając sobie.

Zbliżył się do mnie. Woda chlupotała wokół i opływała moje nagie ciało. Był na kolanach tak blisko, że jego jeansy musnęły moje podkurczone nogi. Dotyk w wodzie, w tak niewielkiej odległości sprawił, że ukryłam twarz w kolanach. Bicie serca zdradzało mnie. Wiedziałam, że może wyczuć moje pożądanie w powietrzu.

- Powiedz abym oszedł, *ma petite*, a odejdę.

Poczułam jak pochyła się nade mną, jego twarz znalazła się tuż nad moimi mokrymi włosami. Powoli uniosłam głowę.

Umieścił dłonie na brzegu wanny obok mnie, każdą po jednej stronie, niebezpiecznie zbliżając klatkę piersiową do mojej twarzy. Obserwowałam wodę tworzącą krople na jego skórze tak, jak on czasem przyglądał się krwi na mojej: żądza była zbyt przytłaczająca, aby jej zaprzeczyć, pociąg tak całkowity, że nie chciałam powiedzieć nie.

Rozluźniłam pierścień rąk, obejmujących kolana i pochyliłam się do przodu.

Wyszeptałam, - Nie odchodź.

Dotknęłam dłońmi jego talii niepewnie, jakby dotyk miał palić, ale jego skóra była chłodna pod śliskością wody. Chłodna i gładka w dotyku. Spojrzałam do góry w jego twarz i wiedziałam, że na mojej znajduje się coś zbliżonego do strachu.

Jego twarz była śliczna, niepewna, jakby nie wiedział, co robić dalej.

To było spojrzenie, którego nigdy nie spodziewałam się ujrzeć na twarzy Jean-Claude'a będąc naga w jego ramionach.

Nie oderwałam wzroku od twarzy, gdy przybliżyłam usta do jego brzucha. Przejechałam językiem po skórze szybkim niepewnym ruchem.

Westchnął. Zamknął oczy. Jego ciało niemal całkowicie się rozluźni-

10. Przycisnęłam usta do skóry spijając wodę. Niemogłam sięgnąć klatki piersiowej. Przyklęłam. Aby zachować stabilność ręce umieściłam na jego smukłej talii.

Powietrze zdawało się chłodne w zetknięciu z moimi nagimi piersiami. Klękając odsłoniłam je. Zamarłam, nagle niepewna. Straszliwie chciałam zobaczyć jego twarz, a zarazem bałam się spojrzeć ku górze.

Opuszki palców delikatnie dotknęły moich ramion, zsuwając się ni-

żej po mokrej skórze. Zadrżałam i spojrzałam na niego. Wyraz jego twarzy zaparł mi dech w piersiach. Czułość, pożądanie, zdumienie.

- Jesteś taka piękna, *ma petite*. - Przyłożył palce do moich ust nim zdążyłam zaprotestować.

- Jesteś piękna. W tej kwestii mówię szczerą prawdę.

Jego palce przesunęły się po moich ustach, brodzie. Zsunął dłonie po moich ramionach, plecach, powolnym igrającym ruchem. Zatrzymał się na talii, naśladowując mój własny gest.

- Co teraz? - Brzmiałam trochę, jakbym nie mogła złapać tchu.

- Cokolwiek sobie życzysz, *ma petite*.

Zaczęłam masować jego talię, czułam ciało znajdujące się pod skórą, czułam go pod moimi dłońmi. Rozcapierzyłam sztywno palce przeciągając nimi aż pod żebra, bawiąc się dotykiem jego skóry.

Jego dłonie zacisnęły się na mojej talii, ręce naciskały na żebra. Powoli przesunął je w górę, wzdłuż moich boków. Silne palce naciskały na moją skórę w takim stopniu, aby sprowokować moje westchnienie.

Kciuki zatrzymały się tuż pod piersiami. Jego dotyk był lekki jak piór-ko. Prawie nie było go wcale. Ale to jedno muśnięcie skóry moich piersi wywołało reakcję organizmu, napięcie mięśni, twerdnienie sutków.

Moje ciało pożądało go. Pożądało go tak bardzo, że moja własna skóra zdawała mi się zbyt duża i aż pobolewała czekając na jego dotyk.

Moje dłonie były przyciśnięte do jego klatki piersiowej. Zdałam sobie sprawę, że nadal mnie naśladowuje. Czekaj, aż wykonam ruch.

Wpatrywałam się w jego twarz. Dokładnie analizowałam to piękno, te ciemne oczy. Nie było w nich żadnego przyciągania, żadnej mocy, poza grubą kurtyną czarnych rzęs i bogatą barwą nieba na chwilę zanim ciemność połknie świat, kiedy wszystko zdaje się czarne, ale na zachodzie można dostrzec odcień niebieskiego, ciemny, intensywny niczym inkaust. Jego piękno miało swoją własną moc.

Przesunęłam dłoń w górę jego klatki piersiowej, muskając palcami sutki. Wpatrywałam się w jego twarz, gdy to robiłam. Serce podeszło mi do gardła. Oddech stał się zbyt szybki.

Jego dłonie przesunęły się wyżej obejmując moje piersi. Ten dotyk zaparł mi dech. Zanurzył się głębiej w wodzie wciąż dotykając mnie.

Pochylił się nad moim biustem i złożył lekki pocałunek na moich piersiach. Zlizywał wodę ze skóry delikatnie pracując wargami.

Zadrzałam i musiałam przytrzymać się jego nagich ramion, aby nie stracić równowagi. Widziałam tylko jego czarne włosy pochylające się nade mną. Zauważyłam nasze odbicie w lustrze. Obserwowałam jak jego usta zamykają się na moich piersiach. Czułam jak bierze mnie do ust, tak głęboko jak jest w stanie. Kły napierały na moją pierś. Przez chwilę myślałam, że zagłębią się w ciało i krew popłynie ciepłym szybkim strumieniem, ale wycofał się. Obniżył się w wodzie na czworakach, dzięki czemu byłam wyższa. Mogłam spojrzeć z góry w jego twarz.

Teraz nie było na niej niepewności. Oczy nadal były cudne, nadal ludzkie, ale teraz była w nich wiedza, narastająca ciemność. Seks, mó-wiąc inaczej. Ale to męskie spojrzenie było zbyt prymitywne, by opisać je słowami. To wyglądająca na świat ciemność, którą wszyscy mamy w środku. Ta część nas, którą wiążymy w naszych snach i zaprzeczamy jej istnieniu za dnia. Pozostał przykucnięty w wodzie z tym dzikim blaskiem w oczach.

Pocałowałam go lekko. To było ledwie dotknięcie warg. Musnęłam językiem usta a on otworzył je dla mnie. Ujęłam jego twarz w dłonie i pocałowałam go. Smakowałam go. Poznawałam go.

Wynurzył się z wody wydając dźwięk między jękiem i krzykiem.

Objął mnie i przetoczył nas w wodzie niczym rekin. Wynurzyliśmy się łapiąc oddech. Odepchnął się ode mnie, aby oprzeć się o krawędź wanny. Oddychałam tak szybko, że aż się trzęsłam. Puls łomotał mi w gardle. Mogłam poczuć jego smak, nieomalże przetoczyć w ustach, jak cukierek. Zdałam sobie sprawę, że słyszę bicie nie tylko swojego serca.

To był Jean-Claude.

Widziałam puls na jego karku, jak coś odrębnego, żywego, ale dostrzegały to nie tylko moje oczy. Mogłam go poczuć, jakby należał do mnie. Nigdy nie byłam tak bardzo świadoma krwi płynącej w moich żyłach. Pulsującego ciepła skóry. Mocnego bicia serca. Życia grzmią-cego w moim wnętrzu. Ciało Jean-Claude'a pulsowało identycznie jak moje. Jakby pędził na moim pulsie, na mojej krwi. Czułam jego żądzę i to był nie tylko seks. Po raz pierwszy zrozumiałam, że to nie była też tylko krew. To byłam ja cała. Chciał ogrzać się we mnie, niczym wy-ciągając ręce w stronę płomieni, napełniając się moim ciepłem, moim życiem. Czułam jego bezruch. Głębiej ciszy, której nic żywego nie by-

łoby w stanie naruszyć, jakby zbiornik wodny ukryty głęboko w mroku.

W jednej chwili olśnienia dotarło to do mnie. Między innymi właśnie z tego powodu odczuwałam ten pociąg: chciałam zanurzyć moje dłonie w tym bezruchu, w tym cichym miejscu śmierci. Chciałam je objąć, wyjść mu naprzeciw, zdobyć. Chciałam napełnić go palącą falą życia. W tej chwili wiedziałam, że mogę to zrobić, ale tylko za cenę wypicia części tej nieruchomej, mrocznej toni.

- Moje najszczerze przeprosiny, *ma petite*, prawie doprowadziłaś mnie do utraty kontroli. - Zanurzył się w wodzie opierając się o krawędź

wanny. - Nie przyszedłem tutaj, aby się pożywić, *ma petite*. Przepraszam.

Czułam jak bicie jego serca odchodzi, oddala się ode mnie. Moje tętno zwolniło. Jedyne mój własny puls dudnił mi w uszach.

Wstał. Woda spływała po nim. - Odejdę, *ma petite*. - Westchnął. -

Obdzierasz mnie z ciężko wypracowanego opanowania. Tylko ty możesz mi to zrobić. Tylko ty.

Podpełzłam do niego w wodzie. Pozwoliłam, aby ciemność wypełniła moje oczy.

- Nie odchodź - powiedziałam.

Obserwował mnie częściowo zdziwiony, częściowo rozbawiony, częściowo przerażony, jak gdyby mi nie ufał - albo jakby nie ufał sobie.

Uklękałam u jego stóp. Moje ręce wędrowały do góry po przemoczonych dżinsach. Wbiłam lekko paznokcie w materiał pokrywający uda i wpatrywałam się w niego. Moja twarz znalazła się niebezpiecznie blisko miejsc, których nigdy wcześniej nie dotykałam nawet rękami. Z tak niewielkiej odległości nie mogłam nie zauważyć, że pod grubym, ciastnym, ciężkim materiałem był sztywny i gotowy. Poczułam ogromną chęć przyciśnięcia policzka do jego krocza. Delikatnie przejechałam nad nim dłonią, ledwie dotykając. To lekkie muśnięcie wydobyło z niego miękki jęk.

Patrzył na mnie niczym tonący.

Napotkałam jego oczy. - Żadnych zębów ani krwi.

Powoli skinął głową. Próbował dwa razy nim dobył głosu. - Wedle życzenia mojej pani.

Przyłożyłam do niego policzek, wyczuwałam sztywność i duży rozmiar. Poczułam jak jego całe ciało napina się. Otarłam się o niego policzkiem niczym kot. Wyrwał mu się cichy dźwięk. Spojrzałam do góry. Oczy miał zamknięte, głowę odchyłoną do tyłu.

Chwyciłam krawędź jego spodni i użyłam ich, aby pomóc sobie, wstając. Woda spływała po mnie. Mydliny przylgnęły do skóry.

Jego dłonie objęły mnie w talii, ale wzrok powędrował niżej. Spotkał moje spojrzenie i uśmiechnął się. To był ten uśmiech. Zawsze go miał.

Uśmiech, który mówił, że po jego głowie krążą małe, pokrętne myśli o rzeczach, które zrobiłbyś tylko po ciemku w ramach wyzwania. Po raz pierwszy pragnęłam wszystkiego co ten uśmiech obiecywał.

Pociągnęłam za jego jeansy.

- Ściągaj.

Ostrożnie odpiął spodnie. Pozbył się mokrego materiału. Jeśli miał

na sobie bieliznę, to ja tego nie zauważyłam. Jeansy wylądowały na dywanie. Jakoś nagle stał się nagi.

Był niczym rzeźbiony alabaster, każdy mięsień, każda krągłość jego ciała blada i idealna. Mówienie, że jest piękny było zbyteczne. Powiedzenie, o mój Boże, zdawało się nie na miejscu. Chichotanie odpadało.

Mój głos był zduszony, chrapliwy od słów, których nie mogłam znaleźć. - Nie zostałeś obrzezany.

- Nie, *ma pite*. Czy to stanowi problem?

Zrobiłam to na co miałam ochotę od kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Objęłam go palcami lekko ściskając. Zamknął oczy, drżał, oparł ręce na moich ramionach dla równowagi. - To nie jest problem

-
powiedziałam.

Nagle przyciągnął mnie, przyciskając nasze nagie ciała do siebie. Jego twardość, którą czułam na wysokości brzucha, niemal obezwładnia-

ła. Wbiłam palce w jego plecy starając się ustać na nagle miękkich nogach.

Pocałowałam jego klatkę piersiową. Stałam na palcach i złożyłam pocałunki na jego ramionach, szyi. Przejechałam językiem po skórze smakując go, delektując się zapachem, odczuciami w moich ustach.

Pocałowaliśmy się. Prawie niewinne muśnięcie warg. Złączyłam ręce na jego karku wyprężając ciało w łuk, naciskając na niego. Głęboko z jego gardła wydobył się cichy dźwięk.

Zsunął się w dół. Ręce obejmowały mnie z tyłu trzymając przy nim, gdy opuścił moje objęcia, a ja stałam patrząc na niego z góry.

Polizął mój brzuch szybkim krótkim ruchem. Jego dłonie pieściły moje pośladki. To były igraszki. Polizął w tę i z powrotem miejsce, gdzie brzuch się kończył, a rozpoczynają rzeczy umiejscowione niżej.

Wsunął palce pomiędzy moje nogi.

Wzięłam krótki, szybki oddech. - Co ty robisz?

Jego oczy zwróciły się ku górze, usta pozostały przyciśnięte do dolnej partii brzucha. Odsunął twarz na tyle by powiedzieć. - Zgaduj, masz trzy szanse, *ma petite*, - wyszeptał. Położył ręce na mych udach i rozsunął je szerzej. Jego dłoń przesunęła się po mnie badawczo.

Nagle poczułam suchość w ustach. Oblizalam wargi i powiedziałam,

- Myślę, że nie dam rady

ustać.

Polizał moje biodro. - Kiedy nadejdzie czas, *ma petite*, przytrzymam cię. - Zaczął całować przesuwając się w dół mojego uda. Jego palec zanurzył się w moim wnętrzu. Lekko westchnęłam.

Całował wewnętrzną stronę moich ud, pieszcząc je wargami i językiem. Dotyk jego palców między moimi nogami sprawiał, że moje ciało naprężyło się, mogłam poczuć początki czegoś dużego, obezwładniającego.

Wstał. Jego ręka nadal znajdowała się pomiędzy moimi nogami. Nachylił się i pocałował mnie długo i powoli. Ruch jego ręki był zgrany z pracą ust. Wolny. Pełen ociągania. Igrający z moim ciałem. Wtedy nagle zanurzył we mnie palce szybkim ruchem wydobywając ze mnie okrzyk rozkoszy. Drżałam oparta o jego ciało.

Pozostawił mnie stojącą w wodzie samą i drżącą, ale nie z zimna.

Nie byłam w stanie nawet myśleć na tyle sprawnie, aby zapytać, gdzie zniknął. Pojawił się przede mną trzymając prezerwatywę, jakby wyciągnął ją z powietrza. Przeciągnął folią po moim ciele.

Dotykałam go, gdy ją odpakowywał. Trzymałam go w moich dłoniach i czułam jego jedwabistą gładkość. Skóra była niewiarygodnie miękka. Śmiał się drżąc, gdy delikatnie wyzwolił się od dotyku moich dłoni.

Gdy był gotowy podniósł mnie. Ręce umiejscowił z tyłu moich ud.

Przycisnął się do mojego ciała nie wchodząc do środka, pocierając miejsca, których wcześniej dotykały jego dłonie. Wszeptałam - Proszę. - Rozsunął moje nogi i wsunął się do środka. Wolno, tak wolno, jakby się bał, że sprawi mi ból, ale nie odczuwałam żadnego dyskomfortu.

Kiedy znalazł się wewnątrz, spojrzał na mnie. Miał nawiedzony wyraz twarzy. Znajdowała się na niej mieszanka emocji. Czułość, triumf, żądza. - Tak długo tego pragnęłam, *ma petite*, tak straszliwie długo. -

Wsuwał i wysuwał się ze mnie powoli, jakby na próbę. Obserwowałam jego twarz, aż gra emocji stała się nie do zniesienia. Tego było zbyt wiele, to było zbyt szczere. W jego oczach znajdowało się coś jak gdyby ból, do którego zrozumienia nie mogłam się nawet zbliżyć.

Ruchy jego bioder nadal były wolne, ostrożne. To było niesamowite, ale chciałam więcej. Zbliżyłam swe usta do niego i powiedziałam -

Przecież się nie rozpadnę. - Przycisnęłam swe wargi do jego na tyle mocno, aby poczuć nacisk kłów.

Obniżył się na kolana w wodzie opierając mnie o krawędź wanny.

Jego wargi karmiły się moimi i pojawił się niewielki, ostry ból. Słodka miedź krwi wypełniła moje usta, wypełniła jego usta i wszedł we mnie szybko i mocno. Obserwowałam go w lustrach. Obserwowałam jak wchodzi we mnie i jak się wycofuje. Objęłam go rękami i nogami.

Trzymałam go blisko. Czułam jak jego ciało pogrąża się w moim. Czulałam jego żądzę.

Ktoś wydawał wysokie, jęczące odgłosy. To byłam ja. Objęłam go nogami w talii. Mięśnie mojego podbrzusza skurczyły się i napięły.

Przycisnęłam moje ciało do Jean-Claude'a, jakbym chciała przez niego przejść, wnikać w niego. Chwyciłam garść długich włosów i obserwowałam jego twarz z odległości kilku cali. Obserwowałam go, gdy jego ciało wchodziło we mnie raz za razem. Emocje zniknęły. Na jego twarzy malowała się tylko żądza. Krew spłynęła z kącika moich ust. Zlizał ją. Jego ciało napięło się.

Zwolnił rytm. Czułam wysiłek w napięciu jego pleców i ramion.

Zwolnił. Zwalniał za każdym razem, gdy wchodził we mnie. Zdawało mi się, że czuję go aż w klatce piersiowej. Jak gdyby stał się niemożliwie duży w moim wnętrzu. Moje ciało zaciskało się wokół niego niczym dłoń. Krzyknął i zgubił rytm. Wbijał się we mnie szybciej, mocniej, jak gdyby łączył nasze ciała, stapał je razem w jedno. Fala rozkoszy zalała mnie w drżącym, obezwładniającym przypiływie. Zalała mnie jak pęd zimnych płomieni, a on nadal nie kończył. Za każdym razem gdy wchodził we mnie, pieścił miejsca, których nikt nie powinien być w stanie dotknąć. Jak gdyby umiał sięgnąć tam, gdzie jego głos. Jak gdyby coś więcej niż tylko ciało zanurzało się we mnie. Przez chwilę świat był świetlistą topniejącą bielą. Wbiłam palce w plecy JeanClaude'a. Odgłosy dobywające się z mego gardła były zbyt prymitywne, aby je nazwać krzykiem. Kiedy zdałam sobie sprawę, że ranię go do krwi zaczęłam drapać własne ręce. Nie zapytałam jaki jest jego stosunek do bólu.

Przylgnęłam do niego, pozwalając mu w pełni podtrzymywać moją wagę. Wspiął się na brzeg wanny, unosząc mnie z wody. Ze mną uwieszoną na nim, przeczołgał się na czworakach na podwyższenie obok wanny. Gdy się obniżył, puściłam go. Wysunął się ze mnie nadal tak twardy i gotowy, jak gdy zaczynał.

Spojrzałam na niego. - Nie doszedłeś.

- Nie po to czekałam tak długo, aby zakończyć tak szybko.

Obniżył się wykonując coś na kształt pompki. Przejechał językiem wzdłuż zadrapań na mojej ręce.

Oblizwał usta. - Jeśli zrobiłaś to dla mnie, doceniam to. Jeśli próbowałaś uniknąć uszkodzenia mnie, było to zbędne. Nie przeszkadza mi odrobina bólu.

- Mi również.

Otarł się o mnie. - Zauważyłem. - Pocałował mnie powoli. Położył

się obok, potem przesunął, aż leżał na plecach, a ja prawie na powrót znalazłam się w wannie. - Chcę patrzeć jak się ruszasz, *ma petite*, chce mieć cię na sobie.

Usiadłam okrakiem na jego talii i powoli się opuściłam. W tej pozycji czułam go głębiej, w jakiś sposób mocniej. Jego dłonie dotykały mojego ciała, piersi. Położył się przede mną. Długie, kręcone, czarne włosy były prawie całkowicie suche. Rozsypały się wokół jego twarzy w grubych, miękkich falach. Tego właśnie chciałam. Zobaczyć go w ten sposób. Poczuć w swoim wnętrzu.

- Ruszaj się dla mnie, Anito.

Zrobiłam, o co prosił. Ujeżdżałam jego ciało. Naprężył się w moim wnętrzu i zaparło mi dech. Obserwowałam nas w lustrach. Obserwowa-

łam moje biodra kołyszące się nad nim.

- *Ma petite*, - wyszeptał - spójrz mi w oczy. Pozwól, aby było po-między nami tak, jak mogło być od zawsze.

Wpatrywałam się w te ciemnoniebieskie oczy. Były piękne, ale to były tylko oczy. Pokręciłam głową. - Nie mogę.

- Musisz otworzyć przede mną swój umysł, tak jak otworzyłaś ciało.

- Gwałtownie poruszył się we mnie, myślenie sprawiało mi trudności.

- Nie wiem jak - odparłam

- Kochaj mnie, Anito, kochaj mnie.

Patrzyłam na niego z góry i czułam to. - Kocham cię.

- Więc wpuść mnie, *ma petite*. Pozwól, abym cię kochał.

Czułam jakby ktoś odciągał zasłonę. Czułam jego oczy i nagle posiadały głębię, w której można było utonąć. Nieskończony ocean nocnego błękitu, który w jakiś sposób płonął. Byłam świadoma mego ciała.

Czułam Jean-Claude'a w środku. Czułam go, niczym dotyk jedwabiu we wnętrzu mojego umysłu.

Orgazm uderzył mnie niespodziewanie. Otworzył mój umysł dla niego bardziej, niż planowałam.

Otworzył mnie szeroko i zaczęłam to-nać w jego oczach. Krzyknął pode mną i zdałam sobie sprawę, że nadal czuję moje ciało. Czuję moje ręce na jego piersi. Czuję moje biodra jak go ujeżdżają. Otworzyłam oczy i przez zawrotną chwilę zobaczyłam jak jego twarz traci wyraz, chwila całkowitej nieobecności.

Opadłam na niego, dotykając rękami jego ramion, czując bicie serca pode mną, przez skórę na klatce piersiowej. Leżeliśmy przez kilka chwil cicho odpoczywając, trzymając się wzajemnie w ramionach. Potem zsunęłam się z niego i skuliłam obok.

- Już nie możesz mnie zniewolić spojrzeniem. Nawet jeśli ci na to pozwolę, nadal mogę przełamać twą kontrolę w każdej chwili.

- Owszem, *ma petite*.

- Czy to cię niepokoi?

Uniósł pukiel moich włosów, przeciągając go między palcami. - Powiedzmy, że nie martwi mnie to w takim stopniu, jak mogło kilka godzin temu.

Uniosłam się na przedramionach, aby zobaczyć jego twarz. - Co masz na myśli? Że teraz, gdy uprawialiśmy seks, nie jestem już niebezpieczna?

Wpatrywał się we mnie. Nie mogłam nic wyczytać z jego oczu. -

Zawsze pozostaniesz niebezpieczną, *ma petite*.

Uniósł się zginając talię, zbliżając usta do moich w delikatnym poca-

łunku. Odsunął się na tyle, aby móc mówić, podparł się jedną ręką.

- Był taki moment, kiedy zabrałabyś moje serce używając kołka lub pistoletu. - Uniósł moją dłoń i zbliżył do ust. - Teraz wzięłaś je tymi delikatnymi dłońmi i zapachem swego ciała.

Złożył niezwykle delikatny pocałunek na wierzchu mej dłoni. Poło-

żył się, przyciągając mnie do siebie. - Chodź, *ma petite*, naciesz się swym podbojem.

Odsunęłam twarz unikając pocałunku. - Nie zostałeś zdobyty - powiedziałam.

- Nie, *ma petite*, tak jak i ty. - Przejechał ręką po moich plecach. -

Zaczynam zdawać sobie sprawę, że ty nigdy nie zostaniesz całkowicie zdobyta i to jest najwspanialszy afrodyzjak.

- Wyzwanie na zawsze - powiedziałam.

- Na całą wieczność - wyszeptał. Pozwoliłam mu się pocałować, część mnie nadal nie była pewna,

czy postąpiłam słusznie, czy też nie.

Ale na tę jedną noc miałam to gdzieś.

Rozdział 40

Obudziłam się w krwistoczerwonej pościeli, naga i sama. JeanClaude pocałował mnie na pożegnanie i poszedł do swojej trumny. Nie klóciłam się o to. Jeśli obudziłabym się obok niego, zimnego i martwego... Powiedzmy sobie, że przeżyłam już szok związany z moimi chłopakami, z jakim mogłabym sobie poradzić w tej chwili.

Chłopak. To było określenie dla kogoś kto w szkole odprowadzał cię do klasy. Nie było to odpowiednie słowo po ostatniej nocy. Leżałam, przykrywając klatkę piersiową jedwabną pościelą. Mogłam wyczuć wodę kolońską Jean-Claude'a na mnie, na pościeli, ale bardziej od tego mogłam wyczuć jego samego. Otuliłam się jego zapachem, zanurzyłam w nim. Powiedział, że mnie kocha i przez chwilę w nocy mu wierzy-

łam. W świetle dziennym nie byłam tego taka pewna. Jak głupie było wierzenie w połowie, że wampir mnie kochał? Naprawdę nie tak głupie, jak w połowie kochanie go. Ale nadal kochałam Richarda. Jedna noc cudownego seksu tego nie zmieniła. Może miałam nadzieję, że jednak zmieni. Pożądanie mogło szybko zginąć, miłość nie. Prawdziwa miłość jest dużo trudniejsza do zabicia.

Nagle rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Musiałam sięgnąć pod dwie poduszki zanim znalazłam Firestara. Trzymając go przy sobie powiedziałam, - Wejść.

Wszedł mężczyzna. Był wysoki, muskularny, z włosami ogolonymi po bokach, a z tyłu spiętymi w kucyka. Wymierzyłam do niego równocześnie otulając się szczelniej.

- Nie znam cię.

Oczy się mu rozszerzyły, głos trząśł.

- Nazywam się Ernie, jestem tu po to by zapytać, czy nie chciałabyś zjeść śniadania.

- Nie - powiedziałam. - A teraz wyjdź.

Przytaknął z oczami utkwionymi w broni. Zawahał się, nawet widząc lufę wycelowaną w siebie. Zgadywałam.

- Co ci powiedział Jean-Claude? - Zaskakujące było, jak wiele osób bardziej bało się Jean-Claude'a niż mnie. Wycelowałam w sufit.

- Powiedział, że mam być na każde twoje zawołanie, cokolwiek zechcesz. Wyraził się bardzo jasno.

- Rozumiem. Teraz wyjdź. Nadal się wahał. Miałam dość.

- Ernie, nie znam cię, a leżę w łóżku naga. Wynoś się, albo postrzelę cię dla zasady. Wymierzyłam do

niego z pistoletu dla podkreślenia dramatyzmu. Ernie uciekł, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Świetnie.

Teraz miałam wybór pomiędzy spacerem nago i zamykaniem drzwi albo owinięciem się gigantycznych rozmiarów prześcieradłem i potykając się o nie, zamknięciem drzwi. Cholera. Siedziałam na brzegu łóżka z przykrytym tylko przodem, z bronią w ręku, gdy w drzwiach zjawił się Richard.

Był ubrany w dżinsy, biały podkoszulek, kurtkę dżinsową i białe bu-ty do tenisa. Jego włosy rozlewały się dookoła twarzy jak złotobrązowe fale. Na twarzy miał ślady po pazurach, czerwone pręgi biegnące wzdłuż całej lewej strony. Wyglądały jakby zostały zrobione kilka dni wcześniej. To musiało się stać po tym jak ich opuściłam.

W jednej ręce miał mój skórzany płaszcz, w drugiej Browninga. Po prostu stał w drzwiach.

Ja siedziałam na łóżku. Żadne z nas się nie odezwało. Nie byłam ani wystarczająco zręczna ani wyrafinowana by radzić sobie w takich sytuacjach. Co się mówi chłopakowi A gdy znajduje cię nagą w łóżku chłopaka B?

Dodatkowo, gdy chłopak A zeszłej nocy zmienił się w potwora i ko-goś zjadł. Założę się, że dobre maniery Miss Manners⁹ nie uwzględnia-

ły takiej sytuacji.

- Spałaś z nim, prawda? - Jego głos był niski, prawie delikatny, jakby się bardzo starał nie krzyżeć.

Moje wnętrze wywinęły fikołka. Nie byłam gotowa na tą walkę.

Byłam uzbrojona, ale naga. W tym momencie zamieniłabym broń na ubranie.

- Powiedziałabym, że to nie tak jak myślisz, ale tak nie jest. - Moja próba zażartowania się nie powiodła. Wparował do pokoju jak zbliżają-ca się burza, ze skwierczącą falą złości rozchodzącą się przed nim. Moc rozlała się po mnie, aż miałam ochotę krzyżeć.

- Przestań mnie osaczać.

To go zatrzymało, prawie dosłownie, w połowie ruchu.

- O czym ty mówisz?

- Twoja moc, aura, rozlewa się dookoła mnie. Przestań.

- Dlaczego? Czy nie sprawia ci to przyjemności? Dopóki wczoraj nie spanikowałaś, to było miłe, nieprawdaż?

Włożyłam Firestara pod poduszkę i owinięłam się dokładniej prze-

ścieradłem.

- Ta, było miłe dopóki się na mnie nie zmieniłeś. Byłam umazana tym przezroczystym, lepkim, gęstym płynem.

Wspomnienie było wystarczająco nowe, aż się wzdrygnęłam i musiałam odwrócić wzrok.

Miss Manners - pseudonim amerykańskiej autorki Judith Martin, piszącej o dobrych manierach, etykiecie.

- Więc pieprzyłaś się z Jean-Claudem. Tak, to ma genialny sens.

Popatrzyłam na niego i poczułam rosnącą złość. Jeśli chciał wojny, to przyszedł w odpowiednie miejsce. Podniosłam do góry prawą rękę.

Była pokryta cudownym, wielokolorowym siniakiem.

- Ty to zrobiłeś żeby wybić mi z ręki broń.

- Było wystarczająco dużo zabijania, Anita, nikt inny nie musiał umierać.

- Naprawdę myślisz, że Raina pozwoli ci to po prostu przejąć? Nie ma szans. Prędzej cię zabije.

Potrząsnął głową, twarz miał upartą.

- Ja teraz jestem Ulfrickiem. Ja mam władzę. Ona zrobi co powiem.

- Nikt nie będzie rozkazywał Rainie, na pewno nie na dłuższą metę.

Czy już ci proponowała, żebyś ją przeleciał?

- Tak. - Powiedział.

Sposób, w jaki to powiedział mnie zatrzymał, przyspieszył mi oddech.

- Zrobiłeś to, po tym jak uciekłam?

- Miałabyś wolną rękę jakbym to zrobił. Nie byłam w stanie spotkać jego spojrzenia.

- Jeśli zrobisz ją lupą, odpuści sobie. Ona nie chce stracić swojej pozycji. - Zmusiłam się by popatrzeć mu w oczy.

- Nie chcę Rainy. - Coś przemknęło po jego twarzy, coś tak pierwotnego, że w oczach stanęły mi łzy.

- Chcę ciebie.

- Nie możesz mnie teraz chcieć, nie po ostatniej nocy.

- To dlatego przespałaś się z Jean-Claudem? Myślisz, że przez to będziesz miała mnie z głowy?

- Nie byłam w stanie myśleć tak jasno, - powiedziałam.

Położył płaszcz i broń na łóżku. Chwycił za jego koniec. Drewno jęknęło pod wpływem siły jego rąk. Nagle odskoczył, jakby nie chciał

tego zrobić.

- Spałaś z nim w tym łóżku. Właśnie tutaj. - Zakrył oczy ręką jakby chciał się pozbyć jakiejś

wizji.

Krzyknął.

Podeszłam o krok do niego z wyciągniętą ręką, ale się zatrzymałam.

Jak miałam go pocieszyć? Co mogłam powiedzieć żeby było lepiej?

Cholera, nic.

Szarpnął za prześcieradło, targał je dopóki nie stało się luźne. Złapał

materac i zrzucił go z łóżka. Chwycił spód łóżka i dźwignął do góry.

Krzyknęłam.

- Richard!

Łóżko było antyczne, z solidnego dębu, a on je podrzucał jakby było zabawką. Zerwał prześcieradło. Jedwab pękł z dźwiękiem odrywanej skóry. Wylądował na kolanach, a w dłoniach miał podarte resztki prze-

ścieradła. Wyciągnął do mnie ręce, a strzępy jedwabiu spadły na ziemię jak krew.

Wstał trochę niepewnie. Oparł się o łóżko i ruszył w moją stronę. Firestar i Browning były gdzieś na podłodze, w chaosie resztek czerwonego prześcieradła i porozrywanych materacy. Cofałam się do momentu aż dotarłam do kąta i nie miałam dokąd uciec. Nadal owijałam się po-

ścielą, szukając za nią osłony.

Wyciągnęłam rękę do Richarda, jakby to miało jakoś pomóc.

- Czego ode mnie chcesz, Richardzie? Co mam ci powiedzieć? Przepraszam. Przykro mi, że cię zraniłam. Przykro mi, że nie umiem sobie poradzić z tym, co widziałam wczoraj w nocy. Przepraszam.

Podkradał się do mnie, nie mówiąc nic, z dłońmi zacisniętymi w pię-

ści. Zdałam sobie sprawę, że się go bałam. Nie byłam pewna co zrobi, kiedy mnie dosięgnie, a nie byłam uzbrojona. Część mnie uważała, że zasłużyłam żeby mnie uderzył chociaż raz, że byłam mu to winna. Ale po tym co zrobił z łóżkiem, nie byłam pewna, czy bym to przeżyła.

Richard złapał przód pościeli, zacisnął na nim pięści i przyciągnął

mnie do siebie. Użył jej tak że bym musiała stanąć na palcach. Pocałował mnie. Zamarłam na sekundę. Oczekiwałam bicia, krzyków, ale nie tego. Jego usta przywarły do moich, zmuszał mnie żebym je otworzyłam.

W chwili gdy poczułam jego język, odsunęłam głowę.

Richard położył rękę z tyłu mojej głowy jakby chciał mnie zmusić do pocałunku. Wściekłość na jego twarzy była przerażająca.

- Już nie jestem wystarczająco dobry, żeby mnie całować?

- Widziałam jak zeszłej nocy zjadłeś Markusa.

Puścił mnie tak gwałtownie, że upadłam na podłogę, potykając się o pościel. Próbowałam się podnieść na kolana, ale miałam zaplątane nogi.

Przez to materiał zsunął się z jednej piersi. Walczyłam, by się zakryć.

- Dwie noce temu pozwoliłaś mi je dotykać, ssać je. Teraz nawet nie mogę ich zobaczyć.

- Nie rób tego, Richardzie.

Klęknął przede mną i przez to byliśmy na podobnym poziomie.

- Nie robić czego? Mam nie być zły, że pozwoliłaś wampirowi, żeby cię przeleciał? - Podczołgał się dopóki nasze twarze prawie się dotknęły.

- Zeszłej nocy zerznął cię trup, Anito. Dobrze było?

Gapiłam się na niego z odległości kilku cali, niezażenowana. Zamiast tego ogarniała mnie wściekłość.

- Ta, było dobrze.

Odskoczył ode mnie jakbym go uderzyła. Twarz miał wykrzywioną, szalonym wzrokiem przeszukał pokój.

- Kocham cię. - Nagle spojrzał do góry szerokimi i wypełnionymi strachem oczami. - Kocham

cię.

Miałam oczy szeroko otwarte, żeby łzy nie mogły spaść i popłynąć po policzkach.

- Wiem i przepraszam.

Nadal na kolanach odwrócił się ode mnie. Uderzył rękami o ziemię.

Walił nimi o podłogę dopóki krew pojawiła się na białym dywanie.

Wstałam. Pochyliłam się nad nim, bo bałam się go dotknąć.

- Richard, Richard, przestań, proszę przestań. - Łzy popłynęły i nie mogłam nic na to poradzić. Uklękałam koło niego.

- Ranisz się. Przestań. - Złapałam go za nadgarstki, trzymałam jego krwawiące ręce w swoich. Patrzył na mnie wzrokiem surowym, ludzkim. Dotknęłam jego twarzy, delikatnie badając rany po pazurach. Pochylił się do mnie, łzy mu spływały po policzkach. Jego spojrzenie mnie unieruchomiło. Delikatnie musnął moje usta swoimi, nie cofnęłam się, ale też go nie pocałowałam.

Odsunął się ode mnie na tyle by zobaczyć moją twarz.

- Żegnaj Anito. - Wstał.

Chciałam tak dużo powiedzieć, ale nic by to nie pomogło. Nic by te-go nie naprawiło. Nic by nie wymazało tego, co widziałam wczoraj w nocy, albo jak się przez to czułam.

- Richard... ja... przepraszam.

- Ja także. - Ruszył w stronę drzwi. Zawahał się z ręką na klamce. -

Zawsze będę cię kochał. Otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie zostało nic innego do powiedzenia poza .

- Kocham cię, Richardzie, i jest mi tak przykro, że nie wiem jak to powiedzieć.

Otworzył drzwi i wyszedł bez oglądania się za siebie. Gdy drzwi się za nim zamknęły, usiadłam na podłodze otulona w jedwabną pościel.

Mogłam na niej wyczuć wodę kolońską Jean-Claude'a, ale mogłam teraz również poczuć Richarda. Jego woda po goleniu przywarła do po-

ścieli, do moich ust.

Jak mogłam pozwolić mu tak odejść? Jak miałam go zawołać z powrotem? Siedziałam na podłodze i nie zrobiłam nic, bo nie wiedziałam co mogłabym zrobić.

Rozdział 41

Zadzwoiłam do Edwarda i zostawiłam wiadomość na jego automatycznej sekretarce. Nie mogłam tu zostać. Nie mogłam stać i pa trze ć się na zrujnowaną sypialnię, gdyż przypominała mi zranionego Richarda. Musiałam stąd uciec. Musiałam zadzwonić do Dominica i powiedzieć mu, że się nie zjawię. Moc triumwiratu nie działa bez obecności co najmniej dwójki z nas. Jean-Claude był w trumnie, a obecność Richarda nie wchodziła w grę. Nie wiedziałam co się teraz stanie z naszym cudownym triumwiratem. Nie mogłam wyobrazić sobie Richarda stojącego i przyglądającego się jak zabawiam się z Jean-Claudem, jeśli nie robiłabym tego samego z nim. Nie mogłam go za to winić.

Co dziwne, sama myśl o nim śpiącym z Rainą napawała mnie obrzydzeniem. Nie miałam prawa być o niego zazdrosna, a mimo to byłam.

Kto by pomyślał.

Ubrałam się w czarne džinsy, czarną bluzkę z krótkim rękawem i czarny żakiet. Miałam dziś pracować, Bert jak zwykle będzie miał zastrzeżenia, co do mojego stroju. Twierdził, że psuję image firmy. Pieprzyć go. Dziś czerń pasowała do mnie idealnie.

Miałam Browninga w kaburze naramiennej, Firestara przy pasie, po nożu na każdym przedramieniu oraz nóż na plecach. Byłam gotowa do pracy.

Miałam zamiar dać Edwardowi jeszcze dziesięć minut, a potem zni-kam. Jeśli nadal czai się na mnie jakiś zabójca z chęcią go powitam.

Ktoś zapukał w drzwi. Spojrzałam na nie. - Kto tam?

- Cassandra.

- Wejdz.

Otworzyła drzwi. Zauważyła jedną z części rozwalonego łóżka i uśmiechnęła się. - Słyszałam plotki o dzikim seksie, ale to jest komicz-ne. - Miała na sobie długą białą sukienkę niemal sięgającą kostek. Do-pełnieniem stroju były białe pończochy i białe płócienne balerinki. Wy-glądała lekko i pogodnie z długimi włosami opadającymi wzdłuż jej pleców.

Pokręciłam głową. - Richard to zrobił.

- Uśmiech znikł z jej twarzy. - Zastał cię z Jean-Claudem?

- Czy już wszyscy wiedzą? - Zapytałam się.

- Nie. - Weszła do pokoju zamykając za sobą drzwi. Pokręciła głową.

- Zranił cię?

- Nie uderzył mnie, jeśli to masz na myśli, ale czuję się okropnie. Cassandra podeszła do łóżka

patrząc się na nie. Złapała za róg ramy łóżka, podniosła ją jedną ręką i podtrzymała drugą. Poderwała z ziemi kilkaset funtów drewna i stali jakby były niczym, poczym postawiła delikatnie łóżko na dywanie.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdumienia. - To było niesamowite.

Uśmiechnęła się nieśmiało. - Jednym ze skutków ubocznych bycia lykanotropem jest to, że można podnieść praktycznie wszystko.

- Nie widzę w tym nic złego, wręcz przeciwnie, same plusy.

- Wiedziałam, że to powiesz. - Odparła. Zaczęła podnosić poduszki i porwane prześcieradła. Dołączyłam do niej. - Powinnyśmy w pierwszej kolejności położyć materac. - Powiedziała.

- W porządku. Potrzebujesz pomocy?

- Zaśmiała się. - Mogę go podnieść, ale to będzie niezdarne.

- Na pewno. - Złapałam z drugiej strony materaca. Cassandra podeszła do mnie. Podniosła materac jedną ręką. Spojrzałam jej w twarz. -

Przepraszam.

- Mam na myśli to, co powiedziałam wcześniej o tobie i Richardzie.

Chcę by był szczęśliwy. -Powiedziałam

- To bardzo miłe z twojej strony. Lubię cię Anita, bardzo cię lubię. A wolałbym nie. Zdażyłam tylko skrzywić twarz ze złości, wtedy rozmyta smuga pojawiła się znikąd i jej delikatna pięść uderzyła mnie w twarz.

Poczułam jak upadam plecami na podłogę. Nie mogłam ochronić głowy przed uderzeniem o dywan. Nie bolało. Nie czułam nic kiedy ogarniała mnie ciemność.

Rozdział 42

Powoli wynurzałam się z ciemności. Nie byłam pewna, co mnie obudziło. Nie pamiętam żebym zasnęła. Spróbowałam przetoczyć się na bok, ale nie byłam w stanie. Nagle rozbudziłam się całkowicie. Miałam oczy szeroko otwarte, ciało napięte. Kiedyś już byłam związana. To jedna z najmniej lubianych przeze mnie rzeczy. Przez kilka chwil ogarniała mnie czysta panika. Szarpałam się z linami przywiązanymi do moich nadgarstków i kostek. Walczyłam ciągnąc, aż zdałam sobie sprawę, że na skutek moich wysiłków więzy zacieśniają się.

Zmusiłam się do bezruchu. Serce dudniło mi w uszach tak głośno, że nie słyszałam nic innego. Nadgarstki miałam związane nad głową pod kątem na tyle ostrym, aby moje łopatki były ściśnięte. Napięcie przenosiło się na całej długości rąk aż po nadgarstki. Nawet niewielkie uniesienie głowy, aby zobaczyć nogi, było bolesne. Moje kostki przywiązano razem do nieznanego mi łóżka.

Odchyliłam głowę do tyłu i zobaczy-

łam liny, którymi skrupowano mi ręce i przywiązano je do wezglowia łóżka. Liny były czarne i miękkie. Jeśli miałabym zgadywać, powiedziałabym, że wykonano je z jedwabiu. Wyglądały jak coś, co mogłabym znaleźć w szafie Jean-Claude'a. Zastanawiałam się nad tym przez krótką chwilę, a potem rzeczywistość wkroczyła do pokoju i moje serce zatrzymało się na sekundę.

Gabriel podszedł do nóg łóżka. Miał na sobie czarne skórzane spodnie, które niczym druga skóra, idealnie przylegały do jego nóg, oraz czarne sięgające ud buty zakończone w górnej części paskami przytrzymującymi miękką materię w miejscu. Od talii w górę był nagi.

W lewym sutku znajdował się jeden srebrny, okrągły kolczyk. Drugi przebijał pępek. Więcej kolczyków znajdowało się w uszach. Błyszczą-

ły, gdy zbliżał się do łóżka. Jego długie, gęste, czarne włosy opadały na twarz, tworząc obramowanie dla bladych, szarych niczym burza oczu.

Przemieścił się za wezglowie poza zasięg mojego wzroku. Potem znowu pojawił się w polu widzenia.

Moje serce zaczęło znowu bić. Uderzało tak mocno, że mogłabym udławić się pulsem. Zabrali mi Browninga, Firestara, olstra i wszystko inne. Pochwy na nadgarstki znikły. Napięłam mięśnie pleców. Z tyłu nadal wyczuwałam ostrze. Gdy na powrót opuściłam głowę nie mogłam wyczuć rękojeści. No cóż. Dobrze, że mnie nie rozebrali i pozostała mi jedna broń. Sposób, w jaki Gabriel okrążał łóżko wyraźnie sugerował, że do tego dojdziemy.

Spróbowałam przemówić, jednak nie byłam w stanie. Przełknęłam i spróbowałam jeszcze raz.

- Co jest grane? - Mój głos nawet dla mnie zabrzmiał zadziwiająco spokojnie.

Wysoki i bogaty kobiecy śmiech wypełnił pokój. Ale oczywiście to nie był pokój. Znajdowaliśmy się na farmie, gdzie kręcili sprośne filmy.

Pokój, w którym leżałam związana, miał tylko trzy ściany. Światła nade mną nie paliły się. Jeszcze nie zostały włączone.

Raina weszła w pole widzenia w wysokich, cienkich, krwisto czerwonych szpilkach. Miała na sobie również coś wyglądającego jak czerwone, skórzane body. Jej długie nogi i biodra były w większości nagie.

- Cześć Anito, dobrze wyglądasz.

Wzięłam głęboki wdech przez nos i wypuściłam powietrze. Bicie mojego serca powoli zwalniało. Dobrze.

- Zanim zrobisz coś drastycznego powinnaś pogadać z Richardem.

Dziś właśnie zwolniła się pozycja lupy.

Zmieszana przechyliła głowę na bok. - Co ty wygadujesz?

- Przespała się z Jean-Claudem. - Cassandra stanęła plecami do ściany na skraju sztucznego pokoju. Wyglądała jak zawsze. Jeżeli czuła się niezręcznie zdradzając mnie, nie było tego po niej widać. Nienawidzi-

łam jej za to.

- Nie będziesz sypiać z nimi dwoma? - Spytała Raina.

- Nie mam tego w planach - powiedziałam. Za każdym razem, gdy odzywałam się, nikt mnie nie dotykał. Uspokajałam się. Jeśli Raina zrobiła to, aby się mnie pozbyć, nie musi posuwać się ani o krok dalej.

Jeśli to zemsta, za Marcusa, to jestem po uszy w szambie.

Raina usiadła w nogach łóżka. Spięłam się, gdy to zrobiła; nie mogłam nic na to poradzić. Zauważyła moją reakcję i roześmiała się.

- Ojej, to będzie świetna zabawa.

- Możesz być samicą alfa. Nie chcę tego stanowiska - powiedziałam Raina westchnęła. Przeciągnęła ręką po mojej nodze masując mię-

śnie w górnej partii ud nieomal bezmyślnie, tak jakbyś głaskał psa.

- Richard mnie nie chce, Anito. Myśli, że jestem zepsuta. Pragnie ciebie. - Zwiększała nacisk na moje udo, aż myślałam, że wyrosną jej pazury i wyrwie mi mięśnie. Nim przestała, wyrwał mi się niewielki odgłos.

- Czego chcesz?

- Twego cierpienia. - Uśmiechnęła się wypowiadając te słowa. Obróciłam głowę ku Cassandrze. Ktoś normalny musi znajdować się w tym pokoju.

- Czemu im pomagasz?

- Jestem wilkiem Sabina. Moje oczy zwęziły się. - Co ty wygadujesz?

Raina wdrapała się na łóżko kładąc się obok, przyciskając swe ciało do mojego. Jednym palcem rysowała wymyślone linie na moim brzuchu. To był bezwiedny gest, jakby robiła to bezmyślnie. Nie chciałam tu być, kiedy się skoncentruje.

- Cassandra była podstawiona od początku. Czyż nie, kochaniutka?

Cassandra skinęła głową podchodząc do łóżka. Jej piwne oczy były spokojne, zbyt spokojne. Cokolwiek czuła, było skryte za tą ładną, starannie kontrolowaną twarzą. Pytanie brzmiało, czy za tą fasadą kryje się cokolwiek, co może mi pomóc.

- Dominic, Sabin i ja tworzymy triumwirat. Byliśmy tym, czym ty, Jean-Claude i Richard mogliście się stać.

Nie podobał mi się czas przeszły. - To ty jesteś kobietą, dla której porzucił świeżą krew?

- Wierzę w świętość życia. Myślałam, że cenię to ponad wszystko.

Przyglądanie się, jak złote piękno Sabina gnije przekonało mnie, że jest inaczej. Zrobię wszystko, wszystko, aby pomóc mu dojść do siebie. - W

jej oczach pojawiło się coś przypominającego ból i odwróciła wzrok.

Kiedy powtórnie na mnie spojrzała, jej twarz była na siłę bez wyrazu, jednak zdradzało ją drżenie dłoni. Zauważyła to i skrzyżowała ręce na piersi. Uśmiechnęła się, ale to nie był radosny uśmiech. - Muszę to naprawić, Anito. Przykro mi, że ty i twoje zostaliście wplątani w nasze problemy.

- Co ja mam z tym wspólnego?

Raina przesunęła ręką po moim brzuchu, przysuwając swą twarz bliżej do mojej.

- Dominic ma zaklęcie, które wyleczy Sabina z gnilnej choroby.

Przelanie istoty magicznej, można by rzec. Tym, czego potrzebował był

odpowiedni dawca. - Nachyliła się tak blisko, że tylko przekręceniem głowy uniknęłam zetknięcia naszych ust. Wyszepiała tuż nad moją skórą - Idealny dawca. - Poczułam na skórze ciepły oddech. - Wampir, który ma moce dokładnie takie jak Sabin. Idealne dopasowanie. Do tego sługa, albo wilkołak alfa, albo nekromanta, połączony więzią z wampirem.

Obróciłam się i spojrzałam na nią. Nie mogłam się powstrzymać.

Pocałowała mnie przyciskając swe wargi do moich, próbując wepchnąć we mnie język. Ugryzłam jej wargę na tyle mocno, że poczułam smak krwi.

Szarpnęła głową do tyłu wydając przerażony okrzyk. Zakryła dłonią usta i patrzyła na mnie.

- Słono mi za to zapłacisz.

Splunęłam na nią jej własną krwią. Gabriel wszedł na łóżko. Przysunął się do mnie, tak jak to zrobiła Raina, z tym, że po drugiej stronie.

Był wyższy. Miał ponad 180 cm. wzrostu, więc nie pasował tak dobrze, ale czego brakło mu w dopasowaniu rozmiaru nadrabiał techniką.

Usiadł na mnie okrakiem i nachylił się w czymś na kształt pompki, przysuwając usta do moich, bliżej i bliżej. Polizał moją okrwawioną brodę jednym szybkim ruchem języka. Szarpnęłam głową, aby się odsunąć.

Chwycił moją brodę jedną dłonią zmuszając abym na niego spojrze-

ła. Trzymał mnie niczym imadło. Szamotałam się. Gdyby ścisnął palce mógłby zmiażdżyć moją szczękę. Zlizał krew z mojej brody i ust wolnymi, pełnymi ociągania ruchami.

Krzyknęłam, a potem przeklełam siebie w myślach. Tego właśnie chciał. Panika mi nie pomoże. Powtarzałam to w kółko, aż przestałam ciągnąć liny. Nie stracę opanowania, jeszcze nie, jeszcze nie.

Cassandra weszła na łóżko. Widziałam jej białą sukienkę tylko kątem oka. Gabriel nadal mnie unieruchamiał.

- Puść jej twarz, żeby mogła na mnie spojrzeć. Gabriel rzucił na nią okiem i syknął.

Niskie, dudniące warczenie dobyło się z jej ust. - Dziś jestem w bo-jowym nastroju, koteczku, nie prowokuj mnie.

- Czy nie oczekują cię na miejscu ceremonii? - Powiedział Raina. -

Czy nie jesteś potrzebna Dominikowi, aby to mogło się udać?

Cassandra cofnęła się. Głos, którym przemówiła był niski i z trudem wychodził z jej ludzkich ust. - Porozmawiam z Anitą zanim pójdę, albo nie pójdę wcale.

Raina stanęła po przeciwnej stronie łóżka. - Nigdy nie znajdziesz następnego mistrza wampirów, który pasowałby twojemu panu tak idealnie jak Jean-Claude. Nigdy. Zaprzepaściłabyś jego jedyną szansę na wyleczenie.

- W tej jednej kwestii zrobię to, co uważam za słuszne, Raino, ponieważ jestem wilkiem alfa. Kiedy Richarda zabraknie to ja będę przywódcą stada. Nie zapominaj o tym

- Tego nie było w naszej umowie.

- Nasza umowa zakładała, że pozbędziesz się Egzekutorki zanim przybędziemy do miasta. Zawiodłaś.

- Marcus zatrudnił najlepszych. Kto mógł wiedzieć, że tak ciężko ją zabić?

- Ja. Już przy pierwszym spotkaniu. Zawsze lekceważysz inne kobiety, Raino; to jedna z twoich słabości. - Cassandra pochyliła się w stronę Rainy. - Próbowalaś zabić Richarda zanim Dominik mógł użyć go do rzucenia czaru.

- Zamierzał zabić Marcusa. Cassandra pokręciła głową.

- Wpadliście w panikę, Raino. Ty i Marcus. Teraz Marcus nie żyje, a ty nie jesteś w stanie kontrolować stada. Zbyt wielu z nich cię nienawidzi. Oraz zbyt wielu kocha Richarda lub przynajmniej go podziwia.

Chciałam zapytać gdzie znajdują się Richard i Jean-Claude, ale ba-

łam się, że wiem. Ceremonia, ofiara, ale potrzebowali Cassandry, aby to zadziało. Nie chciałam żeby do nich popędziła.

- Byłaś alibi Dominica - powiedziałam. - Nie żebym narzekała, ale czemu nadal żyję? Cassandra spojrzała na mnie. - Gabriel i Raina chcą cię mieć na taśmie. Gdybyś dała mi słowo, że nie będziesz poszukiwać zemsty za śmierć twoich mężczyzn, to podjęłabym walkę, aby cię uwolnić.

- Zaczęłam otwierać usta, aby złożyć obietnicę.

Pokiwała palcem przed moją twarzą. - Żadnych kłamstw Anito, nie między nami.

- Na to już za późno - odparłam.

Cassandra skinęła głową. - Prawda. Napętnia mnie to żalem. W innych okolicznościach, mogłybyśmy zostać przyjaciółkami.

- No. - Naturalnie, to spotęgowało mój ból. Nic nie jest tak podobne do wcierania soli w rany jak zdrada. Richard i ja w tej chwili prawdopodobnie mogliśmy porównać notatki.

- Gdzie są Richard i Jean-Claude?

Wpatrywała się we mnie. - Nawet teraz myślisz, że możesz ich ocalić, prawda? Wzruszyłam ramionami, ale nie byłam w stanie. -

Przemknęła mi taka myśl.

- Byłaś wabikiem i zakładnikiem dla dwóch mężczyzn - powiedziała Cassandra.

Gabriel ułożył się na mnie. Nasze ciała były dociśnięte. Ważył sporo. Nigdy nie zauważasz jak dużo waży mężczyzna, kiedy dobrze się razem bawicie. Brodę oparł na swoich rękach i wpatrywał się we mnie, jakby wiedział, że ma cały dzień, całą noc, cały czas w świetle.

- Jestem bardzo zaskoczona, że zerwałaś dziś z Richardem, Anito, -

powiedziała Raina. - Wysłaliśmy mu pukiel twoich włosów z wiadomo-

ścią, że następnie przysłemy mu głowę. Przyszedł sam nic nikomu nie mówiąc, tak jak kazaliśmy. Jest naprawdę głupcem.

To byłoby w stylu Richarda, ale i tak mnie zaskoczyło. - Nie przekonałaś Jean-Claude'a, aby się poddał puklem moich włosów.

Raina przesunęła się, żebym mogła ją lepiej widzieć i uśmiechnęła się. Jej warga już zaczęła się goić. - Masz całkowitą rację. Nawet nie próbowaliśmy. Jean-Claude wiedziałby, że i tak cię zabijemy. Przybyłby ze swoimi wszystkimi wampirami i wszystkimi lojalnymi wilkami.

To byłaby rzeź.

- Więc jak go dopadliście?

- Cassandra go zdradziła. Czyż nie, Cassandro?

Cassandra tylko na nas spojrzała. - Gdyby Richard z tobą nie zerwał

mogłabyś być w stanie wyleczyć Sabina. Na początku szukanie twojej pomocy było tylko wymówką, aby wejść na terytorium Jean-Claude'a, ale posiadasz większą moc niż wydawało się na początku Dominicowi.

To, że nie masz nałożonych żadnych znaków, zaskoczyło nas. Miałaś być częścią ofiary, ale bez ostatniego znaku to nie zadziała.

Hura dla mnie. - Widziałaś jak lecę ranę Damiana i zombie. Mogę pomóc Sabinowi. Wiesz, że mogę. Widziałaś na własne oczy.

Pokręciła głową. - Choroba zaatakowała organy wewnętrzne. Jego mózg zaczął gnić. Gdybyś wyleczyła go dziś, można by o tym dyskutować. Ale żeby czar zadziałał, musi być zdrowy na umyśle. Jutro może być już za późno.

- Jeśli zabijesz Richarda i Jean-Claude'a mogę nie mieć wystarczają-coj mocy, aby uleczyć Sabina. Jeśli Dominic przybył planując poświęcić naszą trójkę, to czar, aby zadziałał, musi wymagać trzech osób.

Coś przemknęło po jej twarzy. Miałam rację. - Dominic nie jest pewien, czy to się uda bez ludzkiego sługi, prawda?

Cassandra potrząsnęła głową. - To musi nastąpić dziś w nocy.

- Jeśli zabijesz ich obu i to nie uleczy Sabina, to zmarnowałaś jedyną realną szansę, jaką miał. Nasz triumwirat może go wyleczyć. Wiesz, że może.

- Nie mam pewności w tej kwestii. Obiecałabyś mi sam księżyc, jeśli sądziłabyś, że to może was wszystkich ocalić.

- To prawda. Ale nadal uważam, że mogę mu pomóc. Jeśli zabijesz Richarda i Jean-Claude'a szansa na to przepadnie. Pozwól nam przynajmniej spróbować. Jeśli to nie zadziała, możesz nas poświęcić jutro.

Pozwolę, aby Jean-Claude nałożył mi pierwszy znak. Albo uleczy mi Sabina jutro albo stanę się idealną ofiarą dla zaklęcia Dominica. -

Bardzo chciałam, żeby mnie posłuchała. Żeby mi uwierzyła.

- Czy jutrzejszej nocy Sabin będzie w stanie przeczytać swoją część zaklęcia? - Spytała Raina. Przynęła się bardzo blisko Cassandry. -

Gdy jego mózg zgnije, nie pozostanie wam nic, jak tylko zamknąć go w skrzyni obłożonej krzyżami. Ukryć go przed światem.

Dłonie Cassandry zacisnęły się w pięści. Silne drżenie przeszło przez jej ciało. Czysty lęk malował się na twarzy.

Raina obróciła się do mnie prawie towarzysko. - Widzisz, Sabin nie umrze. Będzie się rozpuszczał, aż pozostanie z niego mała kałuża szła-mu. Ale nie umrze. Prawda, Cassandro?

- Nie - prawie krzyknęła Cassandra. - Nie, nie umrze. Po prostu zwa-riuje. Nadal będzie posiadał moc triumwiratu, ale będzie szalony. Będziemy musieli zamknąć go i modlić się, że zaklęcie Dominica utrzyma jego moce pod kontrolą. Jeśli nie będziemy w stanie go opanować, rada zmusi nas, aby spalić go żywcem. Tylko to stanowiłoby pewną śmierć.

- Ale, jeśli tak postąpisz - powiedziała Raina - zginiecie również ty i Dominic. Te wszystkie wampirze znaki pociągną was za nim do piekła

- Tak - powiedziała Cassandra - tak. - Wpatrywała się we mnie. Jej twarz wyrażała gniew i bezsilność.

- Niby powinno mi być ciebie żal? - Spytałam.

- Nie, Anito, powinnaś po prostu umrzeć - powiedziała.

Z trudem przełknęłam ślinę i starałam się wymyślić coś mądrego. Z

Gabrielem leżącym na mnie było to trudne, ale jeśli nie wpadnę na jakiś pomysł, to już po nas.

Cassandra przestraszyła się, jak gdyby ktoś jej dotknął. Uklucie energii przebiegło moje ciało wywołując gęsią skórę. Gabriel przeciągnął opuszkami palców po skórze moich rąk, sprawiając, że gęsia skórka utrzymała się trochę dłużej.

- Muszę już iść - powiedziała Cassandra. - Nim noc się skończy, być może uznasz, że wolałabyś zostać poświęconą w ofierze. - Spojrzała na Gabriela, potem na Rainę. -Poderżnięcie gardła byłoby szybsze.

Zgodziłam się z nią, ale nie byłam pewna, co powiedzieć. Rozmawialiśmy na temat wariantów odebrania mi życia. Żaden wybór nie wydawał się szczególnie atrakcyjny. Cassandra spojrzała na mnie. - Przykro mi.

- Jeśli naprawdę ci przykro - powiedziałam - odwiąż mnie i daj broń.

Uśmiechnęła się tęsknie. - Sabin rozkazał mi tego nie robić.

- Zawsze postępujesz jak ci każą? - Zapytałam.

- W tym jednym przypadku, tak. Gdyby piękno Jean-Claude'a gniło na twoich oczach zrobiłabyś wszystko, aby mu pomóc.

- Kogo starasz się przekonać, siebie czy mnie?

Zachwiała się lekko. Poczułam falę mocy wytaczającą się z jej ciała i spływającą po moim. Gabriel polizał moją rękę.

- Muszę iść. Krąg wkrótce zostanie zamknięty. - Spojrzała na mnie i Gabriela liżącego mnie. - Naprawdę mi przykro, Anito.

- Jeśli szukasz przebaczenia, pomódl się. Bóg może ci wybaczyć. Ja nie. Cassandra patrzyła na mnie przez kolejną chwilę.

- Niech i tak będzie. Do widzenia, Anito. - Wybiegła. Widać było tylko białą smugę.

- Dobrze - powiedziała Raina - teraz możemy ustawić światła i wykonać kilka próbnych ujęć. - Lampy zapłonęły oślepiającą jasnością.

Zamknęłam oczy przed oślepiającym światłem. Gabriel przesunął

moje ciało i otworzyłam oczy.

- Zamierzaliśmy rozebrać cię do naga i przywiązać rozkraczoną, ale Cassandra nam nie pozwoliła. Jednak teraz jest zbyt zajęta zaklęciem.

Objął dłońmi moją głowę, przyciskając trochę włosów.

- Umalowaliśmy cię, kiedy byłaś nieprzytomna. Możemy uczynić malowanie ciała częścią widowiska. Co o tym sądzisz?

Starałam się wymyślić coś pożytecznego. Cokolwiek. Nic mi nie przychodziło do głowy. Nachylił się nade mną przybliżając twarz bardziej i bardziej. Otworzył usta na tyle szeroko, aby pokazać kły. Nie wampirze, ale małe leopardzie kły. Richard opowiedział mi kiedyś, że Gabriel spędzał za dużo czasu w zwierzęcej formie i już nie może całkowicie przemienić się w człowieka. Świetnie.

Pocałował mnie lekko. Potem mocniej wpychając mi język do ust.

Wycofał się. - Ugryź mnie. - Pocałował mnie. Potem odsunął wargi na tyle, aby wyszeptać - Ugryź mnie.

Ból podniecał Gabriela. Nie chciałam go bardziej podniecić, ale z je-go językiem w połowie gardła, ciężko było nie dać mu tego, o co prosił.

Przejechał ręką po moich piersiach, ściskając na tyle mocno, abym sapnęła. - Ugryź mnie i przestanę.

Ugryzłam jego wargę. Wgryzałam się, aż się cofnął. Kawałek ciała nadal był rozciągnięty między nami. Krew przelewała się z jego ust do moich. Puściłam i oplułam go krwią. Był na tyle, blisko, że rozbryzgnę-

ła się jak czerwony deszcz.

Roześmiał się wycierając palcami okrwawioną wargę i wkładając je do ust ssąc znajdującą się na nich ciecz.

- Czy wiesz jak zostałem leopardołakiem? - Zapytał. Spojrzałam na niego.

Spoliczkował mnie lekko, niedbale. Gwiazdy eksplodowały mi przed oczami.

- Odpowiedz mi, Anito.

Kiedy mogłam się skupić, zapytałam - Jak brzmiało pytanie?

- Czy wiesz, jak zostałem leopardołakiem?

Nie chciałam grać w tę grę. Nie chciałam brać udziału w tym, co Gabriel uważał za rozmowy do poduszki, ale też nie chciałam, aby znowu mnie uderzył. Byłabym w gorszym stanie niż teraz. Ciężko w to uwierzyć, ale taka jest prawda.

- Nie - odpowiedziałam.

- Zawsze lubiłem ból, nawet jako człowiek. Spotkałem Elizabeth.

Była leopardołakiem. Pieprzyliśmy się, ale chciałem, żeby zmieniła postać, kiedy to robimy. Powiedziała, że boi się, że mnie zabije. - Nachylił się nade mną. Krew kapłała z jego wargi powoli, dużymi kroplami.

Zamrugłam odwracając twarz, starając się zapobiec dostaniu się jej do oczu.

- Prawie umarłem.

Całkowicie odwróciłam głowę. Jego krew skapywała na bok mojej twarzy. - Czy seks był tego wart?

Nachylił się nade mną i zaczął zlizywać krew. - Najlepszy seks w moim życiu. Krzyk zaczął narastać mi w gardle. Połknęłam go. Bolało, gdy schodził w dół. Musi być wyjście z tej sytuacji. Musi być.

Męski głos powiedział, - Połóż się na niej, tak jak ma być podczas nagrania i sprawdźmy światło.

Zdałam sobie sprawę, że znajduje się tu ekipa. Reżyser, kamerzysta, tuzin ludzi biegnących dookoła. Nikt mi nie pomagał.

Gabriel wyciągnął nóż ze swoich wysokich, czarnych butów. Rękojeść była czarna, ale ostrze lśniło wysokiej jakości srebrem. Obserwowałam ten nóż. Nie mogłam się powstrzymać. Wcześniej się bałam, ale nie aż tak. Strach płonął z tyłu mojego gardła, grożąc przekształceniem się w krzyki. To nie widok ostrza mnie przeraził. Chwilę temu zrobiłabym wszystko, aby przeciął liny. Teraz dałabym wszystko, aby ich nie przecinał.

Gabriel położył rękę na moim brzuchu i wsunął jedno kolano między moje nogi. Nie miał zbyt dużego pola manewru. Byłam za to wdzięczna. Przekreślił tułów i sięgnął w dół nożem. Wiedziałam, co zamierza zanim poczułam luz w kostkach. Uwolnił moje stopy i nieomalże równocześnie opadł swoją dolną połową ciała na moją. Nie miałam żadnego czasu na szarpaninę, żadnego czasu, aby wykorzystać okazję. Już kiedyś to robił.

Wpadłam na bardzo dziwny pomysł. - Jesteś za wysoki - powiedziałam.

Gabriel musiał trochę się unieść, żeby spojrzeć z góry na moją twarz.

- Co?

- Kamera nigdy nie złapie nic poza twoimi plecami. Jesteś za wysoki.

Przeczółgał się do tyłu unosząc odrobinę w pozycji podobnej do robienia pompki. Wyglądał na zamyślnego. Obrócił się w drugą stronę nie schodząc ze mnie. - Frank, czy ją w ogóle widać?

- Nie.

- Cholera - powiedział Gabriel. Spojrzał na mnie, potem się uśmiechnął. - Nigdzie nie odchodź. Zaraz wracam. - Zsunął się ze mnie.

Teraz, gdy moje stopy były wolne, mogłam usiąść. Ręce nadal znajdowały się nad moją głową, ale przysunęłam się do wezgowia. To była poprawa sytuacji.

Gabriel, Raina i dwóch mężczyzn w niechlujnych strojach rozmawiało w zwartej grupie. Udało mi się posłyszeć strzępki rozmowy.

- Może, jeśli zwiesimy ją z sufitu?

- Musielibyśmy zmienić pokój.

Zyskałam trochę czasu, ale po co? W pobliżu pokoju znajdował się długi stół. W idealnym rzędku leżała na nim moja broń, niczym rekwi-zyty. Znajdowało się tam wszystko, czego potrzebowałam. Ale jak się tam dostać? Raina nie poda mi noża, abym mogła się uwolnić. Nie. Raina tego nie zrobi, ale Gabriel być może.

Podszedł do łóżka, poruszając się, jakby miał więcej mięśni. Więcej czegoś od zwykłego człowieka. Ruszał się jak kot, jeśli jakiś kot umiałby chodzić na dwóch nogach.

Przyklęknął na łóżku i zaczął rozwiązywać linę przy wezłowie, ale nadgarstki pozostawił związane.

- Czemu nie przecinasz liny? - Spytałam.

- Frank wkurzył się, że przeciąłem pierwszą. To prawdziwy jedwab.

Jest bardzo drogi. -Dobrze wiedzieć, że Frank jest odpowiedzialny w kwestii finansów.

Gabriel złapał moją twarz zmuszając, abym na niego spojrzała. -

Zmienimy pokój i przywiążemy cię na stojąco. Będę cię pieprzył, aż dojdiesz. Następnie przemienię się będąc nadal w tobie i rozerwę cię.

Może przeżyjesz tak jak ja.

Przełknęłam i powiedziałam bardzo ostrożnie. - Czy to naprawdę ucieleśnienie twoich fantazji, Gabrielu?

- Tak.

- Ale nie twoich najlepszych fantazji - powiedziałam.

- Co?

- Gwałcenie mnie, gdy jestem bezbronna, nie jest twoją wizją ekscytującego seksu. Wyszczерzył w uśmiechu kły. - Och, owszem jest.

Nie panikuj. Nie panikuj. Nie panikuj. Pochyliłam się w jego stronę.

Puścił moją twarz, abym mogła to zrobić, ale mocno podciągnął linę, upewniając się, że ręce pozostaną w zasięgu jego wzroku. Z całą pewnością już kiedyś to robił.

Zmusiłam się, aby oprzeć się o jego nagą klatkę piersiową. Moje związane ręce były dociśnięte do jego skóry. Przybliżyłam twarz do jego twarzy i wyszeptałam, - Nie chciałbyś, aby znajdowało się w tobie ostrze, kiedy to robisz? - Dotknęłam srebrnego kolczyka w sutku. Ciągnęłam za niego, aż mocno odciągnęłam skórę, a on sapnął.

- Nie chciałbyś poczuć we własnym ciele palącego srebra, gdy wbi-jasz się we mnie? -Podniosłam się na kolana, aby nasze twarze znalazły się bliżej. - Nie chciałbyś wiedzieć, że usiłuję cię zabić, kiedy mnie pierdolisz? Twoja krew zalewająca moje ciało, podczas gdy ty mnie pieprzysz, czy nie to jest twoją fantazją? - Ostatnie słowa wyszeptałam w jego usta.

Gabriel stał się bardzo, bardzo nieruchomy. Mogłam dostrzec dudniący puls na jego gardle. Serce biło szybko i mocno pod moimi dłońmi. Wyrwałam kolczyk z sutka, a Gabriel wydał cichy jęk. Krew

spływała po jego klatce piersiowej. Uniosłam kolczyk. Puścił linę, abym mogła poruszać dłońmi. Uniosłam okrwawioną obręcz między nasze usta, prawie jakbyśmy mieli ją oboje pocałować.

- Masz tylko jedną szansę, aby mnie pierdolić, Gabrielu. W taki czy inny sposób Raina upewni się, że nie przeżyję nocy. Nigdy nie będziesz miał kolejnej okazji.

Czubek jego języka zawinął się i uchwycił kolczyk zlizując go z moich palców. Poobracał go w ustach i oddał czysty z powrotem. Trzymał

go dla mnie na czubku języka. Wzięłam kolczyk i objęłam palcami.

- Chcesz tylko, abym dał ci nóż - powiedział.

- Chcę wbić w ciebie srebrne ostrze tak głęboko, aż rękojeść posinia-czy ciało. Zadrzał. Jego oddech uszedł w cichym westchnieniu.

- Nigdy nie znajdziesz kogoś takiego jak ja, Gabrielu. Zabaw się ze mną Gabrielu, a będzie to najlepszy seks w twoim życiu.

- Spróbujesz mnie zabić -powiedział.

Przejechałam palcami po górze jego skórzanych spodni. - Och, ależ oczywiście, ale czy kiedykolwiek groziła ci śmierć, od tego pamiętnego razu z Elizabeth? Od kiedy przemieniła się pod tobą, czy kiedykolwiek podczas seksu bałeś się o własne życie? Czy kiedykolwiek potem kroczyłeś po tej cienkiej, świetlistej linii dzielącej przyjemność i śmierć?

Odwrócił spojrzenie. Dotknęłam jego twarzy związanymi dłońmi, aby zwrócić go na powrót ku sobie. - Raina nie pozwoliła ci na to, prawda? Tak jak nie pozwoli ci dziś w nocy. Jesteś samcem alfa Gabrielu, czuję to. Nie pozwól, aby ci to odebrała. Nie pozwól, aby zabrała ci mnie.

Gabriel wpatrywał się we mnie. Nasze ciała dotykały się, twarze znajdowały się w bliskości odpowiedniej do pocałunku. - Zabijesz mnie.

- Może, albo to ty zabijesz mnie.

- Możesz przetrwać - powiedział - tak było ze mną.

- Nadal pieprzysz Elizabeth, teraz, kiedy przeżyłeś? - Pocałowałam go miękko, przejeżdżając zębami po skórze.

- Elizabeth mnie nudzi.

- A czy ty byś mnie nudził, Gabrielu? Gdyby udało mi się przeżyć, czy stałbyś się nudny?

- Nie - wyszeptał. Wiedziałam, że mam go w garści. Tak po prostu.

Albo to były początki genialnego planu, albo zyskałam na czasie.

Otworzyły się przede mną nowe możliwości. To była poprawa. Zasadniczym pytaniem było, ile czasu mają Richard i Jean-Claude? Ile potrwa, zanim Dominic otworzy ich używając ostrza? Jeśli nie mogę zda-

żyć na czas, nie chcę się tam wcale pojawić. Jeśli obaj nie żyją, to prawie wolałabym, aby Gabriel ze mną skończył. Prawie.

Rozdział 43

Pozostałam przywiązana do łóżka, ale Gabriel wsunął noże z powrotem do pochewek na przedramionach. Trzymał pod światło długi nóż, który nosiłam w pochwie wzdłuż kręgosłupa. Nie sądziłam, że mi go odda, ale ostatecznie odsunął moje włosy na bok i włożył go na miejsce.

- Nie przecinaj lin dopóki nie ma mnie w kadrze. Chcę, aby kamera wiedziała, dlaczego się boisz. Obiecuj, że tego nie zepsujesz.

- Daj mi pistolet, a zaczekam aż na mnie wejdiesz nim pociągnę za spust.

Uśmiechnął się i pokiwał palcem przed moją twarzą, jakbym była karconym dzieckiem. - Uh, uh, uh. Bez brutalności.

Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam powietrze. - Nie mo-

żesz winić dziewczyny za podjęcie próby.

Gabriel roześmiał się wysoko i nerwowo. - Nie, nie mogę cię winić za podjęcie próby.

Mieliśmy światła, kamerę. Potrzebna nam była już tylko akcja. Gabriel wytarł krew z klatki piersiowej i włożył srebrny kolczyk z powrotem. Zaczynaliśmy od nowa dla potrzeb filmu. Nawet starli krew z moich ust i odświeżyli makijaż. To młoda kobieta, Heidi, lykantrop, zrobi-

ła makijaż. Jej oczy były zbyt szeroko otwarte. Ręce drżały, gdy mnie dotknęła.

Wyszeptała zajmując się moją twarzą. - Bądź ostrożna, kiedy cię ca-

łuje. Raz zjadł dziewczynie język.

- Możesz zdobyć dla mnie pistolet?

Zadrżała. Jej oczy przetoczyły się w panice ukazując białka. Potrząsnęła głową. - Raina by mnie zabiła.

- Nie, gdyby była martwa.

Heidi raz zarazem kręciła głową i wycofywała się z łóżka.

Większość ekipy wyszła. Kiedy reżyser zdał sobie sprawę, że poszło sobie zbyt wiele osób, aby

dalsze filmowanie było możliwe, zaproponował bonusy. Duże bonusy i kilka osób zdecydowało się zostać.

Reszta wyszła. Oni nie kręcili pornografii. Nie zamierzali przyglądać się jak Gabriel mnie zabija, ale też nie zrobiliby nic, aby go powstrzymać. Może jeden z nich wezwałby policję. To była miła myśl, ale nie pokładałam w niej nadziei.

Moc przepłynęła po mnie falą drażniącą skórę. Szarpnęła coś nisko i głęboko w moim ciele. Uczucie to zniknęło niemal tak szybko, jak się pojawiło, ale na mojej skórze pozostał zapach. Jakbym przeszła przez jakiegoś ducha. Poczułam zapach płynu po goleniu Richarda. Richard próbował mi coś powiedzieć. Albo działał celowo, albo doprowadził go do tego strach. Tak czy inaczej czas uciekał. Musiałam go ocalić. Musiałam. Nie było innego wyjścia. Uratowanie ich oznaczało, że Gabriel musi znaleźć się na tyle blisko, abym mogła go zabić. Blisko mnie. W

najlepszym wypadku było to połowiczne szczęście.

- Zaczynaj - powiedziałam.

- Jesteś okropnie chętna, jak na kogoś, kto ma właśnie umrzeć straszliwą śmiercią - powiedziała Raina.

Uśmiechnęłam się. Uczyniłam ten uśmiech wszystkim, czym Gabriel chciał, aby on był. Pewnym. Niebezpiecznym. Seksownym. - Nie planuję umrzeć. Gabriel westchnął. - Zróbmy to.

Raina pokręciła głową i wyszła z kadru. - Pierdol ją, Gabrielu.

Spraw, żeby krzyczała twe imię nim ją zabijesz.

- Z przyjemnością - wyszeptał. Wszedł na podłogę imitacji sypialni.

Wyjęłam nóż z pochwy na przedramieniu i przecięłam linę, która przywiązywała mnie do wezglowia. Moje nadgarstki nadal były spęta-ne. Obserwowałam go obracając ostrze między dłońmi. Mógł się wtedy na mnie rzucić, ale tego nie zrobił. Sunął wokół łóżka, kiedy uwalnia-

łam dłonie.

Ostatecznie znalazł się na kolanach obok mebla, wpatrując się we mnie. Cofnęłam się trzymając w prawej ręce nóż. Postanowiłam zejść z tego cholernego łóżka.

Gabriel wczołgał się na nie, gdy ja zsuwałam się na podłogę. Naśladował moje ruchy, ale robił to zgrabnie i boleśnie powoli. Błyszczał

wewnętrzną energią. Nie robił do cholery nic poza czołganiem się przez łóżko, ale obietnica przemocy i seksu unosiła się w powietrzu niczym błyskawica.

Był szybszy niż ja. Jego zasięg był niemal dwukrotnie większy. Z

całą pewnością posiadał więcej siły. Miałam tylko świadomość tego, że planuję zabić go tak prędko, jak to możliwe, podczas gdy on zamierzał

najpierw mnie zgwałcić. Oznaczało to, że ja byłam gotowa posunąć się dalej. Przynajmniej na razie. Jeżeli szybko z tym nie skończę, to już po mnie.

Opadłam na jedno kolano i przygotowałam się. W każdej dłoni dzierżyłam ostrze. Chciał się zbliżyć. Co więcej, chciał, abym go skrzywdziła, więc żadnych uników, żadnego sprawdzania umiejętności przeciwnika. Sprawię, że do mnie przyjdzie a potem potnę go.

Moc zawirowała w moim brzuchu. Zalała mnie falą doznań. Zapach letniego lasu był tak silny, że aż duszący. Przez chwilę nie widziałam pokoju. Udało mi się uchwycić wzrokiem coś innego. Chaotyczne ka-wałki niczym puzzle rozrzucone na ziemi. Pozostały z tego trzy emocje; strach, bezradność i pragnienie.

Mój wzrok powrócił do normy, gdy zauważyłam marszczącego brwi Gabriela. - Co z tobą, Anito? Cassandra uderzyła cię trochę za mocno?

Pokręciłam głową i wzięłam roztrzęsiony oddech. - Czy umiesz tylko gadać? Gdzie czyny, Gabrielu?

Uśmiechnął się. Powoli leniwy, szeroki uśmiech ukazał jego kły.

Przemieścił się nagle. Cięłam instynktownie, nie zastanawiając się nad tym, co robię. Odskoczył. Krew spływała po jego brzuchu cienką, szkarłatną linią.

Potańczał ją palcami powoli, zmysłowo. Potem oblizwał je długimi, wolnymi ruchami języka. Grał dla kamery. Przeczłogał się po łóżku i owinał w białą pościel, przetaczając się tak, aż się w nią zaplątał. Odchylił

się do tyłu wystawiając szyję. Był prawie w moim zasięgu.

- Choć się pobawić, Anito.

To było kuszące. Miało takie być, ale wiedziałam lepiej. Widziałam wcześniej jak Richard rozdziera prześcieradła. Jakby były z papieru. -

Zostaję tu, Gabrielu. Będziesz musiał się po mnie pofatygować.

Przetoczył się na brzuch.

- Myślałem, że będę cię gonił. To nie jest żadna zabawa. Uśmiechnę-

łam się.

- Podejdź bliżej, a będzie to świetna zabawa.

Unióś się na kolanach. Prześcieradła były poplamione krwią, gdy się z nich wyczołgiwał. Gabriel

nagle znalazł się tuż przy mnie. Zbyt szybko, abym mogła zobaczyć jego ruch. Zanim zdążyłam zareagować był już obok, za mną.

Upadłam na tyłek desperacko starając się utrzymać go w polu widzenia. Ale nagle stał tam, poza moim zasięgiem. Sekundę później ostry ból przebiegł moje ramie. Spojrzałam. Na mojej ręce pojawił się krwawy ślad pazurów.

Uniósł jedną dłoń przed twarzą i pazury wyskoczyły spod paznokci.

- Miau -powiedział.

Spróbowałam przełknąć i uspokoić walące serce, które podeszło mi do gardła, ale nie byłam w stanie. To oznaczało, że nawet jeśli mnie nie zabije, to mogę obrosnąć w futerko.

To, co usłyszałam, to nie był krzyk. Nie był to nawet dźwięk. Nie potrafiłam tego określić, ale czułam wewnątrz siebie krzyk Richarda.

Jego moc zalała mnie i na końcu długiego tunelu czułam Jean-Claude'a.

Coś ciasnego i bolesnego przytrzymało go. Spróbowałam wstać i potknęłam się.

- Co z tobą, Anito? Nie zraniłem cię aż tak poważnie.

Pokręciłam głową i wstałam. Nie zbliżył się do mnie. Nie miał takiego zamiaru. Richard zaczynał być zrozpaczony. Sięgnęłam tym błyskiem mocy dalej na zewnątrz i poczułam czar Dominica. Chronił go w jakiś sposób tarczą, ale nie mógł się przede mną ukryć. Czar narastał.

Moment ofiary był coraz bliżej. Nie miałam czasu na zabawy Gabriela.

- Przestań bawić się w kotka i myszkę, Gabrielu. A może mnie nie chcesz? Jego oczy zwęziły się. - Coś knujesz.

- Możesz być tego pewny. Teraz pieprz mnie, Gabrielu, jeśli masz do tego wystarczająco duże jaja.

Oparłam się plecami o ścianę licząc, że to wystarczy i wiedząc, że tak nie będzie. Rzuciłam nić mocy z powrotem do Richarda, mając nadzieję, że zrozumie wskazówkę i nie będzie przeszkadzał przez najbliższe kilka minut. Jeśli rozproszy moją uwagę w niewłaściwym momencie, to będzie koniec.

Gabriel powoli spacerował przede mną rzucając mi wyzwanie, abym odeszła od ściany i dopadła go. Zrobiłam to, na co liczył. Rzuciłam się na niego, jednak już go tam nie było. Zupełnie jakbym usiłowała przeciąć powietrze.

Drapnął jedną ręką i rozciął wierzch mojej lewej dłoni. Cięłam prawą, usiłując utrzymać nóż w lewej. Powtórnie uderzył w dłoń, jednak nie pazurami, tylko wierzchem ręki. Poczułam skurcz i nóż poleciał na ziemię.

Jego ciało uderzyło we mnie rzucając nas na podłogę. Prawą ręką wbiłam mu ostrze w brzuch nim uderzyłam plecami o ziemię. Ale oznaczało to, że przyjmę pełną siłę upadku. Przez uderzenie serca by-

łam ogłuszona. Jedno uderzenie serca było wszystkim, czego potrzebował.

Przebiegł dłońmi pod moimi rękami nie usiłując ich unieruchomić, ale odsuwając od kawałka stali wbitej w ciało. Przyszpilił mnie ciałem do podłogi. Oczekiwałam, że wyciągnie ostrze, ale tego nie zrobił. Do-cisnął rękojeść do mojego ciała i pchnął. Wbił ostrze aż po rękojeść i nadal napierał. Wgniałała mi się w brzuch a on wbijał ją w nas oboje.

Zadrzał nade mną. Uniósł tułów przyciskając mnie dolną połową cia-

ła, wtulając ją między moje nogi, abym mogła go poczuć twardego i sztywnego. Wyciągnął ostrze wśród fontanny czerwieni i pchnął tak szybko, że zdążyłam zaledwie w połowie unieść ręce, aby chronić twarz, kiedy uderzył w dywan. Wbił ostrze w podłogę ze sklejki aż po rękojeść tak blisko mojej głowy, że przyszpilił nim włosy po jednej stronie.

Rozpiął mi dzinsy. Nawet nie próbował kontrolować mych rąk, ale pozostał mi już tylko jeden nóż. Jeśli go stracę nie będę w stanie go zabić. Mieliśmy się właśnie przekonać jak mocne mam nerwy.

Powtórnie moc Richarda popłynęła przeze mnie, ale nie była taka sama. Stała się mniej oszalą, jakby starał się mi coś powiedzieć, zaoferować. Wtedy zdałam sobie sprawę, co to było. Pierwszy znak. JeanClaude i Richard, czy było to wadą czy też zaletą, nie mogli tego teraz zrobić bez mojej zgody. Byłam zbyt potężna, aby mnie zmusić. Przynajmniej psychicznie.

Gabriel przytrzymał moje nogi biodrami. Chwycił przód dzinsów.

Jego palce były zwrócone na zewnątrz, z dala od mojego ciała. Jego pazury przebiły ubranie. Darł, ciął materiał niemal aż po kość łonową.

Krzyknęłam i pozwoliłam, aby Richard mnie posiadał. Lepszy po-twór, którego znasz niż ten, który właśnie dobiera ci się do majtek. Linia ciepła przepłynęła przez moje ciało. To było jeszcze prostsze, gdyż Jean-Claude robił to osobiście, dawno temu. Nawet, gdy wiedziałam co to jest, nie robiło to na mnie wielkiego wrażenia.

Jednak natychmiast poczułam się lepiej; mogłam jaśniej myśleć, mogłam... coś. Gabriel zawahał się leżąc na mnie. - Co to było do cholery? - Skórę jego nagich ramion pokryła gęsia skórka. Poczul smak tej mocy.

- Nic nie czułam - powiedziałam. Szarpnęłam za nóż wbity w podłogę ciągnąc za rękojeść. Gabriel rozerwał moje dzinsy używając obu rąk.

Rozpadły się na połowę. Teraz znajdowały się między nami tylko moje majtki i jego skórzane spodnie. Nóż utkwił pod złym kątem i udało mi się go wyciągnąć dopiero do połowy, kiedy Gabriel wsunął dłoń do moich majtek.

Krzyczałam. Krzyczałam - Richardzie!

Wypełniła mnie moc. Razem z Jean-Claudem, obserwowałam, jak jego płonące, błękitne oczy wnikają we mnie. Przy Richardzie, jako soczewce, nie było nic do zobaczenia, tylko zapach, tylko las, jego skóra, perfumy Jean-Claude'a. Mogłam poczuć smak ich obu jakbym piła równocześnie dwa mocne wina, haust za haustem.

Ręka Gabriela z przodu mojego ciała. Patrzył na mnie z góry. - Co przed chwilą zrobiłaś? - Jego głos był zaledwie szeptem.

- Czy sądziłeś, że zgwałcenie mnie będzie łatwe? - Roześmiałam się i to wytrąciło go z równowagi. Zobaczyłam jak coś podobnego do strachu pojawia się w jego burzowo szarych oczach. Zabrał dłoń. Uczucie, które ogarnęło mnie, kiedy wyjął swoją rękę z mojej bielizny, było tak oszałamiające, że aż trudne do wyrażenia. Chciałam, aby nigdy więcej mnie tak nie dotykał. Nigdy.

Miałam dwie możliwości wyboru. Mogłam blefować i liczyć na to, że dam radę uciec, lub powtórnie zainicjować seks i zabić go. Drugi znak nie dał mi zbyt wiele mocy. Prawdę mówiąc, dał większą możliwość korzystania z mojej siły chłopcom niż odwrotnie. Więc wybrałam seks.

- Co się stało? - Spytała Raina, z poza zasięgu kamery.

- Gabriel ma stracha - powiedziałam. Uniosłam się na łokciach. Nóż, który Gabriel wbił w podłogę, przyszpilił moje włosy. Nadal się podnosiłam wrywając spore pasmo. Ból był niewielki, ale wiedziałam, że podnieci Gabriela. Tak też się stało.

Siedziałam z nogami po obu stronach jego ud. Podniósł mnie. Jego ręce wśliznęły się pod moją bieliznę chwytając za pośladki. Odchylił się do tyłu klęcząc na kolanach, podtrzymując mój ciężar. Obserwował

mnie i zobaczyłam coś w jego oczach, poczułam w drzeniu jego rąk. Po raz pierwszy pomyślał, że naprawdę mogłabym go zabić i to go nakręcało. Strach był dla niego podniecający.

Delikatnie pocałował bok mojej twarzy. - Sięgnij po ostatni nóż, Anito. No dalej. - Przybliżył się, gdy to mówił, delikatnie podgryzając moją twarz. Poczułam nacisk kłów na linii żuchwy, na karku. Przycisnął zęby z boku mojej szyi, zanurzając je głębiej, mocniej i mocniej, wolno zwiększając nacisk. Językiem polizał moją skórę.

Nie sięgnęłam po nóż. Przeczesałam ręką jego gęste włosy i pociągnęłam za nie do tyłu. Jego zęby dalej naciskały na moją skórę, a ręce znajdowały się pod bielizną. Zesztywniałam. Potem zmusiłam ciało do rozluźnienia. To zadziała. Musi zadziałać.

Przeciągnęłam palcami wzdłuż jego twarzy. Wbił zęby na tyle głęboko, żeby pociekły pierwsze krople krwi. Sapnęłam. Pazury wbiły się we mnie. Dotykałam jego twarzy po obu stronach. Przeciagałam dłońmi po policzkach, brwiach. Wycofał się, aby zaczerpnąć powietrza. Oczy miał rozszerzone, niewidzące, usta na wpół otwarte. Pieściłam jego twarz i przyciągnęłam go do pocałunku. Dotykałam grubych brwi. Gdy zwały się nasze wargi, zamknął oczy. Umieściłam kciuki

na jego po-wiekach. Zamrugał pod mym dotykiem. Wbiłam kciuki w obie gałki oczne mocno, głęboko, usiłując wepchnąć je aż w mózg i przebić się na drugą stronę czaszki.

Gabriel rzucił się do tyłu z krzykiem. Pazury rozcięły moje plecy.

Sapnęłam, ale nie miałam czasu na krzyki. Wyciągnęłam duże ostrze z pochwy na plecach.

Teraz krzyknęła Raina.

Wbiłam nóż pod zebra Gabriela. Wbiłam go w serce. Usiłował upaść do tyłu, ale mój ciężar przygwoździł jego kolana, więc wygiął plecy w łuk, ale nie upadł. Przebiłam go ostrzem. Poczułam jak czubek przebija go na wylot.

Nagle Raina znalazła się przy mnie. Chwyciła mnie za włosy i zrzuciła z niego. Przeleciałam przez pokój, uderzyłam o sztuczną ściankę i nadal się nie zatrzymałam. Ściana rozpadła się. Leżałam na brzuchu próbując przypomnieć sobie, jak się oddycha. Tętno było głośne w mojej głowie. Przez kilka sekund nic nie słyszałam. Moje ciało stopniowo wychodziło z odrętwienia. Dało mi znać, że jestem podrapana i posinia-czona, ale nic nie uległo złamaniu. A powinno. Dwa znaki i oto Anita -

ludzki taran. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, nie potrafiłam tego docenić. Teraz tak. Nie stała mi się duża krzywda, hura, ale nadal musiałam pozbyć się Rainy. Jeśli ona zginie, to inni uciekną lub spróbują się ukryć. Pytanie brzmiało, jak tego dokonać?

Spojrzałam w górę i zdałam sobie sprawę, że znajduję się tuż obok stołu, na którym leżą moje pistolety. Czy są załadowane? Jeśli sięgnę po nie i nie będą, Raina mnie zabije. Oczywiście, jeśli pozostanę krwawiąca na ziemi i tak ze mną skończy.

Usłyszałam zbliżający się stukot wysokich obcasów. Podniosłam się na kolana. Przeniosłam ciężar na stopy i rzuciłam się w stronę stołu.

Nadal nie mogła mnie zobaczyć przez ściankę, ale mogła mnie usłyszeć. Szła szybkim krokiem po swojej stronie pokoju w tych niedo-rzecznie wysokich szpilkach.

Chwyciłam Firestara i nie tracąc rozpędu przetoczyłam się po blacie.

Wylądowałam na plecach patrząc w górę, gdy przeskakiwała stół.

Szybkim ruchem kciuka odbezpieczyłam broń i pociągnęłam za spust.

Pistolet wypalił w jej brzuch. Kula zdawała się spowolnić ją w podczas ruchu. Miałam dość czasu, aby oddać następny strzał tym razem wyżej, w klatkę piersiową.

Raina upadła na kolana. W jej miodowych oczach malowało się bez-brzeżne zdumienie. Sięgnęła w moją stronę ręką. Cofnęłam się do tyłu, nadal leżąc na tyłku i dolnej części pleców. Obserwowałam jak światło gaśnie w jej oczach. Upadła na bok. Jej długie włosy rozsypały się po podłodze kasztanową falą.

Ekipa uciekła. Tylko Heidi kucnęła pod ścianą płacząc i zakrywając uszy, jak gdyby bała się zarówno uciec jak i zostać.

Wstałam podpierając się o stół. Teraz mogłam zobaczyć zwłoki Gabriela. Z jego oczodołów sączyła się krew i przezroczysta maź, które zmieszane, spływały mu po twarzy. Jego ciało nie upadło. Klęczał w dziwnej parodii życia, jak gdyby miał zaraz otworzyć oczy i wtedy to wszystko okazałoby się grą aktorską.

Przez zakryte drzwi wszedł Edward. Na ramieniu miał shotguna. Tuż za nim, niosąc karabin, kroczył Harley. Analizował otoczenie, w końcu powrócił do mnie wzrokiem.

-Czy w pokoju znajduje się Anita

-Tak - powiedział Edward.

- Nie mogę jej rozpoznać - odparł Harley.

- Nie strzelaj. Znajdę ją. - Podeszedł do mnie, ogarniając wszystko wzrokiem.

- Ile z tego to twoja krew? - Spytał. Pokręciłam głową. - Jak mnie znalazłeś?

- Próbowałem odpowiedzieć na twoją wiadomość. Nikt nie wiedział

gdzie jesteś. Potem nikt nie wiedział gdzie podział się Richard, JeanClaude czy Raina.

Poczułam w sobie krzyk Richarda. Tym razem nie walczyłam z tym.

Pozwoliłam, aby wydarł się z moich ust. Upadłabym, gdyby Edward mnie nie podtrzymał. - Musimy znaleźć Jean-Claude'a i Richarda. Teraz!

- Nie jesteś nawet w stanie iść - powiedział. Chwyciłam go za ramię.

- Pomóż mi, a pobiegnę.

Edward nie spierał się ze mną; po prostu skinął głową i objął mnie ramieniem w talii.

Harley podał moje noże i Browninga Edwardowi. Byłam tuż obok, ale nie spróbował mnie dotknąć. Patrzył, jak gdyby mnie w ogóle nie było. Może dla niego, to było prawdą. Od pasa w dół miałam na sobie tylko bieliznę i Nike'i, ale mogłam biec. Musieliśmy biec. Czułam to.

Czułam narastającą moc w powietrzu letniej nocy. Dominic przygodo-wywał ostrze. Czułam to. Modliłam się w biegu. Modliłam się, abyśmy zdążyli.

Rozdział 44

Biegliśmy. Uciekałam do czasu, gdy myślałam, że serce mi już pęknie, przeskakując drzewa i unikając innych przeszkód ledwo wyczuwalnych w tym mroku. Nie widziałam prawie wcale.

Gałęzie i chwasty raniły moje nogi, tworząc na nich cienkie zadrapania, które piekły jak cholera. Jedna gałązka chlasnęła mnie w policzek, sprawiając, że się potknęłam. Złapał mnie Edward.

- Co to jest? - Spytał Harley.

Gdzieś w oddali jaśniało coś olśniewająco białym blaskiem. Nie był to ogień.

- To krzyże - odparłam.

- Co? - Ponownie zapytał.

- Uwięzili Jean-Claude'a wśród krzyży. - W chwili, gdy te słowa opuściły moje usta, zrozumiałam, że są prawdziwe. Ruszyłam w kierunku blasku. Edward z Harley'em podążyli za mną.

Wysunęłam się za róg, wiedząc, że zabezpieczają mi tyły. Wyciągnęłam Browninga, w ogóle o tym nie myśląc. Miałam sekundę, by to wszystko zrozumieć. Richard i Jean-Claude byli skrupowani tak ciasno, grubymi łańcuchami, że ledwie mogli się ruszać, uniemożliwiając sobie tym samym ucieczkę. Krzyże były rozrzucone tuż obok szyi wampira.

Opierały się na łańcuchach, świecąc niczym schwywane gwiazdy. Ktoś zawiązał mu oczy, jakby w obawie, że mogłyby zostać wypalone. Co było dziwne, zważywszy, że chcieli go zabić. Cóż, sympatyczni mordercy.

Richard został zakneblowany. Był w stanie poruszać jedną wolną ręką. Razem z Jean-Claude'm stykali się koniuszkami palców, wysilali się, by utrzymać ten dotyk.

Dominic stał ponad nimi w białej, ceremonialnej szacie. Kaptur miał

odrzucony, a ramiona rozwarte. Trzymał w nich miecz, którego długość dorównywała połowie mnie. Miło. W drugiej dłoni podtrzymywał coś ciemnego. Pulsowało ono i wydawało się żyć. To było serce. Serce wampira Roberta. Słodki Jezu.

Sabin rozsiadł się w kamiennym tronie Marcusa. Ubrany był tak, jak widziałam go ostatnio: kaptur na głowie, twarz ukryta w ciemnościach.

Cassandra stanowiła świecącą biel po drugiej stronie koła mocy. Stanowiła ostatni punkt trójkąta z jej dwoma mężczyznami. Moi dwaj mężczyźni leżeli związani na ziemi.

Wycelowałam Browningiem w Dominica i strzeliłam. Kula wylecia-

ła z pistoletu. Słyszałam ją, widziałam ją, jednak nie przeszła ona nawet obok niego. Wydawało się, że poleciała gdziekolwiek. Wypuściłam powietrze i spróbowałam ponownie.

Dominic spojrzał na mnie. Jego ciemna, brodata twarz pozostała spokojna i całkowicie nieprzestraszona.

- Jesteś wśród umarłych, Anito Blake. Ani ty, ani nic ożywionego przez ciebie nie może przekroczyć tego okręgu. Przybyłaś tu jedynie oglądać ich śmierć.

- Przegrałeś, Dominic, dlaczego więc chcesz ich mimo to teraz zabijać?

- Nigdy już nie znajdziemy tego, co potrzebujemy - odpowiedział

nekromanta.

Kiedy Sabin przemówił, jego głos był gruby, niezręczny, jakby mówienie przychodziło mu z trudem.

- To musi się odbyć dziś w nocy.

Szarpnął głową w stronę swoich stóp, strącając tym samym kaptur.

Jego ciało prawie całkowicie zgniło, pozostały jedynie resztki rozkładających się tkanek i kilka zniszczonych pukli włosów. Ciemna ciecz wyciekała mu z ust. Być może była to ostatnia noc by zachować trzeźwość umysłu. Ale to nie był mój problem.

- Rada Wampirów zabroniła każdemu z was walczyć ze sobą dopóki Prawo Brewster nie zostanie pominięte lub odrzucone. Zabiją cię za nie przestrzeganie ich reguł. - Byłam w tej połowie głosującą za tym, jednak miałam wokół siebie wystarczająco Mistrzów Wampirów, by wiedzieć, jak surowo i poważnie brali się za niesubordynację. Co prawda, Rada składała się z największych, najgorszych Mistrzów z miast wokół.

Nie będą więcej wybaczać. Już nie.

- Skorzystam z tej szansy - powiedział Sabin, wymawiając każde słowo powoli, pokazując wysiłek, jaki musiał włożyć w ich wypowiedzenie.

- Czy Cassandra powiedziała ci o mojej ofercie? Jeżeli nie mogliby-

śmy cię jutro uleczyć, każę Jean-Claude'owi naznaczyć mnie. Dziś w nocy musisz jedynie wziąć udział w tym, co jest potrzebne do zaklęcia.

Potrzebujesz mnie, Sabin, tą drogą lub inną, ale potrzebujesz mnie. -

Nie powiedziałam im, że już byłam naznaczona. Najwyraźniej tego nie poczuli. Jeśliby wiedzieli, że dopiero co dostałam znak, jedyną rzeczą, którą mogłabym im zaoferować byłaby moja śmierć dziś wieczór razem z chłopakami. To mi się zbytnio nie podobało.

Dominic pokręcił głową.

- Szukałem ciała Sabina, Anito. Jutro będzie za późno. Nie będzie w ogóle, czego ratować - opadł na kolana tuż obok Richarda.

- Nie wiesz tego na pewno - zaprotestowałam.

Położył wciąż bijące serce na nagiej klatce piersiowej Richarda.

- Dominic, proszę! - Błagałam. Było już za późno na kłamstwa.

- Zostałam naznaczona, Dominicu. Stanowimy idealną ofiarę. Wpuść mnie do kręgu, to wejść. Przyjrzał mi się. - Jeżeli to prawda, jesteś o wiele zbyt niebezpieczna, by ci zaufać. Wasza trójka razem bez żadnego okręgu obezwładniłaby nas. Widzisz, Anito, jestem częścią prawdziwego triumwiratu od wieków. Nie śmiesz nawet śnić o potędze, którą mogłabyś pozyskać. Ty i Richard jesteście o wiele potężniejsi niż Cassandra i ja. Stałabyś się siłą, z którą trzeba by było się liczyć. Rada mogłaby się ciebie obawiać - roześmiał się. - W

pojedynek może nam to wybaczą. Jego słowa wywarły wpływ na mnie.

Podeszłam do krawędzi okręgu i dotknęłam go. Poczułam, jakby moja skóra próbowała spełznąć z kości. Pochyliłam się do przodu i ze-

ślizgnęłam po czymś, czego nie mogło tam być. Jean-Claude wrzasnął.

Bolało mnie to zbyt mocno, bym mogła krzyknąć. Opadłam oszołomiona przez okrąg, nawet przez oddychanie czując smak śmierci, starą gnijącą śmierć w moich ustach.

Edward uklęknął przy mnie. - Co to jest?

- Bez pozostałych części siebie nie masz wystarczająco dużo mocy, by przebić się przez okrąg, Anito.
- Dominic schylił się do swoich stóp, podnosząc ten dwuręczny miecz, służący za pewnie do ceremonialnego pchnięcia w dół.

Dolph przeszedł przecież wcześniej przez taki okrąg w pokoju, gdzie zostało zabrane serce Roberta. Chwyciłam Edwarda za koszulę.

- Możesz przejść przez krąg. Teraz. I zabij tego sukinsyna.

- Jeśli ty nie możesz, w jaki sposób ja mogę? - Spytał.

- Nie jesteś magiczny, oto dlaczego.

To jest właśnie jeden z tych rzadkich momentów, w których rozumiesz, jak wspaniałe i ważne może być zaufanie. Edward nie wiedział

absolutnie nic o ceremoniach, jednakże nie kłócił się. Zaakceptował to, co powiedziałam i po prostu zrobił to. Osobiście nie byłam stu procentowo pewna, czy to podziała, jednak musiało. Musiało!

Dominic opuścił miecz. Wrzasnęłam. Edward przekroczył okrąg, jakby go tam w ogóle nie było. Ostrze przebiło ciało Richarda, przy-szpilając bijące serce do jego ciała. Ból spowodowany cięciem zbił

mnie z kolan. Czułam jak zanurza się ono w ciele Richarda. Chwilę później nie odczuwałam

absolutnie niczego, zupełnie jakby zapalnik został wyłączony. Strzał ze strzelby Edwarda rozwalił Dominicowi pierś.

Nie przewrócił się on jednak. Wpatrywał się w dziurę w swojej klatce piersiowej, a następnie na Edwarda. Wyciągnął miecz z ciała Richarda i ściągnął z niego wciąż bijące serce. Stał naprzeciw Śmierci z ostrzem w jednej dłoni i sercem w drugiej. Edward wystrzelił ponownie. W tym samym momencie Cassandra wskoczyła mu na plecy.

Wtedy krąg przekroczył Harley. Chwycił ją w pasie i zrzucił z Edwarda. Upadli, tarzając się na ziemi. Zabrzmiał pistolet i ciało kobiety drgnęło, jednak jej delikatna pięść pojawiła się i uderzyła ku dołowi.

Edward wystrzelił ze strzelby zanim twarz Dominica zniknęła we mgle krwi i kości. Nekromanta opadł na kolana. Jego wyciągnięta dłoń zmiażdżyła serce na ziemi tuż obok szalenie spokojnego ciała Richarda.

Sabin wylewitował w górę. - Będę miał za to twoją duszę, śmiertelniku.

Wyciągnęłam palce w stronę okręgu, jednak on nadal tam był.

Edward nakierował broń na wampira. Serce wciąż leżało na ziemi, pulsując w blasku krzyży.

- Serce! Rozwał serce! - Wrzasnęłam.

Edward nie zawahał się. Wycelował i strzelił w nie, rozdrabniając je na setki małych kawałków. Sabin dopadł go chwilę później, uderzył, odrzucając dalej. Mężczyzna opadł na ziemię, mając wampira nad sobą.

Wysunęłam dłoń przed siebie. Napotkała pustą przestrzeń. Nie wa-ahałam się, ruszyłam przed siebie. Wystrzeliwałam z dwuręcznej broni, idąc w stronę Sabina. Trafiłam go trzy razy w klatkę piersiową, zmuszając, by opadając do swoich stóp, odsunął się od Edwarda.

Wampir uniósł dłoń przed swoją szkieletową twarz w niemal błagalnym geście. Wycelowałam lufą pistoletu w jego jedyne, zdrowe oko i pociągnęłam za spust. Kula dorwała go tuż nad kruszącymi się kawałkami jego nosa. Uczyniło to dużą dziurę w jego głowie. Pasowała idealnie, wylewał się przez nią mózg i krew na trawę. Sabin upadł do tyłu, na ziemię. Wystrzeliłam jeszcze dwa razy w jego czaszkę, w efekcie przypominało to dekapitację. Teraz miałam pewność, że jest martwy.

- Edward? - To był Harley. Stał nad bardzo spokojnym, martwym ciałem Cassandry. Jego oczy szukały dziko jedynej osoby, którą rozpoznawał.

- Harley, to ja, Anita

Potrząsnął głową, jakbym była bzyczącą muchą.

- Edward, ja wciąż widzę potwory. Edward!

Podniósł pistolet maszynowy i wycelował we mnie, a ja wiedziałam, że nie mogę mu pozwolić wystrzelić. Nie, to było więcej niż to. Lub mniej. Wyciągnęłam Browninga i wystrzeliłam, zanim zdążyłam pomy-

śleć. Pierwszy strzał posłał go na kolana.

- Edward!

Wystrzelił całą serię pocisków z maszynówki, która przeszła tuż nad głowami leżących mężczyzn. Wystrzeliłam ponownie w jego pierś, a następnie strzeliłam w jego głowę zanim upadł. Podeszłam do niego z pistoletem w gotowości. Jeśli by drgnął, strzeliłabym od razu. Nie drgnął. Nie wiedziałam nic o Harley'u, oprócz tego, że był autentycznie szalony i bardzo dobry przy broniach. Teraz już nigdy nie dowiem się niczego więcej, gdyż Edward nie udzielał dobrowolnie informacji. Odrzuciłam kopniakiem maszynówkę od martwej dłoni Harley'a i podeszłam do reszty.

Edward właśnie siadał, trzepiąc przy tym tył głowy. Przyglądał mi się, kiedy odchodziłam od martwego ciała Harley'a,

- Ty to zrobiłaś? Spojrzałam mu w oczy. - Tak.

- Zabijałem ludzi za mniejsze przewinienia.

- Ja również, - odparłam, - ale jeśli zamierzamy walczyć, nie powinniśmy najpierw uwolnić chłopaków? Nie wyczuwam już Richarda.

Nie mogłam powiedzieć głośno słowa martwy. Nie, jeszcze nie.

Edward wstał lekko, niepewnie, ale ustał. - Będziemy walczyć później.

- Później - zgodziłam się.

Poszedł usiąść przy swoim przyjacielu, a ja przy swym kochanku i...

drugim chłopaku.

Schowałam Browninga, a następnie ściągnęłam krzyże z szyi JeanClaude'a. Odrzuciłam je w stronę lasu. Ciemność stała się nagle delikatna i intensywna. Uklękłam, by go uwolnić. Niektóre z łańcuchów musiałam przerzucać sobie przez głowę, by się ich pozbyć.

- Cholera jasna - mruknęłam.

Jean-Claude usiadł gwałtownie, zrzucając z siebie resztki łańcuchów. Zsunął przepaskę z oczu. Z kolei ja już podpełzłam do Richarda.

Zobaczyłam na własne oczy ślad miecza w jego klatce. Przekłuł jego serce. Powinien być martwy, jednak zaczęłam szukać puls na jego szyi i znalazłam go. Wyczułam bicie serca poprzez moje dłonie, niczym słabą myśl, osunęłam się do tyłu z ulgą. Żył. Dzięki ci, Boże !

Jean-Claude uklęknął z drugiej strony ciała Richarda.

- Myślałem, że nie możesz znieść jego dotyku. Tak mi powiedział

wcześniej, zanim go zakneblowali. Obawiali się, że wezwie swoje stado, by mu pomogło - zamilkł na chwilę. - Właśnie dzwoniłem do Jasona i moich wampirów. Zaraz tu będą.

- Dlaczego nie mogę go wyczuć w mojej głowie?

- Blokuję to. To jest straszna rana, ma petite, jestem lepiej doświadczony w radzeniu sobie z takimi sprawami.

Wyjęłam knebel z ust Richarda. Dotknęłam łagodnie jego ust. Myśl, o tym, jak odmówiłam mu pocałunku dzień wcześniej powaliła mnie.

- On umiera, prawda?

Jean-Claude złamał łańcuchy skuwające Richarda ostrożniej niż swoje własne. Pomogłam mu usunąć je z wiotkiego ciała wilkołaka.

Leżał na ziemi w zakrwawionym, białym T-shircie, w którym to ostatnio go widziałam. I nagle znów był moim Richardem. Nie potrafiłam sobie wyobrazić go ponownie, jako bestii. Już mnie to nie obchodziło.

- Nie mogę go stracić. Nie w ten sposób - szepnęłam.

- Richard umiera, ma petite. Czuje, jak jego życie ucieka.

Wpatrzyłam się w niego. - Wciąż powstrzymujesz mnie przed czuciem tego, prawda?

- Ochraniam cię. - Wyraz jego twarzy w ogóle mi się nie spodobał.

Dotknęłam jego ręki. Skórę miał zimną w dotyku. - Dlaczego? Odwrócił się.

Szarpnęłam go z całych sił, zmuszając, by na mnie spojrział. - Dlaczego, Jean-Claude?

- Nawet mając tylko dwa znaki, Richard może czerpać z nas siły, chcąc pozostać jak najdłużej żywym.

- Chronisz nas oboje? - Spytałam.

- Kiedy on umrze, mogę chronić tylko jedno z nas, ma petite, nie dwoje. Wgapiłam się w niego. - Chcesz powiedzieć, że kiedy on umrze, zginiesz i ty?

- Obawiam się, że tak.

Potrząsnęłam rozpaczliwie głową. - Nie. Nie wy obaj. Nie tak nagle.

Nie, Jean-Claude, nie. Do kurwy nędzy, ty nie możesz umrzeć.

- Przykro mi, ma petite.

- Nie! Możemy się podzielić mocą tak, jak robiliśmy, by ożywiać zombie i wampiry, jak robiliśmy dziś w nocy.

Jean-Claude zgarbił się nagle, opierając jedną dłoń na ciele Richarda. - Nie zaciągnę cię za sobą do grobu, ma petite. Wolałbym raczej wierzyć, że jesteś cała i zdrowa.

Wbiłam palce w ramię Jean-Claude'a. Dotknęłam piersi Richarda.

Drżący oddech prześlizgnął się po moim ramieniu z ust wampira.

- Będę żywa, ale nie będzie ze mną dobrze. Prędzej umrę, niż stracę was obu. Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę.

- Nie wiesz, o co prosisz, Anito.

- Jesteśmy teraz triumwiratem. Możemy tego dokonać, Jean-Claude!

Możemy tego dokonać, ale musisz mi pokazać jak.

- Jesteśmy bardziej potężni niż w moich najśmielszych snach, ma petite, jednak nie możemy oszukać śmierci.

- Wisi mi jednego.

Jean-Claude wzdrygnął się, jakby w bólu. - Kto ci jest coś winien?

- Śmierć.

- Ma petite...

- Zrób to, Jean-Claude, zrób to. Cokolwiek to zrobi, cokolwiek to weźmie. Zrób to, błagam! Osunął się na Richarda, uniósł lekko jego głowę. - Trzeci znak. Powiąże nas na wieczność lub zabije nas wszystkich.

Zaoferowałam mu swój nadgarstek.

- Nie, ma petite, jeśli to ma być nasz ostatni czas, chodź do mnie. -

Półożąc na Richardzie, otworzył dla mnie ramiona. Kładąc się w okręgu jego rąk, oparłam się o jego pierś i zauważyłam, że brakuje mi bicia serca. Odwróciłam się i spojrzałam na jego twarz, znajdującą się zaledwie cal od mojej.

- Nie zostawiaj mnie.

Jego piękne, ciemnogrnatowe oczy napelniły się ogniem. Zaczesał

moje włosy na jedną stronę i wyszeptał. - Otwórz się dla mnie, ma petite, otwórz się dla nas obydwu.

Zrobiłam to, otworzyłam swój umysł, opuściłam wszelkie zasłony i bariery, jakie kiedykolwiek postawiłam. Upadłam do przodu, w niemożliwy sposób do przodu, zagłębiając się w długi, czarny tunel w kierunku palącego się niebieskiego ognia. Ból ciął ciemność niczym biały nóż, a ja słyszałam, jakby z oddali, własne westchnienia. Poczułam, jak kły Jean-Claude'a zagłębiają się we mnie, jego usta otaczają moją skórę, a następnie ssie mnie, pije ze mnie.

Wiatr przetoczył się poprzez otaczającą mnie, spadającą ciemność, łapiąc mnie zanim zdążyłam dotknąć niebieskiego płomienia. Pachniał

wzrastającą ziemią i stęchłym futrem. Poczułam coś jeszcze: smutek.

Smutek Richarda. Jego żałobę. Nie z powodu jego śmierci, ale straty mnie. Żywy czy martwy, stracił mnie i pośród swoich licznych win, wciąż czuł lojalność, która przebiła się poprzez inne powody. Kiedyś zakochany, pozostał tam, gdzie go zostawiła, mimo wszystkiego, co ta kobieta mu zrobiła. Błędny rycerz, w pełnym tych słów znaczeniu. Był

idiotą i kochałam go za to. Jean-Claude'a kochałam pomimo tego, kim był. Richarda właśnie dlatego.

Nie mogłabym go stracić. Owinęłam się jego istotą niczym prześcieradłem, pomijając fakt, że nie posiadałam ciała. Trzymałam go swoim umysłem, ciałem, każąc mu poczuć moją miłość, smutek, żal. JeanClaude również tam był. W połowie oczekiwałam, że będzie protestował, sabotował to, ale nic takiego nie robił. Ten niebieski płomień wysunął się do góry, w tym tunelu naprzeciw nas i świat eksplodował na miliony kawałków i obrazów, które były zbyt mylące, by je zrozumieć.

Kawałki pamięci, uczuć, myśli, jak trzy oddzielne układanki potrząśnię-te i wyrzucone w górę, by każdy dotknięty kawałek tworzył nowy obraz.

Wypadłam na wprost lasu, klęcząc. Wszystkie te zapachy pojedynczo, odurzały. Zatopiłam kły w delikatnym nadgarstku, który nie był

mój. Oglądałam tętno, pulsujące pod szyją kobiety i pomyślałam o krwi, ciepłym ciele i dalekim, dalekim seksie. Wspomnienia przyszły szybko, później szybciej, aż w końcu tańczyły jak na karnawałowym balu, tuż przed moimi oczami. Czerń pochłonęła obrazy, niczym atrament napelniający się wodą. Kiedy ciemność pożarła wszystko, płynę-

łam w niej przez niemożliwą i nieistniejącą sekundę, a wtedy pojawił

się płomień świecy... Nic.

Nawet nie miałam czasu, żeby się bać.

Rozdział 45

Obudziłam się w pokoju pomalowanym na pastelowy róż. Pielęgniarka, w równie różowym fartuchu, uśmiechnęła się do mnie. Nagle ogarnęło mnie przerażenie. Gdzie jest Richard, gdzie Jean-Claude?

W

końcu zadałam jedno z pierwszych pytań nasuwających mi się na myśl.

- Jak się tu znalazłam?

- Twój przyjaciel cię przyniósł. - Wskazała na niego ruchem głowy.

Edward siedział na fotelu, przy najdalszej ścianie, przeglądając jakąś gazetę. Podniósł głowę i nasze spojrzenia spotkały się. Z jego twarzy nie dało się odczytać żadnych emocji.

- Edward?

- Przyjaciele nazywają mnie Ted, Anito. Przecież wiesz.

Obdarzył mnie jednym z tych miłych uśmiechów, które znaczyły tylko tyle, że rozmawiałam nie z Edwardem, a z Tedem Forresterem.

To była jego jedyna legalna tożsamość, którą znałam. Nawet gliny my-

ślały, że naprawdę ma na imię Ted.

- Siostro, czy może nas pani zostawić na chwilę samych? - Pielęgniarka uśmiechnęła się, zerkając z ciekawością to na jedno, to na drugie i wyszła.

Spróbowałam chwycić rękę Edwarda, ale spostrzegłam, że moja lewa dłoń jest przyczepiona do jakiegoś urządzenia i podpięta do IV.

Wyciągnęłam rękę ku niemu, a on ją chwycił.

- Żyją?

Uśmiechnął się.

- Tak.

Nigdy wcześniej nie czułam takiej ulgi. Opadłam z powrotem na łóżko.

- Co się stało?

- Umierałaś z powodu licznych ran, zadrapań pazurami lykantropów, ugryzienia wampira... Wypił prawie wszystko.

- Może właśnie to nas ocaliło.

- Może - powiedział Edward i usiadł na brzegu łóżka. Jego marynarka rozchyliła się nieco.

Wystarczająco, bym mogła dostrzec kaburę z bronią. Zauważył, że na niego patrzę, więc wyjaśnił:

- Policjanci zgadzają się co do tego, że nawet potwory mogą żywić urazę. Nawet za twoimi drzwiami stoją gliny.

Nie trzymaliśmy się za ręce. Patrzył na mnie tym swoim lodowatym wzrokiem.

- Musiałaś zabijać Harleya?

Chciałam powiedzieć 'tak', ale zawahałam się. Przypomniałam sobie tamto zdarzenie. W końcu. Spojrzałam na niego.

- Nie wiem, Edwardzie. Próbowałam mówić do niego, ale nie chciał

mnie słuchać. Zaczął podnosić karabin. - Nasze spojrzenia spotkały się.

Wpatrzyłam się w jego puste, niebieskie oczy. -Zabiłam go. Widziałeś ciało. Zrobiłam to szybko. Coupe de grace*.

- Wiem. - Jego twarz, głos nie wyrażał żadnych uczuć. To przypominało trochę rozmawianie z manekinem, z tym wyjątkiem, że ten manekin był uzbrojony. Ja nie.

- Nie rozważałam innego wyjścia. Nawet się nie zawahałam. Edward westchnął głęboko.

- Wiem, że naprawdę tak było. Gdybyś kłamała, zabiłbym cię. Stał

w nogach łóżka.

- Byłbyś w stanie to zrobić wiedząc, że jestem nieuzbrojona? - Próbowałam obrócić to w żart, ale chyba mi nie wyszło.

- Sprawdź pod poduszką.

Wsunęłam rękę pod poduszkę i wyciągnęłam Firestara. Położyłam go na kołdrze, ciągle trzymając w dłoni.

- Co teraz?

- Zawdzięczasz mi życie.

- Uratowałam ci życie zeszłej nocy.

- My się nie liczymy, zawsze będziemy dla siebie wsparciem, niezależnie od sytuacji.

- Więc nie wiem o czym mówisz.

- Czasami nawet ja potrzebuję pomocy. Dlatego miałem Harleya.

Następnym razem gdy będę w opałach, zadzwonię po ciebie.

Chciałam zaproponować, bo nigdy nie byłam pewna, w jakie bagno Edward mnie wciągnie, ale nie zrobiłam tego. Kiedy patrzyłam w jego puste oczy, trzymając pistolet, który włożył mi pod poduszkę, wiedzia-

łam, że byłby w stanie to zrobić. Gdybym odmówiła, raz na zawsze przekonalibyśmy się, które z nas jest lepsze.

Spojrzałam na pistolet w moich dłoniach.

- Mam broń, muszę jedynie wycelować.

- Jesteś ranna. Potrzebujesz wsparcia.

Jego ręka powędrowała w stronę pistoletu. Położyłam broń obok siebie i spojrzałam na niego. Opadłam z powrotem na poduszkę.

- Nie chcę tego robić, Edwardzie.

- Więc kiedy zadzwonię, przyjdiesz? Przemyślałam to przez pół sekundy i odpowiedziałam:

- Jasne, możesz na mnie liczyć.

Uśmiechnął się. To był uśmiech Teda Forrestera, dobrego, starego przyjaciela.

- Nigdy się nie dowiem jak dobra jesteś naprawdę, dopóki nie zwrócisz się przeciwko mnie.

- Możemy z tym żyć. - powiedziałam. - Tak nawiasem, co powiesz na zaproszenie na polowanie na potwory? I nie mów mi, że zrezygnujesz ze względu na Harleya.

- Zabiłaś go. Zabiłaś go, nawet o tym nie myśląc. Nawet teraz nie czujesz się winna, co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Miał rację. Nie czułam się z tym źle. Przeróżające, ale prawdziwe.

- Więc zaprosiłeś mnie do zabawy tylko dlatego, że jestem teraz takim samym socjopatą jak ty?

- Och, wierz mi, nie dorastasz mi do pięt, jeśli o to chodzi - powiedział. - Nigdy nie pozwoliłbym wampirowi napić się mojej krwi. A tym bardziej nie umawiałbym się z kimś, kto czasami obrasta sierścią.

- Czy ty kiedykolwiek się z kimś umówiłeś?

Uśmiechnął się tylko. To był jeden z tych irytujących uśmiechów, które oznaczały, że nie miał zamiaru odpowiadać. Ale zrobił to.

- Nawet Śmierć ma prawo do przyjemności. Edward się umawiał?

Musiałam to zobaczyć.

* Coupe de grace - śmiertelny cios zadany cierpiącej lub rannej istocie (czyli po prostu dobicie jej).

Rozdział 46

Gdy opuszczałam szpital, nie miałam żadnych trwałych blizn, które miałyby pozostać na zawsze. To była zasadnicza zmiana. Richard dotknął śladów pozostałych po atakach Gabriela, miał poważną minę.

Nikt nie powiedział tego na głos. Za miesiąc przekonamy się. Lekarze zaproponowali mi, abym poszła do jednego z ośrodków przystosowanych (czytaj więzień) dla nowych zwierzołaków. Decyzja jest dobro-wolna, ale gdy raz podpiszesz papiery, opuszczenie tego miejsca na własne życzenie jest praktycznie niemożliwe. Powiedziałam, że sama o siebie zadbam. Zrugali mnie, a ja kazałam im iść do diabła.

Pełnię spędziłam razem z Richardem i jego stadem, oczekując czy dołączę do zabójczego tańca. Tak się nie stało. Albo miałam niesamowite szczęście, albo tak jak wampir, nie mogłam zarazić się lykantropią.

Potem Richard nie chciał już mieć ze mną nic wspólnego. Nie mogłam go za to winić.

Nadal go kocham. Myślę, że z wzajemnością. Jean-Claude'a również darzę uczuciem, ale to nie jest taki sam rodzaj miłości. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale tęsknię za Richardem. Podczas krótkich chwil spędzonych w ramionach Jean-Claude'a, zapominam o tym. Ale nadal tęsknię.

To, że jesteśmy oboje metafizycznie połączeni z Jean-Claudem, nie ułatwia sprawy. Richard dwukrotnie niechętnie nachodził mnie w snach.

Taka bliskość jest dla mnie zbyt bolesna, aby wyrazić ją słowami. Richard próbował nad tym zapanować, ale ostatecznie zgodził się, aby Jean-Claude nauczył go jak to kontrolować, żeby przynajmniej przestał

przypadkowo oddziaływać na nas oboje. Więcej rozmawia z Jean-Claudem niż ze mną.

Triumwirat jest bezużyteczny. Richard jest na mnie zbyt wściekły.

Jest przepelniony nienawiścią do samego siebie. Nie wiem jak mu idzie ze stadem. Zabronił komukolwiek rozmawiać ze mną na ten temat, ale nadal nie wybrał nowej samicy alfa.

Willie McCoy oraz pozostałe wampiry, które przypadkiem przywo-

łałam mają się dobrze. To wielka ulga. Monica ma urodzić w sierpniu.

Wyniki amniopunkcji były w porządku. Negatywne pod kątem syn-dromu Vlad'a. Ta kobieta wydaje











































































się myśleć, że teraz jestem jej przyjaciółką. Myli się, ale czasem jej pomagam. Jean-Claude odgrywa rolę dobrego mistrza i opiekuje się nią i dzieckiem. Monica cały czas mówi o mnie pełniąc rolę niańki. Mam nadzieję, że robi sobie jaja. Ciociu Anito, tak się do mnie zwraca. Dobijcie mnie tępym narzędziem. Ale i tak nic nie przebije wujka Jean-Claude'a.

Ojciec zobaczył mnie w telewizji w ramionach Jean-Claude'a. Zadzwoił i nagrał wiadomość wyrażającą wielkie zmartwienie. Moja rodzina to żarliwi katolicy. Dla nich nie istnieje coś takiego jak dobry wampir.

Może mają rację. Sama nie wiem. Czy nadal mogę być biczem bo-

żym nacji wampirów, kiedy śpiam z wysoko postawionym krwiopijcą? Właśnie, że tak.

Document Outline

-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
-  
- 